

Chr.

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

KRAJ PIERWSZY



INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1972

ALEKSANDER SOLŻENECYN

KRĄG PIERWSZY

KRĄG PIERWSZY



IMPRIMERIE EN FRANCE

INSTITUT LITTÉRAIRE
PARIS

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 222



IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

KRAJ PIERWSZY



INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1972

Tytuł oryginału:
W KRUGIE PIERWOM

Przełożył z rosyjskiego
MICHAŁ KANIEWSKI



II. 1. 990. 419
chr.

I

ALE KTO MÓWI?

Azurowe strzałki wskazywały pięć po czwartej.

W ślepałym, gasnącym ćmieniu grudniowego dnia, brąz zegara stojącego na etażerze wydawał się całkiem ciemny.

Czyste, podwójne szyby wysokiego okna, sięgającego aż do podłogi, pozwalały dojrzeć gdzieś w dole pośpieszną uliczną krzątanię i dozorców zgarniających spod nóg przechodniów śnieg, już ciężki i brudno-brunatny, choć dopiero co spadł.

Widząc to wszystko i nic z tego nie widząc, radca stanu drugiej klasy, Inocenty Wołodin, oparty o kant framugi okiennej pogwizdywał sobie jakiś pasaż finezyjny i długi. Końcami palców przebierał lśniące i kolorowe stronicie zagranicznego pisma. Ale wcale nie patrzył na nie.

Radca stanu drugiej klasy, to znaczy podpułkownik służby dyplomatycznej; wysoki, szczupły, nie w mundurze, ale w garniturze ze śliskiego w dotknięciu materiału, Inocenty Wołodin, mógł ująć raczej za majątnego, młodego obiboka niż za odpowiedzialnego pracownika Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Czas było zapalić światło w gabinecie, jednak nie zapalał go, mógł też jechać do domu, ale nie ruszał się z miejsca.

Godzina czwarta nie oznaczała końca całego dnia pracy, lecz tylko jego mniejszej, dziennej części. Teraz wszyscy pojadą do domu — żeby coś zjeść i zdrzemnąć się, a o dziesiątej wieczór znów zapalą się tysiące i tysiące okien czterdziestu pięciu ministerstw ogólnozwiązkowych i dwudziestu — republiki rosyjskiej. Jeden, jedyny człowiek źle sypia nocami za tuzinem fortecznych murów — i oto przyzwyczaił całą urzędniczą Moskwę, aby czuwała z nim razem do trzeciej, do czwartej nad ranem. Znając nocne narowy władcy, wszystkich sześćdziesięciu ministrów czeka, jak uczniowie na wyrwanie do tablicy. Aby sen zbyt nie

morzył, wzywają z kolei swoich zastępców, zastępcy wyciągają z pościeli dyrektorów, referenci pną się do kartotek po drabinach, kanceliści kłusują przez korytarze, stenotypistki łamią ołówki.

I nawet dziś, gdy na Zachodzie święci się Wigilię, a wszystkie poselstwa już od dwóch dni ucichły, zamarły, nie telefonują, — chyba właśnie teraz zapalają się u nich choinki — w ministerstwie tak, czy owak będzie się urzędować w nocy. Ten zagra w szachy, ów — zacznie opowiadać dowcipy, jeszcze inny przypnie na kanapie — ale urzędować się będzie.

Nerwowe palce Wołodina wertowały pismo pośpiesznie i beżmyślnie, a tymczasem drobny dygot w środku to wybierał i przyprowadzał o gorączkę, to opadał i wtedy robiło się zimno.

Jak dobrze pamiętał Inocenty z dzieciństwa właśnie doktora Dobroumowa! Nie był on jeszcze wówczas taką znakomitością, nie wysyłano go za granicę na czele delegacji, nie nazywano chyba nawet uczonym, tylko zwyczajnie, panem doktorem, który po prostu jeździ sobie na wizyty. Mama chorowała często i zawsze starała się wzywać właśnie jego. Miała do niego zaufanie. Ledwie wchodził i zdejmował w przedpokoju swoją fokową czapkę — zaraz cały dom wypełniał się atmosferą spokoju, dobroduszości i bezpieczeństwa. Nie można było sobie wyobrazić, żeby przy łóżku chorego spędził mniej, niż pół godziny. Naprzód musiał uważnie wysłuchać wszystkich skarg, potem oglądał chorego, jakby z pewną satysfakcją, wreszcie bardzo szczegółowo objaśniał, co i jak trzeba zażywać. Nie do pomyślenia też było, aby przeszedł potem obok chłopca i nie zadał mu jakiegoś pytania — wysłuchując zarazem odpowiedzi, tak, jakby miał do czynienia z dorosłym i oczekiwał naprawdę czegoś mądrego. Doktor już wtedy siwiał — co dopiero teraz z tą głową?...

Inocenty cisnął czasopismo i obszedł gabinet, zżymając się raz po raz.

Zadzwoić, czy nie zadzwonić?

Gdyby tu chodziło o jakiegoś innego profesora, nie znanego mu bliżej, Inocentemu pewno by nawet do głowy nie przyszło, żeby uprzedzić. Ale akurat Dobroumow!...

Czy naprawdę są sposoby, żeby wykryć, kto telefonował z automatu? A jeżeli nie zatrzymywać się i szybko wyjść? Czy można rozpoznać głos zmieniony, głos telefoniczny? Nie może być takich urządzeń.

Podszedł do biurka. W cieniach zmierzchu, nawet nie czytając, rozpoznał pierwszą stronicę instrukcji otrzymanej w związku z nową nominacją. Powinien wyjechać jeszcze przed Nowym Rokiem, w środę, albo w czwartek.

Logiczniej byłoby — poczekać. Tak byłoby rozsądniej.

Diabli! — dreszcz przeniknął mu barki, nie nawykłe do noszenia ciężarów. Już lepiej byłoby nic nie wiedzieć. Nie miał informacji. Nie miał pojęcia...

Wziął instrukcję i resztę papierów z biurka, zaniósł do kasy pancерnej.

Dlaczego właściwie można mieć komuś za złe to, co obiecał Dobroumow? To tylko szczodrość talentu. Talent zdaje sobie sprawę, że ma wszystkiego w nadmiarze, nie żał mu się tym dzielić.

Inocenty denerwował się coraz bardziej i bardziej. Oparł się o pancerną kasę, opuścił głowę i dał sobie chwilę folgi z zamkniętymi oczyma.

I nagle, jakby poczuł, że to ostatnia chwila, nie wzywając szofera, nie zamykając kałamarza, zatrzasnął drzwi, oddał klucz dyżurnemu, tkwiącemu u wylotu korytarza, wdział płaszcz, zbiegł prawie pędem ze schodów, mijając w swoim cywilnym paltocie tutejszych bywalców, całych w złotych szamerunkach i akselbantach. I wybiegł w mrok i wilgoć zmierzchającego dnia.

Lżej mu się zrobiło od szybkiego ruchu.

Francuskie półbuty nurzały się w brudnej śnieżnej bryi.

Przechodząc półotwartym dziedzińcem ministerstwa obok pomnika Worowskiego, Inocenty podniósł oczy i drgnął. Przywidział mu się jakby inny sens w kształtach nowego gmachu Wielkiej Łubianki, wychodzącego na Furkasowski zaułek. To szaro-czarne, dziewięciopiętrowe cielsko było pancernikiem i osiemnaście filarów, jak osiemnaście działobitni wznosiło się wzdłuż jego prawej burty. A samotną, kruchą łódeczkę Inocentego ciągnęło coś na tamtą stronę placu, pod sam dziób ciężkiego, szybkobieżnego okrętu.

Szukając ratunku skręcił na prawo, na Kuźniecki Most. Przy samym krawężniku stała właśnie taksówka szykując się do odjazdu. Inocenty wszedł do niej, kazał jechać Kuźnieckim w dół, tam zaś polecił skręcić w lewo, pod rozbłysłe dopiero co latarnie Pietrowki.

Wciąż jeszcze się wahał — skąd ma dzwonić, żeby mu nikt nie pukał kantem monетки w szybę. Ale szukać ustronnej, cichej budki — to jeszcze bardziej podpada. Czy nie lepiej gdzieś w gęstym tłumie, tylko żeby kabina była dobrze izolowana, w głębi muru? Pomyślał jeszcze, że głupio byłoby kluczyć i mieć potem szofera za świadka. Przetrzasał szybko kieszenie, szukając piętnastu kopiejek.

Ale wszystko to przestawało już być ważne. W ciągu tych paru minut Inocenty nagle przestał się niepokoić: poczuł jasno,

że nie ma innego wyjścia. Niebezpieczne to, czy nie, ale jeśli tego nie uczynić...

Czy zawsze się czegoś wystrzegając — można w ogóle pozostać człowiekiem?

Przed sygnałem świetlnym na Ochotnym jego palce trafiły wreszcie na dwie piętnastokopiejkowe monetki i wydobyły obie naraz — dobry omen!

Minęli Uniwersytet — Inocenty kazał skrócić w prawo. Polecieli w górę, w stronę Arbatu. Inocenty dał dwa papierki, nie wziął reszty i wkroczył na plac starając się miarkować swoje kroki.

Arbat cały już lśnił od świateł. Przed kinem gęstniała kolejka — szedł film „Miłość tancerki”.

Czerwoną literę „M” nad metrem zaciągała niebieskawa mgiełka. Podobna do Cyganki kobieta sprzedawała żółciutkie gałązki mimozy.

Trzeba się tylko starać, żeby prędko. Powiedzieć swoje jak najzwyczajniej i powiesić słuchawkę. Wtedy niebezpieczeństwo redukuje się do minimum.

Inocenty szedł bardzo wyprostowany. Przechodząca obok dziewczyna podniosła na niego oczy.

Teraz znowu ta...

Jedna z drewnianych, zewnętrznych budek była pusta, ale Inocenty nią wzgardził i poszedł dalej.

Wszystkie cztery, te w ścianie, były zajęte. Ale w pierwszej z lewa kończył rozmowę jakiś chamowaty facet, trochę zalany, właśnie odwieszał słuchawkę. Inocenty szybko zajął jego miejsce, starannie zamknął i przytrzymał jedną ręką grubo szklone drzwi, drugą zaś, drżącą trochę, nie ściągając zamszowej rękawiczki, wrzucił w otwór monetę i nakręcił numer.

Po kilku długich sygnałach, ktoś podniósł słuchawkę.

— Słucham — powiedział kobiecie głos, jakby robiąc łaskę, albo mając za złe.

— Przepraszam, czy to mieszkanie profesora Dobroumowa? (Starał się zmienić brzmienie głosu).

— Owszem.

— Przepraszam, czy może pani łaskawie poprosić profesora?

— A kto właściwie go prosi? — głos damy był syty i rozleniwiony, na pewno siedziała na kanapie, nigdzie jej nie było pilno.

— Widzi pani... Pani mnie nie zna... To nie tak już ważne. Ale to bardzo dla mnie pilne. Zechce pani poprosić profesora!

(Tyle zbędnych słów, a wszystko przez te przekłete maniery!)

— Ależ profesor nie będzie biegać na rozmówki z byle kim

— obraziła się dama.

Ton jej był taki, że mogła nawet odwiesić zaraz słuchawkę.

Za zwierciadlaną szybą, zaraz obok rzędu kabin ludzie sunęli tłumnie, spieszyli się, mijali się w biegu. Ktoś stanął już w kolejce do kabiny Inocentego.

— Kim pan jest? Dlaczego nie może pan odpowiedzieć?

— Jestem waszym przyjacielem! Mam ważną wiadomość dla profesora!

— No i co z tego? Czemu pan się boi wymienić nazwisko?

(Był jeszcze czas, żeby odłożyć słuchawkę. Nie powinno się mieć głupich żon).

— A pani kim jest? Czy to pani profesorowa?

— Ależ dlaczego to ja pierwsza mam się przedstawiać? — uniosła się dama. — Zechce pan odpowiedzieć!

Teraz powinienby przycisnąć widełki!

Ale przecież nie tylko o profesora tu chodziło...

Już nie panując nad sobą, już nie starając się mówić głosem zmienionym, albo stłumionym, wzburzony Inocenty jął przekonywać słuchawkę:

— Proszę słuchać! Proszę posłuchać! Muszę otrzeć go przed niebezpieczeństwem!

— Przed niebezpieczeństwem? — Dama od razu spuściła z tonu. Na chwilę zamilkła. Ale nie poszła po męża, bynajmniej.

— Więc tym bardziej nie mogę go wołać! A może to wcale nieprawda? Jak pan może udowodnić, że pan mówi prawdę?

Pod stopami Inocentego podłoga budki płonęła i czarna słuchawka na ciężkim, stalowym łańcuchu topiła się w ręce.

— Niech pani słucha, proszę słuchać! — krzyknął, już zdesperowany. — Kiedy profesor był z delegacją w Paryżu, to obiecał swoim francuskim kolegom, że im coś przyśle! No, jakiś preparat. I właśnie teraz ma to przekazać! Przez cudzoziemców! Rozumie pani? No więc niech tego nie robi! Cudzoziemcom, za granicę — nic niech nie przekazuje! Bo w związku z tym już się szykuje, zdaje się, cała prowoka...

Ale tu coś w słuchawce trzasnęło i wypełniła ją wata milczenia, bez żadnych szmerów i sygnałów.

Ktoś przerwał połączenie.

II

POMYSŁ DANTEGO

— Nowi!

— Nowych przywieziono!

— Wy skąd, towarzysze?

— Kochani, skąd jesteście?

— A co to macie na piersiach, na czapkach, takie jakieś plamy?

— Mieliśmy tu nasze numery. I jeszcze na grzbiecie i na kolanie. A jak nas przenoszono z obozu, to trzeba było spruć.

— Jak, jak? Numery?

— Przepraszam panów, w jakim to właściwie stuleciu żyjemy? Numery na ludziach? Może Lew Grigoriewicz pozwoli mi zadać pytanie — czy to może postęp?

— Walentula, po co ten hałas, kolacja czeka.

— Ależ jak ja mogę jeść kolację, kiedy tu ludzie chodzą z numerami na czole!

— Apokalipsa! Ewangelia świętego Jana!

— Przyjaciele! Wydają „Biełomor” po 9 paczek na drugą połowę grudnia.

— Macie szansę. Fart z punktu!

— „Biełomor” z fabryki „Jawa” czy „Dukat”?

— Pół na pół.

— Ale gady, „Dukatami” nas duszą. Ministrowi się poskarżę, słowo.

— A co to za kombinezony nosicie? Coście to, spadochroniarze?

— A bo nas umundurowali. Zaciskają obrożę, ścierwa. Dawniej wydawali garnitury z wełny i sukienne palta.

— Patrzaj, nowi!

— Przywieźli nowych!

— Ej, sokoły! Coście to, żywych zeków¹ nie widzieli? Cały korytarz pełen!

— Ba! Kogo widzę! Dof — Dnieprowski!? Gdzie pan się podziewał? Toć w czterdziestym piątym po całym Wiedniu pana szukałem, po całym Wiedniu!

— Jacy oberwani, jacy zarośnięci! Z jakiego łagru, przyjaciele?

— Z rozmaitych. Z *Rieczłagu*...

— ...

— Z *Dubrowłagu*...

— Dziewiąty rok siedzę, a jakoś takich nazw nie słyszałem...

— A bo to nowe łagry. *Spec-obozy*. Dopiero w zeszłym roku je otwarto, w 48-ym. Była taka dyrektywa Stalina o konsolidacji zaplecza...

— Jakiego znów zaplecza?!

— Przy samym wjeździe do wiedeńskiego Prateru zagarnęli mnie do karetki.

— Chwileczkę, Mitia, posłuchajmy lepiej, co nowi mówią...

— Nie, spacer, spacer! Na świeże powietrze! Niech się wali i pali, ale rozkład zajęć najważniejszy! Nowych przepyta Lew, nic się nie bój.

— Druga zmiana! Do kolacji!

— *Ozierłag, Ługłag, Steplag, Piesczanłag*...

— Można by pomyśleć, że w MWD² siedzi jakiś wielki a nieznany poeta, co najmniej Puszkina, na poematy go nie stać, wierszy nie próbuje, ale za to daje poetyckie nazwy łagrom.

— Ha-ha-ha! Śmieszne, co — jakie to właściwie stulecie?

— No, cicho już, Walentula!

— Przepraszam, jak pan się nazywa?

— Lew Grigoriewicz.

— Pan też jest inżynierem?

— Nie, jestem filologiem.

— Filolog? Tu nawet filologów się trzyma?

— Niech się pan spyta, kogo tu się nie trzyma? Są tu matematycy, fizycy, chemicy, inżynierowie-radiowcy, inżynierowie od łączności przewodowej, artyści, tłumacze, introligatorzy, architekci, budowniczowie, nawet jednego geologa pomyłkowo tu wsadzili.

— I co też on robi?

— Nic takiego, zadekował się w laboratorium.

1. Zek — od urzędowego skrótu „Z.K.” — *zakluczannyj*, więzień.

2. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

— Słuchaj, Lew! Uważasz się za materialistę a karmisz tu ludzi samą strawą duchową. Uwaga, moi złoci! Jak was zaprowadzą do stołówki — to znajdziecie tam na ostatnim stole pod oknem ze trzydzieści porcji, zostawiliśmy dla was. Wbijajcie w krzyże, nie popękajcie tylko!

— Dziękujemy bardzo, ale dlaczego odejmujecie sobie od ust?

— Nie ma za co. Kto dziś jada śledzie z beczki i jagłankę? To trywialne!

— Jak pan mówi? Trywialne? Jagły są trywialne? Toć ja z pięć lat jagieł nie widziałem!

— Na pewno nie jagły, tylko poślad!

— Zwariował pan chyba, poślad! Spróbowałiby tylko dać nam poślad! Zaraz byśmy im w mordy go sypnęli!

— A jak tam teraz z wyżywieniem na etapach?

— W Czelabińskim etapowym...

— W Czelabińskim — nowym, czy Czelabińskim starym?

— Zaraz widać znawcę. W nowym.

— Co tam, po dawnemu klozetów na piętrach szczędzą, a *zeki* muszą załatwiać się do kibla i znosić z trzech pięter?

— Po dawnemu.

— Pan powiedział — *szaraszka*³. Co to znaczy *szaraszka*?

— A po ile tu chleba się dostaje?...

— Kto jeszcze nie jadł kolacji? Druga zmiana!

— Białego chleba po czterysta gramów, a czarny — na stole.

— Zaraz, jak to — na stole?

— A no zwyczajnie, na stole, w kromkach, jak chcesz, to bierz, jak nie, to nie.

— No tak, ale za to maselko i za te „Bielomory” my tu harujemy po dwanaście i po czternaście godzin na dobę.

— E, też mi harują! Jak się przy stole siedzi, to już nie harówka! Haruje ten, co kilofem macha.

— Diabli wiedzą, w tej *szaraszce* człowiek ugrzązł, jak w bagnie — kontakt z życiem całkiem się traci. Panowie słyszeli? — podobno kryminalnych przycisnęli i nawet na Krasnej Presni już tak wszystkim nie trzęsą.

— Profesorowie dostają po czterdzieści gramów masła, inżynierowie po dwadzieścia. Od każdego wedle zdolności, każdemu wedle możliwości.

3. *Szaraszka* — od *oszaraszyt'* — zaskoczyć. *Szaraszka* nazywano również w zwykłych łagrach grupę uprzywilejowanych (lub chorych), którym przysługiwał najlepszy wikt, tzw. „IV-ty stół”.

— Więc pan pracował na Dnieprostroju⁴?
— Tak, u Wintera. Właśnie za ten Dnieproges⁵ tu siedzę.
— Niby jak to?
— A bo widzi pan, ja go sprzedałem Niemcom.
— Dnieproges? Przecież go nasi wysadzili w powietrze.
— No to co, że wysadzili? A ja im sprzedałem taki wysadzony.

— Słowo honoru, jakby wiatr wolności powiał! Translokacje! Stołypinki! Łagry! Ruch! Ech, teraz by się człowiek przejechał do Sowgawani⁶!

— I z powrotem, Walentula, i — z powrotem!

— Tak! I z powrotem — jak najprędzej, oczywiście!

— Wie pan, od tego nadmiaru wrażeń, od tej gonitwy nastrojów aż mi się w głowie kręci. Przeżyłem swoje pięćdziesiąt dwa lata, wykaraskałem się ze śmiertelnych chorób, żeniłem się parę razy z pięknymi niewiastami, zostałem ojcem kilku synów, przyznawano mi nagrody naukowe — a nigdy nie byłem tak bardzo szczęśliwy, jak dziś! Gdzież to się znalazłem? Jutro nikt mnie nie zapędzi do lodowatej wody! Czterdzieści gramów masła śmietankowego! Czarny chlebek — na stole! Nie zabrania się czytania! Można się golić samemu! Nadzorcy nie biją zeków! To jest wielki dzień! To jest szczyt! A może już umarłem? Może śnię? Bo wydaje mi się, że jestem w raju!

— Nie, szanowny panie — powiedział Rubin — po dawnemu jest pan w piekle, ale wdrapał się pan do jego najwyższego, najwyszejszego kręgu. Pyta pan, co takiego *szaraszka*? Wymyślił ją, jeśli chce pan wiedzieć, Dante. Pamięta pan, Dante łamał sobie głowę, gdzie ma powsadzać starożytnych mędrców? Obowiązek chrześcijański kazał mu wtrącić ich, jako pogan, do piekła. Ale sumienie humanisty nie mogło pogodzić się z tym, aby mężów tak światłych trzymać razem z innymi grzesznikami i poddawać torturom. Wymyślił więc dla nich Dante specjalne miejsce w piekle. Zaraz... w czwartej pieśni to brzmi mniej więcej tak:

„Do stóp my doszli wspaniałego grodu...

— ...popatrzenie tylko, jakie tu stare sklepienia!

...Otoczonego murem siedmiorakim...

Potem bram siedmią...

4. Nazwa elektrowni wodnej na Dnieprze, w okresie jej budowy (I pięciolatka).

5. Nazwa tejże elektrowni w okresie eksploatacji. Wyszczepiona w powietrze w 1941, w przededniu wkroczenia Niemców.

6. Port na wschodzie Syberii.

— ... Przywieźli was karetką, toście tych bram nie widzieli!

... *Gdzieśmy się z nowym spotkali orszakiem.*

*Lud był szanowny, dostojnej postawy,
Powściągliwego, poważnego wzroku,
A mowy cichej, skąpej i niezawanej...*

... *Było daleko jeszcze, lecz dość blisko,
Ażebym poznał w pomroków prześwicie,
Że zacne duchy miały tam siedlisko.
„Mistrzu mój, wiedzy i sztuki zaszczycie,
Któż oni i czym dostąpili prawa,
Że wiodą tutaj wywyższone życie?”*

— E, widzę, że Lew Grigoriewicz całkiem się już na poetę przekabacił.

Ja znacznie przystępniej potrafię towarzyszom wyjaśnić, co to takiego szarazska. Trzeba czytać artykuły wstępne: „Zostało dowiedzione, że tym więcej owca daje wełny, im lepszą ma paszę i opiekę”.

III

LUTERAŃSKA WIGILIA

Choinką była gałązka sosny, wetknięta między deski taboretu. Splątany warkocz różnokolorowych żaróweczek niskiego napięcia okręcał się dookoła niej dwukrotnie i sięgał mlecznymi, winilowymi przewodami aż do baterijki na podłodze.

Taboret stał w przejściu między piętrowymi narami w kącie pokoju, a jeden z górnych materaców osłaniał cały ten kąt i małą choinkę przed ostrym blaskiem bijącym spod sufitu.

Sześciu mężczyzn w grubych, granatowych kombinezonach spadochroniarskich stało dookoła choinki i słuchało, jak jeden z nich, smagły Maks Richtman o ściągłej twarzy, recytował ewangelicką modlitwę wigilijną.

W całej dużej izbie, ciasno zastawionej takimi samymi, piętrowymi narami o przyspawanych nóżkach, nie było nikogo więcej: po kolacji i godzinnym spacerze wszyscy poszli na wieczorną zmianę.

Maks skończył modlitwę i cała szóstka usiadła. Pięciu z nich poczuło gorzkie i słodkie tchnienie ojczystych stron — uładowego, solidnego kraju, miłych sercu Niemiec, gdzie pod czerwoną dachówką tak jaśniej i wzrusza to najważniejsze w roku święto. Szósty zaś z nich — duży mężczyzna z okazałą, czarną brodą biblijnego proroka był Żydem i komunistą.

Los Lwa Rubina zrósł się z losem Niemiec zarówno zielonymi pędami pokoju, jak suchymi cierniami wojny.

W cywilu był filologiem-germanistą, władał biegle nowoczesnym *hochdeutsch*, gdy trzeba było, swobodnie posługiwał się średnio-, staro-, i górnioniemieckim. Każdego Niemca, którego nazwisko kiedykolwiek pojawiło się w bibliografii, wspominał bez trudu, jak dobrego znajomego. O małych, nadreńskich mias-

teczkach potrafił opowiadać tak, jakby nie jeden raz przechadzał się po ich czystych, cienistych uliczkach.

Zawadził zaś wszystkiego tylko o Prusy — i to, gdy był na froncie.

Służył jako major „Wydziału d/s moralnego rozkładu wojsk npla”. Z obozów jenieckich wyławiał takich Niemców, którzy godzili się na pomoc w tej akcji. Zabierał ich stamtąd i przenosił do specjalnej szkoły, gdzie niczego im nie brakowało. Część z nich przerzucał potem z powrotem przez front; z trotylem, z fałszywymi reichsmarkami, z podrobionymi zaświadczeniami o urlopie i książeczkami wojskowymi. Mogli teraz wysadzać w powietrze mosty, mogli też jechać do domu i zażyć swobody — aż do chwili ujęcia. Z innymi Rubin dyskutował o Goethem i Schillerze, omawiał teksty ulotek i z pomocą zmechanizowanych gigantofonów namawiał ich braci na froncie aby obrócili karabiny przeciw Hitlerowi. Z jeszcze innymi zaś przechodził sam przez linię frontu i siłą perswazji zdobywał ufortyfikowane miejscowości, oszczędzając krew sowieckich batalionów.

Ale niesposób było agitować Niemców nie wkorzeniając się samemu w ich masę, nie ucząc się ich po trochu lubić, a w dniach ich klęski — nie litując się nad nimi. Za to też wsadzono Rubina do więzienia: jego wrogowie z Zarządu Politycznego¹ zarzucili mu, że po styczniowej ofensywie² agitował przeciw hasłu „krew za krew, śmierć za śmierć”.

To także miał na sumieniu, nie przeczył. Tylko, że wszystko to było niepomierne zawilsze, niż da się opisać w gazecie i niż napisane było w jego akcie oskarżenia.

Obok taboretu, na którym jarzyła się gałązka sosny, stały obok siebie dwie szafki, tworząc rodzaj stołu.

Zaczął się poczęstunek: dzielono się konserwami z „Gastromu” (zekom z *szaraszki* wolno było na rachunek depozytów robić zakupy w stołecznych sklepach), stygnącą już kawą i tortem własnej roboty. Nawiązała się też powściągliwa rozmowa. Maks starał się ją kierować na tematy bardziej pokojowe: stare obyczaje ludowe, wzruszające opowieści wigilijne. Niedouczonego fizyk, student z Wiednia, okularnik Alfred włączył się do rozmowy ze swoim zabawnym austriackim akcentem. Nie śmiejąc prawie zabierać głosu przy starszych, wybałuszał oczy na wigilijne lampki pucułowaty chłopak, z uszami różowymi i przeświecającymi jak u prosiaka, Gustaw, wyrostek z *Hitlerjugend* (trafił do niewoli w tydzień po zakończeniu działań wojennych).

1. P.U.R.-SA. — *Policzeskoje Uprawlenieje Sowietskoj Armii* — Zarząd Polityczny Armii Sowieckiej, kierujący wywiadem i kontrwywiadem.

2. 1945 roku.

Mimo to rozmowa zboczyła na inne tory. Ktoś wspomniał wigilię czterdziestego czwartego roku, sprzed pięciu lat i ówczesne natarcie w Ardenach, z którego Niemcy dumni byli jak jeden mąż: było w nim dla nich coś antycznego — pokonani pędzili przed sobą zwycięzców. I przypomnieli sobie, że tamtego wieczoru wigilijnego całe Niemcy słuchały Goebbelsa.

Rubin przytaknął, palcami jednej ręki skubiąc kosmyk swojej szorstkiej, czarnej brody. Owszem, pamięta to przemówienie. Było udane. Goebbels mówił z takim wewnętrznym wysiłkiem, jakby dźwigał na sobie wszystkie ciężary, pod którymi padały Niemcy. Przeczuwał już zapewne swój koniec.

Obersturmbannführer SS Reinhold Simmel, którego długie ciało ledwie mieściło się pomiędzy szafką a piętrowym łóżkiem, nie docenił dyskretnej uprzejmości Rubina. Nieznośna była dla niego już sama myśl, że ten Żyd w ogóle ośmiela się coś mówić o Goebbelsie. Nigdy by nie poniżył się do tego stopnia, by zasiąść z nim do jednego stołu, gdyby potrafił odmówić sobie wspólnej wigilijnej wieczerzy z rodakami. Ale wszyscy pozostali Niemcy koniecznie chcieli, żeby Rubin też był. Dla tego małego niemieckiego ziomkostwa zapędzonego do złoconej klatki *szaraszki* w samym sercu zimnego i dzikiego w ich oczach kraju, jedynym człowiekiem bliskim i zrozumiałym był właśnie tylko ten major nieprzyjacielskiej armii, który przez całą wojnę siał wśród nich niezgodę i chaos. Tylko on mógł objaśnić im porządki i zwyczaje tutejszych ludzi, doradzić odpowiednie zachowanie, albo przetłumaczyć ostatnie wiadomości zza granicy.

Szukając słów, którymi mógłby Rubina jak najbardziej zlekceważyć, Simmel powiedział, że w Rzeszy w ogóle było na kopy błyskotliwych mówców; ciekawe, dlaczego u bolszewików woli się uzgadniać zawczasu teksty i dukać mowy z papierka.

Zarzut był słuszny, więc tym dotkliwszy. Ale tłumacz tu człowieku temu wrogowi i mordercy, jak to wszystko historycznie się złożyło. Właśnie do Simmela czuł Rubin wstręt nie do przewyciężenia. Przypomniawszy sobie, jak przywieźli go do *szaraszki* z Butyrek (gdzie siedział już długo) — w skrzypiącej, skórzanej kurtce, na której dopatrzyć się można było śladów po odprutych dystynkcjach esesowca służby pozafrontowej — najgorszego z esesowców. Nawet więzienie nie potrafiło złagodzić wyrazu okrucieństwa zakrzepłego w rysach Simmela. Katowskie piętno zostało na nich. Właśnie ze względu na Simmela Rubinowi nie bardzo chciało się przyjść dziś na tę wieczerzę. Ale pozostali prosili go bardzo, żal mu było ich, samotnych, zagubionych tutaj, i niesporo było psuć im święto odmową.

Tłumiąc w sobie wybuch, Rubin przytoczył w niemieckim

przekładzie poradę jakiej Puszkina udzielił wierszem pewnemu szewcowi: aby krytykując portrety ograniczał się do butów.

Zaniepokojony Maks szybko wtrącił się do grożącego sporu: a bo właśnie on sam, to jest Maks, dzięki pomocy Lwa już sylabizuje po rosyjsku Puszkina. A dlaczego Reinhold wziął sobie tort bez kremu? A gdzie był Lew w czasie tamtych świąt Bożego Narodzenia?

Reinhold wziął dodatkowo trochę kremu. Lew przypomniał sobie, że był wtedy na froncie nad Narwią, pod Różanem, w swoim bunkrze.

I podobnie, jak tych pięciu Niemców wspominało dziś swój zdeptany i rozdarty kraj, malując go najpiękniejszymi barwami duszy, tak samo w myślach Rubina nagle ożyły wspomnienia — naprzód o przyczółku narewskim, później — o podmokłych lasach nad jeziorem Ilmeń.

Kolorowe lampki odbijały się w odtajających ludzkich oczach.

Dziś także zapytano Rubina o nowiny. Ale trudno mu było zrobić przegląd wydarzeń z grudnia. Nie mógł sobie pozwolić na występowanie w charakterze bezpartyjnego informatora i zrezygnować z nadziei na wychowanie tych ludzi. Nie potrafił zarazem przekonać ich, że w naszej tak skomplikowanej epoce prawdziwa treść socjalizmu przebija sobie szlak czasami okólną, błędną na oko drogą. Dlatego też należało wybierać dla nich, podobnie, jak dla Historii (nieświadomie dokonywał takiej samej selekcji na własny użytek) — tylko te z bieżących wydarzeń, które nie przeczyły kierunkowi generalnemu, pomijając zaś te, które mąciły obraz.

Ale akurat w grudniu jakoś nic pozytywnego się nie wydarzyło — prócz rozmów sowiecko-chińskich, też zresztą ciągnących się nad miarę, no i prócz siedemdziesięciolecia urodzin Wodza Narodów. Opowiadać zaś Niemcom o procesie Trajczko Kostowa, gdzie tak ordynarnie zlaźła farba z całej sądowej dekoracji, gdzie korespondentom już po całej zabawie wręczono sfałszowane przyznanie się do winy, rzekomo napisane przez Kostowa w celi śmierci — było Rubinowi wstyd i nie najlepiej służyło celom wychowawczym.

Dlatego Rubin zatrzymał się dziś raczej na historycznym i wszechświatowym zwycięstwie chińskich komunistów.

Maks słuchał Rubina i kiwał potakująco głową. Jego piwne oczy, kształtu śliwek, miały niewinny wyraz. Maks był przywiązany do Rubina, ale od czasu blokady Berlina zaczął mu jak gdyby mniej ufać i (o czym Rubin nie wiedział) z narażeniem życia, u siebie, w pracowni fal decymetrowych jął to montować, to znów rozkładać na drobne części — po wysłucha-

niu audycji — składany, miniaturowy odbiornik, ani trochę nie przypominający zwykłego radia.

W ten sposób nasłuchiwał się już wiadomości nadawanych z Kolonii i przez BBC po niemiecku — nie tylko o Kostowie, że odwołał na procesie te fałszywe samooskarżenia, które wymusili na nim w śledztwie, lecz również o planach sojuszu atlantyckiego, a także nowiny o gospodarce Niemiec Zachodnich. Wszystko to, rzecz jasna, już dawno powtórzył pozostałym Niemcom.

Ale Rubinowi wszyscy przytakiwali.

Zresztą, dawno już był czas na niego — przecież wcale nie dostał zwolnienia z dzisiejszej wieczornej szychty. Rubin pochwalił smak tortu (wiedeński student uklonił się z wdzięcznością) i przeprosił resztę towarzystwa. Zatrzymywano go tyle, ile wymagała grzeczność i pozwolono odejść. Niemcy mieli teraz chęć pośpiewać półgłosem kolędy.

Tak jak przyszedł, trzymając w ręku słownik mongolsko-fiński i tomik Hemingwaya w oryginale, Rubin wyszedł na korytarz.

Korytarz — szeroki, z niemalowaną, prowizoryczną podłogą z wytartych już desek, pozbawiony okien, dzień i noc oświetlony lampami — był tym samym korytarzem, gdzie przed godziną Rubin z innymi łowcami nowin, w czasie gwarnej przerwy na kolację, wypytywał nowych zeków, przybyłych z obozów. Wychodziły nań jedne drzwi z wewnętrznej, więziennej klatki schodowej i kilkoro drzwi z izb-cel. Izb, bo drzwi nie miały rygli, ale i cel, bo w drzwiach umieszczono judasze — szklane wzierniki. Z tych judaszy miejscowi dozorczy nigdy nie korzystali, ale pozakładano je w zgodzie z regulaminem wszystkich innych więzień, już dlatego, że w urzędowych papierach *szaraszka* nosiła nazwę „specwięzienia”.

Przez takiego judasza można było w innej izbie zobaczyć inną wigilię, urządzoną przez Łotyszów, którzy też zdołali zwolnić się z pracy.

Wszyscy inni więźniowie pracowali i Rubin bał się, żeby go nie zatrzymano, nie zaciągnięto do majora Szykina i nie kazano tam pisać usprawiedliwień.

Korytarz z obu stron kończył się drzwiami na całą szerokość ściany: jedne były drewniane, czwórdzielne i prowadziły pod półkolistym sklepieniem do dawnej absydy domowej cerkwi w tym starym dworze, przekształconej także w izbo-celę, drugie zaś, dwudzielne, okute od dołu do góry żelazem, zawsze były zamknięte; aresztanci zwali je „carskie wrota”.

Rubin podszedł do tych żelaznych drzwi i zapukał w okienko. Z drugiej strony szyby pojawiła się skupiona i nieruchoma twarz dozorca. Klucz obrócił się cicho. Dozorca był dziś na szczęście niezbyt surowy.

Rubin wyszedł na paradne schody starej budowli, których stopnie zbiegały się i rozbiegały z dwóch stron, przeciął mroczny podest z dwoma staroświeckimi, obecnie służącymi już tylko do ozdoby, stojącymi lampami. Na tej samej kondygnacji wszedł do korytarza laboratoryjnego. Pchnął drzwi z napisem: „Pracownia Akustyki”.

IV

BOOGIE-WOOGIE

Pracownia akustyki mieściła się w izbie wysokiej, przestronnej, kilkuokiennej, zastawionej ciasno i bezładnie aparatami fizycznymi na drewnianych stojakach i na podstawkach z białego, błyszczącego aluminium, stołami montażowymi, nowiutkimi moskiewskimi szafkami ze sklejk i zgrabnymi biurkami wywiezionymi z Niemiec.

Mocne żarówki w matowych, kulistych kloszach rzuciły z góry blask niedrażniący, biały i rozproszony.

W odległym kącie pokoju wznosiła się prawie do sufitu izolowana akustycznie budka. Wyglądała, jak nie dokończona: z zewnątrz obita była zwykłym workowym płótnem, pod które napchano słomy. Jej drzwi, grube na łokieć, ale puste wewnątrz, jak ciężary cyrkowych kłownów, były teraz otwarte, a wełniana kotara była znad nich odrzucona — dla lepszej wentylacji. Zaraz obok budki lśniła miedź rzędu kontaktów na czarnej tarczy głównej tablicy rozdzielczej.

Przy samej budce, obrócona do niej plecami, otuliwszy wąskie barki wełnianą chustką, siedziała przy biurku wątpa i bardzo drobna dziewczyna o surowym wyrazie twarzy.

Reszta obecnych, jakichś dziesięciu, byli to mężczyźni, wszyscy w tych samych granatowych kombinezonach. W blasku lamp górnych i w plamach światła ze stołowych lamp na giętkich nóżkach, całą czeredą krzątali się, chodzili, pukali młotkami, lutowali, siedzieli przy stołach montażowych i biurkach.

Raz po raz i bez żadnego ładu rozlegał się w pokoju jazz, muzyka fortepianowa i pieśni wschodnie, nadawane przez trzy odbiorniki radiowe, zmontowane na prędcy, na byle jakich, aluminiowych płytkach, pozbawione osłon.

Rubin szedł przez pracownię do swego biurka powoli, ze

słownikiem mongolsko-fińskim i Hemingwayem w opuszczonej dłoni. Białe okruchy ciasta pozostały mu na czarnej, kędzierzawej brodzie.

Chociaż wszyscy aresztanci dostali kombinezony jednakowego kroju, ale nosili je na różny sposób. Rubin miał urwany jeden guzik, pas rozluźniony, jakieś fałdy na brzuchu.

W przeciwieństwie do niego, zastępujący mu właśnie drogę młody mężczyzna o kasztanowatej, zwichrzonej czuprynie, nosił podobny, granatowy kombinezon z widocznym szykiem, parciany pas ściągnięty był klamrami obciśle, a w rozcięciu pod szyją widać było niebieską, jedwabną koszulę, wyblakłą wprawdzie od częstego prania, ale za to przyozdobioną kolorowym krawatem. Młody mężczyzna zatarasował sobą całe boczne przejście, którym szedł Rubin. Wymachiwał gorącą kolbą lutowniczą, którą trzymał w prawej ręce, postawił lewą nogę na stołku, wsparł łokieć na kolanie i — wpatrując się bacznie w schemat instalacji radiowej wydrukowany w leżącym na stole piśmie „Wireless Engineer” — nucił jednocześnie:

*„Boogie-woogie, boogie-woogie,
Samba! Samba!”*

*Boogie-woogie, boogie-woogie,
Samba! Samba!”*

Rubin nie mógł przejść i przez dobrą chwilę stał z demonstracyjnie potulną miną. Młody mężczyzna jakby go nie widział.

— Walentula — odezwał się Rubin. — Mógłby pan może zabrać na chwilę swoją zadnią łapę?

Walentula nie odrywając oczu od rysunku odparł rąbiąc słowa energicznie:

— Kochany! Znikaj pan! Zmiataj pan stąd! Po co pan tu przychodzi wieczorem? Co pan tu ma do roboty? — i podniósł na Rubina pełne zdziwienia, jasne i młode oczy. — Na diabła nam tu jeszcze filolog?! Ha-ha-ha! (mówił to z pauzami). — Przecież nie jest pan inżynierem!! Wstydl!

Zabawnie układając mięsiste wargi w ryjek i otwierając oczy niesłychanie szeroko, Rubin zaseplenił dziecinny tonem:

— Ale inżynierowie bywają rozmaici, synku! Niektórzy handlują wodą sodową i to z powodzeniem!

— To nie w moim stylu! Ja jestem inżynierem pierwszej klasy! Weź to, chłopie, pod uwagę! — powiedział ostro Walentula, odłożył kolbę na drucianą podstawkę i wyprostował się.

Było w nim coś z dobrze umytego dziecka; cerę miał świeżą, nie poznaną jeszcze śladami lat, ruchy chłopięce — i w żaden

sposób nie można było domyśleć się, że dyplom dostał jeszcze przed wojną, że był w niewoli u Niemców, objechał Europę i że teraz już piąty rok siedzi w ojczystym więzieniu.

Rubin westchnął:

— Bez urzędowo potwierdzonych zaświadczeń z Belgii administracja nie jest w stanie...

— Zaświadczenia!? — Walenty wysoko podniósł brwi. — Ha-ha-ha! Pan chyba rozum stracił! No pomyśl pan sam — przecież ja przepadam za kobietami!!

Surowa, drobna dziewczyna nie mogła pohamować uśmiechu.

Jeszcze jeden więzień, siedzący pod oknem, do którego zmierzał Rubin, przestał pracować i z wyrazem sympatii słuchał słów Walentego.

— Coś mi się zdaje, że tylko teoretycznie — odparł Rubin demonstracyjnie tłumiąc ziewnięcie.

— I szalenie lubię wydawać pieniądze!

— Ale ich pan jakoś nie miewa...

— Więc jak mogę być złym inżynierem?! Niech pan sam pomyśli: żeby kochać kobiety — i to wciąż inne — trzeba mieć huk pieniędzy! Żeby mieć huk pieniędzy — trzeba ich dużo zarabiać! Żeby dużo zarabiać, będąc inżynierem — trzeba znać się świetnie na swojej robocie! A to niemożliwe, jeżeli człowiek nie włoży w nią całego serca! Ha-ha! Zrzęda panu mina, co?

Pociągała twarz Walentuli jaśniała szczerym przekonaniem. Zadarł ją zaczepnie w górę.

— Aha! — zawołał zek spod okna, siedzący przy stole przysuniętym do biurka dziewczyny. — O, nareszcie złapałem głos Walentuli! Ma głos d z w o n o p o d o b n y! Tak go też sklasyfikuję, co? Taki głos można poznać przez każdy telefon. Choćby nie wiem co przeszkadzało.

I rozłożył duży arkusz, na którym widniały rządkie określeń, siatka typologiczna i klasyfikacja w kształcie drzewa.

— Ach, co za bzdura! — zachnął się Walentula, chwycił kolbę i zaczął dyć kalafonią.

Można już było przejść i Rubin, po drodze do swojego stolika, też pochylił się nad klasyfikacją głosów.

W milczeniu patrzyli teraz obaj.

— Spory postęp, Glebie — powiedział Rubin. — Jeżeli dać jeszcze mowę optyczną to mamy w ręku dobrą broń. Prędko już zrozumiemy, od czego zależy ton głosu w telefonie.

Wtem wzdrygnął się: — Co to nadają?

W pokoju najlepiej słyhać było jazz, ale już brał górę odbiornik spod okna, z którego płynęła perlista muzyka koncertowa, a w niej uparcie powracała, znów uciekała i znów wybijała się na wierzch, żeby znowu zniknąć w głębi, wciąż ta sama melodia. Gleb odpowiedział:

— To jest cud nad cudy. To siedemnasta sonata d-moll Beethovena. Dziwne, że o niej nigdy... Ale słuchaj, słuchaj...

Obaj pochylili się w stronę odbiornika, lecz jazz bardzo przeszkadzał.

— Valentine! — powiedział Gleb. — Niech pan ustąpi. Okaż pan wspaniałomyślność.

— Już ją okazałem — odgryzł się Walenty — zrobiłem wam przecież odbiornik. A teraz urwę wam cewkę tak, że nigdy jej nie znajdziecie.

Drobna dziewczyna zmarszczyła swoje poważne brewki i wtrąciła się:

— Panie Walenty! Doprawdy, niemożliwe już jest to słuchanie trzech rzeczy naraz. Niech pan wyłączy swoje radio, przecież ludzie pana proszą. (Radio Walentego grało slow-foxa a dziewczyna bardzo to lubiła...).

— Panno Serafimo! To niesłychane! — Walenty miał na drodze wolne krzesło, wsparł się na nim i mówił, nachylony, jak z trybuny: — Więc normalnemu, zdrowemu człowiekowi może nie podobać się energiczny, dynamiczny jazz?! To i na panią chcą rozciągnąć rozkładowe działanie wszelkiej starzyzny?! Czy pani nie tańczyła nigdy Błękitnego Tanga? Czy to może być, żeby nigdy pani nie widziała rewii Arkadego Rajkina? A więc nie zna pani tego, co ludzki duch stworzył najlepszego! Więcej — widzę, że nie była pani nigdy w Europie! Skąd więc ma pani wiedzieć, co to jest życie?... Dobrze, oj, dobrze pani radzę: musi pani w kimś się zakochać! — perorował Walenty nad oparciem krzesła, nie widząc gorzkiej zmarszczki w kącie ust dziewczyny. — W kimś, ale *ça depend!* Blask wieczornych lamp! Szelest balowych sukien!

— Oho, znów mu faza przeskoczyła! — powiedział z troską Rubin. — Trzeba więc użyć władzy!

I sam wyłączył jazz za plecami Walentuli.

Walentula odwrócił się, jak oparzony:

— Kto wam pozwolił?

Nachmurzył się i starał się mieć groźny wygląd.

Swobodna teraz, żywa melodia siedemnastej sonaty połała się czystą strugą, scierając się już tylko z brutalną pieśnią z kąta.

Rubin rozluźnił się cały, w jego twarzy widać było tylko spokorniałe, czarne oczy i brodę z okruciami ciasta.

— Inżynierze Priancykow! Pan wciąż jeszcze powołuje się na kartę atlantycką? Sporządził pan już testament? Komu pan zapisał swoje nocne papucie?

Twarz Priancykowa przybrała nagle poważny wyraz. Spojrzał bez gniewu Rubinowi w oczy i zapytał serio:

— A bo co, do diabła? Mam chyba prawo się wściekać. Przecież przynajmniej w ciupie powinna być wolność!

Zawołał go któryś z montażystów i Walenty odszedł przybity.

Rubin bezszelestnie usiadł na swoim krześle, plecami dotykał pleców Gleba i przygotował się do słuchania, ale kojąco-falująca melodia nagle się urwała, jak przemówienie ucięte wpół słowa — taki był skromny, nieefektowny koniec siedemnastej sonaty.

Rubin zaklął po szewsku, ale tak, że tylko Gleb mógł słyszeć.

— Przeliteruj, nie słyszę — powiedział Gleb, wciąż odwrócony plecami do Rubina.

— Zawsze ten pech — powiedział chrypliwie Rubin, też się nie odwracając. — Masz, przegapiłem sonatę... Nigdy jej nie słyszałem.

— Bo żyjesz bez planu, ile razy ci do łba to pakuję! — odparł mu przyjaciel. Dopiero co był ożywiony, kiedy klasyfikował głos Priancykowa, a teraz znów stał się smutny i ociężały. — A sonata bardzo dobra. Dlaczego nie ma nazwy, jak te inne? „Migotliwa” — nie pasuje? Wszystko w niej miga — zło i dobro, smutek i radość, jak w życiu. I — nie ma zakończenia, jak w życiu. Mogłaby się tak nazywać — „jak w życiu”. Sonata *ut in vita*... Gdzieś był?

— U Niemców. Uczciłem Boże Narodzenie — uśmiechnął się Rubin.

Rozmawiali nie patrząc na siebie, zetknięci plecami.

— Chłopak zuch. — Gleb zamyślił się. — Podoba mi się twój stosunek do nich. Godzinami uczysz tego Maksa po rosyjsku. A przecież miałbyś powody, żeby ich nienawidzić.

— Nienawidzić? Nie. Ale uczucie, jakie dawniej dla nich miałem, dziś, rzecz jasna, przygasło. Weźmy choćby tego bezpartyjnego Maksa — czy nawet on nie dzieli jakoś odpowiedzialności z oprawcami? Przecież — nie próbował im przeszkadzać?

— No, tak jak my tu z tobą nie przeszkadzamy w robocie ani Abakumowowi, ani Myszkiniowi-Szyszkiniowi...

— Słuchaj, Gleb, koniec końców jestem Żydem nie bardziej, niż Rosjaninem? I nie bardziej Rosjaninem, niż obywatelem świata?

— Pięknieś to powiedział. Obywatel świata! — to brzmi czysto, nie ma krwi na tym słowie.

— To znaczy — kosmopolita. Mieli rację, że nas tu wsadzili.

— A pewno, że mieli. Chociaż ty cały czas wykazujesz Sądowi Najwyższemu, że nie mieli.

Speaker z parapetu zapowiedział za pół minuty „Biuletyn współzawodnictwa przemysłowego”.

Gleb Nierżyn przez te pół minuty zdążył z wyrachowaną powolnością podnieść dłoń do odbiornika i przekręcić gałkę wyłącznika, nie pozwalając speakerowi nawet chrząknąć. Znużona jego twarz już poszarzała.

A Priancykow wziął się z zapałem do kolejnego problemu. Wyliczając parametry nowego wzmacniacza śpiewał głośno i bez-trosko:

„Boogie-woogie, boogie-woogie,
Samba! Samba!”

SPOKOJNE ŻYCIE

Nierżyn był rówieśnikiem Priancykowa, ale wyglądał starzej. Chociaż jego płowe włosy, trochę opadające na skronie, jeszcze nie przerzedziły się ani nie posiwiały, ale na pociągłej twarzy już znaczyły się liczne, głębokie zmarszczki — całe wianki zmarszczek koło oczu, koło ust i poprzeczne bruzdy na czole. Wskutek braku świeżego powietrza, cerę miał ziemistą. Szczególnie zaś go postarzała pewna oszczędność w ruchach — ta przemyślna nieruchawość, którą sama natura broni niknących w obozie sił aresztanta. To prawda, że w bardziej liberalnych warunkach *szaraszki*, z mięsnym jedzeniem i bez wyczerpującej resztki sił pracy fizycznej — nie było powodu do oszczędzania się przy każdym ruchu, ale Nierżyn starał się w trakcie tej — jak uważał — czasowej przerwy więziennej — wyćwiczyć i przyswoić sobie raz na zawsze tę zasadę oszczędnej gospodarki siłami.

Na dużym biurku Nierżyna były teraz ustawione prawdziwe barykady z książek i skoroszytów, mały zaś kawałek wolnego miejsca pośrodku był z kolei zapchany teczkami, plikami maszynopisów, książkami, obcymi i krajowymi czasopismami, wszystkie były pootwierane. Gdyby tu wszedł ktoś nie żywiący podejrzeń, mógłby pomyśleć, że ma przed sobą zastygły na chwilę orkan myśli badawczej.

A tymczasem wszystko to były czary-mary.

Nierżyn wieczorami puszczał zasłonę dymną na wypadek nagłej wizyty nadzorców.

W istocie zaś wcale nie widział tego, co przed nim leżało. Odsunął jasną, jedwabną firankę i patrzył na szyby czarnego okna. Za głębiami nocnych przestrzeni zaczynały się wielkie i różnobarwne ognie Moskwy i całe miasto, niewidoczne za

pagórem, biło w niebo niezmierzonym słupem bladego, rozproszonego światła barwiąc nieboskłon ciemnoburym tonem.

Specjalne krzesło Nierżyna — ze sprężynującym oparciem, wygodnie uginającym się przy każdym ruchu pleców, i jego specjalny stół z żebrowanymi, zasuwanymi żaluzjami, jakich się u nas nie robi, i wygodne miejsce przy oknie na południe — dla człowieka zorientowanego w dziejach Mawrińskiej *szaraszki* wszystko to było dowodem, że Nierżyn jest jednym z jej założycieli.

Szaraszka nosiła nazwę Mawrińskiej od wsi Mawrino, niegdyś tu istniejącej, ale od dawna już włączonej do obszaru miasta. Założono ją przed jakimiś trzema laty, pewnego lipcowego wieczoru. Do starego, ziemiańskiego, podmoskiewskiego dworu, zawczasu ogrodzonego drutem kolczastym przywieziono półtorej setki zeków, powyciąganych z obozów. Ten okres, zwany teraz w *szaraszce* *kryłowskim*, był wspominany później niemal jak wiek arkadyjski. Można było wtedy wieczorami samemu spacerować po *zonie*, wylegiwać się na wilgotnej od rosy trawie, nie koszonej — wbrew przepisom (trawę należy kosić do goła, żeby zeki nie podpełzali do drutów) i gapić się dowoli — już to na nieśmiertelne gwiazdy, już to na zwykłego śmiertelnika, starszego sierżanta MWD Żwakuna, jak się poci, kradnąc w czasie nocnego dyżuru belki przeznaczone na remont dworu i jak przetacza je pod drutami, żeby mieć czym palić w domu.

Szaraszka jeszcze wtedy nie zdawała sobie sprawy, że pisane są jej badania naukowe i zajęta była rozpakowywaniem licznych skrzyń, które tu zwieziono dwoma pociągami: wyłuskiwała co wygodniejsze krzesła i stoły, sortowała przestarzałą i potłuczoną przy transporcie aparaturę telefoniczną, ultra-krótkofalową, akustyczną, konstatowała, że najlepsze aparaty i najnowszą dokumentację Niemcy zdążyli rozszabrować albo zniszczyć, podczas gdy kapitan MWD, wysłany dla przetransportowania tych zakładów, dobry specjalista od mebli, ale nie — od radia i języka niemieckiego — zajęty był pod Berlinem wyszukiwaniem kolekcji sprzętów do moskiewskich mieszkań zwierzchności i do swojego własnego.

Od tego czasu trawę nieraz już koszone, drzewa na spacerów otwierały się tylko na dany sygnał, *szaraskę* przekazano z resortu Berii do resortu Abakumowa i kazano jej zajmować się problemem tajnej techniki telefonicznej.

Problem ten miano nadzieję rozwiązać w ciągu roku, ale rzecz ciągnęła się już dwa lata, rozrastała się, komplikowała, zahaczała wciąż o nowe kwestie poboczne i tu właśnie, na biurkach Rubina i Nierżyna dojrzała aż do sprawy rozpoznawania

głosów przez telefon, do pytania — co decyduje o specyficznych cechach głosu poszczególnych ludzi?

Nikt, jak się zdaje, nie zajmował się dotąd podobnymi badaniami. W każdym razie, nie udało im się znaleźć niczych prac. Dostali na te badania pół roku, ale sprawa mało co posuwała się naprzód; teraz terminy bardzo już nagliły.

Czuąc to niemiłe ciśnienie zaległości, Rubin poskarżył się, wciąż nie odwracając głowy:

— Jakoś nie mam dziś wcale nastroju do pracy...

— To zadziwiające — burknął Nierzyn — byłeś na wojnie, zdaje się, tylko cztery lata, nie siedzisz nawet pięciu? I już zmęczony? Postaraj się o wczasy na Krymie.

Chwilę milczeli.

Piszesz to s w o j e ? — cicho zapytał Rubin.

— Mhm.

— A kto zajmie się głosami?

— Prawdę mówiąc, liczyłem na ciebie.

— Co za traf! A ja liczyłem na ciebie.

— Nie masz sumienia. Ileś ty pod tą flagą wypisał już sobie książek z Leninki¹? — Przemówienia słynnych obrońców. Wspomnienia adwokata Koní. „Praca aktora nad sobą”. I wreszcie, to już całkiem trzeba nie mieć wstydu, studium o „Księżniczce Turandot”. Jakiż zek w całym GUŁagu² może pochwalić się takimi lekturami?

Rubin złożył grube wargi w ryjek, przez co twarz jego zawsze przybierała wyraz głupawy i śmieszny:

— Dziwne! A z kim to czytałem w czasie pracy te wszystkie książki, nawet tę o księżniczce Turandot? Czy aby nie z tobą?

— Ze mną. Ja bym nawet pracował. Pracowałbym z całym zapamiętaniem. Ale przeszkadzają mi w robocie dwie okoliczności. Po pierwsze, dręczy mnie sprawa posadzek.

— Jakich posadzek?

— Za Kałuską rogatką, dom MWD, półokrągły, z basztą. Nasz obóz budował go w czterdziestym piątym i pracowałem tam, jako podręczny posadzkarza. A dziś się dowiaduję, że Rojzman, jak się okazuje, mieszka właśnie w tym domu. I zaczęło mnie dręczyć, no, wręcz sumienie twórcze, albo, jeśli wolisz, kwestia prestiżu! — czy skrzypią tam te moje podłogi, czy nie skrzypią? Bo jeżeli skrzypią — to znaczy — tandetna robota! A ja tu nic już nie mogę poradzić!

1. Biblioteka Leninowska w Moskwie, największy księgozbiór publiczny.

2. GUŁag — *Głównoje Uprawlenije Łagieriej* — Centralny Zarząd Obozów.

— Tak, to może stać się koszmarem.

— A widzisz. I po drugie: czy to nie świństwo pracować tu w sobotni wieczór, jeżeli człowiek zdaje sobie sprawę, że w niedzielę będą mieć wychodne tylko wolniaki?

Rubin westchnął.

— Już w tej chwili faceci rozpełzli się po różnych rozrywkowych instytucjach. Może to nie zwykłe chamstwo?

— Ale czy aby właściwe rozrywki sobie wybierają? To jeszcze pytanie, czy więcej mają z życia, niż my.

Więziennym, wymuszonym zwyczajem rozmawiali cicho, tak, że nie słyszała ich nawet Serafima Witaliewna siedząca naprzeciw Nierżyna.

Siedzieli teraz półodwrócen i mieli całą resztę pokoju za plecami, a przed oczyma okno, latarnie z o n y, wieżę strażniczą, której kształt odgadywali w ciemności, rzadkie ognie dalekich szklarni i ćmiący w głębi nieba płowy słup światła nad Moskwą.

Nierżyn, chociaż matematyk, był za pan brat z filologią i od czasu gdy fonetyka mowy rosyjskiej stała się materiałem studiów Mawrińskiego instytutu naukowo-badawczego, Nierżyna stale kojarzono przy pracy z jedynym tu filologiem Rubinem.

Już dwa lata siedzieli ramię w ramię po dwanaście godzin dziennie. Od pierwszej zaraz chwili wyjaśniło się, że obaj są frontowcami, że razem byli na Północno-Zachodnim froncie i razem na Białoruskim i mieli obaj „mały gentlemański komplecik” orderów, że aresztowani byli obydwaj w tym samym miesiącu i przez ten sam oddział SMIERSZ³ — i obydwaj na podstawie tego samego ogólnego (to znaczy — nie związanego z cenzusem wieku, wykształcenia, majątku, ani z dostępem do zasobów materiałowych) dziesiątego punktu⁴ — oberwali tak samo po dziesiątaku (zresztą wszyscy dostawali tyleż samo).

Różnica wieku między nimi wynosiła tylko sześć lat, a ich rangi różniły się zaledwie o jeden stopień — Nierżyn był kapitanem. Okazało się ponadto, że Nierżyn przed wojną o mały włos nie został słuchaczem docenta Rubina.

Patrzyli jeszcze chwilę w ciemność.

Rubin cmoknął z żalem:

— Jakiś ty jednak ubogi duchem. To mnie martwi.

— A ja nie usiłuję nałapać wszystkiego: mądrego na świecie dużo, tylko dobrego mało.

— No więc masz tu dobrą książkę, poczytaj!

3. SMIERSZ — skrót od *śmierć szpionom* — kontrwywiad wojskowy.

4. Art. 58, § 10 KK RSFSR.

— Hemingwaya? Znów o biednych, skołowaciałych bykach?
— Nie.
— Więc o zaszczutych lwach?
— Ależ nie!
— Słuchaj, nie mogę się w ludziach połapać, po co mi jeszcze byki?

— Powinieneś ją przeczytać!
— Nic już nie powinienem, zapamiętaj sobie! Ze wszystkimi powinnościami jestem kwita na blank, jak powiada Spiridon.

— Marny człeczyno! To jedna z najlepszych książek dwudziestego wieku!

— I co, naprawdę znajdę w niej to, co wszyscy powinni zrozumieć? On faktycznie się połapał, w którym miejscu ludzie zeszli z drogi?

— Mądry, zacny, bezgranicznie rzetelny pisarz, żołnierz, myśliwy, rybak, pijak i kobieciarz, mocno i szczerze nie znoszący żadnego fałszu, wytrwale dążący do prostoty, bardzo ludzki, genialnie naiwny...

— A idźże do licha — zaśmiał się Nierzyn. — Całkiem uszy mi zamulisz swoim żargonem. Wyżyłem trzydzieści lat bez Hemingwaya, wyżyję jeszcze trochę. To mi Czapka wmawiasz, to Falladę. Już i tak mam życie w kawałkach. Daj mi się o g r a n i c z y ć. Pozwól mi chociaż obrócić się w jakąś stronę.

I pochylił się nad swoim biurkiem.

Rubin westchnął. W dalszym ciągu nie znajdował w sobie nastroju do pracy.

Zaczął przyglądać się mapie Chin opartej przed nim o półeczkę na biurku. Mapę tę wyciął kiedyś z gazety i nakleił na karton. Przez cały zeszły rok czerwonym ołówkiem zaznaczał na niej postępy wojsk komunistycznych, a teraz, po ostatecznym zwycięstwie, zostawił ją na dawnym miejscu, żeby w chwilach zmęczenia i depresji podtrzymywała go na duchu.

Ale dziś gryzł Rubina smutek natrętny i nawet czerwony masyw zwycięskich Chin nie dawał rady zgryzocie.

A Nierzyn, od czasu do czasu ssąc w zamyśleniu ostry koniec plastikowej obsadki, drobniutkim pismem, jakby wcale nie stalówką, ale czubkiem igły, pisał na małym karteluszk, tonącym wśród urzędowego kamuflażu.

„U Marksa, jak pamiętam, jest uwaga (odszukać!) że, być może, zwycięski proletariat zdoła obejść się także bez wyłączenia zamożnego chłopstwa. To znaczy, że Marks widział jakieś ekonomiczne możliwości włączenia całego chłopstwa w ramy

nowego układu społecznego. *Pachan*⁵ w 1929 roku, rzecz jasna, nie szukał tych dróg. A czy w ogóle szukał kiedy czegoś, co wymaga mądrości i zręczności? Na co rzeźnikowi studia medyczne?..."

Duża izba Pracowni Akustyki spokojnie oddychała swoim powszednim życiem. Warczał silniczek elektro-ślusarza. Rozlegały się rozkazy: „Włączyć!”, „Wyłączyć!”. Nadawano przez radio jakąś kolejną sentymentalną bzdurę. Ktoś domagał się głośno lampy radiowej „sześć-ka-siedem”.

Wykorzystując chwile, gdy nikt na nią nie patrzył, Serafima Witaliewna bacznie przyglądała się Nierżynowi, który wciąż notował coś mikroskopijnym piśmem na karteluszkach.

Oficer operacyjny⁶, major Szykin, kazał jej mieć na oku tego więźnia.

5. Chodzi o Stalina. Wyras z gwary złodziejskiej.

6. *Operupołnomoczennyj* — pełnomocnik MWD, oficer operacyjny.

VI

KOBIECE SERCE

Tak drobna, że trudno było nie nazywać jej zdrobniale — Simoczka, Serafima Witaliewna, nosząca dziś batystową bluzkę i opatulona ciepłą chustką, była lejtnantem MWD.

Wszyscy wolni pracownicy w tym budynku byli oficerami MWD.

Wolni pracownicy, zgodnie ze stalinowską konstytucją — mieli najrozmaitsze prawa, a w ich liczbie — prawo do pracy. Jednakże prawo to ograniczone było do ośmiu godzin dziennie, a nadto praca ich nie polegała na pomnażaniu dóbr, lecz sprowadzała się do pilnowania zeków. Zeki zaś, pozbawieni wszystkich innych praw, mieli za to o wiele szersze prawo do pracy — przez dwanaście godzin na dobę. Tę różnicę, z dodatkiem przerwy na kolację — razem od szóstej wieczorem do jedenastej w nocy — wolni pracownicy każdego laboratorium musieli po kolei nadrabiać dyżurami, nadzorując pracę zeków.

Dziś była więc kolej Simoczki. W Pracowni Akustyki ta ma lutka, przypominająca ptaszka dziewczyna była teraz jedyną władzą i jedyną zwierzchnością.

Wedle instrukcji, powinna była baczyć, aby więźniowie pracowali i nie próżnowali, aby nie wykorzystywali miejsca pracy do produkcji broni, albo dla podkopu, aby też — korzystając z obfitości części radiowych — nie nawiązali przypadkiem dwustronnej łączności krótkofalowej z Białym Domem. Za dziesięć jedenasta powinna była też przejąć od nich całą supertajną dokumentację, zamknąć w kasie ogniotrwałej i opieczetować drzwi pracowni.

Nie minęło jeszcze pół roku od chwili, gdy Simoczka, po ukończeniu instytutu łączności, została — dzięki swojej kryształowej ankiecie personalnej — skierowana do tego specjalnego,

tajnego, zaszyfrowanego instytutu naukowo-badawczego, który przez więźniów nazywany był w ich zuchwałym i prostackim języku *szaraszka*. Skierowanym tu wolniakom od razu dawano oficerskie szlify, wypłacano gażę wyższą, niż należało się zwykłemu inżynierowi, nadto jeszcze dodatek za stopień wojskowy, i jeszcze na sorty mundurowe — a w zasadzie wymagano za to tylko wierności i czujności.

To, że nie żądano od nich orientacji fachowej było Śimoczce na rękę: nie tylko ona, lecz także liczne jej koleżanki nie wyniosły z instytutu fachowych umiejętności. Wiele było przyczyn tego stanu rzeczy. Dziewczęta kończąc już szkołę nie bardzo wyznawały się na matematyce i fizyce (jeszcze w starszych klasach przewąchały, że dyrektor na radach pedagogicznych besztuje nauczycieli za dwóje i że maturę zawsze dadzą, choćby się człowiek wcale nie uczył). A w instytucie, kiedy łapały wreszcie minutkę czasu i siadały do zadań — przedzierały się przez tę matematykę i radiotechnikę, jak przez nieprzebyte, mroczny bór. Ale — najczęściej — nie miały po prostu czasu. Każdej jesieni na cały miesiąc, albo i więcej — studentów zapędzano do kołchozów na kopanie kartofli i wskutek tego później, przez cały rok musieli słuchać wykładów po osiem i po dziesięć godzin dziennie, a potem nie było już czasu na odcyfrowanie notatek. Każdego poniedziałku wieczorami były zajęcia z nauk politycznych i przynajmniej raz w tygodniu jakieś zebranie, to już obowiązkowo; trzeba też było znaleźć czas na pracę społeczną, na gazetkę ścienną, na występy patronackie: a także i w domu pomóc, i do sklepów pójść, i umyć się, i odziać. A kino? a teatr? a klub? Jeżeli podczas studiów człowiek sobie nie poskacze, nie potańczy — to kiedy? W rezultacie Śimoczka i jej koleżanki zaopatrywały się przed egzaminami w większą ilość ściągaczek, chowały je w niedostępne dla nauczycieli zakamarki damskiej odzieży, a na egzaminie wyciągały co trzeba, rozkładały na pulpicie i mówiły, że to brudnopis. Egzaminatorzy mogli, oczywiście, z pomocą paru dodatkowych pytań zdemaskować brak wiadomości u swoich słuchaczek, ale sami byli do granic wytrzymałości obciążeni posiedzeniami, zebraniem, różnorakimi planami i formularzami sprawozdań dla dziekanatu i dla rektora, powtarzać więc egzamin było im zbyt trudno, a jeszcze karcono ich za brak postępów na kursie jak za braki produkcyjne, opierając się na sławetnym aforyzmie, że nie ma złych uczniów, są tylko źli nauczyciele. Dlatego też egzaminatorzy nie usiłowali wcale konfundować egzaminowanych, przeciwnie, starali się zaliczyć egzamin jak najpomyślniej i jak najszybciej.

Pod koniec studiów Śimoczka i jej koleżanki przekonały się

z zalem, że swojego fachu nie polubiły i nawet zdążyły go sobie uprzykrzyć, ale było już za późno. Símoczka z drzeniem myślała — jak to będzie przy pracy?

Ale oto trafiła do Mawrina. Tu najbardziej spodobało jej się to, że nie kazano jej robić żadnych samodzielnych badań. Ale nie tylko takiemu maleństwu, jak ona, straszno było przekroczyć z onę tego samotnego, podmoskiewskiego zamku, gdzie dobrana straż i sztab nadzorców pilnowali grona szczególnie niebezpiecznych więźniów stanu.

Instruowano je razem — wszystkie dziesięć absolwentek Instytutu Łączności. Wy tłumaczono im, że otrzymały skierowanie — nie to, żeby na front, ale wręcz do gniazda węzów, gdzie byle nieostrożny ruch grozi zagładą. Powiedziano im, że napotkają tu najgorsze kanale, ludzi niegodnych tej mowy rosyjskiej, którą władają, niestety. Ostrzeżono ich, że ludzie ci są szczególnie niebezpieczni dlatego, iż nie pokazują otwarcie swoich wilczych zębów, lecz noszą stale fałszywą maskę uprzejmości i dobrego wychowania, jeśli zaś zacząć wypytывать o ich przestępstwa (czego kategorycznie się zabrania!) — to postarają się kłamliwymi, zawilými sposobami dowieść, że są niewinnymi ofiarami. Zwrócono im uwagę, że one też, jako komsomołki, nie powinny okazywać tym gadom całej swojej nienawiści, ale — ze swej strony — trzymać się formalnych nakazów grzeczności, nigdy jednak nie wdając się w prywatne rozmowy, nie przyjmując żadnych próśb ani zleceń związanych ze światem zewnętrznym, przy pierwszym zaś wykroczeniu, podejrzeniu o zamiar wykroczenia albo możliwości podejrzenia o zamiar wykroczenia — natychmiast zwierzać się oficerowi operacyjnemu, majorowi Szykinowi.

Major Szykin — czarniawy, niziutki, nadęty, z siwiejącą szczotką włosów, z małutkimi nóżkami obutymi w dziecinnie trzewiki, dał wówczas wyraz takiej myśli: że chociaż on i inni doświadczeni ludzie widzą jak na dłoni całą węzową naturę tych złoczyńców, to jednak wśród takich niedoświadczonych dziewcząt, jak tu obecne, może wszak znaleźć się jedna, w której zadrga współczujące serce i w rezultacie pozwoli na jakieś wykroczenie — na przykład, da do czytania książkę z pozawieżeniowej biblioteki (major nawet nie wspomina tu już o wrzuceniu listu, bo każdy list, niezależnie od niewinnego adresu, właściwie przeznaczony jest dla zagranicznych central szpiegowskich). Major Szykin usilnie prosi dziewczęta będące świadkami takiego nieszczęścia swej przyjaciółki, aby okazały jej koleżeńską pomoc, a mianowicie, by natychmiast zawiadomiły majora Szykina o wypadku.

W zakończeniu zaś pogadanki major nie ukrywał, że bliższy kontakt z więźniami jest prawnie karany, zaś kodeks karny, jak wiadomo, to rzecz rozciągliwa i przewiduje nawet dwadzieścia pięć lat ciężkich robót.

Nie można było sobie bez dreszczu wyobrazić tej beznadziejnej przyszłości, która je czekała. Niektóre z dziewcząt miały aż łzy w oczach. Ale nieufność już została posiana między nimi. I rozchodząc się po instruktazu rozmawiały nie o tym, co usłyszały, ale na tematy obojętne.

Ledwie dysząc weszła tedy Símoczka w ślad za inżynierem Rojtmanem do Pracowni Akustyki i nawet w pierwszej chwili omal nie zmrużyła powiek — jak przy skoku z góry.

Minęło już od tego czasu z pół roku — i coś dziwnego zaszło z Símoczką. Nie, wcale nie zachwiała się w niej wiara w krecią robotę imperialistów. Z tą samą łatwością zakładała że więźniowie pracujący w sąsiednich izbach są krwawymi zbrodniarzami. Ale spotykając się codziennie z tuzinem zeków z Akustyki, daremnie usiłowała w tych ludziach — tak mrocznie zobojętniałych na sprawy dziejące się na wolności, na własny los, na swoje wyroki po dziesięć lat i po ćwierć wieku, w tych doktorach, inżynierach i monterach zajętych od rana do nocy wyłącznie pracą obcą im, niepotrzebną, nie przynoszącą ani grosza zarobku, ani kruszyny sławy — rozpoznać tych bezlitosnych bandytów, których tak łatwo poznawał w kinie widz, a tak zrecznie wyłapywał kontrwywiad.

Símoczka nie czuła lęku przed nimi. Nie mogła też znaleźć w sobie nienawiści do nich. Ludzie ci budzili w niej jedynie prawdziwy szacunek swoją wszechstronną wiedzą, swoją wytrzymałością w znoszeniu nieszczęścia. I chociaż obowiązek głośno się tego domagał, chociaż patriotyzm twardo nakazywał donosić oficerowi operacyjnemu o każdym wykroczeniu i wyczynie aresztowanych — nie wiadomo czemu zaczęło się to wydawać Símoczce czymś podłym i niemożliwym do spełnienia.

Jeszcze bardziej niemożliwe to było w stosunku do najbliższego sąsiada i współpracownika — Gleba Nierżyna, siedzącego naprzeciw niej w odległości dwóch biurkowych blatów.

Cały ten czas Símoczka ściśle współpracowała z nim, oddana pod jego dowództwo dla przeprowadzenia badań artykułacyjnych. W Mawrińskiej szaraszce co i rusz trzeba było robić oceny słyszalności na rozmaitych liniach telefonicznych. Mimo sprawności przyborów mierniczych, nie było jeszcze takiego, który wskazywałby stopień słyszalności po prostu strzałką. Tylko głos lektora, recytującego poszczególne głoski, słowa czy zdania — i uszy słuchaczy, odbierające tekst na końcu badanej linii

mogły wysnuć miernik z odsetka omyłek. Takie badania nosiły nazwę artykulacyjnych.

Nierżyn zajął się matematyczną organizacją tych badań. Rozwijają się pomyślnie i Nierżyn zdobył się nawet na trzytomową monografię o ich metodyce. Kiedy gromadziło się dużo roboty naraz, Nierżyn z punktu orientował się w stopniu pilności rozmaitych działań, podejmował decyzje z całą pewnością siebie, twarz jego stawała się wtedy młodsza i Śimoczka, znająca wojnę z filmów, w takich chwilach wyobrażała sobie jak to Nierżyn w mundurze kapitana, wśród dymu eksplozji, z rozwianym płowym włosom rozkazuje baterii: „Ognia!”

Ale cała ta sprawność potrzebna była Nierżynowi po to, by — odwaliwszy powierzchowną część pracy — wymigać się od samego działania. Tak też powiedział pewnego dnia do Śimoczki: „Działam tak czynnie właśnie dlatego, że nienawidzę działania”. „A co pan lubi?” — zapytała go nieśmiało. „Rozmyślania” — odparł. I rzeczywiście, po kolejnym odpływie fali zajęć — Nierżyn godzinami siedział nie zmieniając prawie pozycji, twarz mu wtedy szarzała, bruzdziły ją zmarszczki. Gdzie wtedy znikała jego pewność siebie? Stawał się nieruchawy i bezwolny. Namyslał się długo, by wreszcie zanotować kilka zdań, dodając coś do drobniutkich, szpileczkowych jakby notatek, które Śimoczka dziś też wyraźnie widziała na jego stole wśród natłoku technicznych kompendiów i artykułów, zauważyła nawet, że wtykał je gdzieś w głąb lewej szafki swego biurka, jakby wcale nie do szuflady. Śimoczka umierała z ciekawości, by dowiedzieć się co też on pisze i dla kogo. Nierżyn, sam o tym nie wiedząc, znalazł się w centrum jej współczucia i zachwytu.

Paniński żywot Śimoczki układał się, jak dotąd, bardzo niefortunnie. Nie była ładna: twarz jej specyficznie zbyt długi nos, włosy były nie wiedzieć czemu niezbyt gęste, rosły marnie, zebrane były na karku w chudy węzełek. Wzrostu była nawet nie niskiego, co kobietę może zdobić, ale wprost nikczemnego i sylwetka jej przypominała raczej uczenicę 7-mej klasy, niż dorosłą kobietę. Do tego była jeszcze surowa, nie skłonna do żartów, do pustych zabaw — a to też młodych mężczyzn nie przyciągało. I tak jakoś jej wypadło, że w wieku dwudziestu pięciu lat nikt jeszcze się do niej nie zalecał, nikt nie objął i nikt nie pocałował.

Niedawno, przed jakimś miesiącem, mikrofon w budce zaczął szwankować i Nierżyn zawołał Śimę, by pomogła w naprawie. Weszła ze śrubokrętem w rękę: w głuchej ciasnocie budki, gdzie dwoje ludzi ledwo się mieściło, pochyliła się nad mikrofonem, który już oglądał Nierżyn, i wtedy właśnie, nie zdając sobie z tego sprawy, przytuliła policzek do jego policzka. Przytuliła

i zastygła ze zgrozy — co to teraz będzie? Powinna była przecież się odsunąć — ale bezmyślnie wpatrywała się w mikrofon dalej. I tak ciągnęła się ta długa, najstraszniejsza w życiu chwila — ich policzki płonęły, przytulone — a on ani się ruszył! Potem nagle chwycił ją oburącz za głowę i pocałował w usta. Całe ciało Símoczki przeniknęła radosna słabość. Nie odezwała się w tej chwili ani słowem o komsomole, ani o patriotyzmie, tylko powiedziała:

— Drzwi nie zamknięte!

Lekka, granatowa portiera oddzielała ich od gwaru dnia, od spacerujących, rozprawiających, zdolnych w każdej chwili odsunąć firankę ludzi. Aresztant Nierżyn nie ryzykował niczym, prócz dziesięciu dni karceru — dziewczyna ryzykowała ankietą, karierą, może nawet wolnością, ale nie miała wcale sił, aby oderwać się od rąk obejmujących jej głowę.

Po raz pierwszy w życiu całował ją mężczyzna!

Tak to łańcuch, przemyślnie i przewrotnie spleciony ze stali, pękł tam, gdzie ogniwo ukute miał z kobiecego serca.

VII

ZATRZYMAJ SIĘ, CHWIŁO

— Czyja tam łysina bodzie mnie z tyłu?
— Dziecino, jednak wpadłem w liryczny nastrój. Pogwarzmy sobie.

— Tak w ogóle, to jestem zajęty.

— Zajęty — dobryś!... Czuję, że mnie muli, Glebie. Siedziałem przy tej zaimprovizowanej niemieckiej choince, zacząłem coś mówić o mojej ziemiance na przyczółku, na północ od Pułtuska i masz — front! — stanął przed oczyma — front! i tak żywo, tak cudownie... Słuchaj, wojnę też można wspomnieć dobrym słowem, co?

— Nie wolno sobie na to pozwalać. Etyka taoistów¹ głosi: „Oręż nie jest narzędziem cnoty, lecz zbrodni. Mędrzec odnosi zwycięstwa niechętnie”.

— Cóż słyszę? Ze sceptyka przemieniłeś się w taoistę?

— Nie ma jeszcze decyzji w tej sprawie.

— Z początku przypomniałem sobie swoich najlepszych fryców — jakieśmy to razem układali teksty ulotek. Matka obejmująca dzieci — później jasnowłosa, płacząca Gretchen, to była nasza koronna ulotka z wierszowanym tekstem.

— Pamiętam, wpadła mi w ręce.

— I jakieśmy to cichymi wieczorami wyjeżdżali razem na pozycje z megafonami...

— ...i w przerwach między jednym czułym tangiem a drugim, namawiali walczących jeszcze współbraci, by obrócili lufy przeciw Hitlerowi. Wypełzaliśmy z okopów i też słuchaliśmy z przyjemnością. Ale wasze wezwania były trochę naiwne.

— Niekoniecznie. Wzięliśmy przecież Grudziądz i Elbląg bez jednego wystrzału.

1. Wyznawcy Lao-Tse.

— Ale już w czterdziestym piątym!

— Kropla drąży kamień!... Nie opowiadałem ci o Miłce? Była studentką Instytutu Języków Obcych, skończyła go w 41-ym i od razu posłano ją do naszego oddziału jako tłumaczkę. Nosek trochę zadarty, ostre ruchy.

— Chwileczkę, czy to nie ta co razem z tobą przyjmowała kapitulację twierdzy?

— Aha-ha. Dziewczyna była niesłuchanie ambitna, bardzo lubiła pochwały za dobre wyniki (a żeby kto zganił — broń Boże!) i wnioski na odznaczenia. Pamiętasz, na Północno-Zachodnim, zaraz za jeziorem Łowat', jak iść od Rachlic na Nowe Swiniuchowo, trochę na południe od Podcepczja — jest las, nie?

— Lasów tam dużo. Na tym brzegu Redii, czy na tamtym?

— Na tamtym.

— No, to już wiem.

— Więc po tym właśnie lesie snuliśmy się z nią kiedyś cały dzień. Na dworze była wiosna... Jeszcze nie wiosna! — marzec! — nogi całe w wodzie, buciory ze sztucznej skóry chlupią po kałużach, a głowa pod futrzaną czapką znowu cała mokra z gorąca — i ten odwieczny zapach budzącego się lasu, wiesz. Snuliśmy się z nią jak pierwszy raz zakochani, jak nowożeńcy. Dlaczego to tak bywa, że kiedy kobieta jest ci jeszcze nie znana, to przeżywasz z nią wszystko na nowo od samego początku, pęczniesz, człowieku, jak to pacholę i... co? ... więc las bez końca! Gdzieniedzie dymek z ziemianki, baterijka siedemdziesiątek szóstek na polanie. Staraliśmy się je omijać. Takeśmy się wałęsali aż do wieczora — wilgotnego i różowego. Cały dzień mnie tak wodziła. A wieczorem... znaleźliśmy pusty bunkierek...

— Pamiętasz? Właśnie. Przez tamten rok sporo takich na-budowano, jakby nory zwierzęce.

— Bo tam grunt mokry, nie można iść w głąb.

— Ano właśnie. Wnętrze wymoszczone świerczyną, belki pachną smolście, kopeć od ognia — bo pieców nie było, więc palili tak, po prostu. Tylko w dachu dziura. No i, oczywiście, ciemności... Póki nasz ogienek się palił — cienie na belkach... Glebie! To jest życie, co?!

— To już stwierdzone: w opowieściach więziennych jest tak, że jeżeli mowa o jakiejś pannie, to wszyscy słuchacze, ze mną włącznie, gorąco sobie życzą, żeby w końcu opowieści ona nie była już panną. I w tym właśnie zeki widzą najbardziej interesujący punkt opowiadania. Jest w tym tęsknota do powszechnej sprawiedliwości, nie uważasz? Niewidomy szuka u widzących

potwierdzenia, że niebo dalej jest niebieskie, a trawa zielona. Zek musi wierzyć, że teoretycznie zostały jeszcze na świecie żywe kobiety i że oddają się one szczęściarzom... Patrzcie go, jaki mu się wieczór przypomniał! — z kochanką, w smolistym bunkrze, i jeszcze w takiej chwili, kiedy nie strzelali! Wojna!... A twoja żona tego samego wieczoru zdobywała w sklepie na cukrowe kartki pozlepiane, sprasowane razem z papierkami karmelki i wyliczała, jak je porozdzielać między córki na trzydzieści dni!... W Butyrkach, pod siedemdziesiątą trzecią celą...

— ...na trzecim piętrze, w tym wąskim korytarzu...

— ...właśnie! — młody moskiewski historyk, profesor Razwodowski, dopiero co wsadzony, człowiek, który rzecz jasna, nigdy prochu nie wachał, bardzo rozumnie, z całym zapalem i przekonaniem, przy pomocy dowodów społecznych, etycznych i historycznych dowodził, że wojna ma też swoje dobre strony. A u nas pod celą byli chłopaki-straceńcy, natłukli się już po wszystkich frontach, przeszli przez wszystkie armie — no i o mało nie zagryźli tego profesora, wściekli się wprost — że wojna nie ma w sobie nic dobrego, ani krztyny! Słuchałem i milczałem. Razwodowski przytaczał mocne dowody, chwilami wydawało mi się, że ma rację, a też moje wspomnienia podpowiadały mi to i owo nie najgorsze — ale nie ośmielałem się oponować żołnierzom: to coś niecoś, w czym zgadzałem się z profesorem-cywilem, było właśnie tym czymś, co różniło mnie, artylerzystę Odvodu Dowództwa Naczelnego od piechura. Stary, zrozum, z ciebie był na froncie — prócz tam może tych miast, coś je zdobywał — właściwie migacz, skoroś nie miał swojego szeregu, poza który nie wolno było ci się cofnąć — i to za cenę własnej głowy! Ja też byłem po części migaczem, skoro nie szedłem na bagnety i nie podrywałem ludzi do ataku. I oto w tej naszej ludzkiej pamięci ginie wszystko, co okropne...

— Toć ja nic nie mówię...

— ...a to, co miłe, wypływa na wierzch. Ale od jednego takiego dnia, kiedy „Junkersy” nurkujące omal mnie na kawałki nie poszatkowały pod Orłem — jakoś w żaden sposób nie mogę dokołatać się w sobie satysfakcji. Nie, stary, wojna tam dobra, gdzie nas nie ma!

— Toć ja nie mówię, że dobra, tylko, że wspomnieć miło.

— W ten sposób łagry też może będziemy kiedyś wspominać mile. I etapy.

— Etapy? Gorkowski? Kirowski? Nieeee...

— Tak mówisz, bo ci tam administracja walizkę zachachmęciła i nie możesz zdobyć się na obiektywizm. A znów inny, również tam, był grubą rybą — magazynierem, albo łaziebnym

i żył sobie na kocia łapę z szalasówką — no i teraz gotów wszystkim opowiadać, że nie ma nic lepszego, niż zbórniak. I w ogóle całe pojęcie szczęścia — to umowność, zmyślenie.

— Przemądra etymologia w samym tym słowie zawarła aluzję do ulotności i nietrwałości pojęcia. Słowo *szczęście*, rosyjskie *szczęście*, pochodzi od *sie-czastie*, to znaczy coś, co dotyczy tylko *siego czasu*, tej chwili, tego mgnienia.

— Nie, panie magistrze, bardzo przepraszam! Proszę poczytać słownik Włodzimierza Dala. „Szczęście” wywodzi się od formy *z-części*, to znaczy — komu tam jaka część, czyli dola przypadnie, kto sobie jaką częśćkę zdąży urwać. Przemądra etymologia daje nam bardzo przyjemne wyjaśnienie pojęcia szczęścia.

— Chwileczkę! Toć moja interpretacja też jest z Dala!

— Dziwne. Moja też.

— Warto by zbadać jak jest w innych językach. Zanotuję!

— Maniak!

— Od głupiszona słyszę! Wiesz, moglibyśmy się trochę zająć porównawczym językoznawstwem!

— Wszystko pochodzi od ręki? Znowu ten Marr?

— No, pies z tobą tańczył, słuchaj — czytałeś drugą część „Fausta”?

— Zapytaj — czy czytałem pierwszą? Wszyscy mówią, że genialne, tylko nikt nie czyta. Albo studiują go według opery Gounod’a.

— Nie, część pierwsza jest łatwa, co znowu!

*„Cóż mam wam rzec o słońcu i wszechświecie, —
Cierpienie ludzkie wszystko mi przestania...”*

— To jakoś do mnie nie przemawia!

— Albo to:

*„Co nam potrzebne — to i niewiadome,
A co wiadome — to się nie zda na nic”.*

— Dobrze!

— Druga część jest przyciężka, to prawda. Ale za to co za głębia myśli! — wiesz przecież na czym polegała umowa Fausta z Mefistofelem — że tylko wtedy Mefistofeles dostanie duszę Fausta, kiedy ten zawoła: „Zatrzymaj się chwilo, jesteś piękna!” Ale cokolwiek Mefistofeles Faustowi serwuje — przywrócenie młodości, miłość Małgorzaty, łatwe zwycięstwo nad rywalem,

olbrzymie bogactwo, przeniknięcie zagadek bytu — nic z tych rzeczy nie wyrывa z piersi Fausta wyczekiwanego okrzyku. Mijają długie lata, Mefistofeles sam już ma po dziurki w nosie uganiania się za tym nienasyceńcem, widzi, że niesposób uczynić człowieka zupełnie szczęśliwym i chce już wyrzec się swego bezpłodnego zamiaru. Faust, powtórnie już postarzały, oślepy, każe Mefistofelesowi sprowadzić tysiące robotników i zabrać się do kopania kanałów, by osuszyć bagna. W jego mózgu, który dwakroć już pogrążył się w starość i który cyniczny Mefistofeles uważa za przyćmiony i szalony, błysnęła wielka myśl — Faust chce uszczęśliwić ludzkość. Na zew Mefistofelesa zjawiają się sługi piekieł — lemury i zaczynają kopać Faustowi mogiłę. Mefistofeles chce go po prostu pogrzebać, żeby raz na zawsze mieć spokój, już rezygnując z jego duszy. Faust słyszy łomot tysięcy kilofów. Co to? — pyta. Mefistofelesa nie opuszcza duch ironii. Roztacza przed Faustem kłamliwy obraz prac nad osuszaniem moczarów. Nasza krytyka lubi podkreślać socjalno-optimistyczny sens tej sceny: że niby widząc, iż przyniósł ludzkości dobro i w tym dopiero upatrując szczyt szczęścia, Faust woła:

„Zatrzymaj więc się, chwilo! Jesteś piękna!”

Ale jak się przyjrzeć bliżej — to czy Goethe nie wyśmiał ludzkich wyobrażeń o szczęściu? Przecież w gruncie rzeczy nie ma tu żadnego dobra i żadnej tam ludzkości. Tak długo wyczekiwanie, sakramentalne zdanie Faust wykrzykuje o krok od mogiły, oszukany, a może naprawdę już oszalały? — i lemury nie zwlekając spychają go do jamy. Więc co to jest — hymn na cześć szczęścia, czy drwina z niego?

— Ah, Lewku, właśnie takim najbardziej cię lubię — kiedy rozprawiasz sobie z całego serca, kiedy mądrość przez ciebie przemawia i kiedy nie przyklejasz tych swoich złośliwych etykietek!

— Ty żałosny epigonie Pirrona! Wiedziałem, czym ci sprawić przyjemność, słuchaj dalej. Wychodząc z tego urywka z „Fausta”, na jednym z moich przedwojennych wykładów — diablo były śmiałe, jak na tamte czasy! — rozwinąłem dosyć elegijną myśl, że szczęścia nie ma, że jest ono albo nieosiągalne, albo iluzoryczne.

I oto podają mi nagle karteluszek wyrwany z miniaturowego notesika w drobną kratkę.

„A ja się zakochałam — i jestem szczęśliwa! Co też na to odpowiecie, towarzyszu?”

— I coś odpowiedział?...

— A jaka jest na to odpowiedź?...

VIII

PIĄTY ROK W KIERACIE

Tak byli zajęci rozmową, że wcale nie słyszeli laboratoryjnych hałasów i natrętnego radia, grającego w kącie.

Na swoim obrotowym krześle Nierzyn znów odwrócił się do pracowni plecami, Rubin zaś przechylił się na bok, kładąc brodę na skrzyżowanych na oparciu fotela ramionach.

Nierzyn mówił z uczuciem, tak jak się zwierza myśli dawno hołubione:

— Kiedy dawniej, na wolności, czytywałem w książkach co jacyś mędracy myśleli o sensie życia, albo o tym, czym jest szczęście — nie bardzo te miejsca rozumiałem. Odnosiłem się zresztą do nich z całym uznaniem: myśliciele z urzędu są po to, aby myśleć! Ale sens życia? Żyjemy sobie — i w tym jest cały sens. Szczęście? Kiedy człowiek czuje się dobrze, ale to bardzo dobrze — to znaczy, że osiągnął szczęście, wiadomo... Niech będzie błogosławione więzienie!! Pozwoliło mi zebrać myśli. Żeby zrozumieć, czym jest w istocie szczęście, zastanówmy się naprzód, jeśli pozwolisz, nad pojęciem sytości. Przypomnij sobie Łubiankę albo kontrwywiad. Przypomnij sobie tę rzadziuchną, półwodnistą — bez jednej gwiazdki tłuszczu! — jęczmienną albo owsianą kaszkę! Albo to ją człowiek je? Albo się to ją spożywa? — przystępuje się do niej jak do komunii, wchłania się ją jak jakąś praną jogów! Je ją człowiek powoli, je czubkiem drewnianej łyżki, je, oddając się całkiem procesowi jedzenia, kontemplacji tego procesu — ona zaś rozchodzi się, jak nektar po ciele, człowiek drży z rozkoszy, która mu się objawiła w tych rozgotowanych krupkach i w mętnej cieczy która je łączy. Tak oto, właściwie niczym się nie żywiąc — żyjesz sześć miesięcy, albo i dwanaście! Czy można z tym porównać chamskie żarcie schabowych kotletów?

Rubin nie lubił i nie umiał długo słuchać. Każdą rozmowę pojmował w ten sposób (zresztą na to zwykle wychodziło), że właśnie on powołany był do roztaczania przed przyjaciółmi skarbów ducha, które dzięki swojej chłonności zdobył. Teraz też chciał już przerwać, ale Nierzyn wszystkimi pięcioma palcami wpił się w kombinezon na jego piersi i szarpał, nie dając dojść do słowa:

— W ten sposób na twojej nieszczęsnej skórze i na biednych naszych towarzyszach uczymy się poznawać istotę sytości. Sytość wcale nie zależy od tego ile, ale od tego jak jemy! To samo ze szczęściem, to samo, Lewku, ono wcale nie zależy od ilości dóbr ziemskich, któreśmy zdołali sobie wywojować. Zależy jedynie od naszego stosunku do nich! Tak o tym mówi jeszcze etyka taoistów: „Kto potrafi zadowalać się małym, ten zawsze będzie zadowolony”.

— Eklektyk z ciebie. Zewsząd wyrywasz po kolorowym piórku i wszystkie wplatasz sobie w ogon.

Nierzyn ostro pokręcił głową i dłonią. Włosy opadły mu na czoło: spór wydał mu się interesujący, wyglądał jak osiemnastolatek.

— Nie gmatwaj, Lewku, to całkiem co innego! Wyciągam wnioski nie z filozoficznych lektur, tylko z ludzkich biografii, co się ich człowiek nasłuchiwał po więzieniach. Kiedy zaś później mam formułować swoje własne wnioski, to po co mam jeszcze raz odkrywać Amerykę? Na planecie filozofii wszystkie lądy dawno już są odkryte! Wertuję starożytnych mędrców i odnajduję u nich moje myśli najświeższej daty. Nie przerywaj! Chciałem ci dać przykład: w obozie, a tym bardziej tu, w *szaraszce*, niech zdarzy się taki cud: spokojna niedziela, bez harówki; załóżmy, że przedtem człowiekowi dusza odtaje i trochę się człek odpręży; nie na tyle, żeby coś zmieniło się na lepsze w mojej sytuacji, tyle tylko żeby jarzmo więzienne wydało się trochę lżejsze; przyjmijmy jeszcze, że miałem z kimś serdeczną rozmowę albo przeczytałem sobie stroniczkę rzetelnie napisaną — i oto już czuję się jak na grzbiecie fali! Prawdziwego życia nie miałem już od tylu lat, ale nie pamiętam o tym! Jestem w stanie nieważkości, szybuję w powietrzu, jestem niematerialny! Leżę tam, u siebie, na górnej pryczy, patrzę z bliska na sufit, sufit jest goły, źle pobielony — a ja dygocę aż z radości istnienia! Zasypiam, uskrzydłony błogością. Żaden prezydent, żaden premier nie zasypia tak szczęśliwy z udanej niedzieli!

Rubin wyszczerzył zęby z satysfakcją. W tym grymasie było trochę aprobaty i trochę pobłażania w stosunku do zbłąkanego młodszego przyjaciela.

— A co mówią na ten temat wielkie księgi Wed? — zapytał wysuwając wargi na kształt zabawnego ryjka.

— Co do ksiąg Wed, to nie wiem — zareplikował Nierzyn z przekonaniem — ale za to księgi Sankya mówią: „Ten, kto potrafi rozróżniać — uważa ludzkie szczęście za rodzaj cierpienia”.

— Wykuł na blachę — burknął Rubin z głębi brody. — To Mitiaj tak ci we łbie mać?

— Być może. Idealizm? Metafizyka? Co? Czemu nie przyklejasz swoich etykietek? Ty brodo kudłata! Słuchaj! Szczęście nieustannych zdobyczy, szczęście tryumfального zaspokojenia pożądań, szczęście sukcesów i zupełnej sytości — jest **ci** **er** **pie** **ni** **e** **m**! To upadek duchowy, to jakby ustawiczna moralna zgaga! Nie filozofowie Wed czy tam Sankya, tylko ja, ja we własnej osobie, więzień, piąty rok w kieracie, Gleb Nierzyn, osiągnąłem już taki stopień rozwoju, z którego zło zaczyna się rozpatrywać jako pewne dobro — i ja **o** **s** **o** **b** **i** **s** **c** **i** **e** zgadzam się z twierdzeniem, że ludzie sami nie wiedzą, czego pragną. Tracą siły w pustej szarpaninie o szczyptę dóbr ziemskich i umierają nie ogarnawszy myślą swego własnego bogactwa duchowego. Kiedy Lew Tołstoj marzył, aby wsadzono go do więzienia — rozumował, jak prawdziwie dalekowzroczny, zdrowy duchem człowiek.

Rubin roześmiał się. Często śmiał się w trakcie sporów — wtedy, gdy całkowicie odrzucał racje swojego przeciwnika.

— Nadstaw ucha, pachole! Zaraz widać w tobie całą wiotkość młodej duszy. Swoje osobiste doświadczenie przekładasz nad kolektywne doświadczenia ludzkości. Zatruty jesteś wonnymi oparami więziennego kibla — i tylko przez te opary chcesz oglądać świat. Prawda, osobiście ponieśliśmy klęskę, nasz los osobisty źle się układa — ale jak może mężczyzna pozwolić, by tylko dlatego uległy całkowitej zmianie jego przekonania?

— A ty taki dumny jesteś ze swojej stałości?

— Tak! *Hier steh' ich nun und kann nicht anders.*

— Kamienny łeb! O, to jest właśnie metafizyka! Zamiast żeby tu, w więzieniu uczyć się, wchłaniać żywe życie...

— Jakie tam znowu życie? Zatrutą żółć pechowców?

— ...Zakleiłeś sobie świadomie oczy, zatkałeś uszy, przybrałeś sobie pozę — i w tym widzisz mądrość? W negowaniu prawa do rozwoju ma być mądrość?

— Mądrość równa się bezstronności.

— Ty?! Ty jesteś bezstronny?

— Absolutnie! — z godnością oznajmił Rubin.

— Ależ w życiu nie widziałem kogoś bardziej od ciebie stronniczego!

— Wyjdź trochę poza swoje podwórko! Spójrz na rzecz z historycznej perspektywy! Nie wypada cytować samego siebie, ale:

*Chwila jest rokiem dla motyla,
Dla dębu rok to tylko chwila!*

— **Prawidłowość!** Rozumiesz to słowo? Niepodważalna, konsekwentna prawidłowość! Wszyscy idą tam, gdzie przewidziane. I nie ma co nosem kręcić, ani bawić się w jakiś zmurzały sceptycyzm!

— Nie myśl, Lewku, że mi łatwo. Ten mój sceptycyzm jest może tylko jak szopa przy drodze, żeby przeczekać słotę. Ale sceptycyzm jest formą uwalniania się umysłów od dogmatyzmu, to w nim trzeba cenić.

— Dogmatyzmu? Ale trąba! Bo to ze mnie dogmatyk? — duże, ciepłe oczy Rubina pełne były wyrzutu. — Jestem takim samym aresztantem z poboru czterdziestego piątego roku. I cztery lata frontu siedzą mi odłamek w boku, i pięć lat więzienia mam na karku. Więc widzę nie mniej niż ty! Ale co konieczne, to konieczne! Bez rozbudowanego systemu penitencjarnego państwo nie może istnieć!

— Nie mogę tego słuchać! Ja tego nie uznaję!

— A no właśnie! Ładny sceptycyzm! Ojciec Wergiliusz uczył dzieci swoje! Patrzcie go, nowy Sekstus Empiryk! Co się tak wściekasz? Czy w ten sposób zostaniesz kiedykolwiek porządnym sceptykiem? Sceptyk powinien **p o w s t r z y m a ć s i ę o d o s ą d ó w**. Sceptykowi przystoi niewzruszony spokój.

— Tak! Masz rację! — zdesperowany Gleb chwycił się za głowę. — Marzę o tym, by zachować powściągliwość, staram się rozwijać w sobie tylko lotną myśl — a niech się tylko coś w życiu zakałapućka, zaraz rzucam się, szczerzę zęby, oburzam się.

— Lotna myśl! A mnie gotów w gardło wpić się przez to, że w Dżekaganie nie ma dosyć wody do picia!

— Dobrze by tam ciebie wsadzić, wywłoko! Przecież z nas wszystkich ty jeden powtarzasz, że *Pachan* ma rację, że jego metody są koniecznością, że są prawidłowe — o, należy ci się ten Dżekagan, ciekawe, co byś tam zaśpiewał!

— Słuchaj, słuchaj! — teraz Rubin chwycił mocno w garść kombinezon Nierżyna. — To wielki człowiek! I kiedyś sam to zrozumiesz! To zarazem Robespierre i Napoleon naszej rewo-

lucji. On jest mądry! On jest naprawdę mądry! On patrzy tam, gdzie nasze słabe oczy nie sięgną!

— Nie wierz bratu rodzonemu, wierz swemu oku zezowatemu! — bronił się Nierżyn. — Jeszcze chłopcem będąc wziąłem do ręki jego książki, a znałem już Lenina — i wprost czytać ich nie mogłem. Po tamtym bystrym, gorącym, precyzyjnym stylu — nagle jakaś kaszka manna na talerzu. Każda myśl pod jego piórem chamieje i głupieje, on sam nie dostrzega, jak najcenniejsze ziarna mu się gubią.

— I wszystko toś zauważył dzieckiem będąc?

— Już kończyłem szkołę! Nie wierzysz? Śledczy też nie wierzył... I jak rozwściecza ten jego ton napuszony, kiedy wygłasza swoje pouczenia. On wierzy serio, że jest mądrzejszy od wszystkich Rosjan.

— Ależ tak jest właśnie!

— ...i po prostu uszczęśliwia nas tym, że pozwala zachwycać się sobą!

Pograżeni po uszy w sporze, przyjaciele zapomnieli o ostrożności i okrzyki ich już dochodziły do uszu Símoczki, spoglądającej na Nierżyna z surową dezaprobatą. Czuła żal, że miał się ku końcowi jej wieczorny dyżur, a on zupełnie z tych sprzyjających okoliczności nie skorzystał i nawet nie raczył spojrzeć w jej stronę.

— Wpadłeś w aberrację! A wpadłeś dlatego, że wtykasz nos w nieswoje sprawy. Jesteś matematyk, ani historii, ani filozofii dobrze nie znasz, skąd więc bierzesz śmiałość, żeby orzekać takie wyroki?

— Słuchaj, dosyć tych bajeczek, że umysły, które odkryły neutrino i zważyły gwiazdę Syriusz - B. nie oglądając żadnej z tych rzeczy — są tak dziecinne, że nie zliczą do trzech w sprawach ludzkiego bytu. A co mamy robić, jeżeli wy, historycy, przestaliście zgłębiać historię? Przecież widzę, kto dostaje nagrody i komu płacą profesorskie gaże. Toć oni nie piszą studiów historycznych, tylko wylizują ozorami pewne znane miejsc. Wobec tego musimy zająć się historią my, inteligencja techniczna!

— Ojej, nie strasz przed nocą!

— A jeszcze mamy do tego zręczność techniczną i matematyczne nawyki — to też nie do pogardzenia! Historia na tym nie straci!

Na pustym dziś biurku inżyniera-majora Rojtmana, kierownika Akustyki, zadzwonił wewnętrzny telefon. Símoczka wstała i podeszła do niego.

— ... A tak! O, śledczy też nie wierzył, że mój pięćdziesiąt osiem-dziesięć zaczął się od studium materializmu dialektycznego. Żywego życia nie znałem nigdy, mól książkowy ze mnie, biję się w piersi, ale ja porównywałem bez ustanku te dwa style, te dwa pióra, te dwa sposoby argumentacji — i w tekstach...

— Gleb Wikentiewicz!

— ... w tekstach zobaczyłem odpadki, fałsze, wulgaryzacje — i oto znalazłem się tutaj!

— Gleb Wikentiewicz!

— Co? — ocknął się Nierżyn, odrywając się od Rubina.

— Telefon! — bardzo surowo marszcząc brwi zawołała go po raz trzeci Símoczka, stając przy swoim biurku i obciążając na krzyż rogi brunatnego szala. — Antoni Nikołajewicz wzywa was do swego gabinetu.

— Rzeczywiście?... — na twarzy Nierżyna zgasł ferwor sprzeczki, zmarszczki znów wróciły na swoje miejsce. — Dobrze, dziękuję bardzo. Słyszałeś, Lewku — Antoni. Co się stało?

Wezwanie do gabinetu dyrektora instytutu o dziesiątej wieczór, w sobotę — było nadzwyczajnym wydarzeniem. Chociaż Símoczka starała się udawać oficjalną obojętność, ale jej spojrzenie, jak to wyczuł Nierżyn, pełne było lęku.

I gdzie też podziła się niedawna zawziętość! Rubin z troską patrzył na przyjaciela. Kiedy jego oczu nie kaziła pasja dyskusyjna, zjawiała się w nich kobieca miękkość.

— Nie lubię, kiedy nami interesują się panowie władza — powiedział Rubin. — Nie buduj sobie tyna blisko gospodyna.

— Ale my chyba nie budujemy... Nasze zadania są drugorzędne, jakieś tam głosy...

— Toteż nam Antoni da prędzej po łbie. Wyjdą nam bokiem wspomnienia Stanisławskiego i mowy słynnych obrońców — zaśmiał się Rubin. — A może coś w związku z artykulacją dla Siódemki?

— Przecież wyniki już podpisane, nie ma odwołania. Na wszelki wypadek, gdybym miał nie wrócić...

— Co za głupstwa!

— Dlaczego głupstwa? Takie już nasze życie... spalisz to tam, już wiesz, gdzie.

Z rumorem zatrzasnął drewniane żaluzje bocznych szafek, klucze nieznacznie włożył Rubinowi do ręki i wyszedł powolnym krokiem aresztanta piąty rok chodzącego w kieracie, który dlatego nigdy się nie spieszy, że oczekuje zawsze tylko zmian na gorsze.

IX

RÓZOKRZYŻOWCY

Wysłanymi czerwonym chodnikiem schodami, wyludnionymi o tak późnej porze, w blasku bijącym od miedzianych kandelabrow i wysokiego, zdobnego sztukaterią plafonu, Nierżyn wszedł na trzecie piętro, starając się kroczyć swobodnie, następnie minął biurko wolniaka dyżurującego przy miejskim telefonie i zapukał do drzwi dyrektora instytutu, inżyniera-pułkownika bezpieczeństwa państwowego, Antoniego Nikołajewicza Jakonowa.

Gabinet był rozległy, wysoki, wysłany dywanami, zastawiony fotelami i kanapami, niebieszczył się w środku jaskrawo-lazurowym obrusem na długim stole konferencyjnym i brunatniał w najdalszym kącie, gdzie biurko i fotel Jakonowa rozpierały się krągłe. Wśród tych przepychów Nierżyn bywał tylko parę razy i raczej na zebraniach, niż z własnej inicjatywy.

Inżynier-pułkownik Jakonow, lat przeszło pięćdziesięciu, ale wciąż kwitnący z wyglądu, wzrostu wspaniałego, z twarzą jakby jeszcze z lekka przypudrowaną po goleniu, w złotych binoklach na nosie, tuszy okazałej niby jakiś książę Oboleński, czy Dołgorukow, o ruchach majestatycznych i pełnych pewności siebie — wyróżniał się spośród wszystkich dygnitarzy swojego resortu.

Zaprosił szerokim gestem:

— A, Gleb Wikentiewicz! Proszę siadać!

Powiedział to strosząc się trochę w swoim nienaturalnie wielkim fotelu i obracając w palcach gruby, kolorowy ołówek nad lśniącym, brunatnym blatem biurka.

Takie powitanie miało być dowodem łaskawości i uprzejmości, nic jednocześnie pana pułkownika nie kosztując, bo pod szkłem na jego biurku leżał spis z wyszczególnieniem imion wszystkich więźniów oraz imion ich ojców (kto o tym nie

wiedział, ten podziwiał pamięć Jakonowa). Nierzyn uklonił się milcząco, nie opuszczając rąk słuźbiście, ale też nie wymachując nimi, i usiadł w wyczekującej pozie przy zgrabnym, lakierowanym stoliku.

Jakonow mówił, sam się napawając brzmieniem swego głosu. Człowiek zawsze się dziwił, że ten panisko nie cierpi na wytworną wadę wymowy i nie grasejuje:

— Wie pan, panie Glebie, przed pół godziną akurat padło tu pańskie nazwisko i pomyślałem sobie — jakim właściwie cudem znalazł się pan w Akustycznej, u tego... Rojtmana?

Jakonow wymówił to nazwisko z otwartym lekceważeniem, nie dodając nawet do niego — i to w obecności podwładnego owego Rojtmana! — tytułu majora. Stosunki wzajemne między dyrektorem instytutu, a jego pierwszym zastępcą tak się były pogorszyły, że nikt już nie zważał, aby rzecz ukrywać.

Nierzyn sprężył się wewnętrznie. Jak przeczuwał, rozmowa brała zły obrót.

Z taką samą niedbałą ironią krzywiąc wargi — nie za wąskie i nie za grube — Jakonow przed kilku dniami powiedział do Nierzyna, że być może on, to jest Nierzyn, w sprawach artykulacji jest obiektywny, ale do Siódemki odnosi się nawet nie jak do śmiertelnych szczątków drogiego zmarłego, tylko jak do zwłok bezimiennego pijaka, znalezione go gdzieś pod płotem. Siódemka była najulubieńszym konikiem Jakonowa, startowała jednak słabo.

— ... Ja, rzecz oczywista, bardzo cenię osobiste zasługi pańskie w zakresie wiedzy o artykulacji...

(Kpi sobie!)

— ... Diabło mi żal, że pańska oryginalna monografia wydrukowana jest w małym, nie podlegającym rozpowszechnieniu nakładzie, co pozbawia pana laurów rosyjskiego Johna Fletchera...

(Bezczelnie sobie kpi!)

— ... Jednakże pragnąłbym z pańskiej działalności móc nieco więcej *to enjoy*, jak mówią Anglosasi. Wie pan wszak, że przy całym moim szacunku dla wiedzy oderwanej, jestem człowiekiem praktyki.

Inżynier-pułkownik Jakonow znajdował się już na takich wyżynach — a jednocześnie nie tak jeszcze blisko Wodza Narodów — że mógł pozwolić sobie na zbytek nieukrywania ani swoich wiadomości, ani samodzielnych swoich sądów.

— No, a gdyby tak powiedzmy spytał kto pana otwarcie — co wy tam właściwie robicie teraz, w tej Akustycznej?

Niesposób było wymyśleć okrutniejszego pytania! Jakono-

wowi po prostu nie starczało czasu na wszystko, bo już by dawno poznał się na rzeczy.

— Po kiego licha traci pan czas na te papuzie skrzeki — „styr”, „smyr”? Jest pan matematykiem? Skończył pan uniwersytet? Proszę się odwrócić.

Nierżyn obejrzał się za siebie i podniósł się z krzesła: było ich w gabinecie nie dwóch, lecz trzech! Z kanapy wstał skromny jegomość w czarnym, cywilnym garniturze. Okrągłe, jasne okulary połyskiwały na jego nosie. W szczodrym blasku żyrandola Nierżyn rozpoznał Piotra Trofimowicza Wierieniewa, przedwojennego docenta tej samej uczelni. Jednakże na mocy więziennego odruchu zachował milczenie i nie pozwolił sobie na najmniejszy nawet ruch, sądząc, że ma przed sobą aresztanta, i bojąc się zaszkodzić mu pochopnym przyznaniem się do znajomości. Wierieniew uśmiechał się, ale też wydawał się zmieszany. Jakonow zagruchał uspokajająco:

— Zaiste, sekta matematyków przestrzega godnego zazdrości rytuału powściągliwości. Matematycy całe życie wydawali mi się jakimiś kawalerami róży i krzyża, zawsze żałowałem, że nie miałem okazji zostać jednym z wtajemniczonych. Nie krępujcie się panowie. Podajcie sobie dłonie i zachowujcie się jak u siebie w domu. Zostawię was tu samych na pół godzinki dla wymiany miłych wspomnień i dla przekazania przez profesora Wierieniewa informacji o zadaniach, jakie przed panami postawiono.

Tu Jakonow dźwignął z nienaturalnie wielkiego fotela swój okazały, ciężki korpus, uskrzydłony srebrno-błękitnymi epoletami i krokiem nieoczekiwanie lekkim ruszył do drzwi. Kiedy Wierieniew z Nierżynem uściśnęli sobie wreszcie dłonie, byli już w gabinecie sami.

Ten błąd jegomość w okularach w jasnej oprawie wydawał się obytemu z więzieniem Nierżynowi upiorem, który bezprawnie wrócił tu z dawno zapomnianego świata. Między tym a tamtym światem leżały lasy nad jeziorem Ilmeń, pagóry i parowy Orłowszczyzny, piaski i błota Białorusi, dostatnie polskie folwarki, rozbite dachówki niemieckich miasteczek. W tym samym dziesięcioletnim interwale zmieściły się też nieznośnie gołe „boksy” i cele Wielkiej Łubianki. Szare, śmierdzące więzienia etapowe. Duszne ciupki *stotypinek*. Kłujący wiatr stepowy nad tłumem głodnych, zziębniętych zeków. Wszystko to sprawiało, że nie można było rozbudzić w sobie tego uczucia, z jakim człowiek wypisywał niegdyś cyferki funkcji zmiennych rzeczywistych na miękkim linoleum tablicy.

Czemu jednak Nierżyn czuł niepokój?

Obaj zapalili i usiedli, dzielił ich mały, lakierowany stolik.

Wierieniew po raz pierwszy stykał się z jednym ze swoich dawnych słuchaczy — bądź to z uniwersytetu moskiewskiego, bądź z uczelni w R., dokąd posłano go przed wojną w okresie walki szkół teoretycznych — po to, aby wprowadził twardą linię. Ale dla niego też to i owo w dzisiejszym spotkaniu było nie całkiem zwyczajne: klimat odosobnienia, jaki czuło się w tej podmoskiewskiej instytucji, owianej mgłą najgłębszej tajemnicy, osnutej wielorzędownym drutem kolczastym, dziwaczny, granatowy kombinezon zamiast zwykłego, ludzkiego ubioru.

Tak właśnie, jakby jemu to się z prawa należało, pytania zadawał młodszy z tej dwójki, pechowiec bez tytułu, krzywiąc usta tak, że zaostrzyły się bruzdy w ich kątach — starszy zaś odpowiadał wstydliwie, krępując się jakby, że bieg jego kariery naukowej tak był niezawily: ewakuacja, powrót, pracował trzy lata u K., robił doktorat z topologii... Nieuprzejmie roztargniony Nierżyn nie zapytał nawet o temat rozprawy doktorskiej z tej samej przecież suchej dziedziny, którą sam niegdyś obrał dla własnego projektu dyplomowego. Raptem zrobiło mu się żal Wierieniewa... Szeregi uporządkowane, szeregi uporządkowane niezupełnie, szeregi zamknięte... Topologia! Stratosfera myśli ludzkiej! W dwudziestym czwartym wieku przyda się może komuś, ale tymczasem... Tymczasem...

Cóż mam wam rzec o słońcu i wszechświecie?

Cierpienie ludzkie wszechświat mi przystania...

A jak trafił do tego resortu? Dlaczego porzucił uniwersytet?... No bo dali skierowanie... I nie można było odmówić?... Owszem, można było, tylko że... Tu zresztą stawki podwójne... Czy ma dzieci?... Tak, czworo...

Nie wiedzieć czemu zaczęli sobie przypominać po kolei studentów z roku Nierżyna, ostatni ich egzamin przypadł na pierwszy dzień wojny. Ci, co mieli więcej talentu — pokaleczeni, pozabijani. Tacy zawsze pchają się na pierwszą linię, nie dbają o siebie. Ci zaś, po których nikt niczego nie oczekiwał — albo kończą studia, albo już są adiunktami. Tak, no a co robi nasza chluba, Dymitr Dymitrowicz? Goriainow-Szachowskoj?

Goriainow-Szachowskoj! Drobniutki staruszek, niechlujny już z głębokiej starości. To wysmaruje sobie kredą swój czarny, welwetowy żakiet, to znowu szmatę do tablicy wsadzi sobie w kieszeń zamiast chustki do nosa. Żywa anegdota, sama esencja z niezliczonych „profesorskich” anegdot, dusza warszawskiego imperatorskiego uniwersytetu, przeniesionego w dziewięćset

piętnastym do handlowego R. jak na cmentarz. Pół wieku pracy naukowej, pełna taca gratulacyjnych depesz — z Milwaukee, Kapsztatu, z Jokohamy. A później komisja kontroli wyczyściła go w trybie odmładzania kadr. Pojechał więc do Moskwy i przywiózł od Kalinina karteczkę: dać spokój temu starowinie! (powiadano, że ojciec Kalinina był chłopem pańszczyźnianym u ojca profesora Goriainowa).

Wtedy dopiero dano spokój. Dano go tyle, że niewtajemniczonym robiło się czasem straszno: to napisze rozprawę z dziedziny biologii zawierającą matematyczny dowód istnienia Pana Boga. To na publicznym wykładzie o swoim ulubieńcu Newtonie zadudni spod poźółkłych wąsów:

„Tu mi nadesłano pytanie na kartce: „Marks napisał, że Newton jest materialistą, a wy powiadacie, że był idealistą”. Odpowiadam: Marks nie miał racji. Newton wierzył w Boga, jak każdy wybitny uczony”.

Notowanie jego wykładów było męką. Doprowadzał do rozpaczy stenotypistki! Ledwie już trzymający się na nogach, siadał przy samej tablicy, twarzą do niej, a plecami do audytorium i pisząc prawą ręką, lewą zaraz ścierał napisane, cały zaś czas mamrotał coś sam do siebie. Zrozumienie toku jego myśli w trakcie wykładu było czymś wręcz niemożliwym. Ale kiedy Nierżynowi udawało się z jakimś kolegą zanotować wykład dzieląc między siebie tę pracę, i gdy wieczorem wprowadzili już ład w notatki — wtedy duszę rozjaśniało coś, jakby migotanie wygwieżdzonego nieba.

Więc co z nim słyszać?... Podczas bombardowania R. starszerek został kontuzjonowany. Pół żywego zawieziono go do Kirgizji. Później wrócił, ale zdaje się już go nie zatrudnili na uniwersytecie, wykłada chyba teraz w instytucie pedagogicznym... Ale żyje?... Widać żyje... Zadziwiające. Ten czas leci — i jakby wcale nie leciał...

Ale za co w końcu... Nierżyna wsadzili?

Nierżyn uśmiechnął się.

— No, ale w końcu jednak za co?

— Za sposób myślenia panie Piotrze. W Japonii istnieje prawo, wedle którego można człowieka sądzić za jego myśli, nawet nie wypowiedziane.

— W Japonii! Ale przecież u nas nie ma takiego prawa?...

— A właśnie że jest i nazywa się pięćdziesiąt-osiem-dziesiąt.

I Nierżyn przestał jakoś słyszeć dokładnie te, tak ważne właśnie racje, dla których Jakonow zetknął go tu z Wierieniem. Wierienie został przysłany dla pogłębienia i systematy-

zacji tutejszych prac z dziedziny krystalografii oraz kryptografii. Potrzebni są matematycy, kupą matematyków i Wierieniew strasznie rad jest widzieć wśród nich swego studenta, przy tym tak obiecującego, co już wtedy było widoczne.

Nierżyn prawie bezwiednie zadawał uściślające pytania, Piotr Trofimowicz zaś, wpadając w coraz większy ferwor matematyczny, jął z zapałem wyjaśniać cel pracy, wyliczając, jakie to trzeba będzie przeprowadzić badania i jakie formuły zrewidować. Nierżyn natomiast myślał o tych gęsto zapisanych arkusikach, które tak spokojnie można było sobie zapełniać notatkami za wałem ochronnym z książek, pod okiem skrycie zakochanej Simoczki, w takt dobrodusznym pomruków Rubina. Te arkusiki były pierwszym świadectwem dojrzałości trzydziestolatka.

Oczywiście, przyjemniej byłoby osiągnąć dojrzałość we własnej, najbliższej mu dziedzinie. Po co właściwie sam, z dobrej woli wrażać ma łeb w tę paszczę, od której samego widoku fachowi historycy uciekają w zacisze pogodnej przeszłości? Co każe mu roztrząsać zagadkę tego ponurego, rozdętego kolosa, któremu starczy tylko mrugnąć — i już Nierżyn jest krótszy o głowę? Jak to się mówi — wciąż ci jeszcze za mało? Musisz mieć więcej niż inni?

Więc wpakować się w macki krystalograficznej ośmiornicy?... Czternaście godzin dziennie, bez żadnych przerw, głowa jego będzie we władaniu teorii prawdopodobieństwa, teorii liczb, teorii omyłek... Martwica mózgu. Usychanie duszy. Co mu zostanie dla własnych myśli? Co mu zostanie dla badania spraw życia?

Ale za to — *szaraszka*. Za to — przecież nie obóz. Mięso na obiad. Masło śmietankowe na śniadanie. Skóra na rękach nie poraniona, nie zgrubiała. Palce — nie odmrożone. Nie pada człowiek na dechy jak martwy, jak pień, bez czucia, w brudnych łachach — tylko kładzie się do łóżka, śpi w białej pościeli.

Ale po co się żyje? Aby żyć? Żyć tylko po to, aby ciałać móc dalej dogadzać?

Ach, to dogadzanie! Na coś sobie sam się zdał, jeżeli nic prócz ciebie samego nie jest ważne?...

Wszystkie argumenty rozumowe — za, tak jest, zgoda panie dyrektorze!

Wszystkie fibry duszy — precz ode mnie, szatanie!

— Panie Piotrze! A czy pan... potrafi robić buty?

— Przepraszam, co pan powiedział?

— Powiadam właśnie: nie nauczyłby mnie pan może szycia butów? Chciałbym się szewskiej roboty nauczyć.

— Wybaczy pan, nie rozumiem...

— Panie Piotrze! Żyje pan jak w kokonie! Przecież jak skończy mi się ten termin, to pojedę do tajgi, na dożywotnie zesłanie. Rękoma nic porządnie zrobić nie potrafię — więc jak dam sobie radę? Toć tam bure niedźwiedzie. Toć tam funkcje Leonarda Eulera nie będą nikomu potrzebne jeszcze przez trzy epoki mezozoiczne.

— Co pan tu gada? Przecież jeżeli to się uda, to pan, jako kryptograf będzie zwolniony przedterminowo, skreślą pana z rejestru karanych, dadzą panu mieszkanie w Moskwie...

— Skreślą z rejestru! — krzyknął ze złością Nierżyn i oczy mu się zwężyły. — A skąd panu to do głowy przyszło, że mnie potrzebna jest ta jałmużna: dobrze niby pracowałem, no to go zwolnimy?! My ci wybaczymy! Nie, panie Piotrze! — i opuszczonym, ciężkim palcem puknął w lakierowany blat stolika — nie z tego końca! Niech naprzód ogłoszą, że za sposób, za tok myślenia nie wolno ludzi więzić — wtedy dopiero zobaczymy, czy im można wybaczyć!

Drzwi się otwały. Wszedł majestatyczny możnowładca ze złotymi binoklami na okazałym nosie.

— No i jak tam nasi różokrzyżowcy? Dogadali się panowie?

Nie wstając z miejsca, twardo patrząc Jakonowowi w oczy, Nierżyn odparł:

— To już jak pan chce, dyrektorze, ale ja uważam swoje zadanie w Pracowni Akustyki za jeszcze nie skończone.

Jakonow stał już przy swoim biurku opierając się o szklaną płytę knykciami miękkich dłoni. Tylko ci, którzy go znali, mogli usłyszeć nutę gniewu w tym co teraz powiedział:

— Matematyka! — i artykulacja... Zamienił pan ambrozię na polewkę z soczewicy. Proszę już iść.

I dwukolorowym, grubym ołówkiem napisał w leżącym na stole notatniku:

— Nierżyna — skreślić.

X

CZARODZIEJSKI ZAMEK

Od wielu już lat — podczas wojny i po wojnie — Jakonow zajmował bardzo solidne stanowisko naczelnego inżyniera Departamentu Techniki Specjalnej. Z godnością nosił srebrne epolety z błękitną lamówką i trzema dużymi gwiazdami inżyniera-pułkownika: odpowiadały zasłużeniu jego kompetencjom. Stanowisko miał tego rodzaju, że kierować mógł wszystkim z dala i w ogólnych zarysach, mógł wygłosić niekiedy uczony i solidny referat przed dygnitarskim audytorium, czasem pogadać mądrze i kwieciście z inżynierem demonstrującym swój gotowy projekt, a w ogóle uchodzić za erudyte, za nic nie odpowiadać i pobierać co miesiąc wielotysięczną pensję. Stanowiska miał takie, że na skrzydłach swego krasomówstwa unosił się nad wszystkimi naraz technicznymi przedsięwzięciami Departamentu; ulatywał jak najdalej od nich w okresie ich trudnego dzieciństwa i chorób wieku dojrzewania: zaszczycił natomiast swoją uwagę już to dłubane koryta ich czarnych trumien, już to złociste koronacje ich bohaterów.

Antoni Nikołajewicz nie był tak młody i tak zarozumiały, żeby uganiać się samemu za złudnym blaskiem Złotej Gwiazdy, albo odznaką laureata nagrody stalinowskiej, bądź żeby własnymi rękoma chwytać w lot każde zlecenie resortu, czy nawet samego g o s p o d a r z a. Antoni Nikołajewicz był już wystarczająco doświadczony i niemłody, aby unikać tego splotu trosk, tryumfów i upadków.

Trzymając się takich właśnie zasad, Jakonow żył sobie bez kłopotów aż do stycznia tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku. W tym właśnie miesiącu ktoś podszeptał Ojcu Narodów Zachodu i Wschodu pomysł stworzenia specjalnej, tylko dla niego przeznaczonej, tajnej sieci telefonicznej — takiej, żeby

nikt nigdy nie mógł zrozumieć co się mówi, nawet gdyby podsłuchiwał rozmowę na linii.

Najlaskawszym palcem z żółtą plamą nikotyny pod paznokciem, Ojciec Narodów wskazał na mapie obiekt Mawrino, gdzie aż do tej chwili wyrabiano portatywne nadajniki radiowe dla milicji. Historyczne zaś słowa, wypowiedziane z tej okazji, brzmiały, jak następuje:

— Na diabła mi te nadajniki? Do łapania włamywaczy? A co oni komu szkodzą?

I wyznaczył termin — do pierwszego stycznia czterdziestego dziewiątego roku. Potem pomyślał chwilę i powiedział:

— Dobrze, do pierwszego maja.

Było to zadanie szczególnie odpowiedzialne i wręcz wyjątkowe ze względu na krótki termin. W ministerstwie pomyślano chwilę — i kazano Jakonowowi zająć się obiektem Mawrino osobiście. Na niczym spełzły usiłowania Jakonowa, by wykazać, jak jest zajęty i jakim absurdem jest jeszcze jeden dodatkowy obowiązek. Dyrektor departamentu, Foma Gurianowicz Oskółpow popatrzył na Jakonowa kocimi, zielonkawymi oczyma — Jakonow przypomniał sobie hak w swojej ankiecie (przesiedział sześć lat w więzieniu) i zamilkł.

Od tego czasu, a wkrótce będzie już dwa lata, gabinet naczelnego inżyniera Departamentu w salonach Ministerstwa świecił pustką. Inżynier naczelny dnie i noce spędzał poza miastem, w budynku uwieńczonym sześciokątną basztą, wznoszącą się nad miejscem, gdzie niegdyś był ołtarz.

Z początku było nawet miło pokierować trochę osobiście: znużonym gestem zatrzaskiwać drzwiczki przydzielonej „Pobiedy”, dać jej się kołysać aż do Mawrino, mijać w otoczonym kolczastym drutem przejściu salutującego wartownika, wiosną zaś, kiedy wszystko tak jest młode i tak jeszcze niedojrzałe — przechadzać się w otoczeniu całej świty kapitanów i majorów pod stuletnimi lipami mawrińskich lasków.

Zwierzchność niczego jeszcze nie żądała od Jakonowa — prócz planów, planów, planów i socjalistycznych zobowiązań. Natomiast na instytut w Mawrino wysypał się istny róg obfitości: importowane i krajowe części radiowe, aparatura, meble, biblioteka techniczna złożona z trzydziestu tysięcy najnowszych tytułów: specjaliści-więźniowie wyreklamowani z obozów: najwytrawniejsi oficerowie operacyjni i archiwiści, prawdziwe żubry od spraw tajnych — wreszcie specjalna, żelazna ochrona. Trzeba było wyremontować stary budynek i wznieść kilka nowych — dla s z t a b u specwięzienia, dla doświadczalnych warsztatów mechanicznych — więc w porze żółtawego kwitnie-

nia lip, kiedy ich zapach przepajał wszystko, w cieniu potężnych drzew dała się słyszeć melancholijna mowa niemrawych niemieckich jeńców, przyodzianych w poniszczone, jaszczurcze mundury. Ci leniwi faszyci, w czwartym, powojennym roku swojej niewoli, jakoś wcale już nie chcieli pracować. Dla rosyjskiego oka nieznośny wprost był widok, jak rozładowywali ciężarówki z cegłami: powolutku, ostrożnie, jakby to były kryształły, podawali sobie każdą cegielkę z ręki do ręki i układali je w równe stosy. Montując kaloryfery pod oknami, zmieniając przegnięte klepki w posadzkach, Niemcy snuli się po super-tajnych gabinetach, patrząc ponuro na niemieckie czy angielskie napisy na aparaturze; nawet niemiecki uczeń mógłby domyśleć się jaki profil ma to laboratorium! Wszystko to podkreślone zostało w raporcie, jaki drogą służbową więzień Rubin skierował do inżyniera-pułkownika — i było zupełnie słuszne, ale bardzo nie w smak oficerom operacyjnym — Szykinowi i Myszynowi (w aresztanckiej gwarze zwanych Szyszkin-Myszkin) no bo i co teraz począć? Posyłać w górę raport o własnym niezgulstwie, czy co? A na wszystko i tak było za późno, jeńców bowiem odesłano już do ojczyzny; ten zaś z nich, który pojechał do Zachodnich Niemiec, mógł gdyby to kogoś obchodziło, opisać komu należy rozplanowanie całego instytutu i poszczególnych laboratoriów. I dlatego, wsunawszy raport Rubina pod sukno, major Szykin wymógł, aby tu, w obiekcie, jedna pracownia nie wiedziała o tajemnicach drugiej więcej niż o rynkowych plotkach z Madagaskaru. Kiedy zaś oficerowie innych pionów ich resortu mieli jakieś sprawy do inżyniera-pułkownika, ten ostatni nie miał prawa podawać im adresu swojej instytucji i dla zachowania w stanie dziewiczym tajemnicy służbowej — jeździł na spotkania z nimi aż na Łubiankę.

Niemców zatem odesłano, zaś na ich miejsce dla zakończenia robót remontowych i budowlanych przywieziono takich samych zeków jak ci z *szaraszki*, tylko chodzących w brudnej, podartej odzieży i nie pobierających białego chleba. Pod lipami dudniły teraz przy każdej okazji zawiesziste obozowe wyzwiska, przypominające zekom z *szaraszki* o ich prawdziwej ojczyźnie i nieuniknionym losie: cegły z ciężarówek zlatywały, jak zdmuchnięte wiatrem, tak że potem prawie wcale nie było całych, tylko złom: zeki zaś, pokrzykując „heej-rup!” zarzucali na ciężarówkę budę z dykty, następnie — żeby łatwiej było ich upilnować — sami się pod nią pchali, wesoło podmacując wymyślające im dziewczuchy; budę potem zatrząskiwano i wieziono ich moskiewskimi ulicami — do obozu, na nocleg.

Tak oto, w tym czarodziejskim zamku, odseparowanym od

stolicy i jej niedomyślnych mieszkańców zaklętym kręgiem szybkostrzelnej zony, lemury w czarnych kaftanach wprowadzały baśniowe innowacje: wodociągi, kanalizację, centralne ogrzewanie i parkowe klomby.

Tymczasem zaś tak chlubnie poczęty obiekt rósł i rozwijał się. Do Instytutu Mawrino wcielono w pełnym składzie jeszcze jeden instytut badawczy, pracujący już nad podobnymi zagadnieniami. Instytut ów zjechał tu ze swymi biurkami, krzesłami, szafami, segregatorami, aktami, aparaturą, starzejącą się zresztą nie z roku na rok, lecz z miesiąca na miesiąc — oraz ze swym dyrektorem, inżynierem-majorem Rojtmmanem, który został zastępcą Jakonowa. Niestety, twórca nowoprzybyłego instytutu, jego animator i protektor, pułkownik Jakow Iwanowicz Mamurin, szef całej łączności tajnej i specjalnej, jeden z najwybitniejszych mężów stanu, zginął tuż przed tym w tragicznych okolicznościach.

Dnia pewnego Wódz Całej Postępowej Ludzkości rozmawiał z prowincją Jań-Nań i doznał przykrych sensacji na skutek zgrzytów i szumów w słuchawce. Zadzwoił tedy do Berii i rzekł po gruzińsku:

— Ławrentij! Co to za dureń siedzi u ciebie w łączności? Zabierz go.

No i Mamurina zabrano — to znaczy wsadzono do Łubianki. Zabrano go, ale nie wiedziano, co robić z nim dalej. Brak było zwykłych w takich razach wskazówek — czy dać go pod sąd — i za co — i jaki wyrok mu dać. Gdyby to był ktoś spoza branży, to dano by mu dwudziestkę-piątkę, jeszcze pięć na przytarcie rogów i posłano by do Norylska. Ale mając na względzie zasadę: „dzisiaj mnie, jutro tobie” starzy koledzy przetrzymali Mamurina w ukryciu: kiedy zaś przekonali się, że Stalin o nim zapomniał — bez śledztwa i bez wyroku wyekspediowali na podmiejską *daczę*.

Pewnego letniego wieczoru 48-go roku przywieziono więc nowego zeka do mawrińskiej *szaraszki*. Był to fakt niezwykle pod każdym względem: i dlatego, że przywieziono go nie *suką*, lecz osobowym samochodem, i dlatego, że towarzyszył mu nie zwykły klawisz, tylko sam dyrektor Departamentu Więziennictwa, dlatego wreszcie, że pierwszą kolację przyniesiono mu pod serwetką z gazy do gabinetu naczelnika specwięzienia.

Słyszano (zekom niczego słyszeć nie wolno, ale słyszą oni zawsze wszystko) — słyszano więc, jak nowoprzybyły oznajmił, że „na kiełbasę nie ma ochoty” (?!), dyrektor zaś Departamentu Więziennictwa namawiał go, by zechciał „skosztować”. Usłyszał to na własne uszy zza przepierzenia zek, który poszedł po

proszki do lekarza. Po rozpatrzeniu tych wstrząsających nowin, tubylcza ludność *szaraszki* doszła w końcu do wniosku, że przybysz jest mimo wszystko zekiem i udała się na spoczynek nie bez satysfakcji. Gdzie przybysz spędził pierwszą noc — tego historycy *szaraszki* nie wyjaśnili. Ale wczesnym rankiem, na rozległym marmurowym ganku (gdzie już później więźniów nie dopuszczano) pewien całkiem zwykły zek, niezdarny ślusarz, spotkał się z tym nowym oko w oko.

— No co, bratku — powiedział ślusarz, dając mu sółkę w bok — skądżeś to? Za co wpadłeś? Siadaj, zapalimy.

Ale przybysz z lęklwym obrzydzeniem odsunął się od ślusarza. Bładocytrynowa jego twarz skrzywiła się w grymasie. Ślusarz patrzył chwilę na te białe oczy, na rzednące jasne włosy, na oblaźłą czaszkę i powiedział rozsierzdony:

— Uch, ty gadzie ze słoika! Kij ci w oko, nie szkodzi, jak cię po apelu zamkną z nami — to będziesz rozmowniejszy!

Ale „gad ze słoika” nie trafił przecież do ogólniaka. W laboratoryjnym korytarzu na trzecim piętrze znaleziono dla niego malutką izdebkę, gdzie dawniej była ciemnia fotograficzna, wciśnięto tam jakoś łóżko, stół, szafę, donicę z kwiatem, kuchenkę elektryczną i zerwano karton, zasłaniający dotąd zakratowane okienko, które wychodziło nawet nie na świat boży, tylko na klatkę schodową, same zaś te kuchenne schody były od północy, tak, że w celi naszego uprzywilejowanego aresztanta światła nawet we dnie było co kot napłakał. Rzecz jasna, można było spokojnie zdjąć kraty, ale kierownictwo więzienia po pewnych wahaniach postanowiło jednak krateszek nie usuwać. Nawet ono nie rozumiało do końca tej zagadkowej historii i nie mogło wypośrodkować słusznej linii postępowania.

Wówczas to nadano przybyszowi miano „Żelaznej Maski”. Długi czas nikt nie znał prawdziwego jego imienia. Nikt nie mógł z nim się porozumieć i widać było przez okno jak siedział przybity w swej pojedynce, albo snuł się bladym cieniem pod lipami w godzinach, kiedy zwykłym zekom nie pozwalano na spacer. Żelazna Maską był żółty i chudy, całkiem, jak zek — *mu z u ł m a n i n* po solidnym, dwuletnim śledztwie — jednakże szaleńcza odmowa jedzenia kielbasy przeczyła takiej wersji.

Znacznie później, kiedy Żelazna Maską zaczął wychodzić już do roboty w Siódemce, zeki dowiedzieli się od wolniaków, że był to ten właśnie pułkownik Mamurin, który w Dziale Łączności Specjalnej zabraniał chodzenia po korytarzu inaczej, niż na palcach; gdy zaś ktoś zakaz przekroczył wypadał ze wściekłością z gabinetu przez pokój sekretarki i wrzeszczał:

— Ty, koło czyjego gabinetu tak tupiesz, chamie? Nazwisko!?

Znacznie później wyjaśniło się też, że przyczyna cierpienia Mamurina była natury moralnej. Świat ludzi wolnych odepchnął go, do świata zeków sam wzdragał się przyłączyć. Z początku w tej swojej samotności wciąż czytał — takie nieśmiertelne utwory, jak „Wojna o pokój” Panfiorowa, „Kawaler Złotej Gwiazdy” Babajewskiego, czytał Sobolewa, Nikulina, dalej — wiersze Prokofiewa, Grybaczowa — i oto! — oto zaszła w nim cudowna przemiana — sam zaczął układać wiersze! Wiadomo, że poeta rodzi się w człowieku pod wpływem niedoli i cierpień dusznych, cierpiał zaś Mamurin srożej, niż inni aresztanci. Siedząc drugi rok bez śledztwa i bez sądu, żył on po dawnemu tylko ostatnimi dyrektywami i po dawnemu ubóstwiał Mądrego Nauczyciela. Mamurin zwierzył się Rubinowi, że to co tu najokropniejsze, to nie więzienna bryja (nawiasem mówiąc, gotowano mu oddzielnie), ani rozłąka z rodziną (mówiąc nawiasem wożono go raz na miesiąc do domu, gdzie potem spędzał noc), w ogóle — nie te elementarne, przyziemne braki — tylko poczucie, że straciło się zaufanie Josifa Wissarionowicza, ten ból, że jest się już nie pułkownikiem, tylko kimś zdegradowanym, oczernionym. Oto dlaczego takim jak on czy Rubin nieskończenie trudniej jest znosić więzienie, niż temu bezideowemu ścierwu dookoła.

Rubin był komunistą. Ale posłuchawszy zwierzeń swego niby to sojusznika ideowego, ortodoksy, posłuchawszy potem jego wierszy, Rubin szybko się odstrychnął od nowego kolegi, jął unikać Mamurina, nawet ukrywać się przed nim — zaś cały swój czas starał się spędzać wśród ludzi niesprawiedliwie go atakujących, ale za to dzielących z nim ten sam los.

Mamurina zaś pochłaniało teraz dążenie, natrętne jak ból zęba — aby gorliwą pracą zasłużyć na rehabilitację. Niestety, cała wiedza o łączności u tego szefa działu kończyła się na umiejętności trzymania przy uchu słuchawki telefonicznej. Dlatego pracować w ścisłym sensie nie mógł, mógł tylko kierować. Ale byle kierowanie, kierowanie sprawą bez przyszłości nie mogło jeszcze przywrócić mu zaufania Najlepszego Druha Pracowników Łączności. Należało kierować sprawą mającą zapewnione z góry powodzenie.

W tym okresie w Instytucie Mawrino zarysowały się dwa takie przedsięwzięcia z przyszłością: Wokoder i Siódemka.

Z jakiegoś nieznanego powodu, wymykającego się wszelkiej logice, ludzie lgną do siebie, albo się nie znoszą już z pierwszego wejrzenia. Jakonow i jego zastępcę Rojtman nie dobrali się.

Z każdym miesiącem stawali się dla siebie wzajem coraz bardziej nieznosni: zaprzągnięci tą samą ciężką ręką do wspólnego dyszla, nie mogli wyrwać się, tylko ciągnęli, każdy w swoją stronę. Kiedy tajną sieć telefoniczną zaczęto realizować metodą równoległych eksperymentów, Rojtmán ściągnął kogo tylko mógł do Pracowni Akustyki dla opracowania systemu „wokoder”, który otrzymał rosyjskie miano „aparatu do sztucznej mowy”. Jakonow za to ograbił wszystkie pozostałe grupy: najbystrzejszych inżynierów i najlepsze aparaty z importu ściągnął do Siódemki, pracowni numer 7. Cherlawe pędy pozostałych inicjatyw zginęły w nierównej walce.

Mamurin wybrał sobie Siódemkę: po pierwsze dlatego, że nie wypadało mu zostać podwładnym byłego swego podwładnego, Rojtmána, po drugie dlatego, że w ministerstwie także uważano za słuszne, by za plecami bezpartyjnego Jakonowa z hakiem w ankiecie, płonęło czyjeś bezsenne, czujne oko.

Od tej chwili Jakonow mógł sobie bywać nocami w instytucie, albo i nie bywać; zdegradowany pułkownik MWD, który poskromił w sobie Homera i Grybaczowa, samotny więzień o rozpalonych do białości oczach, o monstrualnie zapadłych policzkach, wzgardziwszy pokarmem i snem, nie szczędząc sił kierował cudzą pracą do drugiej w nocy, narzucając Siódemce piętnastogodzinny dzień roboczy. Warunki tak korzystne mogły być wytworzone tylko w Siódemce, Mamurina bowiem nie musiał kontrolować żaden wolniak i zbędne były ich nocne dyżury.

Właśnie do Siódemki udał się Jakonow, gdy zostawił w swoim gabinecie Wierieniewa z Nierżynem.

XI

S I Ó D E M K A

Podobnie, jak prości żołnierze — chociaż nikt im nie komunikuje generalskich dyrektyw — zawsze zdają sobie sprawę, czy znaleźli się na linii głównego natarcia, czy nie — tak też wśród trzystu zeków mawrińskiej *szaraszki* ugruntowało się słuszne przekonanie, że na linię głównego natarcia wysunięta jest właśnie Siódemka.

Wszyscy w instytucie znali jej właściwą nazwę: „laboratorium klippingu fonem”. Słowo *clipping* wzięte było z angielskiego i oznaczać miało przycinanie części mowy. Nie tylko każdy inżynier i tłumacz instytutu, lecz również monterzy, tokarze, frezerzy, wszyscy chyba aż do przygłuchego stolarza włącznie — wiedzieli, że całe to urządzenie powstaje według amerykańskich wzorów, ale w mocy była powszechna umowa, że istnieją tylko wzory krajowe: dlatego też amerykańskie pisma fachowe ze schematami i teoretycznymi artykułami o klippingu, które sprzedawano w New Yorku w kioskach gazetowych, tu były ponumerowane, spięte sznurkami, opatrzone tajną klauzulą i chowane pod pieczęcią w kasach ogniotrwałych — żeby ich właśnie amerykański szpieg nie wziął do ręki.

Klipping, damping, sprzężenie amplitud, elektroniczne różniczkowanie i całkowanie swobodnej ludzkiej mowy było takim samym pastwieniem się nad nią, jak gdyby ktoś zechciał rozbić na molekuły Nowy Atos¹ albo Gurzuf², wtłoczyć te części do miliarda pudełek zapalczanych, wymieszać je dobrze, przetrzucić samolotem do Nerczyńska, tam posegregować i złożyć na powrót

1. Słynny klasztor prawosławny wzorowany na greckim monasterze z góry Atos.

2. Jedno z uzdrowisk na południowym wybrzeżu Krymu.

w identyczną całość, dodając nadto podzwrotnikową atmosferę, szum przyprływu, wiatr z południa i blask księżyca.

To samo trzeba było zrobić z ludzką mową, dzieląc ją na molekuly-impulsy, później zaś odtwarzając ją tak, żeby nie tylko wszystko było zrozumiałe, ale żeby jeszcze Gospodarz mógł poznać po głosie z kim mówi.

W *szarazkach*, gdzie pędziło się życie półjedwabne i dokąd nie przenikało, zdawałoby się, zgrzytanie zębów z łagrów, z pola walki o byt, od dawna już trzymano się zasady raz na zawsze przez zwierzchność wprowadzonej: jeżeli badania doprowadziły do pomyślnych wyników, grupka zeków bezpośrednio z nimi związana otrzymywała wszystko: wolność, czysty paszport, mieszkanie w Moskwie, pozostali zaś nie dostawali nic — ani dnia darowanego, ani stu gramów wódki na cześć zwycięzców.

Nie było wypadków pośrednich.

Dlatego więźniowie, którzy najlepiej przyswoili sobie ową szczególną obozową chwytliwość, dzięki której zek potrafi, jak się zdaje, utrzymać się pazurami na lustrzanej ścianie, otóż najobrotniejsi więźniowie starali się trafić do Siódemki, aby z niej w y ł a b u d a ć się na wolność.

W ten sposób znalazł się tu inżynier Markuszew, człowiek bez skrupułów: z jego krostowatej twarzy wyczytać można było oddanie na śmierć i życie dla każdej myśli inżyniera-pułkownika Jakonowa. Tak też znaleźli się tu i inni o podobnym nastawieniu.

Ale przezorny Jakonow wybierał do Siódemki także tych — którzy wcale się o to nie starali. Takim był inżynier Amantaj Bułatow, kazański Tatar w dużych, rogowych okularach, otwarty, śmiejący się ogłuszająco, skazany na dziesięć lat za to, że znalazł się w niewoli i za kontakty z wrogiem ludu, Musą Dżalilem³. Takim był też Andrzej Andriejewicz Potapow, specjalista wcale nie od niskich napięć, tylko od wysokich i od budowy elektrowni. Do Mawrino trafił dzięki omyłce dyletanta, segregującego *dossiers* w kartotece GUŁagu. Ale że był z niego wybitny inżynier i człowiek bez reszty oddany pracy, Potapow dał sobie radę w Mawrino i stał się niezastąpionym znawcą aparatury do najbardziej dokładnych i zawiłych pomiarów radiowych.

Był tu jeszcze inżynier Chorobrow, znakomity radiowiec. Do grupy Nr 7 wyznaczony został na samym początku, kiedy była to zwykła sobie grupa. Ostatnio Siódemka już mu ciążyła, nie mógł pogodzić się z jej wściekłym tempem — a Mamurin też już miał go dość.

3. Znakomity poeta tatarski, organizator ruchu oporu w niemieckich obozach jeńców i jednostkach muzułmańskich ochotników. Później zrehabilitowany.

Wreszcie „przejmując dreszczem wielorakim zarówno ludzi jak rumaki” sprowadzony był do Siódemki aż spod Salechardu, ze sławetnej 501 budowy, z karnej brygady katorżnego łagru ponury więzień i genialny inżynier Aleksander Bobynin — i z punktu postawiono go na czele. Bobynin został wyrwany z pazurów śmierci. Bobynin był też pierwszym kandydatem na zwolnienie — w razie sukcesu badań. Dlatego przesiadywał w pracowni grubo po północy, ale pracował z wyrazem takiej wzdurliwej dumy, że Mamurin lękał go się i jemu jednemu nie ośmielał się robić uwag.

Siódemka była taką samą salą, jak Akustyka, tylko że piętro wyżej. Była tak samo wypełniona aparaturą i zbieraniną mebli, ale nie miała w kącie budki akustycznej.

Jakonow kilka razy dziennie wpadał do Siódemki, dlatego jego odwiedziny nie były tu uważane za wizyty oficjalne. Jedynie Markuszew z paroma lizusami postarał się wpaść mu w oczy i zakrzętnął się jeszcze żwawiej i weselej, Potapow zaś dostawił sobie jeszcze miernik częstotliwości by zasłonić puste miejsce na półce do przyborów, odgradzającej go od reszty pracowni. Pensum swoje wykonywał metodycznie, nie miał zaległości i teraz spokojnie majstrował sobie papierosnicę z czerwonej przejrzystej masy, żeby mieć jakiś upominek na jutro.

Mamurin wstał na widok Jakonowa i przywitał się, jak równy z równym. Miał na sobie nie granatowy kombinezon zwykłego zeka, lecz garnitur z drogiej wełny, ale i ten strój nie dodawał urody jego zniszczonej twarzy i kościstej figurze.

To, co malowało się teraz na jego czole koloru cytryny i bezkrwistych wargach umrzyka oznaczać miało radość i tak zostało przez Jakonowa zrozumiane.

— A, Anton Nikołaicz! Przetawiliśmy na co szesnasty impuls i jest o wiele lepiej. Niech pan posłucha, ja panu poczytam.

„Czytanie” i „słuchanie” — były to zwykłe sposoby sprawdzania jakości telefonicznego traktu: trakt zmieniano kilka razy dziennie przez dodanie, usunięcie albo zamianę jakiegoś ogniwa. Ale żeby za każdym razem zmieniać równolegle artykulację — to byłoby za dużo roboty, nie nadążyłoby się za konstruktywnymi pomysłami inżynierów, zresztą nie było sensu orientować się na mało pocieszające dane cyfrowe, płynące ze źródła niegdyś obiektywnego, teraz zaś opanowanego przez tego rojtmánowskiego faworyta, Nierżyna.

Przyzwyczajony już do chodzenia w koleinie, o nic nie pytając, nic nie objaśniając, Mamurin ruszył do odległego kąta sali, tam odwrócił się, przysunął słuchawkę do policzka i zaczął czytać przez telefon gazetę, Jakonow zaś, stojąc obok półki z instru-

mentami, nałożył słuchawki, włączone na drugim końcu traktu i zaczął słuchać. W słuchawkach działy się straszne rzeczy: każdemu dźwiękowi towarzyszyły trzaski, łoskot, zgrzyty. Lecz podobnie jak matka zakochanym okiem patrzy na kalectwo swego dziecka, tak samo Jakonow nie tylko nie zrywał słuchawek ze swych torturowanych uszu, ale wciąż uważniej wsłuchiwał się i dochodził do wniosku, że to okropieństwo było lepsze od okropieństwa, które słyszał przed obiadem. Mamurin przy tym wcale nie mówił zwyczajnie, jak mówią żywi ludzie, lecz recytował ze szczególną wyrazistością, nadto zaś czytał artykuł o bezczelności jugosłowiańskich wojsk pogranicznych i o skrajnym rozwyrzeniu krwawego kata Jugosławii, Rankowicza, który przekształcił ten miłujący wolność kraj w jedno wielkie więzienie — dlatego też Jakonow bez trudu odgadywał wszystko, czego nie mógł usłyszeć, świadom że to zgadywanka i zarazem ukrywając to przed sobą, coraz bardziej w końcu wierząc, że słyszalność jest teraz lepsza niż poprzednim razem.

Chciał jakoś podzielić się tą wiarą z Bobyninem. Masywny, szeroki w barach, z głową demonstracyjnie ostrzyżoną, chociaż w *szaraszce* wolno było czesać się wedle woli — Bobynin siedział opodał. Nawet się nie odwrócił przy wejściu Jakonowa do laboratorium i pochylony nad długą wstęgą foto-oscylogramu, coś mierzył ostrzami cyrkla.

Z Bobynina był marny robak, nędzny zek, człowiek najniższej kasty. Jakonow był możnowładcą.

I oto Jakonow nie ośmielał się oderwać Bobynina od roboty, chociaż bardzo miał na to ochotę.

Można zbudować Empire State Building. Wymusztrować pruską armię. Spiętrzyć hierarchię państwową ponad tron Stwórcy.

Nie można zaś przemóc dziwnej wyższości duchowej pewnych ludzi.

Są szeregowcy, których boją się dowódcy kompanii. Zwykli robotnicy — przed którymi truchleją majstrowie. Oskarżenia budzący lęk u prowadzących śledztwo.

Bobynin wiedział o tym i celowo taką właśnie obrał sobie taktykę wobec nadzorców. Rozmawiając z nim Jakonow za każdym razem chwycił się na tchórzliwej chęci, żeby przypodobać się temu zekowi, żeby go nie drażnić: buntował się przeciw temu uczuciu, ale wiedział że i inni tak samo rozmawiają z Bobyninem.

Zdejmując słuchawki, Jakonow przerwał Mamurinowi:

— Znacznie lepiej, panie Jakubie, znacznie! Dobrze by było, żeby Rubin posłuchał, on ma dobre ucho.

Ktoś tam kiedyś, rad z opinii Rubina, oznajmił że Rubin ma dobre ucho. Zgodzili się z tym bezwiednie wszyscy i jeli odtąd powtarzać. Rubin trafił do *szaraszki* przypadkiem i przedł tu cienko jako tłumacz. Lewe ucho miał takie jak wszyscy, zaś w prawym słuch dobrze przytępiony po kontuzji na Północno-Zachodnim froncie, co musiał ukrywać od chwili, gdy go pochwalono.

Sława jego „dobrego ucha” pozwoliła mu mocniej poczuć się w siodle, póki ostatecznie nie ugruntował swojej pozycji trzytomową kapitalną pracą pt. „Rosyjski język kolokwialny w świetle analizy audio-syntetycznej i elektroakustycznej”.

Zatelefonowano tedy do Akustyki po Rubina. Czekać na niego, zaczęli znów słuchać sami, już chyba po raz dziesiąty. Markuszew, marszcząc mocno brwi i natężając wzrok, potrzymał chwilę słuchawkę przy uchu i oznajmił stanowczo, że jest lepiej, nieco lepiej (pomysł przedstawienia na szesnaście impulsów pochodził od niego i Markuszew jeszcze przed początkiem próby wiedział, że będzie lepiej). Dyrsin uśmiechał się krzywo, jakby przepraszająco, i skinął głową. Bułatow wrzasnął na całe laboratorium, że trzeba uzgodnić rzecz z szyfrantami i przejść z kolei na trzydzieści dwa impulsy. Dwóch skorych do usług elektro-monterów, podzieliwszy się parą słuchawek, zaczęło słuchać — każdy jednym uchem — i natychmiast z wybuchem radości potwierdzili, że oczywiście, że teraz jest znacznie wyraźniej.

Bobylin, nie podnosząc głowy dalej mierzył swój oscylogram.

Czarna wskazówka dużego elektrycznego zegara ściennego przeskoczyła na pół do jedenastej. Wkrótce już we wszystkich laboratoriach — oprócz Siódemki — miano kończyć pracę, składać tajne dzienniki robót w kasach pancernych, zeki mieli iść spać, wolniaki zaś — biec do przystanku, skąd autobusy odchodziły już rzadziej o tej porze.

Ilia Terentiewicz Chorobrow, tyłami pracowni, żeby nie wpaść zwierchności w oko, podszedł do siedzącego za półką Potapowa. Chorobrow był z wiatskiego, z najdalszych okolic, gdzie diabeł mówi dobranoc — spod Kaja, gdzie na dobry tysiąc wiorst, po lasach i moczarach rozciągało się królestwo GUŁagu, większe od kilku Francji razem wziętych. Chorobrow napatrzył się i nauczył więcej, niż inni, ale obowiązek stałego ukrywania swoich myśli, tłumienia swego poczucia sprawiedliwości — zgiał mu grzbiet, uczynił spojrzenie niemiłym, wyorał ciężkie zmarszczki w kątach ust. Wreszcie — podczas pierwszych powojennych wyborów — nie wytrzymał i na kartce wyborczej dodał chłopskie wyzwisko do imienia Najgenialniejszego z Geniuszy. Było to w czasach kiedy brak rąk do pracy uniemożliwiał siewy

i odbudowę zrujnowanych domostw. Niemniej, kilku fachowych tajniaków przez cały miesiąc badało charakter pisma wszystkich wyborców rejonu — i Chorobrow doczekał się aresztowania. Do obozu jechał z naiwną satysfakcją, że przynajmniej się tam wynętrzy do syta. Ale gdzież, to był obóz dla kryminalistów! — na Chorobrowa posypały się donosy szpicli i musiał znów zamilknąć.

Rozsądek nakazywał mu teraz zmieszać się z tłumem pracujących w Siódemce i zapewnić sobie jeśli nie wolność, to przynajmniej życie bez kłopotów. Ale obrzydzenie wobec niesprawiedliwości, nawet nie jemu osobiście zadawanej, dławiło mu gardło z siłą, która odbiera człowiekowi chęć do życia.

Wszedł za półkę Potapowa, pochylił się nad jego stołem i cicho powiedział:

— Andreicz! Dosyć tego dobrego. Toć sobota.

Potapow dopasował właśnie do przejrzystej, czerwonej papierośnicy jasno-różowe wieczko. Pochylił głowę patrząc na swoje dzieło i zapytał:

— No jak, Terentiiacz, kolory pasują?

Nie doczekawszy się pochwały, ani przygany, Potapow rzucił na Chorobrowa znad okularów w drucianej oprawie babcine spojrzenie i powiedział:

— A po co drażnić bestię? Czas pracuje na naszą korzyść. Jak tylko Antoni sobie pójdzie, wyniesiemy się w tej chwili.

Miał zwyczaj dzielić na sylaby i podkreślać mimiką ważniejsze słowa w zdaniu.

Tymczasem nadszedł Rubin, akurat teraz, około jedenastej, kiedy roboczy dzień miał się ku końcowi, Rubin, który tego wieczoru był już i tak w lirycznym nastroju — miał tylko jedno pragnienie — czym prędzej wrócić do więzienia i czytać Hemingwaya. Mimo to postarał się nadać swojej twarzy wyraz jak największego zainteresowania innowacjami Siódemki i poprosił, aby czytał koniecznie Markuszew, bowiem jego wysoki głos o tonie zasadniczym w paśmie 160 herców powinien dawać stosunkowo najniższą słyszalność (taki stosunek do sprawy od razu zdradzał w nim specjalistę). Nałożywszy słuchawki Rubin parokrotnie kazał Markuszewowi czytać to głośniej, to ciszej, to znów powtarzać zdania: „Żywe leszcze szły pod prąd” i „Wspiął się na wspak spory szpak” — formuły te wymyślił sam Rubin dla sprawdzenia słyszalności poszczególnych grup zgłosek i wszyscy w *szaraszce* je znali. Wreszcie doszedł do wniosku, że daje się zauważyć ogólna tendencja dodatnia, samogłoski można już słyszeć po prostu świetnie, nieco gorzej ze

spółgłoskami głuchymi, niepokoi go dźwięk „z”, w ogóle zaś niedobrze jest z tak typową dla języków słowiańskich grupą spółgłosek „wsp”, nad czym też warto popracować.

Od razu rozległ się chór głosów wyrażających radość, że przewodnictwo, jak widać, się polepszyło. Bobynin podniósł głowę znad oscylogramu i tubalnym swoim basem powiedział z drwiną:

— Bzdury! Raz hejta, raz wišta. Co pomoże szukanie po omacku, trzeba znaleźć metodę.

Zapanowało niezręczne milczenie: Bobynin nie odwracał twardego spojrzenia.

Za swoją półką Potapow przyklejał acetonem różowe wieczko do papierośnicy. Całe trzy lata niemieckiej niewoli Potapow wytrzymał w obozach głównie dzięki swojej nadprzyrodzonej wręcz umiejętności majstrowania pięknych zapalniczek, papierośnic i fajeczek z byle śmiecia, nadto bez żadnych narzędzi.

Nikt nie przerywał jednak pracy! I to w przeddzień skradzionej im niedzieli!

Chorobrow rozprostował grzbiet. Położył swoje tajne wykresy na stole Potapowa, aby ten mógł oddać je do kasy — twardym krokiem wyszedł zza półki i bez pośpiechu skierował się w stronę drzwi, mijając tych którzy stłoczyli się przy klipperze.

Mamurin zamajaczył blade za jego plecami i zawołał:

— Ilia Terentiicz! A czemu to p a n nie posłucha? I w ogóle, dokąd to?

Chorobrow odwrócił się z tą samą powolnością, uśmiechnął się krzywo i odparł dzieląc głoski:

— Wolałbym o tym głośno nie mówić. Ale skoro pan na-le-ga, proszę bardzo: w danej chwili idę do ustępu, czyli wychodka. Jeżeli tam pójdzie mi gładko, to skieruję się następnie do więzienia, żeby wreszcie sobie pospać.

Zapadła pełna napięcia cisza i wtedy Bobynin roześmiał się gromko: nikt dotąd nie słyszał jego śmiechu.

To był bunt na pokładzie! Z gestem takim, jakby chciał Chorobrowa uderzyć, Mamurin ruszył w jego stronę i zapytał zmienionym, piskliwym głosem:

— Co to znaczy — spać? Wszyscy dookoła pracują, a ten chce spać?

Biorąc już za klamkę, Chorobrow odparł, ledwie nad sobą panując:

— A no — po prostu spać! Przepracowałem swoje konstytucyjne dwanaście godzin — i mam dosyć! — Już się zapiekl i miał dodać jeszcze coś całkiem nie do naprawienia, ale właśnie drzwi się otwarły i wkroczył dyżurny:

— Pułkowniku! Do miejskiego telefonu, pilne!

Jakonow podniósł się pospiesznie i wyszedł przed Chorobrowem.

Wkrótce Potapow też zgasił lampę na swoim biurku, przeniósł na stół Bułatowa tajne papiery swoje i Chorobrowa, po czym spokojnym krokiem, bez żadnych kłopotów, pokuszył się do wyjścia. Przypadał na prawą nogę po katastrofie motocyklowej, którą miał jeszcze przed wojną.

Do Jakonowa dzwonił wiceminister Sewastianow. Wzywał go do ministerstwa na dwunastą w nocy.

I to miało być życie!

Jakonow wrócił do swego gabinetu, gdzie zostawił był Wierieniewa z Nierżynem, odesłał tego ostatniego, zaproponował gościowi, że odwiezie go własnym autem, wdział płaszcz i już w rękawiczkach wrócił do biurka i pod notatką: „Nierżyna — skreślić” dodał jeszcze:

„— Chorobrowa również”.

XII

LEPIEJ BYŁO SKŁAMAĆ

Czując, że stała się rzecz nieodwracalna, ale jeszcze tego nie rozumiejąc, Nierzyn wrócił do Pracowni Akustyki — i nie zastał w niej Rubina. Reszta była bez zmian: Walentula tkwił w przejściu i dłubał coś przy podstawce z ponawtykanymi w nią tuzinami lamp radiowych. Zerknął bystro na wchodzącego.

— Spokojnie, chłopaczku! — zatrzymał Nierzyna podnosząc dłoń, jak gdyby zatrzymywał samochód. — Nie wie pan czasem dlaczego nie ma napięcia w trzecim obwodzie? — I przypomniał sobie: — Aha! Po co pana wzywano? Kes kese passe?

— Tylko bez chamstwa — uchylił się Nierzyn od odpowiedzi. Sposępniał. Temu kapłanowi wiedzy nie mógł przecież się przypisać, że wyparł się, że dopiero co wyparł się matematyki.

— Jeżeli ma pan kłopoty — doradził Walenty — to mam sposób: trochę muzyki tanecznej. Pan czytał tego? no, tego tam... no, papieros w zębach, na raz palimy, na dwa — won!... sam nie ruszy łopatą, innych namawia... no, aha, mam:

*„Własna milicja
Pilnuje mnie stale
Ach, jak w obozie
Jest wspaniale!”*

Bo i rzeczywiście — czego nam jeszcze brak?

Ale nie czekając na odpowiedź, zajęty nową myślą, Prianczykow wołał do montera:

— Wad'ka! Włącz no oscylograf!

Nierzyn podszedł do swego biurka, ale jeszcze zanim usiadł, już spostrzegł, że Simoczka była cała w nerwach.

— A gdzie nasz brodac, pani Serafimo?

— Też go wezwał Anton Nikołajewicz, do Siódemki — odparła głośno Símoczka. I podchodząc do centralki telefonicznej poprosiła jeszcze głośniejsze, tak, aby każdy słyszał:

— Gleb Wikentiewicz! Niech pan sprawdzi, jak ja odczytuję te nowe tablice. Mamy jeszcze pół godziny.

Símoczka była jednym ze stałych lektorów przy badaniach artykulacyjnych. Należało dbać o to, aby wszyscy lektorzy recytowali teksty według jednakowego standardu.

— Gdzież ja tu sprawdzę w takim hałasie?

— A... pójdziemy do budki. — Zerknęła znacząco na Nierzynę, wzięła tablice nakreślone tuszem na kalce kreślarskiej i poszła do budki.

Nierzyn wszedł tam za nią. Zarygłował z początku za sobą grube na łokieć, puste w środku drzwi, następnie przesunął się przez wewnętrzne, wąziutkie drzwiczki, zamknął je także, opuścił story. Sima zawisała na jego szyi, wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

Wziął na ręce leciutką dziewczynę — było tak ciasno, że noski jej pantofli stuknęły o ściankę — usiadł na jedynym krześle przed koncertowym mikrofonem i posadził ją na swoich kolanach.

— Po co Antoni pana wzywał? Coś złego się stało?

— A wzmacniacz nie włączony? My tu gadamy, a tam — gigantofony...

— Coś złego?

— Dlaczego zaraz coś złego?

— Od razu poczułam, jak tylko zadzwonili. I po pańskiej minie widać.

— Ile razy mam powtarzać, żebyś mówiła mi „ty”?

— A jeżeli mi trudno?

— Kiedy ja sobie życzę...

— Co złego się stało?

Czuł ciepło jej drobniutkiego ciała kolanami i policzkami, znów je przytulił. To była rzecz dla więźnia niesłychana! Ileż już lat nie czuł tego tak blisko!

Símoczka była zadziwiająco lekka. Jakby kości wewnątrz były puste, jakby może cała była z wosku — wydawała się nieważka aż do śmieszności, jak ptak, który więcej ma piór niż ciała.

— Tak, przepióreczko... Zdaje się... że niedługo stąd wyjadę.

Zwinęła mu się w rękę i gubiąc chustkę, co ją miała na ramionach, małutkimi dłońmi ścisnęła jego skronie:

— Dokąd?!

— Jak to — d o k ą d ? My jesteśmy ludzie otchłani. Wracamy zawsze tam, skądśmy wyszli — do obozu.

— Miły mój! Za co?

Nierzyn patrzył z bliska, ze zdumieniem w rozszerzone oczy tej nieładnej dziewczyny, której miłość tak niespodzianie mu przypadła. Przejęta była jego losem bardziej, niż on sam.

— Można było nawet tu zostać — powiedział niewesoło.

— Ale w innej pracowni. I tak bylibyśmy rozdzieleni...

Tuliła się do niego całym drobnym ciałkiem, całowała go, pytała raz po raz, czy ją kocha.

Więc czemu ją szczędził przez te wszystkie minione tygodnie, po pierwszym pocałunku — dlaczego żal mu było jej złudnego, przyszłego szczęścia? Toż nie znajdzie chyba narzeczonego, weźmie ją w końcu pierwszy lepszy tak sobie, mimochodem. Dziewczyna sama się naprasza — i z takim lęklwym napięciem wali im obojgu coś w piersi... Czemu odmawiać sobie — i jej? Tuż przed pogrążeniem się w obozowy odmęt, gdzie na pewno nic podobnego się nie zdarzy, za nic, przez wiele lat.

I Gleb powiedział z przejęciem:

— Szkoda mi będzie jechać... tak... Chciałbym zabrać ze sobą choć wspomnienie o... o twoim... o twojej... No, chciałbym, żebyś została... z dzieckiem...

Gwałtownie opuściła poczerwieniałą twarz i jęła opierać się jego palcom, którymi próbował znów podnieść jej głowę.

— Przepióreczko... no, nie chowaj się... No, podnieś głowę... Czemu nic nie mówisz? A ty — chcesz tego?

Podniosła wtedy głowę i powiedziała z głębi serca:

— Ja będę czekać na pana! Zostało jeszcze pięć lat? — to będę czekać pięć lat! A kiedy nadejdzie wolność — to wróci pan do mnie?

Tego jej nie przyrzekał. Tak z nim teraz mówiła, jakby nie miał nigdy żony. Więc tak chciała wyjść za mąż, biedactwo długonose!

Żona Gleba mieszkała gdzieś tutaj, w Moskwie, ale to było tak, jakby mieszkała na Marsie.

Prócz Śimoczki na kolanach i żony na Marsie były przecież jeszcze ukryte w biurku jego konspekty, które zabrały mu tyle czasu: jego pierwsze własne uwagi o latach, które przysły po śmierci Lenina, pierwsze formuły, w które włożył najlepsze swoje myśli.

W razie zesłania wszystkie te notatki musiałyby trafić do ognia.

Teraz właśnie trzeba było skłamać! Zełgać, naobiecować, jak się zawsze obiecuje. I w razie wyjazdu zostawić swoje notatki w bezpiecznym miejscu — u Śimoczki.

Ale nawet w imię takiej sprawy nie miał sił okłamać tych oczu, patrzących z taką nadzieją.

Uciekając przed nimi zaczął całować jej chude, kanciaste ramiona, które sam wyłuskał spod jej bluzki.

— Pytałaś mnie kiedyś, co takiego wciąż piszę — powiedział z oporem.

— No i co? Co ty piszesz? — z żywą ciekawością spytała Símoczka.

Gdyby nie przerwała mu i nie zapytała tak natarczywie — to chyba by jej teraz wszystko powiedział. Ale spytała niecierpliwie — i zaraz cały się napiął. Przez tyle już lat żył w świecie pociętym przemysłnymi drutami min, drutami, których trącenie zaraz powodowało wybuch.

Także i te ufne, zakochane oczy mogły odwalać tu robótkę dla oficera operacyjnego.

Bo też od czego się zaczęło? Nie on, tylko ona pierwsza przycisnęła wtedy policzek do jego twarzy. To wszystko mogło być ukartowane!...

— Takie historyczne kawałki — powiedział. — Historia, wiesz, okres Piotra Pierwszego... Ale mi na tym zależy. Póki mnie Antoni nie posłał do diabła — spróbuję pisać jeszcze. No i gdzież ja to podziękę, jak będę miał jechać?

I podejrzliwie zajrzał jej w oczy.

Símoczka uśmiechnęła się pogodnie.

— Jak to — gdzie? Ja ci to przechowam. Pisz, kochany. — I wracając do swoich kłopotów, spytała:

— A powiedz, czy bardzo ładna ta twoja żona?

Zadzwoił indukcyjny telefon polowy, który łączył budkę z pracownią. Sima podniosła słuchawkę: nacisnęła w niej klawisz, dzięki czemu można było słyszeć, co mówi, ale nie podniosła mikrofonu do ust, tylko — cała w pasach, z niedopiętą bluzką, zaczęły beznamiętnym, miarowym tonem czytać formuły z tablicy artykulacyjnej:

— ...dier...fskop...sztap...tak, słucham. Walenty Martynyc? O co chodzi? Podwójna dioda - trioda?... Sześć - G - siedem brak, ale mamy, zdaje się, sześć - ge - dwa... Zaraz skończę tablicę i wyjdę ...zan ...druć... — Puściła klawisz. Otarła się włosami o głowę Gleba.

— Trzeba już iść, zwracają uwagę. No, niech pan puści, błagam...

Ale w jej głosie nie słychać było stanowczości.

Jeszcze mocniej ją objął i przycisnął do siebie głowę, nogi, całą.

— Nigdzie nie pójdziesz!... Ja chcę tego... Ja...

— Proszę się opamiętać, tam na mnie czekają, czas zamykać pracownię!

— Tu! W tej chwili!

I nie przestawał całować.

— Tylko nie dziś!

— A kiedy?

Spojrzenie miała uległe:

— W poniedziałek. Będę znów mieć dyżur. Zamiast Lizy. Proszę przyjść podczas przerwy na kolację, będziemy mieć dla siebie całą godzinę. Jeżeli tylko ten wariat Walentula nie wymyśli sobie roboty...

Zanim Gleb otworzył pierwsze drzwi i odryglował drugie, Sima już zdążyła zapiąć się i przyczesać, po czym wyszła pierwsza, nieprzystępna, chłodna.

XIII

NIEBIESKIE ŚWIATŁO

— Tę niebieską żarówkę to jeszcze kiedyś butem rąbnę, tak mnie drażni.

— Ne trafisz.

— Pięć metrów — i nie trafię? Zakład o jutrzejszy kompot?

— Toż zżułeś but na dolnym posłaniu, dodaj z metr.

— No to sześć. Widziałeś co za gady, czego to nie wymyślą, żeby dokuczyć zekom. Całe noce oczy nam gniecie.

— Niebieskie światło?

— A pewno. Światło ma swoje ciśnienie. Odkrycie Lebie-diewa. Aristip Iwanycz nie śpi? Niech pan będzie tak dobry i zechce podać mi na górę jeden z moich butów.

— But mogę podać, panie Wiaczesławie, ale niech pan od-powie najpierw, co panu zawiniło niebieskie światło?

— A choćby to, że ma fale krótkie, za to kwanty duże. Kwanty mnie po oczach leją.

— Świeci sobie łagodnie, a mnie osobiście przypomina wie-czną lampkę, którą nam w dzieciństwie zapalała na noc mama.

— Mama! Z niebieskimi pagonami! Proszę, macie przykład, czy można ludziom dać nieograniczoną demokrację? Widzę prze-cież: w każdej celi, na każdy najgłupszy temat, niech to będzie — mycie misek, czy zmiatanie podłogi — zaraz ujawniają się wszystkie możliwe odcienie najzupełniej przeciwnych opinii. Wolność oznaczałaby zgubę dla ludzkości. Niestety, tylko pałka może wskazać jej słuszną drogę.

— A co myślicie, wieczna lampka byłaby tu na miejscu. Przecież to dawny ołtarz.

— Nie ołtarz, tylko kopuła nad absydą. Dodali tylko powałę między piętami.

— ... Panie Dymitrze! Co pan robi! Otwierać okno w grudniu! Dosyć tego.

— Panowie! Tylko tlen zapewni zekom nieśmiertelność. W izbie jest nas dwudziestu czterech, na dworze ani mrozu, ani wiatru. Otwieram na szerokość Erenburga.

— Co najmniej na półtora! Na górnych łóżkach duszno, jak diabli!

— Jak pan liczy Erenburga — na grubość?

— Nie, proszę panów, tylko na długość, akurat mieści się między futrynami.

— Zwariować można, gdzie mój waciak z łagru?

— Tych wszystkich miłośników tlenu posłałbym na Oj-Miakon, do ogólniaka. Jakby przepracowali sobie dwanaście godzin przy sześćdziesięciu stopniach poniżej zera — to by do chlewa wpęzli, byle by trochę ciepła poczuć!

— W zasadzie nie mam nic przeciw tlenowi, ale dlaczego ma być zawsze zimny? Głosuję za tlenem, ale ciepłym.

— ...Ki diabeł? Dlaczego tak ciemno? Tak wcześnie wyłączyli białe światło?

— Walentula, frajerze! Mogłeś dłużyć sobie jeszcze do pierwszej! Jakże światło ma być o północy?

— Ze mnie frajer, a z ciebie goguś!

*Leży goguś
Nad moją pryczą,
Tylko w łagrze
Żyje się byczo!¹*

Znów nadymione? No i po co palicie? Fe, ohyda... Ee, imbryk też już zimny.

— Gdzie Lew?

— A bo co, nie leży już w łóżku?

— A leży tam ze dwadzieścia książek, ale Lwa nie ma.

— No to pewno koło dwóch zer.

— Dlaczego — koło?

— A bo tam wkręcono białą żarówkę i ściana od kuchni grzeje. Pewno tam dłuży nad książką. Idę się myć. Co mu powiedzieć?

— No więc... Ścieli ci mnie na podłodze, a sobie zaraz obok na tapczanie. A kawał baby, powiadam ci, dobry kawał...

— Przyjaciele, bardzo proszę — o wszystkim innym, byle nie o babach. W *szaraszce*, przy tej mięsnej diecie, to wręcz niebezpieczny społecznie temat.

1. Walentula parodiuje poemat Majakowskiego „Choroszo!” („Byczo jest!”, w polskim tłumaczeniu A. Sandauera — „Dobrze!”).

— I w ogóle, dosyć, mołojcy, już po dzwonku.
— Jak ci się zechce spać, to i tak zaśniesz.
— Służyłem w Afryce. U Rommla. Jedno tam złe, że bardzo gorąco i wody nie ma...

— Na Oceanie Lodowatym jest taka jedna wyspa, Machotkina. A sam ten Machotkin, polarny lotnik, siedzi za antysowiecką agitację.

— ...Panie Michale, co pan się tam wciąż kręci?

— Co, nie wolno mi już obrócić się z boku na bok?

— Wolno, ale nich pan pamięta, że każdy pański mały ruch na dole odbija się na górze o wiele większym promieniem.

— Iwana Iwanycza widać minął obóz. Tam wagoniki są poczwórne, jeden się obróci, to trzej się trzęsą. A jak jeszcze kto na dole zasłone ze szmat zmajstruje, babę sprowadzi i zacznie zasuwac!... Sztorm na dwanaście stopni Beauforta! No i nic, śpi się jakoś.

— Panie Grzegorzu, a kiedy pan pierwszy raz trafił do *szaraszki*?

— ...Zamierzam włączyć tam pentodę i malutki opornik...

— ...Był z niego facet zaradny, pedant. Jak ci na noc zzuje buty, to nie zostawi nigdy na podłodze, tylko pod kark sobie podłoży.

— W tych latach próbowałbyś zostawić!

— ...W Oświęcimiu też byłem. Najstraszniejsze w tym Oświęcimiu to, że prosto z dworca szło się do pieca — i muzyka przy tym grała.

— ...Ryby tam cudowne, to raz, a po drugie — polowanie. Jesienią pospaceruje człowiek w szuwary — a tam dziki, w pole — to ma zające...

— ...Te wszystkie *szaraszki* zaczęły się w trzydziestym pierwszym, kiedy był proces Prompartii² i kiedy postanowiono wypróbować, jak też zeki-inżynierowie będą pracować w niewoli. Naczelnym inżynierem pierwszej *szaraszki* został w ten sposób Leonid Konstantinowicz Ramzin. Eksperyment się spodobał. Na wolności niesposób powołać do jednej grupy projektowej dwóch wybitnych inżynierów albo znakomitych uczonych: jak ci zacząć walczyć o rozgłos, o sławę, o nagrodę stalinowską, to jeden drugiego zagryzie, jak pić dać. Dlatego też wszystkie biura projektowe t a m — to tylko bledziutkie aureole dookoła jednej dobrej głowy. A w *szaraszce*? Ani sława, ani pieniądze

2. Organizacja nielegalna o programie technokratycznym rzekomo założona przez L. K. Ramzina. Jej proces był hasłem do represji przeciw inteligencji technicznej i tzw. speccom.

nikomu tu nie zagrażają. Nikołaj Nikołajewicz dostaje pół szklanki śmietany i Piotr Pietrowicz drugie pół. Tuzin niedźwiedzi z Akademii żyje sobie zgodnie w jednym barłogu, bo gdzie się podzięją? Pograją sobie w szachy, pykną sobie z fajeczki — nuda! A może by tak coś wynaleźć? Dlaczego nie? W ten sposób nie mało się zrobiło! Na tym właśnie polega podstawowa zasada *szaraszki*.

- Przyjaciele! Nowina! Bobynina dokąd zabrali!
- Walek, nie ujadaj, bo poduszką dostaniesz!
- Dokąd, Walentula?
- Jak go zabrali?
- Minor przyszedł i kazał mu wdziać palto, czapkę.
- To z rzeczami?
- Bez rzeczy.
- Na pewno do jakichś ważniaków.
- Do Fomy?
- Foma by sam przyjechał, mierz, bracie, wyżej.
- Herbata zimna, co za świństwo!...
- Walentula, a pan to zawsze łyżką o szklankę stuka po dzwonku, jak mi się to uprzykrzyło!
- Chwileczkę, a jak mam cukier mieszać?
- Bez fonii.
- Bez fonii odbywają się tylko kosmiczne katastrofy, bo w przestrzeni pozaziemskiej dźwięki się nie rozchodzą. Gdyby za naszymi plecami eksplodowała właśnie jakaś Nowa Gwiazda, to nic byśmy nie usłyszeli. Ruśka, kołdra ci spada, nie czujesz? Nie śpisz? A wiesz ty, że nasze słońce należy do gwiazd nowych i że ziemia skazana jest na zagładę w najbliższym już czasie?
- Nie chcę w to wierzyć. Jestem młody i chcę żyć!
- Cha-cha! Prymityw... Jaka zimna herbata! *Sole mio!* On chce żyć!
- Walek! Dokąd zabrali Bobynina?
- Skąd mam wiedzieć? Może do Stalina?
- A co by pan zrobił, Walentula, gdyby tak pana wezwano do Stalina?
- Mnie? Ho-ho! Dziecino! Założyłbym mu protest, punkt po punkcie!
- Na przykład?
- No, za wszystko, wszystko, wszystko. *Parekselians*
- dlaczego żyjemy tu bez kobiet? To zmniejsza nasze twórcze możliwości!
- Prianczyk! Stul buzię! Wszyscy dawno już śpią — czego wrzeszczysz?

- A jeśli nie mogę spać?
- Koledzy, kto tam pali, gasić, bo idzie minor.
- A ten tu po co, ścierwo?... Niech się tylko obywatel młodszy lejtnant nie potknie — tu łatwo nos rozbić.
- Prianczykow!
- Co?
- Gdzie jesteście? Jeszcze nie śpicie?
- Już śpię.
- Ubierać się, ubierać. Palto, czapka.
- Z rzeczami?
- Bez rzeczy. Samochód czeka, prędeż.
- Czy jadę razem z Bobyninem?
- Już pojechał, jest inny wóz.
- A jaki wóz obywatelu — suczka?
- Szybciej, szybciej, „Pobieda”.
- A kto wzywa?
- No, Prianczykow, no co ja wam będę tu wszystko tłumaczyć? Sam nie wiem, szybciej.
- Walek, a powiedz im tam!
- Powiedz o widzeniach! Co, gady, z pięćdziesiątego ósmego artykułu raz na rok się należy?
- Powiedz o spacerach!
- O listach!
- O przyodziewie!
- Rot front, chłopaki! Cha-cha! Adje!
- Towarzyszu, gdzie macie tego Prianczykowa?
- Już go daję, towarzyszu majorze, już, już! Już tu jest!
- Walek, wszystko im wyrąb, nie krępuj się!
- Widziałeś, jak te psy po nocy!
- Co się stało?
- Nigdy jeszcze tego nie było...
- Może wojna się zaczęła? Pod ściankę prowadzą?
- Wypluj to słowo, durniu! Kto by tam nas po jednym wozie? Skoro wojna się zacznie, to nas całą hurmą rozwalą, albo dżumy zadadzą w kaszy...
- No dobra już, spać, chłopaki. Jutro się dowiemy.
- ...owszem, zdarzało się — w trzydziestym dziewiątym, w czterdziestym — że jak Borysa Pietrowicza Steczkina zawezwie z *szaraszki* sam Beria, to już ci Steczkin z pustymi rękoma nie wróci: albo komendanta więzienia zmienia, albo spaceru

przedłużają... Steczkin znieść nie mógł tego systemu korupcji, tych kategorii żywienia, kiedy członkowie akademii dostają śmietanę i jajka, profesorowie — czterdzieści gramów masła, a robocze bydełko — po dwadzieścia... Porządny człowiek był z Borysa Pietrowicza, zasłużył sobie na żywot wieczny...

— Umarł?

— Nie, skąd, wyszedł na wolność... został laureatem.

XIV

DZIEWCZYNE! DZIEWCZYNE!

Ucichł w końcu również monotony, pełen znużenia głos weterana Adamsona, który poznał *szaraszki* jeszcze podczas swojej pierwszej odsiadki. Z dwóch kątów dochodziły jeszcze ostatnie szepty. Ktoś chrapał głośno i wstrętnie; zdawało się że zaraz nastąpi eksplozja.

Mdła, niebieska żarówka nad szerokimi, poczwórnymi drzwiami wypełniającymi cały łuk wejściowy ledwie oświetlała tuzin piętrowych, pospawanych łóżek rozstawionych wachlarzowato w dużej półkolistej izbie. Izba ta — jedyna może tego typu w Moskwie — miała średnicy dwanaście dobrych męskich kroków, w górze — wysoką, obszerną kopułę zbiegającą się stożkowato pod powalą sześciokątnej baszty, a wzdłuż okręgu — pięć foremnych, łukowato wyciętych okien. Okna były zakratowane, ale nie miały blinców i we dnie widać było przez nie po drugiej stronie szosy park, ogromny jak las, letnimi zaś wieczorami słyszać było mące spój duszy śpiewy niezamężnych dziewczyn z moskiewskiego przedmieścia.

Nierżyn nie spał na swoim górnym pościu pod środkowym oknem: nie starał się zresztą zasnąć. Inżyniera Potapowa na dolnym łóżku dawno już zmorzył zdrowy sen człowieka pracy. Na sąsiednich górnych narach — z lewej strony za przejściem ufnie rozrzucił ręce i posapywał krągłolicy technik o przezwisku „Ziemiela” (niżej ziało pustką łóżko Priancykowa), z prawej zaś strony, tuż obok, miotał się bez snu Ruśka Doronin, jeden z najmłodszych zeków *szaraszki*.

Teraz, gdy minął już jakiś czas od rozmowy w gabinecie Jakonowa, Nierżyn coraz jaśniej widział: wymówienie się od pracy w grupie kryptograficznej — to nie był wcale epizod z ankiety służbowej, tylko punkt zwrotny całego życia. Powi-

nien był nastąpić po nim — i to może już wkrótce — ciężki, długi przerzut etapem gdzieś na Sybir, albo w głąb Arktyki. Miała to być droga do śmierci, albo do zwycięstwa nad nią.

Chciał wmyśleć się w ten moment przełomu. Czego dokonał w ciągu tych ulgowych trzech lat w *szaraszce*? Czy wystarczająco zahartował swój charakter przed nowym skokiem w otchłań?

I akurat tak wypadło, że jutro Gleb skończy trzydzieści jeden lat (naturalnie wcale nie miał ochoty wspominać przyjaciółom o tej dacie). Czy to środek jego życiowej drogi? Czy może koniec już blisko? Czy to tylko początek?

Ale myśli się mąciły. Nie udawało mu się spojrzeć na rzecz z punktu widzenia wieczności. Dawała znać o sobie słabość: przecież jeszcze nie za późno wszystko naprawić, zgodzić się na tę kryptografię. To znów zgała pamięć krzywda — już od jedenastu miesięcy wciąż odkładają i odkładają mu widzenie z żoną, a czy dadzą właśnie teraz, przed odjazdem?

Ale też budził się w nim i podnosił głowę ten sam chwyt, który niegdyś zrodzić się musiał w dziecku stojącym w kolejkach po chleb za czasów pierwszej pięciolatki. Ten zaradny aliant wewnętrzny już obliczał sobie żwawo, jakie to czekają go *kipisze*¹ — przy wyjściu z Mawrina, podczas przyjęcia do Butyrek czy na Krasną Presnię — i jak schować w waciaku kawałki pokruszonego sztyftu do cyrkli, jakim sposobem zabrać ze sobą stary kombinezon (kto pracuje, ten rad by mieć siedem skór), jak dowieść, że aluminiowa łyżeczka do herbaty, noszona za pazuchą od chwili aresztu, jest własna, nie kradziona, nie z majątku *szaraszki* gdzie były takie same?

I już świerbiło — żeby zaraz, choćby przy niebieskiej lampce — wstawać z łóżka i brać się za przygotowania, za pakowanie i za małe pogrzeby pamiątek.

Tymczasem Ruśka Doronin raz po raz przewracał się na łóżku: to padał na brzuch, wciskając łeb w poduszkę aż po barki, naciągając koc i zdzierając go z nóg; później obracał się na wznak, zrzucał koc, tak że widać było całą białą poszwę i szarawe prześcieradło (przy okazji każdorazowej kąpieli w łaźni, zmieniano jedno lub drugie, ale teraz, przed końcem roku, specwiewienie przekroczyło limit mydła i łaźni już dawno nie było). Usiadł nagle na łóżku i odsunął się razem z poduszką wstecz, ku żelaznej poręczy: na rogu materaca leżał z nim razem opasły tom Mommsena „Dzieje Rzymu Starożytnego”. Widząc, że Nierżyn nie śpi i oczy wlepił w sinawą lampkę, Ruśka chrapliwym szeptem poprosił:

1. Rewizje.

— Gleb! Masz tam gdzie blisko papierosa? Daj.

Ruśka zwykle nie palił. Nierżyn sięgnął do kieszeni kombinezonu, wiszącego u wezgłowia, wyjął dwa papierosy i zapalili obaj.

Ruśka palił w skupieniu, nie patrząc na Nierżyna. Twarz miał zmienną, raz była to twarzyczka naiwnego chłopca, kiedy indziej — twarz natchnionego łgarza; teraz pod strzechą ciemno-płowych włosów nawet w cmentarnym świetle niebieskiej lampki wydawała się pociągająca.

— Masz tu — Nierżyn podstawił mu pustą paczkę po „Biełomorach” zamiast popielniczki.

Obaj strzasnęli do niej popiół.

Ruśka latem przybył do *szarazski*. Spodobał się Nierżynowi bardzo: od pierwszej chwili, budził chęć opieki nad sobą.

Ale okazało się że Ruśka, chociaż miał dopiero dwadzieścia trzy lata (a wrzepili mu dwadzieścia pięć lat obozu) wcale nie potrzebował opieki: zarówno charakter jego, jak poglądy ukształtowały się całkowicie — nie tyle w trakcie dwóch tygodni studiów na moskiewskim uniwersytecie, ani dwóch tygodni na leningradzkim, ile podczas dwóch lat życia na podrabianych papierach, gdy rozesłano za nim listy gończe po całym państwie (zwierzył się z tego Glebowi w głębokim sekrecie) — a także podczas dwóch ostatnich lat spędzonych w więzieniu. Błyskawicznie, jak to powiadają — z marszu, przejął i przyswoił sobie wilcze prawa GUŁagu, zawsze miał się na baczności, tylko wobec nielicznych był szczery, wobec innych udawał młodzieńczą otwartość. Był zresztą pełen energii, starał się jak najwięcej zrobić w jak najkrótszym czasie — i książki były jedną z takich jego pasji.

Gleb nierad ze swoich małosłownych i chaotycznych myśli, nie chciał teraz wcale spać i nie sądził, aby Ruśka bardziej był senny od niego, spytał więc szeptem, bo cała izba pogrążona już była w ciszy:

— No? Jak tam teoria cyklów?

Teorię tę przedyskutowali niedawno i Ruśka podjął się znaleźć dowody jej słuszności u Mommsena.

Ruśka odwrócił się słysząc szept, ale wzrok miał nieprzytomny. Twarz marszczyła mu się, zwłaszcza czoło, rysował się na niej wysiłek zrozumienia treści pytania.

— Jak tam z teorią cyklów, powiadam?

Ruśka westchnął głęboko: razem z westchnieniem opuściło go to napięcie i ten wyraz niepokoju, z jakim palił przed chwilą. Oklapł, oparł się ciężko na łokciu, rzucił zimny niedopałek do podsunętego mu pustego pudełka i powiedział niechętnie:

— Wszystkiego mam potąd. I książek. I teorii.

I znów zamilkli. Nierzyn chciał się już być obrócić na drugi bok, kiedy Ruśka nagle uśmiechnął się i zaczął szeptać, zapalając się coraz to bardziej i mówiąc coraz szybciej:

— Historia tak jest nudna, że aż mdli przy czytaniu. Im człowiek szlachetniejszy i uczciwszy, tym bardziej po chamsku postępują z nim rodacy. Spuriusz Kassjusz chciał, żeby plebs dostał ziemię — i właśnie plebs wydał go na śmierć. Spuriusz Manliusz chciał dać chleb głodującemu pospólstwu — i został stracony, bo dążył rzekomo do królewskiej korony. Marek Manliusz, dowódca, ten sam, którego obudziło gęganie sławetnych gęsi, dzięki czemu uratował Kapitol — dał w końcu głowę, jako zdrajca stanu! Co?... — roześmiał się — Wielkiego Hannibala, bez którego nie chcielibyśmy nawet słyszeć o Kartaginie — ta nędzna Kartagina wygnała, konfiskując mu cały dobytek i burząc jego dom! Wszystko już było... Już w tamtych czasach Gnejusza Newiusza zakuto w dyby, żeby odechciało mu się pisać odważne i bezkompromisowe sztuki. Już Etolczycy wymyślili fałszywą amnestię, żeby ściągnąć emigrantów do kraju i móc ich pozabijać. Już w Rzymie wykryto prawo, które później zostało zapomniane — że nie opłaca się niewolnika głodzić i że trzeba go karmić. Cała historia — to jedno wielkie kurewstwo! Nic w niej nie jest słuszne ani niesłuszne! I nie ma czego ludziom wskazywać! I nie ma żadnych celów!...

W martwym, sinym blasku osobiwie drażniący był grymas niewiary krzywiący te młode usta.

Do myśli takich doprowadził Ruśkę częściowo sam Nierzyn, ale teraz gdy głosił je Ruśka, budziły chęć protestu. Wśród swoich starszych kolegów Gleb lubił szargać świętości, ale poczuwał się do odpowiedzialności za młodsze go wiekiem aresztanta.

— Chciałbym zwrócić ci uwagę — powiedział Nierzyn bardzo cicho, schyliwszy się do samego ucha swojego sąsiada, że wszystkie teorie sceptycyzmu, czy tam agnostycyzmu albo pesymizmu, bez względu na to jak zmyślne i bezpardonowe — są, zrozum to wreszcie, już w samym założeniu skazane na bezpłodność. Nie mogą przecież wskazywać ludziom drogi do działania — bo ludzie nie mogą z a t r z y m a ć s i ę w drodze, a zatem nie mogą też wyrzec się teorii utwierdzających ich w czymś, wskazujących im jakąś drogę.

— Choćby nawet w trzęsawiska? Aby tylko leżeć dokądś? — odparł Ruśka ze złością.

— A choćby nawet... No, diabli wiedzą — zawahał się Gleb. — Zrozum, ja sam uważam, że sceptycyzm bardzo jest

ludzkości potrzebny. Potrzebny jest, aby wbić klina w te kamienne łby, żeby zatkać te fanatyczne gęby. Ale sceptycyzm nie może stać się twardym gruntem dla ludzkości. A jakiś grunt jest chyba potrzebny?

— Daj jeszcze szluga! — poprosił Rościśław. Zapalił: był cały w nerwach. — Słuchaj, jak to dobrze, że MGB² nie dało mi się uczyć — mówił gromkim, wyraźnym szeptem. — No, skończyłbym ten uniwersytet, nawet, powiedzmy, asystenturę i dalej kawał idioty. I zostałbym w końcu, przypuśćmy, uczonym. Napisałbym jakiś gruby tom. Po raz osiemset trzeci poruszyłbym kwestię nowogrodzkich podatków, albo wojny Cezara z Helwetami. Na świecie jest tyle kultur! języków! krajów! a w każdym kraju tylu mądrych ludzi i jeszcze więcej mądrych książek — jaki więc dureń to wszystko przeczyta? Jakeś to cytował? — „To, co jedni badacze z największym trudem wymyślą — inni, jeszcze wybitniejsi znawcy, uznają z czasem za iluzję”. — Prawda?

— No i proszę — powiedział Nierzyn karcącym tonem — tracisz wszelki grunt pod nogami i wszelki cel sprzed oczu. Wątpliwości są dobre i potrzebne. Ale czy człowiek nie musi w końcu czegoś kochać?

— Tak, tak, kochać! — solennym, chrapliwym szeptem przerwał mu Ruśka. — Kochać! — ale nie historię, nie teorię, tylko dziew-czy-nę! — Pochylił się nad leżącym obok Nierzynem i chwycił go za łokieć. — A c z e g ó ż t o nas właściwie pozbawiono, zastanów się! Prawa do siedzenia na zebraniach? Do podpisywania się na pożyczki? Jedyne, co nam Pachan mógł zrobić złego — to pozbawić nas kobiet! I to właśnie zrobił. Na dwadzieścia pięć lat! Sukinsyn! Kto sobie może wyobrazić — walnął się pięścią w pierś — czym jest kobieta dla więźnia?

— Ty... ty uważaj, żeby nie zwariować! — próbował bronić się Nierzyn, ale jego też przeniknęła fala nagłego gorąca, bo pomyślał o Simie i o jej obietnicy, że w poniedziałek wieczór... — Porzuć te myśli, zaćmią ci rozum. Wpędzą we freudowski kompleks, czy simpleks, albo jak tam to diabelstwo się zwie. I w ogóle — sublimacja. Przenieś całą tę energię w inne regiony! Zabierz się do filozofii — i nie trzeba ci będzie ani chleba, ani wody, ani ciepła kobiecego.

(Ale ten poniedziałek!... To, czego wcale nie cenią sobie ci żonaci i dzieciaci szczęśliwcy, a co jednak wzbiera w udręczonym więźniu dzikim dygotem!)

2. *Ministerstwo Gosudarstwennoj Biezopasnostii* — Ministerstwo bezpieczeństwa państwowego.

— Już mi rozum zaćmiło! Nie zasnę już tej nocy! Dziewczyna! Dziewczyna każdemu jest potrzebna! Żeby drżała, kiedy jej dotkniesz! Żeby... e, co tam! — Ruśka opuścił palącego się jeszcze papierosa na koc, ale nawet tego nie zauważył, odwrócił się raptem, z łomotem padł na brzuch i szarpnięciem naciągnął sobie koc na głowę, zrywając go z nóg.

Nierzyn ledwie zdążył schwycić i zgasić papierosa, staczającego się już między ich łózkami w dół, na Potapowa. Tak! — Tak! Trzeba tylko przeżyć niespełna dwie doby i już Símoczka... Nagle wyobraził sobie dokładnie, jak to będzie pojutrze — i odsuwając od siebie z drzeniem tę myśl słodką i przeraźliwą, tracąc już prawie zmysły, nachylił się nad uchem Ruśki:

— Ruśka! A masz ty kogoś? Kto ona?

— Tak! Mam! — Wyszeptał z udręką Rościśław, leżąc krzyżem na zmiętej poduszce. Dyszał w nią — i gorący dech poduszki i cały żar młodości, tak podle i bezpłodnie marnującej się w więzieniu — wszystko to paliło bezustannie jego młode, rwące się do świata i nie znające świata ciało. Powiedział „mam” i już sam chciał uwierzyć, że ma swoją dziewczynę, a miał tylko coś nieuchwytnego — nie żaden pocałunek, nawet nie obietnicę: miał tylko tyle, że dziewczyna z wyrazem współczucia i zachwytu słuchała dziś wieczorem, jak opowiadał o sobie i to spojrzenie kazało Ruśce pierwszy raz zobaczyć siebie samego jako bohatera, a swój życiorys — jako niezwykły. Nic jeszcze między nimi nie zaszło — i jednocześnie coś się przecież stało, coś, dzięki czemu mógł jednak powiedzieć, że ma dziewczynę.

— Ale kto to jest, powiedz — dopytywał się Gleb.

Spod ledwo uniesionego koca Ruśka odparł w ciemnościach:

— Cśś... Klara...

— Klara?? Córka prokuratora?!

XV

TRÓJKA ŁGARZY

Dyrektor departamentu Zero-Jeden kończył właśnie składanie raportu w gabinecie ministra Abakumowa.

Wysoki, z czarnymi, odrzuconymi z czoła włosami, w mundurze z dystynkcjami generalnego komisarza drugiego stopnia, Abakumow butnie rozpierał się łokciami na blacie swego potężnego biurka. Był dorodny, ale nie grzeszył tuszą (umiał dbać o linię i grywał nawet w tenisa). Oczywiście miał niegłupie: mieniła się w nim ruchliwie podejrzliwość i przenikliwość. Abakumow tu i ówdzie wtrącał swoje poprawki i dyrektor natychmiast je notował.

Gabinet Abakumowa nie był wprawdzie wielką salą, ale też nie przypominał zwykłego pokoju. Był tu nieczynny, marmurowy kominek (został jeszcze z hotelowych czasów) i wysokie stojące lustro. Plafon był wysoki ze sztukateriami i z żyrandolem wymalowanym w kupidyny i nimfy ścigające się wzajem (minister pozwolił zostawić bez zmiany wszystkie kolory prócz zielonego, ten zaś kazał zastąpić innym, bo go nie znosił). Były tu drzwi na balkon, nie otwierane nigdy ani zimą ani latem; były duże okna, wychodzące na plac, również zamknięte na głucho. Były również zegary — stojący, w okazałej szafce; kominkowy — z figurką i dworcowy, elektryczny — na ścianie. Zegary te wskazywały nie całkiem tę samą godzinę, ale Abakumow nigdy nie dawał się zwieść, bo miał jeszcze dwa złote zegarki przy sobie: jeden na włochatym przegubie, drugi w kieszonce.

W gmachu tym rozmiary gabinetów rosły proporcjonalnie do rang ich właścicieli. Rosły też biurka. Rosły stoły do posiedzeń, zasłane aksamitem. Ale najbujniej rosły portrety Wielkiego Generalissimusa. Nawet w gabinetach zwykłych oficerów śled-

czych wizerunek jego postaci przekraczał znacznie wymiary naturalne, w gabinecie zaś Abakumowa Najgenialniejszy Strateg wszystkich epok i narodów odmalowany został przez malarza-realistę na płótnie pięciometrowej wysokości, w całej okazałości, od butów z cholewami po marszałkowską czapkę, w blasku wszystkich orderów (których nigdy nie nosił), otrzymanych po większej części z własnego nadania, częściowo zaś — od innych królów i prezydentów: tylko jugosłowiańskie odznaczenia uległy starannemu zamalowaniu na kolor frencza.

Wszelako, czując jakby niedosyt w obliczu tego pięciometrowego wizerunku i pragnąc bezustannie pławić się w blasku obecności Najlepszego Przyjaciela Pracowników Kontrwywiadu, nawet wtedy gdy trzeba było pochylić się nad blatem — Abakumow miał jeszcze jeden portret Stalina, stojący na biurku.

Na innej jeszcze, pustej ścianie widniał kwadratowy portret słodkawego jegomościa w binoklach, któremu Abakumow podlegał bezpośrednio.

Po wyjściu dyrektora departamentu 0-1, w drzwiach gabinetu pojawili się jeden za drugim i tak samo gęsiego przeszli po wzorzystym dywanie — wiceminister Sewastianow, dyrektor departamentu techniki specjalnej Oskołupow i naczelny inżynier tegoż departamentu, inżynier-pułkownik Jakonow. Pilnie przestrzegając etykiety służbowej i manifestując osobliwy szacunek wobec właściciela gabinetu — kroczyli, starając się nie zboczyć ani o krok ze środkowego szlaczka na dywanie, gęsiego, po indiańsku, trop w trop, ale tak że słychać było tylko stąpanie Sewastianowa.

Chuderlawy starzec ze strzyżonymi na jeża włosami koloru pieprzu z solą, w szarym garniturze cywilnego kroju, Sewastianow wśród dziesięciu wiceministrów zajmował szczególną pozycję: uchodził jakby za nielinowego. Nie kierował organami operacyjnymi czy śledczymi, tylko łącznością i technicznymi subtelnościami. Dlatego podczas narad i w komunikatach wewnętrznych omijał go najczęściej gniew ministra i teraz, w tym gabinecie czuł się mniej skrępowany, toteż zaraz siadł sobie na pulchnym skórzanym fotelu przed biurkiem.

Gdy Sewastianow usiadł, ukazał się przed ministrem Oskołupow. Jakonow trzymał się za nim, wstydząc się jakby swojej okazałej postury.

Abakumow popatrzył na Oskołupowa, którego widział nie więcej niż trzy razy w życiu — i znalazł w nim coś sympatycznego. Oskołupow miał skłonność do tycia, szyja rozpierała mu kołnierz munduru, podbródek zaś, teraz służbiście wypięty, już mu trochę zwisał. Zgrubiła jego twarz była twarzą prostego,

rzetelnego wykonawcy rozkazów, nie zaś przemądrzałą gębą zarozumiałego inteligenta.

Zerknąwszy nad jego ramieniem na Jakonowa, Abakumow przymrużył oczy i zapytał:

— A tyś co za jeden?

— Ja — Oskołupow zgiął się aż, zgnębiony że go nie poznało.

— Ja? — Jakonow przesunął się trochę w bok. Wciągnął na ile mógł swój beczelnie miękki brzuch, który rozrósł się nie bacząc na wszystkie jego wysiłki — a jego duże, niebieskie oczy nie zdradzały żadnej myśli w chwili, gdy meldował swoje nazwisko.

— Ty, ty — sapnął potakująco minister. — Ty masz obiekt Mawrino, co? Dobra, siadajcie.

Usiedli.

Minister wziął do ręki nóż do papieru zrobiony z rubinowego pleksiglasu, poskrobał się nim za uchem i powiedział:

— Ogólnie biorąc... ile czasu już mi głowę kręcicie? Dwa lata? A według planu, toście mieli piętnaście miesięcy, co? Kiedy będą gotowe chociaż dwa aparaty? — i dodał z groźbą w głosie: — Tylko mi tu nie łgać! Nie znoszę łgania!

Na to właśnie pytanie przygotowali się trzej dostojni łgarze, gdy dowiedzieli się, że wezwani zostali równocześnie. W ustalonej z góry kolejności, zaczął Oskołupow. Wyrывая się jakby z własnych, podanych wstecz ramion i żarliwie patrząc prosto w oczy wszechmocnego ministra, Oskołupow oznajmił:

— Towarzyszu ministrze!... Towarzyszu generale-pułkowniku! Racście przyjąć zapewnienie, że kadry naszego departamentu nie będą żałować wysiłków...

Na twarzy Abakumowa odmalowało się zdziwienie:

— Co to? Czy to wiec, czy co? Co mi po waszych wysiłkach? Tyłek mam nimi podetrzeć, czy co? Pytam jasno — kiedy?

Ujął wieczne pióro ze złotą stalówką i podniósł je nad kalendarzem-agendą.

Wówczas — zgodnie z umową — zabrał głos Jakonow, już samym tonem i spokojnym brzmieniem dając do zrozumienia, że przemawia nie jako administrator, lecz jako specjalista:

— Towarzyszu ministrze! W paśmie częstotliwości do dwóch tysięcy czterystu herców włącznie, przy średniej wartości przekazu zero całych dziewięć dziesiątych nepera...

— Herc, herc! Zero całych, herc dziesiątych — tylko tyle potraficie! Na cholerę mi te twoje zero całych? Dałbyś tu lepiej ze dwa aparaty! Całe! Więc kiedy? Co? — I każdemu z nich zajrzał kolejno w oczy.

Teraz włączył się Sewastianow — spokojnie, gładząc jedną ręką swój popielato-siwy czub.

— Czy wolno wiedzieć naprzód, co macie na myśli ministrze? Łączność dwustronna nie jest jeszcze wsparta absolutną szyfracją...

— W konia mnie robisz, czy co? Jak to — bez szyfracji? — minister wbił w niego bystre spojrzenie.

Przed piętnastu laty, gdy Abakumow nie tylko nie był ministrem, ale kiedy to się jeszcze nie śniło nikomu — został zaś feldjegrem NKWD, jako chłop słusznego wzrostu — silny, długoręki i długonogi — wystarczyło mu zupełnie jego czteroklasowe wykształcenie elementarne. Doksztalał się tylko w zakresie ju-jitsu, uznawał zaś ćwiczenia jedynie w salach „Dynamo”.

Gdy wyjaśniło się natomiast — już później, w epoce rozbudowy i odmłodzenia kadry oficerów śledczych — że Abakumow dobrze radzi sobie w tym zawodzie, zręcznie i dziarsko kując w mordę badanych — gdy zaczęła się jego wielka kariera i gdy w ciągu siedmiu lat został szefem kontrwywiadu SMIERSZ, teraz zaś nawet ministrem — okazało się równocześnie, że na tej niebosiężnej trasie ani razu nie dał mu się we znaki brak wykształcenia. Starczało mu tu, na górze, orientacji na tyle, by podwładni nie mogli go nabierać.

Abakumow już zaczynał się wściekać i podniósł nad blatem zaciśniętą pięść wielkości brukowca — gdy otwarły się wysokie odrzwia i bez pukania wszedł Michał Dmitriewicz Riumin — niziutki, okrągłutki cherubinek z sympatycznym rumieńcem na policzkach, którego całe ministerstwo nazywało Mińka, rzadko jednak kto mówił mu tak prosto w oczy.

Szedł jak kot — bez szmeru. Podszedł, niewinnym, jasnym spojrzeniem obrzucił siedzących, uściśnął na przywitanie dłoń Sewastianowa (wiceminister podniósł się z krzesła), podszedł do węższego brzegu ministerskiego biurka, pochylił główkę i lekko gładząc krawędź blatu, zamruczał głosem pełnym zadumy i troski:

— Ministrze, jeżeli mamy w ogóle podejmować się wykonania takich zadań, to trzeba je poruczyć Sewastianowowi. Bo niby jak, za co im się płaci? Mieliby nie rozpoznać głosu, jak się im da taśmę nasłuchu? Toż lepiej rozpędzić ich wtedy na cztery wiatry!

I uśmiechnął się tak słodko, jakby częstował panienkę czekoladkami. I spojrzał na wszystkich trzech przedstawicieli departamentu.

Riumin sporo lat spędził jako człowiek zupełnie nic nie znaczący — był księgowym spółdzielni spożywców w obwodzie

archangielskim. Różowiutki, pulchny, o wargach cienkich i skrzywionych z pretensją, dręczył, jak tylko mógł, swoich rachmistrzów uszczypliwymi uwagami, ssał wciąż miętowe cukierki, częstował nimi ekspedytora, z kierowcami rozmawiał w tonach dyplomatycznych, z woźnicami — wyniośle. Nader starannie układał akta na biurku przewodniczącego.

Ale podczas wojny wzięto go do marynarki i przeszkolono na funkcjonariusza śledczego Wydziału Specjalnego. Przypadła mu do gustu ta robótka i już wkrótce Riumin zaczął zbierać materiały na pewnego Bogu ducha winnego korespondenta, przydzielonego do Floty północnej. Ale sprawę tę sklecił tak topornie i bezczelnie, że prokuratura — zwykle nie wtrącająca się do roboty o r g a n ó w, tym razem zawiadomiła Abakumowa. Mizerny śledczy ze SMIERSZ'a floty północnej wezwany został przed oblicze Abakumowa na mycie głowy. Nieśmiało wkroczył do gabinetu, gdzie miał zostać unicestwiony. Drzwi się zamknęły. Gdy otwarły się po godzinie, Riumin wyszedł z dumną miną i nominacją na starszego śledczego do spraw specjalnych w aparacie centralnym SMIERSZ'a.

Od tej chwili jego gwiazda bezustannie szła w górę.

— Bez tego też ich rozpędzę, kochany, możesz mi wierzyć. Taki popęd im dam, że gnaty sobie połamią! — odparł Abakumow i groźnie spojrzał na całą trójkę.

Wszyscy trzej opuścili ze skrucłą oczą.

— Ale o co ci właściwie chodzi — też nie bardzo rozumiem. W jaki sposób można przez telefon rozpoznać kogoś, kogo się nie zna?

— Toć dam im taśmę, rozmowa jest nagrana. Niech ją puszcza w ruch, niech porównają.

— No, a czyś już kogo zatrzymał?

— A jakże — uśmiechnął się Riumin ze słodyczą. — Z punktu wzięto czterech koło metra „Arbat”.

Ale twarz jego przebiegł cień. Zdawał sobie w gruncie rzeczy sprawę, że tych czterech wzięto za późno, że to nie oni. Ale skoro już zostali wzięci — to nie mogli być zwolnieni, nie było takich zwyczajów. Zresztą może któregoś z nich trzeba będzie w końcu zaszeregować do tej sprawy, żeby nie nazywało się, że brak winowajcy. W przymilnym głosie Riumina dało się słyszeć rozdrażnienie:

— Ja im tu zaraz pół ministerstwa spraw zagranicznych nagram, bardzo proszę. Ale to zbędne. Trzeba szukać wśród tych pięciu — siedmiu, nie więcej, co mogli znać tę sprawę.

— To wyaresztuj ich wszystkich, sukinsynów, po co to za-

wracanie głowy? — oburzył się Abakumow. — Siedmiu facetów! Rosja jest duża, nie zbiedniejemy!

— Nie da rady, ministrze — rozważnie wtrącił Riumin — MSZ to nie przemysł spożywczy, w ten sposób można wszystkie nasze nitki pozrywać; jak się dowiedzą w naszych ambasadach — zaraz zaczną się ferment. Tu trzeba dokładnie wiedzieć — kto? I to jak najszybciej.

— Hmm... — zamyślił się Abakumow. — Taśmę z taśmą... No, ale kiedyś przecież trzeba tę technikę opanować. Sewastianow, dacie radę?

— Jeszcze nie całkiem rozumiem, o co chodzi.

— A co tu jest do rozumienia? Tyle, co nic. Jakiś drań, gadzina jakaś, z pewnością dyplomata, bo by inaczej nie mógł znać sprawy, dziś przed wieczorem zadzwonił do takiego jednego profesora, nazwisko takie jakieś...

— Dobroumow — powiedział Riumin.

— Właśnie, Dobroumow. Lekarz. No, w ogóle to dopiero co wrócił z Francji, był w delegacji, a jak tam był, to obiecał, sukinsyn, jakiś tam swój nowy preparat posłać im — niby — jak to się mówi — dla wymiany doświadczeń, ścierwo. O sowieckim pierwszeństwie nie pomyśli! Więc było nam na rękę, żeby ten preparat im przekazał — my ich wtedy — cap! i gotowa duża polityczna sprawa na temat korzenia się przed Zachodem. A ten gad jakiś zadzwonił do profesora, żeby preparatu nie dawać. Tak czy owak profesora sobie weźmiemy i sprawę rozkręcimy, ale już będzie inna, zamacona. No, to jak? Zgadnij, kto taki, będziesz cacy.

Sewastianow ominął wzrokiem Ostołupowa i spojrzał na Jakonowa. Jakonow lekko podniósł brwi, prostując jakby ich łuki. Chciał przez to powiedzieć, że sprawa jest nowa, że metodyki brak, doświadczenia — idem, że kłopotów mają dosyć nawet bez tego, że w ogóle nie warto się podejmować. Sewastianow miał dość bystrości, aby zrozumieć i ten ruch brwi, i całą sytuację. Już był więc gotów skomplikować tę prostą sprawę w sposób możliwie największy.

Ale Foma Gurianowicz Oskołupow myślał przez ten czas na własny rachunek. Wcale nie chciał na swoim dyrektorskim stanowisku być tylko pałą w cudzym ręku. Od czasu, gdy otrzymał tę nominację, nabrał poczucia godności i sam wierzył już niezachwianie, że opanował wszystkie problemy i że potrafi orientować się w nich nie gorzej, niż inni — bo inaczej by przecież nie został na to stanowisko powołany. I chociaż swego czasu nie skończył nawet siedmiolatki, to dziś w ogóle nie pozwalał sobie na przypuszczenie, że ktokolwiek z podwładnych

mógłby znać się na rzeczy lepiej niż on — chyba w jakichś tam drobiazgach, albo w schematach, które wymagają po prostu skrupulatności. Niedawno był w pewnym pierwszorzędnym satorium, w cywilu, bez munduru i przedstawiał się jako profesor elektroniki. Poznał tam pewnego bardzo znanego pisarza, który formalnie oka nie spuszczał z Fomy Gurianowicza, wciąż coś notował w brulionie i twierdził, że obierze go za prototyp postaci współczesnego uczonego w swoim nowym dziele. Po tej kuracji Foma ostatecznie poczuł się uczonym.

I oto teraz z punktu zorientował się o co chodzi i ruszył z kopyta:

— Towarzyszu ministrze! To da się zrobić!

Sewastianow obejrzał się ze zdziwieniem:

— Na jakim obiekcie? W jakim laboratorium?

— A na telefonicznym, w Mawrinie. Przecież Michaił Dmitycz mówił, że to przez telefon. No więc?

— Ale Mawrino zajęte jest znacznie ważniejszymi zadaniami.

— Nie szkodzi! Znajdą się ludzie! Trzystu chłopów tam mamy — co, może nie znajdziemy?

I wbił w twarz ministra wzrok pełen służbistego oddania.

A Abakumow nie to żeby się uśmiechnął, ale na jego twarzy zjawił się wyraz pewnej sympatii do generała. Taki właśnie był sam Abakumow, kiedy szedł w górę — ślepo gotowy pokrajać na sieczkę każdego, kogo mu zwierzchność wskaże. Zawsze miły jest widok kogoś młodszego, kto cię przypomina.

— O, to jest zuch! — pochwalił go. — Tak właśnie trzeba! Przede wszystkim interes państwa, a dopiero potem wszystko inne. Prawda?

— Tak jest, towarzyszu ministrze! Tak jest, towarzyszu generale!

Riumin nie wydawał się wcale zdziwiony i ofiarność generała-majora nie zrobiła na nim pozornie żadnego wrażenia. Popatrzył pobieżnie na Sewastianowa i powiedział:

— No to rano wam to przywiozę.

Porozumiał się wzrokiem z Abakumowem i wyszedł bez szmeru.

Minister podłubał palcem w zębach: utkwilo mu tam mięso z kolacji.

— No więc kiedy? Zwodzą mnie i zwodzą — to że na pierwszego października, to na rocznicę rewolucji, to na nowy rok — a teraz?

I wlepił wzrok w Jakonowa, zmuszając właśnie jego do odpowiedzi.

Jakonow poczuł coś w rodzaju ucisku w okolicach szyi. Pokręcił nią lekko w lewo, potem w prawo. Spojrzał na ministra swoimi chłodnymi, niebieskimi oczyma — i zaraz je opuścił.

Jakonow uważał się za człowieka naprawdę utalentowanego. Wiedział też, że ludzie jeszcze bardziej utalentowani, dobre głowy, nie zaprzątnięte przy tym niczym innym, prócz tej roboty, po czternaście godzin dziennie, bez jednego wolnego dnia w roku ślęczą nad tym przeklętym wynalazkiem. Obcy autorzy publikujący swoje odkrycia w czasopiśmie, tu mają swój udział w konstruowaniu tego urządzenia. Jakonow znał także tysiączne trudności, już przewyciężone i dopiero rosnące, wśród których jego inżynierowie przemykali się, jak pływacy wśród raf. Owszem, za sześć dni mijał najostateczniejszy z ostatnich terminów, wyżebrany u tej sztuki mięsa przyobleczonej w mundur. Ale też zebrać i wyznaczyć bzdurne terminy trzeba było tylko dlatego, że tę pracę, wymagającą lat najmniej dziesięciu, Koryfeusz Wszech nauk zaraz na początku rozkazał wykonać w ciągu jednego roku.

Tam, w gabinecie Sewastianowa ustalili wspólnie, że będą prosić jeszcze o dziesięć dni zwłoki. Że obiecają dostarczyć dwa pierwsze aparaty na dziesiątego stycznia. Tego domagał się wice-minister. Liczyli na to, że przyniosą tu rzecz niedopracowaną, ale świeżo malowaną. A tymczasem, zanim dojdzie do badań próbnych i kontroli kompletności szyfrowania — minie jeszcze trochę czasu, a potem znowu będzie można poprosić o dodatkowe terminy na dopracowanie i udoskonalenie projektu.

Ale Jakonow wiedział, że przedmioty martwe nie liczą się z ludzkimi terminami i że dziesiątego stycznia też będzie z aparatu rozlegać się nie ludzki głos, tylko sieczka. I że z Jakonowem zajdzie nieuchronnie ten sam wypadek, co z Mamurinem: Gospodarz wezwie Berię i spyta: co za dureń robił tę maszynę? Zabierz go. I Jakonow też zostanie — w najlepszym wypadku — Żelazną Maską, a może nawet znów zwyczajnym zekiem.

I czując jak nieubłagane zaciska się pętla na jego szyi, Jakonow pokonał upokarzający lęk — i z tą samą bezwiednością, z jaką człowiek wciąga powietrze do płuc, powiedział chrapliwie:

— Jeszcze miesiąc! Jeszcze jeden miesiąc! Do pierwszego lutego!

I błagalnie, prawie po psiemu spojrzał ministrowi w oczy.

Ludzie utalentowani są często niesprawiedliwi wobec bliznich. Abakumow był rozumniejszy, niż to sobie Jakonow wyobrażał, tyle że rozum — wskutek długiego nieużywania — przestał mu być potrzebny: cała jego kariera tak się składała, że myślenie prowadziło go do klęsk, natomiast ślepe posłuszeństwo zapew-

niało sukcesy. I Abakumow starał się jak najrzadziej robić użytek z własnej głowy.

W głębi duszy mógł zdawać sobie sprawę, że nie pomoże sześć dni i nie pomoże miesiąc tam, gdzie nie pomogły dwa lata. Ale w jego oczach winą była po stronie tej trójki łgarzy, to oni sami sobie byli winni — ten Sewastianow, Oskołupow i Jakonow. Jeżeli to zadanie takie trudne, to dlaczego — podejmując się go dwadzieścia trzy miesiące temu — zgodzili się na roczny termin? Dlaczego nie zażądali trzech lat? (Już zdążył zapomnieć, jak bezlitośnie sam ich wtedy popędzał). Gdyby wtedy się przed nim uparli, on sam z kolei uparłby się przed Stalinem, dwa lata udałoby się wytargować, a jeszcze jeden rok — jakoś zmitrężyć.

Ale odruch strachu, ukształtowany w nich przez długoletnią dyscyplinę, był tak potężny, że żadnemu z nich, ani wówczas, ani teraz nie starczyło odwagi, aby bronić swego zdania wbrew zwierzchności.

Sam Abakumow trzymał się znanego, ordynarnego powiedzonka, że trzeba mieć zawsze coś na zapas — i zawsze dodawał parę miesięcy referując terminy prac. Tak było też tym razem: Josif Wissarionowicz miał obiecać, że jeden aparat będzie stał przed nim pierwszego marca. Ostatecznie więc można było popofolgować im i dodać jeszcze miesiąc — ale żeby to był naprawdę tylko miesiąc.

I biorąc znowu wieczne pióro, Abakumow spytał całkiem po prostu:

— Co to znaczy — miesiąc? Miesiąc — po ludzku, czy znowu łżecie?

— Na pewno! Na pewno — Oskołupow, uradowany ze szczęśliwego obrotu sprawy, tak promieniał, że mogło się здаwać, iż prosto z gabinetu rzuci się do Mawrina, aby tam własnoręcznie brać się za kolbę lutowniczą.

Abakumow skrzypnął piórem i zanotował w biurkowym kalendarzu:

— No więc. Na rocznicę śmierci Lenina¹. Wszyscy dostaniecie po nagrodzie stalinowskiej. Sewastianow — mur?

— Mur! Mur!

— Oskołupow! Bo łeb ukręcę! Mur?

— Ależ towarzyszu komisarzu generalny, tam przecież zostało całe parady...

— A — ty? Wiesz, czym ryzykujesz? Będzie, czy nie?

Dobytując z siebie resztkę odwagi, Jakonow raz jeszcze się upomniał:

1. 24 stycznia.

— Miesiąc! Do pierwszego lutego!

— A jeżeli na pierwszego nie zdążycie? Pułkownik! Radzę się zastanowić! Cyganisz!

Oczywiście, Jakonow cygań. I — rzecz jasna — trzeba było prosić o dwa miesiące. Ale już klamka zapadła.

— Zdążymy, towarzyszu komisarzu generalny — obiecał smętnym głosem.

— No, uważaj tylko, ja cię nie ciągnąłem za język! Wszystko mogę wybaczyć prócz oszustwa! Idźcie już.

Z wyrazem ulgi, gęsiego, tak jak przyszedli, trop w trop, wyszli z gabinetu, skromnie opuszczając wzrok przed obliczem pięciometrowego Stalina.

Ale cieszyli się przedwcześnie. Nie wiedzieli wcale, że minister zastawił już na nich pułapkę.

Ledwie ich wyprowadzono, minister odebrał meldunek:

— Inżynier Priancykow już doprowadzony!

XVI

SPRAWA WRZĄTKU

Na rozkaz Abakumowa tej nocy najsampierw Sewastianow wezwał Jakonowa, później zaś, już w tajemnicy przed nimi, do obiektu Mawrino wysłano dwa telefonogramy: wzywano do ministerstwa zeka Bobynina, a potem jeszcze zeka Prianczykowa. Bobynina i Prianczykowa wsadzono do dwóch oddzielnych samochodów i kazano im czekać w dwóch rozmaitych pokojach, by zapobiec jakiejś zмовie.

Ale Prianczykow nie był chyba zdolny do udziału w jakiegokolwiek zмовie, ani w ogóle do żadnych działań świadomych. Całą duszę rozkołysały mu dopiero co oglądane widoki Moskwy, migające raz po raz za szybami „Pobiedy”. Po paśmie przedmiejskich mroków, tym bardziej uderzał ten wjazd na lśniąca, szeroką szosę, wiodącą ku wesołemu chaosowi placu dworcowego i dalej — ku neonowym witrynom ulicznym. Prianczykow zapomniiał o kierowcy i o dwóch konwojujących go tajniakach — zdawało mu się, że nie powietrze wdycha i wydycha, lecz żywy ogień. Nie mógł oderwać się od szyby. Nigdy jeszcze nie wieszono go przez Moskwę za dnia, wieczornej zaś Moskwy nie oglądał jeszcze żaden więzień, jak *szaraszka szarazką!*

Przed Bramą Sretieńską samochód zatrzymał się: ludzie tłumnie wychodzili z kina, potem zapaliło się jeszcze czerwone światło na jakimś przejściu.

Wszystkim tym milionom więźniów wydawało się, że życie na wolności stanęło w miejscu pod ich nieobecność, że mężczyźni w ogóle nie ma, że samotne kobiety posypały głowy popiołem z nadmiaru nie dzielonej z nikim, nikomu nie potrzebnej miłości. A tu przewalał się syty, ożywiony tłum stołeczny, migwały kapelusze, woalki, srebrne lisy — i Walenty czuł wszystkimi rozedrganymi zmysłami, jak przez szczelne blachy samochodu

smagają go raz po raz, raz po raz perfumy przechodzących kobiet. Chłonał słuchem śmiech, niewyraźny gwar, strzępy zdań. Walenty miał ochotę rozbić choćby własnym łbem nietłukącą się szybę z masy plastycznej i krzyknąć tym kobietom, że jest młody, że się dręczy, że siedzi nie wiadomo za co. Po klasztornej klauzurze *szaraszki* to była jakaś feeria, częśćka tego w y t w o r n e g o życia, z którego nic dotąd nie udało mu się uszczknąć, bo studencka bieda, bo niewola, bo więzienie.

Siedząc już w poczekalni Priancykow nie widział wcale stojących tam krzeseł i stołów, przepełniające go uczucia i wrażenia nie chciały mu dać spokoju.

Jakiś młody, wyglansowany podpułkownik kazał mu iść za sobą. Priancykow — ze swoją chudziutką szyją, cienkimi przegubami rąk, wąskimi barkami i długimi nogami — nigdy jeszcze nie zdawał się tak szczupły i wąty jak w tym ogromnym gabinecie, na progu którego zostawił go adiutant.

Priancykow nie zorientował się nawet że to gabinet (tak był duży) i że para złotych epoletów w odległym końcu sali — to gospodarz gabinetu. Pięciometrowego Stalina za swoimi plecami też nie zauważył. Przed jego oczyma wciąż jeszcze kroczyły piękności moskiewskiej nocy i wirowała wieczorna Moskwa. Walenty czuł się jak po wódce. Trudno mu było pojąć skąd wziął się w tej sali, co to w ogóle za sala. Jeszcze dziwaczniejsza była myśl, że w jakiejś półokrągłej izbie, pod mżeniem niebieskiej lampki — chociaż pięć lat już minęło od końca wojny — stoi jego niedopita szklanka zimnej herbaty.

Nogi sunęły po dywanie, szczerze tu rozścielonym. Dywan był miękki, puszysty, człowiek chciałby się po nim po prostu tarzać. Z prawej strony rząd ogromnych okien, z lewej od sufitu do samej podłogi ogromne lustro.

Wolniaki niczego nie potrafią docenić! Dla zeka, korzystającego — i to nie zawsze — z lichego lusterka mieszczącego się w dłoni — zobaczyć się w dużym zwierciadle — to całe święto.

Priancykow zatrzymał się przed lustrem jak wryty. Podszedł do niego bardzo blisko z satysfakcją przyglądając się swojej czystej, świeżej twarzy. Poprawił krawat i kołnierzyk niebieskiej koszuli. Potem zaczął stopniowo się cofać, wciąż wpatrując się we własne odbicie — z przodu, z ukosa, z profilu. Podreptał w miejscu, wykonał półtaneczne pas, znów podszedł do lustra i przyjrzał się sobie z bliska. Doszedłszy do wniosku, że — nie bacząc na granatowy kombinezon — jest całkiem przystojny i elegancki, co wpawiło go w znakomity nastrój, ruszył dalej nie dlatego, że oczekiwała go tu ważna rozmowa (Priancykow

zupełnie o tym zapomniał), ale po prostu dlatego, że chciał kontynuować zwiedzanie.

Ten zaś, który na przestrzeni połowy globu mógł każdego wsadzić do więzienia, wszechwładny minister, na widok którego bledli generałowie i marszałkowie, patrzył teraz z ciekawością na tego chudego, granatowego zeka. Wyaresztował i skazał miliony ludzi, ale dawno już nie widział ich z bliska.

Spacerowym kroczkiem Priancykow podszedł bliżej i spojrzął na ministra z takim zdziwieniem, jakby wcale nie spodziewał się go tu ujrzeć.

— To wy jesteście inżynier... — Abakumow zajrzał dla pewności do notatek... — Priancykow?

— A tak — niedbale potwierdził Walenty — owszem.

— Jesteście naczelnym inżynierem zespołu... — znów zajrzał do notatek — ...aparatu sztucznej mowy?

— Jakiego znów aparatu sztucznej mowy! — zachnął się Priancykow. — Co za bzdura! U nas nikt tej nazwy nie używa. Przewali go tak w ramach walki z czołobitnością wobec Zachodu. Wo-koder. *Voice coder*. Szyfrowanie dźwięków.

— Ale to wy jesteście głównym inżynierem?

— To swoją drogą. A o co chodzi? — Priancykow zaniepokoił się.

— Proszę siadać.

Priancykow usiadł z ochotą, zręcznie podciągając zaprasowane nogawki swojego kombinezonu.

— Proszę rozmawiać ze mną zupełnie szczerze, nie lękając się żadnych represji ze strony bezpośrednich zwierzchników. Kiedy będzie gotów ten wokoder? Tylko szczerze! Za miesiąc? Albo może jednak potrzeba ze d w ó c h miesięcy? Mówcie bez żadnych obaw.

— Wokoder? Gotowy? Ha-ha-ha! — Priancykow roześmiał się dźwięcznym, młodzieńczym śmiechem, jaki nigdy wśród tych ścian się nie rozlegał, opadł plecami na miękkie, skórzane oparcie i klasnął w dłonie.

— Co też panu do głowy?... Co pan?! Pan widać po prostu nie rozumie, co to takiego wokoder! Zaraz to panu wyjaśnię!

Zerwał się sprężyscie z wyściełanego fotela i rzucił się do biurka Abakumowa.

— Ma pan tu kawałek papieru? O, jest! — wyrwał arkusz z czystego bloku leżącego na biurku ministra, chwycił jego pióro koloru świeżego mięsa i żwawo, choć byle jak, zaczął rysować spłot sinusoid.

Abakumow wcale się nie przestraszył: tyle dziecinnej otwartości i bezpośredniości było w głosie i we wszystkich ruchach

tego dziwnego inżyniera, że spokojnie zniósł ten napór i z ciekawością patrzył na Priancykowa, wcale go nie słuchając.

— Trzeba panu wiedzieć, że na ludzki głos składa się kilka szeregów harmoniczych — mówił Priancykow, zachłystując się prawie chęcią powiedzenia wszystkiego i to jak najprędzej. — Pomysł wokodera sprowadza się więc do sztucznej reprodukcji głosu ludzkiego... Co, u licha! Jak pan może pisać takim nędznym piórem?... reprodukcji drogą symulowania — jeśli nie wszystkich, to przynajmniej zasadniczych — składników harmoniczych; każdy z nich może być wysyłany przez osobny nadajnik impulsów. No, układ współrzędnych Kartezjusza jest panu, rzecz jasna, znany, to każdy uczeń wie, ale czy zna pan szeregi Fouriera?

— Chwileczkę — otrząsnął się Abakumow — proszę powiedzieć mi tylko to jedno: kiedy to będzie gotowe? Kiedy będzie skończone?

— Gotowe? Hmmm... Nad tym się jeszcze nie zastanawiałem.

Euforia, w jaką wprowadził Priancykowa widok stołecznego wieczoru przeszła już drogą bezwładu w nastrój towarzyszący zwykle ulubionemu jego zajęciu, toteż trudno mu było się teraz zatrzymać. — Najciekawsze, że sprawa znacznie się ułatwia, kiedy się idzie na celowe obniżenie rejestrów głosowych. Przy niskich timbre'ach ilość składników...

— Dobra, ale jaki termin? Na kiedy? Na pierwszego marca? Na pierwszego kwietnia?

— Oj, co też pan mówi! Kwietnia?... Bez kryptografów będziemy gotowi za... no, za cztery miesiące, za cztery, za pięć, nie wcześniej. A ile trzeba dodać na szyfrację i deszyfrację impulsów? Przecież przy tych operacjach jakoś jeszcze bardziej się obniży! Ale po co bawić się w proroctwa! — przekonywał Abakumowa ciągnąc go za rękaw. — Zaraz panu wyjaśnię. Sam pan wszystko zrozumie i na pewno się zgodzi, że właśnie dla dobrej sprawy nie wolno się spieszyć!

Ale Abakumow zastępnym wzrokiem wpatrując się w beżmyślną płataninę krzywych linii na wykresie, już zdążył nacisnąć guzik na biurku.

Zjawił się ten sam wyglansowany podpułkownik i poprowadził Priancykowa w stronę drzwi.

Priancykow szedł bez oporu, zaskoczony, z półotwartymi ustami. Najbardziej przygnębiło go to, że nie dopowiedział swojej myśli do końca. Później, już idąc ku drzwiom, przypomniał sobie, że koledzy prosili go, aby się poskarżył, żeby czegoś

zażądał... Obrócił się więc na pięcie i chciał ruszyć w stronę biurka:

— Aha! Niech pan posłucha! Zupełnie zapomniałem, że....

Ale podpułkownik zagroził mu drogę i jął wypychać za drzwi, dygnitarz zaś przy biurku ani myślał słuchać — i w tej oto chwili zamieszania z pamięci Priancykowa — dawno już zapełnionej do ostatka schematami radiotechnicznymi — ulotniły się, jak na złość, wszystkie bezprawia, wszystkie więzienne dolegliwości: jedno sobie tylko przypomniął i krzyknął w drzwiach:

— Bo na przykład ten wrzątek! Wraca człowiek późno wieczorem z pracy — a gdzie wrzątek! Nawet herbaty nie można się napić!...

— Sprawa wrzątku? — zapytał ten dygnitarz, pewno jakiś generał. — Dobra. Zajmiemy się tym.

XVII

BAJKA O RYBCE

W takim samym granatowym kombinezonie, ale rośły, rudy, z ogoloną katorzniczą głową wszedł z kolei Bobynin.

Okazał właśnie tyle uwagi wspaniałościom tego gabinetu, jakby tu bywał sto razy dziennie, podszedł do fotela nigdzie się nie zatrzymując i usiadł, nawet się nie witając. Wybrał sobie jeden z głębokich foteli stojących nieopodal ministerskiego biurka i wysmarkał się gruntownie w chustkę — nie najbielszą, wypraną własnoręcznie podczas ostatniej bytności w łaźni.

Abakumow, trochę zdezorientowany po wizycie Priancykowa i nie traktujący całkiem serio niepoważnego młodzieńca, był teraz zadowolony, Bobynin miał bowiem wygląd bardzo solidny. Nie krzyknął też po prostu „wstać!” ale sądząc, że wezwany nie wyznaje się na dystynkcjach wojskowych i nie wie, dokąd trafił po przebyciu całej amfilady komnat — zapytał nieomal życzliwie:

— A dlaczego to siadacie bez pozwolenia?

Bobynin zerknął od niechcienia na ministra kończąc jeszcze manewry z chustką i odparł całkiem po prostu:

— A bo, widzicie, istnieje takie chińskie przysłowie: stać jest lepiej, niżli chodzić, siedzieć — lepiej, niżli stać, a najlepiej to już leżeć.

— A czy zdajecie sobie sprawę, z kim macie do czynienia?

Wygodnie rozpierając się na fotelu Bobynin przyjrzał się teraz ministrowi i dał wyraz leniwemu domysłowi:

— Bo ja wiem — z kim? Chyba z kimś w rodzaju marszałka Goeringa?

— W c z y i m rodzaju?

— Marszałka Goeringa. Zwiedzał on kiedyś fabrykę samolotów koło Halle, gdzie musiałem pracować. Tamtejsi generałowie skakali przed nim na paluszkach, a ja tam nawet się nie

obejrzałem na niego. Stał sobie, popatrzył i poszedł dalej.

Twarz Abakumowa przebiegł grymas odlegle spokrewniony z uśmiechem, ale zaraz oczy mu spochmurniały: aresztant był nadto już bezczelny. Mrugnął z napięcia i spytał:

— Więc niby jak? Nie widzicie różnicy między nami?

— Między w a m i ? Czy między n a m i ? — głos Bobynina dudnił jak kute żelazo. — Różnicę między nami widzę doskonale: ja jestem wam potrzebny, a wy mnie — wcale!

Abakumow miał głos, co się zowie, piorunowy i potrafił nim napędzić strachu niejednemu. Ale czuł teraz, że krzyk byłby tutaj czymś bezradnym i niesolidnym. Zrozumiał, że to trudny więzień.

Więc tylko zagroził:

— Słuchajcie, no! Ja tu z wami łagodnie, ale wy się lepiej nie zapominajcie...

— Gdybyście próbowali ze mną po chamsku, to bym nawet nie odezwał się do was, obywatelu ministrze. Krzyczcie sobie na swoich pułkowników i generałów, oni za dużo mają z życia, im tego wszystkiego za bardzo żal!

— Jak będzie trzeba — to was też potrafimy zmusić.

— Omyłka, ministrze! — w ostrym spojrzeniu Bobynina błysnęła nienawiść. — Ja już nie mam niczego, rozumiecie — niczego nie mam! Do mojej żony i do mojego dziecka już się nie dobierzecie — zabrała je bomba. Moi rodzice — już zmarli. Cały mój majątek na tym świecie — to chustka do nosa, a ten kombinezon i ta bielizna bez guzików, co pod nim (szarpnął odzież na piersi i obnażył ją) — to państwowe. Wolność dawnoście mi zabrali, a zwrócić mi jej nie możecie, bo wam samym jej brak. Mam czterdzieści dwa lata, od was dostałem dwadzieścia pięć odsiadki, na katordze już byłem, numer nosiłem, i kajdanki znam, i pieski strażnicze, i brygadę karną — czym jeszcze możecie mi zagrozić? Czego jeszcze pozbawić? Inżynierskiej roboty? Sami więcej przez to straciecie... Zapaliłbym sobie.

Abakumow otworzył pudełko papierosów „Trojka” specjalnego gatunku i podsunął je w stronę Bobynina.

— Proszę, weźcie sobie.

— Dziękuję. Nie zmieniam marki. Kaszel. — I wyłuskał „bielomora” z papierośnicy własnej roboty. — A w ogóle, to zrozumcie nareszcie — i powiedzcie tam wyżej komu należy, że jesteście mocni tylko o tyle, o ile zabieracie ludziom nie wszystko. Człowiek, któremu zabraliście wszystko już wam wcale nie podlega, już znowu jest wolny.

Bobynin zamilkł i skoncentrował się na paleniu. Miał satysfakcję z tego, że rozdrażnił ministra i miło mu było wylegiwać

się na takim wygodnym fotelu. Żałował tylko, że dla efektu wyrzekł się wytwornych papierosów.

Minister zajął do papierka.

— Inżynierze Bobynin! Jesteście naczelnym inżynierem zespołu klippingowego?

— Tak.

— Proszę, abyście określili mi jak najdokładniej termin, w którym wasz aparat gotów będzie do eksploatacji.

Bobynin podniósł gęste, ciemne brwi.

— Co to za nowa moda? To już nie znalazł się nikt ważniejszy ode mnie, żeby wam to powiedzieć?

— Chcę wiedzieć właśnie z waszych ust. Będzie gotowe w lutym?

— W lutym? Kpicie, czy co? Jeżeli tylko dla sprawozdawczości, żeby się nazywało, ale żeby lepiej nie tykać — no, jak dobrze pójdzie... za jakieś pół roku. Ale ze stuprocentową szyfrawą? Nie mam pojęcia. Może być — za jakiś rok.

Abakumow był ogłuszony. Stało mu przed oczyma gniewne i niecierpliwe drgnięcie wąsów Gospodarza — i zgroza go zdjęła na myśl o tych obietnicach, które mu dał, opierając się na słowach Sewastianowa. Wszystko w nim się zapadło, jak u człowieka, który przyszedł wykurować się od chrypki i powiedział się, że ma raka krtani.

Minister podparł głowę oburącz i powiedział przez ściśnięte gardło:

— Bobynin! Proszę, abyście dobrze zważyli, co mówicie. Jeżeli da się jednak szybciej, to powiedzcie, co trzeba zrobić w tym celu?

— Szybciej? Nie da rady.

— Ale dlaczego? Z jakiej przyczyny? Kto winien? Powiedzcie, nie bójcie się! Wymieńcie mi tu winnych, mniejsza, co tam mają na epoletach! Ja z nich te epolety pozrywam!

Bobynin odrzucił głowę wstecz, wpatrując się w plafon, na którym igrały nimfy opiekuńcze towarzystwa asekuracyjnego „Rosja”.

— Przecież to zanoszą się na półtrzecia roku, może na trzy lata! — pieniał się minister. — A wam dano r o c z n y termin!

Bobynin już nie wytrzymał.

— Co to znaczy — d a n o t e r m i n ? Jak wy sobie wyobrażacie naukę: Złota rybko, pływ tu szybko, zbuduj mi rybko kochana, pałac do jutra rana? A jeśli problem w ogóle źle jest postawiony? A jeśli pojawiają się całkiem nowe zjawiska? Dano wam termin! A przychodzi wam czasem do głowy, że prócz rozkazów potrzebni są jeszcze spokojni, syci, wolni ludzie? I bez

tej całej atmosfery podejrzeń?! Dopiero co przenosiliśmy z miejsca na miejsce taką niedużą tokarenkę — i nie wiadomo, czy w trakcie tego, czy może już w innych rękach — pękł jeden wspornik. Diabli wiedzą, dlaczego pękł! Spawanie kosztuje nie więcej, niż trzydzieści rubli. Zresztą, sama tokarka — już do dupy, może mieć ze sto pięćdziesiąt lat, bez silnika, napęd otwarty, na skórzany pas! Ale przez to pęknięcie wasz operacyjny, major Szykin, dwa tygodnie już wszystkich nęka, bada, szuka, węszy — komu by tu wrzepić drugi wyrok — za sabotaż. Przy pracy jeden taki o p e r -darmozjad, w więzieniu też jeszcze jeden o p e r -darmozjad, nerwy tylko ludziom szarpia, wciąż jakieś protokoły, jakieś kruczki — a na diabła ta cała o p e r a ? Wszyscy przecież gadają, że pracujemy nad tajnym systemem telefonicznym dla Stalina, że sam Stalin tu pili — i nawet na takim odcinku nie potraficie zapewnić robocie technicznego zaplecza, zaopatrzyć, jak należy — to brak potrzebnych kondensatorów, to lampy radiowe nie takie, jak trzeba, to znów za mało elektronicznych oscylografów. Mizeria! Wstyd! „Kto winien”? A czy pomyśleliście o ludziach? Harują na was po dwanaście, niektórzy po szesnaście godzin dziennie — a wy mięso wydzielacie tylko najlepszym inżynierom, inni dostają kości!... A widzeń z rodziną dlaczego nie dajecie, tym co siedzą z artykułu pięćdziesiąt osiem? Należy się co miesiąc, a wy pozwalacie raz na rok! Co, może nastrój przez to wszystko robi się lepszy? A może wam s u k nie starcza do wożenia więźniów? Albo za mały macie budżet, żeby płacić nadzorcom za te wychodne? Rygor! Rygor wam łby zagwoździł, niedługo całkiem skołowaciecie przez te rygory. Dawniej można było w niedzielę wyjść na spacer, kiedy wola — teraz zabronione. No i po co? Żeby ludzie lepiej pracowali? Zbieracie śmietanę, żeby gówno robić? Przez to, że ludzie duszą się bez powietrza — wcale robota nie pójdzie sporzej. Ale co tu gadać! Po coście mnie, na przykład, zrywali po nocy? Dnia wam za mało? Ja muszę przecież rano iść do roboty. Mnie jest sen potrzebny.

Bobyнин wyprostował się, pełen gniewu, ogromny.

Abakumow dyszał ciężko, wsparty o krawędź biurka.

Było za pięć pół do drugiej w nocy. Za godzinę, o pół do trzeciej, Abakumow powinien był stawić się z gotowym meldunkiem u Stalina, na dacy w Kuncewie.

Jeżeli ten inżynier mówi prawdę — to jak teraz wybrnąć? Stalin — nie wybacz...

Odsyłając Bobynina, Abakumow przypomniawszy sobie naraz tę trójkę łgarzy z Departamentu Techniki Specjalnej. Owładnęła nim ślepa wściekłość.

I zadzwonił, żeby mu ich przysłano.

XVIII

J U B I L A T

Pokój był ani duży, ani wysoki. Okien nie miał wcale, za to drzwi było dwoje. Mimo braku lufcika, powietrze było świeże, przyjemne (specjalny inżynier odpowiadał za wentylację i za chemiczną nieszkodliwość składu atmosfery).

Sporo miejsca zajmowała miękka, ciemna otomana, zarzucona poduszkami w kwiaty.

Na ścianie nad nią świecił się podwójny brademur osłonięty klosikami z różowego szkła.

Na otomanie spoczywał człowiek, którego wizerunek tyle razy był rzeźbiony, malowany olejnymi farbami, akwerelami, gwaszem, sepią, rysowany węglem, tłuczoną cegłą, układany ze żwiru, muszli morskich, płytek mozaikowych, z ziaren pszenicznych i sojowych bobów, rżnięty w kości, hodowany z traw, tkany na dywanach, zestawiony z lecących samolotów, zdejmowany na filmowej taśmie — jak niczyj inny w ciągu trzech miliardów lat istnienia skorupy ziemskiej.

A on leżał sobie po prostu, lekko podkurczywszy nogi w miękkich, kaukaskich butach, przypominających obcisłe skarpety. Nosił frencz z czterema dużymi kieszeniami — po bokach i na piersiach, stary, dobrze znoszony, jeden z tych starych, koloru khaki, czarnych bądź białych frenczów, jakie miał zwyczaj nosić od czasów wojny domowej, a zamienił na marszałkowski uniform dopiero po Stalingradzie.

Imię tego człowieka odmieniały gazety całego globu, miedliły usta tysięcy speakerów w setkach języków, wykrzykiwali je mówcy na początku i końcu swoich przemówień, wyśpiewywały wysokie głosiki pionierów, intonowali je archijereje w modlitewnych pieniach. To imię stygło na martwiejących wargach jeńców, na obrzmiałych dziąsłach więźniów. Imię to nadano niezliczonym miastom i placom, ulicom i promenadom, uczelniom,

sanatorium, łańcuchom górskim, morskim kanałom, fabrykom, kopalniom, sowchozom, kołchozom, pancernikom, łamaczom lodów, rybackim barkom, spółdzielniom szewskim i żłobkom, grupa zaś moskiewskich dziennikarzy proponowała, aby to imię nosiły odtąd Wołga i Księżyc.

A to był tylko niski starzec z suchą torbielą skórą na szyi (na portretach nie było jej widać), z ustami woniejącymi tureckim tytoniem, z palcami, zostawiającymi tłuste ślady na książkach. Wczoraj i dziś czuł się kiepsko. Chociaż powietrze było ciepłe ziało przenikał mu plecy i barki, narzucił więc na nie bury szal z wielbłądziej sierści.

Nic go nie piliło, więc z satysfakcją wertował niewielką książeczkę w twardej, brązowej oprawie. Z przyjemnością patrzył na fotografie, tu i ówdzie zaglądał do tekstu, który znał prawie na pamięć, po czym znów przerzucał stronicę. Książeczka była poręczna, mogła bez zginania zmieścić się w kieszeni płaszcza, mogła wszędzie towarzyszyć ludziom w ich życiu. Miała ze ćwierć tysiąca stron, ale czcionka była wyraźna, duża i gruba, tak, że mogli ją bez trudu czytać nawet półpiśmienni i starzy ludzie. Na okładce wytłoczone były złote litery: „Josif Wissarionowicz Stalin. Krótki życiorys”.

Proste, uczciwe słowa składające się na tę książkę zapadały w ludzką duszę spokojnie i nieodwołalnie: Geniusz strategii. Jego przewidująca mądrość. Jego mocarna wola. Jego żelazna wola. Od 1918-go był rzeczywistym zastępcą Lenina. (A tak, a tak, tak właśnie było!) Rewolucyjny wódz, zastał na froncie rozgardiasz, bezhołowie. To wskazania Stalina legły u podstaw operacyjnego planu Frunzego...

(Słusznie, słusznie). To nasze całe szczęście, że podczas trudnych lat Ojczyźnianej Wojny prowadził nas mądry i doświadczony Wódz — Wielki Stalin. (Tak, ten naród miał szczęście...). Wszyscy znają miażdżącą siłę stalinowskiej logiki, kryształową jasność jego umysłu... (Bez fałszywej skromności — to wszystko prawda). Jak miłuje on lud. Jak nie znosi uroczystej pompy. Jak zadziwiająco jest skromny. (Skromność — jakież to prawdziwe).

Bardzo dobrze. I podobno idzie, jak woda. Drugie wydanie, właśnie to, wyszło w pięciu milionach egzemplarzy. Jak na taki kraj — to przymało. Trzeci nakład powinien mieć jakieś dziesięć, dwadzieścia milionów. Sprzedawać wprost po fabrykach, w szkołach, w kołchozach.

Mdliło go. Odłożył książkę, wziął z okrągłego stolika obrany owoc *f e j c h u a*, odgryzł kęs. Gdy się go possie, mdłości ustępują, a w ustach zostaje przyjemny smak, zaprawiony lekko jodem.

Wiedział to już, ale wciąż bał się przyznać, że z miesiąca na miesiąc zdrowie jego coraz to bardziej szwankowało. Zdarzały mu się nagłe luki w pamięci. Dręczyły mdłości. Nie czuł wyraźnych bólów, ale obrzydliwa niemoc przykuwała go do otomany na całe godziny. Sen też nie dawał wytchnienia: budził się tak samo niewypoczęty, rozbity, z ciężką głową, jak był zasnął, i wcale nie chciało mu się wstawać.

Wedle kaukaskich pojęć — siedemdziesięcioletek — to jeszcze dżygit! — jeszcze da radę górze, koniowi, kobiecie! Toć miał takie zdrowie! takie zdrowie! Więc powinien dożyć do dziewięćdziesiątki! Ale cóż to się teraz stało? W trakcie ostatniego roku Stalin stracił jedną z wielkich radości życia — zdolność do rozkoszowania się smacznym jadem. Sok z pomarańczy szczypał mu język, kawior kleił się do zębów, i nawet ostre *charczo*¹, którego jeść mu nie było wolno, jadł z mętą obojętnością. Podziały się też gdzieś dawno ostre emocje przy wyborze win; gdy sobie podchmielił — zaraz przychodził tępy ból głowy. Czuł obrzydzenie na samą myśl o kobiecie.

Założywszy, że dożyje do dziewięćdziesiątki, Stalin z żalem myślał, że te lata nie przysporzą mu osobistych radości, że po prostu zobowiązany jest pomęczyć się jeszcze dwadzieścia lat dla dobra ludzkości.

Pewien lekarz ostrzegł go, że... (Zresztą, chyba go później rozstrzelano). Luminarzom moskiewskiej medycyny drżą lekarские słuchawki w rękę. Nie ordynują mu żadnych zastrzyków (on sam zakazał zastrzyków) tylko d'Arsonval i „jak najwięcej owoców”! Ucz kaukaskiego człowieka, co to są owoce!

Odgryzł jeszcze kęs i przymknął oczy.

Trzy dni temu skończyły się huczne obchody jego urodzin, tego siedemdziesięciolecia pełnego chwały. Tak oto je święcił: 20-go wieczorem zatłuczono na śmierć Trajczko Kostowa. Dopiero kiedy już zastygło szklivo na tych sobaczych oczach — mogło zacząć się prawdziwe święto. 21-go, w Teatrze Wielkim odbyła się uroczysta akademія, przemawiał Mao Tse-tung, Ibarruri i inni towarzysze. Później był wielki bankiet. Jeszcze później — bankiet w ściślejszym gronie. Pito stare wina z hiszpańskich piwnic. Trzeba było pić z rezerwą, wypatrując cały czas piętna obłudy na poczerwieniałych twarzach. Wreszcie — już sam na sam z Berią — pili sobie kachetyńskie i śpiewali gruzińskie pieśni. 22-go było wielkie przyjęcie dla dyplomacji. 23-go oglądał filmy o sobie — drugą serię „Stalingradzkiej bitwy” Wirty i „Niezapomniany rok 1919” Wiszniewskiego.

1. Polewka z baraniny, papryki, ryżu, pomidorów, kwaszonych owoców.

Chociaż pokaz go zmęczył, ale te utwory bardzo mu się podobały (dać im obu po nagrodzie stalinowskiej!) Teraz to już o wiele bliższe sedna staje się ujęcie jego roli — nie tylko w Wielkiej Ojczyźnie, ale również w wojnie domowej. Każdy widzi, jak wielkim już wtedy był on człowiekiem. Przecież dobrze pamięta, jak często musiał poważnie przestrzegać i korygować ufnego i porywczego Lenina. I jeszcze jedno bardzo dobrze wypadło u Wiszniewskiego — takie oto słowa włożył mu w usta: „Każdy człowiek pracy ma prawo mówić, co myśli! — włączymy kiedyś odnośny przepis do konstytucji”. Co to znaczy? A znaczy to, że jeszcze w czasach, kiedy bronił Piotrogradu przed Jude-niczem, Stalin już myślał o przyszłej demokratycznej konstytucji. Wówczas zwało się to jeszcze dyktaturą proletariatu, ale mniejsza — to słuszne i mocno powiedziane!

A znów u Wirty dobra jest ta nocna scena z Przyjacielem. Chociaż takiego oddanego, wielkiego Przyjaciela Stalin wcale nie miał — ci ludzie tak są przecież dwulicowi i podstępni (zresztą nigdy w życiu nie miał takiego Przyjaciela! No, tak się składało, że nigdy nie miał!), mimo to, oglądając na ekranie scenę napisaną przez Wirtę, Stalin poczuł rzewne ściśnienie w gardle i łzy w oczach (o, to jest artysta, co się zowie!) — ach, jakby chciał mieć takiego rzetelnego, bezinteresownego Przyjaciela i móc zwierzać mu na głos te myśli, które człowiekowi całymi nocami, w samotności, przychodzą do głowy.

Nie szkodzi, za to prości ludzie kochają swego Wodza, rozumieją go i kochają, to fakt. Widać to i z gazet, i z filmów, a choćby z wystawy darów. Dzień jego urodzin stał się świętem dla całego narodu, to duża radość, móc sobie to uprzytomnić. Ileż powinszowań nadeszło! — Życzenia od instytucji, życzenia od organizacji, życzenia od fabryk, życzenia od poszczególnych obywateli! *Prawda* prosiła o pozwolenie drukowania ich nie naraz tylko po dwie szpalty w każdym numerze. Cóż, rozciągnie się to na kilka lat, nie szkodzi, to nawet nieźle.

A dary nie zmieściły się w dziesięciu salach muzeum Rewolucji. Żeby nie przeszkadzać mieszkańcom Moskwy w podziwianiu ich za dnia, Stalin przyjechał oglądać je w nocy. Dzieła kroć tysięcy mistrzowskich rąk, najlepsze dary ziemi stały, leżały i wi-siały przed jego oczami, ale nawet tu dopadła go ta sama obojęt-ność, ten sam zanik zainteresowania. Na co mu te wszystkie upominki?... Znudził się prędko. A jeszcze jakieś niemiłe wspo-mnienie dało znać o sobie w muzeum, ale, jak to często mu się ostatnio przytrafiało, myśl nie zdołała się wyklarować, nie nadążył za nią i tylko tyle z niej zostało — że coś przykrego. Stalin zwi-edził trzy sale, niczego nie wybrał, postać chwilę przed dużym tele-

wizorem z wygrawerowanym napisem „Wielkiemu Stalinowi — od czekistów” (był to największy sowiecki telewizor, unikalny egzemplarz wykonany w Mawrinie) — odwrócił się i odjechał.

Tak minęło to wspaniałe święto — ale zabrakło mu uczucia pełnego tryumfu.

Po wizycie w muzeum został jakiś zadziór w sercu, dokuczliwy i piekący, ale Stalin nie mógł sobie uprzytomnić — co to było.

Tak, masy go kochały, to fakt, ale te masy same były jeszcze pełne wad. Jak je naprawić? O ileż to prędzej poszłaby budowa komunizmu, gdyby nie... Gdyby nie bezduszość biurokratów. Gdyby nie pycha wielkorządców. Gdyby nie braki pracy organizacyjno-uświadamiającej wśród mas. Gdyby nie puszczanie oświaty partyjnej samopas. Zbyt wolne tempo w budownictwie. Przystoje w fabrykach. Tolerowanie niskiej jakości wyrobów. Złe planowanie. Opory wobec nowej techniki. Uchylanie się młodzieży od wyjazdów w głęboki teren. Straty ziarna przy zbiorach. Defraudacje w księgowości. Kradzieże z magazynów. Machlojki administratorów. Sabotaż więźniów. Liberalizm milicji. Nadużycia przy rozdziale mieszkań. Bezczelni spekulanci. Chciwe baby. Rozpuszczone dzieci. Tramwajowe plotkarstwo. Czarnowidztwo w literaturze. Wypaczenia w kinematografii.

Nie, zbyt jeszcze wiele braków jest wśród mas.

A w czterdziestym pierwszym — z czyjej winy doszło do odwrotu? Przecież kazano narodowi bronić kraju do upadłego — a dlaczego nie bronił? Któż się wtedy cofał, jeśli nie naród?

Ale wspominając czterdziesty pierwszy, Stalin nie uniknął przypomnienia sobie chwili własnej słabości — swego śpiesznego i niepotrzebnego wyjazdu z Moskwy w październiku. Ma się rozumieć: to wcale nie była ucieczka. Toć wyjeżdżając Stalin zostawił odpowiedzialnych ludzi i surowo im rozkazał bronić stolicy do ostatniej kropli krwi. Ale nieszczęście na tym polegało, że właśnie ci towarzysze zachwiali się — i trzeba było znów samemu, znów samemu wracać i brać się do obrony.

Kazał później wsadzać za kraty każdego, kto choćby się zająknął o panice szesnastego października. Ale siebie samego też ukarał — pojawiając się na listopadowej defiladzie. W jego życiu była to taka sama chwila, jak skok w przerębel na turuchańskim zesłaniu: lód i desperacja, ale stąd też — nowe siły. Łatwo to powiedzieć — defilada wojskowa, kiedy wróg stoi u bram!

Ale być Największym z Wielkich — czy to łatwo?

Obezwładniony leżeniem, Stalin samochcąc poddał się biegowi posępnych myśli. Na niczym nie mógł teraz skupić znużonej uwagi. Mrużył oczy, wylegiwał się — i pchały mu się do głowy najzupełniej przypadkowe wspomnienia z całego, tak już długie-

go życia. Ale, rzecz dziwna, przychodziły na myśl same tylko przykre rzeczy, ani jednej miłej. Jeżeli Gori — to nie zielone, wesołe pagórki, nie meandry Medždudy i Liachwi lecz to, co tak mu obmierzło, co sprawiło, że nigdy nawet na godzinę nie wpadł do rodzinnego miasteczka. Jeżeli wspominał co z siedemnastego roku — to jak przyjechał Lenin i swoimi zarozumiałymi tezami wyrócił na nice to wszystko, co było przedtem — i jak wyśmiewano Stalina, że proponował budowanie legalnej partii i zgodne współżycie z Rządem Tymczasowym. Wyśmiewano go nie raz, ale czemu to uważano za stosowne, by zwalać na niego właśnie najcięższe i najniewdzięczniejsze zadania? Wyśmiewano go, ale dlaczego to szóstego lipca posłano z pałacu Krzesińskiej do Twierdzy Pietropawłowskiej nie kogo innego, tylko właśnie jego — kiedy trzeba było przekonać marynarzy, by oddali twierdzę bez walki Kiereńskiemu, a sami wycofali się do Kronsztatu? Dlatego, że Grizkę Zinowiewa marynarze by kamieniami zaatakowali. Dlatego, że z ruskimi ludźmi trzeba umieć rozmawiać... A jak się przypomniał 20-ty rok, to znów musiał myśleć o tym, jak Tuchaczewski krzywił usta i krzyczał, że nie zdobył Warszawy przez Stalina. Dokrzyczał się, szczeniak...

Tak, miał pecha całe życie. Przez całe życie mu się nie powodziło i zawsze ktoś wchodził mu w drogę. I zanim człowiek usunie tego jednego — już drugi się zjawia.

Jego uszu doszły cztery lekkie puknięcia w drzwi — nie puknięcia nawet, tylko cztery miękkie głaśnięcia, jak gdyby to pies zaskrobał do drzwi.

Stalin przekręcił wmontowaną koło otomany rączkę cięgła, prowadzącego aż do zamka w drzwiach, bezpiecznik szczerknął i drzwi się uchyliły. Nie było na nich portiery (Stalin nie lubił zasłon, fałdzistych kotar, niczego takiego, za czym można by się ukryć) i widać było, jak gładkie drzwi otwarły się tylko na tyle, by mógł przez nie przecisnąć się pies. Jednak nie w dolnym lecz w górnym ich segmencie zjawiała się twarz niby młodego, ale już łysiejącego Poskriobyszewa: jak zawsze, malował się na niej wyraz budującej wierności i zupełnego oddania.

Popatrzył, jak Gospodarz leży sobie, półprzykryty wielbłądzim szalem, pełen troski o jego samopoczucie, ale nie zagabnął o zdrowie (uchodziło za pewnik, że ze zdrowiem jest wszystko w porządku), tylko zapytał cicho:

— Is Sarionycz! Zamówiliście dziś na pół do trzeciej Abakumowa. Będzie przyjęty? A może nie?

Josif Wissarionowicz odpiął klapę górnej kieszeni i wyciągnął zegarek na łańcuszku (jak wszyscy ludzie starszej daty nie mógł znieść zegarków na rękę).

Nie było jeszcze drugiej. Wcale mu się nie chciało wstawać, przebierać się, iść do gabinetu. Ale nie wolno też folgować nikomu: popuścić tylko trochę wędzidła, zaraz to wyczują.

— Zobaczymy — powiedział Stalin ze znużeniem w głosie i zamrugnął. — Jeszcze nie wiem.

— No to niech sobie przyjeżdża. Zaczeka! — przytaknął Poskriobyszew i skinął głową trzy razy, z przesadą. (Podkreślanie swego jakby szczeniactwa bardzo umacniało jego pozycję). I znów zastygł patrząc uważnie na Gospodarza:

— Będą jeszcze jakieś zlecenia, Jo-Sarionycz?

Stalin zerknął markotnie na to stworzenie, które, niestety, również nie mogło być jego przyjacielem, bo stało nazbyt nisko.

— Tymczasem możesz iść, Sasza — mruknął spod wąsów.

Poskriobyszew jeszcze raz przytaknął, cofnął głowę i szczerze zamknął drzwi.

Josif Wissarionowicz znowu zamknął zdalnie kierowany za-trzask i obrócił się na drugi bok, przytrzymując ręką pled.

Na niziutkim stoliczku, jeszcze niższym od otomany, zobaczył wtedy tanią broszurę, w papierowej, czarno-czerwonej okładce.

I od razu uświadomił sobie, co go gryzło, co piekło mu piersi, co zatrąło mu jubileusz, kto dziś jeszcze mu przeszkadzał i nie był sprzątnięty z drogi — Tito! Tito!

Jak to? Jak można było tak dać się zwieść temu skorpionowi? Jakie piękne były tamte lata — trzydziesty szósty, trzydziesty siódmy! Iluż to niedorzęniętym urwano wtedy łby! A takiego Tite wypuszczono z rąk.

Stalin ze stęknieniem opuścił nogi z otomany, usiadł i objął oburącz swoją rudawą głowę, szpakowatą już i łysiejącą. Toczyła go nieuleczalna zgryzota. Jak baśniowy bohater, Stalin całe życie, bez wytchnienia, rąbał głowy hydry, które ustawicznie odrastały. Całe Elbrusy wrogów usypał w ciągu tego życia. I oto potknął się o byle kępę.

Josif potknął się o swego imiennika.

Nic nie wadził Stalinowi Kiereński, gdzieś daleko dożywający swego wieku. Niechby wstał z grobu nawet Mikołaj Drugi czy Kołczak — Stalin osobiście nic przeciw nim nie miał: to jawni wrogowie, nigdy nie wyłazili ze skóry, żeby tylko wkręcić komuś jakiś swój, nowy, lepszy socjalizm.

Lepszy socjalizm!... Żeby i n a c z e j, niż u Stalina! Pęta! A któż by w ogóle potrafił zbudować socjalizm b e z Stalina?

Nie chodzi o to, że Ticie może cokolwiek się udać — nic z tego nie będzie! — jak stary konował, co to rozpruł krocie kałdunów, odrąbał mnóstwo kończyn, i to w kurnych chatach,

na byle deskach, na drogach, patrzy na śnieżno-białą praktykantkę-medyczkę — tak właśnie patrzył Stalin na Tite.

Ale trzykrotnie już korygowano wydania zbiorowe Lenina, dwukrotnie Twórców Ruchu. Dawno już zamknęli oczy ci wszyscy, którzy toczyli spory, ci, cytowani w starych przypisach, ci, co to chcieli budować socjalizm i n a c z e j. I oto, gdy nawet w szelestach tajgi nie zostało śladu po ich krytyce i wątpliwościach — wypełza taki Josif Tito z tym swoim talmudystą Kardejlem i powiada, że coś trzeba było robić i n a c z e j!

Stalin poczuł tu, że serce gwałtownie mu bije, że ćmi mu się w oczach a we wszystkich członkach wzbiera przykry dygot.

Odetchnął głęboko. Przesunął dłonią po twarzy, po wąsach. Nie wolno tak się przejmować. W ten sposób Tito odbierze mu ostatnie łuty spokoju, snu, apetytu.

Rozjaśnionymi znów oczyma spojrzał na czarno-czerwoną książeczkę. Książeczka nie była winna. Stalin sięgnął po nią z satysfakcją, podłożył sobie jeszcze parę poduszek i na kilka chwil znów na nich przyległ.

Był to jeden z egzemplarzy publikacji tłoczony w wielomilionowym nakładzie, w dziesięciu naraz europejskich językach: „Tito — marszałek zdrajców” Renaud de Jouvenel’a (dobrze się składa, że autor nie jest stroną w sporze, ot, obiektywny Francuz, na domiar jeszcze ze szlacheckim „de”). Stalin przeczytał już był uważnie tę książeczkę przed paru dniami, lecz — jak to bywa z miłą lekturą — nie chciało się człowiekowi z nią rozstawać. Iluż to milionom ludzi otworzy ona oczy na tego nadętego, egoistycznego, okrutnego, tchórzliwego, wstrętnego, dwulicowego, podłego tyrana! nędznego zdrajcę! beznadziejnego głupca! Toż nawet komuniści na Zachodzie dali się zbić z pan-tałyku. Ten stary dureń, André Marty! — jego też za obronę Tity trzeba będzie wylać z partii.

Przerzucił parę stron. Proszę! Niech nie kreują Tity na bohatera; dwa razy tak się zląkł, że chciał się już poddać Niemcom, ale szef sztabu, Arso Jovanovicz z m u s i ł go do pozostania na stanowisku naczelnego dowódcy! Szlachetny Arso! Zabity. A Petriczevicz? „Zabity — jedynie za to, że kochał Stalina”. Szlachetny Petriczevicz! Tych najlepszych zawsze ktoś zabija, a Stalin musi wykańczać najgorszych.

Wszystko tu jest, wszyściutko — i że Tito był pewno angielskim szpiegiem, i że pysznił się, kiedy zafasował gacie z królewską koroną, i że fizycznie jest odrażający, podobny do Goeringa, i że na wszystkich palcach nosi brylantowe pierścienie, i że obwieszony jest orderami i medalami (żałosna to pycha u człowieka wyzutego z geniuszu wojskowego!).

Obiektywna, pryncypialna książka. Czy aby Tito nie jest impotentem? O tym też by warto napomknąć. „Jugosłowiańska kompartia w rękach morderców i szpiegów!” „Tito jedynie dlatego mógł dorwać się do kierowniczych funkcji, że ręczyli za niego Bela Kun i Trajczko Kostow”.

Kostow!! — Stalina aż dźgnęło. Wściekłość buchnęła mu do głowy — wierzgnął butem z całej siły — w mordę Trajczko, w ten krwawy pysk! — I szare powieki Stalina drgnęły z satysfakcji, z poczucia spełnionej sprawiedliwości.

Przeklęty Kostow! Brudny łotr!

Ciekawe, jak po pewnym czasie stają się jasne intrygi tych drani! Jak oni potrafili się maskować! Kuna przynajmniej udało się rąbnąć w trzydziestym siódmym, ale Kostow jeszcze przed dziesięciu dniami leży socjalistyczny sąd. Ileż to znakomitych procesów Stalin wytoczył, jakich to wrogów zmusił do plucia sobie samym w pyski, do potwierdzenia oskarżeń o wszelkie świństwa — a tu taka kraksa na procesie Kostowa! Wstyd na cały świat! Jaki to podły krętacz! Oszukiwać w czasie śledztwa, tarzać się u stóp! — a na sesji publicznej wszystko odwołać! Wobec zagranicznych korespondentów! Gdzie tu lojalność? gdzie partyjne sumienie? gdzie solidarność proletariacka? Owszem, giń, ale giń tak, żebyśmy wszyscy mieli z tego jakąś korzyść!

Stalin odrzucił książkę. Nie, niesposób dalej leżeć! Walka wzywa.

Beztroski kraj może sobie spać, ale jego Ojciec nie może!

Uniósł się nie wyprostowując całkowicie. Otworzył (i zamknął za sobą) drugie drzwi, nie te, do których pukał był Poskriobyszew. Lekko szurając miękkimi podeszwami szedł teraz przez niziutki, wąski, kręty korytarzyk też bez okien, minął luk wyjściowy, przeszedł obok luster, w których widzieć można było pokój przyjęć. W ten sposób doszedł do sypialni — tak samo niewysokiej, ciasnawej, pozbawionej okien, wyposażonej w klimatyzację. Pod dębową okładziną ściany sypialni opancerzone były stalowymi płytami, dopiero pod nimi był kamień.

Małutkim kluczykiem, który wisiał mu u paska, Stalin otworzył zamek na metalowej pokrywie karafki, nalał sobie szklanke ulubionej rzeźwiącej nalewki, wypił; karafkę znów zamknął.

Zbliżył się do lustra. Jasno, z nieprzekupną twardością patrzyły oczy, których spojrzenia bali się obcy premierzy. Wygląd miał surowy, prosty, marsowy.

Zadzwonił na ordynansa — Gruzina, by pomógł mu się ubrać.

Nawet przed oczyma najbliższych stawał jak wobec historii.

Jego żelazna wola... Nieubłagana jego wola...

XIX

JĘZYK — NARZĘDZIEM PRODUKCJI

Noc była dla Stalina porą najobfitszych planów.

Nieufna jego myśl rankami rozkręcała się powoli. Chmurny, poranny rozum służył do dawania dymisji, obcinania budżetów, do scalania ministerstw po dwa i po trzy naraz. Nocny zaś rozum, pełen giętkiej bystrości i przebiegłości, podpowiadał jak rozdrabniać i dzielić ministerstwa, jakie nazwy dawać nowokreowanym, czyje budżety powiększać, kogo wyznaczać na nowe urzędy.

Wszystkie najlepsze jego pomysły narodziły się między północą a czwartą nad ranem: i — jak stare pożyczki wymieniać na nowe, aby nie płacić premii; i — sądy za bumelanctwo; i — jak przedłużyć dzień roboczy i tydzień pracy; i — jak przypisać robotników i urzędników do ich przedsięwzięć na wieczne czasy; i — dekret o katordze i szubienicy; i — rozwiązanie Trzeciej Międzynarodówki; i — zesłanie ludów-zdrajców na Sybir.

Deportacja narodów była jego doniosłym *novum* teoretycznym i śmiałym eksperymentem, ale nie było wszak innego wyjścia. Przez całe życie Stalin był bezsprzecznie najwybitniejszym w partii specjalistą od spraw narodowych.

Było jeszcze tyle innych wybornych dekretów. Ale w całej tej konstrukcji wyczuwał Stalin ostatnio słaby punkt — i stopniowo dojrzewał w jego głowie nowy, ważny dekret. Wszystko było w jego systemie raz na zawsze utrwalone, wszelki ruch był zahamowany, wszystkie strumienie przegrodzone zaporami, każdy z tych dwustu milionów ludzi znał swoje miejsce — i tylko młodzież z kołchozów przeciekała przez palce.

W ogóle to w kołchozach działo się jak najlepiej. Stalin przekonał się o tym oglądając film „Kubańscy kozacy” i czytając powieść „Kawaler Złotej Gwiazdy”. Autorzy poznali kołchozy

z bliska, wszystko widzieli i opisali, a to co opisali, wyglądało wprost doskonale. Zresztą Stalin sam gawędził z kołchoźnikami, zasiadającymi w prezydiach rozmaitych zjazdów.

Ale, jako działacz państwowy pełen przenikliwości i nastawiony zawsze samokrytycznie — Stalin skłonny był sięgnąć głębiej jeszcze, niż ci pisarze. Ktoś z sekretarzy obkomu¹ (został chyba rozstrzelany) wygadał się przed nim, że sprawa kołchozów ma też i pewną ciemniejszą stronę; w kołchozach pracują z entuzjazmem starcy i staruchy, którzy zapisali się jeszcze w trzydziestym roku, młodzież zaś (nie cała, skąd — p o s z c z e g ó l n i, nieuświadomieni jej przedstawiciele) jak tylko ukończy szkołę, stara się zaraz rozmaitymi wykrętami zdobyć paszport i umknąć do miasta. Stalin to usłyszał — i w jego mózgu zaczęło się niewidzialne, niestrudzone drążenie.

Oświata!... Coś tu jednak nie gra z tym powszechnym, siedmioletnim nauczaniem, z powszechnym dziesięcioletnim, z tymi dziećmi kucharek pchającymi się na uniwersytety. To Lenin tu namieszał, tylko za wcześnie jeszcze o tym mówić. „Każda kucharka powinna móc rządzić państwem!...” Jak on to sobie konkretnie wyobrażał? Żeby kucharki w piątki nie gotowały obiadów, tylko chodziły na posiedzenia do rady wykonawczej? Kucharka — to kucharka — powinna gotować i tyle. A rządzić ludźmi! — to wielka sztuka, to można zaufać tylko specjalnej kadrze, kadrze troskliwie dobranej, wypróbowanej, przez wiele lat hartowanej. Kierować zaś tą kadrą może tylko jedna para rąk — i mogą to być tylko doświadczone ręce Wodza.

A gdyby tak włączyć do statutu spółdzielni rolniczych przepis, że podobnie jak ziemia należy do kołchozu po wieczne czasy, tak samo każdy, kto urodził się w danej wsi, zostaje automatycznie przyjęty do kołchozu już w dniu narodzin? Nadać temu charakter zaszczytnego wyróżnienia. I żeby tylko prezydium obwodowej rady wykonawczej miało prawo zwalniać z kołchozu. I od razu — kampania agitacyjna, seria artykułów w gazetach: „Młodzi dziedzice złotokłóśnej schedy”, „Wielki krok naprzód w dziejach wsi spółdzielczej”, zresztą pisarze już tam wymyślą odpowiednie wyrażenia.

A bodaj że któryś z p r a w i c o w c ó w (podobnej „prawicy” w rzeczywistości nigdy nie było, Stalin sam wepchnął ich do wspólnego worka, żeby łatwiej rozkwasić jednym uderzeniem) — któryś więc z nich uprzedzał, że taki problem się w końcu pojawi.

1. *Obłastnoj komitet* — wojewódzki komitet partii.

Dziwna rzecz, ale zawsze się okazywało, że posłani na tamten świat przeciwnicy mieli rację w tej, czy owej sprawie. Mimowolnie urzeczony ich złowrogimi poglądami, Stalin czujnie wsłuchiwał się w te głosy zza grobu.

Chociaż ten dekret nie cierpiał zwłoki, a w jego głowie dojrzywały inne jeszcze zarządzenia, nie mniej pilne — jednak wchodząc do gabinetu Stalin poczuł dziś chęć zajęcia się czymś o wiele bardziej podniosłym.

Na progu ósmego dziesięciolecia nie miał już prawa dłużej z tym zwlekać.

Zdawać by się mogło, że niczego już nie brak, by zapewnić mu nieśmiertelność.

Ale Stalin miał wrażenie, że jego współcześni — choć nazywają go Mędrce nad Mędracami — jednak podziwiają go wciąż jeszcze nie wedle zasług, że w swoich zachwytach są powierzchowni i dalecy jeszcze od zrozumienia prawdziwej głębi jego geniuszu.

Nie dawała mu ostatnio spokoju myśl, by dokonać jeszcze jakiegoś odkrycia naukowego, by wnieść swój wiecznotrwały wkład do jakiejś jeszcze dziedziny wiedzy — nie tylko do filozofii i historii. Ma się rozumieć — mógł to zrobić bez trudu w biologii — ale tam już działał z jego upoważnienia Łysenko, ten zacy i energiczny przedstawiciel mas ludowych. Zresztą bardziej pociągająca wydawała się Stalinowi matematyka albo chociaż fizyka. Nie mógł czytać bez uczucia zawiści rozważań o zerze albo podnoszeniu liczby minus jeden do kwadratu w „Dialektyce przyrody”².

Ale nie bacząc na to, że tyle razy wertował podręcznik algebry Kisielewa i „Fizykę” Sokołowa dla starszych klas — jakoś nie mógł w żaden sposób znaleźć tam natchnienia do odkryć.

Znalazł je za to — co prawda w zupełnie innej dziedzinie, w językoznawstwie — dzięki sprawie profesora Czikobawy z Tbilisi. Czikobawa wyskoczył, jak Filip z konopi, z publikacją najoczywściej antymarksistowską, z której wynikało, że język to nie żadna n a d b u d o w a, tylko po prostu język i że język nie jest ani burżuazyjny, ani proletariacki, tylko zwyczajnie, narodowy; tym samym Czikobawa ośmielił się publicznie podnieść rękę na samego Marra.

Zarówno Czikobawa, jak Marr byli Gruzinami, odpowiedź pojawiła się też na łamach gruzińskiego czasopisma uniwersyteckiego; szarawy, zbroszurowany jego numer, ozdobiony cha-

rakterystyczną ornamentyką gruzińskiego alfabetu, leżał właśnie na biurku Stalina. Kilku naraz językoznawców — marrystów wystąpiło przeciw bezczelnemu Czikobawie z oskarżeniami, po których wypadało mu już tylko spokojnie czekać na nocne pukanie funkcjonariuszy MGB. Ktoś już dawał do zrozumienia, że Czikobawa jest agentem amerykańskiego imperializmu.

I nic by Czikobawy nie uratowało, gdyby Stalin nie podniósł słuchawki i nie darował go życiem. Czikobawę darował życiem, jego zaś naiwniutkie, prowincjonalne myśli postanowił unieśmiertelnić i genialnie rozwinąć.

Wprawdzie lepszy by to miało wydźwięk, gdyby tak udało się obalić kontrrewolucyjną teorię względności, albo mechanikę falową, ale przy nawale spraw państwowej wagi nie ma na to po prostu czasu, no nie ma! Językoznawstwo sąsiaduje zaś z gramatyką, gramatyka natomiast zawsze wydawała się Stalinowi dyscypliną nie mniej trudną niż matematyka.

Będzie można to napisać dosadnie, z pazurem (już siedział i pisał): „Jakikolwiek z języków, jakimi posługują się sowieckie narody, zaczniemy rozpatrywać — rosyjski, ukraiński, białoruski, gruziński, uzbecki, kazachski, ormiański, estoński, łotewski, litewski, mołdawski, tatarski, azerbejdżański, baszkirski, turkmeński... (ki-diabeł, z biegiem lat coraz trudniej miarkować się przy podobnych wyliczeniach. Ale czy w ogóle warto? W ten sposób lepiej wchodzi czytelnikowi do głowy, odcieciewa mu się sprzeciwów)... — zaraz stanie się jasne dla każdego...”. No, a tu przyjdzie coś, co jest jasne dla każdego.

Ale co mianowicie? Nic nie jest jasne... Pół lasu zrabął, a wszystko psu na budę.

Zjawiska gospodarcze — to baza, procesy społeczne — to nadbudowa. I ten medal nie ma trzeciej strony. Ale doświadczenie życiowe nauczyło Stalina, że bez czegoś trzeciego daleko się nie zajędzie. Na przykład — państwa niezaangażowane — mogą wszak istnieć (oczywiście, niezaangażowanych ludzi być nie może)? A spróbuj, człowieku, powiedzieć w latach dwudziestych z trybuny jakiegoś zebrania: „Kto nie z nami, ten jeszcze nie musi być przeciw nam”? I z zebrania by cię wylano i z szeregów. A jednak wychodzi na to, że... Dialektyka.

Tu też to samo. Artykuł Czikobawy dał jednak Stalinowi do myślenia. Zaskoczyła go rzecz, która nigdy mu do głowy nie przychodziła: jeżeli język należy do nadbudowy, to dlaczego nie zmienia się przy zmianie epok? Jeżeli zaś nie należy do nadbudowy, to czym jest właściwie? Częścią bazy? Składnikiem procesu produkcji?

Właściwie, to jest tak: na zjawisko produkcji składają się siły wytwórcze i stosunki produkcji. Nazwać język — s t o s u n k i e m — nie, chyba nie można. Ale siły wytwórcze składają się z kolei z narzędzi produkcji, środków produkcji i ludzi. Ale chociaż człowiek używa jakiegoś języka — to jednak sam język jest identyczny z człowiekiem. Diabli nadali, ślepy zaulek.

Chcąc być uczciwym, trzeba by wyciągnąć wniosek, że język jest narzędziem produkcji, no, powiedzmy, jak maszyny, jak koleje, jak poczta. Też przecież jest środkiem łączności.

Ale jeżeli wysunąć otwarcie tezę, że język jest narzędziem produkcji, to zaczną się chichoty. Nie u nas, to jasne.

I nie ma się kogo poradzić; gdzie jeszcze, poza nim, są prawdziwi filozofowie? Gdyby chociaż żył teraz ktoś w rodzaju Kanta, powiedzmy, albo Spinozy; niech by już sobie był przedstawicielem burżuazji... Zadzwoń do Berii? Toć on się nic na tym nie zna.

No, można będzie na przykład tak, trochę oględniej: „Z tego punktu widzenia, język — różniąc się samą swoją istotą od innych składników bazy, nie różni się jednak w zasadzie od narzędzi produkcji, dajmy na to — od maszyn, które tak samo obojętne są w stosunku do istniejących klas, jak język”.

„Obojętne w stosunku do istniejących klas!”

Takie rzeczy też by dawniej nie przeszły przez usta...

Postawił kropkę. Założył dłonie za kark, ziewnął i przeciągnął się. Nie tak bardzo dziś jeszcze myśl natężył, a już się zmęczył.

Stalin wstał i przeszedł się po swoim małym, ulubionym nocnym gabinecie. Zbliżył się do małego okienka, gdzie zamiast szyby były dwie warstwy przejrzystego, żółtawego szkła pancernego, przedzielone warstwą mocno sprężonego powietrza. Za tym oknem był jedynie malutki otoczony murem ogródek; tylko rankami zjawiał się w nim ogrodnik pod dozorem wartowników, przez całą zaś dobę nikogo więcej nie było...

Za pancernymi szybami kładła się mgła na ogród. Nie było widać ani ziemi, ani reszty wszechświata.

Zresztą, połowa wszechświata mieściła się w jego własnej piersi i była domeną jasności oraz ładu. Tylko ta druga połowa — obiektywnie istniejąca rzeczywistość, wiła się w tumanach kosmicznej mgły.

Ale tu, w opancerzonym, dobrze strzeżonym, obronnym gabinecie nocnym Stalin wcale się nie bał tej drugiej połowy — i czuł w sobie moc ugniatania jej wedle swojej woli. Tylko wtedy, gdy trzeba było własnymi nogami przekroczyć próg tej obiektywnie istniejącej rzeczywistości — na przykład pojechać na

bankiet do Sali Kolumnowej³, własnymi nogami przebyć przeraźliwie wielką przestrzeń między samochodem a wejściem, a później tymiż nogami pokonywać stopnie schodów, przecinać wielkie foyer — i widzieć ze wszystkich stron — pełnych zachwytu i szacunku, ale przecież zbyt licznych gości — tak, wtedy Stalin czuł, że mu niedobrze, że jest zupełnie bezbronny, i nie wiedział nawet, co zrobić z własnymi rękoma, dawno już niezdolnymi do żadnej skutecznej obrony. Splatał je na brzuchu i uśmiechał się. Oni myśleli, że Wszechpotężny uśmiecha się, bo łaskaw jest na nich, a on uśmiechał się z konfuzji...

Przestrzeń została przez niego samego uznana za podstawowy warunek istnienia materii. Ale zawładnąwszy szóstą częścią ziemskiej przestrzeni lądowej Stalin zaczął czuć przed nią lęk. Dlatego właśnie tak lubił swój nocny gabinet, że tu nie czuło się przestrzeni.

Stalin zasunął stalową żaluzję i ruszył ciężko w stronę stołu. Nawet dla Wielkiego Koryfeusza pora była zbyt już późna, ale zażył tabletkę i znów siadł do pisania.

Nie wiodło mu się w życiu, ale trzeba się trudzić. Przyszłe pokolenia to docenią.

Jak do tego doszło, że w językoznawstwie panuje arakczejewski reżym? Nikt nie śmie słowa nawet pisać przeciw Marrowi. Dziwni ludzie! Tchórze! Uczy ich człowiek, uczy demokracji, wprost na talerz im wszystko wyklada — nie chcą brać!

Wszystko trzeba — samemu, to nawet też.

I z nowym zapałem zanotował kilka zdań:

„Nadbudowa po to właśnie stwarzana jest przez bazę, a ż e b y . . .”

„Język po to właśnie jest stworzony, a ż e b y . . .”

Swoją szaro-brunatną twarz z dziobami po ospie, z dużym lemieszowatym nosem, Stalin pochylił nisko nad arkuszem i nie widział uśmiechu anioła średniowiecznej teleologii, zagląającego mu przez ramię.

Ten Lafargue⁴, też mi teoretyk! — „raptowna rewolucja językowa między 1789 a 1794 rokiem”.

Jaka tam rewolucja! Był sobie francuski język — i został francuskim językiem.

„I w ogóle warto, aby zanotowali to sobie towarzysze skłonni do nadmiernych zachwytów z powodu rozmaitych wybuchowych zmian, że prawo przechodzenia od starej jakości do nowej jakości drogą skoku, wybuchu — nie znajduje zastosowania nie

3. Sala Domu Związków poza Kremllem, w centrum Moskwy.

4. Jules Lafargue, zięć Marksa.

tylko w historii rozwoju języka — lecz również rzadko może być stosowane do innych społecznych zjawisk”.

Stalin opadł na oparcie fotela, przeczytał tekst. To wyszło nieźle. Agitatorzy powinni w przyszłości objaśniać ten fragment szczególnie troskliwie: że od pewnej określonej chwili poczynając — każda rewolucja ulega zawieszeniu i dalszy rozwój odbywa się tylko drogą ewolucyjną. I że — być może — ilość wcale już nie przechodzi w jakość. Ale o tym — już innym razem.

„Rzadko”?... Nie, chwilowo tak jeszcze pisać nie bardzo wypada.

Stalin przekreślił „rzadko” i napisał — „nie zawsze”.

Jaki by tu dać przykładzik?

„Przeszliśmy od burżuazyjnego, indywidualno-włóściańskiego systemu (nowy termin! i bardzo dobrze wypadł!) do socjalistycznego, kołchozowego”.

I postawiwszy tu, jak każdy by to zrobił, kropkę, Stalin namyślił się chwilę i dodał: „systemu”. Był to jego ulubiony chwyt stylistyczny, jeszcze jedno stuknięcie w główkę już wbitego gwoźdźca. Po powtórzeniu możliwie największej ilości słów, zdanie zawsze wydawało mu się jakoś zrozumialsze. Natchnione pióro sunęło dalej po papierze:

„Udało się to zaś przeprowadzić dlatego, że była to rewolucja z g ó r y, że przewrót był dokonany z inicjatywy istniejącej władzy”.

Zasepił się. Stop, coś tu brzmiało nie najlepiej. Wynika więc z tego, że inicjatywa kolektywizacji wysunięta była nie przez samych chłopów?...

Zza drzwi doszło go ciche, miękkie skrobnięcie. Stalin nacisnął guzik. W szparze drzwi pojawiła się głowa Saszki, gęba kłowna — zadowolonego, że właśnie po tej gębie dostał.

— Joś-Sarionycz — zapytał przymilnie, omal szeptem — Abakumowa odesłać do domu, czy niech jeszcze sobie posiedzi?

A tak, Abakumowa. Pograżony w twórczej pracy Stalin całkiem o nim zapomniał.

Ziewnął. Był już zmęczony. Zapalająca się tylko na krótko pasja badawcza gasła w nim oto. Ostatnie zdania wypadły też nie najlepiej.

— No, dobrze. Wołaj go tu.

Z szafki w biurku wydobył taką samą karafkę z metalową pokrywką, odemknął ją kluczykiem wiszącym u paska i wychylił szklankę.

Być nieustannie, być nieustannie orłem z wysokich gór.

XX

TOWARZYSZU STALIN, ODDAJCIE NAM KARĘ ŚMIERCI

Nie żeby za oczami, ale nawet w głębi duszy nikt nie ośmiał się nazywać go „Saszka”, tylko „Aleksander Nikołajewicz”. „Dzwonił Poskriobyszew” to znaczy, że dzwonił On sam. „Poskriobyszew kazał” znaczyło, że był to Jego rozkaz. Aleksander Nikołajewicz Poskriobyszew utrzymywał się na stanowisku szefa kancelarii osobistej Stalina już z piętnaście lat. To znaczy — bardzo długo i kto go nie znał, ten miał prawo się dziwić, że dotąd jeszcze ta głowa nie rozstała się z szyją. Tymczasem zagadka była wcale prosta. Ten weterynarz spod Penzy był ordynansem z powołania — i to właśnie umacniało jego pozycję. Nawet wtedy, gdy otrzymywał nominację na generała-lejtnanta, członka CK i szefa specgrupy dla obserwacji członków CK — Poskriobyszew uważał się w stosunku do Gospodarza dalej za nędzny pyłek. Ze szczęśliwym chichotem stukał się z nim kieliszkami, gdy ten wznosił toast za rodzinną wieś Poskriobyszewa, Sopiłki. Stalin nigdy nie wyczuł intuicyjnie w Poskriobyszewie żadnych wątpliwości ani sprzeciwów. Nazwisko pasowało do niego; był jakby wypieczony z wyskrobków, jakby nie starczyło już dla niego zalet rozumu i charakteru.

Ale w stosunkach z niższymi rangą ten łysiejący dworak o chamowatym wyglądzie nosił się nader godnie. Gdy mówił z nimi przez telefon, ledwie raczył gębę otwierać; trzeba było omal całą głowę wtykać w głąb słuchawki, żeby cokolwiek usłyszeć. Nie wykluczone, że czasem można było sobie z nim pozwolić na jakiś błahy żart, ale spytać go — jak tam dzisiaj? — nie, tu każdemu język kołczał. (Jak tam — nie mogła się dowiedzieć nawet jego własna córka¹). Kiedy

1. Swietłana Allilujewa.

telefonowała, słyszała w odpowiedzi tylko tyle, że „ruch jest”, albo że „ruchu nie ma” — zależnie od tego, czy słysząc było kroki).

Tej nocy Poskriobyszew powiedział do Abakumowa:

— Josif Wissarionowicz pracuje. Może nawet was nie przyjmie. Kazał czekać.

Odebrał mu teczkę, wprowadził do poczekalni i wyszedł.

W ten sposób Abakumow nie ośmielił się nawet spytać o to, co chciał wiedzieć najbardziej: w jakim dziś Gospodarz jest nastroju. Został w poczekalni sam; serce ciężko mu biło.

Ten rosły, silny, stanowczy człowiek, idąc na audiencję za każdym razem konał ze strachu — wcale nie inaczej niż byle szary obywatel, gdy w czasie epidemii aresztowań słyszał nocne kroki na schodach. Ze strachu uszy mu najpierw lodowaciały, a później zaczynały płonąć — i Abakumow jeszcze tego zawsze się bał, że te jego wieczne czerwone uszy wzbudzą podejrzenia u Gospodarza. Byle głupstwo mogło nasunąć Stalinowi podejrzenia. Nie lubił, na przykład, gdy ktoś sięgał przy nim do swojej wewnętrznej kieszeni. Dlatego Abakumow poprzekładał do zewnętrznej kieszonki na piersi wszystkie trzy wieczne pióra, jakie zawsze miał w pogotowiu.

W codziennej robocie wszystkie dyrektywy dla Bezpieczeństwa Państwowego szły przez Berię, za jego to pośrednictwem Abakumow dostawał większość zleceń. Ale raz na miesiąc Jedy-nowładca chciał mieć osobisty kontakt z żywą istotą, której powierzył ochronę ustalonego przez siebie ładu.

Te godzinne audyencje były lichwiarską ceną, jaką Abakumow płacił za całą swoją władzę, za całą potęgę. Żył i cieszył się życiem tylko od posłuchania do posłuchania. Gdy nadchodził fatalny termin — wszystko w nim drętwiało, uszy lodowaciały, oddawał swoją tekę w sekretariacie, nie wiedząc, czy dostanie ją z powrotem, i zginał uniżenie jeszcze przed progiem byczy swój kark, nie mając pojęcia, czy wyprostuje go za godzinę.

Stalin dlatego właśnie budził przerażenie, że możliwe z nim były tylko omyłki saperskie, nie do poprawienia, jak z materiałem wybuchowym. Budził przerażenie, bo nie słuchał żadnych usprawiedliwień, nie wysuwał nawet oskarżeń — tylko jego żółte, tygrysie oczy zapalały się złym ogniem, podnosiły się lekko dolne powieki — i gdzieś tam, w głębi zapadał wyrok; oskarżony nie znał go wcale, wychodził sobie spokojnie, w nocy go zabierano, a nad ranem już był rozstrzelany.

Najgorsze było milczenie i to zwięzanie oczu!... Jeżeli Stalin natomiast ciskał w człowieka czymś ciężkim lub ostrym, przy-

deptywał mu czubki butów swoją podeszwą, pluł, albo wydumchiwał gorący popiół z fajki prosto w twarz — o, ten gniew jeszcze nie był ostateczny, to był gniew przemijający! Jeśli Stalin kłął i wymyślał mu, choćby od ostatnich, Abakumow tylko się cieszył: to znaczyło, że Gospodarz ma nadzieję, że jego minister jeszcze się poprawi i że da się z nim w końcu pracować.

Jasne, dziś Abakumow rozumiał już dobrze, że w zapale skoczył trochę za wysoko; na niższym stanowisku byłoby bezpieczniej; wobec dalszych współpracowników Stalin był dobroduszny, miły nawet. Ale wyrwać się z kręgu najbliższych — nie było sposobu.

Pozostawało tylko wyczekiwanie na śmierć. Własną. Albo...

I jakoś tak się składało, że stając przed oczyma Stalina, Abakumow zawsze był w strachu, iż coś tam zostanie wykryte.

Musiał się lękać choćby już tego jednego, by nie wyszła na jaw historia jego wzbogacenia się w Niemczech.

... Pod koniec wojny Abakumow był szefem wszechzwiązkowego SMIERSZ'a, podporządkowane mu były oddziały kontrwywiadu wszystkich frontów i armii na wszystkich teatrach wojny. Był to czas osobliwy, okres, w którym można było wzbogacić się bez żadnej kontroli. Aby zadać Niemcom cios ostatni i niechybny, Stalin zapożyczył u Hitlera instytucję paczek z frontu na zaplecze. Stalin opierał się na swoim pojęciu o żołnierskiej duszy, na tym co sam by czuł, gdyby był żołnierzem; za honor Ojczyzny — to dobrze, za Stalina — jeszcze lepiej, ale żeby chcieli nadstawiać łba w najprzykrzejszej chwili, pod sam koniec wojny — czy nie lepiej dać im mocne materialne bodźce, a mianowicie — prawo do posyłania rodzinie: szeregowcom — pięciu kilogramów łupów miesięcznie, oficerom — dziesięciu, a generałom — puda²? (Proporcja taka była sprawiedliwa, żołnierzowi bowiem worek nie powinien ciążyć w marszu, generał zaś ma przecież zawsze samochód do dyspozycji). Ale kontrwywiad SMIERSZ był w sytuacji nieporównanie lepszej. Nie dolatywały doń wrogie kule. Nie groziły mu bomby z samolotów. Zawsze znajdował sobie przystań w tym paśmie na tyłach armii, skąd ogień już się wyniósł, zaś kontrolerzy skarbowi jeszcze nie zawitali. Oficerowie jego otoczeni byli nimbem tajemnicy. Nikt nie ośmielał się dochodzić, co takiego trzymają w opieczętowanym wagonie, co wywieźli ze skonfiskowanego folwarku, koło czego postavili swoich wartowników. Ciężarówki, pociągi i samoloty przeniosły w głąb Rosji nowe

2. Ok. 16 kg.

majątki oficerów SMIERSZ'a. Lejtnanci, jeśli mieli szczyptę sprytu, mogli zagarnąć tysiące, pułkownicy — setki tysięcy, Abakumow — miliony.

Inna rzecz, że nie potrafił wyobrazić sobie nawet tak niezwykłych okoliczności, przy których fotel ministerialny by utracił, a jednocześnie mógł ratować się złotem, choćby nawet ukrytym w szwajcarskim banku. Wydawało się jasne, że żadne kosztowności nie pomogą ministrowi, któremu łeb już ucięto. Jednak nie potrafił wprost patrzeć obojętnie, jak podwładni obrastają w majątek — i samemu nic sobie nie brać. Porozyszał więc we wszystkie strony specoddziały — na poszukiwania. Nie mógł sobie odmówić nawet jakichś dwóch waliz męskich szelek. Grabił jak w transie.

Ale te skarby Nibelungów nie dały się wykorzystać swobodnie i stały się dla Abakumowa źródłem ciągłego strachu przed zdemaskowaniem. Nikt z wtajemniczonych nie ośmieliłby się chyba zadenuncjować wszechwładnego ministra, za to byle jaka przypadkowa okoliczność mogła wyjść trafem na jaw i zaraz by się trzeba żegnać z własną głową. Co nagrabił — to mu nie dawało żadnego pożytku, ale co teraz? — może kajać się publicznie?

... Przyjechał o pół do trzeciej w nocy, ale po trzech kwadransach wciąż jeszcze spacerował po poczekalni z dużym, niezapisanym notesem w ręku i przechodził katusze, czując, jak flaczeje ze strachu i jak uszy coraz mocniej mu płoną. Najbardziej by go teraz ucieszyło, gdyby Stalin nie chciał odrywać się od pracy i w ogóle odmówił mu dziś posłuchania; Abakumow bał się gniewu z powodu tajnej sieci telefonicznej. Nie wiedział, jak się teraz wyłgać.

Ale tu ciężkie drzwi otwarły się, zresztą nie więcej, niż do połowy. Cicho, prawie na palcach pojawił się w nich Poskriobyszew i nic nie mówiąc zrobił ręką zapraszający gest. Abakumow ruszył, starając się dotykać podłogi nie całą powierzchnią swojej dużej, ciężkiej stopy. Przez następne, również półotwarte drzwi, Abakumow przecisnął swój tęgi tułów, starając się nie otwierać ich szerzej, przytrzymując usłużnie błyszczącą, brązową klamkę. Stojąc w progu powiedział:

— Dobry wieczór, towarzyszu Stalin. Czy można?

Zapomniał odkasznąć sobie zawczasu i teraz głos miał chrapliwy, nie dość wiernopoddańczy.

Stalin, we frenczu ze złotymi guzikami, z kilkoma rzędami baretek orderowych, ale bez epoletów, pisał coś przy biurku. Dopisał zdanie do kropki i dopiero wtedy podniósł głowę, obracając na wchodzącego swoje złowieszcze spojrzenie.

I nic nie powiedział.

Bardzo zły znak! — nie odezwał się ani słowem...

I znów zabrał się do pisania.

Abakumow zamknął drzwi za sobą, ale nie ośmielił się zrobić ani kroku bez zapraszającego skinienia czy gestu. Stał, trzymając długie ręce wzdłuż szwów, zgięty trochę w skłonie, z powitalnym, uprzedzającym uśmiechem na mięsistych wargach — a uszy mu płonęły.

Abakumow bywał w obu gabinetach Wodza — i w oficjalnym, dziennym, i w tym małym, nocnym.

Duży, dzienny gabinet, na górze, był słoneczny, okna miały zwyczajne. Na półkach licznych szaf bibliotecznych odbywała się tam parada całej ludzkiej myśli i kultury, przyobleczonej w kolorowe okładki. Na wysokich, przestronnych ścianach wisiały ulubione obrazy Wodza, te, które przedstawiały jego samego — już to w zimowym stroju generalissimusa, już to w letnim mundurze marszałkowskim. Były tam kanapy, fotele, wiele krzeseł — dla zagranicznych delegacji, dla konferencji. Tam też Stalin bywał fotografowany.

Tu, w nocnym gabinecie, przytulonym do ziemi, nie było ani obrazów, ani ozdób, okna też były małe. Pod niewysokimi ścianami, krytymi dębową boazerią, stały tylko cztery niskie szafki i biurko odsadzone nieco od ściany. Był jeszcze adapter w kącie, a koło niego — etażerka z płytami. Stalin lubił nastawiać sobie płyty ze swoimi starymi przemówieniami i słuchać ich.

Abakumow czekał zgięty w prośalnej pozie.

A Stalin pisał. Pisał z taką stanowczością i namaszczeniem, jakby każde słowo spływające z pióra od razu zasilało nurt dziejów. Lampa na biurku oświetlała tylko papiery, górne zaś ukryte żarówki dawały światła niewiele. Stalin pisał nie bez pauz, odrywał się niekiedy od blatu, czasem spojrzął gdzieś w bok, na podłogę, to znów zerkał złowroźnie na Abakumowa, jak gdyby nasłuchując czegoś, chociaż znikąd żaden szelest nie dochodził.

Skąd się bierze ten dar rozkazywania, ta solenność widoczna w najmniejszym geście? Czy nie tak samo przebierał palcami, ruszał rękoma, podnosił brwi i wodził oczyma młody Koba³? Ale wtedy to w nikim nie budziło strachu, nikt nie domyślał się w tych ruchach ich strasznego sensu. Dopiero po którychś z rzędu strzale w potylicę ludzie zaczęli dopatrywać się w tych właśnie drobnych gestach Wodza — aluzji, przestróg, gróźb i rozkazów. I widząc to w cudzych oczach, Stalin zaczął przy-

3. Pseudonim Stalina w młodości.

patrywać się sobie samemu, by dostrzec wreszcie we własnych ruchach i spojrzeniach ten groźny sens wewnętrzny — po czym już świadomie zaczął je szlifować, co nadało im jeszcze większą sprawność i skuteczność.

W końcu Stalin spojrzał bardzo surowo na Abakumowa i krótkim skinieniem cybucha wskazał mu krzesło.

Abakumow drgnął radośnie, żwawo ruszył z miejsca i usiadł — ale nie na całym siedzeniu, chociaż było mu niewygodnie — tylko na brzeżku, żeby łatwiej było wstawać.

— No? — zapytał Stalin nie odrywając wzroku od swoich papierów.

Teraz był odpowiedni moment! Nie wolno było tracić inicjatywy! Abakumow przeczyścił sobie gardło chrząknięciem, po czym zatokował śpiesznie i prawie frenetycznie. (Sam się później przeklinał za tę służalczą gadatliwość w gabinecie Stalina, za przesadne obietnice — ale tak jakoś zawsze było, że im niechętniej witał go Wszechmocny, tym żarliwiej starał się go Abakumow zapewnić o swoim oddaniu, a to popychało go do coraz to nowych zobowiązań).

Stała okrasa nocnych raportów Abakumowa, tym co najbardziej w nich Stalina ciekawiło, było zawsze zdemaskowanie jakiejś bardzo niebezpiecznej, bardzo rozgałęzionej grupy wrogich elementów. Bez takiej unieszkodliwionej — a za każdym razem innej — grupy, Abakumow w ogóle nie ośmieliłby się przybyć na posłuchanie. Na dzisiaj też przygotował sobie taką grupkę, umiejscowioną w Akademii Sztabu Generalnego imienia Frunzego — i mógł długo ten temat rozwijać.

Ale teraz wołał opowiedzieć przede wszystkim o postępach (sam nie wiedział — faktycznych, czy zmyślonych) przygotowań do zamachu na Titę. Zameldował, że bomba z opóźnionym zapłonem będzie zainstalowana na jachcie Tity przed jego odjazdem na wyspę Brioni.

Stalin podniósł głowę, wetknął zgastą fajkę w usta i ze dwa razy dmuchnął w cybuch. Nie zrobił żadnego więcej ruchu, nie wykazał żadnego zainteresowania, ale Abakumow, coś niecoś już przecież wiedzący o swoim szefie, poczuł, że trafił w samo sedno.

— A — Rankowicz? — zapytał Stalin.

Ależ tak, tak! Żeby tylko nie przegapić odpowiedniej chwili, żeby tylko wszyscy naraz — i Rankowicz, i Kardejl, i Mosze Pjade — wylecieli w powietrze! Według wszelkiego prawdopodobieństwa ma do tego dojść nie później niż na wiosnę! (A że przy wybuchu zginie też cała załoga statku, o tym minister w ogóle nie wspominał, a Najlepszy Przyjaciół Marynarzy wcale o to nie pytał).

Ale o czym właściwie myślał posapując przez wygasłą fajkę, niemrawo patrząc na ministra znad swojego oklapłego, zwisającego nosa?

... Z pewnością nie o tym, że kierowana przezeń partia narodziła się z negacji terroru indywidualnego. I nie o tym, że sam niegdyś nie wzdrygał się wcale przed terrorem, by osiągnąć to, czy owo. Cmokając fajkę i patrząc na tego rumianego, naźartego junaka o rozpalonych uszach, Stalin myślał o tym, o czym zawsze myślał na widok swoich gorliwych, gotowych na wszystko, nadskakujących mu podwładnych.

Przy tych spotkaniach pierwszą jego myślą było — w jakim stopniu można jeszcze temu człowiekowi ufać? I zaraz pojawiała się druga myśl — czy aby nie pora już pozbyć się tego człowieka?

Stalin wiedział doskonale, że Abakumow obłowił się w czterdziestym piątym roku. Ale karać go wcale mu nie było pilno. Stalin był rad, że Abakumow okazał się właśnie taki. Ludzie interesowni są łatwiejsi do zrozumienia, łatwiej nimi rządzić. Stalin zawsze najbardziej miał się na baczności przed bezinteresownymi idealistami w typie Bucharina. Nie rozumiejąc motywów ich postępowania, gubił się w daremnych domysłach.

Ale nawet człowiekowi tak nieskomplikowanemu jak Abakumow nie można było ufać. Nieufność wobec innych była naczelną cechą charakteru Josifa Dżugaszwili. Nieufność wobec ludzi była jego światopoglądem.

Nie ufał własnej matce. Bogu też nie ufał, temu Bogu, przed którym jedenaste lat w młodości bił czołem o kamienne płyty. Nie ufał później swoim towarzyszom partyjnym, tym zwłaszcza, którzy mieli zbyt ni dar słowa. Nie ufał towarzyszom niedoli na zesłaniu. Nie wierzył chłopom, że zechcą siać ziarno i żąć zboże, jeżeli nikt ich nie będzie do tego zmuszał i kontrolował. Nie wierzył robotnikom, że będą pracować, jeżeli nie ustali się dla nich norm. Nie wierzył żołnierzom i generałom, że pójdą się bić nawet bez karnych kompanii i oddziałów bezpieczeństwa wewnętrznego. Nie ufał swoim powiernikom. Nie ufał swoim żonom i kochankom. Dzieciom swoim też nie ufał... I zawsze się okazywało, że miał rację!

Zaufał zaś — jednemu tylko człowiekowi, jemu jednemu w ciągu całego swego, pełnego podejrzeń, życia. Ten człowiek na oczach całego świata okazał tyle zdecydowania i w przyjaźni, i w nienawiści, z takim rozmachem obrócić hołoble, żeby podać przyjazną dłoń wczorajszemu wrogowi!

I Stalin mu uwierzył.

Człowiekiem tym był Adolf Hitler.

Z aprobatą i złośliwą uciechą Stalin przyglądał się, jak Hitler gromił Polskę, Francję, Belgię, jak jego samoloty zaścielały niebo nad Anglią. Mołotow wrócił z Berlina wystraszony. Wywiad donosił, że Hitler ściąga wojska ku wschodniej granicy. Hess uciekł do Anglii. Churchill uprzedził Stalina o zbliżającym się ataku. Wszystkie kawki na białoruskich osikach i galicyjskich topolach skrzeczały o wojnie. Wszystkie baby na wszystkich rynkach całego jego własnego kraju przepowiadały wojnę nie dziś, to jutro. Jeden tylko Stalin zachowywał niezmałcony spokój.

Bo ufał Hitlerowi!

Za tę wiarę omal nie zapłacił wtedy własną głową.

Tym bardziej teraz już nikomu nie ufa!...

Tę wyczuwalną presję nieufności Abakumow mógłby odprzeć paroma gorzkimi słowami, ale nie śmiał. Bo też i po co ta cała zabawa w ołowiane wojsko, na diabła było wzywać tego osła, Popiwodę⁴ i omawiać z nim jakieś felietoniki przeciw Ticie? A znów tych dzielnych chłopaków, których Abakumow wyznaczył żeby skłuli niedźwiedzia w jamie — nie trzeba było dyskwalifikować na podstawie teczek personalnych, tylko przyrzec im się własnym okiem — i zaufać. No pewno, teraz to licho już wie, co z tego całego zamachu wyjdzie. Abakumowa samego gniewał taki brak giętkości.

Ale on znał swojego Gospodarza! Należało mu służyć jakąś częścią sił, może większą częścią, ale nigdy — ich pełnią. Stalin nie tolerował jawnej opieszałości. Ale zbyt efektywnego wykonania zadań — wprost nienawidził. Nikt, prócz niego samego nie powinien był niczego wiedzieć, umieć i robić bez zarzutu!

I Abakumow — nie on jeden zresztą! — pozornie pchał swój ministerialny wózek, aż poty nań biły, w istocie zaś wysiłek na poły markował.

Podobnie, jak król Midas przemieniał w złoto wszystko, czego tylko dotknął, tak Stalin swoim dotknięciem wszystko zamieniał w przeciwność.

Ale dzisiaj twarz Stalina — tak się ministrowi wydawało — rozjaśniała się w miarę, jak słuchał raportu. Zreferowawszy więc dokładnie projekt zamachu, Abakumow ominął z dala przekłętą tajną sieć telefoniczną i — starając się nie zawadzić oczyma o aparat, stojący na biurku, żeby nie ściągnąć nań spojrzenia Wodza — naświetlił z kolei sprawę Akademii imienia Frunzego, przeszedł do spisku w Akademii Teologicznej i tak dalej, i dalej.

4. Generał Piotr Popiwoda uciekł z Jugosławii do Moskwy po ekskomunice Tity przed konferencją komunistyczną w Szklarskiej Porębie.

A Stalin coś właśnie chciał sobie przypomnieć! Właśnie szukał czegoś w pamięci! — żeby tylko nie tych tajnych telefonów! Zebrał skórę na czole w grube bruzdy, uwydatniły się chrząstkowate skrzydełka jego dużego nosa, wlepił w Abakumowa ciężkie spojrzenie (minister starał się nadać swemu obliczu wyraz maksymalnie szczerzej, uczciwej prostoty) — ale pamięć nie dopisywała! Myśl, i tak ledwie uchwytna, już gdzie umknęła. Bruzdy na szarym czole rozpełzły się bezradnie.

Stalin westchnął, nabił fajkę i zapalił ją.

Aha! — przypomniał sobie przy pierwszym pyknięciu, ale tylko mimochodem — i nie to, co usiłował sobie przypomnieć. — Czy Gomułka aresztowany?

Gomułka nie tak dawno został usunięty w Polsce ze wszystkich stanowisk; staczał się teraz gładko aż na samo dno.

— Aresztowany! — zapewnił z ulgą Abakumow, podnosząc lekko tyłek z krzesła (zresztą Stalinowi już o tym fakcie meldowano). Aresztowanie kogoś było najprostszą z czynności należących do jego resortu.

Stalin nacisnął guzik na biurku, górne światła rozjarzyły się, lampy na ścianach zapłonęły i zrobiło się bardzo jasno. Wstał z fotela i zaczął przechadzać się, kurząc fajkę. Abakumow domyślił się, że raport jest skończony i że teraz zacznie się dyktowanie instrukcji. Rozłożył duży blok na kolanach, wyjął wieczne pióro i przygotował się do notowania. (Wódz lubił, żeby każde jego słowo było utrwalone).

Ale Stalin chodził od gramofonu do biurka i z powrotem, pykał fajkę i nic nie mówił, tak jakby zapomniiał o Abakumowie. Szara, dziobata jego twarz stężała od męczącego wysiłku pamięci. Kiedy mijał bokiem Abakumowa, minister widział jak zgięty już jest grzbiet Wodza, jak staje się on przez to jeszcze niższy, prawie karłowaty. I Abakumow pomyślał sobie (zwykle odpędzał takie myśli w obawie przed jakimiś aparatami w ścianach, które tu mogłyby je odczytać) — pomyślał więc, że Bat'ka nie przeżyje więcej, niż dziesięć lat, że mu się zemrze. Abakumow bardzo chciał nawet, żeby to zdarzyło się jak najszybciej; wydawało się, że życie ich wszystkich, zaufanych, dopiero wtedy stanie się łatwiejsze.

A Stalin był zgnębiony nową luką w pamięci — głowa odmawiała mu już posłuszeństwa!

Idąc tu z sypialni specjalnie sobie obmyślił, o co ma dziś pytać Abakumowa — i macie, wypadło mu z pamięci! Zupełnie bezradny, nie wiedział już, jak marszczyć czoło, jaką część mózgu nateńczyć, żeby sobie przypomnieć.

Nagle podniósł głowę — spojrzał na szczyt przeciwnieległ ściany — i przypomniał sobie!! — ale nie to, co chciał teraz — tylko to, czego nie mógł sobie przypomnieć onegdajszej nocy w Muzeum Rewolucji, to co tak go tam nękało.

... To było w trzydziestym siódmym roku. Na dwudziestolecie rewolucji, kiedy to na jedno jego skinienie tak bardzo zmieniła się jej interpretacja, Stalin zdecydował się osobiście skontrolować, jak wygląda nowa wystawa — czy aby czegoś tam nie pokrecono. W jednej z sal — tej właśnie, gdzie stał teraz olbrzymi telewizor — już od progu ujrzał — oczami, z których jakby nagle łuski spadły — duże, zawieszone wysoko na przeciwnieległej ścianie portrety Żelabowa i Perowskiej⁵.

Twarze mieli otwarte, nieulekłe, w ich spojrzeniu była nieugiętość i każdy wchodzący mógł słyszeć ich zew: „Zabij tyrana!”.

Razony spojrzeniami narodowolców, jak dwoma strzałami wbitymi w samo gardło, Stalin rzucił się wtedy wstecz, zacharczał, zaniósł się kaszlem i w tym kaszlu trząsł tylko palcem, wciąż wskazując na portrety.

Zdjęto je natychmiast.

A z pałacu Krzezińskiej⁶ w Leningradzie usunięto wtedy pierwszą relikwię rewolucji — szczątki karety Aleksandra Drugiego.

Od tego właśnie dnia Stalin rozkazał budować dla siebie schrony i tajne kwatery w rozmaitych punktach. I nie znajdując już smaku w miejskiej ciasnocie i tłoku — doszedł aż do tej zamieszkanej dachy, do tego niskiego gabinetu nocnego, sąsiadującego z dyżurką jego własnej lejbgwardii.

Im więcej było tych, których zdołał pozbawić życia, tym bardziej go nękał nieustanny lęk o życie własne. W umyśle jego rodziło się wiele cennych ulepszeń systemu ochrony osobistej — jak to na przykład, że skład oddziału wartowniczego ogłaszany był zaledwie godzinę przed początkiem dyżuru, a każda zmiana składała się z żołnierzy, zakwaterowanych w rozmaitych i daleko od siebie położonych koszarach: spotykając się po raz pierwszy na warcie, na okres jednej tylko doby — nie mogli wejść w żadną zмовę. Dacze też kazał sobie zbudować na

5. Przywódcy „Narodnej Woli”, sławni rewolucjoniści z siedemdziesiątych i osiemdziesiątych lat zeszłego wieku, wyznawcy socjalizmu niemarksistowskiego, autorzy słynnych zamachów na cara Aleksandra II.

6. Tancerka, kochanka Mikołaja II, w jej pałacu czas jakiś znajdowała się (po przewrocie lutowym 1917) kwatera główna bolszewików, z jego balkonu przemawiał Lenin. Później przekształcono go na muzeum ruchu rewolucyjnego.

kształt pułapki-labiryntu z trzech płotów: bramy ich nie znajdowały się w jednej linii. Miał też kilka sypialni, a w której ścieścić dzisiaj — to mówił dopiero przed samym pójściem na spoczynek.

Wszystkich tych wybiegów wcale nie uważał za tchórzostwo, tylko za przejaw rozsądku. Życie jego bowiem było skarbem nieocenionym dla biegu dziejów ludzkich.

Inni mogli jednak źle rzecz zrozumieć. Żeby więc nie wyróżniać się pod tym względem — kazał również p o m n i e j s z y m przywódcom w stolicy i w terenie trzymać się tych samych przepisów: zabronił chodzić bez ochrony nawet do klozetu, zalecił żeby zawsze i wszędzie jeździli gęsiego, w jednym z trzech zupełnie jednakowych aut...

Teraz też, pod wpływem piękącego wspomnienia o portretach narodowolców, Stalin zatrzymał się na środku pokoju, obrócił się do Abakumowa i zapytał, lekko potrząsając podniesioną w górę fajkę:

— A coś ty nowego wprowadził po linii bezpieczeństwa kadry partyjnej?

I spojrzał zaraz tak wrogo, tak złowroźnie! I ta głowa przechylona w bok!

Z otwartym, czystym notesem w ręku Abakumow uniósł lekko tyłek nad krzesłem (ale nie zupełnie, bo wiedział, że Stalin lubi tylko niezbyt ruchliwych rozmówców) — i z ochotą, z całą ochotą zaczął mówić o tym, czego wcale nie zamierzał poruszać (ta ochocza gotowość była tym, co najbardziej liczyło się na audiencji, wszelkie zakłopotanie Stalin gotów byłby uznać za dowód złych zamiarów).

— Josif Wissarionowicz! — głos Abakumowa drgał w poczuciu niezasłużonej krzywdy. — Przecież właśnie po to istniejemy my — o r g a n y — całe nasze ministerstwo, abyście wy, towarzyszu Stalin, mogli spokojnie pracować, rozmyślać, kierować państwem!...

(Stalin powiedział „bezpieczeństwo kadry partyjnej”, ale oczekiwał odpowiedzi dotyczącej tylko jego; Abakumow to wiedział!).

— Toż nie ma wprost dnia, żebym czegoś nie sprawdził, żebym kogoś nie aresztował, żebym nie wgłębił się w jakąś sprawę!...

Stalin przyglądał mu się uważnie, stojąc wciąż w pozie kruka z ukreconym łbem.

— Słuchaj no — spytał w zamyśleniu — a jak tam? Dużo masz spraw o terror, co? Nie ubywa?

Abakumow gorzko westchnął.

— Rad bym wam powiedzieć, towarzyszu Stalin, że nie ma spisków terrorystycznych. Ale kiedy są! Wykrywamy je nawet w jakichś cuchnących kuchniach, nawet na rynku!

Stalin przymknął jedno oko, w drugim błysnęła satysfakcja.

— To dobrze — skinął głową. — To znaczy, że pracujecie.

— Ale, towarzyszu Stalin — Abakumow nie mógł jednak usiedzieć, gdy Wódz przed nim stał — uniósł się więc znowu, lecz kolana miał wciąż półzgięte — tym wszystkim sprawom nie pozwalamy dojrzeć do stadium otwartych przygotowań, dusimy je w zarodku! kiedy istnieją tylko w zamiarze, na podstawie paragrafu dziewiętnaście!

— Dobrze, dobrze — Stalin uspokajającym gestem skłonił Abakumowa do dalszego siedzenia. (Żeby takie cielsko jeszcze się nad nim wywyższało!) — Więc ty uważasz, że są jeszcze malkontenci wśród mas?

Abakumow znów westchnął. Odparł ze skrucą:

— Tak jest, towarzyszu Stalin. Jest jeszcze pewien procent...

(Ładnie by wyglądał, gdyby powiedział, że nie! Na diabła wtedy ten cały jego sklepik?...)

— Dobrze mówisz — powiedział Stalin serdecznym tonem. — Z tego widać, że masz dane, że możesz pracować w bezpieczeństwie. A ja znów często słyszę, że nie ma już więcej niezadowolonych, że wszyscy, co głosują w wyborach z a — dają dowód że są zadowoleni. Dobrze, co? — Stalin uśmiechnął się. — Polityczna ślepota! Wróg się zaczął, głosuje z a — ale wciąż jest przeciw! Jakies pięć procent, co? A może osiem?...

(Właśnie tę trzeźwą przenikliwość, ten zmysł samokrytyczny, tę swoją odporność na wszelkie kadzidło Stalin szczególnie w sobie cenił!)

— Tak jest, towarzyszu Stalin — z przekonaniem przytaknął Abakumow. — Tak to właśnie jest, jakieś pięć procent. Albo i siedem.

Stalin kontynuował spacer po gabinecie, teraz okrążył biurko.

— Trudno, już taki jestem, towarzyszu Stalin — zdobył się na odwagę Abakumow; uszy całkiem już mu ostygły. — Nie umiem sam sobie mydlić oczu.

Stalin lekko puknął fajką w popielniczkę.

— A nastroje wśród młodzieży?

Pytania, jak te noże, co jedno, to ostrzejsze, a starczy tylko raz się zaciąć! Powiedz tu człowieku, że dobre — ślepota polityczna. Powiedz, że złe — nie wierzysz w naszą przyszłość.

Abakumow wymownie rozciapierzył palce, ale od słów na razie się powstrzymał.

Stalin, wcale na odpowiedź nie czekając, powiedział z naciskiem, wciąż pukając fajką:

— Młodzież należy otaczać jeszcze większą troską. W stosunku do wad młodzieży trzeba więc przejawiać szczególną surowość!

Abakumow spostrzegł się w porę i zaczął notować.

Stalin dał się ponieść własnej myśli, w oczach zapalił mu się tygrysi blask. Nabił fajkę świeżym tytoniem, zapalił i znów ruszył z miejsca, o wiele teraz żwawiej:

— Należy wzmocnić nadzór nad środowiskiem studenckim i jego nastrojami! Trzeba wykorzeniać wrogie elementy nie po jednemu — tylko całymi grupami! I trzeba wreszcie korzystać z pełni tych możliwości jakie nam daje prawo — dwadzieścia pięć lat, nie żadne dziesięć! Dziesięć — to szkółka, to nie więzienie! Dziesięć — to dla uczniów ze szkół. A komu już wasy się sypią — temu dwadzieścia pięć! Młodzi są! Jakoś to przeżyją!

(Abakumow pisał, aż się kurzyło. Pierwsze kółka wielkiej maszyny wprawione zostały w ruch).

— I trzeba skończyć z sanatoryjnym reżymem w politycznych zakładach karnych! Słyszałem od Berii: w politycznych więzieniach po dziś dzień zezwala się na paczki żywnościowe?

— Położymy kres! Zabronimy! — bolesnym tonem zawołał Abakumow nie przerywając pisania. — To był właśnie nasz błąd, towarzyszu Stalin, darujcie nam!!

(To już faktycznie było niedopatrzenie! Mógł się sam przecież zorientować!)

Stalin stanął przed Abakumowem w szerokim rozkroku.

— Ile razy trzeba wam tłumaczyć?! Przecież musicie nareszcie zrozumieć...

Mówił bez gniewu. Oczy mu złagodniały, wyzierała z nich pewność, że przecież Abakumow zrozumie i zapamięta. Abakumow nie przypominał sobie, żeby Stalin kiedykolwiek mówił z nim w sposób tak bezpośredni i życzliwy. Poczucie lęku całkiem się rozwiało, mózg zaczął pracować spokojnie, jak u normalnego człowieka. I pewna troska zawodowa, która dawno już stała mu kością w gardle, teraz właśnie znalazła sobie ujście. Abakumow powiedział z wyrazem ożywienia:

— My rozumiemy, towarzyszu Stalin! My (mówił w imieniu całego ministerstwa) rozumiemy; walka klasowa będzie się zaostreć! Ale wobec tego tym bardziej — towarzyszu Stalin, musicie zrozumieć, jak nam krępuje ręce w naszej robocie to skasowanie kary śmierci! Przecież tak się już borykamy dwa i pół roku; formalnej podkładki przy rozstrzelaniach dawać nie wolno. W rezultacie — wyroki trzeba pisać w dwóch redakcjach.

Dalej — wypłaty dla wykonawców też nie mogą iść przez księgowość ot tak, po prostu, stąd bałagan przy bilansie. Wreszcie — w obozach nie ma czym ich postraszyć. Ach, jak nam ta kara śmierci potrzebna! Towarzyszu Stalin, oddajcie nam karę śmierci!! — prosił z całego serca Abakumow przykładając dłoń do piersi i z nadzieją podnosząc oczy na ciemne oblicze Wodza.

I Stalin — jakby się leciutko uśmiechnął. Jego szorstkie wąsy drgnęły miękko.

— Wiem — powiedział cicho, ze zrozumieniem. — Już nad tym myślałem.

Zadziwiający człowiek! Wiedział o wszystkim! O wszystkim myśli! — jeszcze zanim zdąży mu się coś powiedzieć. Jak bóstwo nadziemskie, przewiduje zawczasu bieg myśli ludzkich.

— Już niedługo będziecie znowu mieli karę śmierci — powiedział w zadumie, patrząc przed siebie, jakby zaglądał w głąb przyszłości na lata, na lata. — To będzie dobry środek wychowawczy.

Mało to on myślał o tym! Bardziej niż oni wszyscy razem dręczył się przez te dwa lata, że uległ na chwilę chęci olśnienia tych z Zachodu, że sam sobie się sprzeniewierzył — i przyjął, iż ludzie nie są zepsuci aż do szpiku kości.

A przecież ten właśnie rys był przez całe życie charakterystyczny dla niego, jako działacza państwowego i dowódcy; ani degradacja, ani nagonka publiczna, ani dom wariatów, ani dożywotnie więzienie, ani zesłanie wcale mu się nie wydawały wystarczającym środkiem zapobiegawczym wobec człowieka, który uznany został za niebezpiecznego. Tylko o śmierć była wyjściem godnym zaufania, zupełnie pewnym.

I jeśli jego oczy zwrężyły się od dołu, to jeden tylko błyskał w nich wtedy wyrok: śmierć.

Jego skala po prostu nie przewidywała niższej kary.

... Oczy Stalina odwróciły się od odległych, jasnych dali, w które dopiero co zaglądał, wparły się w Abakumowa i zmrużyły się nagle chytrze:

— A ty nie boisz się, że my właśnie ciebie pierwszego teraz rozstrzelamy?

Tego „rozstrzelamy” prawie nie wymówił, powiedział to na wydechu, miękko, jak coś, co powinno być rozumiane samo przez się.

Ale w Abakumowa to słowo zapadło lodowatym ciężarem. Najbardziej Kochany i Wielbiony stał teraz nad nim, trochę tylko poza zasięgiem ręki — i przyglądał się uważnie najmniej-

szej zmarszce na twarzy ministra, ciekaw, jaka też będzie jego reakcja na żarcik.

Nie ośmielając się ani wstać, ani siedzieć, Abakumow dźwignął się krzywą na zgiętych nogach; zadrżały mu w kolanach z natężenia.

— Josif Wissarionowicz!... Jeżeli zasługuję na to... Jeżeli trzeba...

Stalin spozierał mądrze, przenikliwie. Przymierzał się teraz po cichu do drugiej swojej stałej myśli o każdym zaufanym; czy aby nie czas już go sprzątnąć. Dawno już odkrył ten prastary klucz do popularności; naprzód samemu poszczuć oprawców, a później, w odpowiedniej chwili odciąć się od ich nadgorliwości, od ich zadufania. Czynił już tak po wielokroć — i zawsze mu się to udawało. I nieodwołalnie nadejdzie też chwila, kiedy trzeba będzie zepchnąć Abakumowa do tej samej jamy.

— Słusznie! — powiedział Stalin z życzliwym uśmiechem, chwając go jakby za pojętność. — Kiedy sobie zasłużysz, to cię też rozstrzelamy.

I skinął ręką w powietrzu, każąc ministrowi siadać, siadać. Abakumow znów usiadł.

Stalin zadumał się i przemówił teraz tak ciepło, jak nigdy jeszcze nie mówił do ministra bezpieczeństwa.

— Niedługo będziecie mieć dużo roboty, Abakumow... Jeszcze raz przeprowadzimy taki zabieg, jak w trzydziestym siódmym. Przed porządną wojną potrzebna jest porządna czystka.

— Ależ, towarzyszu Stalin! — ośmielił się wtrącić Abakumow. — A bo to my teraz mało wsadzamy?

— Takie to tam i wsadzanie!... — Stalin machnął ręką lekceważąco i uśmiechnął się dobrodusznie. — Teraz dopiero zaczniemy wsadzać — zobaczysz!... A jak rozpocznie się wojna i pójdziemy naprzód — to dopiero tam będzie wsadzanie! Wzmacniaj organy! Wzmacniaj organy! Etyaty, fundusz osobowy — niczego ci nie pożałuję!

I pożegnał go dobrotliwie:

— No, idź już sobie.

Abakumow nie wiedział wcale, czy idzie, czy też na skrzydłach leci przez poczekalnię — do Poskriobyszewa, po swoją teczkę. Teraz to już nie tylko można było spokojnie oddychać przez cały miesiąc, ale czy aby nie zaczynała się nowa era w jego stosunkach z Gospodarzem?

Zapowiedziano mu co prawda, że sam też zostanie rozstrzelany — ale to przecież były żarty.

XXI

S T A R O Ś Ć

Tymczasem Nieśmiertelny, podniecony swoimi wielkimi zamysłami, chodził dużymi krokami po nocnym gabinecie. Jakaś wewnętrzna muzyka w nim rosła, jakaś ogromna orkiestra dęta grała mu marsza.

Malkontenci? A niech tam. Zawsze byli i będą.

Ale — przyswoiwszy sobie niezawilą wersję historii powszechnej, Stalin wiedział, że z czasem ludzie wybaczą wszystko, co złe, że nawet to zapomną, ba, że będą to wspominać, jako największe dobro. Narody są podobne do królowej Anny, wdowy z szekspirowskiego „Ryszarda III” — ich gniew jest nietrwały; wola ich nie jest silna, pamięć mają krótką — i zawsze będą gotowe oddać się zwycięzcy.

Właśnie dlatego musi dożyć do tych dziewięćdziesięciu lat, że walka nie jest skończona, że dom jeszcze nie pod dachem, że czasy są niepewne — i że nie ma kto go zastąpić.

Poprowadzić i wygrać wojnę światową. Wybrać jak raki z saka zachodnich socjaldemokratów i wszystkich niedorżniętych w całym świecie. Później, rzecz jasna, podnieść wydajność pracy. Rozwiązać te tam problemy gospodarcze. Jemu jednemu tylko znanym sposobem dać ludzkości szczęście, i wrazić jej mordę w to szczęście, jak pysk ślepego szczeniaka w talerz z mlekiem — na! pij!

A co potem?

Bonaparte, tak, to był zuch. Nie przestraszył się ujadania z jakobińskich podwórek, sam się ogłosił imperatorem i tyle.

W słowie „imperator” nie ma nic złego, to znaczy tylko — rozkazodawca, przywódca.

Jak by to brzmiało — imperator planety! Imperator globu ziemskiego!

Nie ma w tym żadnej sprzeczności z międzynarodowym komunizmem.

(Chodził i chodził po gabinecie, a orkiestry mu grały).

A tymczasem może odkryty zostanie jakiś środek, jakiś taki lek, żeby chociaż jednemu człowiekowi zapewnić nieśmiertelność?... Nie, nie zdążą.

No i jak tu zostawić ludzi własnemu losowi? I kto go zastąpi? Nabałaganią, narobią furę błędów.

Niech tam. Ponastawiać więc sobie samemu pomników — jeszcze więcej, jeszcze wyższych (technika przecież pójdzie na przód). Propaganda monumentalna — w całym znaczeniu tego słowa. Postawić pomnik na Kazbeku i drugi, taki sam — na Elbrusie — i niech ta głowa zawsze nad obłoki sięga. I wtedy można już będzie umrzeć, niech tam — jako Największy z Wielkich, nie mający sobie równych w całych dziejach świata.

I nagle przystanął.

No, a... tam, wyżej? Równych mu, rzecz jasna, nie ma, ale — jeżeli podnieść oczy wyżej, nad obłoki jeszcze, to tam?... (Znów ruszył z miejsca, ale wolniejszym krokiem).

Właśnie ta mglista kwestia niepokoiła czasem Stalina.

Właściwie, to nic tu nie było mglistego. Już dawno poparte zostało niezbitymi dowodami wszystko to, co mogło się przydać, co zaś stało na przeszkodzie — to zostało naukowo obalone. Zostało dowiedzione, że materia nie podlega unicestwieniu, ani nie powstaje z niczego, zostało dowiedzione, że wszechświat nie ma granic. Zostało dowiedzione, że w ciepłych oceanach istnieją warunki sprzyjające powstaniu życia organicznego. Zostało dowiedzione, że niesposób dowieść historycznego istnienia Chrystusa. Zostało dowiedzione, że wszelkie cudowne uzdrowienia, zjawy, przepowiednie i przekazywanie myśli na odległość — to bajki dla dzieci.

Ale to, co jest tkanką duszy, co kochamy, do czegośmy się przyzwyczaili — wszystko to kształtuje się w młodości, później już wcale. Otóż wspomnienia dzieciństwa, które nigdy w istocie nas nie opuszczają, bardzo się ostatnimi czasy rozbudziły i ożywiły w duszy Josifa Dżugaszwili.

Przecież do dziewiętnastego roku życia żył tylko Starym i Nowym Testamentem, żywotami świętych i historią cerkwi. Służył do mszy, śpiewał w chórze, a jak też lubił śpiewać „Nynie Otpuszczajeszi” Strokina! Nawet dziś to zaśpiewa bez jednego fałszu. A ileż to — w ciągu tych jedenastu lat spędzonych w szkole i w seminarium — nacałował się ikon, ile się to napatrzył zagadkowych ich oczu!

Wyraził przecie życzenie, aby nawet w jego jubileuszowej biografii znalazło się to zdjęcie: alumn Dżugaszwili w szarej, wdziewanej pod sutannę rubaszce z kolistym, wysokim kołnierzem; matowy, jakby przygaszony wyczerpującymi modłami, pacholący owal twarzy; długie włosy, zapuszczane już, jak przyszedłemu kapłanowi przystoi, surowo przygładzone, pokornie wysmarowane olejem do lampek wiecznych i szesane aż na uszy; i tylko oczy, tylko napięte brwi zdradzają, że z tego kleryczka może jeszcze kiedyś wyrósć metropolita.

Inspektora diecezjalnego, Abakadze, tego samego, który wypędził młodego Dżugaszwili z seminarium, Stalin nie dał ruszyć. Niech sobie stary żyje.

A kiedy trzeciego lipca¹, przed mikrofonem ścisnął mu wyschłe gardło lęk i łzawy żal nad samym sobą (nie ma bowiem serc całkiem niezdolnych do żalu) nie przypadkiem wyrwało mu się z ust owo „bracia i siostry”. Ani Lenin, ani żaden inny przywódca nie byłiby zdolni do takiego przeżyczenia, nawet trafem.

Jego zaś usta powtórzyły tylko to, do czego przywykły w młodości.

Tak, w te dni lipcowe może się nawet modlił po cichu, podobnie, jak niejeden bezbożnik żegna się bezwiednie, kiedy wprost na niego leci bomba.

W ostatnich zaś latach było już mu po prostu miło, że cerkiew w swoich modłach mieni go — Wodzem z Bożego Rozkazu. Toć za to właśnie kazał przenieść Ławrę² na kremłowskie zaopatrzenie. Żadnego premiera największych nawet mocarstw nie witał Stalin tak, jak swego pokornego, stareńskiego patriarchę: wychodził mu na spotkanie aż do najdalszych drzwi i prowadził do stołu podtrzymując za łokieć. Przychodziło mu nawet do głowy, że warto by poszukać gdzie jakiegoś majątku, czy tam folwarku — i podarować patriarche. No, tak jak dawniej dawano ofiary za spokój duszy.

W ogóle Stalin czuł dziwną skłonność nie tylko do prawosławia, lecz również do innych składników i pojęć starego świata — tego świata, z którego sam był wychodzącą i który z tytułu swego stanowiska burzył już od czterdziestu lat.

W latach trzydziestych, z przyczyn czysto politycznych przywrócił do życia zapomniane, od piętnastu lat nie używane i mające posmak prawie wstydliwego słowa o j c z y z n a. Ale w miarę

1. — 3. VII. 1941 Stalin przemawiał przez radio — pierwszy raz po wybuchu wojny.

2. Trojce-Sergiejska, w Zagorsku.

lat zaczęło sprawiać mu prawdziwą przyjemność używanie takich słów jak „Rosja”, „Ojczyzna”. Bardzo mu stał się sympatyczny naród rosyjski — ten naród, który nigdy go nie zawiodł, który głodował tak długo, jak długo było potrzeba, który spokojnie szedł na wojnę i do obozów, który gotów był do wszelkich wyrzeczeń i nigdy się nie buntował. I po Zwycięstwie Stalin oświadczył zupełnie szczerze, że naród rosyjski odznacza się trzeźwym rozumem, mocnym charakterem i cierpliwością.

Z upływem lat Stalin czuł coraz większą chęć, by jego też uważano za Rosjanina.

Miła mu była nawet sama gra słów kojarząca się z dawnym światem: żeby mówić nie „kierownik szkoły” tylko dyrektor, nie „kadra dowódców” tylko — korpus oficerski, nie WCIK³ — tylko Wierchownyj Sowiet, Rada Najwyższa (najwyższy — to bardzo miłe słowo); i żeby oficerowie mieli ordynansów; i żeby pensjonarki uczyły się oddzielnie od gimnazjalistów, i żeby nosiły pelerynki, i płaciły za naukę; i żeby ludzie sowieccy wypoczywali, jak wszyscy chrześcijanie — w niedzielę, a nie byle jak, w dowolne dni; nawet żeby uznawać za ważne tylko małżeństwa zawarte formalnie, jak było za cara — chociaż sam swego czasu miał grube nieprzyjemności z tego powodu — i chociaż Engelsowi nigdy by to w głowie nie powstało.

Tu właśnie, w nocnym gabinecie, pierwszy raz przyłożył przed lustrem stare, rosyjskie pagony do swego frencza — i znalazł, że sprawia mu to przyjemność.

Koniec końców, w koronie, jako w najwyższym insygnium, także nie było niczego zdrożnego. Koniec końców cały ów świat trzymał się mocno i pewnie przez trzysta lat, dlaczego więc nie wziąć z niego tego, co najlepsze?

I chociaż kapitulacja twierdzy Port Artur⁴ mogła swego czasu tylko cieszyć go, jako zesłańca, uciekiniera z Irkuckiej guberni — to jednak chyba szczerze powiedział po klęsce Japonii⁵, że Port Artur przez czterdzieści lat był ciemną plamą na godności zarówno jego, jak innych Rosjan starszego pokolenia.

Tak, tak, Rosjan starszego pokolenia! Stalin nieraz sobie to mówił, że przecież nie przypadkiem on właśnie utrzymał władzę nad tym krajem i skłonił ku sobie wszystkie serca — właśnie on, nie zaś ci wszyscy złotouści krzykacze, nie ci brodaci tal-

3. *Wsjesojuznyj Centralnyj Ispolnitielnyj Komitet* — Wszechzwiązkowy Centralny Komitet Wykonawczy.

4. 1905: upadek tej twierdzy przypieczętował klęskę Rosji w wojnie z Japonią.

5. 1945.

mudyści — niezrośnięci z tą ziemią pochodzeniem, korzeniami, związkami krwi.

Oto są tu wszyscy, oto stoją na tych półkach — zakneblowani, rozstrzelani, starci na mierzwę w obozach, otruci, spaleni, zabici w katastrofach samochodowych i doprowadzeni do samobójstwa! Zewsząd usunięci, wykarczowani, wykleci, zepchnięci do apokryfów — tu znaleźli się w jednym szeregu! Co noc podsuwają mu te swoje stronice, trzęsą bródkami, załamują ręce, plują na niego, chrypią, krzyczą z tych półek: „Przecież ostrzegliśmy!”, „Trzeba było inaczej!” — nie trzeba rozumu, żeby zobaczyć źdźbło w oku bliźniego. Właśnie po to Stalin tu ich wszystkich zebrał, żeby w chwilach nocnych decyzji mieć w sobie jak najwięcej zawziętości.

Niewidzialna, wewnętrzna orkiestra, która mu grała marsza, rozprzęgła się w nim i zamilkła.

I poczuł takie łamanie w nogach jakby za chwilę miało mu je odjąć. Nogi ostatnio często mu drętwiały.

Władca połowy świata, w mundurze generalissimusa, z niskim, wklęsłym, cofniętym czołem, mozolnie włókł się wzdłuż półek i artretycznymi palcami szukał oparcia, przebierając nimi, przebierając po szeregach swoich wrogów.

Kiedy zaś dotarł do ostatniej szafy i odwrócił się — zobaczył telefon na biurku.

I coś, co cały wieczór umykało jego pamięci, teraz prześliznęło się przez nią końcem węzowego ogona.

Trzeba było o coś zapytać Abakumowa... Czy Gomułka aresztowany?...

Ależ tak! No, pewno! Szurając butami podszedł do biurka, ujął w palce pióro i napisał w kalendarzu: „Tajna sieć telefoniczna”.

A raportowali, że zgromadzono najlepsze siły, że materialna baza skompletowana, że entuzjazm, że prześcigają się tam w socjalistycznych zobowiązaniach — czemuż to więc nie kończą?! Abakumow, bezczelny, typ, przesiedział tu, sobaka, bitą godzinę — i ani słowa!

I tacy oni są wszyscy, we wszystkich resortach — każdy stara się tylko oszukać swojego Wodza! Jak im tu wierzyć? Jak tu można spać spokojnie i nie pracować po nocach?

Zachwiał się i usiadł, ale nie na swoim fotelu, tylko na stołeczku obok biurka.

Pół czaszki jakby ściągało mu ku lewej skroni, ciążyła mu cała głowa. Słabnący łańcuch myśli rozpadał się. Mętym spojrzeniem potoczył po gabinecie nie zdając już sobie sprawy, czy ściany są daleko, czy blisko.

To była sobacza starość... Starość bez przyjaciół. Starość bez miłości. Starość bez wiary. Starość bez pragnień.

Nawet córka, ulubienica, nie była już mu potrzebna — i wolno jej było widywać ojca tylko w święta.

Ta świadomość, że pamięć gaśnie, że rozum ćmi się, poczucie samotności skuwającej człowieka, jak paraliż — napełniały go bezradną zgrozą.

Śmierć uwiła sobie już w nim gniazdo, a on nie chciał temu dać wiary.

XXII

WRÓCIĆ DO OTCHŁANI

Kiedy inżynier pułkownik Jakonow wyszedł z ministerstwa przez paradny portal od strony ulicy Dzierżyńskiego i okrążył marmurowo-czarny węgiel gmachu skręcając pod kolumnowy krużganek na Furkasowskim — nie od razu rozpoznał swoją „Pobiedę” i nawet chwycił już za klamkę jakiegoś cudzego samochodu.

Gęsta mgła stała przez całą, kończącą się już noc. Śnieg, który wieczorem zaczął padać, z początku zaraz tajał, a później całkiem zniknął. Teraz, o brzasku, mgła przypadła nisko do ziemi, świeże zaś kałuże znowu ścigały kruchy lód.

Była już prawie piąta, ale w niebie była noc czarna, bez jednej iskry.

Przeszedł obok świeżo upieczony studencik (całą noc stał w bramie ze swoją ukochaną) i popatrzył z zazdrością na wsiadającego do samochodu Jakonowa. Z westchnieniem pomyślał, czy dochrapie się kiedy własnego auta. Nawet nie po to, żeby zaimponować jazdą dziewczynie. Sam znał samochody tylko stąd, że jeździł ciężarówką do kołchozu na kampanię żniwną.

Ale nie wiedział, komu zazdrości...

Kierowca zapytał:

— Do domu?

Jakonow bezmyślnie trzymał na otwartej dłoni kieszonkowy zegarek, nie zdając sobie sprawy, jaką wskazuje godzinę.

— Do domu? — zapytał kierowca.

Jakonow spojrzał na niego nieprzytomnie.

— Co? Nie.

— Do Mawrina? — zdziwił się szofer. Chociaż czekał tu w filcowych butach i w półkożuszku, jednak przemarzył cały i chciało mu się spać.

— Nie — odpowiedział inżynier-pułkownik przyciskając rękę do piersi trochę powyżej serca.

Kierowca obejrzał się i zerknął na twarz szefa widoczną w mętnej plamie światła ulicznej latarni, zaglądającej przez zamglone okienko.

To nie był jego szef. Miękkie, beznamietne, czasem tylko wyniośle zaciśnięte usta Jakonowa teraz drżały bezradnie.

Wciąż jeszcze trzymał w dłoni zegarek, nie widząc godziny.

I chociaż kierowca naczekał się od północy, wściekły na pułkownika, kląć w barani kołnierz, wypominając szefowi wszystkie jego winy za dwa lata wstecz — teraz, o nic więcej nie pytając — pojechał prosto przed siebie. I złość mu jakoś minęła.

Było tak późno, że już robiło się wcześniej. Na pustkowiu stołecznych ulic nie spotykało się prawie samochodów. Nie było już ani milicji, ani tych co rozbierają, ani też tych, których się rozbiera. Już niedługo miały ruszyć trolejbusy.

Kierowca kilkakrotnie oglądał się na pułkownika; jakiś cel trzeba było jednak wybrać. Już przejechał Bramę Miasnicką, dojechał bulwarem Sretienskim i Roźdiestwienskim aż do placu Trubnego, skręcił na Nieglinną. Ale nie mógł przecież tak jeździć aż do rana.

Jakonow patrzył przed siebie, w pustkę, wzrokiem zupełnie nieruchomym i bezmyślnym.

Mieszkał na Wielkiej Sierpuchowce. Licząc na to, że widok sąsiadujących z jego mieszkaniem okolic skłoni inżyniera-pułkownika do powrotu w domowe pielesze, kierowca postanowił jechać na Zamoskworiecze. Minął Ochotnyj Riad, skręcił koło Manieża i wypadł na surowy, pustynny Czerwony Plac.

Blanki murów i szczyty błękitnych świerków pod murami pokryte były sędzielizną. Asfalt był szary i śliski. Mgła cisnęła się jakby pod koła samochodu, pod asfalt.

Przemknęli o jakieś dwieście metrów od muru, od blanków, od posterunków, pod których ochroną — jak mogli sądzić — kończył właśnie samotną swoją noc największy człowiek na ziemi. Ale nie pomyśleli nawet o nim, przejeżdżając.

I dopiero, kiedy zjechali w dół, obok Wasyla Błogosławionego i skręcili na lewo nabrzeżem Moskworieckim, kierowca przyhamował i znów spytał:

— Może jednak do domu, towarzyszu pułkowniku?

Prawdę mówiąc, trzeba było właśnie jechać do domu. Może już tych nocy domowych zostało człowiekowi mniej, niż palców. Ale tak, jak pies szuka samotności, żeby zdechnąć spokojnie,

podobnie Jakonow chciał się teraz znaleźć gdziekolwiek, byle z dala od rodziny.

Zebrawszy poły skórzanego płaszcza, wyszedł z „Pobiedy” i powiedział do kierowcy:

— Jedź już sobie do domu, bratku, prześpij się, ja sam jakoś dojdę.

Mówił tak czasem do szofera, b r a t k u. Ale miał w głosie taki smutek, jakby serio z nim się żegnał.

Rzeka Moskwa aż po kamienne burty pokryta była ruchomą pierzyną mgły.

W niezapiętym płaszczu, w pułkownikowskiej papasze na bakier, Jakonow ruszył nabrzeżem ślizgając się co krok.

Kierowca chciał zawołać go, pojechać w ślad za nim, ale potem przyszło mu na myśl, że dygnitarze nie skaczą do wody, jakoś nic takiego się nie słyszało, zawrócił więc i odjechał.

Jakonow zaś poszedł przed siebie długim nabrzeżem bez przecznic, między jakimś nie mającym końca drewnianym płotem z lewej strony, a rzeką z prawej. Szedł samym środkiem asfaltowej jezdni, patrząc uporczywie, bez mrugnięcia w ognie dalekich latarni.

I oto przeszedłszy tak spory kawałek, uświadomił sobie, że pogrzebowy ten marsz w zupełnej samotności sprawia mu zwyczajną i dawno nie odczuwaną przyjemność.

Kiedy ich wezwano do ministra po raz wtóry — zasłzy wypadki nie do naprawienia. Zdawało się, że wszechświat runął. Abakumow miotał się, jak dziki zwierz. Rzucił się na nich, porozganiał ich po całym gabinecie, wymyślał od ostatnich, pluł omal że prosto w twarze i wymachując pięścią prawie na oślep przed samym nosem Jakonowa szturchnął go — niby niechący — w ten miękki, biały nos, tak że aż krew poszła.

Sewastianowa zdegradował do stopnia lejtnanta i posłał w lasy, za koło podbiegunowe, na półetatu; Oskołupowa odesłał w randze szeregowego strażnika z powrotem do więzienia Butyrskiego, gdzie ten zaczynał karierę w 1925 roku; Jakonowa zaś „za oszustwo i recydywę prób sabotażu” aresztował i kazał wyekspediować go w granatowym kombinezonie do Siódemki, do Bobynina, żeby własnymi rękoma zrobił coś nareszcie z aparatem do klippingu. Dopiero później, gdy już trochę ostygł — dał im jeszcze jeden, ostatni już termin — do leninowskiej rocznicy.

Ogromny, urządzony bez smaku gabinet chybotął się i rozpywał cały przed oczyma Jakonowa. Próbował osuszyć nos chusteczką. Stał tak zupełnie bezbronny twarzą w twarz z Aba-

kumowem, i myślał cały czas tylko o tych, z którymi spędzał ledwie godzinę dziennie, ale dla których wił się jak piskorz, użerał i gnębił innych przez wszystkie pozostałe godziny: o dwóch chłopcach, ósmio- i dziewięcioletnim, i o żonie, Wariuszy, drogiej mu tym bardziej, że ożenił się z nią tak późno. Wzięli ślub, gdy miał trzydzieści sześć lat, zaraz po wyjściu stamtąd, dokąd go teraz pchała żelazna pięść ministra.

A potem Sewastianow zabrał Oskołupowa i Jakonowa do siebie i zagroził, że raczej obu ich pośle za kraty, ale nie pozwoli ze siebie samego zrobić podbiegunowego lejtnanta.

Następnie Oskołupow zabrał Jakonowa do swojego gabinetu i wyjawiał mu bez ogródek, że teraz już raz na zawsze skojarzył sobie więzienną przeszłość Jakonowa z jego teraźniejszym sabotażem.

... Jakonow zbliżył się do wysokiego, betonowego mostu, prowadzącego na prawo, za rzekę Moskwę. Ale nie wyminął łukiem jego przyczółka, ani nie wszedł nań po stopniach, tylko przeszedł pod nim tunelem, w którym przechadzał się milicjant.

Milicjant długim, podejrzliwym spojrzeniem odprowadził dziwnego pijaka w binoklach i z pułkownikowską papachą na głowie.

To było ujście Jauzy. Jakonow przeszedł przez krótki mostek, wciąż tak samo nie próbując nawet zorientować się, gdzie jest.

Tak, to była gra do upadłego, do zachłyśnięcia się — i oto zbliżał się jej koniec. Jakonow znał dobrze i to z własnego doświadczenia tę szaloną, niemożliwą do wytrzymania gonitwę, w której ludzi popędzano wziętymi z sufitu, absurdalnymi, niszczącymi wszelki sens terminami. To było parcie, nacisk, śruba, żeby wycisnąć więcej, prędzej, jeszcze, jeszcze, całą normę, ponad normę, trzy normy, dodatkową wachtę honorową, zobowiązanie, kontr-zobowiązanie, wykonanie przedterminowe, jeszcze bardziej przedterminowe! Tam, gdzie stosowano taką metodę — waliły się domy, nie trzymały się mosty, pękały dźwigary, zboże gniło na pniu, albo w ogóle nie wschodziło. Ale zanim wyjaśniało się raz jeszcze, że nie można od ludzi wymagać rzeczy nadludzkich — ci, którzy znaleźli się w takim wirze nie mieli, jak się zdaje, innego wyjścia, niż rozchorować się, wsadzić palec w tryby, ulec wypadkowi — i znaleźć dopiero wtedy schronienie w szpitalu, czy w sanatorium.

Jak dotąd jednak, Jakonowowi udawało się wyplątywać z takich spraw, którym groziło zaćwiczenie na śmierć — w ten sposób, że umiał przeskakiwać w porę do innych przedsięwzięć, jeszcze bardziej dyskusyjnych, albo dopiero rozpoczętych.

Ale tym razem czuł, że już się nie wyrwie. Nie można było w tak krótkim czasie uratować sprawy klippingu. Nigdzie też nie mógł przeskoczyć.

Choroby też sobie w porę nie wymyślił.

Stał przy parapecie nadbrzeża i patrzył w dół. Mgła legła już na samym lodzie, obnażając go — i pod samymi nogami Jakonowa widniała czarna plama wygniłej w lodzie przerębli.

Czarna otchłań przeszłości — więzienie — znów się przed nim otwierała, wzywała go z powrotem.

Sześć lat spędzonych tam Jakonow uważał za gnijącą ranę, straszną chorobę, hańbę, za największą klęskę swego życia.

Poszedł siedzieć w trzydziestym drugim roku, jako młody inżynier-radiowiec, mający za sobą już dwa wyjazdy na zagraniczne praktyki (wsadzili go właśnie przez te wyjazdy). Wówczas to znalazł się w liczbie pierwszych zeków, z których sformowano — zgodnie z koncepcją Dantego — jedną z pierwszych szaraszek.

Jak bardzo chciał zapomnieć o więziennej przeszłości — chciał tego sam! I żeby inni zapomnieli! I żeby sam los zapomniał! Jak bardzo unikał tych, którzy mogli przypomnieć mu ten przeklęty okres, którzy pamiętali go jako skazańca!

Odepchnął się od parapetu, odszedł od niego, przeciął nadbrzeże i pobraął przed siebie gdzieś, w górę, bardzo stromo. Wiodła tam ścieżyna wzdłuż płotu jakiegoś innego jeszcze placu budowy; była udeptana i utrzymała się na niej warstewka niezbyt śliskiego lodu.

Tylko centralnej kartotece MGB było wiadome, że w mundurze MGB parady nie jeden był zek.

Prócz Jakonowa, jeszcze dwóch takich znalazło się w instytucie Mawrino.

Jakonow unikał ich, jak mógł najstaranniej, na wszelki sposób wykręcał się od rozmów pozasłużbowych i nigdy nie zostawał z żadnym z nich sam na sam w gabinecie, aby czasem komuś nie dać żeru.

Jednym z nich był Kniażeniecki, siedemdziesięcioletni profesor chemii, ulubieniec Mendelejewa z okresu studiów. Odsiedziało swoje przepisowe dziesięć lat. Później, z uwagi na długi spis zasług dla nauki, posłany został do Mawrina jako wolny by przepracować tu powojenne trzy lata, ale świszczący bat Dekretu o Konsolidacji Zaplecza także go tu dosięgnął. Któregoś dnia, w trakcie pracy, został wezwany do ministerstwa i już stamtąd nie wrócił. Jakonow dobrze zapamiętał, jak Kniażeniecki ze swoją trzęsącą się, srebrną głową szedł w dół

po czerwonym chodniku, wyściełającym schody instytutu, nie wiedząc jeszcze, po co to wzywają go na pół godzinki — a za jego plecami, na górnym podejściu tych samych schodów oper Szykin już odrywał z pomocą scyzoryka fotografię profesora z tablicy honorowej instytutu.

Drugi — Ałtynow, nie był wybitnym naukowcem tylko przedsiębiorczym fachowcem. Po pierwszej swojej odsiadce stał się podejrzliwy, zamknięty i żywiący przewidującą nieufność właściwą więziennej braci. I gdy tylko Dekret o Konsolidacji rozpoczął pierwsze swoje obroty po stołecznej orbicie, Ałtynow poszedł po rozum do głowy i wkrótce znalazł się w klinice chorób serca. A zrobił to w sposób tak naturalny, tak gruntowny, że teraz już lekarze nie obiecywali żadnej poprawy, przyjaciele zaś zaprzestali szeptów na jego temat, zrozumiałwszy, że to po prostu nie wytrzymało dłużej serce, nawykłe do tyloletniego kluczenia.

Tak też Jakonow, już przed rokiem naznaczony piętnem zagłady, jako były zek, teraz po raz wtóry trafiał na czarną listę jako sabotażysta.

Otchłań znów przyzywała ku sobie swoje dzieci.

Jakonow brnął przez pustkowia w górę nie wiedząc nawet, dokąd idzie, nie czując, że się wspina coraz wyżej. Nareszcie zadyszał się i musiał stanąć. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa; powykrecał stopy na grudzie.

I wtedy, z tych wyżyn, na które się wdrapał, trzeźwymi już oczyma rozejrzał się, aby zrozumieć, gdzie jest właściwie.

W ciągu godziny, która minęła od chwili, gdy wyszedł z auta, zmieniła się nie do poznania ta noc, konająca na coraz większym mrozie. Chociaż nie było śniegu — ale i ziemia pod nogami, cała w ceglanym gruzie, w kruszywie, w odłamkach szkła, i jakaś wałaca się szopa z tarcic, i budka obok niej, i ocalały płot gdzieś niżej, opasujący duży plac, gdzie niegdyś miano rozpocząć budowę — wszystko to ledwie majaczyło w półmroku, białe od szronu.

A na szczyt tego pagórka opustoszałego tak dziwnie, jak na okolice centrum stolicy — prowadziły białe stopnie; było ich około siedmiu, później kończyły się, a jeszcze wyżej znów się chyba zaczynały.

Głuche jakieś wspomnienie obudziło się w Jakonowie na widok tych białych stopni. Zaskoczony wspiał się po nich w górę; dalej była dróżka z ubitego żużlu i znowu stopnie. Prowadziły do stojącego na szczycie budynku, słabo widocznego w ciemnościach, staroświeckiego z wyglądu, sprawiającego wrażenie ruiny, która przecie swój charakter zdołała ocalić.

Czy to zniszczenie było dziełem niemieckich bomb? Ale takich pozostałości w Moskwie nie tolerowano. Jaka więc siła doprowadziła tu wszystko do ruiny?

Jeden ciąg stopni oddzielony był od następnego kamiennym podestem. Spore odłamki kamienia leżały teraz na stopniach, przeszkadzając przy wspinaczce, same zaś schody przypominały wejście na cerkiewny portal.

Dochodziły aż do szerokich, żelaznych wrót, zamkniętych na głucho i zasypanych po kolana ubitym śniegiem.

No tak! Tak! Ostre wspomnienie smągnęło Jakonowa. Obejrzał się za siebie. Posiekana rzędami latarni, daleko w dole wiała się rzeka, dziwnie znanym łukiem wchodząc pod most i dalej, ku Kremlowi.

Ale dzwonnica? Nie ma jej. A może te zwały kamienne — to dzwonnica?

Jakonow poczuł falę gorąca w oczach. Musiał je zmrużyć.

Cicho przysiadł na kamieniach, walających się przed wrotami. Dwadzieścia dwa lata temu stał na tym samym miejscu z dziewczyną, która nazywała się Agnia¹.

1. Agnieszka.

XXIII

CERKIEW NIKITY MĘCZENNIKA

Wymówił to imię — Agnia i wietrzyk zupełnie innych, zapomnianych skojarzeń owionął jego ciało — syte wszelkich dostatków.

Miał wtedy dwadzieścia sześć lat, ta dziewczyna — dwadzieścia jeden.

Była jakby nie całkiem z tego świata. Na swoje nieszczęście była subtelna i wymagająca w stopniu takim, który przeszkadza już żyć.

W trakcie rozmowy jej brwi i nozdrza czasem tak zaczynały trzepotać, jakby zamierzała wzbić się w górę z ich pomocą. Nikt nigdy nie powiedział Jakonowowi tylu surowych słów, nikt mu tak nie wytykał uczynków, zdawałoby się, całkiem zwyczajnych — w których ona upatrywała jednak coś niskiego, nieszlachetnego. Im zaś więcej znajdowała braków w Antonim, tym większe — dziwna rzecz — czuł do niej przywiązanie.

A trzeba było być z nią bardzo ostrożnym w sporach. Była wątłutka, męczyło ją wchodzenie pod górę, bieganie, nawet — zbyt ożywiona rozmowa. Nadzwyczaj łatwo było ją dotknąć.

Skądinąd — znajdowała w sobie jednak siły, aby całymi dniami samotnie chodzić po lesie. Ale wbrew wszelkim wyobrażeniom o zachowaniu się miejskiej panny — nigdy nie brała tam ze sobą książek; książka by jej przeszkadzała, odrywała ją od lasu. Brodziła tam po prostu i przesiadywała godzinami, na własny sposób ucząc się leśnych sekretów. Kiedy Antoni jej towarzyszył — bywał zaskoczony jej spostrzeżeniami: a to — dlaczego pień brzoźki tak się pochylił, to znów — jak zmienia się pod wieczór odcień leśnej trawy. Sam nie umiał dopatrzeć się tu niczego podobnego: ot, las jak las, świeże powietrze, zieleni. Ona zaś opuszczała nawet u Turgeniewa opisy przyrody: raziły ją swoją powierzchownością.

Leśny Strumyk — tak przezywał ją Jakonow latem dwudziestego siódmego roku; spędzili je na letnisku, w sąsiadujących domach. Zjawiali się wszędzie razem i wszyscy naokół brali ich za narzeczonych.

Ale w istocie bardzo daleko było do tego.

Nie była ani ładna, ani brzydka. Twarz miała zmienną: raz uśmiechniętą i wdzięczną, to znów ponurą, odpychająco wydłużoną. Dość wysoka, była jednak szczupła i krucha, a chód tak miała lekki, jakby w ogóle nie musiała dotykać stopą ziemi. I chociaż Antoni miał już jakie takie doświadczenie, a w kobiecym ciele cenił ponętne kształty — w tej dziewczynie co innego go pociągało, gdy zaś już się do tej sytuacji przyzwyczaił — sam ją się przekonywać, że podoba mu się ona również jako kobieta i że z czasem rozkwitnie.

Towarzysząc jednak chętnie Antoniemu przez całe długie, letnie dni, zagłębiając się razem z nim w zielone bezdroża na wiele wiorst, leżąc tuż obok niego na polankach — Agnieszka z wielką niechęcią pozwalała brać się za łokieć, pytała: „I po co to?” próbując uwolnić ramię. I nie chodziło tu o wstyd przed ludźmi; gdy wracali do letniskowej osady, ustępowała mu i potulnie pozwalała prowadzić się pod rękę.

Doszedłszy do wniosku, że jest zakochany, Antoni wyznał jej miłość; padł jej do kolan na leśnej polance. Ale głęboka desperacja ogarnęła Agnieszkę. „Jakie to smutne — powiedziała. — Mam wrażenie, że cię oszukuję. Nie mam ci nic do dania w zamian. Nie ma we mnie żadnego uczucia. Do tego stopnia, że aż mi się żyć odechciewa. Ty jesteś mądry i błyskotliwy, powinnam się tylko cieszyć — a mnie się żyć odechciewa...”.

Mówiła tak — a przecie każdego ranka przyglądała się z trwogą, czy nie ma zmiany w jego twarzy, w jego stosunku do niej.

Mówiła tak — ale mawiała też co innego: „W Moskwie jest mnóstwo dziewcząt. Na jesieni poznasz jakąś inną, piękniejszą i przestaniesz mnie kochać”.

Pozwalała się obejmować, a nawet całować, ale jej usta i ręce były wtedy jak nieżywe. „Co za gorycz! — mówiła z męką. — Myślałam, że miłość — to jakby anioł ognisty zstąpił na ziemię. I oto kochasz mnie, i nigdy nie znajdę nikogo lepszego, niż ty — a wcale się nie cieszę i wcale mi się nie chce żyć”.

Zostało w niej dużo z dziecka. Bała się tych wszystkich sekretów, które łączą mężczyznę i kobietę w małżeństwie i żalosnym głosem pytała: „Czy to takie konieczne?” — „To jest wcale nie najważniejsze, wcale! — odpowiadał jej Antoni w za-

pale. — To tylko uzupełnienie naszego związku duchowego!” Wówczas to jej wargi po raz pierwszy drgnęły lekko przy pocałunku i powiedziała: „Dziękuję ci. Bo inaczej po co byłoby żyć? Zdaje mi się, że już zaczynam cię kochać. Będę się bardzo starała pokochać cię”.

Tejże jesieni szli któregoś wieczoru przez zaułki w okolicach placu Tagańskiego i Agnieszka powiedziała swoim cichym, leśnym głosem, ledwo słyszalnym wśród miejskiego hałasu:

— A chcesz, to ci pokażę jedno z najpiękniejszych miejsc w Moskwie?

I zaprowadziła go pod ogrodzenie malutkiej ceglanej cerkwi, pomalowanej na biało i obróconej absydą w stronę krętego, bezimiennego zaułka. Wewnątrz ogrodzenia było ciasno, tyle, że wiodła dookoła cerkiewki dróżka dla procesyj, na której ledwie mogli zmieścić się obok siebie pop z diakonem. Przez zakratowane okienka błyskały z głębi ciche ogienki świec na ołtarzu i kolorowych lampek wotywnych. Tuż obok, w samym rogu, rósł stary, wielki dąb; był wyższy od cerkwi i gałęzie jego, już pożółkłe, ocieniały zarówno kopułę, jak cały zaułek, przez co cerkiew wydawała się zupełnie już mała.

— To jest cerkiew Nikity Męczennika — powiedziała Agnieszka.

— Ale to chyba nie najpiękniejsze miejsce w Moskwie?

— A poczekaj tylko.

Przeprowadziła go między dwoma słupkami furtki. Na kamiennych płytach podworca leżały żółte i pomarańczowe liście dębów. Stareńka dzwonnica w kształcie graniastego stożka omal nie mieściła się cała pod koroną tegoż dębu. Dzwonnica i budynek zakrystii za ogrodzeniem zasłaniały niskie już, zachodzące słońce. W otwartych, dwudzielnych, żelaznych wrotach północnej nawy zgarbiła się stara żebraczka i zęgnęła się w rytm dochodzącego z jasno-żółtego wnętrza śpiewu mszalnego.

— „Słyszę zaś ta cerkiew wielce pięknościami swymi i ziemskim blaskiem...” — powiedziała Agnieszka prawie szeptem stojąc przy nim blisko, ramię przy ramieniu.

— Z jakiego to wieku?

— Koniecznie potrzebny ci wiek? A jeżeli bez wieku? Może nie miła?

— Ma się rozumieć, że miła, ale nie...

— No to popatrz! — i puszczając jego łokieć, a biorąc go wyciągniętą dłonią za przegub, Agnieszka szybko pociągnęła Antoniego za sobą — ku głównemu wejściu; weszła w sam środek słonecznego strumienia i przysiadła na niskim kamien-

nym parapecie, gdzie kończyło się ogrodzenie i otwierał się widok przez wrota.

Antoni aż jęknął. Było tak, jakby wyrwali się naraz z miejskiej ciasnoty i weszli na strome wzniesienie z rozległym, otwartym widokiem. Od cerkiewnych wrót droga spływała w dół przełamując się przez ogrodzenie i przechodząc w długie białokamienne schody, które kilkoma ciągami, przerywane podestami, zbiegały po zboczu aż do samej rzeki Moskwy. Rzeka płonęła w słońcu. Z lewej strony leżało Zamoskworiecze, oślepiając żółtym blaskiem swoich szyb, przed nimi czarne kominy moskiewskiej elektrowni zasnuwały dymem niebo zachodu, prawie pod ich nogami wpadała do rzeki Moskwy lśniąca Jauza, na prawo od niej ciągnęły się zabudowania Zakładu Wychowawczego, za nim wznosiła się wysmukła sylwetka Kremla, a jeszcze dalej paliło się w słońcu pięć dukatowo-żółtych kopuł cerkwi Zbawiciela.

I w całym tym złotym lśnieniu Agnieszka, też zdając się złotą w swoim złotym szalu na ramionach, siedziała mrużąc oczy w słońcu.

— Tak! To jest dopiero Moskwa! — powiedział z zachwytem Antoni.

— Jak też dawni Rosjanie potrafili wybierać miejsca na cerkwie, na monastery! — mówiła Agnieszka rwącym się głosem. — Pływałam niedawno statkiem po Wołdze i po Ocie i widziałam, że wszędzie stawiano je w takich miejscach, gdzie najwięcej majestatu.

Tak, to jest dopiero Moskwa! — powtórzył Antoni.

— Ale ona przemija — śmiałym głosem powiedziała Agnieszka. — Ta Moskwa — przemija!

— Jak to, przemija? Fantazja.

— Antoni, tę cerkiew zburzą — powiedziała Agnieszka z przekonaniem.

— Skąd wiesz, że zburzą? — rozsierdził się Antoni. — To zabytek sztuki, dadzą jej spokój. — Patrzył właśnie na maleńką, stożkowatą dzwonnice; przez jej szpary okienne zaglądały do dzwonów dębowe gałęzie.

— Zburzą! — twierdziła Agnieszka siedząc wciąż nieruchomo w złotym blasku i w swoim złotym szalu.

Nikt jej w rodzinie nie uczył wiary w Boga, wręcz przeciwnie: jej matka i babka — w tych latach, kiedy chodzenie do cerkwi było jeszcze obowiązkiem — wcale tam nie chodziły, nie obserwowały postów, nie spowiadały się i nie czyniły pokuty, lekcewały popów i gdzie mogły, tam wyśmiewały religię, która tak grzecznie współżyła z pańszczyźnianą niewolą. Babcia,

matka i ciotki Agnieszki trzymały się twardo własnego swojego wyznania; być zawsze po stronie tych, komu zadają gwałt, na kogo polują, kogo prześladują, kogo gnębi władza. Babkę znali chyba wszyscy moskiewscy narodowolcy, ponieważ dawała im schronienie i pomagała czym mogła. Córki jej wzorem udzielały opieki i kryjówek członkom nielegalnych partii, eserom i socjał-demokratom. Malutka Agnieszka też zawsze drżała o zająca, żeby go myśliwi nie zastrzelili, i o każdego konia, żeby go nie bito. Ale tymczasem rośla i — nieoczekiwanie dla starszych — wyjaśniło się nagle, że stoi po stronie cerkwi, bo ją pono prześladowają.

Mniejsza, czy uwierzyła w Boga, czy przekonała siebie samą, że trzeba wierzyć, ale twierdziła stanowczo, że teraz byłoby niską rzeczą unikać kontaktów z cerkwią i — ku przerażeniu matki i babki — zaczęła uczęszczać do niej, przez co zaczęła z kolei bezwiednie poddawać się urokowi nabożeństwa.

— Ale gdzież ty masz dowody tego prześladowania! — dziwił się Antoni. — Nikt im nie przeszkadza bić w dzwony i wypiekać opłatki, procesje — prosimy bardzo, dookoła cerkwi, a w mieście i w szkole i tak nie mają nic do roboty.

— Ma się rozumieć, że prześladowają — odpowiadała Agnieszka, jak zawsze cicho, ledwie dosłyszalnie. — Skoro przeciw cerkwi wolno mówić i pisać co kto chce, a jej nie wolno się bronić, skoro sekwestrują sprzęty liturgiczne, skoro duchowni idą na zesłanie — to może nie są prześladowania?

— Gdzieś ty widziała, że idą na zesłanie?

— Na ulicach się tego nie widzi.

— A nawet, jeżeli prześladowają! — atakował Antoni. — Prześladowają cerkiew dziesięć lat, a jak długo ona prześladowała innych? Dziesięć wieków!

— Nie było mnie jeszcze wtedy na świecie — wzruszała wąskimi barkami Agnieszka. — Za to teraz jestem... Widzę to, co się teraz dzieje.

— Ależ trzeba znać historię! Ignorancja nie jest żadnym usprawiedliwieniem! A nie zastanawiałaś ty się przypadkiem, jak udało się naszej cerkwi przeżyć dwieście pięćdziesiąt lat tatarskiej niewoli?

— Chyba dlatego, że ludzie wierzyli tak głęboko? — próbowała się domyśleć. — To znaczy chyba, że prawosławie okazało się duchowo silniejsze od mahometanizmu?... — Mówiła to raczej tonem pytającym, niż twierdzącym. Antoni uśmiechnął się pobłażliwie.

— Fantasmagorie! Czy w głębi duszy nasz kraj był kiedykolwiek chrześcijański? Czy w naszym kraju w ciągu ty-

siąca lat jego istnienia ktoś kiedykolwiek darował winy swoim winowajcom? Czy kto kiedy odpłacał miłością za nienawiść? Nasza cerkiew dlatego się ostała, że po najeździe tatarskim metropolita Cyryl jako pierwszy z Rosjan poszedł bić czołem przed chanem, aby wyprosić listy żelazne dla duchowieństwa. Tatarska szabla! oto czym broniło rosyjskie duchowieństwo swoich gruntów, swoich dusz pańszczyźnianych i swojej liturgii! I, jeśli ci o to chodzi, metropolita Cyryl miał rację, to był realista w polityce. Właśnie tak trzeba robić. Tylko w ten sposób można dopiąć swego.

Kiedy Agnieszka czuła się przedmiotem ataków, nie podejmowała sporów. Spojrzała tylko na swego narzeczonego, jakby coś zaskoczona.

— Na takim właśnie gruncie zbudowane są wszystkie te piękne cerkwie z tak wspaniale wybranym położeniem! — grzmiał Antoni. — I jeszcze na popiołach spalonych raskolników! I na kościach zasieczonych na śmierć sekciarzy! Też masz kogo żałować — cerkiew prześladowana!...

Usiadł obok niej na gorącym kamieniu parapetu:

— I w ogóle niesprawiedliwa jesteś dla bolszewików. Nie zadałaś sobie trudu, aby przeczytać ich podstawowe dzieła. Do kulturalnego dorobku odnoszą się z troską zupełnie wyjątkową. Chodzi im o to, żeby skończył się wyzysk człowieka przez człowieka, i właśnie, żeby zapanowało królestwo rozumu. A przede wszystkim — chodzi im o równość. Wyobraź sobie tylko: powszechna, całkowita, absolutna równość. Nikt nie będzie mieć przywilejów w stosunku do innych, nikt nie będzie zarabiał więcej od innych, ani nikt nie będzie mógł się nad innych wywyższać. Czy może być coś wspanialszego, niż takie społeczeństwo? Czyż nie jest warte ono ofiar?

(Niezależnie od uroków tej organizacji społecznej, Antoni miał takie pochodzenie socjalne, że konieczne było dla niego jak najszybsze i jak najzręczniejsze włączenie się — póki jeszcze był czas).

— A tymi swoimi krygami zamkniesz sobie sama drogę na wyższą uczelnię. I w ogóle jakie znaczenie mają twoje protesty? Co właściwie możesz nimi zwojować?

— A co w ogóle może zrobić kobieta? — jej cienkie warkoczyki (nikt już w tych latach nie nosił warkoczy, wszystkie obcinały włosy, ona zaś nosiła je z ducha przekory, chociaż nie było jej do twarzy), jej warkoczyki rozplotły się, jeden opadł za kark, drugi na piersi. — Kobieta zdolna jest jedynie do tego, aby przeszkadzać mężczyźnie w spełnieniu wielkiego czynu. Nawet taka, jak Natasza Rostowa. Nie mogę jej znieść.

— Za co? — zdumiał się Antoni.

— Za to, że nie pozwoli Pierre'owi zostać dekabrystą! — Jej słaby głos znów się załamał.

Cała była utkana z takich drobnych wyskoków.

Przejrzysty, żółty szal otulający jej barki zawisł na półwniesionych łokciach i przypominał błoniaste, złote skrzydła.

Antoni oburącz ujął jej łokieć, tak, jakby bał się go złamać.

— A jak ty? Ty byś pozwoliła?

— Tak. — Powiedziała Agnieszka.

Antoni nie miał zresztą w perspektywie żadnego wielkiego czynu, na który trzeba by mu udzielać błogosławieństwa. Prowadził niezwykle czynne życie, robotę miał interesującą i szedł od sukcesu do sukcesu.

Przechodzili obok nich i żegnali się przed otwartymi wrotami cerkwi spóźnieni parafianie napływający z dołu od nabrzeża. Wchodząc na cerkiewny cmentarz mężczyźni zdejmowali czapki. Mężczyzn było zresztą niewielu i nie widać było wśród nich młodzieży.

— A nie boisz się, że zauważą cię koło cerkwi? — zapytała Agnieszka bez drwiny, ale zabrzmiało to jak drwina.

Bo i rzeczywiście, zaczęły się już czasy, kiedy dostrzeżenie kogoś koło cerkwi przez kolegów z pracy stawało się niebezpieczne. Antoni zaś już miał się za kogoś na świeczniku.

— Uważaj Agnieszko — przekonywał ją, już trochę podrażniony. — Trzeba umieć wreszcie dostrzec w porę to, co nowe; kto nie potrafi, ten zostaje w tyle i to w sposób beznadziejny. Ty dlatego zaczęłaś lgnąć do cerkwi, że znajdujesz tu coś, co schlebia twojej niechęci do życia. Powinnaś w końcu otrzasnąć się, zainteresować się — nawet na siłę — no, choćby samym procesem życia, skoro już o tym mowa.

Agnieszka opuściła głowę. Bezwładnie opadła jej dłoń ze złotym pierścionkiem, podarunkiem od Antoniego. Wydawała się teraz kanciasta i bardzo chuda.

— Tak, tak — zgodliwie powiedziała strapionym głosem. — Doskonale zdaję sobie czasem sprawę, że bardzo trudno mi jest żyć, że wcale mi się żyć nie chce. Takie jak ja — są zupełnie niepotrzebne na świecie...

Poczuł ciężar w piersi. Ona robi wszystko, żeby go sobie zrazić! Męska decyzja, aby wypełnić obowiązek i ożenić się z Agnieszką, zdawała się coraz trudniejsza do wykonania.

Przyjrzała mu się pytająco, bez uśmiechu.

„A przecież właściwie jest brzydka” — pomyślał Antoni.

— Na pewno czeka cię sława, wszelka pomyślność, sukcesy — powiedziała ze smutkiem. — Ale czy będziesz kiedy s z c z ę-

śliwy?...Ty też uważaj. Interesując się procesem życia możemy utracić... utracić... no, jak ci to powiedzieć... — Pocięła opuszki palców szukając potrzebnego słowa. Męka tego poszukiwania odbiła się na jej twarzy bolesnym uśmiechem. — O, widzisz, dzwon przestał dzwonić, śpiewne dźwięki rozplynęły się — już ich nic nie wróci, a w nich to właśnie jest cała muzyka. Rozumiesz?...

W końcu namówiła go i weszli jednak do środka. Pod niskim sklepieniem ciągnęła się w krąg galeryjka z okienkami zdobnymi w starorosyjską kratę. Pod niskim łukiem przechodziło się do środkowej nawy.

Przez okienka w kopule zachodzące słońce wlewało się blaskiem i rozbiegało złotymi iskrami po okładzinach ikon w ołtarzu i po mozaice wyobrażającej Boga Ojca.

Wiernych było niewielu. Agnieszka postawiła cieniutką świeczkę na dużym, mosiężnym stojaku i stanęła poważnie, prawie się nie zegnając, zacisnąwszy dłonie na wysokości piersi, i patrząc przed siebie uduchowionymi oczyma. Rozproszone światło zachodu i pomarańczowy odblask świec przywróciły jej twarzy życie i ciepło.

Za dwa dni przypadało święto Narodzin Najświętszej Marii Panny i czytano długą litanie maryjną. Litanie była bajecznie ozdobna, lawiną sypały się epitety i atrybuty Panny Marii — i po raz pierwszy Jakonow wczuł się w ekstazę i poezję tej modlitwy. Litanie pisał nie bezduszny bigot, tylko wielki, anonimowy poeta wtrącony za klasztorne mury; i natchnęła go nie przemijająca męska żądza, tylko to zachwycenie wyższego rzędu, jakie potrafi wywołać w nas kobieta.

...Jakonow oprzytomniał. Tytłając w błocie skórzany płaszcz siedział na kupie ostrych kamieni przed wrotami cerkwi Nikity Męczennika.

Tak, bezmyślnie zburzyli stożkowatą dzwonnice i rozwalili schody zbiegające do rzeki. Wcale nie chciało się nawet wierzyć, że tamten słoneczny wieczór i ten grudniowy przedświt przeżył ktoś na tych samych niewielu metrach moskiewskiego gruntu. Ale wciąż tak samo rozległy był widok ze wzgórza i tak samo biegły zakręty rzeki powtórzone przez linię ostatnich latarni...

...Wkrótce potem wyjechał na praktykę zagraniczną. A kiedy wrócił kazano mu napisać, a na dobrą sprawę — tylko podpisać artykuł dla gazety o degeneracji Zachodu, jego społeczeństwa, moralności, kultury, o fatalnej sytuacji zachodniej inteligencji, o niemożności rozwoju nauki. Było to nie całkiem prawdziwe, ale jakby i nie całkiem zełgane. Podobne fakty miały miejsce, chociaż nie tylko takie się trafiały. Wahania ze strony Jakonowa

mogły wywołać podejrzenia, zostawić plamę na jego reputacji. Zresztą, komu właściwie mógł zaszkodzić taki artykuł?

Został więc wydrukowany.

Agnieszka przesyłką pocztową zwróciła mu pierścionek; przy-mocowała doń nitką karteczkę: „Metropolicie Cyrylowi”.

Antoni poczuł ulgę.

... Podniósł się, wspiął się na palce aż do zakratowanego okienka galerii i zajął do środka. Doszedł go stamtąd zapach wilgotnej cegły, wiew chłodu i butwienia. Nie bez trudu można było dostrzec, że wewnątrz też jest pełne kamiennych szczątków i śmiecia.

Jakonow oderwał się od okienka i czując, że serce bije mu nierówno przypadł do futryny zardzewiałych, żelaznych wrót, od wielu lat już nie otwieranych.

Znów poczuł w sobie lodowaty ciężar groźby Abakumowa.

Jakonow znajdował się na samych szczytach tego, co zwykle się uważać za potęgę. Należał do najwyższych urzędników wszechmocnego ministerstwa. Był rozumny i utalentowany — a miał przy tym opinię rozumnego i utalentowanego. W domu czekała na niego kochająca żona. W łóżeczkach spały jego rumiane dzieci. Wysokie komnaty z balkonami w starym moskiewskim domu składały się na jego wykwintne mieszkanie. Mie-sięczna jego gaża liczyła się na tysiące. Specjalnie przydzielone auto miał na każde zawołanie. A on tu stał wbijając łokcie w martwe głązy i nie miał wcale chęci do życia. I taką bez-nadzieję czuł w sercu, że nie znajdował dość siły, żeby ruszyć choćby palcem.

Świtało.

Przemarzłe powietrze pełne było solennej czystości. Obfity, szorstki szron omszył szeroki pień zrabanego dębu, gzymsy zrujnowanej cerkwi, wzorzyste kraty na jej oknach, druty cią-gnące się do sąsiedniego domku i krawędź długiego, kolistego płotu, zakreślonego wokół miejsca, gdzie stanąć miał nowy wieżowiec.

XXIV

PIŁUJEMY DRWA

Świtało.

Suty, królewski szron omszył słupy zony i pasa ochronnego, druty kolczaste, plecione z dwudziestu nitek i zadziergnięte w tysiące gwiaździstych węzłów, stromy dach wieży strażniczej i nie koszone burzany na ugorze za drutami.

Dymitr Sołogdin patrzył na te cuda szeroko otwartymi oczyma i cieszył się nimi. Stał obok kozłów do piłowania drzewa. Miał na sobie roboczą fufajkę obozową, wdział ją na granatowy kombinezon, głowę — z pierwszymi siwymi nitkami we włosach — miał gołą. Był mizernym, bezprawnym niewolnikiem. Siedział już od dwunastu lat, ale że złapał w obozie drugi wyrok, więc nie spodziewał się doczekać końca swojej kary. Jego młodą żonę wysuszyły lata bezpłodnego oczekiwania. Żeby nie wyrzucono jej ze zdobytej ostatnio pracy, tak, jak już wyrzucano z niej jednej, musiała skłamać, że wcale nie ma męża i przerwała z nim korespondencję. Jedyne go syna Sołogdin nigdy nie oglądał na oczy; żona była w ciąży, gdy go aresztowano. Sołogdin przebrnął przez czerdyńskie lasy, przez workucokie kopalnie, przez dwa śledztwa — półroczne i roczne, z bezsennością, z utratą wszystkich sił, wszystkich soków. Dawno już wdeptano w błoto jego imię i jego przyszłość. Cały jego majątek stanowiły stare watowane portki, które były teraz w depozycie więziennym w oczekiwaniu nowych lat chudych. Płacono mu miesięcznie trzydzieści rubli, zresztą też nie gotówką. Oddychać świeżym powietrzem mógł tylko w pewnych określonych godzinach, za zezwoleniem więziennej władzy.

Ale dusza jego pełna była niewzruszonego spokoju. Oczy błyszczały jak u młodzieńca. Pierś, pomimo mrozu obnażoną, rozpiekało mu poczucie pełni życia. Jego mięśnie, które w czasie śledztwa przekształciły się w suche sznurki — teraz znowu

nabrały kształtów, nabrzmiały i spragnione były ruchu. Dlatego też Sołogdin całkiem dobrowolnie i bez żadnej zapłaty wychodził co rano, aby rąbać i piłować drwa dla więziennej kuchni.

Jednak topór i piła, jako narzędzia w ręku zeka nader niebezpieczne, nie od razu i nie tak łatwo były mu powierzone. Zwierzchność więzienna, której płacono właśnie za to, by w każdym najniewinniejszym postępku zeków doszukiwała się jakiejś intrygi, a może też mierząca innych własną miarą, w żaden sposób nie chciała uwierzyć, że ktoś chce dobrowolnie pracować bez wynagrodzenia. Dlatego Sołogdin był przedmiotem stałych podejrzeń, że przygotowuje ucieczkę, albo powstanie zbrojne. Wydano więc zarządzenie, by o pięć kroków od pracującego Sołogdina stał strażnik, który miał bezustannie śledzić każdy jego ruch i zarazem trzymać się przezornie z dala od zdradzieckiego topora. Chętni do służby tak niebezpiecznej, oczywiście, byli, i nawet ta proporcja — jeden nadzorca na jednego pracownika — nie wydawała się wcale przesadna zwierzchności wychowanej w kulcie dobrych obyczajów GUŁ'agu. Ale tu stanął okoniem (tym samym wzmagając podejrzewania) Sołogdin: z całą zuchwałością oświadczył, że nie będzie pracować przy s z p i c u. Na jakiś czas skończyło się w ogóle rąbanie drzewa (zmusić do tego zeków naczelnik więzienia nie mógł, to nie był łagier; ci skazańcy zajęci pracą umysłową i to nie w jego pionie). Nieszcześnie chciało, że instancje planujące i księgowość w ogóle nie przewidziały konieczności takich prac przy kuchni. Dlatego wolniaczki, które gotowały stawę dla więźniów, wcale nie chciały brać się do rąbania, jako że im za to nie płacono osobno. Próbowano kierować do tej roboty strażników ze zmiany mającej właśnie przerwę w pracy, odrywając ich od gry w domino w dyżurce. Wszyscy strażnicy byli chłopakami na schwał i dobierano ich starannie, także pod względem zdrowia. Jednakże w ciągu lat służby w straży więziennej oduczyli się jakby roboty — szybko zaczynało ich łamać w krzyżu, zresztą domino też nie lubiło czekać. Jakoś w żaden sposób nie mogli narąbać tyle drzewa, ile było trzeba. W końcu więc naczelnik więzienia musiał się poddać: zezwolił Sołogdinowi oraz innym więźniom chętnym do wspólnej z nim roboty (najczęściej byli to Nierżyn i Rubin) na piłowanie i rąbanie bez dodatkowego nadzoru. Widać ich było zresztą z wieżyczki strażniczej, jak na dłoni, ponadto kazano dyżurnym oficerom mieć na nich oko zza węgła.

W pierzchających ciemnościach, w blednym blasku lamp, z którym łączyło się już światło dzienne, ukazała się krępa postać stróża Spiryдона; wyszedł z za rogu budynku w swoim

grubym kaftanie i w uszatej czapie, przydzielonej tylko jemu jednemu. Stróż był także zekiem, ale podlegał administratorowi instytutu, nie zaś kierownictwu więzienia i tylko dla uniknięcia zatargów ostrzył dla więzienia piłę i siekiery. Gdy się zbliżył, Sołogdin rozpoznał w jego ręku piłę, której brak było na miejscu.

O każdej porze dnia, od porannego apelu do wieczornego Spirydon Jegorow kręcił się bez żadnego konwoju po obstawionym karabinami maszynowymi dziedzińcu. Zwierzchność zdecydowała się na ten śmiały krok także dlatego, że Spirydon był ślepy na jedno oko, drugim zaś widział tylko na trzy dziesiąte. Chociaż *szaraszka* według planu etatów powinna była mieć trzech stróżów, podwórzec jej bowiem składał się z kilku połączonych placów i miał ze dwa hektary powierzchni, ale Spirydon, nic o tym nie wiedząc, pracował za trzech i wcale mu z tym nie było źle. Najważniejsze — że mógł tutaj jeść popuszczając pasa, razowca — nie mniej niż półtora kilograma, bo chleba to już było po dziurki w nosie, a kaszy też mu wiara podrzucała. Spirydon najwyraźniej przybrał tu na wadze i podciągnął się, jeśli porównać z Sjewurallągiem, gdzie trzy zimy pracował przy wyrębie, a trzy wiosny przy spławianiu i gdzie przeholował wiele tysięcy pni.

— Hej! Spirydon! — z niecierpliwością powitał go Sołogdin.

— A co znowu?

Twarz Spirydona z siwo-rudymi wąsami, takimiż brwiami i ceglastą cerą była bardzo ruchliwa; często przy odpowiedziach przybierała wyraz chętniej gotowości, tak jak teraz. Sołogdin nie wiedział, że zbyt wielka gorliwość była u Spirydona formą kpiny.

— Jak to, co znowu? Przecież piła już tępa!

— Z czego by to jej przyszło? — zdumiał się Spirydon.
— Który to już raz w tę zimę to słyszę? Ano posuniemy razik, drugi!

I podał mu jedną z rękojeści piły.

Zaczęli piłować. Piła ze dwa razy wyprysnęła zmieniając miejsce, jakby jej było niewygodnie, ale później wżarła się i poszła gładko.

— Nie trzeba aż tak mocno trzymać jej w ręku — ostrożnie doradził Spirydon. — Najlepiej rączkę objąć trzema paluszkami, niby pióro, i prowadzić swobodnie, płynnie... o... właśnie, właśnie... a jak się ją do siebie ciągnie to byle nie szarpać...

Każdy z nich był przekonany o swojej wyższości nad drugim: Sołogdin — dlatego, że znał mechanikę teoretyczną, naukę o oporze materiałów i wiele jeszcze innych nauk. Spirydon,

dlatego, że wszystkie przedmioty były mu posłuszne. Ale Sołogdin nie tał swojej pobłażliwej wyższości w stosunku do stróża, Spirydon zaś ukrywał swój pobłażliwy stosunek do inżyniera.

Nawet po przegryzieniu się przez połowę grubości pnia, piła wcale się nie zatarła i biegła z lekkim brzękiem, strzykając żółtawymi, sosnowymi opiłkami na nogawki kombinezonów, które obaj nosili.

Sołogdin roześmiał się:

— Spirydon, ale z ciebie kawalarz! Nabrałeś mnie. Musiałeś wczoraj tę piłę naostrzyć i wyklepać.

Spirydon, bardzo kontent, przygadywał do taktu:

— Żre drewno, żre, drobno żuje, drobno, sobie ani kęsa, wszystko innym daje...

Wparł się dłonią i odwalił dopiłowany prawie do końca kłoc.

— Wcalem nie ostrzył — i obrócił piłę zębami do góry.

— Starczy spojrzeć na zęby, jakie były wczoraj, takie i dzisiaj.

Sołogdin pochylił się i rzeczywiście nie zobaczył świeżych rys po pilniku. Jednak musiał ten spryciarz coś tu zrobić.

— No, jeszcze jeden klocek, Spirydonie.

— Nieeee. — Spirydon złapał się za krzyżę. — Jużem się zmachał. Co dziady i pradziady nie zdążyli dokończyć — to wszystko na mnie spadło. Toć zaraz przyjaciół wasze nadejdą.

Jednak przyjaciół jakoś nie było widać.

Rozjaśniło się już zupełnie. Nadszedł ranek cały w uroczystym szronie. Szron pokrył nawet rynny i całą ziemię, a siwe jego pasma jaśniały na czubkach lip w oddali, na dziedzińcu do więziennych spacerów.

— Powiedz no, Spirydonie, jakeś trafił do *szaraszki*? — zagadnął Sołogdin uważnie przyglądając się stróżowi.

Spytał, bo nic innego nie było do roboty. W ciągu wielu obozowych lat Sołogdin zadawał się zawsze tylko z inteligentami, nie sądząc, aby cokolwiek mógł skorzystać na rozmowie z człowiekiem niewykształconym.

— Ano — powiedział Spirydon i cmoknął. Nazwozili tu kupę uczonych ludzi — a ja na przyprzążkę. W mojej karcie stało napisane: „hutnik szklany, dmuchacz”. Żeby prawdę powiedzieć, to pracowałem kiedyś przy szkle, byłem majstrem od miechów w naszej hucie pod Briąńskiem. Ale dawno to było, oczy człowiek stracił i taka robota, to nie tutaj, tu potrzebny uczony dmuchacz, taki, jak Iwan. W naszej fabryce takiego nigdy nie było. Ale trzymali się tej karty i przywieźli. Jak się na mnie poznali — to chcieli pchnąć mnie z powrotem. Chwalić Boga, że mnie rządca na stróża wziął.

Zza węgła, od strony dziedzińca do przechadzek i stojącego oddzielnie parterowego budynku „sztabu więziennego” pojawił się Nierżyn. Kroczył w niedopiętym kombinezonie, w niedbale zarzuconej na ramiona fufajce, z przydziałowym (i dlatego tak krótkim, że prawie kwadratowym) ręcznikiem na szyi.

— Dzień dobry, przyjaciele — powitał ich krótko, rozbiegając się od razu; opuścił do pasa górną część kombinezonu i ściągnął ze siebie podkoszulek.

— Oszałałeś, kochany, gdzie ty widzisz śnieg? — Sołogdin spojrział na niego z ukosa.

— A tu go masz — powiedział Nierżyn mrocznym tonem wdrapując się na dach lamusa. Leżała na nim puszysta, cienka, dziewicza warstwa ni to śniegu, ni to szronu. Nierżyn nabrał go pełne garście i zaczął zawzięcie nacierać sobie pierś, barki i boki. Przez całą zimę nacierał się śniegiem do pasa, chociaż nadzorcy, jeśli tylko byli blisko, nie pozwalali.

— Ale cię widać rozebrało — pokiwał głową Spirydon.

— A listów wciąż nie macie, co, Spirydon Daniłycz? — powiedział na to Nierżyn.

— A kiedy właśnie nadszedł!

— No, to czegoś nie przyniósł do czytania! Wszystko w porządku?

— Nadszedł, ale w ręku nie miałem. Leży u Gada.

— U Myszyzna? — Nie dał ci? — Nierżyn przerwał na chwilę nacieranie.

— Wywiesił mnie w spisie, ale rządca kazał strych rozbieierać. Zanim sobie poradziłem — Gad już zamknął okienko. Teraz dopiero w poniedziałek.

— Ech, dranie! — westchnął Nierżyn szczerząc zęby.

— Diabeł jest na to, żeby popów sądzić — machnął ręką Spirydon zerkając bokiem na Sołogdina, którego mało znał. — No, ja już lecę.

W swojej czapie z uszami śmiesznie opadającymi na boki, jak u kosmatego psa, Spirydon poszedł w stronę wartowni, gdzie żaden zek prócz niego nie miał przystępu.

— A topór? Spirydon! Gdzie topór? — krzyknął za nim Sołogdin.

— Dyżurny przyniesie — odkrzyknął Spirydon i zniknął.

— No — powiedział Nierżyn, silnie rozcierając szorstką szmatą pierś i grzbiet — nie dogodziłem naszemu Antoniemu. Odniosłem się do Siódemki, jak do zwłok pijaczyny, co zdechł pod mawrińskim płotem. Wczoraj wieczorem zaproponował mi przejście do grupy kryptograficznej, ale odmówiłem.

Sołogdin pokręcił głową, uśmiechnął się. Przy uśmiechu,

między jego płowymi, lekko siwiejącymi, starannie podstrzyżonymi wąsami a taką samą bródką, perłowo błyszczące wydłużone i wypukłe, krzepkie, zdrowe, a przecież przerzedzone w obozach zęby:

— Zachowujesz się, nie jak liczbiorca, lecz jak wierszotwórca. — Nierzyn wcale się nie zdziwił. Było to jedno z ogólnie znanych dziwactw u Sołogdina: stosowanie Języka Krańcowej Jasności, bez użycia ptasich określeń, to znaczy terminów pochodzenia obcego. Czy bawił się tylko, czy też naprawdę wierzył w tę ideę — trudno powiedzieć, ale bardzo starannie, czasami w sposób wynalazczy, czasami zaś niezgrabny, unikał za wszelką cenę wymawiania nawet najczęściej używanych słów, takich jak „inżynier” albo „metal”. Nawet w rozmowach służbowych, ba, nawet ze zwierchnością trzymał się tych samych zasad i często trzeba było chwilę poczekać zanim Sołogdin znajdzie potrzebne sobie słowo.

Byłoby to nie do pomyślenia, gdyby Sołogdin należał do ludzi starających się zyskać pracą uznanie, dostać zajęcie bardziej odpowiedzialne, czy dochrapać się wyżywienia lepszej kategorii. Ale było odwrotnie, Sołogdin starał się jak tylko mógł odwrócić od siebie uwagę władzy i lekcewazył sobie jej łaski.

W ten sposób został ogólnie uznany zdecydowanym i beznadziejnym d z i w a k i e m .

Dziwactw miał zresztą jeszcze wiele: i to, że przez całą zimę, mając łóżko pod oknem, był zwolennikiem trzymania tegoż okna otworem w największe mrozy; i ta na przykład niepotrzebna robota każdego ranka, w którą wciągnął również Gleba i Lwa; i co ważniejsze — przy okazji każdej dyskusji potrafił wygłosić jakąś zupełnie absurdalną, nedorzeczną opinię, na przykład, że prostytutka jest moralnym dobrodziejstwem, albo że w pojedynku z Puszkinem miał rację d'Anthès — a później bronił tej opinii z wielkim zapałem, czasem nawet skutecznie, błyskając młodymi, błękitnymi oczyma i pokazując w uśmiechu młode, ale przerzedzone w obozie zęby. I nigdy nie można było chwycić go przy tym za rękę i zrozumieć jednoznacznie, czy wszystko to mówi na serio, czy tylko kpi sobie? Kiedy wytykano mu nonsensy, śmiał się tylko głośno: „Nudne życie pędzicie, panowie! Nie może tak być, aby wszyscy mieli jednakowe poglądy i trzymali się tych samych wzorów. Co nas wtedy czeka? Wygasną spory, skończy się więc wymiana myśli. Sobacza nuda!”

I nawet ten zwrot „panowie” zamiast „towarzysze” stosował ponoć dlatego, że nie będąc już od dwunastu lat na wolności, nie pamiętał, jak właściwie tam jest.

Nierżyn, wciąż jeszcze półgoły, kończył nacieranie ręcznikiem.

— A no, — powiedział niewesoło. — Z przykrością widzę, że Lewek ma rację, żaden ze mnie sceptyk. Wciąż korci człowieka, żeby do czegoś wtrącić swoje trzy grosze.

Wdział za ciasną koszulkę i zaczął szukać dłońmi rękawów kombinezона.

Sołogdin stał, oparty o kozły, skrzyżowawszy na piersi ręce, jakby pozował do obrazu:

— To dobrze, przyjacielu. Twoje umniactwo wszechwątpienia (w Języku Krańcowej Jasności to znaczyło tyle, co filozofia sceptycyzmu) musiało przecież kiedyś złuszczyć się z ciebie. Nie jesteś już dzieckiem — (Nierżyn był o pięć lat młodszy od Sołogdina) — i powinienes dokonać wewnętrznego wyboru, zrozumieć wzajemny stosunek dobra i zła w ludzkim życiu. Nigdzie zaś nie można lepiej tego poznać, niż w więzieniu.

Słowa Sołogdina brzmiały podniośle, ale Nierżyn jakoś nie przejawiał chęci natychmiastowego wnikięcia w odwieczne, wielkie zagadnienia dobra i zła. Wilgotny, przykrótki, szorstki rękawik przerzucił sobie przez kark, niby szalik, wcisnął na głowę starą, frontową czapkę oficerską, już rozłazącą się w szwach, wdział fufajkę. Westchnął:

— Tyle tylko wiemy, że nic nie wiemy.

Jako prawy czeladnik Spirydona schylił się po piłę i podsunął rękojeść Sołogdinowi.

Już ich obu przejmował ziąb, więc rażno wzięli się do piłowania. Spod piły bryznęła kora brunatnym prochem. Piła biegła nie tak szybko, jak w ręku Spirydona, ale przecież wartko. Przyjaciele zgrali się ze sobą w ciągu wielu kolejnych poranków i nie musieli się już wzajemnie pouczać. Piłowali z tym osobliwym zapałem i zadowoleniem, jakie towarzyszą tylko pracy dobrowolnej i podjętej nie z nędzy.

Raz tylko, przed czwartym klockiem, dobrze już zarumieniony Sołogdin mruknął:

— Żeby tylko o sęk nie zaczepić...

A po czwartym klocku Nierżyn burknął:

— Tak, sękate ścierwo.

Pachnące, to białe, to znów żółte trociny, w takt każdego syknięcia piły sypały się na spodnie i buty traczy. Rytmiczny wysiłek dawał spokój i wnosił w myśli ład.

Nierżyn, który zbudził się dzisiaj w złym humorze, myślał sobie teraz, że obóz tylko w pierwszym roku mógł ogłuszyć go, że teraz złapał już drugi oddech, że nie będzie wciskać się między dekowników, nie będzie bać się kryminalistów — tylko będzie powolutku, ze znajomością praw życia głębinowego, wy-

chodzić na poranny apel w usmolonym tynkiem lub smarem waciaku i z należnym hartem porać się z całym dwunastogodzinnym roboczym dniem — i tak przez całe pięć lat, jakie mu zostały do końca wyroku. Pięć lat — to nie dziesięć. Pięć lat jeszcze można wytrzymać.

I jeszcze myślał o Sołogdinie — że coś sobie przecie przyswoił z wyważonego poglądu na życie, który tamten głosił; że właśnie Sołogdinowi zawdzięcza pierwszy bodziec do patrzenia na więzienie nie jako na przekleństwo, lecz również, jako na swoiste błogosławieństwo.

Tak rozmyślał wodząc piłą. I ani przypuszczał, że jego partner, ciągnąc teraz piłę w swoją stronę, myśli właśnie o więzieniu, jako o miejscu tylko przekętym, z którego trzeba będzie kiedyś się wyrwać.

Sołogdin myślał teraz o pewnym wielkim i rokującym mu wolność postępie w badaniach, który udało mu się osiągnąć w największej tajemnicy w ciągu ostatnich miesięcy — szczególnie w ciągu kilku ubiegłych tygodni; i o tej ocenie swoich wysiłków, którą spodziewał się usłyszeć dopiero po śniadaniu, ale której charakter już teraz mógł odgadnąć. Z rozpierającą pierś dumą myślał teraz Sołogdin o swoim mózgu, wycieńczonym przez tyle lat śledztwa i łagrowego głodu, tyle lat pozbawionym fosforu — a przecież dającym sobie radę z tak poważnym zagadnieniem! Jak to się rzuca w oczy u mężczyzn koło czterdziestki — ten nagły przybór sił życiowych! Szczególnie, jeśli ich nadmiaru nie trwoni się na uciechy zmysłowe, tylko przetapia się tajemniczym sposobem w świetne myśli.

I jeszcze myślał o niewątpliwym i bliskim wyjeździe Nierżyna z *szaraszki* — skoro ten pozwolił sobie na tak nieostrożną rozmowę z Jakonowem.

Tymczasem wciąż piłowali. Rozgrzali się, żar buchał im z policzków, waciaki dawno zrzucone były na pnie, kloce utworzyły już sporą górkę obok kozłów, ale siekiery dalej nie było.

— Może starczy? — spytał Nierżyn. — Bo nie damy rady z rąbaniem.

— To odpocznijmy — zgodził się Sołogdin i odstawił piłę; zabrzęczała.

Obaj zdjęli czapki. Para szła z gęstej czupryny Nierżyna i z rzednących włosów Sołogdina. Oddychali głęboko. Powietrze zdawało się przenikać do najgłębszych zakątków ich ciał.

— Ale jak cię teraz posłą do obozu — spytał Sołogdin — to co też będzie z twoją pracą dziejopisarską (miał tu na myśli historyczne uwagi Nierżyna)?

— A jak ma być? Wcale mnie tu nie rozpieszczono. Za

jedną bodaj linijkę takich notatek grozi karcer, taki sam tu, jak tam. Tutaj też nie mam dostępu do biblioteki publicznej, a do archiwów nie wpuszczą mnie pewno aż do samej śmierci. Jeżeli chodzi o papier do pisania, to brzoźową korę, albo i sosnową znajdę sobie nawet w tajdze. A jednego przywileju żaden szpicel mi nie odbierze. Te nieszczęścia, które poznałem na własnej skórze i których inni zaznali, mogą mi przecież podsunąć niejedno wyjaśnienie sensu historycznych wypadków, prawda? Jak myślisz?

— Że wspa-nia-le! — zawołał Sołogdin; para waliła mu z ust. — W tej pierwiastkowej sferze, w której rodzi się myśl...

— Sfera — to ptasie słowo — upomniał go Nierżyn.

— Przepraszam — zająknął się Sołogdin. — Widzisz, jaki jestem nieporadny. A więc, w tym pierwiastkowym kręgu — jest tylko myśl!!! — podniósł wysoko głowę i ręce — leżąca u podłoża tęga myśl przesadza o powodzeniu każdego przedsięwzięcia! I jak drzewo życia, daje ona owoce tylko w przypadku swobodnego rozwoju. Książki i obce poglądy — są to nożyce przecinające żywot myśli. Najprzód trzeba dorobić się myśli własnym wysiłkiem! — a dopiero później można przy mierzać ją do książek. Tyś bardzo dojrzał! Bardzoś dojrzał, ani się tego spodziewałem.

Przejmował chłód. Sołogdin zdjął z krzyżaka czapkę i włożył ją. To samo zrobił Nierżyn. Rad był z pochwały, ale starał się zachować dystans wobec tego uczucia.

Sołogdin zaś mówił dalej:

— A teraz, kochany, kiedy twój wyjazd może nastąpić nagle, muszę czym prędzej podzielić się z tobą wiadomościami o pewnych moich zasadach. Mogą ci się przydać. Oczywiście, bardzo przeszkadzać mi tu będzie mój nieskładny sposób mówienia, słabość mojego umysłu...

O, to było w stylu Sołogdina! Gdy miał zamiar czymś błysnąć, zawsze przedtem przesadzał w skromności.

— Twoja nędzna pamięć — podpowiadał mu Nierżyn. — I to, że w ogóle jesteś „naczyniem błędu”...

— A właśnie, właśnie — Sołogdin uśmiechnął się i znów pokazał wydłużone i wypukłe, białe zęby. — Zdając więc sobie sprawę z własnej niedoskonałości, przez wiele moich więziennych lat starałem się wypracować te zasady, które trzymają w kupie klepki woli, jak żelazna obręcz. Te zasady — to jakby rys ogólny dróg postępowania przy pracy („metodyka” przetłumaczył sobie Nierżyn z Języka Krańcowej na Język Pozornej Jasności). Na tych drogach dojść można do roboczej jedności: jedności celu, wykonawcy i jego działania.

Wdziali znowu waciaki.

Z narastania jasności dziennej poznać można było, że wkrótce trzeba będzie zostawić już drwa i pójść na poranny apel. W dali, przed sztabem specwężenia, w cieniu pysznie ubielonych lip już migały postacie spacerujących skazańców. Wśród wyprostowanych i przygarbionych figur wyróżniał się swoim wzrostem, chudością i sztywną posturą pięćdziesięcioletni malarz Kondraszew-Iwanow. Widać było też, jak Lew Rubin, który zasnął, próbował teraz wymknąć się do rąbania, ale strażnik już go nie puszczał: było za późno.

— Patrzaj, Lewek z rozczochraną grzywą.

Zaśmiali się.

— Więc jeśli chcesz, każdego ranka będę ci przekazywał którąś z tych zasad?

— Oczywiście, Mitia! Wal!

Nierżyn przysiadł na klockach, Sołogdin siadł niewygodnie na koźle.

— No, na przykład: jak odnosić się do trudności?

— Nie tracić otuchy?

— To za mało.

Sołogdin patrzył nie na Nierzyną, lecz na zonę, na niskie, gęste zarośla, całe oszronione i tknięte niepewną różowością świtania: słońce wahało się, czy ukazać się, czy też nie. Twarz Sołogdina, skupiona, szczupła, z jasną, kędzierzawą bródką i krótkimi, jasnymi wąsami miała w sobie jakiś pierwiastek staroruski i przypominała oblicze Aleksandra Newskiego.

— Jaki mieć więc stosunek do trudności? — perorował. — W dziedzinie jeszcze nie znanej, trudności winny być rozpatrywane jako ukryty skar b! Tak jest na ogół: im rzecz trudniejsza, tym większa korzyść. Mniejszą to ma cenę, jeżeli trudności mają wynikiem twojej walki z samym sobą. Ale jeśli trudności mają źródło w rosnącym oporze przedmiotu — to wspaniale!! — i jakby różowy blask przemknął po zarumienionej twarzy Aleksandra Newskiego, blask bijący z owych pięknych, jak słońce, trudności. — Najbardziej opłacalny sposób prowadzenia badań: „największy opór zewnętrzny, przy najmniejszym wewnętrznym”. Porażki należy rozpatrywać jako nakazy dalszego zwiększenia wysiłków i skupienia woli. A jeżeli wysiłki już były bardzo znaczne — tym bardziej radować powinny cię porażki! To znaczy, że nasz oskard uderzył o żelazną skrzynię ze skarbami!! I pokonanie spotęgowanych trudności tym większą ma cenę, że porażki warunkują rozwój w y k o n a w c y, odpowiadający wielkości napotkanego oporu!

— Byczo! Mocno powiedziane! — odezwał się Nierżyn ze swoich kłoców.

Kolory wschodu przeciągnęły już po zaroślach i zgasiły je teraz idące ławą szare obłoki.

Odrywając jakby oczy od tablicy przykazań, Sołogdin nie uważnie spojrzął w dół na Nierżyna.

— Posłuchaj teraz: zasada ostatnich piędzi! Dziedzina ostatnich piędzi! — w Języku Krańcowej Jasności od razu jest jasne, co to znaczy. Praca zbliża się ku końcowi, cel jest prawie osiągnięty, wszystko wydaje się już gotowe i dokonane, ale jakość tego dokonania — jeszcze nie taka jest, jakbyś chciał! Potrzebne są uzupełnienia, może jeszcze jakie nowe badania. W tej chwili znużenia i zadowolenia z własnych wysiłków, szczególnie chce się człowiekowi dać już spokój całej pracy, nie dbając o nadanie jej najwyższego blasku. Praca na obszarze ostatnich piędzi jest bardzo, bardzo zawiła, ale też osobiście cenna, wykonać ją bowiem można tylko z pomocą najdoskonalszych chwytów! Zasada ostatnich piędzi na tym właśnie polega, aby nie wymawiać się od tej pracy! I nie odkładać jej na później, bowiem myśli wykonawcy zdążą wymknąć się poza obszar ostatnich piędzi. I nie żałować czasu, wiedząc, że cel zawsze polega nie na szybkim, lecz zupełnym i doskonałym zakończeniu działań!!

— Doobre! — szepnął Nierżyn.

Zupełnie innym, szorstkim i drwiącym głosem Sołogdin powiedział nagle:

— A, młodszy lejtnant! A co to znowu? Wcale was nie poznaję. Czemu to tak późno z tym toporem? Już nie starczy nam czasu na rąbanie.

Podobny do księżyca w pełni, młodszy lejtnant Nadielaszyn jeszcze niedawno był chorążym. Po awansowaniu go na oficera, zeki z *szaraszki*, mający do niego ciepły stosunek, nadali mu żartobliwą rangę *minor a*.

Stąpając śpiesznie, drobnymi kroczkami i zabawnie posapując podał im topór, uśmiechnął się przepraszająco i odparł z żywością:

— Nie, ja was bardzo, bardzo proszę, Sołogdin, narąbcie tych polan! W kuchni już nic nie ma, nie mają na czym gotować obiadu. Nie wyobrażacie sobie, ile mam bez tego pracy!

— Czego? — parsknął Nierżyn. — P r a c y ? Lejtnancie! A bo to wy pracujecie?

Dyżurny oficer obrócił do Nierżyna swoją kragłą jak miesiąc w pełni twarz. Zmarszczywszy czoło, przytoczył z pamięci:

— „Praca jest to pokonywanie oporu”. Chodząc szybko,

pokonywam opór powietrza, to znaczy, że też pracuję. — Chciał zachować obojętny wyraz twarzy, ale rozjaśnił ją uśmiech, kiedy Sołogdin z Nierżynem ryknęli zgodnie. — Więc narąbcie, proszę was!

Odwrócił się i ruszył drobnymi krokami do sztabu specwizena, gdzie właśnie w tej chwili mignęła opięta w przepisowy płaszcz figura naczelnika, podpułkownika Klimientiewa.

— Kochany — powiedział ze zdziwieniem Sołogdin — czy mnie oczy mylą? Klimientiadis? — (W tym roku gazety wiele miejsca poświęcały aresztowanym w Grecji, którzy telegrafowali ze swoich cel do wszystkich parlamentów i do ONZ o przeżywanych niedolach. W *szaraszce*, skąd więźniowie — nawet żonom, nawet pocztówkę — nie zawsze posłać mogli, nie mówiąc już o zagranicznych parlamentach — stało się modne przerabianie nazwisk więziennych zwierzchników na grecki sposób — Myszynopulos, Klimientiadis, Szykinidi). — Co tu robi Klimientiadis przy niedzieli?

— Jak to, nie wiesz? Sześciu ludzi mają zawieźć na widzenie.

Nierżyn przypomniał sobie o tym — i jego serce, które taką jasnością się napełniło podczas porannego piłowania, znów zalała gorycz. Prawie rok minął od ostatniego widzenia, osiem miesięcy od momentu, kiedy złożył podanie — a nie miał wciąż ani odmowy, ani zezwolenia. Przyczyna tego zjawiska była — między innymi — taka, że starał się nie narazić aspirantury żony na uniwersytecie i dlatego nie zdradzał jej adresu w bursie studenckiej, tylko chciał posyłać listy na poste-restante, a takiego adresu więzienie nie uznawało. Nierżyn wolny był od uczucia zawiści dzięki temu, iż skupił się na swoim życiu wewnętrznym; ani wysokość zarobków, ani raczej żywnościowe innych, wybitniejszych zeków nie mąciły jego spokoju. Ale świadomość niesprawiedliwości przy tych widzeniach, myśl, że kto inny jeździ na nie co dwa miesiące, a jego tak wrażliwa, delikatna żona wzdycha i snuje się pod fortecznymi murami więzień — ta myśl wciąż go gnębiła.

Ponadto dziś były jego urodziny.

— Mają zawieźć? No taaak... — Sołogdin zareagował z podobną goryczą. — Kapusiów wożą co miesiąc. A ja już teraz mojej Ninki nigdy więcej nie zobaczę...

(Sołogdin nie używał wyrażenia „aż do końca kary”, bo dawno już dane mu było zrozumieć, że kara może nie mieć końca).

Patrzył, jak Klimientiew porozmawiał z Nadielaszynem i wszedł do sztabu.

I nagle powiedział prędko:

— Glebie! Przecież twoja żona zna moją. Jeżeli pojedziesz na widzenie, to postaraj się poprosić Nadię, żeby odszukała Ninkę i żeby przekazała jej tylko trzy słowa o mnie: (tu spojrział w niebo) — kocha! Ufa jej! Nie traci nadziei!

— Ależ mnie odmówiono widzenia, co też ty? — zachnął się Nierżyn ustawiając sobie kloc do rąbania.

— A spójrz tylko!

Nierżyn obejrzał się. Minor szedł ku nim i z daleka kiwał na niego palcem. Gleb rzucił topór, przewrócił z brzękiem opartą o sąg piłę i pobiegł, jak mały chłopak.

Sołogdin ujrzał, jak minor wprowadza Nierżyna do sztabu, później postawił kloc sztorcem i z taką zawziętością wziął rozmach, że nie tylko rozrąbał pień na dwoje, lecz ponadto wbił ostrze w ziemię.

Zresztą topór był państwowy.

XXV

CO ROBIŁ MINOR

Przytaczając definicję pracy ze szkolnego podręcznika fizyki, młodszy lejtnant Nadielaszyn nie fantazjował. Choć pracował tylko dwanaście godzin raz na dwa dni — praca jego była pełna fadygi oraz bieganiny po piętach i nader odpowiedzialna.

Szczególnie uciążliwy dyżur wypadł mu minionej nocy. Ledwie tylko objął służbę punkt dziewiąta wieczór, ledwie obrachował, że wszyscy więźniowie w liczbie dwieście osiemdziesiąt jeden głów znajdują się na miejscu, ledwie wyprawił ich do wieczornej pracy i rozprowadził posterunki (na podeście schodów, w korytarzu sztabu, a do tego jeszcze patrol pod oknami specwięzienia) — kiedy już oderwano go od karmienia i rozmieszczania nowoprzybyłych: otrzymał wezwanie do pełnomocnika operacyjnego, majora Myszyń, który jeszcze do domu nie pojechał.

Nadielaszyn był istnym wyjątkiem nie tylko w stosunku do strażników więziennych (albo — jak ich teraz nazywano — pracowników więziennictwa), lecz w ogóle pośród swoich współplemieńców. W kraju, gdzie co drugi obywatel przeszedł obozową albo frontową wyższą szkołę przeklinania, gdzie nie tylko pijani sypią kurwami bez żadnej krępacji w obecności dzieci (dzieci zaś — w trakcie niewinnych swoich zabaw), nie tylko pasażerowie przy wsiadaniu do podmiejskiego autobusu, ale często również uczestnicy najintymniejszych rozmów (zwłaszcza — w czasie śledztwa) — otóż Nadielaszyn nie potrafił ani kląć, ani nawet używać takich słów, jak „licho” i „bydlę”. Kiedy był zły, używał jednego tylko wyrażenia — „a niech cię byk tryknie!”, najczęściej zresztą po cichu.

Tak samo tym razem, szepnąwszy do siebie „a niech cię byk tryknie!”, minor pośpieszył do majora.

Operacyjny pełnomocnik, major Myszyń, którego Bobynin

zupełnie bezpodstawnie nazwał darmozjadem — chorobliwie otyły jegomość o fioletowej twarzy, został przy pracy tego sobotniego wieczoru na skutek wyjątkowych okoliczności. Wydał Nadielaszynowi takie zlecenia:

— sprawdzić, czy inwigilowani zaczęli już obchód niemieckiego i łotewskiego Bożego Narodzenia;

— sporządzić podzielony na grupy spis wszystkich, świętujących wigilię;

— sprawdzić osobiście, a także przy pomocy szeregowych strażników, wysyłanych co dziesięć minut, czy wymienieni nie piją przy tym alkoholu, czy nie wykonują podkopów, o czym rozmawiają i najważniejsze — czy nie prowadzą antysowieckiej agitacji;

— posłużyć się — w miarę możliwości — jakimkolwiek przekroczeniem regulaminu więziennego z ich strony i postarać się przerwać ten oburzający obrządek religijny.

W zleceniu nie było mowy, aby przerwać, lecz by uczynić to „w miarę możliwości”. Spokojny obchód wigilii nie należał do czynności bezpośrednio zakazanych, jednakże serce towarzysza Myszyna nie mogło się z tym pogodzić.

Młodszy lejtnant Nadielaszyn o twarzy przypominającej beznamiętny zimowy księżyc w pełni, zameldował majorowi, że ani on sam, ani tym bardziej podlegli mu strażnicy nie znają języka niemieckiego, jak również łotewskiego (język rosyjski też nie wszystkim był znany).

Myszyn przypominał sobie, że on sam w czasie czterech lat służby na stanowisku komisarza kompanii wartowniczej w obozie dla jeńców niemieckich, nauczył się tylko trzech słów: „halt!”, „curiuk” i „wek!” — i skrócił nieco instrukcję.

Wysłuchawszy rozkazu, Nadielaszyn niezgrabnie zasalutował (od czasu do czasu musiano z nim powtarzać musztrę) i poszedł, żeby rozlokować nowy transport. Także w tej sprawie oficer operacyjny udzielił mu instrukcji na piśmie: kogo umieścić w jakiej izbie i jakie mu dać leże. (Myszyn przywiązywał znaczną wagę do planowego i scentralizowanego rozdziału miejsc w sypialniach więziennych, gdzie miał odpowiednio porozstawianych swoich konfidentów. Wiedział, że ludzie najszczerzej rozmawiają ze sobą nie za dnia, w natłoku zajęć, lecz przed samym snem, najbardziej zaś posępne i żółciowe uwagi wygłaszane są rankami i dla tego szczególnie cenna jest możliwość śledzenia ludzi w pościeli).

Później Nadielaszyn bardzo skrupulatnie wstąpił jeden raz do każdej izby, w której świętowano wigilię, niby sprawdzając, ile też watów mają wiszące tam żarówki. Strażnikowi też kazał raz zajrzeć do każdej. A do spisu wciągnął wszystkich.

Następnie wezwał go do siebie jeszcze raz major Myszyn i Nadielaszyn wręczył mu swój spis. Myszyzna szczególnie zainteresowało, że Rubin znalazł się w pokoju Niemców. Wciągnął ten fakt do kartoteki.

Następnie nadeszła godzina zmiany warty i trzeba było rozstrzygnąć spór dwóch strażników — który z nich dłuższy miał dyżur zeszłym razem i kto teraz komu jest dłużny.

Następnie przyszła pora ciszy nocnej, scysji z Priancykowem na temat wrzątku, wizytacji wszystkich cel, gaszenia białych lampek i zapalania niebieskich. Tu wezwał go ponownie major Myszyn, który w żaden sposób nie mógł wybrać się do domu (w domu miał żonę i nie chciało mu się wysłuchiwać jej skarg przez cały wieczór). Major Myszyn siedział w fotelu, Nadielaszyna zaś trzymał w postawie zasadniczej i wypytywał z kim, według jego obserwacji, Rubin zwykle odbywa spacer i czy nie zdarzyło się w ciągu ostatniego tygodnia, aby odzywał się w sposób wyzywający o administracji więziennej, bądź też wysuwał jakieś żądania w imieniu reszty więźniów.

Nadielaszyn zajmował szczególną pozycję wśród swoich kolegów, oficerów, kierowników strażniczej wachty. Besztano go ostro i często. Wrodzona poczciwość długo przeszkadzała mu w pracy w organach. Gdyby się w końcu nie przystosował, to dawno by go stąd wypędzono, albo nawet oddano pod sąd. W zgodzie ze swoimi naturalnymi skłonnościami, Nadielaszyn nigdy nie zachowywał się po grubiańsku wobec więźniów, uśmiechał się do nich z niepodrabianą dobroduszością i w rozmaitych drobnych sprawach szedł na ustępstwa, jeżeli to tylko od niego zależało. Więźniowie lubili go za to, nigdy się na niego nie skarżyli, nic mu nie robili na przekór i nawet nie krępowali się już jego obecnością. On zaś był spozstrzegawczy, słuch też miał dobry, także wykształcenie, nadto zapisywał wszystko dla pamięci w specjalnym notesie — i materiały z tego notesu przekazywał w meldunkach zwierzchności, rehabilitując się tym za swoje służbowe niedopatrzienia.

Teraz też wyciągnął swój notesik i powiadomił majora, że siedemnastego grudnia więźniowie hurmą wracali przez dolny korytarz z poobiedniego spaceru — on zaś trop w trop szedł za nimi. I że więźniowie sarkali, że niby jutro niedziela, a kierownictwo nawet dodatkowej przechadzki im nie daje, Rubin zaś powiedział wtedy: „kiedy nareszcie zrozumiecie moi drodzy, że na litość tych gadów nie macie co liczyć?”

— Właśnie tak się wyraził: „tych gadów”? — rozpromienił się fioletowy Myszyn.

— Tak właśnie powiedział — przytaknął Nadielaszyn i na jego księżycowej twarzy wykwitł dobrotliwy uśmiech.

Myszyn znów otworzył tę samą teczkę, wprowadził do niej nowy zapis i kazał ponadto, żeby Nadielaszyn złożył osobny meldunek, jak się należy.

Major Myszyn nienawidził Rubina i gromadził przeciw niemu obciążające materiały. Gdy przystąpił do pracy w Mawrinie i dowiedział się, że Rubin, były komunista, wszędzie się przechwala, że pozostał nim dalej w głębi ducha, nie bacząc na to, że go wsadzili — Myszyn wezwał go celem rozmowy o życiu w ogóle i o współpracy w szczególności. Ale nie spotkał się ze zrozumieniem. Myszyn naświetlił zagadnienie dokładnie tak, jak to zawsze zalecano na zebraniach instruktażowych.

— jeżeli jesteście człowiekiem sowieckim — to na pewno nam pomożecie;

— jeżeli nam nie pomożecie — to nie jesteście sowieckim człowiekiem;

— jeżeli nie jesteście człowiekiem sowieckim — to jesteście człowiekiem antysowieckim i zasługujecie na nowy wymiar.

Tymczasem Rubin zapytał: „A czym trzeba będzie pisać te donosy — atramentem czy ołówkiem?” — „Pewno, że lepiej atramentem” — doradził mu Myszyn. „No to ja swego oddania dla sowieckiej władzy dowiodłem już krwią, więc atramentem nie muszę”.

W ten sposób Rubin z punktu zdradził się przed majorem ze swoją nieszczerością i dwulicowością.

Major wezwał go jednak jeszcze raz. I wówczas to Rubin w sposób jawnie obłudny jął się wykręcać — że skoro go wsadzono, to znaczy, że okazano mu brak politycznego zaufania i że póki ten stan rzeczy trwa, to nie może pójść na współpracę z pełnomocnikiem operacyjnym. Od tej chwili Myszyn zagiął na niego parol i zbierał w teczkę, co tylko mógł.

Rozmowa majora z młodszym lejtnantem nie dobiegła jeszcze końca, gdy nagle z ministerstwa bezpieczeństwa przyjechał samochód osobowy po Bobynina. Pragnąc wykorzystać tak fortunny dla kariery zbieg okoliczności, Myszyn — jak wybiegł w samym frenczu, tak nie odstępował już od drzwi samochodu, zapraszał eskortującego oficera do ciepłego wnętrza, zwracał uwagę na to, że przesiaduje tu nocami, pił i strofował Nadielaszyna, a na wszelki wypadek zapytał nawet Bobynina, czy aby ciepło jest ubrany (Bobynin zaś umyślnie włożył nie przyzwoite palto, które mu na tę drogę dano, lecz swój dziurawy, obozowy waciak).

Ledwie Bobynin pojechał, zaraz wezwano Priancykowa. Tym bardziej major nie mógł już sobie pozwolić na pójście

do domu! Aby wypełnić czymś oczekiwanie, czy ktoś jeszcze zostanie wezwany i kiedy tamci wrócą — major poszedł sprawdzić, jak spędza czas ta zmiana strażników, która ma właśnie przerwę (różnieli w domino) i zaczął egzaminować ich z historii partii (odpowiedzialny był bowiem za ich poziom polityczny). Strażnicy najczęściej wysypiali się w czasie, gdy mieli pracować, teraz więc ciągnęło ich do łomotania kostkami o stół i ze zrozumiałą niechęcią odpowiadali na pytania majora. Ich odpowiedzi miały nader żałosny charakter: dzielni ci wojacy nie tylko mylili się przy wyjaśnieniu, dlaczego po Drugim Zjeździe trzeba było oddzielić się od mienszewików, zaś na Czwartym Zjeździe słuszne było hasło zjednoczenia, ale twierdzili nawet, że Plechanow był carskim ministrem i że to on strzelał do robotników 9 stycznia 1905 roku. Za to wszystko Myszyn dobrze nagadał Nadielaszynowi, który tak pozwolił rozpuścić się swojej wachcie.

Później wrócili Bobynin i Priancykow — tym samym samochodem i nie chcąc nic powiedzieć majorowi, poszli spać. Rozczarowany i bardziej jeszcze zaniepokojony major pojechał tym samym autem, żeby nie iść piechotą: autobusy już nie kursowały.

Strażnicy nie pełniący właśnie służby puścili w ślad za majorem wiązkę wyzwisk i już zabierali się do spania, Nadielaszyn zaś też już chciał zdrzemnąć się choć na jedno oko, ale gdzie tam; zadzwonił telefon z wartowni oddziału pełniącego służbę na wieżach strażniczych dookoła obiektu. Dowódca warty, cały w nerwach zakomunikował, że dzwonił wartownik z południowo-zachodniej narożnej wieży. W gęstniejącej mgłę zobaczył wyraźnie kogoś ukrywającego się za węglem drewnianej szopy; osobnik próbował później dopełznąć do drutów pasa ochronnego, ale przestraszył się ostrzegawczego krzyku wartownika i uciekł w głąb podwórca.

Dowódca warty oznajmił, że będzie zaraz telefonować do sztabu swojego pułku i że napisze raport o tym nadzwyczajnym wydarzeniu, chwilowo zaś prosi dyżurnego specwizienia o przeprowadzenie obławy na podwórku.

Chociaż Nadielaszyn był święcie przekonany, że wszystko to wartownikowi tylko się przywidziało i że więźniowie są wystarczająco mocno zamknięci za nowymi żelaznymi drzwiami i starymi, mocnymi murami poczwórnej grubości, ale sam fakt napisania raportu przez dowódcę warty już wymagał od niego energicznych działań i wystosowania podobnego raportu. Dlatego zarządził alarm dla pauszującej wachty, uzbroił ludzi w latarki typu „Nietoperz” i poprowadził ich po dużym, zasnutym mgłą dziedzińcu. Następnie sam przeszedł się jeszcze raz po wszystkich celach i — nie chcąc zapalać białego światła (żeby

uniknąć zbyt wielu skarg), a niewiele widząc przy świetle niebieskim — mocno potłukł sobie kolano o róg czyjejś koi, zanim udało mu się przy świetle lampki kieszonkowej policzyć śpiących więźniów i stwierdzić, że jest ich dwustu osiemdziesięciu i jeden.

Wówczas udał się do kancelarii i napisał — charakterem pisma okrągłym i jasnym, w którym było coś z przejrzystej jasności jego duszy — raport o zaszłych wypadkach na ręce naczelnika specwizji, podpułkownika Klementiewa.

I oto nadszedł już ranek, czas było zlustrować kuchnię, skontrolować jakość strawy i zarządzić pobudkę.

Tak spędził noc młodszy lejtnant Nadielaszyn — i miał prawo powiedzieć Nierżynowi, że nie dostaje swojego chleba za darmo.

Nadielaszyn przekroczył już trzydziestkę, ale wyglądał młodo, bo twarz miał świeżą, bez zarostu.

Dziad Nadielaszyna i jego ojciec byli krawcami — nie żadnymi wytwornymi, ale fachowymi; obsługiwali ludzi przeciętnych, nie wymawiali się od nicowania albo od przeróbek, kiedy trzeba było coś przefasonować z ojca na syna, albo i załatać, jak się komu śpieszyło. Chłopak też miał iść tą drogą. Od dzieciństwa podobała mu się ta gładka, miła praca, przygotowywał się do niej, przyglądał się i pomagał. Ale był to koniec NEP'u. Ojcu przynieśli doroczny nakaz podatkowy — i zapłacił go zaraz. Po dwóch dniach przynieśli jeszcze jeden nakaz roczny. Ojciec to też zapłacił. Całkiem beczelnie, po następnych dwóch dniach przynieśli roczny domiar już w trzykrotnej wysokości. Ojciec podał swój patent, zdjął szyld i wstąpił do spółdzielni. Syn zaś wkrótce został powołany do wojska, stamtąd skierowano go do oddziałów NKWD, później zaś przeniesiono go do straży.

W czasie służby nie wybijał się. W ciągu tych czternastu lat inni nadzorcy już go przeskoczyli o trzy albo cztery szczeble, niektórzy byli teraz kapitanami, on zaś zaledwie przed miesiącem dostał ze skrzypem swoją pierwszą gwiazdkę.

Nadielaszyn rozumiał o wiele więcej, niż ujawniał w rozmowach. Rozumiał, że ci skazańcy pozbawieni ludzkich praw w istocie byli często ludźmi o wiele większej miary niż on sam. Prócz tego, zgodnie z właściwością każdego człowieka, by dopatrywać się w innych podobieństwa do siebie, Nadielaszyn nie mógł wyobrazić sobie więźniów, jako tych krwawych zbrodniarzy, którymi mieli być, jeśli wierzyć wykładowcom z kursów politycznych dla straży.

Z jeszcze większą ostrością niż ową definicję pracy z kursu fizyki w szkole wieczorowej, Nadielaszyn zapamiętał każdy zakręt pięciu więziennych korytarzy Wielkiej Łubianki i wnętrza każdej z jej stu dziesięciu cel. Regulamin Łubianki przewidywał,

że strażnicy zmieniali się co dwie godziny, przechodząc z jednej części korytarza do drugiej (po to, by zapobiec zawieraniu znajomości z aresztantami i próbom kontaktów lub przekupstwa; strażnicy nie mieli zresztą powodu do skarg na swoje gaże). Strażnik miał obowiązek uchylania każdego judasza nie rzadziej niż co trzy minuty. Nadielaszyn, obdarzony wyjątkową zdolnością zapamiętywania twarzy, miał wrażenie, że pamięta wszystkich, co do jednego, aresztantów którzy przewinęli się przez jego więzienne piętro między 1935 a 1947 (kiedy to przeniesiono go stamtąd do Mawrina) — i słynnych przywódców, i zwykłych oficerów frontowych, jak Nierżyn. Miał wrażenie że każdego z nich poznałby teraz na ulicy w dowolnym przebraniu — tylko że nie można było ich na ulicach nigdy spotkać, nie było bowiem z tego świata powrotu do tamtego. Jedynie tutaj, w Mawrinie spotkał niektórych z dawnych swoich podopiecznych spod klucza — nie dając im, jasna rzecz, do zrozumienia, że ich poznał. Pamiętał ich, zaczadziałych od przymusowej bezsenności w oślepiająco jaskrawych boksach o powierzchni metra kwadratowego; dzielących nitką czterystugramową porcję wilgotnego razowca; zaczytanych w pięknych, starych księgach, w które obfitowała więzienna biblioteka; wychodzących gęsiego do ustępu; zakładających ręce do tyłu, kiedy ich wzywano na badanie; rozmawiających weselej przez ostatnie pół godziny przed wieczornym dzwonkiem; i leżących w zimowe noce pod ostrą żarówką z rękoma na kołdrze, z szyją owiniętą ręcznikiem, bo zimno — a regulamin wymagał, aby tych, co chowali ręce pod kołdrę, budzono i zmuszano do kładzenia rąk na wierzchu.

Nadielaszyn najbardziej lubił przysłuchiwać się dyskusjom i rozmowom wszystkich tych białobrodych profesorów, duchownych, starych bolszewików, generałów i pociesznych cudzoziemców. Podśłuchiwać wypadało z obowiązku służbowego, ale Nadielaszyn podśłuchiwał także dla własnej przyjemności. Miał wielką ochotę, co mu się nigdy nie udało z uwagi na charakter służby, wysłuchać czyjegós opowiadania od początku do końca, bez przerw; jak wyglądało życie tego człowieka i za co go wsadzili? Zdumiewało go najbardziej, że ci ludzie w trakcie pełnych grozy miesięcy, kiedy ich los się decydował, a całe życie szło na złom — znajdowali w sobie odwagę, by mówić nie o swoich mękach, ale o byle czym: o włoskich malarzach, o obyczajach pszczoł, o polowaniu na wilki, albo o tym, jak buduje domy jakiś tam Corbusier — a przecież nie dla nich budował te domy.

Pewnego zaś razu zdarzyło mu się usłyszeć rozmowę, która go zainteresowała osobliwie. Siedział w tylnym przedziale war-

towniczym suk i eskortował dwóch aresztantów zamkniętych w środku. Przewożono ich z Wielkiej Łubianki na Suchanowską Dacę — do ponurego więzienia pod Moskwą, skąd nie było wyjścia, chyba do grobu albo domu wariatów. Mało kto wracał stamtąd na Łubiankę. Sam Nadielaszyn tam nie pracował, ale słyszał, że nawet posiłki były tam rodzajem wyrafinowanej tortury; więźniom nie dawano, jak gdzie indziej, ordynarnej ciężkiej strawy, tylko przynoszono sanatoryjne, aromatyczne, delikatne dania. Tortura polegała na porcjach: więzień dostawał pół spodeczka bulionu, ósmą część kotleta, dwie frytki kartoflane. Nie karmiono, tylko przypominano, co człowiek stracił. Było to o wiele trudniejsze do zniesienia, niż miska czarnej wodzianki i też przyczyniało się do obłędu.

Tak się zdarzyło, że tych dwóch aresztantów w suce nie rozdzielono, tylko wieziono ich razem, nie wiedzieć czemu. O czym rozmawiali z początku, tego Nadielaszyn nie słyszał, bo przeszkadzał mu warkot silnika. Ale potem silnik się zepsuł, kierowca po coś poszedł, oficer zaś został w szoferce i Nadielaszyn usłyszał cichą, aresztancką rozmowę przez kratkę w tylnych drzwiach. Tamci dwaj pomstowali na rząd i na cara — tylko nie na obecny rząd i nie na Stalina — złorzeczyli... imperatorowi Piotrowi Pierwszemu. Co im zawinił? — dość, że łajali go na wszelkie sposoby. Jeden z nich wyrzekał na niego także i za to, że Piotr zniszczył i wykorzenił rosyjskie ludowe stroje i w ten sposób pozbawił swój naród tego, czym różnił się on od innych. Więzień wymienił po kolei, z wielką znajomością rzeczy, jakie to były stroje, jak wyglądały, z jakich je wdziewano okazji. Zapewniał, że dziś jeszcze nie jest za późno wskrzesić pewne składniki tych strojów, w należyty i wygodny sposób kojarząc je ze współczesną odzieżą — zamiast ślepo kopiować paryską modę. Drugi więzień zażartował — oni mieli jeszcze ochotę do żartów! — że potrzeba do tego dwóch ludzi: genialnego krawca, który potrafiłby wszystko to połączyć i modnego tenora, który chciałby nosić te stroje i fotografować się w nich, a wtedy już cała Rosja będzie go naśladować.

Rozmowa ta szczególnie zainteresowała Nadielaszyna dlatego, że krawiectwo pozostało nadal jego tajną namiętnością. Po dyżurach we wrzących obłędem korytarzach — przywracał mu spokój szelest tkaniny, miękka ustępliwość fałd, łagodność tego zajęcia.

Szył ubranka swoim dzieciom, suknie dla żony, szył sobie sam garnitury. Tylko krył się z tym.

Wojskowemu nie wypadało.

XXVI

CO ROBIŁ PODPUŁKOWNIK

Podpułkownik Klimentiew miał włosy — co się zowie — krucze, lśniaco-czarne, jak z lanej smoły: przylegały do głowy gładko, były przedzielone pośrodku i miały swój odpowiednik w wąsach. Nie miał brzuszka i w czterdziestym piątym roku życia wyglądał, jak smukły, młody żołnierz. Na służbie nigdy się nie uśmiechał, przez co ciemna jego twarz stawała się jeszcze mroczniejsza.

Mimo, że była to niedziela, podpułkownik przyjechał nawet wcześniej, niż zwykle. W trakcie aresztanckiej przechadzki przeciął dziedziniec do spacerów. Starczyło mu zerknięcia, aby zauważyć nieporządek, ale ceniąc sobie swoją godność, do niczego się nie wtrącał, tylko wkroczył do sztabowego budynku specwięzienia. Po drodze kazał dyżurnemu Nadielaszynowi wezwać więźnia Nierżyna i zameldować się samemu. Przechodząc przez podworec podpułkownik zanotował sobie, że mijający go więźniowie starali się albo przyśpieszyć kroku, albo iść wolniej, czy skrócić, byle by tylko nie zetknąć się z nim jeszcze raz oko w oko i nie być zmuszonym do powitania. Klimentiew zarejestrował ten fakt z zimnym spokojem i nie poczuł się obrażony. Wiedział, że tylko po części działa tu prawdziwa pogarda dla jego funkcji, przeważa zaś skrępowanie wobec kolegów, obawa, by nie wydawać się serwilistą. Prawie każdy z tych więźniów, wezwany pojedynczo do jego gabinetu zachowywał się uprzejmie, niektórzy zaś przypochlebnie. Za kratami byli tu ludzie rozmaici i rozmałą mieli wartość. Klimentiew dawno to zrozumiał. Szanując ich prawo do godności, nieustępliwie przestrzegał swego prawa do surowości. Jako urodzony żołnierz mniemał, że wprowadził w tym więzieniu dyscyplinę nie sadystyczną, lecz rozsądną, wojskową.

Wszedł do gabinetu. Było tu gorąco i niemile pachniało

farbą smażącą się na kaloryferach. Podpułkownik otworzył lufcik, zdjął płaszcz, usiadł w swoim obcisłym frenczu przy biurku i spojrzał na jego blat. Na stroniczce kalendarza, otwartego na minionej sobocie, widniał napis:

„Choinka?!”

W tym półpustym gabinecie, gdzie jedynymi przedmiotami były — szafa pancerna z aktami więziennymi, pół tuzina krzeseł, telefon i przyciski kilku dzwonków, podpułkownik Klimientiew bez żadnych widocznych transmisji, przekładni i zębatych kółek sprawnie kierował zewnętrznym biegiem życiowych spraw dwustu osiemdziesięciu jeden ludzi oraz służbą pięćdziesięciu strażników.

Nie bacząc na to, że przyjechał tu w niedzielę (miał wolny od pracy jeden z dni powszednich) a jeszcze pół godziny przed czasem, Klimientiew zachowywał zwykły spokój i równowagę.

Młodszy lejtnant Nadielaszyn zameldował się nieśmiało. Na jego policzkach wykwitły rumieńce. Bardzo bał się podpułkownika, chociaż Klimientiew nigdy nie wprowadził mu żadnego haczyka do teczki personalnej, mimo tylu niedopatrzeń. Śmieszny, pyzaty, nie mający w sobie nic wojskowego, Nadielaszyn daremnie starał się stanąć w prawidłowej postawie zasadniczej.

Zameldował, że nocny dyżur minął zupełnie spokojnie, wykroczeń nie było żadnych, zaszły natomiast dwa wydarzenia nadzwyczajne: o jednym mowa jest w raporcie (położył przed Klimientiewem raport na rogu biurka, ale papier zaraz zdmuchnęło; poszybował sobie kreśląc skomplikowaną krzywą aż pod daleko stojące krzesło. Nadielaszyn rzucił się za nim i z powrotem położył na biurku), drugim zaś było wezwanie więźniów Bobynina i Priancykowa do ministra bezpieczeństwa państwowego.

Podpułkownik zmarszczył brwi i zadał kilka szczegółowych pytań interesując się okolicznościami wezwania i powrotu więźniów. Nowina była raczej nieprzyjemna, a nawet budziła niepokój. Być komendantem tego właśnie specwizienia, to znaczyło żyć na wulkanie, znajdować się zawsze w polu obserwacji ministra. To nie był jakiś tam sobie odległy leśny punkt łagrowy, którego naczelnik mógł mieć harem, własnych trefnisiów i samemu ferować wyroki, jak pan feudalny. Tu trzeba było być strażnikiem prawa, balansować na linii instrukcji i nie pozwalać sobie ani na szczyptę osobistego gniewu, czy prywatnej litości. Ale Klimientiew był właśnie taki. Nie sądził, ażeby Bobynin lub Priancykow mogli dzisiejszej nocy znaleźć w jego postępowaniu cokolwiek zasługującego na skargę. Długie zaś służbowe doświadczenie kazało mu nie obawiać się oszczerstw ze strony więźniów. Oczernić mogli go już prędzej współpracownicy.

Następnie przejrzał raport Nadielaszyna i zorientował się, że chodzi o bzdury. Właśnie dlatego trzymał tu Nadielaszyna, że miał pewien poziom i był niegłupi.

Ale zarazem — ileż miał braków! Podpułkownik udzielił mu też nagany. Przypomniawszy mu szczegółowo jakich dopuścił się przeoczeń jeszcze w czasie poprzedniego dyżuru: więźniowie wyszli do pracy z dwuminutowym opóźnieniem; wiele łóżek zaścielono niedbale i Nadielaszyn nie przejawiał wystarczającej surowości — nie odwołał winowajców z pracy i nie zmusił ich do prawidłowego zaścielenia. O tym wszystkim mówiono już nieraz. Ale mówić z Nadielaszynem — to tyle, co rzucanie grochem o ścianę. A co się dzieje na dzisiejszym spacerze? Młody Doronin stał nieruchomo na samej linii granicznej placu spacerowego i bardzo uważnie przyglądał się zonie oraz przestrzeni ciągnącej się za zoną w stronę ciepłarni — a przecież teren to falisty, ciągnie się nim jar, miejsce jest bardzo wygodne dla ucieczki. A Doronin ma dwudziestopięcioletni wyrok, ma na koncie podrabianie dokumentów i szukano go listami gończymi dwa lata, po całym terytorium związkowym! I nikt z obecnych przy tym strażników nie zażądał, żeby Doronin nie zatrzymywał się, tylko kontynuował spacer. Dalej — gdzie był w czasie spaceru Gierasymowicz? Przechadzał się z dala od innych, za wielkimi lipami, obok warsztatów mechanicznych. A co to za p r z y p a d e k, ten Gierasymowicz? Dodano mu drugi wyrok, ma w aktach paragraf pięćdziesiąt osiem punkt jeden a łamane przez dziewiętnaście — to znaczy, zdrada kraju zamierzona. Nie dopuścił się zdrady, ale nie dowiódł też, że przyjechał do Leningradu w pierwszych dniach wojny nie po to, aby doczekać się wkroczenia Niemców. Czy Nadielaszyn pamięta aby, że trzeba bez ustanku prowadzić studia nad więźniami zarówno drogą bezpośredniej obserwacji, jak na podstawie ich akt? I wreszcie, jak Nadielaszyn właściwie wygląda? Bluza wybrzusza się nad paskiem (Nadielaszyn obciągnął bluzę), gwiazdka na czapce przekrzywiona (Nadielaszyn poprawił gwiazdkę), salutuje jak baba — co dziwnego, że na dyżurach Nadielaszyna więźniowie nie ścielą łóżek? Niezaścielone zaś łóżko — to niebezpieczna szczyrba w dyscyplinie więziennej. Dziś nie zaścielą łóżek, a jutro się zbuntują i nie pójdą do roboty.

Następnie podpułkownik przeszedł do poleceń: strażników, odkomenderowanych do eskorty przy widzeniach, należy zgromadzić w pokoju numer trzy celem przeprowadzenia instruktażu. Więzień Nierzyn niech jeszcze postoi w korytarzu. Odmaszerować.

Nadielaszyn wyszedł spocony, jak mysz. Słuchając dowódców,

za każdym razem z całą szczerością uznawał słuszność wszystkich zarzutów i wskazań, przysięgał też sobie, że już ich nie przekroczy, ale służba była służbą, napotykał w niej na dziesiątki przejawów skazańczych pragnień, każdy ciągnął w swoją stronę, każdy chciał urwać sobie choć strzęp swobody, Nadiełaszyn zaś nie mógł odmówić im tych strzępów, mając nadzieję, że może nikt tego nie zauważy.

Klimentiew wyjął pióro i przekreślił notatkę „Choinka?” w kalendarzu. Decyzję podjął jeszcze poprzedniego dnia.

Choinki nikt nigdy w specwężeniach nie urządzał, takich cudów Klimentiew nie przypominał sobie. Ale więźniowie nie raz, a przy tym bardzo solidni więźniowie, prosili go uparczywie, aby w tym roku urządzić choinkę. I Klimentiew pomyślał — a dla czego by w końcu na to nie pozwolić? Było jasne, że żadnych złych skutków taka choinka mieć nie może, że pożaru nie spowoduje — dookoła sami profesorowie od elektryczności. A bardzo ważne jest, aby na Sylwestra, kiedy wolni pracownicy instytutu pojedą do Moskwy na zabawę — ci tutaj też mieli chwilę odprężenia. Klimentiew wiedział, że przedświąteczne wieczory są dla więźniów najcięższe do zniesienia; jeden z drugim może jeszcze posunąć się do czynów szalonych, albo bezmyślnych. Zadzwoił więc wczoraj do Naczelnego Zarządu Więziennictwa, któremu podlegał bezpośrednio, żeby uzgodnić sprawę choinki. W instrukcjach było wyraźnie napisane, że zabronione są wszelkie instrumenty muzyczne, natomiast nie znaleziono żadnego przepisu odnoszącego się do choinek, wobec czego zgody nie wyrażono, ale też nie wydano bezpośredniego zakazu. Długi i nienaganny staż służbowy dodawał pewności i powagi decyzjom podpułkownika Klimentiewa. Więc jeszcze wieczorem na schodach ruchomych kolei podziemnej, w drodze do domu Klimentiew postanowił — dobrze, niech mają choinkę!

I wchodząc do wagonu kolejki myślał o sobie samym z satysfakcją, że przecież jest w istocie mądrym gospodarzem, nie żadnym biurokratą, nawet więcej, że jest człowiekiem dobrym, tylko że więźniowie nigdy tego nie docenią i nigdy się nie dowiedzą, kto nie chciał im pozwolić na choinkę, a kto chciał.

Klimentiewowi, nie wiedzieć czemu tak miło było teraz z poczuciem własnej zacności, że wcale nie chciało mu się pchać razem z innymi do wagonu i wszedł do niego jako ostatni, przed samym zamknięciem drzwi pneumatycznych. Nie starał się bynajmniej zdobyć miejsce, tylko chwycił się niklowanego słupka i patrzył na niejasno migające odbicie swojej męskiej postaci w zwierciadlanej szybie, za którą uciekała czerni tunelu i, zdające się nie mieć końca, grube kable. Później przeniósł

spojrzenie na młodą kobietę, siedzącą opodal. Ubrana była przyzwoicie, ale bardzo skromnie: miała na sobie czarny paltocik ze sztucznych karakułów i podobny toczek na głowie. Na kolanach trzymała wypchaną teczkę. Klimentiew zerknął na nią i pomyślał sobie, że twarz ma miłą, tylko znużoną i spojrzenie nie licujące z młodym wiekiem, bo nie zwracające uwagi na otoczenie.

Akurat w tej chwili kobieta skierowała wzrok w jego stronę i patrzyli na siebie wzajem nie dłużej, niż przyglądają się sobie bez żadnego wyrazu przypadkowi towarzysze podróży. W ciągu tej krótkiej chwili w oczach kobiety pojawił się wyraz napięcia i mignęło w nich jakby niepewne, pełne niepokoju pytanie. Klimentiew miał zawodową umiejętność zapamiętywania twarzy; od razu poznał tę kobietę i nie zdążył odwrócić wzroku, aby ukryć że ją poznał, ona zaś zauważyła jego wahanie i zapewne umocniła się w swoim domysle.

To była żona więźnia Nierżyna, Klimentiew widywał ją w czasie widzeń na Tagance.

Sposępniała, odwróciła wzrok, ale potem znowu spojrzała na Klimentiewa. Patrzył już na ścianę tunelu, ale kątem oka wyczuwał przecie, jak ona mu się przygląda. I wtedy kobieta szybko podniosła się z miejsca i przysunęła do niego tak, że zmuszony był znów na nią spojrzeć.

Podniosła się z miejsca pełna zdecydowania, ale zaraz tę stanowczość utraciła. Gdzieś podziiała się niezależność samowystarczalnej kobiety jadącej sobie metrem i tak to z boku wyglądało, jakby ze swoją ciężką teczką chciała ustąpić miejsca podpułkownikowi. Ciężko na niej złowrogie fatum wszystkich żon więźniów politycznych, to znaczy żon wrogów ludu — gdziekolwiek by się zwróciły, dokądkolwiek by poszły — jeśli tylko wiedziano tam czyimi są żonami — wszędzie wlokła się za nimi niezmyta hańba, którą okryci byli mężowie, w oczach ogółu padała na nie jakby część okropnych win jednego z tych zbrodniarzy, którym niegdyś ludzie nieostrożnie zaufali swoje losy. I kobiety te poczęły naprawdę uważać się za współwinne, do czego sami owi wrogowie ludu — ich udręczeni mężowie — wcale się nie poczuwali.

Przysunawszy się tak, aby im łoskot kół nie przeszkadzał, kobieta zapytała:

— Towarzyszu podpułkowniku, ja bardzo, bardzo przepraszam! Ale pan jest przecież... zwierchnikiem mojego męża? Chyba się nie mylę?

Przed Klimentiewem w ciągu wielu lat jego służby w więziennictwie stała już niejedna taka kobieta i nie było dla niego

nic osobliwego w ich nieśmiałym i pokornym wyglądzie. Ale tu, w metrze, chociaż pytanie miało formę bardzo ostrożną — przecież ta stojąca w proszałnej pozie kobieca postać budziła wręcz zażenowanie.

— Dlaczego... dlaczego pani wstała? Proszę siadać, proszę siadać — mówił czując skrępowanie i próbując pociągnąć ją za rękaw w stronę ławki.

— Nie, nie, to nie ma znaczenia! — powiedziała patrząc cały czas na podpułkownika bez mrugnienia, jak urzeczona. — Proszę tylko powiedzieć dlaczego już cały rok nie mam wi... nie mogę go zobaczyć? Kiedy będzie mi wolno, proszę mi powiedzieć?

Ich spotkanie było wynikiem takiego samego przypadku, jak trafienie jednym ziarnkiem piasku w drugie z czterdziestu kroków. Przed tygodniem Zarząd Więziennictwa Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego nadesłał między innymi także zezwolenie dla więźnia Nierżyna na widzenie się z żoną w niedzielę dwudziestego piątego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku w więzieniu na Lefortowie. Ale zezwolenie zaopatrzone było w uwagę, że na adres „poste-restante”, jak prosił o to więzień, zawiadomienia o widzeniu żonie posyłać się zabrania.

Właśnie wtedy Nierżyn został wezwany i zapytano go o właściwy adres żony. Wyduślił z siebie, że nie zna go. Klimentiew nawykły do stosowania regulaminowej zasady więziennej, by nigdy skazanym prawdy nie ujawniać — nie spodziewał się wcale szczerości z ich strony. Nierżyn, ma się rozumieć, znał adres, ale nie chciał powiedzieć i było oczywiste, z jakiej przyczyny nie chciał — z tej samej, dla której Zarząd Więziennictwa nie uznawał adresu „poste-restante”: zawiadomienia o widzeniach wysyłane były na kartach pocztowych. Było tam napisane: „Zezwala się wam na widzenie z waszym mężem w takim a takim więzieniu”. Nie dość, że adres żony podlegał rejestracji w Ministerstwie Bezpieczeństwa — ministerstwo starało się nadto, ażeby jak najmniej było amatorów takich kartek pocztowych, żeby wszyscy sąsiedzi wiedzieli, kto jest żoną wroga ludu, żeby takie żony były demaskowane, izolowane, żeby czuły dookoła siebie reakcję zdrowej opinii społecznej. Żony tego się właśnie bały. A żona Nierżyna nosiła nawet inne nazwisko. Wyraźnie ukrywała się przed Bezpieczeństwem. I Klimentiew oznajmił wtedy Nierżynowi, że wobec tego widzenie się nie odbędzie. I wcale nie wysłał zawiadomienia.

A teraz ta kobieta zerwała się w tak żenujący sposób i stała

przed nim, podczas kiedy sąsiedzi już przyglądali się im w milczeniu.

— Nie wolno pisać na poste-restante — powiedział takim głosem, żeby tylko ona usłyszeć mogła wśród łoskotu. — Trzeba podać adres.

— Ale ja wyjeżdżam! — powiedziała z żywością i twarz jej zmieniła wyraz. — Ja niedługo wyjeżdżam i nie mam już stałego adresu — kłamała prawie otwarcie.

Klimentiew zamierzał już wyjść na najbliższym przystanku, a jeśli ta kobieta za nim pójdzie, to w hali stacyjnej, gdzieś, gdzie ludzi będzie mniej, wyjaśnić, że takie rozmowy na terenie pozasłużbowym uważa za niedopuszczalne.

Żona wroga ludu zdawała się nie pamiętać o swojej niezmażanej winie! Patrzyła podpułkownikowi w oczy suchym, gorącym, proszącym, niepoczytalnym wzrokiem. Klimentiewa zdumiało to spojrzenie — jakaż to siła przykuła ją z taką stałością i z taką beznadziejnością do człowieka, którego latami przecież nie widuje i który rujnuje tylko całe jej życie?

— To mi jest bardzo, bardzo potrzebne! — zapewniała, goniąc rozszerzonymi oczyma za śladem wahania na twarzy Klimentiewa.

Podpułkownik przypomniał sobie o papierze leżącym w ogniotrwałej kasie specwięzienia. Dokument ten, stanowiący rozwinięcie „dekretu o konsolidacji zaplecza”, był nowym ciosem w rodziny przestępców, uchylające się od podawania swoich adresów. Treść tego papieru — według propozycji majora Myszyzna — miano zakomunikować więźniom w poniedziałek. Ta kobieta będzie mogła zobaczyć męża tylko jutro i ostatnie to będzie widzenie, jeżeli dalej adresu nie zdradzi. Jeżeli zaś jej teraz powie, to formalnie żadne zawiadomienie nie było wysłane, przez dziennik nie przeszło, ona zaś zjawi się w Lefortowie niby przypadkiem.

Kolejka zaczęła zwalniać.

Wszystkie te myśli przemknęły przez głowę podpułkownika Klimentiewa bardzo szybko. Wiedział, kto jest największym wrogiem każdej kobiety — ona sama. Ludzie nie potrafią milczeć, nawet gdy chodzi o ich własny, ostatni ratunek. Zdarzało się już w czasie jego kariery, że okazywał komuś głupią ustępliwość, że pozwalał na coś, co było wzbronione, i nikt by nigdy o tym nie wiedział, gdyby nie rozgadali właśnie ci sami, którzy korzystali z chwili jego słabości.

Nie wolno było ustępować i w tym wypadku!

Jednakże w takt zamierającego stukotu pociągu, widząc już

migające za oknami kolorowe marmury stacji, Klimentiew powiedział do kobiety:

— Macie pozwolenie na widzenie. Bądźcie jutro o dziesiątej rano...

Nie powiedział „w Lefortowskim więzieniu”, bo pasażerowie już ich otoczyli przed wyjściem — Lefortowski Wał, wiecie gdzie to jest?

— Wiem, wiem — radośnie kiwnęła głową.

I nie wiadomo skąd w jej oczach, całkiem dotąd suchych, zebrało się pełno łez.

Broniąc się tym łzom, wyrazom wdzięczności i wszelkim innym bzdurom, Klimentiew wyszedł na peron, aby przesiąść się do następnego pociągu tej samej linii.

Sam był zdziwiony i zagniewany, że tak mu się to powiedziało.

Podpułkownik kazał Nierżynowi odczekać swoje w korytarzu sztabu więziennego, bo Nierżyn w ogóle był więźniem zuchwałym i lubił dochodzić swoich praw.

Przewidywania podpułkownika sprawdziły się: po długim wyczekiwaniu w korytarzu Nierżyn nie tylko stracił nadzieję, że pozwoli mu na widzenie, ale, nawykły do wszelkich klęsk, oczekiwał już tylko jakiegoś nowego kłopotu.

Tym bardziej zaskoczyła go wiadomość, że za godzinę jedzie na widzenie. Zgodnie z kodeksem surowej więźniarskiej etyki, którą sam wszędzie wszczepiał, nie należało okazać żadnej radości, ani nawet ukontentowania, tylko obojętnie poinformować się o której godzinie trzeba być gotowym — i wyjść. Ale przeskok był tak nagły, a radość tak ogromna, że Nierżyn nie wytrzymał, cały się rozpromienił i z całego serca podziękował pułkownikowi.

Podpułkownik nawet brwią nie ruszył.

I zaraz poszedł instruować strażników, jadących w eskorcie.

Instruktaż przewidywał: przypomnienie o znaczeniu i szczególnej tajności ich obiektu; wyjaśnienie, jak zapamiętałymi przestępcami są zdrajcy stanu jadący dzisiaj na widzenie; podkreślenie, że ich jedynym, najgłębszym życzeniem jest wykorzystanie tego widzenia dla przekazania tajemnic państwowych, z którymi mają styczność — wprost do Stanów Zjednoczonych, a to z pomocą żon (sami strażnicy nawet najpobieżniej się nie orientowali, co właściwie jest przedmiotem badań w czterech ścianach laboratoriów i łatwo było wzbudzić w nich zabobonny strach, że świstek papieru, przemycony stąd na zewnątrz, może doprowadzić do zguby cały kraj). Dalej następowało wyliczenie schowków, które aresztanci najczęściej sobie robią w odzieży

i obuwiu, oraz sposobów ich wykrywania (odzież, nawiasem mówiąc, wydawano w ostatniej godzinie przed widzeniem; była to odzież specjalna, na pokaz). Następnie, przy pomocy odpowiednich pytań trzeba było sprawdzić, czy dobrze została zapamiętana instrukcja dotycząca rewizji; i wreszcie omawiane były w formie przykładów tematy, jakich dotyczyć może rozmowa podczas widzenia, metody jej podsłuchiwania i konieczność jej przerywania, gdy tylko wyjdzie poza sprawy osobiste i rodzinne.

Podpułkownik Klimientiew znał regulamin i lubił porządek.

XXVII

ROBOT SIĘ GUBI

Nierżyn o mało nie przewrócił w półciemnym sztabowym korytarzu minora Nadielaszyna i pokłusował do mieszkalnej części więzienia. Wciąż jeszcze na jego karku wisiał pod rozchylonym waciakiem krótki, bawełniany ręcznik. Zgodnie z pewną zadziwiającą cechą ludzkiego charakteru, wszystko uległo w Nierżynie nagłemu przeobrażeniu. Jeszcze przed pięcioma minutami, kiedy czekał w korytarzu na wezwanie, całe jego trzydziestoletnie życie wydawało mu się bezmyślnym łańcuchem przygnębiających klęsk, z których siły nie miał się wyłubować. Najgorszymi z tych klęsk były, jak to teraz widział — tak prędkie pójście na wojnę, zaraz po ślubie, a później areszt i tyloletnia już rozłąka z żoną. Wzajemna miłość, która go z żoną łączyła, wydawała mu się z całą oczywistością uczuciem tragicznym, skazanym na podeptanie.

Ale teraz dowiedział się, że w południe będzie miał widzenie — i całe trzydziestoletnie jego życie stanęło przed nim w nowym słońcu: życie naprężone, jak cięciwa; życie pełne sensu w ogóle i w każdym szczególe; życie rozpięte między jednym szaleńczym darem fortuny a drugim, gdzie najbardziej nieoczekiwanymi stopniami do celu były — pójście na wojnę i areszt, i tyloletnia już rozłąka z żoną. Pozornie nieszczęśliwy — dla niewtajemniczonych, Gleb był w głębi ducha szczęśliwy wśród swoich klęsk. Pił z nich, jak ze źródła, poznawał tu takich ludzi i takie wypadki, których nigdzie indziej na świecie nie można było poznać — w każdym razie, nie wśród spokojnej sytości zamkniętego ogniska rodzinnego. Od wczesnej młodości Gleb najbardziej się bał, że ugrzęźnie w piaskach powszedniego bytowania. Jak mówi przysłowie: Prędzej w kałuży się tonie, niż w morzu.

I na pewno wróci do żony! Przecież ich więź duchowa nie jest zerwana! Widzenie! Właśnie w same urodziny! Akurat po

wczorajszej rozmowie z Antonim! Może już nigdy więcej mu nie dadzą widzenia, ale to dzisiejsze jest najważniejsze! Myśli eksplodowały i śmigały, jak strzały ogniste: żeby tylko o tym nie zapomnieć! I żeby jeszcze tamto powiedzieć! I tamto! i jeszcze tamto!

Wbiegł do półkolistej celi, po której więźniowie snuli się w ciągłym hałasie; jedni wracali ze śniadania, inni dopiero szli się myć, a Walentula siedział w samej bieliźnie, odrzucił kołdrę, wymachiwał rękoma i ze śmiechem opowiadał o swojej rozmowie z nocnym dygnitarzem, który, jak to się później wyjaśniło był, ni mniej ni więcej, tylko ministrem. Dobrze byłoby wysłuchać opowiadania Walentuli! — Nierzyn przeżywał tę wspaniałą chwilę, kiedy coś rozsadza od środka grającą klatkę zeber, kiedy zdaje się człowiekowi, że stu lat nie starczy, żeby wszystko zacząć od nowa. Ale nie wolno było przepuścić śniadania; więziarska dola wcale nie zawsze szafuje takimi darami, jak śniadanie. Ponadto opowiadanie Walentuli zbliżało się do niesławnego swojego końca: cela już wydała wyrok, że jest z niego zdziwa i pętaczyna, bo nie powiedział ministrowi, czego więźniom najbardziej potrzeba. Teraz wyrwał się i pisał, ale z pięciu oprawców-ochotników ściągnęło już z niego kalesony i przy akompaniamencie ogólnego pohukiwania, krzyku i chichotu gonili go po całej izbie łojąc paskami i polewając z łyżek gorącą herbatą.

Na dolnym posłaniu, w przejściu między środkiem izby a centralnym oknem, pod koją Nierzyna a naprzeciw pustej teraz koi Walentuli, pił swoją poranną herbatę Andrzej Potapow. Patrząc jak wszyscy się bawią, śmiał się do łez, ocierając je okularami. Łóżko Potapowa było już w chwili pobudki zasłane w formie prostokątnego graniastopuła z ostrymi kantami. Chleb do herbaty smarował masłem bardzo cienko: niczego sobie nie dokupywał w kantynie więziennej, odsyłając wszystkie zarobione pieniądze swojej „starej”. (Płacili mu w proporcjach *szaraszki* nawet sporo — sto pięćdziesiąt rubli miesięcznie, trzy razy mniej, niż pobierała wolna sprzątaczką, a to dlatego, że był niezastąpionym fachowcem i cieszył się uznaniem zwierzchności).

Nierzyn już przy wejściu zdjął waciak, rzucił go na górę, na swoją pościel — wciąż jeszcze nie zasłaną, przywitał się z Potapowem, ale nie dosłuchał już jego odpowiedzi, bo pobiegł na śniadanie.

Potapow był właśnie tym inżynierem, który zeznał na śledztwie, podpisał w protokole i przyznał się przed sądem, że osobiście i za psie pieniądze sprzedał Niemcom pierwotne dziecko stalinowskich pięciolatek — Dnieprogres, co prawda

— już po wysadzeniu go w powietrze. I za tę niesłychaną, nie mającą sobie równych zbrodnię, jedynie dzięki humanitarnej łaskawości trybunału Potapow dostał tytułem kary tylko dziesięć lat więzienia oraz pięć lat późniejszego pozbawienia praw, co w języku więziennym nosiło nazwę: *dycha i piątka na przytarcie rogów*.

Nikomui, kto znał Potapowa w młodości, tym bardziej zaś — jemu samemu nie mogłoby nawet przyśnić się, że zostanie po czterdziestce wsadzony do więzienia za politykę. Przyjaciele Potapowa z całą słuszością nazywali go robotem. Na życie Potapowa składała się jedynie praca. Nawet trzydniowe ferie świąteczne męczyły go, urlop zaś wziął tylko raz w życiu — kiedy miał się żenić. W pozostałych latach jakoś nie można było znaleźć dla niego zastępstwa, więc chętnie zrzekał się urlopu. Kiedy były trudności z chlebem, z warzywami, czy z cukrem — Potapow mało zwracał uwagi na te odległe sprawy; robił sobie w pasie jeszcze jedną dziurkę, zaciskał go mocniej i zajmował się dalej jedyną w świecie kwestią interesującą — prądami wysokiego napięcia. Potapow — to nie żarty — bardzo mętnie wyobrażał sobie tych wszystkich innych, którzy zajmowali się cokolwiek poza prądami wysokiego napięcia. Tych zaś, którzy do niczego rąk nie przykładali, tylko zarabiali na swój chleb pyskowaniem, Potapow w ogóle nie miał za ludzi. Kierował wszystkimi rodzajami pomiarów elektrycznych na Dnieprostroju, tam się też ożenił i życie żony, tak samo jak swoje własne, rzucił na nienasycony stos tej epoki.

W czterdziestym pierwszym roku budował już inną elektrownię. Potapow nie podlegał mobilizacji do wojska, był wyreklamowany. Ale dowiedziawszy się, że Dnieprogres, dzieło ich młodości, został wysadzony w powietrze, powiedział do żony:

— Katia! Trzeba jednak iść.

Ta odpowiedziała:

— No tak, Andrzeju, idź!

I Potapow poszedł — w okularach ze szklami minus trzy, ze skręconym paskiem, w sfałdowanej, pomarszczonej bluzie, z pustą kaburą, chociaż miał na kołnierzu jeden *kubik*¹ — w drugim roku wojny, do której tak starannie się przygotowywano, nie starczyło broni dla oficerów. Pod Kastorną, w dymach z palącego się żyta, w lipcowej spiekocie, Potapow trafił do niewoli. Z niewoli uciekł, ale zanim mu się udało dotrzeć do swoich — złapano go po raz drugi. I uciekł jeszcze

1. Czerwony, emaliowany kwadracik oznaczający młodszego lejtnanta w okresie przed przywróceniem epoletów i gwiazdek.

raz, ale wśród pustego pola prosto na głowę spadł mu desant spadochronowy — i tak dostał się do niewoli po raz trzeci (za każdym zaś razem miał puste ręce).

W ten sposób przeszedł przez ludożercze obozy w Nowogrodzie Wołyńskim i w Częstochowie, gdzie żarło się korę drzewną, trawę i ciała zmarłych towarzyszy. Z takiego właśnie obozu Niemcy zabrali go nagle i przywieźli do Berlina, a tam pewien jegomość (greczny, ale „kawał drania”), znakomicie władający rosyjskim, zapytał, czy to możliwe, że ma do czynienia z tym sławnym inżynierem Potapowem z Dnieprostroju? Czy może on na dowód tego narysować, no, powiedzmy, schemat połączeń tamecznego generatora?

Schemat ów był kiedyś publikowany i Potapow narysował go bez wahania. Później, w czasie śledztwa sam to opowiedział, chociaż mógł wcale nie mówić.

To nazywało się w jego sprawie „zdradą tajemnic Dnieprogresu”. Do sprawy nie zostały jednak włączone dalsze wypadki: tajemniczy Rosjanin, przekonawszy się w ten sposób o tożsamości Potapowa, zaproponował mu podpisanie dobrowolnego oświadczenia o chęci odbudowy Dnieprogresu — za co miał natychmiast być zwolniony z obozu, otrzymać kartki żywnościowe, pieniądze i skierowanie do ulubionej pracy.

Gdy siedział nad tym kuszącym arkusikiem papieru, cień ciężkiej myśli przesunął się przez pooraną już zmarszczkami twarz robota. I nie bijąc się w piersi, nie wydając patetycznych okrzyków, nie zamierzając wcale zostać pośmiertnie bohaterem Związku Sowieckiego — Potapow skromnie powiedział ze swoim południowym akcentem:

— Widzi pan, składałem przecież przysięgę. Jeżeli to podpiszę — to będzie jednak sprzeczność, co?

W ten oto spokojny, pozbawiony teatralności sposób Potapow wybrał śmierć, mogąc wybrać dostatnie życie.

— Cóż, pańskie przekonania są godne szacunku — powiedział tajemniczy Rosjanin i kazał odesłać Potapowa do ludożerczego obozu.

Za to już sowiecki sąd Potapowa nie sądził, tylko dał mu w sumie dziesięć lat.

Inżynier Markuszew natomiast podpisał takie oświadczenie i zgodził się współpracować z Niemcami — za co sąd dał mu także dziesięć lat.

Poznawało się w tym rękę Stalina! — W tym pełnym rozmachu zrównaniu przyjaciół z wrogami, które zapewniło mu osobne miejsce w całych ludzkich dziejach!

I jeszcze za to Potapow nie był sądzony, że w czterdziestym

piątym roku, siedząc na skorupie sowieckiego czołgu ciągle w tych samych swoich popękanych i powiązanych drutem okularach, wdarł się do Berlina z automatem w rękę.

Tak oto Potapow wykręcił się sianem, otrzymawszy tylko dychę i piątkę na przytarcie rogów.

Nierżyn wrócił ze śniadania, zszedł buty i wdrapał się na górę, kołyszając zarówno własną koją, jak łóżkiem Potapowa. Zabierał się teraz do wykonania codziennego swojego ćwiczenia akrobatycznego: miał zaścielić łóżko bez jednej zmarszczki stojąc nogami na pościeli. Ale kiedy odrzucił poduszkę, znalazł pod nią papierośnicę z ciemno-czerwonej, przezrystej masy plastycznej, wypełnioną ciasno ułożonymi w jeden rząd dwunastu papierosami „Bielomorkanał” i owiniętą paskiem zwykłego papieru, na którym drukowanymi literami napisane było:

*Tak oto spędził dziesięć lat
i stracił swej młodości kwiat.*

Nie można się było omylić. Jeden tylko Potapow łączył tu w sobie wybitne rzemieślnicze talenty ze zdolnością do cytowania całego „Eugeniusza Oniegina”, którą wyniósł jeszcze z gimnazjum.

— Andreicz! — Gleb zwiesił głowę ze swojej koi.

Potapow już skończył swoją herbatę, rozwinął gazetę i czytał ją nie kładąc się, aby nie pognieść pościeli.

— No, co się stało? — mruknął.

— Przecież to pańska robota!

— Nie mam pojęcia. Znalazł pan? — i powściągnął uśmiech.

— Andre-icz! — przeciągnął Nierżyn — przecież marzyłem o tym!

Zmarszczki pocziwej przebiegłości pogłębiły się i wydłużyły na twarzy Potapowa. Poprawił okulary i powiedział:

— Kiedy siedziałem na Łubiance we dwójkę z księciem Esterhazym, wynosząc, jak pan może sobie wyobrazić, kibel w dni parzyste, a on w nieparzyste i ucząc go rosyjskiego według „Regulaminu więziennego” na ścianie — podarowałem mu na urodziny trzy guziki z chleba — bo mu poobcinali wszystkie, co do jednego — i wtedy mi przysięgał, że nawet od nikogo z Habsburgów nigdy nie dostał prezentu bardziej na czasie.

Głos Potapowa figurował w „Klasyfikacji głosów” jako „głuchy z trzaskami”.

Z głową wciąż zwieszoną w dół Nierżyn patrzył ciepłym wzrokiem na prostacką nieco, szarawą twarz Potapowa. W okularach wyglądał na swoje czterdzieści pięć lat, nie więcej i spr-

wiał nawet wrażenie człowieka energicznego. Ale kiedy zdejmował okulary — stawały się wtedy widoczne głębokie, ciemne oczodoły, zapadłe niemal jak u umarłego.

— Andreicz, ale jakoś mi nieporęcznie. Przecież nie mogę panu podarować niczego podobnego w zamian, nie mam takich złotych rąk... Jak pan też zapamiętał, że dziś moje urodziny?

— No, no — odparł Potapow. A jakież to jeszcze wyjątkowe daty zostały nam w życiu do zapamiętania?

Obaj westchnęli.

— Może herbaty? — zaproponował Potapow. — Mam specjalną esencję.

— Nie, nie mam głowy do herbaty, zaraz mam widzenie.

— Świetnie! — ucieszył się Potapow. — Ze staruszką?

— Aha.

— Najwyższy czas. Ależ Walentula, dosyć tego hałasowania nad samym uchem!

— A jakie prawo ma jeden człowiek do znęcania się nad innym człowiekiem?...

— Andreicz, co w gazecie? — zapytał Nierżyn.

Potapow zmrużył oko, jego twarz przybrała wyraz chachłackiej drwiny. Chytrze zerknął w górę na zwieszoną głowę Nierżyna:

*Brytyjska muza sen dziewoi
Banialukami niepokoi...*

Cztery lata już minęły od czasu, jak Nierżyn i Potapow spotkali się w hałaśliwej, niespokojnej, zatłoczonej i nawet w lipcowe dni półmrocznej celi w Butyrkach; było to drugie lato po wojnie. Krzyżowały się tam naówczas kolorowe drogi życiowe, szlaki najróżniejsze. Przechodzili przez tę celę nowicjusze z dalekiej Europy. Przechodzili przez celę zatwardziali rosyjscy jeńcy, którzy dopiero co zdążyli zamienić niemiecką niewolę na ojczyście więzienie. Przechodzili przez celę zahartowani w łagrach wyjadacze, których z jakichś GUŁagów przesyłano do szarazkowych oaz. Zaraz po wejściu do celi Nierżyn wpęłzył tylnym przejściem pod nary (były tak niskie, że nie można było wleźć pod nie na czworakach, tylko trzeba było czołgać się po trapersku) i tam, na brudnej asfaltowej podłodze, nie rozejrzawszy się jeszcze w ciemnościach, zapytał wesoło:

— Kto ostatni w kolejce, przyjaciele?

I głos głuchy, jak z pękniętego garnka, odpowiedział mu:

— Ku-ku! Proszę ustawiać się za mną.

Później, dzień po dniu, w miarę tego, jak brano ludzi z celi do transportów, przesuwali się pod narami „od kibla do okna”

i wreszcie po trzech tygodniach zaczęli przesuwac się z powrotem, „od okna do kibla”, ale już na narach. A jeszcze później po górnych narach przesuwali się znowu w stronę okna. Tak połączyła ich przyjaźń, nie baczac na różnicę wieku, życiorysów i zamiłowań.

Tam też, w trakcie wielomiesięcznych, długich rozmyślań po wyroku, Potapow przyznał się Nierżynowi, że nigdy w życiu nie zainteresowałby się polityką, gdyby sama polityka nie zaczęła gniesć i łamać mu żeber.

Tak oto, pod narami butyrskiego więzienia robot po raz pierwszy poczuł, że się gubi, co, jak wiadomo, jest dla robotów nie wskazane. Nie, dalej wcale nie żałował, że odtrącił niemieckie dostatki, nie żał mu było trzech lat spędzonych w głodzie w morderczej niewoli. I po dawnemu uważał za wykluczone, aby cudzoziemcy mieli być sędziami naszych wewnętrznych trosk.

Ale iskra zwątpienia została w nim posiana i wciąż się tliła. Nie mógł w żaden sposób zrozumieć, jaki związek miało zbudowanie przez ludzi Dnieprogresu — i wsadzanie ich potem do więzień nie wiadomo za co...

XXVIII

SZTUKA CEROWANIA SKARPETEK

Za pięć dziewiąta w celach specwięzienia odbywał się apel. Operacja ta, trwająca w łagrach całymi godzinami, ze staniem zeków na mrozie, z przepędzaniem ich z miejsca na miejsce, z liczeniem to pojedynczo, to piątkami, to secinami, to znów brygadami — tu, w *szaraszce*, miała przebieg szybki i bezbolesny: więźniowie pili herbatę przy swoich nocnych stolikach, dwóch dyżurnych oficerów — kończąc dyżur i obejmujący go z kolei — wchodziło do izby, więźniowie wstawali (poniektórzy zaś nie wstawali), nowy dyżurny w skupieniu rachował głowy, następnie ogłaszano nowe zarządzenia i niechętnie wysłuchiowano skarg.

Obejmujący dziś dyżur w więzieniu starszy lejtnant Szusterman był mężczyzną wysokim, czarnowłosym i nie tyle ponurym, co nigdy nie okazującym żadnych ludzkich emocji, jak przystoi klucznikom wysokiej klasy. Razem z Nadielaszynem przysłano go tu z Łubianki dla wzmożenia więziennej dyscypliny. Kilku tutejszych zeków pamiętało z Łubianki ich obu. W randze chorążych¹ obaj służyli jakiś czas jako *wyprowadzający*, to znaczy brali aresztanta stojącego już twarzą do ściany obok drzwi swojej celi i przeprowadzali go po sławetnych *wytartych stopniach* na półpiętro między czwartą a piątą kondygnacją (było tam przebite przejście z więzienia do korpusu śledczego i przez ten przełaz już od przeszło trzydziestu lat prowadzono po kolei wszystkich więźniów centralnego więzienia: kadetów, eserów, anarchistów, monarchistów, październikowców, mieńszewików, bolszewików, Sawinkowa, Jakubowicza, Kutiepo-wa, Ramzina, Szulgina, Bucharina, Rykowa, Tuchaczewskiego, profesora Pletniewa, prezesa Akademii Nauk Wawiłowa, feld-

1. Po rosyjsku — starszyna. W polskiej hierarchii rang wojskowych ten najwyższy rosyjski stopień podoficerski znalazł nieścisły odpowiednik w stopniu chorążego.

marszałka Paulusa, generała Krasnowa, uczonych światowej sławy i początkujących poetów, naprzód — samych tych zbrodniarzy, następnie — ich żony, wreszcie — ich córki); doprowadzali ich potem do nie mniej słynnego stołu, gdzie w grubej Księdze Rejestracji Przeznaczeń każdy wchodzący tu aresztant musiał podpisać się przez okienko wycięte w arkuszu blachy, nie widząc ani poprzedzającego, ani następującego po nim nazwiska; później wchodzili z nimi po schodach, przy czym luk klatki schodowej miał na wysokości każdej kondygnacji naciągniętą siatkę drucianą, jak w cyrku przy salto-mortale, co zabezpieczało przed próbami samobójstwa; potem prowadzili ich bardzo, bardzo długimi korytarzami ministerstwa, gdzie duszno było od elektrycznego światła i zimno — od złotego blasku pułkownikowskich epoletów.

Więźniów śledczych żarła wtedy pierwsza rozpacz, jednak szybko dostrzegali różnicę — Szusterman (nazwiska jego wówczas, rzecz jasna, nie znali) rzucał na nich mroczne błyskawice spod zrośniętych, gęstych brwi, wpijał się w łokieć aresztanta, jakby miał szpony, i po grubiańsku ciągnął go, tracącego prawie dech, po schodach na górę. Księżycowy zaś Nadiełszyn, wyglądający trochę na rzezańca, kroczył sobie z boku, nawet człowieką nie dotykając, i grzecznie uprzedzał, gdzie trzeba skrócić.

Za to dzisiaj Szusterman, chociaż młodszy, miał już trzy gwiazdki na epoletach.

Nadiełszyn obwieścił: ci, co jadą na widzenie, mają zameldować się w sztabie o dziesiątej rano. Na pytanie, czy będzie dzisiaj film, odparł, że nie będzie. Rozległy się szemrania, ale z kąta odezwał się Chorobrow:

— Jeżeli takie gówno, jak „Kubańscy kozacy”, to niech lepiej wcale nie pokazują.

Szusterman szybko odwrócił się i zdążył zauważyć, kto mówi, przez co stracił rachubę i musiał zacząć na nowo liczyć.

W zupełnej ciszy ktoś powiedział szeptem, ale wyraźnie:

— No to koniec, już mu wpisali do akt.

Chorobrow (górną wargą mu drgała) odparł:

— A prac ich mać, niech piszą. Na mnie tyle już ponawypisywali, że nie mieści się w tece.

Inżynier Adamson, siedzący na sąsiednim łóżku w swoich dużych, kwadratowych okularach, zapytał:

— Obywatelu młodszy lejtnancie! Robiliśmy starania o choinkę. Będzie więc, czy nie?

— Będziecie mieli choinkę! — odparł minor i widać było, że samemu jest mu przyjemnie. — O, właśnie tu postawimy, w półkolistej.

— To już można robić ozdoby? — krzyknął z górnej koi wesoły Ruśka. Siedział tam, na górze, po turecku, postawił na poduszce lustro i wiązał sobie krawat. Za pięć minut miał zobaczyć się z Klarą, która już weszła przez wartownię na dziedziniec, widział to przez okno.

— Trzeba będzie zapytać, nie mamy instrukcji.

— A na co wam tu instrukcje?

— Co to za choinka bez ozdób?... Cha-cha-cha-cha!

— Koledzy! Robimy gwiazdki i bombki!

— Spokój, dziecino! A jak tam z e s p r a w ą w r z ą t k u ?

— Minister już mu zaparzy!

Cała cela rozgadała się wesoło na temat choinki. Dyżurni oficerowie już odwrócili się i mieli wyjść, ale zawołał za nimi Chorobrow zagłuszając wszystkich swoim ostrym głosem z wiac-kim akcentem:

— Tylko tam zameldujcie, żeby choinkę nam postawiono przed prawosławnym Bożym Narodzeniem! Choinka — to Boże Narodzenie, a nie Nowy Rok!

Dyżurni wyszli udając, że nie słyszą.

Mówili prawie wszyscy naraz. Chorobrow czegoś tam jeszcze nie zdążył powiedzieć dyżurnym i teraz mełł to w milczeniu, pokrzywiając się komuś całą twarzą. Nigdy nie obchodził ani Godów, ani świąt Wielkanocnych, ale w więzieniu zaczął je świętować z samego ducha przekory. W czasie tych dni nie było przynajmniej ani nagłych rewizji, ani obostrzeń regulaminu.

Adamson dopił herbatę, przetarł swoje zamglone okulary w grubej, ebonitowej oprawie i powiedział do Chorobrowa:

— Ilia Terenticz! Zapominasz o drugim więziennym przykazaniu: n i e p o d s k a k u j.

Chorobrow rzucił na Adamsona twarde spojrzenie:

— To stare przykazanie, to wasza martwa fala go słuchała. Byliście potulni, to i wygubili was wszystkich.

Zarzut był właśnie niesprawiedliwy. Ci bowiem, których zamknięto razem z Adamsonem, kierowali strajkami na Workucie. Ale ich koniec był taki sam, bez różnicy. Nie było sensu wyjaśniać tego właśnie teraz. Przykazanie zaś — to przykazanie też wymyśliły sobie następne fale.

— Będziesz się awanturować, to cię stąd wyślą — Adamson wzruszył tylko ramionami — do jakiegoś katorżnego łagru.

— A ja, kochany, właśnie o to się staram! Katorżny, to katorżny, prac ich mać, przynajmniej kompanię będę miał welszą. Może tam chociaż nie będzie kapusiów.

Spóźniający się dziś wszędzie Rubin, który nie dopił jeszcze nawet herbaty, stał ze swoją skudłaconą brodą obok prycz

Potapowa i Nierżyna. Mówił ciepłym tonem zadzierając głowę w stronę górnej pościeli:

— Serdeczne życzenia dla młodego Montaigne'a, dla mojego nieguły...

— Bardzo jestem wzruszony, Lewku, ale po co to...

Nierżyn klęczał na swoim pośłaniu i trzymał w ręku tekę na papiery. Teką była zrobiona po więziennemu — to znaczy najstaranniej w świecie, bo przecież więźniowi nigdzie się nie spieszy. Wnętrze teki, wyklejone angielskim płótnem koloru bordo, pełne było kieszonek, przedziałków, zatrzasków — i znakomitego papieru, jeszcze z łupów wojennych. Wszystko to wykonane było, rzecz jasna, w czasie pracy.

— A prócz tego, tu nie pozwalają pisać praktycznie nic poza donosami...

— I życzę ci... — wydatne, grube wargi Rubina wyciągnęły się w śmieszny ryjek — żeby sceptyczno-eklektyczny twój umysł poznał wreszcie światło prawdy.

— Ach, jaka tam prawda, chłopie! Bo to w ogóle można wiedzieć, co jest prawdą... — Gleb westchnął. Jego twarz, którą krzątania przed bliskim widzeniem już odmłodziła, znów teraz pokryła się popiołem zmarszczek. Płowe włosy opadły na skronie.

Na sąsiednim górnym pośłaniu, nad Priancykowem, łysy, tęgi inżynier, już niemłody, wykorzystywał ostatnie sekundy wolnego czasu na pośpieszną lekturę gazety, którą pożyczył od Potapowa. Rozwinął ją szeroko, odsunął od oczu i czytał marszcząc się niechętnie, poruszając czasem wargami. Gdy zaś w korytarzu rozdzwonił się gromko elektryczny dzwonek, inżynier ze złością złożył gazetę byle jak, załamując rogi:

— No i na diabła, urwana nać, pieprzą o pozycji mocarstwowej, bez przerwy o tej pozycji mocarstwowej? ...

I rozglądnął się, gdzie by tu cisnąć gazetę.

Olbrzymi Dwojetiosow, który w drugim końcu izby też zwiesił ze swojej koi wielkie, niezgrabne stopy, zapytał basem:

— A cóż to ty, Ziemiela, nie palisz się do władzy nad światem? Nie zależy ci?

— Niby ja? — zdziwił się Ziemiela, udając, że bierze pytanie na serio. — Eee, tam — uśmiechnął się szeroko — a to mi po co? Do chrzanu tarcia? Nie zależy!... — i zabrał się z postękiwaniem do złożenia na dół.

— No, to pójdziemy młócić słomę! — powiedział Dwojetiosow i całym ciężarem skoczył na podłogę, aż jęknęły deski.

Dzwonek brzęczał długo. Wzywał ludzi na niedzielną szychkę. Oznajmiał, że apel skończony i otwarte już są „carskie wrota”

instytutu, przez które szybko się przeciskał gęsty tłum zeków.

Większość już była w drodze. Doronin wybiegł pierwszy. Sołogdin, który zamykał okno przy wstawaniu i porannej herbacie, teraz znów je uchylił, zabezpieczył tomem Erenburga i szybko wyszedł na korytarz, aby nie przegapić momentu, w którym profesor Czełnow wyjdzie z „profesorskiej” celi. Rubin, który jak zwykle, nie zdążył rano zrobić niczego na czas, w pośpiechu odstawił do nocnej szafki to, czego już nie mógł zjeść i dopić (coś przy tym poprzewracał) i krzątał się koło swojej garbatej, rozkopanej, beznadziejnej pościeli, daremnie próbując tak ją ułożyć, aby go później nie wzywano do ponownego śłania.

Nierzyn zaś przebierał się w maskaradowy garnitur. Niegdyś, za dawnych czasów, zeki z szaraszki chodzili na codzień w przyzwoitych garniturach i płaszczach, jeździli też w nich na widzenia. Obecnie — poprzebierano ich w granatowe kombinezony, bo tak było wygodniej strażnikom (chodziło o to, aby wartownicy na wieżyczkach dobrze mogli odróżnić zeków od wolnych pracowników i wiedzieli, do kogo mają strzelać). Przed widzeniami zaś zwierchność więzienna kazała im się przebierać, wydając czyjeś, wcale nie nowe, garnitury i koszule, być może nawet — skonfiskowane przy sekwestrze majątku. Jednym zekom miło było, że chociaż raz są dobrze ubrani, nawet na tak krótko, inni na pewno woleliby uniknąć tego ohydneho przebierania się w odzież zabitych, ale w kombinezonach w ogóle nie chciano zabierać na widzenia: rodziny nie powinny być niczego złego pomyśleć o więzieniu. Odmówić zaś sobie widzenia z rodziną — nikt nie miał serca. Dlatego też przebierali się wszyscy.

Półkolista izba opustoszała. Zostało dwanaście par przyczpospawanych w dwie kondygnacje i zasłanych po szpitalnemu: z wykładaniem wierzchniego prześcieradła na koc, żeby cały kurz i brud prędeż w nie wchodził. Ten pomysł mógł zrodzić się tylko w urzędniczej — i to wyłącznie w męskiej — głowie, w domu by go nie zastosowała nawet żona samego wynalazcy. Wymagała tego jednak instrukcja więziennego nadzoru sanitarnego.

W pokoju zapanowała błogosławiona, tak rzadka tutaj, cisza, której nie chciało się mącić.

Czworo ich zostało w pokoju: przebierający się Nierzyn, Chorobrow, Adamson i łysy konstruktor.

Konstruktor należał do tych cichutkich zeków, którzy — mimo lat spędzonych w więzieniu — w żaden sposób nie potrafią nauczyć się więziennej czelności. Nigdy by nie ośmielił się odmówić udziału nawet w niedzielnej robocie, ale dziś śła-

bował jakoś, wziął specjalnie od więziennego lekarza zwolnienie — więc teraz na swojej pościeli rozłożył kupę dziurawych skarpetek, nici, grzybek własnoręcznie wykonany z tektury i ze zmarszczonym czołem namyślał się, od czego zacząć cerowanie.

Grzegorz Borysowicz Adamson, który w całym majestacie prawa już odwalił swoją dychę (nie licząc sześciu lat poprzedzającego ją zesłania) i wsadzony na następne dziesięć lat w trybie dokładki — nie żeby zupełnie odmawiał pracy w niedzielę, ale starał się tego unikać, o ile możliwości. Niegdyś, za komsomolskich czasów, nie można go było za uszy oderwać od udziału w woskriesnikach. Ale ta dobrowolna praca w dni wolne była rozumiana wtedy jako szturmowy wysiłek, konieczny dla rozruchu gospodarczego: roczek, drugi, myślano sobie, a wszystko się rozkręci i zacznie się ogólny rozkwit. Teraz zaś Adamson był jednym z nielicznych tutaj, którzy już odsiedzieli i przesiedzieli te straszne dziesięć lat w całej rozciągłości; wiedział, że to nie mit, nie majaczenie sędziów, nie anegdota, opowiadana aż do pierwszej amnestii, w którą zawsze nowicjusze wierzą — tylko calutkie dziesięć, i dwanaście, i piętnaście morderczych lat ludzkiego życia. Adamson dawno już nauczył się oszczędzać siły przy każdym ruchu, w każdej chwili wytchnienia. I wiedział, że najlepsza rzecz, jaką można zrobić w niedzielę — to leżeć nieruchomo w samej białiznie.

Teraz wyjął tomik, którym Sołogdin zaklinował okno, przymknął je, bez pośpiechu zrzucił kombinezon, włożył pod koc, podetkał go sobie starannie pod boki i nogi, przetarł okulary specjalną irchową szmatką, włożył do ust miętówkę, poprawił poduszkę i wydostał spod materaca jakąś opasłą książkę, obłożoną dla niepoznaki papierem. Wystarczyło spojrzeć na niego z boku — i już miał człowiek wrażenie przytulności.

Tymczasem Chorobrow się trapił. W niewesołej zadumie leżał w ubraniu na zasłanym łóżku opierając obute stopy na poręczy. Taki już miał charakter, że długo i ciężko gryzł się tym, co po innych spływało jak woda po gęsi. Co soboty, w zgodzie ze znaną zasadą zupełnej dobrowolności, wszyscy więźniowie, których nawet o to nikt nie pytał, trafiali do spisu niedzielnych ochotników, spis zaś szedł do więziennej kancelarii. Gdyby zgłoszenia były naprawdę dobrowolne, Chorobrow zgłaszałby się zawsze i chętnie, by wszystkie święta spędzać przy warsztacie. Ale właśnie dlatego, że zapisy te miały charakter jawnej kpiny — Chorobrow musiał teraz leżeć i kołowacieć w celi więziennej.

Zek w łagrze może tylko marzyć o tym, żeby przeleżeć całą

niedzielę pod ciepłym dachem, ale zeka z *szaraszki* przecież nie łupie w krzyżu.

Nie mógł znaleźć zupełnie nic do roboty. Wszystkie gazety, co do jednej, przeczytał jeszcze poprzedniego dnia. Na taborecie koło jego pościeli zwalone były na kupę otwarte i zamknięte książki z więziennej biblioteki. Jedna z nich była antologią szkiców publicystycznych najwybitniejszych pisarzy. Chorobrow poszukał artykułów Aleksego Nie-Tołstoja, jak nazywali go tu-tejsi żartownisie, i znalazł słowa pisane w czerwcu czterdziestego pierwszego roku: „Niemieckie żołdactwo, zmuszone do walki terrorem i ogarnięte szaleń, natknęło się na granicy na mur żelaza i ognia”. Zaraz odłożył książkę. Na swoich podmoskiewskich, świetnie urządzonych daczach, gdzie lodówki elektryczne zainstalowano jeszcze przed wojną, ci rządcy dusz pozwalali sobie na ton wszechwiedzącej wyroczeni, chociaż słuchali tylko radia i widzieli tylko swoje klomby. Półpiśmienny kołchoźnik wiedział o życiu więcej od nich.

Pozostałe książki należały do beletrystyki, ale Chorobrow nie chciał brać ich nawet do ręki. Jedną z nich był ostatni szlagier wydawniczy „Daleko od nas”², którym zaczytywano się na wolności. Ale po przeczytaniu ledwie paru stron, Chorobrow poczuł, że go mdli. Książka ta była jak pieróg bez nadziewki, jak pusta skorupa po jajku, przypominała wypchanego ptaka: mowa w niej była o budowie wykonywanej rękoma zeków i o łagrach, ale nigdzie nie nazwano tych łagrów po imieniu i nie powiedziano, że ci budowniczowie — to zeki, że dostają żreć z kotła i że wsadza się ich do karceru. Występowali w książce jako komsomolcy, dostatnio ubrani, dobrze obuci i pełni zapału. Jednocześnie doświadczony czytelnik mógł się zorientować, że sam autor zna się na rzeczy, że widział, że dotykał prawdy własną ręką, że może nawet był w obozie, kto wie, czy nie jako *oper* — ale że kłamie z zimną krwią i w żywe oczy.

Następna książka była wyborem pism znanego pisarza, Gałachowa, którego gwiazda stała teraz w zenicie literatury. Wyodróżniając go trochę spośród innych, czegoś jednak spodziewając się po nim, Chorobrow już się zabrał do czytania tego tomu, ale przerwał lekturę czując, że kpią tu sobie z niego, tak jak przy układaniu spisu ochotników do niedzielnej pracy. Nawet ten Gałachow, tak dobrze skądinąd umiejący pisać o miłości, w stanie jakiegoś paraliżu duchowego stoczył się aż do tej szeroko i nawet coraz szerzej stosowanej manieri pisania jakby

2. Chodzi o „Daleko od Moskwy” W. Ażajewa, zresztą byłego zeka.

nie dla ludzi, tylko dla głuptasków nic o życiu nie wiedzących i w tępej swojej naiwności radych każdej błyskotce.

Wszystko, co naprawdę wstrząsało, co szarpało ludzkie serca — w tych książkach było nieobecne. Gdyby nie wybuch wojny — wszyscy oni mieliby tylko jedno wyjście: pisanie panegiryków. Wojna dała im dostęp do prostych i powszechnie zrozumiałych ludzkich emocji. Ale nawet w tych okolicznościach podnosili oni do hamletowskich wyżyn jakieś zupełnie nierzezywiste, niemożliwe w życiu konflikty — na przykład, że komсомолец na tyłach wroga wysadza dziesiątkami w powietrze pociągi z amunicją, ale że nie ma go w spisie członków żadnej podstawowej organizacji, więc dniem i nocą dręczy go myśl, czy jest aby prawdziwym komсомолcem, bo wszak nie płaci składek członkowskich.

Miał jeszcze jedną książkę na taborecie — „Opowiadania postępowych pisarzy amerykańskich”. Opowiadań tych Chorobrow nie mógł przymierzyć do znanego sobie życia, ale dziwił go już sam ich dobór: w każdym z tych opowiadań musiało koniecznie tkwić jakieś paskudztwo o Ameryce. Te jady zebrane do kupy składały się na obraz tak koszmarny, iż można było tylko się dziwić, że Amerykanie jeszcze się nie rozbiegli na wszystkie strony albo nie powiesili wszyscy razem.

Nie było nic do czytania!

Chorobrow przypomniał sobie o paleniu. Wyjął papierosa i zaczął go gnieść palcami. W zupełnej ciszy słychać było, jak w jego palcach szeleści tego nabita tutka. Miał ochotę zapalić od razu, bez wychodzenia, tak jak leżał z nogami na poręczu. Więźniowie-nałogowcy wiedzą, że prawdziwą przyjemność daje papieros tylko wypalony na leżąco, na swoim kawałku nar, na swoim wagoniku — papieros palony nieśpiesznie, ze wzrokiem wbitym w sufit, po którym przepływają obrazy bezpowrotnej przeszłości i niezbadanej przyszłości.

Ale łysy konstruktor nie palił i nie lubił dymu, zaś Adamson, choć sam palił, był zwolennikiem fałszywej teorii, wedle której powietrze w izbie powinno być czyste. Mając dobrze wbita w głowę zasadę, że wolność zaczyna się od poszanowania cudzych praw, Chorobrow z westchnieniem opuścił nogi na podłogę i skierował się ku drzwiom. Zobaczył wtedy grubą książkę w rękach Adamsona i od razu uprzytomnił sobie, że nie ma takiej książki w bibliotece więziennej, to znaczy, że przyszła ona z wolności, a stamtąd złej książki nikt nie przyniesie.

Jednak nie tracąc kontroli nad sobą, Chorobrow nie zapytał głośno, jak byle frajer: „co czytasz?” albo „skąd to wziąłś?” (odpowiedź Adamsona mógł jeszcze usłyszeć konstruktor

albo Nierzyn). Podszedł tylko do Adamsona bardzo blisko i cicho zapytał:

— Grzegorz, daj no zerknąć na tytułik.

— No, zerkaj sobie — zgodził się Adamson bez entuzjazmu.

Chorobrow odwinął okładkę i przeczytał, cały wstrząśnięty: „Hrabia Monte Christo”.

Gwizdnął tylko.

— Borysycz — zapytał przymilnie. — Już ktoś na to czeka? Ja nie zdążę?

Adamson zdjął okulary i namyślił się.

— Zobaczmy. A ostrzyżesz mnie dzisiaj?

Więźniowie nie lubili odwiedzającego ich fryzjera-stachanowca. Ochotnicy z własnego grona strzygli ich nożyczkami szanując każdy kaprys i czynili to bez pośpiechu, bo nie tak prędko mieli opuścić więzienie.

— A od kogo wziąć nożyczki?

— Pożyczę u Zięby.

— Jak tak, to ostrzygę.

— Dobra. Tu można wyjąć parę arkuszy do sto dwudziestej ósmej, niedługo ci dam.

Widząc, że Adamson czyta sto dziesiątą, Chorobrow już w całkiem innym, wesołym nastroju wyszedł popalić na korytarz.

Gleba zaś wypełniał przed spotkaniem nastrój coraz bardziej świąteczny. Gdzieś daleko, zapewne w miasteczku studenckim na Stromynce, Nadia też się tak denerwuje w ostatniej godzinie przed widzeniem. W czasie widzenia zaczyna się gonitwa myśli, wypada ci z pamięci to, co chciałeś powiedzieć, trzeba to zaraz zapisać na papierku, powtórzyć, aż się zapamięta, paperek zniszczyć (nie wolno mieć przy sobie notatek) i pamiętać tylko, że osiem punktów, osiem — że chyba ten wyjazd; że koniec wyroku, to wcale nie koniec, bo jeszcze zesłanie, że...

Zszedł na dół do magazynu, żeby wyprasować g o r s. Gors był wynalazkiem Ruśki Doronina i wielu już go stosowało. Była to biała szmatka (z prześcieradła pociętego na trzydzieści dwie części, czego magazynier nie wiedział) z przyszytym do niej białym kołnierzykiem. Szmatki tej starczało tylko na tyle, żeby w dekolcie kombinezonu zasłonić spodnią koszulę z czarnym stemplem „MGB-Specwięzienie nr...”. Szmatka miała jeszcze dwa sznurki w dolnych rogach, które wiązało się na plecach. Ten gors pomagał zaspokoić ogólną potrzebę pozorów zupełnej pomysłowości. Łatwy w praniu, służył zekom wiernie na codzien i w święta i dzięki niemu nie było im wstyd przed wolnymi pracownikami instytutu.

Później, na schodach Nierzyn daremnie próbował przywrócić

blask swoim starym butom przy pomocy czyjegoś wyschniętego, pokruszonego szuwaksu (butów z okazji widzeń nie wydawano, jako że pod stołem nie było ich widać).

Kiedy zaś wrócił do pokoju, żeby się ogolić (brzytwy wolno było tu mieć, nie tylko żyletki, takie były kaprysy instrukcji), Chorobrow czytał już, jak urzeczony. Konstruktor swoimi przygotowaniami do cerowania ogarnął już nie tylko całe łóżko, lecz również część podłogi, kroił tam szmatki i wciąż je przekładał, robiąc znaki ołówkiem. Adamson zaś wychyliwszy trochę głowę zza książki przyglądał się temu z wysokości poduszki i takie dawał rady:

— Cerowanie tylko wtedy ma swój cel, kiedy robione jest sumiennie. Broń was Bóg przed formalnym stosunkiem do cerowania. Nie spieszcie się, kładźcie ścieg po ściegu równomiernie i każde miejsce przechodźcie na krzyż dwa razy. Do bardzo rozpowszechnionych błędów należy wykorzystywanie zbutwiałych nitek na skraju dziury. Nie trzeba śledziarskich oszczędności, nie ma co żałować wiszących strzępków, trzeba wyciąć dziurę dookoła. Znaie może takie nazwisko: Bierkałow?

— Co? Bierkałow? Nie.

— Jak to możliwe! Bierkałow — to stary inżynier, artylerzysta, wynalazca tych, może wiecie, dział BS-3, znakomite działa, dają szaloną szybkość początkową. Więc ten Bierkałow — też w niedzielę, także w jakiejś *szaraszce* — siedział i cerował skarpetki. A radio było włączone. „Generał-lejtnant Bierkałow otrzymał nagrodę stalinowską pierwszego stopnia”. Przed aresztowaniem był z niego tylko generał-major. A no, tak. Więc co robić, zacerował te skarpetki i zaczął smażyć sobie racuchy na maszynce elektrycznej. Tu wchodzi nadzorca, złapał go przy tej robocie, odebrał maszynkę, bo nie dozwolona, i napisał raport do naczelnika więzienia z wnioskiem na trzy doby karceru. A naczelnik właśnie wlatuje, jak by go kto gonił: „Bierkałow! Z r z e c z a m i ! Na Kreml! Kalinin wzywa!”...

Ot i macie rosyjskie losy...

XXIX

SZYBUJĄC POD PUŁAPEM

Znany w wielu *szaraszkach*, stary profesor matematyki Czełnow, piszący w rubryce „narodowość” nie „Rosjanin”, tylko z e k, i w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku mający obchodzić właśnie osiemnastą rocznicę uwięzienia, przyłożył ostrze swego ołówka do wielu odkryć technicznych — od kotła na grzewu bezpośredniego¹ do silnika odrzutowego, niektórym zaś z nich w ogóle oddał część swojej duszy.

Nawiasem mówiąc, profesor Czełnow utrzymywał, że wyrażenie — „oddać część duszy” powinno być używane z należytą ostrożnością, tylko z e k bowiem ma na pewno nieśmiertelną duszę, w o l n i a k o m zaś często nie dane jest jej mieć, z uwagi na czczość ich żywota. W przyjacielskiej, więźniarskiej pogwarce nad miską wystygłej sałamachy albo nad szklanką parującej czekolady Czełnow nie ukrywał, że koncepcję tę zapożyczył u Pierre Bezuchowa z „Wojny i Pokoju”. Kiedy go francuski żołnierz nie chciał przepuścić przez drogę, Pierre jak wiadomo powiedział ze śmiechem: — „Cha-cha! Nie przepuścił mnie ten żołnierz. Kogo? Mnie? Mojej duszy nieśmiertelnej nie przepuścił!”.

W marwińskiej *szaraszce* profesor Czełnow był jedynym z e k i e m, któremu wolno było nie nosić kombinezonu (w tej kwestii zwracano się osobiście do Abakumowa). Zasadniczą podstawą dla takiej ulgi było, że Czełnow nie zaliczał się do stałych z e k ó w Mawrina, był tu tylko przejazdem: jako niegdyśjszy członek-korespondent Akademii Nauk i dyrektor Instytutu Matematyki znajdował się w bezpośredniej gestii Berii i przerzucany był

1. Wynalazek Ramzina, dzięki któremu udało się ewakuacja przemysłu zachodniej Rosji w 1941 roku i jego uruchomienie za Uralem.

każdorazowo do tej *szaraszki*, w której miano do czynienia z najtrudniejszym i najpilniejszym problemem matematycznym. Gdy już znalazł jego rozwiązanie ogólne i wskazał metodykę dalszych prac, zaraz przenoszono go dokądś dalej.

Ale swojego prawa dowolnego wyboru ubrań profesor Czełnow nie wykorzystywał jak człowiek próżny: garnitur miał dość łychy, przy tym marynarka i spodnie były właściwie różnych kolorów; na nogach miał walonki; na głowę, porośniętą resztkami siwych, bardzo już rzadkich włosów, naciągał jakąś włóczkową szlafmycę, przypominającą już to czapkę łyżwiarską, już to damski czepek; szczególnie zaś charakterystyczny był jego dziwaczny, wełniany pled, też przypominający trochę kobiecą chustę, bo okręcał się nim podwójnie przerzucając przez barki na plecy.

Jednakże ten pled i ten czepek umiał Czełnow tak nosić, że czyniły one jego postać nie śmieszną, tylko majestatyczną. Podłużny owal twarzy, ostry profil, władczy ton, jakim rozmawiał z więzienną administracją, i jeszcze ten bladoniebieski kolor wyblakłych oczu, który właściwy jest tylko ludziom zdolnym do abstrakcyjnego myślenia — wszystko to dziwnie upodabniało Czełnowa do Kartezjusza albo jakiegoś wielkiego matematyka z epoki Odrodzenia.

Przysłano tu Czełnowa celem rozpracowania matematycznych podstaw aparatu do absolutnej szyfracji, to znaczy takiego przyrządu, który potrafiłby w mechaniczny sposób zapewnić włączanie i przełączanie mnóstwa przekaźników, tak z kolei zmieniających i tasujących porządek emisji impulsów głosowych, aby nawet setki ludzi z pomocą setek podobnych przyrządów nie mogły potem odcyfrować rozmowy właśnie nadawanej po drutach.

W biurze konstrukcyjnym próbowano z kolei znaleźć praktyczne możliwości zbudowania takiego przyrządu. Zajmowali się tym wszyscy konstruktorzy, wyjąwszy Sołogdina.

Zaledwie przyjechał tu z Inty, zaledwie się rozejrzał, Sołogdin zaraz wszystkim oznajmił, że pamięć jego osłabiona jest na skutek długiego głodowania, że zdolności uległy stępieniu i w ogóle ograniczone są od samego urodzenia, przeto podjąć się może tylko jakieś roboty pomocniczej. Mógł pozwolić sobie na taką śmiałość dlatego, że w Incie nie był skierowany do robót ogólnych, tylko miał dobre, inżynierskie stanowisko, więc nie bał się powrotu.

Nie odesłano go jednak z powrotem, chociaż można było, tylko zostawiono na próbę. Z głównego nurtu prac, gdzie panoowało napięcie, pośpiech, nerwowość, Sołogdin przepłynął takim sposobem do cichej bocznej odnogi. Nie świadczyło mu tam za bardzo, ale też i nie dokuczano, zwierzchność mało go kontro-

lowała, miał wystarczająco wiele wolnego czasu, toteż — bez nadzoru, w tajemnicy, wieczorami — zaczął swoim systemem pracować nad konstrukcją aparatu do absolutnej szyfracji.

Sołogdin był zdania, że wielkie koncepcje tworzyć mogą tylko samotne umysły w chwilach natchnienia.

I rzeczywiście, w ciągu ostatniego półrocza znalazł takie rozwiązanie, którego żadnym sposobem nie udawało się zyskać dziesięciu innym inżynierom, specjalnie wyznaczonym, ale bez ustanku popędzanym i skazanym na szarpaninę. Przed dwoma dniami Sołogdin dał swój projekt profesorowi Czełnowowi do przejrzenia — też nieoficjalnie. Teraz kroczył schodami w górę obok profesora, z szacunkiem podtrzymując go za łokieć w tłumie innych zeków i oczekując wyroku.

Ale Czełnow był zwolennikiem ścisłego rozgraniczania pracy i wypoczynku.

Na tym krótkim odcinku, który przebyli idąc wspólnie korytarzami i schodami, profesor ani słowem się nie zająknął na temat oceny, której tak zachłannie oczekiwał Sołogdin, tylko z uśmiechem opowiadał o porannej swojej przechadzce z Lwem Rubinem. Rubin, kiedy go nie puszczono do rąbania drzewa, zarecytował profesorowi swój wiersz na temat wzięty ze Starego Testamentu. W rysunku rytmicznym wiersza są wszystkiego jakieś dwa załamania, dużo świeżych rymów, na przykład „Izyda — i Żyda”, „Ozyrysa — o zarysach” i w ogóle trzeba powiedzieć, że wiersz jest niezły. Co zaś do treści, jest on balladą o tym, jak Mojżesz przez całe czterdzieści lat prowadził Żydów przez pustynię wśród wszelakich wyrzeczeń, o głodzie i pragnieniu, jak lud ten szalał i buntował się, ale nie miał racji, rację bowiem miał Mojżesz, który wiedział, że w końcu dotrą przecież do Ziemi Obiecanej. Rubin bez wątpienia napisał ten wiersz piórem maczanym we własnej udręce i chce mu nadać głębszy sens.

A co mu Czełnow odpowiedział?

Czełnow zwrócił uwagę Rubina na geografię marszu Mojżesza: od Nilu do Jerozolimy Żydzi mieli do pokonania nie więcej niż czterysta kilometrów drogi, to znaczy, że nawet biorąc pod uwagę wypoczynek sobotni, mieli możliwość swobodnego przejścia tej trasy w ciągu trzech tygodni! Czy nie należy więc sądzić, że przez ostatnie czterdzieści lat Mojżesz nie wiódł ich, tylko ich wodził tędy i owędy po Pustyni Arabskiej? No, a stąd płynie konieczność przewartościowania tego i owego...

Od cywilnego dyżurnego, który urzędował w instytucie przed drzwiami Jakonowa, profesor Czełnow wziął klucz od swego pokoju. Zaufanie takie okazywane było jeszcze tylko Żelaznej Masce — i więcej nikomu z więźniów. Ani jeden zek nie miał

prawa, choćby na sekundę, zostać w swoim pokoju do pracy bez nadzoru sprawowanego przez jakiegoś wolniaka, czujność bowiem kazała przypuszczać, że tę właśnie sekundę więzień na pewno by wykorzystał na włamanie się — przy pomocy ołówka — do kasy pancernej z tajnymi dokumentami, sfotografowanie ich za pośrednictwem guzika od spodni, na odpalenie bomby atomowej oraz odlot na księżyc.

Ale Czełnow pracował w izbie noszącej nazwę „Trustu Mózgów”, gdzie stała tylko szafa i dwa puste stoły. Dlatego zdecydowano się (uzgodniwszy ten krok z ministerstwem) usankcjonować wydanie klucza wprost do rąk profesora Czełnowa. Od tej chwili jego pokój był przedmiotem stałego niepokoju pełnomocnika operacyjnego instytutu, majora Szykina. W godzinach, kiedy aresztanci siedzieli w więzieniu za podwójnymi, okutymi drzwiami, ten doskonale opłacany towarzysz z nienormowanym czasokresem pracy, sam, we własnej osobie zjawiał się w pokoju profesora, opukiwał ściany, skakał po deskach podłogi, zaglądał w zakurzoną szparę za szafą i chmurnie kiwał głową dając do zrozumienia, że ten liberalizm musi doprowadzić do złego.

Ale klucz — to nie było jeszcze wszystko. Kiedy minęło się pierwsze czworo, pięcioro drzwi w korytarzu trzeciego piętra, dochodziło się do punktu kontrolnego Oddziału Supertajnego. Punkt kontrolny składał się ze stolika ze stołkiem, na którym siedziała sprzątaczką, ale nie zwyczajną sprzątaczką od zamykania podłogi czy gotowania herbaty (tym zajmowały się inne), tylko sprzątaczką obciążoną misją specjalnej wagi: jej zadaniem było sprawdzanie przepustek u osób wchodzących do Oddziału Supertajnego. Przepustki, tłoczone w głównej drukarni ministerstwa, były trzech rodzajów: stałe, jednorazowe i tygodniowe, ściśle według wzorów opracowanych przez majora Szykina (on też był autorem pomysłu ulokowania Oddziału Supertajnego w końcu ślepego korytarza).

Praca na punkcie kontrolnym nie była łatwa; przechodzących wtedy było niewielu, ale za to szydełkowania kategorycznie zabraniały instrukcje wywieszone tuż obok, a także częste przestrogi osobiście wygłaszane przez majora Szykina. Sprzątaczkę więc (przypadało ich dwie na dobę) w ciągu dyżurów borykały się ze snem do siódmych potów. Samemu pułkownikowi Jakonowowi istnienie tego kontrolnego posterunku też było bardzo nie na rękę, bowiem całymi dniami odrywano go raz po raz do podpisywania przepustek.

Niemniej, punkt kontrolny istniał. Żeby zaś zyskać pokrycie na pensję rzeczonych sprzątarek — zamiast trzech stróżów, przewidzianych w siatce etatów, trzymano tylko jednego, właś-

nie Spirydona.

Chociaż Czełnow wiedział doskonale, że siedząca teraz w przejściu kobieta nazywa się Maria Iwanowna (przepuszczała tego siwowłosego starca przez korytarz co rano), ta drgnęła na jego widok i powiedziała:

— Przepustka.

Czełnow pokazał więc kawałek tektury, Sołogdin zaś kawałek papieru.

Minęli punkt kontrolny, jeszcze kilkoro jakichś drzwi, dalej — zabite gwoździami i bielone wapnem szklane wyjście na tylne schody, gdzie znajdowała się niegdyś pracownia pańszczyźnianego malarza, następnie przeszli obok drzwi prywatnej celi Żelaznej Maski, by dojść wreszcie do pracowni Czełnowa.

Była to przytulna izdebka z jednym oknem, przez które widać było dziedzińczyk do więziennych spacerów i stuletni lipowy lasek. Tych drzew los także nie oszczędził i włączył je do zony; były w zasięgu ognia z automatów. Na lipach zawisł suty szron; przysypał ze szczytem ich wysokie wierzchołki.

Białe niebo mętnie błyszczało w górze.

Na lewo od lip, już za granicą zony, widać było poszarzały ze starości, teraz biały od zamrozu, piętrowy, drewniany dom z dachem przypominającym okręt: tutaj mieszkał niegdyś właściciel majątku, zanim sobie wybudował dom z kamienia. Dalej widoczne były dachy wioski Mawrino, jeszcze dalej ciągnęły się pola, a bardzo daleko, tam gdzie biegła kolej, w brudnawej bieli poranku ostro rysował się srebrny łańcuszek pary z lokomotywy, chociaż ani jej, ani wagonów prawie nie było widać.

Ale Sołogdin nie bardzo zwracał uwagę na piękne widoki. Mimo zaproszenia nie usiadł, tylko — prężny, czując napięcie w mięśniach swoich młodych nóg — oparł się ramieniem o futrynę okienną i przywarł oczyma do rulonu leżącego na stole Czełnowa.

Czełnow usiadł na drewnianym fotelu, z prostym, wysokim oparciem, poprawił pled przerzucony z ramienia na ramię, wy dostał tezy zanotowane na karteluszkach, ujął w palce długi, zaostriżony ołówek przypominający lancę, surowo spojrzał na Sołogdina i — od razu wydał się niedopuszczalny ów żartobliwy ton, który do tej chwili brzmiał w ich rozmowie.

Było tak, jakby dwoje skrzydeł plasnęło i załopotało w małej izdebce. Czełnow mówił tylko przez jakieś dwie minuty, ale tak treściwie, że między jedną myślą a drugą niesposób było złapać tchu.

Z tych słów wynikało, że Czełnow zrobił więcej, niż Sołogdin prosił. Dokonał przybliżonej kalkulacji realnych szans

konstrukcji proponowanej przez Sołogdina, z punktu widzenia teorii prawdopodobieństwa i teorii liczb. Projekt konstrukcyjny pozwalał spodziewać się wyników niezbyt odległych od wielkości zadanych, przynajmniej aż do chwili, w której można już będzie przejść do urządzeń czysto-elektronicznych. Niezbędne jest jednak:

— znalezienie sposobu na uczynienie aparatury nieczułą na bodźce o niepełnym ładunku energetycznym;

— ściślejsze określenie górnej wielkości granicznej sił bezwładu w samym mechanizmie, tak aby móc oznaczyć wystarczające warunki skuteczności działających bodźców.

— Następnie zaś... — Czełnow spojrzał na Sołogdina rozjaśnionym okiem — następnie proszę też nie zapominać: szyfrowanie wedle pańskiego projektu odbywać się ma na zasadzie zamierzonego chaosu, ale chaos raz zaprojektowany, chaos usystematyzowany — już jest porządkiem. Dobrze byłoby rozwinąć pański projekt w ten sposób, by chaotyczny porządek podlegał stałym zmianom również chaotycznego charakteru.

Tu profesor zamyślił się, złożył kartkę we dwoje i umilkł.

Sołogdin zaś przymknął oczy, jakby światło mu przeszkadzało i stał tak nic nie widząc...

Już przy pierwszych słowach profesora poczuł bijącą weń falę gorąca. Teraz zaś ramię i cały bok wparł w okienną witrynę, aby nie wzbić się aż pod sam sufit z radości.

.. Co potrafił i kim był właściwie w momencie aresztowania? Czy w ogóle był inżynierem? — Był smarkaczem, którego najbardziej obchodził własny wygląd, a siedział przecież nie przez co innego, tylko przez to, że pewien zazdrośnik wsadził go z osobistej zemsty.

A później były — Butyrki, Presnia, Siewuralląg, Iwdelląg, Kargopoląg...

Było obozowe więzienie śledcze, wykute w zboczu skalnym.

Był k u m - oper w obozie, starszy lejtnant Kamyszan, który przez jedenaście miesięcy typował go sobie na drugi w y m i a r, na nową d y c h ę. Ile przydzielić tych nowych wymiarów w jednym łag-punkcie — tu nie krępował się Kamyszan przysłanymi z góry planami Zarządu Więziennictwa, tylko wrzepiał każdemu, kto miał krótszy wyrok, kto siedział tylko na zasadzie D y r e k t y w y S p e c j a l n e j: póki wojna trwa. Niedługo łamał sobie głowę, by znaleźć podkładkę. Ktoś tam komuś powiedział, że jakiś obraz z Ermitażu sprzedano na Zachód — i już obaj dostali po d z i e s i ą t a k u.

I znów Sołogdin wplątał się tam w historię z kobietą: to była pielęgniarka, zeczka, o którą zazdrośny był Kamyszan, ru-

miany, dorodny pożeracz serc. (Miał powody do zazdrości. Pielęgniarkę tę Sołogdin aż do dzisiaj wspominał z uczuciem dotykanej, po całym ciele krążącej wdzięczności — i to tak, że prawie nawet nie żałował tego nowego wyroku, który przez nią dostał).

Kamyszan lubił bijać ludzi pałką po wargach, tak żeby pluli krwią i zębami. Jeżeli przyjeżdżał do obozu konno (dobrze trzymał się w siodle), bił tego dnia grubszym końcem pejca.

A wojna trwała. Nawet na wolności wszystko było na kartki. A w obozach? Nie — jak to było w łagrze Gornaja Zakrytka?

Sołogdin niczego nie podpisywał, nauczył się tego po pierwszym śledztwie. Ale dostał jeszcze więcej niż za pierwszym razem — dziesięć lat. Wprost z sądu odniesiono go do szpitala. Był konający. Ani chleba, ani kaszy, ani wodzianki nie przyjmował już jego organizm, skazany na nieuchronny rozpad.

Był taki dzień, kiedy go już zrzucano na nosze i zaniecono do kostnicy, żeby tam rozwalić mu głowę wielkim, drewnianym młotem i później wrzucić do wspólnego dołu. Ale jeszcze się poruszył...

I z takiej głębi! — z takiej głębi! — o, potęgo życia! — przez lata niewoli, przez lata harówki, przez błogosławiony barak dla personelu technicznego — dokąd też się wzbił? Jak do tego doszło? Komu ten Kartezjusz w damskim czepku prawi takie komplementy?...

...Czełnow złożył kartkę z tezami we czworo, później w ósemkę.

— Jak pan widzi, sporo jeszcze zostało do roboty — powiedział. — Ale ze wszystkich już zaproponowanych — pańska konstrukcja wydaje się optymalna. Jej pan będzie zawdzięczał wolność. I skreślenie z rejestru skazanych.

Nie wiedzieć czemu, Czełnow uśmiechnął się. Uśmiech jego był ostry i subtelny, jak wszystko w tej twarzy.

Uśmiech ten był adresowany do samego siebie. Jemu, siedzącemu już w rozmaitych *szarazkach* i w różnych okresach o wiele dłużej, niż miał jeszcze siedzieć Sołogdin, nie zagrażała ani amnestia, ani skreślenie z rejestru skazanych — zresztą nigdy nie był skazany prawnie; pewnego dnia nazwał Przemądrego Ojca nędzną gadziną — i oto osiemnasty już rok siedział bez wyroku, bez terminu, bez żadnej nadziei.

Sołogdin otworzył swoje rozbłyśnięte, błękitne oczy, wyprostował się młodzieńczo i powiedział tonem odrobinę teatralnym:

— Władimir Erastowicz! Panu zawdzięczam grunt pod nogami i poczucie pewności! Nie mam słów, aby podziękować panu za tyle uwagi. Jestem pańskim dłużnikiem!

Ale miał już na wargach niedbały uśmiech.

Oddając rulon Sołogdinowi profesor jeszcze coś sobie przypomniał:

— Muszę panu jednak wyznać coś ze skruchą. Prosił mnie pan, aby Antoni Nikołajewicz nie zobaczył tego projektu. Ale tak się zdarzyło, że wszedł do pokoju pod moją nieobecność, swoim obyczajem rozwinął arkusz — i rzecz jasna, zorientował się od razu, o co chodzi. Musiałem zdradzić mu pańskie *incognito*...

Z ust Sołogdina ulotnił się nagle uśmiech. Twarz mu spośpinała.

— Czy to takie dla pana istotne? — tonowi zdziwienia towarzyszyła lekka zmiana wyrazu twarzy Czełnowa. — Ale dlaczego? Dzień wcześniej, dzień później...

Sołogdin sam był zaskoczony. Pochylił głowę. Bo czy nie nadszedł właśnie czas, aby dać to z kolei Antoniemu?

— Jak to panu wytłumaczyć, profesorze... Czy nie sądzi pan, że mamy tu wypadek trochę drażliwy moralnie?... Przecież to nie most, nie żuraw, nie obrabiarka. Jest to zadanie nie tyle przemysłowe, ile... dworskie. Kiedy wyobrażę sobie tego z a m ó w i e n i o d a w c ę, który weźmie do ręki słuchawkę naszej konstrukcji... No, no więc w sumie — robiłem to chwilowo tylko dla... wypróbowania własnych sił. Dla samego siebie.

I spojrzał prosto w oczy.

Dla samego siebie.

Czełnow dobrze znał tę formę działania. Ogólnie biorąc — była to najdoskonalsza forma pracy badawczej.

— Ale... w danych okolicznościach... czy to nie za duży zbitek dla pana?

Czełnow przyglądał mu się bladymi, spokojnymi oczyma.

Sołogdin uśmiechnął się.

— Przepraszam — wyprostował się i poprawił się szybko. — Myślałem tylko głośno, to wszystko. Niech pan sobie nie robi żadnych wyrzutów. Jestem panu nieskończenie wdzięczny!

Z szacunkiem potrzywał przez chwilę w ręku słabą, delikatną dłoń Czełnowa i wyszedł z rulonem pod pachą.

Dopiero co wchodził do tego pokoju jako swobodny претенdent.

I oto wychodzi teraz stąd — jako obarczony brzemieniem zwycięzca. Już nie był więcej gospodarzem własnego czasu, własnych zamiarów i wysiłków.

Czełnow zaś, siedział z przymkniętymi oczyma, nie dotykając plecami oparcia. Siedział długo, wyprostowany, mizerny, w swojej włóczkowej czapeczce na głowie.

XXX

KARNE KRESKI

Kipiąc tą samą radością, Sołogdin wkroczył do pracowni konstruktorskiej; otworzył drzwi z przesadnym rozmachem. Ale zamiast spodziewanego tłumu ujrzał w tej wielkiej, huczącej zawsze od rozmów izbie, jedną tylko tęgawą postać kobiecą koło okna.

— Nikogo więcej nie ma, pani Larysso? — zdziwił się Sołogdin przecinając pokój szybkim swoim krokiem.

Laryssa Nikołajewna Jomina, kreślarka, dama po trzydziestce, odwróciła się od okna, przy którym stał jej rajzbret i uśmiechnęła się przez ramię do zbliżającego się Sołogdina.

— O, Dymitr Aleksandrowicz? A już myślałam, że cały dzień będę się tu nudzić sama.

W jej słowach zabrzmiała jakaś aluzja. Sołogdina tknęło coś, rzucił błyskawiczne spojrzenie na rozłożystą jej postać w jaskrawozielonym, wełnianym kostiumie robionym na drutach, miarowym krokiem przeszedł nie podejmując rozmowy w stronę swojego biurka i od razu, zanim jeszcze usiadł, postawił kreskę na leżącym z boku arkusza różowego papieru. Następnie, stojąc prawie tyłem do Jominej, umocował przyniesiony wykres na ruchomej, pochyłej powierzchni rysownicy.

Pracownia konstruktorska — obszerny, duży pokój na trzecim piętrze z trzema wielkimi oknami na południe — zastawiona była nie tylko zwykłymi biurkami, lecz również dobrym dzieśiątkiem takich rajzbretów, ustawionych już to prawie pionowo, już to pochyle, już to całkiem na płask. Rajzbret Sołogdina znajdował się pod bocznym oknem, tym samym, koło którego siedziała Jomina. Rajzbret stał pionowo i był w takiej pozycji, aby zupełnie odgradzać Sołogdina od zwierzchników i od drzwi wejściowych, a równocześnie zapewniać rysunkom jak najwięcej światła dziennego.

Nareszcie Sołogdin zapytał oschle:

— Czemuż to nie ma tu nikogo?

— To właśnie od pana czekam odpowiedzi — odparła śpiewnie.

Szybkim ruchem obrócił ku niej samą tylko głowę i powiedział drwiąco:

— Ode mnie może się pani dowiedzieć jedynie, gdzie jest czterech bezprawnych zeków, z e k ó w pracujących w tej izbie. Proszę uprzejmie. Jednego wezwano na widzenie, Hugo Leonardowicz obchodzi łotewskie Boże Narodzenie, ja — jestem tu, Iwan Iwanowicz zaś wyprosił sobie wolny dzień na cerowanie skarpetek, których w przeciągu minionego roku zebrało mu się koło dwunastu par. Ale ja, swoją drogą, chciałbym wiedzieć, gdzie szesnastu panów z wolności, to znaczy — towarzyszy o wiele bardziej odpowiedzialnych niż my?

Obrócony był do Jominej profilem: mogła widzieć dobrze jego pobłażliwy uśmiech, starannie rozczesane wąsiki i francuską bródkę. Wpatrywała się w niego z zachwytem.

— Jak to? To pan nie wie, że nasz major wczoraj wieczór uzgodnił z Antonim Nikołajewiczem, żeby pracownia konstruktorska miała dzisiaj wolny dzień? A ja mam dyżur, jak na złość...

— Wolny dzień? — nachmurzył się Sołogdin. — A to z jakiego powodu?

— Jak to z jakiego? Z powodu niedzieli.

— Od kiedy to niedziela jest u nas wolnym dniem?

— Ale major powiedział, że nie ma u nas teraz nic pilnego do roboty.

Sołogdin obrócił się ostro w jej stronę.

— U nas nie ma nic pilnego? — krzyknął omal że z gniewem. — Niczego sobie! U nas nie ma nic pilnego do roboty! — Różowe wargi Sołogdina skrzywiły się niecierpliwie. — Chce pani, to tak zrobię, że już od jutra wasza c a ł a s z e s t n a s t k a będzie tu przesiadywać dzień i noc i nic, tylko kopiować? Chce pani?!

Słowa „cała szesnastka” krzyknął z uciechą prawie złośliwą.

Nie bacząc na przerażającą perspektywę kopiowania dzień i noc, Jemina zachowała opanowanie, bardzo licujące z jej spokojną, szczodłą urodą. Dziś nie podniosła jeszcze nawet ochronnego arkusza kalki leżącego na lekko pochyłej powierzchni jej stołu, tylko wygodnie podparła się łokciami (naciągnięty rękaw włóczkowej bluzki bardzo podkreślał pulchność jej ramienia), lekko kiwała się na krześle i przyglądała się Sołogdinowi dużymi, pełnymi życzliwości oczyma:

— A broń nas Boże! Byłby pan zdolny do czegoś tak okropnego?

Sołogdin spojrzał na nią chłodno i zapytał:

— Czemu wzywa pani Boga? Przecież jest pani żoną czekisty?

— To co takiego? — zdziwiła się Jomina. — Na Wielkanoc też pieczemy kołaczki, no i co?

— Ko-ła-cze?!

— A pewno!

Sołogdin popatrzył na siedzącą Jominę z góry na dół. Zieleni jej włóczkowego kostiumu była ostra, zuchwała. I spódnica i żakiet były obcisłe, uwydatniały też jej sute wdzięki. Żakiet rozpięła na piersi, a kołnierzyk białej batystowej bluzki był wyłożony.

Sołogdin postawił kreskę na różowym arkusiku i powiedział wrogim tonem:

— Ale sama pani mówiła, że mąż jest podpułkownikiem MWD!

— To tylko mąż! A my z mamą jesteśmy wszystkiego dwie baby! — uśmiechnęła się rozbrajająco Jomina. Jej grube, jasne warkoczki okręcone były dookoła głowy majestatycznym wieńcem. Uśmiechnęła się i rzeczywiście zrobiła się podobna do wiejskiej dorodnej baby — ale w interpretacji estradowej aktorki.

Sołogdin nic jej nie odpowiedział i usiadł bokiem przy swoim rajzbreecie, tak żeby nie widzieć Jominej. Lekko mrużąc oczy zaczął przyglądać się przyszpilonemu rysunkowi.

Cały był jeszcze pod wrażeniem pochwał profesora Czełnowa. Czuł radosne uniesienie i nie chciał mu się rozpraszać tego nastroju. Odporność przyszłego swego dziecięcia na bodźce o niepełnym ładunku i oznaczenie wystarczających warunków skuteczności Sołogdin uważał intuicyjnie za rzeczy już zapewnione, chociaż trzeba będzie, rzecz jasna, wszędzie dodać w rachunku po dwa znaki dziesiętne. Ale ostatnia uwaga Czełnowa o chaosie uporządkowanym — nie dawała mu spokoju. Nie wskazywało to na błąd w pracy, tylko na jej odległość od ideału. Prócz tego czuł niejasno, że jest gdzieś w jego pracy jakiś nie zauważony przez Czełnowa, nie wykryty jeszcze przez niego samego, ale wymagający znacznego wysiłku obszar ostatnich szlifów. Dobrze byłoby teraz, w tej spadłej z nieba ciszy niedzielnej, wykryć gdzie też on leży — i przystąpić do ostatniego szlif. Tylko wtedy można będzie pokazać projekt Antoniemu i rozpocząć drażnienie betonowej ściany.

Dlatego teraz skoncentrował się na tym, aby oderwać się

od wszelkich myśli o sąsiadce i powrócić do kręgu zakreślonego przez profesora Czełnowa. Jomina już przez pół roku siedziała obok niego, ale nigdy nie zdarzyło im się porozmawiać trochę dłużej. Znaleźć się zaś sam na sam jeszcze dotąd nie mieli okazji. Sołogdin czasami z nią żartował, kiedy sam sobie wyznaczał pięć minut odpoczynku. Służbowo była tylko przydzieloną mu kreślarką, towarzysko zaś — damą należącą do najwyższych kręgów, podczas gdy on był li-tylko wykształconym niewolnikiem. Laryssa Nikołajewna w sumie bawiła go, ale drażniące było ciągłe patrzenie na jej kołyszące się, obfite kształty.

Sołogdin wpatrywał się w rysunek, Jomina zaś — wciąż kiwając się leciutko na krześle — w niego. I nagle usłyszał pytanie:

— Panie Dymitrze! A kto panu ceruje skarpetki?

Uniósł brwi.

— Skarpetki? (ciągle wpatrywał się w rysunek). Iwan Iwanowicz nosi skarpetki dlatego, że jest jeszcze nowicjuszem, nie siedzi nawet trzech lat. Skarpetki — to czkawka tak zwanego... (zakrztusił się, ponieważ musiał użyć p t a s i e g o słowa)... kapitalizmu. Ja po prostu nie noszę skarpetek. — I postawił kreskę na białym arkuszu.

— No to... Co pan nosi?

— Pani Larysso, przekracza pani granice zakreślone przez skromność — Sołogdin nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Noszę kwiat naszej rosyjskiej mody — onuce!

Powiedział to ze smakiem.

— Ale to przecież... coś dla żołnierzy?

— Prócz żołnierzy są jeszcze dwa inne rodzaje zwolenników onuc: więźniowie i kołchoźnicy.

— Ale przecież trzeba je też... prać, cerować...

— Jakże się pani myli! Kto by dzisiaj prał onuce? Po prostu nosi się je rok bez żadnego prania, a potem wyrzuca się, kiedy zwierchność raczy przydzielić nowe.

— Nie może być?! Poważnie? — Jomina patrzyła prawie z lękiem.

Sołogdin wybuchnął młodzieńczym, beztróskim śmiechem.

— W każdym razie istnieje taki pogląd. Zresztą za jakież to ciacki miałbym kupować te skarpety? Pani, powiedzmy, jako kreślarka MGB — ile też pani dostaje miesięcznie?

— Półtora tysiąca.

— Taak! — zawołał Sołogdin z tryumfem. — Półtora tysiąca! Ja zaś przyrzędo-twórca (w Języku Krańcowej Jasności znaczyło to inżynier) — trzydzieści rubelków miesięcznie. Akurat starczy, żeby się szastać na skarpetki!

Oczy Sołogdina błyszcząły wesoło. Wcale nie Jomina była tego przyczyną, ale rozkwitła pod tym spojrzeniem.

Mąż Laryssy Nikołajewnej był, mówiąc po prostu — safandulą. Rodzina dawno już była dla niego czymś w rodzaju miękkiej poduszki, on zaś dla żony — częścią umeblowania. Kiedy przychodził z pracy, to naprzód długo delectował się obiadem, a potem kładł się spać. Ledwo przetarł oczy, zabierał się do czytania gazet i kręcenia gałką radioodbiornika (swoje radia wciąż zamieniał na coraz nowsze modele). Jedynie mecze piłki nożnej (zgodnie ze swoją przynależnością służbową był wiernym kibicem klubu „Dynamo”) budziły w nim żywsze odruchy, a nawet namiętności. We wszystkim jednak tak był bezbarwny, tak jednostajny, że nie mógł wywołać w Laryssie nawet cienia zainteresowania. Zresztą inni znani jej mężczyźni też potrafili tylko opowiadać o swoich sukcesach służbowych, grać w karty, chlać aż do czerwonych pysków, po pijanemu zaś — zaraz brać się do macania.

Tymczasem Sołogdin, żwawy w każdym ruchu, bystry, dowcipny, niespodzianie przechodzący od surowości do żartu, podobał się jej, zupełnie o to nie zabiegając i lekceważąc sobie wszystko.

W tej chwili znów odwrócił się w stronę rajzbretu. Laryssa Nikołajewna wciąż nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy, raz po raz zerkając na jego wąsy, na bródkę, na soczyste wargi. Miała ochotę poczochrąć się o tę brodę, pokłuć się o nią.

— Panie Dymitrze! — znów przerwała milczenie. — Czy bardzo panu przeszkadzam?

— Odrobinę, żeby rzec prawdę... — odparł Sołogdin. Ostatnie szlify wymagały zupełnego wyłączenia się i skupienia. Tymczasem sąsiadka mu przeszkadzała. Sołogdin oderwał się więc od projektu, odwrócił się do biurka (a tym samym od Jominej) i jął wertować jakieś nie najważniejsze papiery.

Słysząc było drobne tykanie jej ręcznego zegarka.

Korytarzem przeszła grupa kilku rozmawiających półgłosem ludzi. Zza drzwi sąsiedniej Siódemki doszedł ich sepleniący trochę głos Mamurina: „No, oddacie prędzej ten transformator, czy nie?”. I gniewny krzyk Markuszewa: „A po co im było dawać, panie Jakubie!”

Laryssa Nikołajewna położyła obie ręce na biurku, skrzyżowała je, oparła się o nie podbródkiem i tak z dołu w górę patrzyła czule na Sołogdina.

Sołogdin czytał.

— Dzień w dzień! Od rana do nocy! — mówiła nabożnym szeptem. — Żeby tak wysilać umysł w więzieniu!... Pan jest

człowiekiem niezwykłym, panie Dymitrze!

Czytanie widać szło Sołogdinowi niesporo, bo zaraz podniósł głowę.

— No to co, że więzienie, pani Larysso? Kiedy mnie wsadzili, miałem dwadzieścia pięć lat. Będę miał czterdzieści dwa lata, kiedy wyjdę, jeżeli to tylko prawda. Ale wcale w to nie wierzę. Na pewno dodadzą mi jeszcze. Zmarnuję w łagrach najlepsze lata mojego życia, stracę najlepsze siły. Nie wolno poddawać się naciskowi warunków zewnętrznych, to poniżające.

— Pan wszystko sobie układa w system!

— Przez siedem lat w obozie jadłem tylko wodziankę, cały mój wysiłek umysłowy obywat się bez cukru i bez fosforu. Zmusiło mnie to do przestrzegania bardzo surowych zasad postępowania. Czy na wolności, czy za kratami, co za różnica? — mężczyzna powinien rozwijać w sobie nieugiętą wolę, ściśle podporządkowaną rozumowi.

Wskazującym palcem, doskonale wyczyszczonym, z wypukłym, lakierowanym na malinowo paznokietkiem, Jomina bez potrzeby i skutku starała się rozprostować zmięty rożek papieru kreślarskiego na powierzchni stołu. Opuściła głowę całym prawie ciężarem na skrzyżowane ramiona tak, że mógł widzieć wysoki wieniec jej grubych warkoczy i powiedziała z namysłem:

— Zgrzeszyłam ciężko wobec pana, panie Dymitrze...

— W jaki sposób?

— Pewnego razu stojąc przy pańskim biurku opuściłam przypadkiem wzrok i zauważyłam, że pisze pan list... Zupełnie przypadkiem, wie pan przecież, jak to bywa... Następnym razem też...

— Też zupełnym przypadkiem wpadło coś pani w oczy?...

— Tak, i zobaczyłam, że pan znowu pisze list — i jakby wciąż ten sam...

— ... Ach, więc zdążyła pani stwierdzić, że ten sam? A potem jeszcze raz? Co?

— ... Owszem...

— Taak... Jeżeli, pani Larysso, to będzie się powtarzać, to zmuszony będę wyrzec się pani pomocy przy kreśleniu. A szkoda byłaby, bo kreśli pani nieźle.

— Ale to przecież było tak dawno! Już pan potem więcej nie pisał.

— Niemniej, doniosła pani o tym natychmiast majorowi Szykinidi?

— Dlaczego Szykinidi?

— Dobrze, Szykinowi. Ale doniosła pani?

— Jak pan mógł tak pomyśleć!

— A tu nie ma nic do myślenia. Czyż to nie major Szyk-nidi rozkazał pani szpiegować wszystkie moje czynności, słowa i nawet myśli? — Sołogdin wziął ołówek i dorysował kresczkę na białym arkuszu. — Przecież zlecił to pani? Proszę powiedzieć uczciwie!

— Owszem... Zlecił...

— I wiele też pani napisała donosów?

— Panie Dymitrze! Czy ja byłabym zdolna? I właśnie w sto-sunku do p a n a ? Wręcz przeciwnie, dawałam tylko najlepsze charakterystyki!

— Mhmm... No, uwierzmy w to tymczasem. Ale moje ostrzeżenie pozostaje w mocy. Prawdopodobnie mamy tu do czy-nienia z przypadkiem czysto kobiecej ciekawości bez cech występku. Zaspokoje pani ciekawość. Zdarzyło się to we wrze-sniu. Nie trzy, tylko pięć dni pod rząd pisałem list do mojej żony.

— O, właśnie o to chciałam zapytać! Pan ma żonę? Ona na pana czeka? To do niej pan takie długie listy pisze?

— Mam żonę — powoli i poważnie odparł Sołogdin — ale jest tak, jak bym jej nie miał. Nawet listów nie mogę jej teraz pisać. Kiedy zaś pisywałem — to wcale nie pisałem listów długich, tylko szlifowałem je tak wolno. Pani Larysso, sztuka pisanie listów jest sztuką trudną. Piszemy listy często zbyt nie-dbale, a później dziwimy się, że tracimy bliskich sobie ludzi. Przez wiele już lat żona mnie nie widziała i dawno nie czuła już dotknięcia mojej ręki, listy to jedyna więź, z której pomocą trzymam ją przy sobie już dwanaście lat.

Jomina ostrym ruchem przesunęła łokcie w przód, aż do krawędzi jego biurka, i podparła obiema dłońmi swoją twarz pokrytą teraz rumieńcem.

— I pewien pan jest, że ją pan trzyma przy sobie? A p o c o, panie Dymitrze, p o c o ? Dwanaście lat minęło, zostało jeszcze pięć, to razem siedemnaście! Kradnie jej pan młodość! P o c o ? Niech jej pan pozwoli żyć!

W głosie Sołogdina zabrzmiał ton uroczysty:

— Istnieje pewien szczególny rodzaj kobiet, pani Larysso. Są to owe towarzysзки życia Wikingów, owe jasnołice Izoldy o duszach jak z diamentu. Otacza panią występny dostatek i nie może pani znać takich kobiet...

— Niech pan pozwoli jej żyć — powtórzyła Laryssa Niko-lajewna. — I niech pan s a m korzysta z życia, o ile to moż-liwe!!

Trudno było uwierzyć, że to ta sama dama z towarzystwa, która przepływała niekiedy po korytarzach i schodach więzienia. Siedziała cała przegięta w stronę Sołogdina i słyszeć było, jak

dyszy. Jej rozpalona twarz coraz bardziej upodabniała ją do chłopki.

Sołogdin zerknął na nią spod oka i dodał jeszcze kreskę na różowym arkuszu.

— Panie Dymitrze! Jeszcze jedno. Już męcę się od tylu tygodni, co to za kreseczki pan wciąż rysuje? A po paru dniach znów je pan wykreśla. Co to znaczy?

— Obawiam się, że znów przejawia pani skłonności tajniackie. — Wziął do ręki biały arkusz. — A więc proszę: te kreski robię za każdym razem kiedy użyję bez koniecznej potrzeby jakiegoś obcego słowa. Ilość tych kreseczek jest miarą mojej niedoskonałości. Tak więc za słowo „kapitalizm”, którego nie zastąpiłem od razu słowem *kiesorząd* i za słowo „szpiegować”, którego nie chciało mi się od razu zastąpić słowem *tajniaczyć* — postawiłem sobie dwie krechy.

— A te na różowym arkuszu? — pytała dalej.

— Więc to też pani zauważyła?

— Tam nawet częściej niż na białym. To też jakaś miara pańskiej niedoskonałości?

— Też — rzucił Sołogdin. — Na różowym wystawiam sobie karne kreski i później wymierzam sobie za nie pokutę zależną od ich liczby.

— Karne — ale za co? — spytała cicho.

— Po co to pani?

— Za co? — jeszcze ciszej spytała Laryssa.

— Zauważyła pani, kiedy je stawiam?

W pokoju było zupełnie cicho i Laryssa powiedziała jakby samym oddechem:

— Zauważyłam.

Sołogdin spąsował i wyznał z widoczną przykrością:

— Te kreski na różowym arkuszu zjawiają się zawsze wtedy, kiedy nie daję sobie rady z pani bliskością, kiedy... pani pożądam!

Policzki, uszy i szyja Laryssy pokryły się czerwienią. Przyłgnęła do krawędzi jego biurka i wcale nie myślała odrywać od niego oczu.

Sołogdin był wzburzony:

— A teraz stawiam sobie od razu trzy krechy — proszę spojrzeć! Długo będę musiał pokutować! Za to, że ma pani oczy beczelne i wilgotne i że to mi się podoba — raz! Za to, że ta bluzka się nie dopina, że pochyliła się pani i że zaglądam aż w głąb między piersi — dwa! Za to, że chcę pocałować panią w szyję — trzy!

— A niech pan pocałuje — powiedziała z determinacją.

— Oszalała pani! Proszę wyjść z pokoju! Niech mnie pani uwolni od siebie!

Oderwała się od biurka Sołogdina i wstała z miejsca. Jej krzesło upadło z łoskotem.

Sołogdin odwrócił się do rajzbretu.

To opętanie, które zwalczał porannym rąbaniem drzewa, teraz chwyciło go za gardło.

Wpatrywał się w rysunek nic nie widząc.

I nagle poczuł na swoim ramieniu kamienną pierś.

— Larysso! — powiedział surowo odwracając ku niej głowę, ale ruch ten sprawił tylko tyle, że ich czoła się zetknęły.

— Co?... — i poczuł na twarzy jej oddech.

— Puść, ja... zamknę drzwi — odpowiedział.

Nie odsunęła się, tylko powiedziała:

— Zamknij.

XXXI

F O N O G R A M Y

Nikt nie miał chęci do pracy w niedzielę — wolni pracownicy również. Wlekli się do roboty niemrawo, chociaż tego dnia nie trzeba się było gniesć w autobusach, i jedno tylko mieli w głowie — jak tu wytrzymać do szóstej wieczór.

Ale ta niedziela okazała się grubo niespokojniejsza, niż byle dzień powszedni. Około dziesiątej rano pod bramę główną zajechały trzy bardzo długie limuzyny o kształtach bardzo opływowych. Wartownicy zaszalutowali służbiście. Minawszy wrota, a zaraz za nimi gapiącego się przymrużonym okiem rudego stróża Spirydona z miotłą, limuzyny potoczyły się zwirowaną, wolną od śniegu drogą w stronę paradnych drzwi Instytutu. Ze wszystkich trzech samochodów zaczęli się sypać dygnitarze błyszcząc złotem pagonów i nie tracąc ani chwili, nie czekając na powitania, od razu ruszyli wprost na trzecie piętro, do gabinetu Jakonowa. Nikt nie zdążył przyjrzeć im się, jak należy. Przez część pracowni poszły słuchy, że przyjechał sam minister Abakumow, a z nim ośmiu generałów. Inne pracownice zażywały dalej spokoju, nie mając pojęcia o nadciągającej burzy.

Prawda była pośrodku — przyjechał jedynie wiceminister Sewastianow, a z nim czterech generałów.

Ale stała się rzecz niebywała — inżyniera-pułkownika Jakonowa wciąż jeszcze nie było. Zanim nastraszony dyżurny (udało mu się zrećźnie zasunąć szufladę biurka, w której trzymał otwartą książkę do czytania) zdołał dodzwonić się do mieszkania Jakonowa, zanim zameldował wiceministrowi, że pułkownik Jakonow leży w domu, ponieważ miał atak serca, ale już ubiera się i zaraz tu będzie — zastępca Jakonowa, major Rojtman, szczuplutki, cienki w pasie, zdążył wyskoczyć z Pracowni Akustycznej i poleciał zameldować się zwierzchnikom, poprawiając

w biegu przekrzywiony pasek koalicyjny i raz po raz potykając się na kokosowych chodnikach, bo był bardzo krótkowzroczny. Spieszył się nie tylko dlatego, że takie były wymagania regulaminu, lecz także po to, aby zdążyć wreszcie wziąć w obronę interesy wewnętrznej opozycji, której był głową; Jakonow zawsze potrafił odsunąć go od pertraktacji z wyższymi władzami. Znając już szczegóły nocnej rozmowy, jaką miał Prianczykow, major postanowił poprawić sytuację i przekonać prześwietną komisję, że stan wokodera nie jest tak beznadziejny, jak — powiedzmy — klippera. Nie bacząc na swoje trzydzieści lat, Rojzman był już laureatem nagrody stalinowskiej i bez zbytnich obaw wypychał swoje laboratorium w samo oko cyklonu kłopotów, związanych z nadmiarem uwagi ze strony najwyższej władzy.

Jego wywodom zaczęło przysłuchiwać się jakichś dziesięciu nowoprzybyłych, z której to liczby dwóch wyznawało się trochę na technicznej stronie sprawy, pozostali zaś tylko nadrabiali miną. Jednakże, wezwany przez Oskołupowa, żółty, jakający się z wściekłości Mamurin zdążył przybiec niedługo po Rojzmanie i zaczął bronić klippera, już prawie gotowego do produkcji. Wkrótce przybył też Jakonow — z podkutymi, zapadłymi w głąb oczyma, z twarzą tak bladą, że aż niebieskawą — i opadł na krzesło pod ścianą. Rozmowa zaplątała się w szczegółach i wkrótce nikt już nie mógł zrozumieć, jaka istnieje możliwość uratowania zaprzepaszczonego przedsięwzięcia.

A nieszczęście chciało jeszcze, że serce i sumienie instytutu — pełnomocnik operacyjny, towarzysz Szykin, i sekretarz organizacji partyjnej, towarzysz Stiepanow, tej właśnie niedzieli pozwolili sobie na zupełnie naturalną chwilę słabości — nie przyjechali mianowicie do pracy i nie mogli z uwagi na to znaleźć się na czele kolektywu, którego działalnością kierowali w dni powszednie (krok tym bardziej wybaczalny, że jak wiadomo, przy odpowiednim poziomie roboty uświadamiającej i organizacyjno-masowej — obecność samych kierowników w czasie pracy wcale nie jest konieczna). Strach i poczucie nagle zmateriaлизованej odpowiedzialności ogarnęły dyżurnego oficera. Stawiając wszystko na jedną kartę, zostawił telefony na łasce losu i odbył bieg po laboratoriach, szeptem zawiadamiając ich kierowników o przyjeździe nadzwyczajnych gości — po to, aby mogli odpowiednio zwiększyć czujność. Ale ponieważ był bardzo zdenerwowany i chciał jak najprędzej wrócić do swoich telefonów, nie przypisał szczególnego znaczenia temu, że drzwi pracowni konstruktorskiej były zamknięte; nie zdążył też dotrzeć do Laboratorium Próźniowego, gdzie dyżurowała Klara Makarygina, a poza nią żaden z wolnych pracowników dziś nie przyszedł.

Kierownicy pracowni też niczego nie obwieścili na głos — niesporo bowiem było prosić ludzi głośno, żeby nadali sobie wygląd bardziej dziarski i zapracowany ze względu na przyjazd przedstawicieli władz — tylko obeszli po kolei wszystkie stoły i wstydliwym szeptem dali znać każdemu z osobna.

Tak oto cały instytut przycupnął w oczekiwaniu nadzwyczajnej wizyty kierownictwa. Kierownictwo zaś, pogadawszy między sobą, częściowo zostało w gabinecie Jakonowa, częściowo udało się do Siódemki i tylko sam Sewastianow z majorem Rojtmaniem zeszli po schodach do Akustycznej: aby mieć jeszcze ten nowy kłopot z głowy, Jakonow wskazał Akustyczną jako najlepszą bazę do wykonania polecenia Riumina.

— No i w jaki sposób zamierzacie wykryć tego faceta? — zapytał po drodze Sewastianow Rojtmana.

Rojtman niczego nie zamierzał, jako że sam dowiedział się o zleceniu dopiero przed pięcioma minutami; zamierzył to za niego minionej nocy Oskołupow, kiedy podjął się wykonania bez chwili namysłu. Ale w ciągu tych pięciu minut Rojtmman już coś niecoś zdołał wykombinować.

— Widzicie — powiedział, zwracając się do wiceministra bez tytułowania i bez żadnej unizoności — mamy tu przecież specjalny przyrząd, fonowizor, odbijający od razu wykresy, tak zwane fonogramy — i mamy człowieka, który te fonogramy potrafi odczytywać, niejakiego Rubina.

— To więzień?

— Tak. Docent filologii. Ostatnio zajmuje się u mnie identyfikacją — na tych właśnie fonogramach — indywidualnych cech głosu poszczególnych ludzi. Mam więc nadzieję, że kiedy przeniesiemy tę rozmowę telefoniczną na papier fonogramu i kiedy porównamy go z kolei z fonogramami podejrzaných...

— Hmm... Trzeba będzie jeszcze kandydaturę tego filologa uzgodnić z Abakumowem — pokiwał głową Sewastianow.

— Z punktu widzenia tajności?

— Właśnie.

Tymczasem w Akustycznej wszyscy już wiedzieli o przyjeździe władz, ale w żaden sposób nie mogli przewyciężyć w sobie męczącego bezwładu niezdecydowania, dlatego też markowali robotę, leniwie grzebali w skrzynkach z lampami radiowymi, oglądali schematy w czasopismach, gapili się przez okno. Dziewczęta-wolniaczki zebrały się razem w kątku i plotkowały szeptem, pomocnik Rojtmana wciąż je rozpędzał. Símoczki, na jej szczęście, nie było dziś przy pracy — miała kiedyś dodatkowy dyżur, więc dziś była wolna, i dzięki temu oszczędzone jej zostały męki oglądania Nierżyna w przyzwoitym ubraniu, promieniejącego na

myśl o bliskim spotkaniu z kobietą, która miała większe do niego prawo niż Símoczka.

Nierzyn czuł się jak solenizant, do Akustycznej wpadał już po raz trzeci, nic tam nie mając do roboty — tylko dlatego, że był cały w nerwach, bo czekał na karetkę więzienną, a ta się spóźniała. Usiadł nie na swoim krześle, tylko na parapecie okiennym, z rozkoszą zaciągał się dymem „Biełomora” i słuchał, co Rubin mówi. Rubin zaś, nie znalazłszy u profesora Czełnowa spodziewanego uznania dla swojej ballady o Mojżesz, recytował ją teraz Glebowi po cichu, ale z całym zapalem. Rubin nie był poetą, nie starczało mu nigdy cierpliwości na szlifowanie rymów, na pracę nad rytmem, ale często improwizował wiersze pełne prawdziwego uczucia i rozumu. Byłby teraz bardzo rad, gdyby Gleb znalazł dla jego ballady słowa pochwały.

Rubin nie mógł istnieć bez przyjaciół, dusił się bez nich. Samotności tak bardzo nie znośił, że nie dawał nawet własnym myślom dojrzeć spokojnie, tylko — mając w głowie choćby jakąś cząstkę, zaczątek jakiejś myśli — już chciał się nią z kimś podzielić. Przez całe życie mógł poszczycić się mnóstwem przyjaciół, ale w więzieniu jakoś tak się składało, że przyjaciele nie zgadzali się z nim w poglądach, zaś ci, co się zgadzali — nie byli jego przyjaciółmi.

Tak więc, nikt jeszcze w Akustycznej nie zabrał się do roboty i tylko Priancykow, jak zawsze rzeński i czynny, nie rozpraszając się już więcej na wspomnienia o nocnej Moskwie i o szalonej jeździe, obmyślał nowe ulepszenie schematu, nucąc:

*„Benzy-benzy-benzy-bar,
Benzy-benzy-benzy-bar...”*

Właśnie wtedy wkroczył Sewastianow z Rojtmmanem. Rojtmman kontynuował:

— Fonogramy dają jakby trójwymiarowy obraz ludzkiej mowy; częstotliwość impulsów odczytuje się wszcz, trwanie — oblicza się wzdłuż taśmy, o amplitudzie drgań daje pojęcie gęstość utrwalonych linii. Przy tym każdy dźwięk ma swój odpowiednik graficzny tak niepowtarzalny, oryginalny, że łatwo go zidentyfikować, i w ten sposób można z wykresu odczytać wszystko, co człowiek powiedział. Proszę...

Poprowadził Sewastianowa w głąb laboratorium.

— ... to jest fonowizor, skonstruowano go w naszej pracowni (Rojtmman sam już zapominał, ile tu było zapożyczeń), a to...

— delikatnie obrócił wiceministra w stronę okna —

— ... jest kandydat nauk filologicznych Rubin, jedyny w

Związku Sowieckim człowiek, który potrafi odczytywać słowa zapisane w formie wykresu. (Rubin wstał z miejsca i uklonił się milcząco).

Ale już w chwili kiedy Rojzman na progu pracowni wypowiedział słowo *f o n o g r a m*, Rubin i Nierżyn drgnęli; ich praca, z której wszyscy dotychczas prawie zawsze się śmieli, wypłynęła oto na światło dzienne. W ciągu tych czterdziestu pięciu sekund, których trzeba było Rojzmanowi, aby przeprowadzić Sewastianowa do biurka Rubina, Rubin i Nierżyn z błyskawiczną spostrzegawczością i zdolnością do szybkich decyzji, właściwą jedynie zekom, już się zorientowali, że za chwilę odbędzie się pokaz umiejętności Rubina, że trzeba będzie odczytać fonogram — i że wyrecytować przed mikrofonem zdanie, które się później podda badaniom, może tylko jeden ze stałych „standardowych” lektorów — jedynym zaś obecnym w tej chwili był Nierżyn. Z tą samą jasnością zdali sobie obaj sprawę, że chociaż Rubin rzeczywiście odcyfrowuje fonogramy, ale na egzaminie można o byle co się potknąć, a tu nie może być mowy o potknięciu — bo to by oznaczało strącenie z *szaraszki* na samo dno obozowych piekieł.

Ale o tym wszystkim nikt z tych dwóch nie powiedział ani słowa. Spojrzeli tylko na siebie porozumiewawczo.

Rubin szepnął:

— Jeżeli — ty i tekst twój, to mów: „Fonogramy pozwalają głuchym rozmawiać przez telefon”.

A Nierżyn szepnął:

— Jeżeli tekst jego — zgaduj według dźwięków. Jak dotknę włosów — dobrze, jak poprawię krawat — źle.

Właśnie w tym momencie Rubin wstał i uklonił się w milczeniu.

Rojzman kontynuował tym sumitującym się, przerywanym tonem, który mógł być przypisany tylko inteligentowi, nawet gdyby go się słuchało wcale nie widząc rozmówcy:

— Więc teraz Lew Grigoriewicz zademonstruje wam swoje umiejętności. Któryś z naszych lektorów... no, powiedzmy, Gleb Wikentiewicz... wyrecytuje w budce akustycznej do mikrofonu jakieś zdanie, fonowizor je zanotuje, a Lew Grigoriewicz spróbuje potem odcyfrować.

Stojąc o krok od wiceministra Nierżyn spojrzał mu prosto w oczy na zuchwałą, łagrowy sposób:

— Tekst wy nam podacie? — spytał ostrym tonem.

— Nie, nie — odwracając wzrok odparł grzecznie Sewastianow — już tam coś sami wymyślicie.

Nierżyn zgodliwie wziął arkusz papieru, zamyslił się na chwilę,

następnie napisał coś, jak w natchnieniu, i w panującej dookoła, pełnej napięcia ciszy podał arkusz Sewastianowowi, tak że nikt nie mógł doń zajrzeć, nie wyłączając Rojtmana:

„Fonogramy pozwalają głuchym rozmawiać przez telefon”.

— I tak jest naprawdę? — zdziwił się Sewastianow.

— Owszem.

— Więc proszę to nagrać.

Fonowizor zaszumiał. Nierzyn wszedł do budki (ach, jak okropnie wyglądała teraz workowa tkanina, którą budka była obciągnięta!... Ach te wieczne braki materiałowe!) I zamknął się tam szczelnie. Mechanizm zazgrzytał i dwumetrowa, mokra taśma, pokryta mnóstwem pasemek tuszu i czarnych plam, została przeniesiona na biurko Rubina.

Całe laboratorium przerwało pracę i wpatrywało się z napięciem. Rojtman wyraźnie się denerwował. Nierzyn wyszedł z budki i obojętnie przyglądał się z dala Rubinowi. Wszyscy dookoła stali, tylko Rubin siedział, pobłyskując swoją prześwitującą już łysiną. Nie chcąc wystawiać na próbę cierpliwości obserwatorów, nie robił żadnego sekretu ze swoich kapłańskich obrzędów i zaraz na miejscu podzielił mokrą taśmę na sektory chemicznym ołówkiem, jak zwykle, źle zatemperowanym.

— Proszę spojrzeć, pewne dźwięki pozwalają się odczytywać bez żadnego trudu, na przykład niektóre samogłoski, zwłaszcza akcentowane. W pierwszym słowie doskonale widać dwa razy „o”. W słowie tym akcent przypada na samogłoskę „a”, przed nią mamy ostre „r”. W pierwszych dwóch głoskach znaleźliśmy już „o”, ale warto pamiętać, że w języku rosyjskim „o” nieakcentowane brzmi prawie jak „a”, i możliwe, że zachodzi tu ten drugi wypadek. Za to „y” nie zmienia swojej wartości dźwiękowej, nawet kiedy nie jest akcentowane i na pewno tą samogłoską pierwsze słowo się kończy. Trzeci dźwięk pierwszego słowa to na pewno „n”. Pierwszy zaś jest głuchy, wargowy, będzie to „f” albo „w”. Pierwsza więc część brzmi „fono” albo „wono”, przed odnalezionym już „r” mamy gardłowe „g”. Przedostatni jest niewyraźny, mogę przypuścić, że to „b”, ale sens podpowiada mi, że chodzi o „m”, zresztą wskazuje na to rezonansowy charakter drgań. A więc pierwsze słowo to — „fonogramy”. Idźmy dalej. W drugim słowie widzimy standartowe, czasownikowe zakończenie „aja”, przed tym mamy typową zbitkę dźwiękową „zw”, takie same „o”, jakie mieliśmy dwukrotnie w pierwszym słowie, i dwa podobne, ale odmienne nieco od „o” dźwięki samogłoskowe „a” przedzielone typowym, czystym „l” — razem „zwalają”, „ozwalają”, w sumie więc najpewniej ...pani Antonino, czy to nie pani wzięła moją lupe? Można prosić na chwilę?

Lupa była mu zupełnie niepotrzebna, tym bardziej że fonowizor dawał wykresy zamaszyste, ale trzeba to było zrobić — według łagrowej zasady — dla picu, i Nierżyn zarykiwał się wewnątrz, gładząc w roztargnieniu swoje i tak już gładko przczesane włosy. Rubin rzucił na niego przelotne spojrzenie i wziął podaną sobie lupę. Ogólne napięcie wzrastało, tym bardziej że nikt nie wiedział, czy Rubin rzeczywiście dobrze odgaduje tekst. Sewastianow szeptał zafrapowany:

— To zadziwiające... to zadziwiające.

Nikt nie zauważył wchodzącego na palcach do pokoju starszego lejtnanta Szustermana. Nie miał prawa tu wchodzić, dlatego zatrzymał się zaraz za progiem. Dał znak Nierżynowi, że powinien iść jak najprędzej, ale nie wyszedł w ślad za nim, tylko czekał dalej, żeby wywołać Rubina. Rubin był mu potrzebny: chciał go zmusić do ponownego zaścielenia łóżka, miał to zrobić, jak się należy. Szusterman nie pierwszy już raz dręczył Rubina tym słaniem.

Tymczasem Rubin już odcyfrował słowo „głuchym” i analizował czwarty wyraz. Rojzman promieniał — nie tylko dlatego, że był to także jego tryumf: szczerze cieszył go każdy sukces w pracy.

W tym momencie Rubin, zerknąwszy przypadkiem w stronę drzwi, napotkał nie rokujące niczego dobrego, spode łba rzucone spojrzenie Szustermana. I domyślił się, po co ten tu przybył. Błysnął mu w odpowiedzi okiem pełnym złośliwej uciechy: „Sam dziś pościelesz!”

— Ostatni człon — „przez telefon”, jest to kombinacja tak często u nas spotykana, że jestem do niej przyzwyczajony i od razu ją rozpoznaję. To byłoby wszystko.

— To zadziwiające! — powtarzał Sewastianow. Przepraszam, jak wasza godność?

— Lew Grigoriicz.

— Lew Grigoriicz! — A indywidualne cechy ludzkich głosów potrafilibyście rozróżnić na tych fonogramach?

— Nazywamy to indywidualnym układem cech mow y. Owszem! To jest właśnie przedmiotem naszych aktualnych badań.

— To się doskonale składa! Zdaje się, że otrzymacie inter-su-ja-ce zadanie.

I Szusterman wyszedł na palcach.

XXXII

POCAŁUNKÓW SIĘ ZABRANIA

Silnik w karetkce, która miała dziś wozić więźniów na widzenia, zepsuł się. Zanim dodzwoniono się, gdzie trzeba i wyjaśniono, co czynić — zrobiło się późno. Około jedenastej, kiedy Nierżyn, wezwany z Akustycznej, trafił wreszcie na rewizję — pozostałych sześciu jadących już tam było. Jednych właśnie kipiszowano, inni już byli po kipiszu i czekali w rozmaitych pozach — ten leżał całą pierśią na dużym stole, ów spacerował po izbie za linią rewizji. Na samej linii, pod ścianą, stał podpułkownik Klimientiew — wyszczotkowany, wyprostowany, zapięty na ostatni guzik, jak stary wojak przed defiladą. Od jego czarnych, krótkich wąsów i czarnej, wyglansowanej fryzury bił zapach wody kolońskiej.

Z rękoma założonymi do tyłu stał tak, jakby nic z tym nie miał wspólnego, w istocie zaś obecnością swoją zobowiązywał nadzorców do szczególnie sumiennej rewizji.

Na kipiszowej linii natknął się Nierżyn na jednego z najbardziej złośliwych i przyczepnych nadzorców o przezwisku Różanousty. Różanousty wyciągnął ręce w stronę Nierżyna i od razu zapytał:

— Co w kieszeniach?

Nierżyn dawno już wyzbył się tej usługowej skwapliwości, do której mają skłonność więźniowie-nowicjusze w stosunku do strażników i konwojentów. Nie wysiłał się wcale na odpowiedź i nie zabierał się do wywracania kieszeni w tym cudzym, szewiotowym garniturze. Spojrzeniu, jakie rzucił na Różanoustego, postarał się nadać senny wyraz i uniósł odrobinę łokcie na boki pozwalając strażnikowi spenetrować kieszenie. Po pięciu latach więzienia, po niezliczonej ilości takich właśnie przygotowań i rewizji, Nierżyn nie uważał tego wszystkiego — jakby uczynił to

nowicjusz — za brutalny akt gwałtu, nie zdawało mu się, że czyjeś brudne palce obmacują jego krwawiące serce, bynajmniej; pogodnego, coraz gorętszego nastroju nie mogło zaćmić nic, co się działo przez ten czas z jego ciałem.

Różanousty otworzył papierošnicę, dopiero co podarowaną przez Potapowa, zajrzał do ustników wszystkich papierosów, czy aby czegoś tam nie schowano, podłubał palcem między zapalnikami w pudełku, czy nie ma czegoś pod nimi, sprawdził stebnowany brzeg chusteczki do nosa, by się przekonać, czy coś tam nie jest zaszyte — i nic innego w kieszeniach nie odnalazł. Wówczas nadzorca wsunął rękę między rozpiętą marynarkę a koszulę i przebiegł palcami po cały tułowi Nierżyna, sprawdzając, czy nie ma czegoś pod koszulą albo między koszulą i gorsem. Następnie wykonał przysiad i ciasnym chwytem ujął w obie dłonie naprzód jedną nogę Nierżyna, później drugą, obmacując je od pachwiny do kostki. Kiedy Różanousty przysiadł, w polu widzenia Nierżyna ukazał się nerwowo spacerujący więzień, grawer z zawodu. Nierżyn domyślił się, dlaczego grawer tak się niepokoi: odkrył on w sobie w więzieniu zdolność do pisania opowiadań i jął pisać: o niemieckiej niewoli, później o znajomych z celi, o sądach. Jedną czy dwie takie nowele już zdołał przekazać na zewnątrz z pomocą żony, ale tam nie było komu ich pokazać. Tam również trzeba je było chować. Tutaj też musiały być ukrywane. I nigdy nie można będzie zabrać stąd ze sobą ani strzępka zapisanego papieru. Ale pewien staruszek, przyjaciel rodziny, przeczytał te opowiadania i oznajmił autorowi za pośrednictwem żony, że nawet u Czechowa rzadko spotkać można rzeczy tak wykończzone i wymowne. Opinia ta bardzo podniosła grawera na duchu.

Przed dzisiejszym widzeniem też mu się udało napisać nowelę, jak sądził — wspaniałą. Ale akurat w momencie rewizji zdjął go strach właśnie przed Różanoustym, odwrócił się i połknął kawałek kreślarskiej kalki, na której mikroskopijnymi literkami napisana była nowela. A teraz złość go brała, że zjadł tę nowelę, bo może mógłby ją być jakoś przeschmuglować?

Różanousty powiedział do Nierżyna:

— Zdjąć buty.

Nierżyn postawił nogę na taborecie, rozsznurował but i ruchem przypominającym wierzgnięcie odrzucił go, nie patrząc nawet, dokąd but leci; miał dziurawą skarpetkę. Różanousty podniósł but, wsadził rękę do środka, później wygiął podeszew. Z niewzruszonym wyrazem twarzy, tak jakby robił to codziennie, Nierżyn zrzucił z nogi drugi but i pokazał drugą dziurawą skarpetkę. Może dlatego, że skarpetki były bardzo dziurawe,

Różanousty nie sądził, aby tam mogło być coś schowane i nie kazał ich zdjąć.

Nierżyn wzuł buty z powrotem. Różanousty zapalił.

Klimentiewa aż podrywało, kiedy Nierżyn zrzucał z nóg buty. Był to przecież zamierzony afront wobec jego strażnika. Jeśli zaś nie ująć się za strażnikiem, to więźniowie siadą w końcu na głowie samej administracji. Klimentiew znów pożałował, że okazał zbytnią dobroć i był już prawie zdecydowany znaleźć jakiś pretekst, żeby zabronić widzenia temu zuchwalcowi, który nie wstydzi się, że jest przestępcą, tylko niemal upaja się tą sytuacją.

— Uwaga! — powiedział surowo, a siedmiu więźniów i siedmiu nadzorców obróciło się ku niemu. — Czy znany jest wam regulamin? Krewnym niczego dawać nie wolno. Od krewnych nie wolno niczego przyjmować. Wszelkie przesyłki — wyłącznie za moim pośrednictwem. W rozmowach nie wolno wspominać o charakterze pracy i sposobie jej wykonywania, o warunkach życiowych i o rozkładzie dnia, o usytuowaniu obiektu. Nie wolno wymienić żadnych nazwisk. O sobie wolno powiedzieć tylko tyle, że wszystko w porządku i że nic wam nie potrzeba.

— O czym więc mówić? — krzyknął ktoś. — O polityce?

Klimentiew nawet nie silił się na odpowiedź, tak śmieszne było pytanie.

— O swojej winie — doradził ponuro ktoś z aresztantów.

— O wielkiej skrusze.

— O przedmiocie śledztwa nie wolno, to tajemnica państwa — odparł Klimentiew niewzruszenie. — Pytajcie o rodzinę, o dzieci. Dalej. Nowy przepis: od dzisiejszego widzenia włącznie zabrania się pocałunków i podawania ręki.

Tu Nierżyn, którego nie wytrącił z równowagi ani kipisz, ani tępa instrukcja, bo wiedział, jak ją ominąć — słysząc o zakazie całowania poczuł nagle, jak ciemnieje mu w oczach.

— Raz na rok ludzie się widują... — krzyknął chrapliwie w stronę Klimentiewa i Klimentiew odwrócił się w jego stronę ucieszony, czekając tylko na dalszy ciąg okrzyku.

Nierżyn już słyszał prawie, jak Klimentiew za chwilę mu ryknie:

— Odwołuję widzenie!!

I zachłysnął się wpół słowa.

O widzeniu dowiedział się w ostatniej chwili, wszystko to wyglądało nie całkiem regulaminowo; tak łatwo je było odwołać...

Zawsze jakaś myśl podobna staje na drodze tych, którzy mogliby wykrzyczeć całą prawdę albo wywalczyć sprawiedliwość.

Jako stary więzień musiał być panem własnego gniewu.

Nie widząc więc objawów buntu, Klimientiew dodał tonem beznamytnym i nie zostawiającym wątpliwości:

— W przypadku pocałunku, uścisku albo innego wykroczenia widzenie natychmiast zostanie przerwane.

— Ale przecież żona nie wie! Ona mnie pocałuje! — zapalczywie krzyknął grawer.

— Krewni również zostaną uprzedzeni! — Klimientiew wszystko przewidział.

— Takich porządków nigdy jeszcze nie było!

— A teraz będą.

(Głupcy! I głupie jest całe to ich oburzenie — jakby to on sam wprowadził te przepisy, a nie najnowsza instrukcja!)

— Jak długo wolno rozmawiać?

— A jeżeli matka przyjdzie — nie puścicie matki?

— Widzenie trwa trzydzieści minut. Wpuszcza się tylko tę osobę, na której imię opiewa wezwanie.

— A pięcioletnia córeczka?

— Dzieci do lat piętnastu wchodzi z dorosłymi.

— A jak ma szesnaście?

— To nie może być wpuszczona! Są jeszcze pytania? Zaczynamy. Do samochodów! Kierować się w stronę wyjścia!

Niesłychane rzeczy! — mieli ich wieźć nie w suce, jak ostatnio, tylko w niebieskim autobusie, takim jak miejskie, tylko mniejszym.

Autobus stał przed drzwiami sztabu. Trzech nadzorców, jakichś nowych, poprzebieranych za cywilów, w miękkich kape-luszach, z rękoma w kieszeniach (mieli tam pistolety) weszło zaraz do autobusu i zajęło trzy jego kąty. Dwaj z nich wyglądali na byłych bokserów, a może na gangsterów. Nosili bardzo eleganckie palta.

Poranny szron już niknął w oczach. Nie było ani mrozu, ani odwilży.

Siedmiu więźniów weszło do autobusu przez jedyne, umieszczone z przodu drzwi. Rozsiedli się w nim.

Weszło jeszcze czterech nadzorców w mundurach.

Kierowca zatrzasnął drzwi i zaraz dodał gazu.

Podpułkownik Klimientiew zajął miejsce w osobowym samochodzie.

XXXIII

F O N O S K O P I A

Nadeszło południe, ale Jakonow wciąż jeszcze nie zawadził o swój gabinet, pełen aksamitnej ciszy i polerowanej przytulności; musiał błogosławić w Siódemce związek małżeński między klipperem a wokoderem (pomysł skojarzenia tych dwóch urządzeń zrodził się dzisiejszego ranka w ambitnej głowie inżyniera Markuszewa i doczekał się poparcia z wielu stron, chociaż z rozmaitych powodów! sprzeciwiali mu się tylko Bobynin, Prianczykow i Rojtman, ale ich nie posłuchano).

W gabinecie siedzieli: Sewastianow, który już rozmówił się telefonicznie z Abakumowem, generał Bulbaniuk, lejtnant Smołosidow z załogi instytutu oraz więzień Rubin.

Lejtnant Smołosidow był trudnym człowiekiem. Mając nawet przekonanie, że w każdej istocie tkwią dobre pierwiastki, nie można było doszukać się czegokolwiek dobrego w jego żelaznym spojrzeniu, w którym nie błyskał nigdy uśmiech, w ponurym i szpetnym grymasie grubych warg. Stanowisko, które zajmował w jednej z pracowni, było zupełnie podrzędne — nieco wyżej poziomu zwykłego radiomonitora, pensję pobierał taką, jak najmłodsza z praktykantek — mniej niż dwa tysiące miesięcznie, i chociaż tam jeszcze jakiś tysiąc dokradał sobie z instytutu, sprzedając na czarnym rynku deficytowe części radiowe — to jednak każdy rozumiał, że zarówno pozycja, jak gaża Smołosidowa nie ograniczają się do tego.

Wolni pracownicy *szaraszki* bali go się — nawet ci jego koledzy, którzy grywali z nim w siatkówkę. Strach budziła jego twarz, której nigdy nie rozjaśnił blask szczerości. Strach budziło to szczególne zaufanie, jakie okazywało mu najwyższe kierownictwo. Gdzie właściwie mieszkał? i czy w ogóle miał swój dom? czy miał rodzinę? Nigdy nie chodził w gości do kolegów

z pracy ani nie spędzał dni wolnych w towarzystwie któregośkolwiek z nich. Nic nie było wiadomo o jego przeszłości, świadczyły o niej tylko trzy ordery wojskowe na piersi — oraz jeden jedyny moment, kiedy pozwolił sobie na nieostrożne samochwalstwo mówiąc, że pewien powszechnie znany marszałek w ciągu całej wojny nie wymówił ani jednego takiego słowa, którego by on, Smołosidow, nie słyszał. Kiedy go spytano, jak to być mogło, odparł, że służył jako osobisty radiotelegrafista u tego właśnie marszałka.

Zaledwie też powstała kwestia, komu z wolnych pracowników powierzyć obsługę magnetofonu z taśmą przysланą z Bardzo Tajnego Departamentu — generał Bulbaniuk, który właśnie stamtąd przybył, zaraz wydał rozkaz: Smołosidowowi.

Teraz właśnie Smołosidow ustawiał na małym, lakierowanym stoliku magnetofon, zaś generał Bulbaniuk, którego głowa wyglądała jak potwornie rozdęty kartofel z naroślami w kształcie nosa i uszu, tak mówił:

— Jesteście więźniem, Rubin. Ale byliście kiedyś komunistą i być może, znów nim kiedyś będziecie.

„Teraz też jestem komunistą!” — chciał krzyknąć Rubin, ale przekonywać o tym Bulbaniuka byłoby rzeczą poniżającą.

— No więc, nasze organy uznały, że można by okazać wam zaufanie. Za chwilę poznacie tajemnicę państwową utrwaloną na tej taśmie. Mamy nadzieję, że pomożecie nam schwycić tego łotra, który pomaga jawnym zdrajcom ojczyzny. A te zdrajcy chcą, żeby ważne naukowe odkrycia spokojniutko sobie przeciekały, wicie, za granicę tej naszej ojczyzny. Rozumie się samo przez się, że przy najmniejszej próbie wygadania się z tym...

— Jasne — przerwał mu Rubin, bojąc się teraz najbardziej, żeby czasem nie odsunięto go od taśmy. Dawno już machnąwszy ręką na własne sukcesy, Rubin żył problemami ogólnymi, tak jakby chodziło o sprawy rodzinne. Ta — jeszcze nie znana mu — taśma już go obchodziła osobiście.

Smołosidow nacisnął klawisz.

Rubin wpił się wzrokiem w kawałek kolorowej tkaniny zasłaniającej otwór głośnika, jakby chciał tam zobaczyć twarz osobistego wroga. Kiedy Rubin w ten sposób na coś patrzył, rysy mu się ściągały i twarz przybierała wyraz srogości. Nie można było spodziewać się pardonu od człowieka z taką twarzą.

W ciszy gabinetu rozległ się, z lekką domieszką szumów, dialog podnieconego, gnanego pośpiechem nieznanego z nierozgarniętą, staromodną damą.

Twarcz Rubina z każdym zdaniem traciła ów wyraz surowości, jaki z góry przybrała. Pojawiło się nawet na niej zmieszanie.

Boże mój, to było zupełnie co innego, to jakaś niedorzeczność...

A taśma już się kończyła.

Czekano, co Rubin powie, ale on nie miał jeszcze pojęcia, co powiedzieć.

Żeby zdobyć chociaż trochę czasu i żeby tak nie patrzyli na niego ze wszystkich stron! Zapalił papierosa, który zdążył mu zgasnąć w rękę. Poprosił:

— No tak. Jeszcze raz.

Smołosidow nacisnął klawisz cofania szpuli.

Rubin z cichą nadzieją patrzył na jego ciemne ręce z sinawymi palcami. Co by to szkodziło, gdyby się pomylił, gdyby włączył nie głowicę odczytu, tylko głowicę zapisu! Wszystko by wtedy uległo starciu raz na zawsze! I Rubin niczego by nie musiał rozwikływać.

Palił, żując i mnąc ustnik papierosa.

Wszyscy milczeli.

Nie, Smołosidow się nie pomylił! Włączył właściwą głowicę.

I znowu zadźwięczał głos młodego człowieka, pełen nerwowości i omal że desperacji, i znów stękała i gderała w głośniku dama z muchami w nosie. Trzeba było raczej wyobrazić sobie jak mógł wyglądać sam przestępca, tymczasem wyobraźnię Rubina wciąż nawiedzała owa dama, którą jakby już widział z jej nastroszonymi, farbowanymi, a może nawet sztucznymi włosami na głowie.

Pochylił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Największa niedorzeczność na tym polegała, że rozsądny człowiek o niezaćmionym umyśle nie mógł przecież uznać za tajemnicę państwową odkrycia z dziedziny medycyny, mniejsza o to jakiego. Bo przecież nie jest medycyną taka medycyna, która pyta chorego o narodowość. I ten człowiek, który zdecydował się na telefon do obłąkanego mieszkania (a może nawet nie zdawał sobie sprawy z rozmiarów niebezpieczeństwa), otóż ten śmiałek był dla Rubina kimś sympatycznym — bo Rubin też był zwykłym człowiekiem.

Ale obiektywnie — obiektywnie ten człowiek, mający na celu, zdawałoby się, dobry uczynek, właściwie występował przeciwko pozytywnym siłom historii. Skoro pierwszeństwo w dziedzinie wiedzy było uznane za ważne i niezbędne dla potęgi naszego państwa, to znaczy, że ten, kto tej sprawie szkodzi, staje się obiektywnie przeszkodą na drodze postępu. I powinien być z niej zmieciony.

Poza tym — nie wszystko w tej rozmowie jest takie jednoznaczne. To lękliwe powtarzanie słowa „cudzoziemcy”. Przekazać „coś”. Może tu wcale nie chodzi o preparat. A słowo „preparat” może być częścią szyfru. Historia zna podobne przykłady.

Jak wzywano bałtyckich marynarzy do powstania zbrojnego? „Wyślij statut!” A znaczyło to — wysłać okręty i desant... Taśma się kończyła. Rubin oderwał twarz od palców, spojrział na ponurego Smołosidowa, na bezmyślnego pyszałka Bulbaniuka. Brało go obrzydzenie na ich widok. Nie chciał wcale na nich patrzeć. Ale tu, na tym pokątnym skrzyżowaniu ścieżek historii, właśnie oni obiektywnie reprezentowali jej konstruktywne siły.

Prócz tego trzeba umieć wznieść się ponad własne emocje!

Właśnie tacy sami rzeźnicy, tylko że z wydziału politycznego armii, wepchnęli Rubina do więzienia, nie mogąc dłużej znieść jego zdolności i uczciwości. Właśnie tacy sami rzeźnicy, tylko z naczelnej prokuratury wojskowej, w ciągu czterech lat wrzucili do kosza dobry dziesiętek skarg Rubina, pełnych krzyczących dowodów jego niewinności.

Trzeba też było wznieść się ponad myśl o własnej niedoli!

I chociaż ci tutaj zasłużyli sobie, żeby rąbnąć w nich — tu, w tym pokoju — przyzwoitym, obronnym granatem — należało służyć nie im, tylko swojemu krajowi, jego przodującej ideologii, jego sztandarom.

Rubin ukręcił niedopałkowi spopieleny łeb, utopił go w popielniczce i starając się patrzeć tylko na Sewastianowa, który miał całkiem pocziwy wygląd, powiedział:

— Cóż. Spróbujemy — westchnął, ciężko westchnął, tak jakby łapał oddech wchodząc na wysoką górę. — Ale jeżeli nikogo nie podejrzewacie, to nie potrafię odgadnąć, o kogo chodzi. Nie można przecież zarejestrować głosów wszystkich mieszkańców Moskwy. Z czymś głosem trzeba to porównać.

Bulbaniuk uspokoił go:

— Czterech odrazuśmy capnęli koło automatu. Ale chyba to nie oni. A w ministerstwie mogło wiedzieć tylko tych pięciu. Ja ich tu wypisałem, krótko, bez tytułów, i w ogóle tu nie są zaznaczone ich stanowiska, żebyście czasem nie mieli stracha, jak trzeba będzie pokazać palcem.

I podał mu kartkę z notesu. Było na niej napisane:

1. Pietrow
2. Sjałowityj
3. Wołodin
4. Szewronok
5. Zawarzin.

Rubin przeczytał i chciał zatrzymać kartkę.

— Nie, nie! — szybko wtrącił się Sewastianow. — Spis będzie u Smołosidowa.

Rubin oddał kartkę. Ten środek ostrożności nie dotknął go, tylko rozbawił. Przecież te pięć nazwisk zapisane już były w jego

pamięci płonącymi zgłoskami: Pietrow! - Sjagowityj! - Wołodin! - Szewronok! - Zawarzin! Długie studia lingwistyczne tak się wżarły w sposób myślenia Rubina, że nawet teraz mimochodem określił już sobie w myśli źródłosłowy tych nazwisk: „sjagowityj” — od „sjagat”, sięgać daleko, daleko skakać, „szewronok” — to zniekształcone „żaworonok”, skowronek.

— Proszę — powiedział oschle — przeprowadzić jeszcze na taśmie rejestrację rozmów telefonicznych tej całej piątki.

— Jutro to wam dostarczą.

Rubin pomyślał chwilę.

— Jeszcze coś: proszę koło każdego nazwiska zaznaczyć wiek. — Wskazał dłonią na magnetofon. — Ta taśma będzie mi potrzebna ciągle i to już dzisiaj.

— Będzie ją miał lejtnant Smołosidow. Dostaniecie we dwóch osobny pokój w Oddziale Supertajnym.

— Już go dla nas zwalniam — powiedział Smołosidow.

Wieloletnie doświadczenie kazało Rubinowi unikać niebezpiecznego słowa „kiedy” — aby czasem ktoś jemu takiego pytania nie zadał. Wiedział, że trzeba tu będzie tygodnia pracy albo i dwóch, jeżeli zaś spytać kierownictwa „na kiedy to potrzebne?” — to zawsze usłyszysz się odpowiedź: „na jutro rano”. Zapytał tylko:

— Z kim jeszcze wolno mi mówić o tej pracy?

Sewastianow wymienił spojrzenia z Bulbaniukiem i odparł:

— Wolno mówić tylko z majorem Rojtnanem. Z Fomą Gurianowiczem. I z samym ministrem.

Bulbaniuk zapytał:

— Pamiętacie moje ostrzeżenie? Może powtórzyć?

Rubin wstał bez pozwolenia i lekko zmrużonymi oczyma spojrzał na generała, jak na coś bardzo niedużego.

— Muszę już iść, mam sporo do przemyślenia — powiedział, nie zwracając się do nikogo osobiście.

Nikt się nie sprzeciwił.

Rubin wyszedł z gabinetu zamyślony, przeszedł obok dyżurnego i nic przed sobą nie widząc, zaczął schodzić po stopniach wysłanych kokosowym czerwonym chodnikiem.

Trzeba będzie Gleba też wciągnąć do tej nowej grupy. Bo i jak można pracować, nie naradzając się z nikim?... Zadanie będzie bardzo trudne. Opracowanie typologii głosów jest dopiero w stadium początkowym. Pierwsza klasyfikacja. Pierwsze ustalenia terminologiczne.

Już się w nim zapalił hazard badawczy.

Właściwie — to całkiem nowa dyscyplina: wykrywanie prześpców na podstawie śladów ich głosu.

Dotychczas wykrywano ich badając ślady palców. Nazywało się to — daktyloskopia, ogląd palców. Formowała się przez całe stulecia.

A tę nową naukę można będzie nazwać głoso-oglądem (jakby powiedział Sołogdin) — f o n o s k o p i ą. I stworzyć ją trzeba w ciągu paru dni.

Pietrow. Sjagowityj. Wołodin. Szewronok. Zawarzin.

XXXIV

NIEMY ALARM

Nierzyn zajął miejsce pod oknem rozkoszując się miękkością siedzenia, oparcia i pierwszych łagodnych kołysań samochodu. Na podwójnej kanapie obok niego siedział Hilary Pawłowicz Gerasymowicz, fizyk-optyk, szczupły, niewysoki człowiek o rysach typowo inteligentkich, noszący przy tym binokle — dokładnie takie, jakie mieli szpiedzy na plakatach.

— Myślał człowiek, że przyzwyczał się już do wszystkiego — zwierzył mu się Nierzyn półgłosem. — Mogę bez szczególnej przykrości sięść gołą dupą na śniegu. Dwudziestu pięciu ludzi w jednym stołypinowskim przedziale, walizki połamane przez konwojentów — nic już nie może mnie zmartwić ani zdenerwować. Ale wiąże serce z życiem jeszcze ta jedna, żywa i jakoś nie chcąca umierać strunka — miłość do żony. Nie mogę znieść, kiedy ktoś ją trąca. Widzieć się raz do roku na jedne pół godziny — i nawet nie pocałować? Duszę ci oplują za to jedno widzenie.

Gerasymowicz zmarszczył cienkie brwi. Nadawało to twarzy bolesniwy wyraz, nawet wtedy, gdy po prostu zastanawiał się nad fizycznymi wzorami.

— Istnieje chyba — odparł — tylko jeden sposób na osiągnięcie zupełnej odporności: unicestwić w sobie wszystkie afekty i wyrzec się wszystkich pragnień.

Gerasymowicz przybył do Mawrina zaledwie przed kilkoma miesiącami i Nierzyn nie zdążył jeszcze zawrzeć z nim bliższej znajomości. Ale Gerasymowicz dziwnie mu się podobał.

Nie ciągnęli dalej tej rozmowy, zamilkli obaj; wyjazd na wzięcie jest zbyt poważnym wydarzeniem w życiu więźnia. Przychodzi czas na cucenie swojej zapomnianej, anielskiej duszy, śpiącej już w grobowcu. Podnoszą głowę wspomnienia, którym

nie daje się upustu na co dzień. Czyni się rachunek uczuć i myśli zgromadzonych w ciągu całego roku, czy wielu lat, aby je teraz wtopić w krótkie chwile kontaktu z najbliższym człowiekiem.

Przed wartownią autobus się zatrzymał. Sierżant z warty wszedł na stopnie, zajrzał przez drzwi autobusu i dwukrotnie po cichu przeliczył wyjeżdżających więźniów. (Starszy nadzorca już wcześniej pokwitował w wartowni wyjazd siedmiu osób). Następnie wgramolił się pod autobus, sprawdził, czy ktoś tam nie wisi na resorach (nawet bezcielesny duch piekielny nie potrafiłby tam utrzymać się dłużej niż minutę!), wrócił do wartowni — i dopiero wtedy otworzyła się pierwsza brama, a za nią druga. Autobus przekroczył magiczną linię i z wesołym szmerem opon pomknął oszronioną szosą wzdłuż lasku.

Supertajność ich obiektu była przyczyną, dla której zeków z Mawrina na widzenie wożono: krewni nie powinni byli wiedzieć, gdzie gnieźdzą się te żywe trupy, czy wiozą ich ze stukilometrowej odległości, czy też zza Spaskich wrót Kremla, czy przywożą z lotniska, czy może aż z tamtego świata — mieli widzieć tylko sytych, przyzwoicie ubranych ludzi o białych rękach, którzy stracili gdzieś dawną swoją rozmowność i ze smutnym uśmiechem powtarzają teraz, że wszystkiego mają dosyć i nic im nie brak.

Widzenia te przypominały czymś starogreckie stalle — płaskorzeźby na płytach grobowych, na których rozpoznać można zarówno samego nieboszczyka, jak żywych jeszcze fundatorów pomnika. Ale na tych płaskorzeźbach dała się zawsze odróżnić cienka linia oddzielająca świat od zaświatów. Żywi spozierali ciepło na umarłego, umarły zaś spoglądał w głąb Hadesu okiem ani wesołym, ani smutnym, tylko przejrzystym, które zbyt wiele już widziało.

Nierzyn odwrócił się, aby ze wzniesienia zobaczyć to, czego nigdy prawie nie oglądał: budynek, w którym mieszkali i pracowali, ciemnoceglasty gmach z kulistą, rdzawoczną kopułą nad ich półokrągłą cud-komnatą, nad którą wznosił się wyżej sześciórak, jak niegdyś nazywano sześciokątne baszty staroruskich budowli. Na południowej fasadzie, na którą wychodziły Akustyczna, Siódemka, pracownia konstruktorska i gabinet Jakonowa — regularne rzędy nigdy nie otwieranych okien miały wygląd spokojny i obojętny; mieszkańcy tych podmiejskich okolic i przybysze z Moskwy, którzy w niedzielę zjeżdżali tu na wycieczki do lasku, nie mogli sobie nawet wyobrazić ile też niezwyklej życiorysów, rozdeptanych porywów, spiętrzonych namiętości i tajemnic państwowych zgromadziło się pod ciśnieniem, spłotło i rozpałiło do czerwoności w tym samotnym, staro-

świeckim podmiejskim budynku. Nawet wewnątrz tej budowli naszpikowane było tajemnicami. Jeden pokój nie miał pojęcia o drugim, sąsiad o sąsiedzie. A pełnomocnicy operacyjni nie mieli wcale pojęcia o kobietach, o dwudziestu dwóch nierozsądnych, szalonych kobietach, wolnych pracownikach, którym pozwolono znaleźć się w tym budynku — podobnie, jak te kobiety nie miały pojęcia jedna o drugiej, nie wiedziały o tym, co wiadome miało być tylko niebu, a później może historii, że mianowicie wszystkie dwadzieścia dwie te istoty, nie zważając na grożący miecz ani na złowrogi szwargot instrukcji — albo znalazły już tutaj przedmiot potajemnego przywiązania, kochały kogoś i całowały ukradkiem, albo też zlitowały się nad kimś i pomogły nawiązać łączność z rodziną.

Gleb otworzył ciemnoczerwoną papierośnicę i zapalił z tą szczególną satysfakcją, którą dają papierosy w niecodziennych chwilach.

I chociaż myśl o Nadii była myślą nadrzędną, wszechogarniającą — jego ciało, delektujące się niezwykłością tej jazdy, chciało tylko jechać, jechać, a jechać... Żeby czas stanął i żeby tylko autobus mknął naprzód, żeby mknął i mknął po tej zaśniewanej drodze, porzuconej wzdłuż czarnymi śladami opon, obok tego białego parku gdzie szron osnuł gęstwą korony drzew, obok migających tu i ówdzie dzieci, których głosu Nierżyn nie słyszał chyba od samego początku wojny. Dziecięcych głosów nie zdarza się słyszeć ani żołnierzom, ani więźniom.

Nadia z Glebem żyli ze sobą zaledwie rok. Rok ten zbiegł im na ciągłej lataninie z teczkami. I on, i ona uczyli się na piątym roku, pisali prace roczne i zdawali egzaminy dyplomowe.

Zaraz potem zaczęła się wojna.

A teraz inni mają te śmieszne, przebierające swoimi krótkimi nogami dzieci.

A oni — nie mają...

Jakiś malec chciał przebiec przez szosę. Kierowca ostro skręcił, żeby go nie przejechać. Malec przestraszył się, stanął i przyłożył rączkę w granatowej rękawicy do zarumienionej twarzyczki.

I Nierżyn, który całymi latami ani o dzieciach pomyślał, zrozumiał nagle jasno, że Stalin okradł z dzieci jego i Nadię. Nawet jak skończy się wyrok, nawet jeżeli znowu się spotkają — to żona będzie miała może koło czterdziestki. I za późno już na dziecko.

Znowu parędziesiąt pstrych dziecięcych figurek ślizgających się po zamarzniętym stawie.

Autobus skręcił w płataninę uliczek i trząsł się na kocich łbach.

Opisy więzień zwykle starano się możliwie nasycić okropnościami. A czy to nie straszniejsze, kiedy okropności brak? Kiedy cała okropność mieści się w szarej regularności, z jaką biegają lata? W tym, że człowiek zapomina, iż złamane zostało jedyne i niepowtarzalne życie, które zostało mu dane. I kiedy gotów już nawet wybaczyć to komuś tam, o tępym pysku. I kiedy marzy się już tylko, żeby wziąć z więziennej tacy nie zwykłą kromkę, tylko przylepkę, żeby zdobyć po kolejnej kąpieli bieliznę całą i nie za małą.

To wszystko trzeba przeżyć. Wymyśleć tego niesposób. Żeby napisać sobie:

*„Umarł w więzieniu, w ponurym tym lochu
Więzień w rozkwicie swych lat...”*

albo:

„Hej, otwórzcie mi ciemnicę, dajcie cudną mi dziewicę” —

nie trzeba na dobrą sprawę siedzieć w więzieniu, łatwo to sobie wszystko wyobrazić. Ale to prymityw. Tylko w miarę upływu nieskończonych, nieprzerwanych lat rozwija się w człowieku więzienna znajomość rzeczy...

Nadia pisze w liście: „kiedy wrócisz...” To właśnie jest najstraszniejsze, że powrotu nie będzie. Nie można już wrócić. W ciągu czternastu lat frontu i więzienia nie ostała się może w człowieku ani jedna z tych komórek, które składały się niegdyś na jego ciało. Można tylko przyjść na nowo. Przyjdzie do niej nowy, nieznany człowiek noszący nazwisko dawnego jej męża i zobaczy wtedy ona, że tego jej pierwszego i jedyne, na którego czternaście lat czekała w samotności — że tego człowieka już nie ma, że zniknął, cząstka po cząstce.

Dobrze będzie, jeżeli w tym drugim życiu zdołają jeszcze raz się wzajemnie pokochać.

A jeżeli nie?...

Za oknami ciągnęły się już moskiewskie ulice przedmiejskie. Nocami mglista łuna na dalekim niebie budziła w nich, siedzących w takim odosobnieniu, wrażenie, że cała Moskwa jarzy się, że olśniewa światłami.

A tu tymczasem szły po kolei parterowe i jednopiętrowe proszące się o remont, odrapane domy i krzywe drewniane płoty. Chyba jeszcze od czasów wojny nikt ich nie naprawiał, widać gdzie indziej potrzebne były ręce, tu nie sięgły. No, a tam, między Riazaniem a Ruzajewką — jakie tam dachy? jak tam domy wyglądają?

Autobus wyrwał się na duży plac przydworcowy i szybko go przeciął. Pełno na nim było tramwajów, trolejbusów, samocho-

dów, ludzi. Milicjanci nosili nowe mundury, fioletowe z jaskrawoczerwonym, których nigdy przedtem Nierzyn nie widział.

... To nie do pojęcia, jak Nadia może tyle lat czekać na niego? Obracać się wśród tego zabieganego, wciąż za czymś uganianego się tłumu, czuć na sobie cały czas męskie spojrzenia — i nigdy się nie ugiąć? Gleb zdawał sobie sprawę, że gdyby stało się odwrotnie, gdyby Nadię wsadzono do więzienia, a on sam został na wolności — to może nawet roku by nie wytrzymał. Nie zakładał dawniej takiej granitowej stałości w swojej wątpliwej towarzyszce losu. Przez długi czas miał co do niej wątpliwości, ale teraz już mu się zdawało, że oczekiwanie stało się dla Nadii nie takie znowu trudne.

Kiedy — jeszcze w przejściowym więzieniu na Krasnej Presni — otrzymał po półtorarocznym śledztwie po raz pierwszy prawo napisania listu — ogryzkiem sztyftu na starym papierze pakowym, złożonym w trójkącik, pozbawionym znaczka, to tak do Nadii napisał:

„Moje kochanie! Przez cztery lata wojny czekałaś na mnie — i nie żałuję, że to było daremne czekanie, bo teraz ma być jeszcze dziesięć lat. Przez całe życie będę nasze krótkie szczęście wspominać, jak słońce. Ale ty czuj się od tego dnia wolna. Nie ma powodu, żeby także twoje życie szło na marne. Wyjdź za mąż za kogoś innego”.

Z całego tego listu Nadia tylko jedno zrozumiała:

„A więc przestałeś mnie kochać! Jak mógłbyś oddać mnie innemu?”

Kobiety!... Nawet na front, na zadnieprowski przyczółek zdołała się kiedyś przedrzeć do niego — z fałszywym biletem wojskowym, w zbyt szerokiej, męskiej bluzie mundurowej, narażając się na przesłuchania i rewizje ze strony oddziałów bezpieczeństwa wewnętrznego. Jechała po to, żeby — jeżeli się uda — zostać już z mężem do końca wojny — jak go zabiją, to samej też zginąć, jeśli zaś wyjdzie cało, to samej też się uratować.

Na tym przyczółku, jeszcze niedawno pełnym śmierci, a teraz, w biernej defensywie, zarosłym już beztrząsą trawą, kradli losowi króciutkie dni swojego poszarpanego szczęścia.

Ale armie zbudziły się, przeszły do natarcia i Nadia musiała wracać do domu — znowu w tej samej niezgrabnej bluzie, z tym samym podrabianym biletem wojskowym w rękę. Półtoratonówka wiozła ją leśnym duktem, a ona machała mu jeszcze długo, długo ręką spod plandeki.

... Na przystankach gromadziły się nieporządne kolejki. Kiedy nadjeżdżał trolejbus, jedni stali dalej w ogonku, inni przepychali się łokciami. Na rogu Sadowej, półpusty, nęcący oczy autobus

zatrzymał się przed czerwonym sygnalem, minawszy miejski przystanek. I jakiś nieprzytomny od czekania obywatel rzucił się za nim biegiem, wskoczył na stopień, kołatał w drzwi i krzyczał:

— Na Kotelnickie Wybrzeże idzie? Na Kotelnickie?!...

— Nie wolno! Nie wolno! — wymachiwał ręką nadzorca.

— Idzie! Siadaj, chłopie, podwieziemy! — krzyczał Iwan-szklarz i śmiał się głośno (Iwan był kryminalny i widzenia miewał co miesiąc bez kłopotu).

Roześmieli się wszyscy więźniowie. Dobijający się nie mógł zrozumieć, co to za autobus i dlaczego tu nie wolno. Ale już był przyzwyczajony, że często czegoś nie wolno, więc zeskoczył. Cofnęło się też jakichś pięciu innych, którzy już zdążyli nadbiec.

Niebieski autobus skręcił Sadową w lewo. To znaczy, że nie jechali jak zwykle, do Butyrek. Chyba więc na Tagankę.

...Nigdy by Nierzyn nie rozstał się z żoną i życie zbiegłoby mu beztrąsko na całkowaniu równań różniczkowych, gdyby urodził się nie w Rosji, albo w innej epoce — lub też gdyby nie był taki, jakim był.

To chyba u Wiktora Hugo, w „Dziewięćdziesiątym trzecim”, jeden z bohaterów siedzi na wydymie. Widzi z niej kilka dzwonic naraz, na każdej coś się kołysze, wszystkie dzwony biją na trwogę, ale huragan unosi dźwięki w inną stronę i tutaj słychać tylko milczenie.

W ten sposób właśnie, dziwnym jakimś słuchem chwycił Nierzyn od samego dzieciństwa ten niemy alarm — wszystkie żywe dzwony, jęki, krzyki, wołania, wrzaski ginących, które jakiś wiatr stale wiejący odpędzał precz od ludzkich uszu. Gleb wyrósł, nie mając w ręku ani jednej książki Mayne-Reeda, ale już jako dwunastoletni chłopak rozwinął olbrzymią płachtę „Izwestii”, którą mógłby się okryć od stóp do głów, i przeczytał sprawozdanie z procesu inżynierów-sabotażystów. Chłopak nie uwierzył ani w jedną literę tego sprawozdania. Gleb nie wiedział dlaczego, nie mógł tego ogarnąć rozsądkiem, ale czuł jasno, że wszystko to tylko łgarstwo, tylko łgarstwo. Widywał już inżynierów ze znajomych rodzin i nie mógł sobie wyobrazić, żeby ci ludzie zajmowali się nie budowaniem, tylko szkodnictwem.

Kiedy Gleb miał już trzynaście, a potem czternaście lat, po odrobieniu lekcji nie wybiegał na ulicę, tylko siadał do czytania gazet. Znał nazwiska przywódców partyjnych, zajmowane przez nich stanowiska, znał czerwonych dowódców, wiedział kto jest naszym posłem w każdym kraju i jak nazywają się posłowie tych krajów w Związku Sowieckim. Czytał wszystkie przemó-

wienia na zjazdach i wspomnienia bolszewickich weteranów, a także kolejne wersje historii partii — zmieniało się ich kilka i różniły się między sobą. Zresztą przecież w szkole, już w czwartej klasie, omawiano podstawy ekonomii politycznej, a poczynając od piątej lekcje wychowania społecznego odbywały się prawie codziennie. Kazano mu czytać „Pamięci Herzena”, on zaś zagłębił się w cały ten tom Lenina i nie mógł się oderwać.

Może dlatego, że ucho miał tak młode, a może dlatego że czytał więcej, niż było w gazetach — ale coraz jaśniej słyszał fałsz w niepomahowanych, zachłystujących się zachwytem hymnach na cześć jednego, zawsze tego samego człowieka. Jeżeli on jest wszystkim, to przecież wszyscy pozostali są niczym? Gleb nie mógł zachwycać się nim już z czystej przekory.

Był zaledwie w dziewiątej klasie, kiedy pewnego grudniowego poranka przecisnął się do gazetowej witryny i przeczytał, że Kirow został zabity. I nagle — jakby doznał olśnienia — zrozumiał jasno, że Kirowa zabił Stalin, nikt inny. Dlatego, że tylko dla niego mogło to być korzystne! I ogarnęło go dręczące poczucie samotności — bo dorośli mężczyźni, stłoczeni dokoła, nie rozumieli takiej prostej rzeczy!

I oto właśnie ci weterani partyjni, których dziełem była cała rewolucja, którzy całe swoje życie łączyli tylko z nią — zaczęli dziesiątkami i setkami przenosić się do niebytu: jedni, nie czekając aresztowania, zażywali truciznę w swoich mieszkaniach, inni wieszali się na dachy; ale najczęściej — pozwalali się aresztować, potem zjawiali się przed sądem i — co było nie do pojęcia — kajali się za swoje winy, w długich przemówieniach obsypywali się sami najokropniejszymi wyzwiskami, przyznając się, że są na służbie wszystkich możliwych zagranicznych wywiadów. To było takie przesadzone, takie prostackie, tak przekraczało wszelką miarę — że kłamstwa mógł nie słyszeć tylko ten, komu słoń nastąpił na ucho!

Jak to, więc ludzie tego nie słyszeli?... Rosyjscy pisarze, mający czelność wywodzić swój ród od Puszkina i Tołstoja — teraz ckliwie i monotennie pielą dytyramby na cześć tyrana. A rosyjscy kompozytorzy, wychowani w konserwatorium przy ulicy Herzena, jeden przez drugiego stali tyranowi pod stopy swoje hymny hołdownicze.

Dla Gleba Nierzyna przez całą młodość były na trwogę nieme dzwony! — i wżarła się korzeniami w mózg chęć, której nie dało się już wyrwać: wszystkiego się dowiedzieć i wszystko zrozumieć! dowiedzieć się i zrozumieć!

I wieczorami, po bulwarach rodzinnego miasta, gdzie raczej godziło się wzdychać do dziewcząt, Gleb spacerował marząc so-

bie, jak to kiedyś wszystko pojmie i być może, dotrze nawet tam, gdzie ci ludzie — wszyscy, co do jednego — brali sami na swoje barki przedśmiertne brzemię fałszu. Może chociaż tam, w tych ścianach stanie się to zrozumiałe?

Nie wiedział jeszcze wtedy, jak nazywa się to najważniejsze więzienie, nie wiedział też, że nasze pragnienia spełniają się zawsze, jeżeli są naprawdę mocne.

Mijały lata. Wszystko spełniło się i ziściło w życiu Gleba Nierżyna, chociaż okazało się wcale nie łatwe ani miłe. Schwytali go i przywieźli — właśnie tam — i spotkał tych ludzi, takich, którzy jeszcze ocalili; nie zdziwiły ich jego domysły i byli w stanie zasięgać ich poszerzyć stokrotnie.

Wszystko spełniło się i ziściło, ale za to Nierżynowi nic nie zostało — ani wiedzy, ani czasu, ani perspektyw życiowych, ani żony... Kiedy wielka namiętność ogarnia naszą duszę, z całą bezwzględnością wypiera z niej wszystko inne; nie ma w nas miejsca na dwie pasje.

... Autobus zatrząsał się na wybojach mostu nad Jauzą i wciąż jeszcze jechał przez jakieś niekończące się, krzywe, niegościnne ulice.

Nierżyn oprzytomniał:

— Więc na Tagankę też nie? No to dokąd? Nic nie rozumiem.

Gerasymowicz, oderwawszy się od tak samo niewesołych myśli, powiedział:

— To Wał Lefortowski. Dojeżdżamy do Lefortowskiego więzienia.

Otwarto bramę przed autobusem. Samochód wjechał na służbowy dziedziniec i zatrzymał się przed pietrową dobudówką wysokiego gmachu więziennego. W drzwiach stał już podpułkownik Klimentiew — bez płaszcza i czapki, młodzieńczy.

Co prawda, mróz był niewielki. Pod gęstym, zachmurzonym stropem niebieskim wisiała zimowa szarość, nie zmacona wiatrem.

Na znak dany przez podpułkownika, nadzorcy wyszli z autobusu, stanęli szeregiem (tylko tych dwóch z tyłu siedziało dalej z pistoletami w kieszeniach) i więźniowie, nie mając czasu na przyjrzenie się głównemu gmachowi więzienia, weszli do wnętrza w ślad za Klimentiewem.

Ciągnął się tam długi, wąski korytarz, w którym stało otworem siedmioro drzwi. Pułkownik szedł przodem i wydawał rozkazy bez chwili wahania, jak podczas bitwy:

— Gerasymowicz — tu! Łukaszenko — tam! Nierżyn — do trójki!...

I więźniowie znikali po kolei w drzwiach.

W ten sam sposób Klimientiew przydzielił każdemu po nadzorcę. Nierżynowi trafił się przebrany gangster.

Wszystkie te pokoiki były gabinetami do przesłuchań: małe, ciemne, a nadto jeszcze zakratowane okno; fotel i biurko dla śledczego pod oknem; mały stoliczek i taboret dla przesłuchiwanego.

Fotel przeniósł Nierżyn bliżej drzwi i zostawił go tam dla żony, sobie zaś wziął niewygodny, mały taborecik ze szparą między deskami, która mogła człowieka szczytnąć. Na podobnym taborecie, przy takim samym nędznym stoliku odsiedział kiedyś sześć miesięcy swojego śledztwa.

Drzwi były dalej otwarte. Nierżyn usłyszał stuk lekkich obcasików żony na korytarzu, rozległ się jej miły głos:

— To te drzwi?

I weszła do pokoju.

XXXV

MASZ MNIE ZDRADZIĆ

Gdy roztrzęsiona ciężarówka, podskakując na gołych korzeniach sosen i wyjąc na piaszczystych odcinkach, zabierała Nadie z frontu, zaś Gleb został daleko na dukiem i ten dukt go pochłaniał wydłużając się, ciemniejąc i zwężając się coraz bardziej — kto by powiedział wtedy, że ta rozłąka nie skończy się razem z wojną, że właśnie wtedy dopiero się zacznie?

Czekać na powrót męża z wojny — zawsze jest ciężko, ale najciężiej w ostatnich miesiącach przed zakończeniem; przecież odłamki i kule nie zastanawiają się, ile ten człowiek już się nawojował.

Właśnie w tym okresie listy od Gleba przestały nadchodzić.

Nadia wybiegała z domu na spotkanie listonosza. Wciąż piła do męża, do jego przyjaciół, do jego dowódców — wszyscy milczeli jak zakłęci.

Wiosną czterdziestego piątego roku co wieczora rżnęły w niebo artyleryjskie saluty, zdobywano, zdobywano, zdobywano miasto po mieście — Królewiec, Wrocław, Frankfurt, Berlin, Pragę.

Tymczasem — listów nie było. Świat szarzał.

Nie chciało jej się brać do żadnej roboty. A nie wolno było tak się załamywać! Jeżeli Gleb żyje, to kiedy wróci — będzie miał jej za złe stracony czas. Więc Nadia pracowała całymi dniami aż do utraty sił, przygotowywała się do aspirantury z chemii, uczyła się obcych języków, kuła materializm dialektyczny — i płakała tylko nocami.

Nagle rejonowa komenda uzupełnień przerwała wypłacanie Nadii zasiłku dla rodzin oficerów.

To znaczyło — że został zabity.

I zaraz potem skończyła się ta czteroletnia wojna. I oszaleli

z radości ludzie wybiegli na rozszalałe ulice. I ktoś strzelał z pistoletu w powietrze. I wszystkie głośniki Związku Sowieckiego grzmiły zwycięskimi marszami nad okrytym ranami, głodnym krajem.

Ale nie powiedziano jej, że zabity, tylko, że zaginął bez wieści.

I ludzkie serce, nigdy nie zdolne do pogodzenia się z okrutną koniecznością, zaczęło zmyślać sobie bajki — może go posłano na głęboki zwiad, na zaplecze wroga? Może wykonuje jakąś misję specjalną? Pokoleniu, wychowanemu w atmosferze podejrzeń i tajemnic, zwidywały się sekrety nawet tam, gdzie ich nie było.

Na dworze było upalne lato, ale słońce wdowom nie świeciło.

Ona zaś wciąż tak samo wkuwała chemię, obce języki i materializm, bojąc się, że mu się nie będzie podobała, kiedy wróci.

I minęły cztery miesiące od końca wojny. I czas już było pogodzić się z tym, że ten człowiek z taką męką kochany, już nie żyje. I wtedy nadszedł zmięty trójkącik z Krasnej Presni: „Kochanie moje! Teraz czekanie potrwa jeszcze dziesięć lat!”

Najbliżsi nie całkiem mogli ją zrozumieć: dowiedziała się, że mąż w więzieniu — i zaczęła promienieć, poweselała. Bo znowu nie była już sama na świecie! Co za szczęście, że nie dwadzieścia pięć i nie piętnaście! Tylko z grobu się nie wraca, a z katorgi ludzie wracają. Teraz, kiedy nie było już mowy o śmierci, kiedy już nie bała się, że ją porzucił, kiedy była już tylko ta pętla na szyi, tylko ten ciężar na barkach — nowe siły wstąpiły w Nadie. Trzymali go w Moskwie — więc trzeba było jechać do Moskwy i tam go ratować! (Wydawało się, że wystarczy być niedaleko, a już można będzie uratować).

Ale jak jechać? Potomni nigdy nie będą w stanie wyobrazić sobie, co to znaczyło wtedy — jechać, a zwłaszcza — do Moskwy. Naprzód (jak to już było w latach trzydziestych) obywatel musiał z pomocą dokumentów wykazać, dlaczego właściwie nie może usiedzieć na miejscu, jaka to konieczność służbowa zmusza go do przysporzenia swoją osobą kłopotu kolejom państwowym. Dopiero potem otrzymywał przepustkę, która dawała mu prawo przez dobry tydzień sterczeć w ogonkach na dworcu, spać na zaplutej podłodze, albo wtykać swoje drżące kubany przez tylne drzwi kasy.

Nadia wpadła na pomysł — żeby starać się o nieosiągalną, moskiewską aspiranturę. I zapłaciwszy potrójną cenę za bilet poleciała samolotem do Moskwy, trzymając na kolanach teczkę

z podręcznikami i filcowe walonki dla męża, na tę tajgę, co go czekała.

Trafiła wtedy na najlepszą w życiu, natchnioną passę, która wynosi na sam szczyt, gdzie pomagają nam jakieś przyjazne siły i wszystko się nam udaje. Najwyższa komisja aspirancka kraju przyjęła nikomu nieznaną parafiankę bez nazwiska, bez pieniędzy, bez stosunków, bez żadnych telefonów...

I okazało się, że to było łatwiejsze, niż dostać widzenie w etapowym więzieniu Krasnaja Presnia. Widzenia jej nie udzielono. Widzeń w ogóle nie udzielano: wszystkie kanały GUŁ-agu były pozapychane — płynął przez nie z Zachodu potok więźniów przekraczający granice wyobraźni.

Ale raz, wyczekując pod drewnianą wartownią odpowiedzi na swoje daremne podania, Nadia była świadkiem, jak zza niemalowanych desek więziennych wrót wyprowadzano kolumnę aresztantów do roboty w porcie rzecznym. I nagle błyskawica szczęśliwego domysłu olśniła Nadię: powiedziała sobie na oślep — Gleb musi tu być!

Prowadzono jakichś dwustu ludzi. Wszyscy oni znajdowali się w tym stadium pośrednim, kiedy człowiek rozstaje się już ze swoim „wolnym” ubiorem i zaczyna wrastać w czarniawoszarą, złachmanioną odzież zeka. Każdy z nich miał na sobie jeszcze coś, co przypominało o przeszłości: wojskową czapkę z kolorowym otokiem, ale już bez paska i gwiazdki, albo chromowe buty, dotychczas nie zamienione jeszcze na chleb i nie zabrane przez urków, albo jedwabną koszulę, która się już rozlaża na grzbiecie. Wszyscy byli ostrzyżeni do skóry, chronili głowy przed letnim słońcem byle czym, wszyscy byli zarośnięci, wszyscy chudzi, niektórzy aż do zupełnego wynędznienia.

Nadia nie szukała wśród nich wzrokiem — od razu wyczuła, gdzie jest Gleb — i zaraz go też zobaczyła: kroczył z rozpiętym kołnierzem wełnianej bluzy, która zachowała jeszcze na kantach czerwone wypustki artylerzysty, a na piersi — nie wypełzłe jeszcze ślady noszonych tu orderów. Trzymał ręce do tyłu, jak wszyscy. Nie patrzył ani na widoczne z górki słoneczne rozłogi, które powinny tak przyciągać wzrok więźnia, ani na boki, gdzie stały kobiety z paczkami (w etapowym więzieniu nie dostawało się listów i Gleb nie wiedział, że Nadia jest w Moskwie). Taki sam pożółkły, taki sam wychudły, jak jego towarzysze, promieniał jednak cały i z widoczną chęcią, z upojeniem słuchał, co mówił sąsiad, siwobrody, dorodny starzec.

Nadia zaczęła biec obok kolumny i wykrzykiwać imię męża — ale nic nie słyszał, przeszkadzała rozmowa i bezustanne ujadanie policyjnych psów. Biegła bez tchu, żeby jeszcze raz i jesz-

cze móc zajrzeć mu w twarz. Tak jej było go żal, że miesiącami gnije w ciemnej, śmierdzącej celi! To było takie szczęście — widzieć go tak blisko! Taką dumę czuła, że go nie złamali! Tak jej było gorzko, że nie wygląda na zrozpaczonego, pewno zapomniał już o żonie! I pierwszy raz zabołało ją, że on przecież ją unieszczęśliwił, że ofiarą jest nie on, tylko ona.

I wszystko to trwało tylko przez chwilę!... Wrzasnął na nią konwojent, straszne, tresowane psy-ludojady rwały się na smyczach sprężone, rozszczekane, czerwonoookie. Nadię odpędzono. Kolumna wpęzła w wąski, spadzisty zaułek — i nie było możliwości przycisnąć się obok niej. Konwojenci zaś z tylnej straży trzymali się tak daleko od ostatniego szeregu, że biegnąc wciąż za nimi Nadia już nie dogoniła kolumny — oddział zszedł w dół i skrył się za jakimś szczelnym płotem.

Wieczorem i w nocy, kiedy mieszkańcy przedmieścia nie mogli tego widzieć — całe zestawy bydłych wagonów wekslowane były pod rampę więzienia; plutony konwojentów z wielkim wymachiwaniem latarniami, przy akompaniamencie gęstego psiego ujadania, krótkich wrzasków, przekleństw i razów — upychali więźniów po czterdziestu do każdego wagonu i tysiącami wywozili na Pieczorę, na Intę, na Workutę, do Sowgawani, do Norylska, do irkuckich, czyckich, krasnojarskich, nowosybirskich, środkowoazjatyckich, karagandzkich, dżezkagańskich, nadbajkalskich, irtyskich, tobolskich, uralskich, sara-towskich, wiackich, wołogodzkich, permskich, solwyczegodzkich, rybińskich, pot'mińskich, suchobezwodzińskich i jeszcze wielu innych, bezimiennych, pomniejszych obozów. Małymi zaś grupkami, po stu, po dwustu — wożono ich we dnie krytymi ciężarówkami do Srebrnego Boru, do Nowej Jerozolimy, do Parszyna, do Chowrina, do Beskudnikowa, do Chimek, Dmitrowa i Sołnecznogorska, nocami zaś do bardzo licznych punktów w granicach samej Moskwy, gdzie za szczelnymi dechami drewnianych płotów, zwieńczonych splotami drutu kolczastego, wznosili zręby wielkiej stolicy...

Los подарował Nadii nieoczekiwaną, ale dobrze zasłużoną nagrodę: tak się stało, że Gleba nie wywieziono za koło podbiegunowe, tylko przesłano do małego obozu umieszczonego w samej Moskwie i budującego dom dla kierownictwa MWD, zatoczony półkołem dom przy Kałuskiej rogatce.

Kiedy Nadia jak na skrzydłach biegła tam do niego na pierwsze widzenie — miała takie uczucie, jakby Gleb już był na poły wolny.

Po Wielkiej Kałuskiej płynęły limuzyny, niejedna należała do jakiegoś dyplomaty; autobusy i trolejbusy miały przystanek aku-

rat tam, gdzie kończyło się ogrodzenie Parku Nieskucznego i gdzie była wartownia obozu, przypominająca zwyczajną portiernię placu budowy; wysoko, na szczycie ściany z kamiennych ciosów grzebali się jacyś tam ludzie w brudnym, złachmanionym odzieniu — ale budowlani wszyscy tak wyglądali i nikt z przechodniów, nikt z przejeżdżających tamtędy ani się domyślał, że to są zeki.

Kto zaś się domyślał — milczał.

Był czas tanich pieniędzy i drogiego chleba. Nadia nie dojadła, sprzedawała swoje rzeczy — i zanosila mężowi paczki. Paczki przyjmowano zawsze. Widzenia zaś dawano nieczęsto — Gleb nie wykonywał normy.

Na widzeniach był nie do poznania. Jak każdy człowiek ambitny stał się lepszy pod wpływem nieszczęścia. Złagodniał, całował żonę po rękach i wypatrywał iskerek w jej oczach. Co tam obóz, przynajmniej to nie było już więzienie! Tak, zginęło mu grzbiet obozowe życie prześcigające swoim okrucieństwem wszystko, co wiadomo o życiu ludożerców i szcurów. Ale starał się świadomie dotrzeć do tej granicy, za którą już siebie nie żał i ze szczerym uporem powtarzał:

— Kochana! Sama nie wiesz, jaki ciężar na siebie bierzesz. Tak, będziesz na mnie czekać rok, nawet trzy lata, nawet pięć — ale im bliżej końca, tym trudniej ci będzie go się doczekać. Najbardziej niezdolne będą ostatnie lata. Nie mamy przecież dzieci. Więc nie marnuj swojej młodości — zostaw mnie! Wyjdź za innego.

Nadia smutnie kiwała głową:

— Szukasz pretekstu, żeby się mnie pozbyć?

Więźniowie gnieździłi się w tym samym domu, który budowali, w jego nie wykończonym skrzydle. Kobiety z paczkami, wychodząc już z trolejbusu, widziały nad płotem dwa, trzy okna izby dla mężczyzn oraz ich samych, stłoczonych za szybami. Czasami wśród mężczyzn migwały również obozowe s z a ł a s ó w k i. Jedna taka objęła kiedyś w oknie swojego obozowego męża i krzyknęła przez płot do żony:

— Co się tu wciąż wałęsasz, prostytutko? Oddaj jeszcze tę paczkę — i fora ze dwora! Jak cię znowu kiedy na wartowni zobaczę — to całą mordę rozdrapię!

Zbliżały się pierwsze powojenne wybory do Rady Najwyższej. Szykowano się do nich w Moskwie nader gorliwie. Trzymać w Moskwie skazanych z artykułu 58 nie miano ochoty (choć ci właśnie dobrze pracowali) i bano się kłopotów (czujność mogła ulec przytępieniu). Aby więc wszystkim napędzić strachu, trzeba było chociaż część stąd wywieźć. Po obozach poszły groź-

ne szepty o niedalekich już etapach na Północ. Więźniowie piekli na drogę kartofle, jeśli kto miał.

Dbając o spokój wyborców zabroniono przed wyborami wszelkich widzeń w moskiewskich obozach. Nadia przestała Glebowi ręcznik z wszytym grypsem:

„Ukochany! Ilekolwiek lat minie i jakiegokolwiek czekają nas burze (Nadia lubiała wyrażać się wzniośle), twoja dziewczyna będzie ci wierna póki życia. Wciąż się słyszy, że wasz „paragraf” ma być stąd wywieziony. Znajdziesz się w dalekich okolicach, będziesz oderwany na długie lata od naszych widzeń, od naszych spojrzeń rzucanych ukradkiem przez druty. Jeżeli w tym beznadziejnie ponurym życiu jakieś przyjemności będą mogły ująć ci trochę ciężaru — cóż, pogodzę się z tym, pozwalam ci, mój kochany, a nawet żądam tego — masz mnie zdradzić, masz szukać sobie innych kobiet. Byle byś tylko nie załamywał się! Nie boję się o nic! Przecież tak czy inaczej ty wrócisz do mnie, prawda?”

XXXVI

TO ŁATWO SIĘ MÓWI — W TAJGĘ!

Nie znając jeszcze nawet dziesiątej części Moskwy Nadia poznała już dobrze dyslokację moskiewskich więzień — tę geografie nieszczęścia. Były one jak się okazało, rozmieszczone na planie stolicy w sposób przemyślany i bardzo regularny, tak że z każdego punktu Moskwy zawsze było blisko do jakiegoś więzienia. Chodząc z paczkami albo po informacje, czy wreszcie na widzenia, Nadia stopniowo nauczyła się rozróżniać wszechzwiązkową Wielką Łubiankę — i Małą, odwodową, dowiedziała się, że więzienia śledcze istnieją przy każdym dworcu i nazywają się KPZ, była nie raz na Butyrkach i na Tagance, wiedziała, jakie tramwaje (choć nie uwidoczniono tego na tabliczkach wskazujących ich trasę) dochodzą do Lefortowskiego więzienia, jakimi zaś można dojechać do więzienia Krasnaja Presnia. Co zaś do więzienia Matroskaja Tiszyna, które spustoszone zostało w siedemnastym roku, a później — odrestaurowane i umocnione — to Nadia mieszkała w bliskim jego sąsiedztwie.

Od chwili gdy Gleba znowu przywieźli z dalekiego łagru do Moskwy, tym razem nie do obozu, tylko do jakiegoś przedziwnego zakładu — do spec-więzienia, gdzie więźniów karmiono dobrze i kazano zajmować się badaniami — Nadia znów zaczęła czasami widywać męża. Ale żony nie miały prawa widzieć, gdzie właściwie przebywają ich mężowie, więc na rzadkie widzenia przywożono ich do różnych moskiewskich więzień.

Najpogodniejsze były widzenia na Tagance. Było to więzienie nie polityczne, tylko złodziejskie i porządki były tam raczej zachęcające. Widzenia odbywały się w klubie straży więziennej, gdzie klucznicy obcowali z muzami przy pomocy akordeonów; więźniów przywożono bezludną ulicą Kamieniarzy otwartym samochodem, żony wyglądały już ich na trotuarze i jeszcze

przed oficjalnym widzeniem każdy mógł objąć swoją kobietę, zatrzymać się przy niej chwilę, powiedzieć to, na co instrukcja nie pozwalała, i nawet przekazać z rąk do rąk to i owo. Samo widzenie też odbywało się w sposób niewymuszony, siedziało się obok siebie i tylko jeden nadzorca przysłuchiwał się rozmowom każdych czterech par.

Butyrki — to w gruncie łagodne, wesołe więzienie, wydawało się żonom czymś mrozącym krew w żyłach. Więźniów, którzy trafiali do Butyrek z Łubianki, cieszyło tu widoczne od razu powszechne lekceważenie dyscypliny: w boksach nie było rażącego oświetlenia, po korytarzach można było chodzić bez trzymania rąk do tyłu, w celi wolno było rozmawiać pełnym głosem, wyglądać przez kawałek okna nie zasłonięty kagańcem, leżeć we dnie na narach, a pod narami — nawet spać. To jeszcze dobre było w Butyrkach, że można było w nocy chować ręce pod płaszczy, że nie odbierali na noc okularów, że pozwalali zabierać zapalniczki do celi, nie patroszyli każdego papierosa w paczce, a chleb z paczek rozcinali tylko na cztery części, nie na drobne kawałeczki.

Żony nie wiedziały o tych wszystkich dobrodziejstwach. Widziały tylko fortecny mur, wysoki na czterech chłopów, ciągnący się wzdłuż ulicy Nowosłobodzkiej od jednej przecznicy do drugiej. Widziały żelazną bramę między potężnymi, betonowymi filarami, przy tym brama też była niezwykła: rozsuwana, powoli odmykająca i zamykająca swoją paszczę, żeby przepuścić więzienną karetkę. A kiedy wpuszczano wreszcie kobiety na widzenie, to naprzód trzeba było przejść przez furtkę w kamiennym murze dwumetrowej grubości, a potem dać się prowadzić między głuchymi ścianami wielosążniowej wysokości, żeby obejść dookoła straszną Basztę Pugaczowa. Widzenia dawano: dla zwykłych zeków — przez podwójne kraty, między którymi przechadzał się nadzorca, zamknięty jakby we własnej klatce; dla zeków zaś z lepszego towarzystwa — z szaraszek — był szeroki stół ze szczelną przegrodą pod spodem, która nie pozwalała siedzącym naprzeciw siebie ludziom stykać się nogami i dawać sobie sygnałów; przy węższym boku stołu siedział nadzorca jak pomnik czujności i wsłuchiwał się w rozmowy. Ale najbardziej przynębiającą w Butyrkach rzeczą było, że mężowie pojawiali się jakby z samych głębin więzienia, na półgodzinne widzenie wyłaniali się z tych wilgotnych, grubych murów, uśmiechali się widmowo, zapewniali, że żyje im się dobrze, że nie brak im niczego — po czym znowu wsiąkali w te ściany.

W Lefortowie widzenie miało się dziś odbyć po raz pierwszy.

Wartownik odfajkował jej nazwisko w spisie i wskazał Nadii parterowy, długi budynek.

W pustym pokoju z dwiema ławami i gołym stołem czekało już kilka kobiet. Na stole stał już pleciony koszyk i zwyczajne torby na zakupy ze sztucznej skóry: widać było, że są pełne prowiantów. I chociaż więźniowie z *szaraszki* wcale nie cierpieli głodu, Nadii, która przyszła z leciutkim chrustem w torebce, zrobiło się przykro i żal, że nawet raz w roku nie może dogodzić mężowi i przynieść mu jakiegoś smakołyku. Ten chrust usmażyła raniutko, kiedy w bursie jeszcze wszyscy spali, usmażyła z resztek białej mąki i cukru, na ostatnich szczyptach masła. Dokupić zaś cukierków albo ciastek już nie zdążyła, zresztą nie starczało już pieniędzy do następnej wypłaty. Akurat tego dnia przypadały też urodziny męża i nie miała dla niego żadnego подарunku! Miała chęć dać mu w upominku jakąś dobrą książkę, ale było to niemożliwe po ostatnim widzeniu: przyniosła mu wówczas Nadia, cudem zdobyty, tom wierszy Jesienina. Dokładnie taki sam Gleb miał na froncie i zabrano mu go przy areszcie. Robiąc do tego aluzję, Nadia napisała na tytułowej stronie:

„Tak samo będzie ci przywrócone wszystko, coś utracił”.

Ale podpułkownik Klimentiew jeszcze w jej obecności wyrwał tę stronicę z dedykacją i zwrócił mówiąc, że żadnych tekstów w przesyłkach być nie może, że teksty muszą iść oddzielnie do cenzury.

Dowiedziawszy się o tym Gleb zgrzytnął zębami i powiedział: „Żadnych więcej książek mi nie dawaj!”

Dookoła stołu siedziały cztery kobiety, jedna z nich, młoda jeszcze, przyszła z trzyletnią córeczką. Nadia nie знаła żadnej. Przywitała się, tamte odpowiedziały i zaraz wróciły do przerwanej rozmowy.

Pod przeciwległą ścianą, na krótkiej ławie siedziała osobno kobieta lat trzydziestu pięciu albo czterdziestu, w bardzo już zniszczonym futrze; na głowie miała szarą chustkę, której puch zupełnie się już wytarł i widać było wyswiechtane oczka gołej włóczki. Założyła nogę na nogę, splótła dłonie, wyciągnęła ręce i z napięciem wpatrywała się w podłogę. Cała jej poza wyrażała zdecydowaną niechęć do podjęcia rozmowy i kontaktu z kimkolwiek. Nie miała w ręku ani obok siebie niczego, co przypominałoby paczkę.

Kobiety gotowe były przyjąć Nadię do towarzystwa, ale Nadia nie miała na to ochoty — ona też ceniła sobie swój dzisiejszy, osobliwy nastrój. Podeszła więc do siedzącej samotnie kobiety i nie chcąc jej przeszkadzać na krótkiej ławce, zapytała:

— Czy można?

Kobieta podniosła oczy. Były zupełnie bezbarwne. Nie można było zorientować się, czy zrozumiała pytanie Nadii. Patrzyła na Nadię, ale jej nie widziała.

Nadia usiadła, schowała dłonie w rękawach, przechyliła głowę w bok, wtuliła policzek w swój kołnierz z podrabianych karakułów. I zastygła, jak tamta.

Nie miała teraz chęci słyszeć niczego, ani myśleć o niczym innym, tylko o Glebie, o rozmowie, którą za chwilę mieli rozpocząć, i o tej tak dawno ciągnącej się sprawie, niknącej we mgle przeszłości i we mgle przyszłości, która nie była tożsama z nim ani z nią, lecz była nią i nim zarazem, i nazywana była zwykle wyblakłym słowem „miłość”.

Ale nie udawało się jej całkiem oderwać i nie słyszeć rozmów przy stole. Mówiono tam właśnie, co dają jeść mężom — co się jada rano, co wieczorem, jak często pierze się bieliznę w więzieniu — skąd wiedziały to wszystko! Czy to możliwe, żeby tracić na to minuty widzenia, cenne jak perły? Obliczały ile też gramów i kilogramów jedzenia przyniosły w swoich paczkach. W tym wszystkim było mnóstwo zapobiegliwej kobiecej troski, która czyni z rodziny — rodzinę i przedłuża trwanie gatunku ludzkiego. Ale Nadia nie myślała tak, tylko przyszła jej do głowy refleksja: jak żałosna jest ta codzienność, jak można tak rozdzielać wielkie chwile na drobne! Czy tym kobietom nie przychodziło do głowy, że lepiej by się zastanowić — kto właściwie śmiał wtrącić do więzienia ich mężów? Przecież mogli być w tej chwili nie za kratą — i nie byłoby im potrzebne to więzienne jedzenie!

Czekanie okazało się długie. Wyznaczono im widzenie o dziesiątej, ale o jedenastej też się jeszcze nikt nie zjawił.

Najpóźniej ze wszystkich, cała zadyszana przyszła siódma kobieta, już siwawa. Nadia pamiętała ją, poznały się na jednym z poprzednich widzeń. To była żona grawera — jego trzecia i zarazem pierwsza żona. Sama opowiadała swoją historię bez żadnych oporów; swego męża zawsze ubóstwiała i uważała za wielki talent. Ale on powiedział, że nie urządzi go jej psychologiczny kompleks, zostawił ją z dzieckiem i znalazł sobie inną. Z tą rudą wytrzymał trzy lata, ale zabrali go na wojnę. Na wojnie zaraz trafił do niewoli, ale w tych Niemczech żył całkiem swobodnie i tam, bardzo to przykre, też miał jakieś romanse. Kiedy wracał z niewoli, to go na granicy aresztowali i wlepili dziesięć lat. Z Butyrek zdążył zawiadomić rudą, że siedzi i że prosi o paczki, ale ruda powiedziała: „Już by lepiej było, gdyby zdradził mnie, a nie naszą ojczyznę! Łatwiej bym mu wtedy wybaczyła”. I wtedy on zaniósł błaganie do niej, do tej pierwszej

zonki — a ona zgodziła się przynosić mu te paczki i chodzić na widzenia — i teraz on już uprasza o przebaczenie i przyrzeka jej wieczną miłość.

Nadia zapamiętała sobie, jak przy tej relacji żona grawera z goryczą mówiła: wychodzi na to, że jeżeli mężowie siedzą w więzieniu, to najlepiej byłoby ich zdradzać, bo wtedy będą nas bardziej cenić, kiedy już wyjdą. Inaczej sobie jeszcze pomyślała, żeśmy nikomu nie byli przez ten czas potrzebne, że po prostu nikt nas nie chce.

Nowoprzybyła zmieniła zaraz kierunek rozmowy przy stole. Zaczęła opowiadać o swoich tarapatach z adwokatami w poradni prawnej na ulicy Nikolskiej. Poradnia ta długi czas nosiła tytuł „wzorcowej”. Adwokaci z tej poradni ściągali z klientów grube tysiące i byli częstymi gośćmi moskiewskich restauracji, nie nadając sprawom swoich klientów żadnego biegu. W końcu jednak przebrali miarkę. Wszystkich aresztowano, wszystkim wlepiono po dziesięć lat, zdjęto szyldzik „wzorcową”, ale — już nie w charakterze wzorowej — poradnia wypełniła się nowymi adwokatami, a ci znów zaczęli ściągać grube tysiące i znów sprawy ich klientów wcale się nie posuwają. Rozmiary tych żądań adwokaci w cztery oczy usprawiedliwiali tym, że muszą dzielić się z kimś, że biorą nie tylko dla siebie. Jak tu było sprawdzić, może oni tam z nikim się nie dzielili, tylko robili przejryste aluzje, że się dzielą, że sprawy przechodzą ponoć przez wiele rąk? Przed betonową ścianą prawa bezsilne kobiety stały jak przed butyryskim murem wysokim na czterech chłopów — nie miały skrzydeł, żeby wzbic się i przelecieć nad nim, mogły więc tylko kłaniać się nisko przed każdą otwierającą się furtką. Bieg spraw urzędowych za tym murem wydawał im się tajemniczym wiroowaniem kół olbrzymiej maszyny, z której jednak — wbrew oczywistości winy, wbrew całej sprzeczności interesów oskarżonego i tych, którzy go wsadzili — mogą jednak, jak na loterii, cudem po prostu wyskakiwać szczęśliwe losy. Toteż nie za taki los, lecz za marzenie o wygranej, kobiety płaciły adwokatom.

Żona grawera wierzyła niezachwianie, że w końcu wygra. Z jej słów wynikało, że zgromadziła czterdzieści tysięcy — ze sprzedaży pokoju, z tego, co krewni pomogli — i że wszystkie te pieniądze wyszastała na adwokatów. Adwokaci zmieniali się już cztery razy, złożono trzy prośby o łaskę i pięć skarg kasacyjnych; śledziła bacznie tok tych skarg, a tu i ówdzie obiecano już jej nawet przychylne rozpatrzenie sprawy. Znała z nazwiska wszystkich dyżurnych prokuratorów trzech naczelnych prokuratur, nadyszała się powietrza poczekalni Sądu Najwyższego i Rady Najwyższej. Jak to bywa z wieloma łatwowiernymi ludźmi, zwłaszcza z kobietami, przeceniała znaczenie każdego słowa otu-

chy i każdego mniej surowego spojrzenia.

— Pisać trzeba! Trzeba do wszystkich pisać! — powtarzała energicznie namawiając inne kobiety do pójścia tą samą drogą. — Nasi mężowie tu się dręczą. Wolność nie przyjdzie do nich sama. Trzeba pisać!

To opowiadanie też wytrąciło Nadię z nastroju i też ją zabołało. Te, które słuchały pełnych zapału słów starszej się żony grawera, bezwiednie musiały dojść do wniosku, że prześcignęła i przechytryła je wszystkie, że uda jej się na pewno wyciągnąć swojego męża z więzienia — i zaraz rodził się wyrzut: a ja? Dlaczego ja tego nie potrafiłam? Czemu to ja nie okazałam się tak wierną towarzyszką losu?

Nadia tylko raz miała do czynienia z „wzorcową” poradnią, napisała pod okiem adwokata tylko jedną prośbę, zapłaciła mu tylko dwa i pół tysiąca — chyba więc za mało, bo obraził się i palcem nie kiwnął.

— No tak — powiedziała półgłosem, jakby tylko do siebie — czy zrobiliśmy wszystko? Czy nasze sumienie jest czyste?

Przy stole nie usłyszano jej, rozmowa toczyła się dalej. Ale sąsiadka nagle obróciła głowę ostrym ruchem, tak jakby Nadia ją szturchnęła albo obraziła.

— A co w ogóle można zrobić? — powiedziała z nieprzyjazną dobitnością. — Przecież to wszystko nie ma sensu! Pięćdziesiąty ósmy artykuł — to trzymać pod kluczem bezterminowo. Pięćdziesiąty ósmy, to nie przestępca, tylko wróg! Z pięćdziesiątego ósmego — nie da się wykupić nawet za miliony!

Twarz miała całą w zmarszczkach. W jej głosie słychać było wystąle, czyste już cierpienie.

Nadia poczuła przypływ serdeczności do tej starszej kobiety. Tonem, który miał zrównoważyć podniosłość słów, odezwała się:

— Chciałam tylko powiedzieć, że nie jesteśmy dość ofiarne... Przecież żony dekabrystów nie pożałowały niczego, zostawiały wszystko, co miały i szły... Jeżeli nie ma mowy o zwolnieniu — to może chociaż można wyjednać zesłanie? Wystarczyłoby mi, gdyby go zesłali choćby w głąb tajgi, za koło podbiegunowe, tam gdzie nigdy nie widać słońca — pojechałabym za nim, wszystko bym zostawiła...

Kobieta o surowej twarzy zakonniczki, w wytartej szarej chustce, ze zdziwieniem i szacunkiem spojrzała na Nadię:

— Pani ma jeszcze siły na tajgę? Jaka pani szczęśliwa! Ja nie mam sił na nic. Myślę, że gdyby pierwszy lepszy dobrze sytuowany staruch zgodził się teraz ożenić ze mną — to zaraz bym poszła.

Nadia drgnęła:

— I pani byłaby w stanie porzucić?... A on... za kratą?...

Kobieta wzięła Nadię za rękaw płaszcza:

— Miła moja! Łatwo było kochać w dziewiętnastym wieku! Żony dekabrystów! Czy to w ogóle było z ich strony bohaterstwo? Czy personalni wzywali je może i kazali wypełniać ankiety? Czy musiały może kryć się ze swoim małżeństwem, jak z wstydliwą chorobą? — żeby nie przepędzono z pracy, żeby nie wyzuto z tych jedynych pięciuset rubli miesięcznie? Czy może były bojkotowane we wspólnych mieszkaniach? Czy może na podwórzu, przy studni syczano na nie, że są wrogami ludu? Czy rodzone matki i siostry skłaniały je może do rozsądku i popychały do rozwodu? Ależ przeciwnie! Gdziekolwiek stąpały, snuł się za nimi szmer zachwyty najlepszego towarzystwa. Łaskawie obdarzały poetów legendami o swoich bohaterskich czynach. Ruszając na Sybir we własnych, zbyt kownych karetach, nie traciły razem z moskiewskim meldunkiem nieszczęsnych dziewięciu metrów kwadratowych, ostatniego swojego schronienia, i nie myślały nawet o takich drobiazgach, jak płama w książce pracy, jak mieszkanie w komórce — i że garnka nie ma, i że czarnego chleba brak!... Łatwo to powiedzieć — w tajgę! Pani chyba jeszcze bardzo krótko czeka!

Omali już nie traciła głosu. Tyle pasji było w tych porównaniach, że łzy napłynęły Nadii do oczu.

— Niedługo będzie pięć lat, jak mąż siedzi — sumitowała się — a jeszcze front...

— Frontu proszę nie liczyć! — sprzeciwiła się kobieta ostro. — Na froncie, to co innego! To nie tak ciężko czekać! Wszyscy wtedy czekają. Można chociaż otwarcie mówić, czytać listy! A jeżeli trzeba czekać i jeszcze to ukrywać, co??

Tu przerwała. Zobaczyła, że Nadii nie trzeba tego tłumaczyć.

Było już pół do dwunastej. Wszedł nareszcie podpułkownik Klimientiew w towarzystwie tęgiego, patrzącego wilkiem chorążego.

Chorąży zaczął przyjmować paczki, patrosząc fabryczne pudełka biszkoptów i przełamując na pół każdy pasztecik domowego wyrobu. Chrust Nadii też cały połamał, szukając listu, albo pieniędzy, czy może trucizny. Klimientiew odebrał od wszystkich zawiadomienia, zapisał odwiedzających do wielkiej księgi, następnie wyprostował się po wojskowemu i oznajmił dobitnie:

— Uwaga! Regulamin jest wam znany? Widzenie — trzydzieści minut. Więźniom niczego dawać nie wolno. Od więźniów niczego nie wolno przyjmować. Zabrania się pytać więźniów o pracę, o warunki życiowe, o rozkład dnia. Wykroczenie prze-

ciw tym przepisom jest prawnie ścigane. Dalej — od dzisiejszego widzenia włącznie zabrania się podawania ręki i pocałunków. W razie przekroczenia tego przepisu — widzenie natychmiast zostanie przerwane.

Przybite kobiety milczały.

— Gerasymowicz Natalia Pawłowna! — wywołał Klimientiew pierwszą z nich.

Sąsiadka Nadii wstała z miejsca i twardo postukując przedwojennymi, zelowanymi walonkami, wyszła na korytarz.

XXXVII

W I D Z E N I E

Mimo wszystko, mimo że w trakcie oczekiwania musiała sobie popłakać, Nadia wchodziła do pokoju widzeń w świątecznym nastroju.

Kiedy zjawiła się w drzwiach, Gleb już podniósł się z miejsca na jej spotkanie i uśmiechał się. Ten uśmiech trwał tyle co jeden krok jego i jeden krok jej, ale wystarczył, aby wszystko w niej się rozradowało: jest jej tak samo bliski, jak dawniej! Nic się między nimi nie zmieniło!

Facet z byczym karkiem, w miękkim, szarym garniturze, przypominający emerytowanego gangstera, podszedł do małego stoliczka i przegrodził w ten sposób wąski pokój, nie pozwalając im zbliżyć się do siebie.

— Ależ chociaż za rękę! — oburzył się Nierzyn.

— Nie dozwolone — odparł strażnik, ledwie racząc poruszyć swoją ciężką szczęką.

Nadia uśmiechała się bezradnie, ale dała znak mężowi, żeby nie wszczynał sporu. Usiadła na przygotowanym dla niej foteliku: spod jego skórzanego obicia wyłaziły kłakami pakuły. Krzesło to przeżyło już kilka pokoleń oficerów śledczych, którzy doprowadzili do grobu setki ludzi i sami wkrótce podażyli za nimi.

— No, więc przyjm najlepsze życzenia! — powiedziała Nadia, starając się mówić z ożywieniem.

— Dziękuję.

— Co za traf — że właśnie dzisiaj!

— Dobra gwiazda...

(Przyzwyczajali się do rozmawiania ze sobą).

Nadia zrobiła wysiłek, żeby nie zwracać uwagi na wzrok

nadzorcy i na przygniatającą jego obecność. Gleb starał się siedzieć w ten sposób, żeby chwiejny taboret nie uwierał go.

Mały stoliczek dla podejrzanych rozdzielał ich.

— Żeby już więcej o tym nie mówić: przyniosłam ci tam trochę chrustu, wiesz, takiego, jak mama robiła? Daruj, że nic więcej.

— Głuptasku, tego też nie trzeba! Mamy wszystko.

— Ale chyba chrustu nie ma? A książek nie kazałeś przynosić... Czytasz Jesienina?

Nierzyn spochmurniał. Minął przeszło miesiąc od chwili, gdy ktoś doniósł Szykinowi o Jesieninie. Szykin zabrał książkę twierdząc, że Jesienin jest zabroniony.

— Czytam.

(Wszystkiego pół godziny, gdzie tu czas na detale!)

Chociaż w pokoju wcale nie było gorąco, raczej przeciwnie — bo nie palono, Nadia rozpięła i rozchyliła kołnierz — chciała, żeby mąż zobaczył nie tylko uszytą w tym roku szubkę, o której jakoś słowa nie powiedział, lecz również nową bluzkę — i żeby pomarańczowy kolor tej bluzki ożywił trochę jej cerę, na pewno ziemistą w mętным świetle padającym z tego okna.

Jednym płynnym ślizgiem spojrzenia Gleb ogarnął postać żony — jej twarz, i szyję, i wycięcie bluzki. Nadia drgnęła pod tym spojrzeniem — najważniejszym w całym spotkaniu — i cała podała się jakby w jego stronę.

— Masz nową bluzkę. Pokaż.

— A futerko? — zrobiła smutną minę.

— Futerko?

— Futerko jest nowe.

— A, rzeczywiście! — domyślił się wreszcie Gleb. — Nowe futerko! — i przyjrzał się lepiej czarnym, karbowanym barankom, nie wiedząc nawet, że to karakuły, mniejsza, sztuczne czy prawdziwe, i w ogóle będąc ostatnim spośród tych, którzy potrafiliby odróżnić imitację za pięćset rubli od futra za pięć tysięcy.

Obsunęła teraz futerko z ramion. Zobaczył jej szyję, po dawnemu krągłą i panieńską, szczupłe ramiona, które niegdyś ścisnął w objęciach, a pod marszczeniami bluzki — piersi zwiotczałe w ciągu tych lat.

I krótka, przykra myśl, że ona ma — jakby nigdy nic — nowe stroje, nowe znajomości, na widok tych zwiotczałych piersi ustąpiła miejsca gryzącemu współczuciu; koła szarej karetki więziennej stłamsiły także jej życie.

— Jesteś chudziutka — powiedział z ubolewaniem — powinnaś się lepiej odżywiać. Nie możesz jadać lepiej?

„Jestem nieładna?” — mógł przeczytać w jej spojrzeniu.

„Jesteś wciąż tak samo cudowna” — odpowiedział jej wzrokiem. (Chociaż te słowa nie należały do zakazanych przez podpułkownika, ale niesposób było wymówić je przy kimś obcym...)

— Dobrze się odżywiam — skłamała. — Po prostu życie takie niespokojne, ciągle szarpanina.

— Opowiedz, jak to jest.

— Nie, naprzód ty.

— Ach, co tam — ja? — uśmiechnął się Gleb. — Jako tako.

— Bo widzisz... — zaczęła ze skrzepowaniem.

Nadzorca stał o pół metra od stolika i — tęgi, podobny do buldoga — patrzył z góry na dół na tę parę z takim skupieniem i taką pogardą, jaką widać na mordach kamiennych lwów patrzących sprzed wrót na przechodniów.

Koniecznien trzeba było znaleźć jakiś ton niedostępny jego rozumieniu, skrzydlaty język półaluzji. Wyższość ich inteligencji, z której oboje zdawali sobie dobrze sprawę, powinna była im zapewnić znalezienie tego tonu.

— To twój garnitur? — przerzuciła się na inny temat.

Nierżyn zmrużył oko i komicznie potrząsnął głową.

— Gdzie tam! Pełni potiomkinowskie funkcje. Na trzy godziny. Nie przejmuj się sfinksem.

— Kiedy nie mogę — wysunęła smutnie wargi z dziecięcą kokieterią, już pewna, że dalej mężowi się podoba.

— Mamy już zwyczaj rozpatrywać to w aspekcie humorystycznym.

Nadia przypomniała sobie rozmowę z panią Gerasymowicz i westchnęła.

— A my nie.

Nierżyn spróbował objąć kolanami kolana żony. Ale poprzeczka stolika — umieszczona na takiej wysokości, aby podejrany nie mógł wyprostować nóg — nie pozwoliła mu na to. Stolik zachwiał się. Opierając się na nim łokciami, pochylony w stronę Nadii, Gleb powiedział z rozdrażnieniem:

— No i tak wszędzie. Same przeszkody.

„Jesteś moja? Moja?” — pytał spojrzeniem.

„Jestem tą, którą kochałeś. Nie zmieniałam się na gorsze! Wierz mi!” — błyszczało w jej szarych oczach.

— A jak tam z kłopotami przy pracy? No, opowiadaj. Więc już nie jesteś na aspiranturze?

— Nie.

— Więc obroniłeś już pracę dyplomową?

— Też nie.

— Jak to możliwe?

— A tak... — i zaczęła mówić bardzo szybko, przestraszona, że dużo już czasu minęło. — Nikomu trzech lat nie starcza na obronę pracy, więc przedłużają, dają dodatkowe terminy. Na przykład jedna z aspirantek pisała dwa lata rozprawę „Problemy żywienia zbiorowego” i kazali jej zmienić temat... (Ach, po co to wszystko? To w ogóle nie ważne!...)

— ...Moja rozprawa jest gotowa i przepisana, ale wciąż jakieś nowe przeróbki... („Walka z czołobitnością wobec Zachodu” — ale czy to człowiek zdoła tu wyjaśnić?...)

— ...i te różne odbitki, fotografie, jeszcze nie wiadomo, jak i gdzie oprawię. Trzeba tylu zabiegów...

— Ale stypendium dostajesz?

— Nie.

— Z czego się więc utrzymujesz?

— Z pensji.

— Więc pracujesz? Gdzie?

— Też tam, na uniwersytecie.

— Kim tam jesteś?

— Nieetatowe, przyszywane stanowisko, rozumiesz? W ogóle, wszędzie na ptasi sposób... W bursie też jestem ptasim prawem. Ja właściwie...

Zerknęła bokiem na strażnika. Miała zamiar powiedzieć, że na milicji powinni byli już dawno ją wymeldować ze Stromynki i tylko omyłkowo przedłużyli jej moskiewski meldunek jeszcze na pół roku. To mogło wyjść na jaw każdego dnia! Ale tym bardziej nie można tego było mówić w obecności sierżanta MWD!...

— ...przecież dzisiejsze widzenie też dostałam... to było tak... (Ach, ale w ciągu pół godziny wszystkiego nie opowie!...)

— Zaczekaj, o tym potem. Chcę cię zapytać, czy nie masz kłopotów związanych z e m n ą ?

— Są nawet bardzo ewidentne, kochany... Dają mi... chcą mi dać spectemat... Próbuje się wymówić...

— Co to znaczy — s p e c t e m a t ?

Westchnęła bezradnie i znów zerknęła na strażnika. Jego gęba, napuczona tak, jakby czyhał na okazję do nagłego szcęknięcia albo odgryzienia jej głowy, wisiła nie dalej niż o metr od ich twarzy.

Nadia rozłożyła ręce. Musiałaby wyjaśniać, że nawet na uniwersytecie prawie nie prowadzono już badań nie poufnych. Powierzenie zaś komuś zadania poufnego oznaczało nową, jeszcze bardziej szczegółową ankietę, dotyczącą męża, krewnych męża i powinowatych tych krewnych. Jeśli napisze tam: „Mąż skazany na podstawie pięćdziesiątego ósmego paragrafu”, to nie tylko nie dadzą tego tematu, ale nawet nie pozwolą bronić pracy

dypłomowej. Jeżeli poda fałszywe dane — „mąż zginął bez wieści” to będzie musiała tak czy owak wymienić jego nazwisko — a wtedy wystarczy sprawdzić w kartotece MWD i będzie sądzona za wprowadzenie władzy w błąd. Istniała jeszcze trzecia możliwość. Ale starając się nie myśleć o niej bo czuła na sobie uważne spojrzenie Gleba, Nadia zaczęła opowiadać z ożywieniem:

— Wiesz, jestem w uniwersyteckim kółku dramatycznym. Wciąż nas posyłają na jakieś występy. Niedawno grałam w Sali Kolumnowej i to w programie z udziałem Jakuba Zaka, tego pianisty...

Gleb uśmiechnął się i pokiwał głową, jakby nie mógł uwierzyć.

— ... W ogóle to był wieczór dla związków zawodowych, przypadkiem tak się złożyło, no, ale jednak... i wiesz, śmieszna historia — najlepszą moją suknię odrzucili, powiedzieli, że nie mogę w niej wyjść na scenę, zadzwonili do teatru, przywieźli mi inną, wspaniałą, do samej ziemi.

— Zagrałaś w niej — i zaraz kazali zdjąć?

— Aha. I w ogóle, to dziewczęta mają mi za złe, że interesuję się muzyką. A ja im powiedziałam: lepiej interesować się czymś, niż kimś...

Nierzyn patrzył na żonę z wdzięcznością i niepokojem.

— Chwileczkę, ale jak z tym spectematem...

Nadia zacięła się i schyliła głowę.

— Chciałam ci powiedzieć... Tylko się nie przejmuj — to *nicht wahr* — kiedyś sam tak nalegałeś, żebyśmy się... rozwiedli... — dokończyła zdania zupełnie cicho.

(To była właśnie ta trzecia możliwość — jedyna, dająca jakąś szansę w życiu!... — to znaczy, żeby pisać nie „rozwódka”, bo w ankiecie i tak, rzecz jasna, trzeba by podać nazwisko byłego męża i obecny adres byłego męża, i nazwiska rodziców byłego męża, a nawet ich rok urodzenia, zawód, i adres — tylko, żeby pisać „niezamężna”).

Owszem, kiedyś nalegał... A teraz aż zadrżał. I dopiero w tej chwili zauważył, że Nadia nie ma na ręku pierścionka zaręczynowego, z którym nigdy się nie rozstawiała.

— Ależ tak, oczywiście — powiedział bardzo stanowczym tonem.

— Więc czy... czy ty będziesz miał coś przeciw temu... jeżeli... trzeba będzie tak zrobić?... — podniosła głowę z wysiłkiem. Miała rozszerzone oczy. W jej szarych, promieniście cętkowanych tęczówkach paliła się prośba o łaskę, o zrozumienie. — To tylko p s e u d o — dodała bezdźwięcznie, samym tylko oddechem.

— Brawo. Najwyższy czas! — powiedział Gleb z akcentowaną stanowczością, nie mając w głębi duszy ani pewności, ani przekonania i odsuwając na później, po widzeniu wszelkie refleksje.

— Może to się okaże zbędne! — powiedziała błagalnym tonem i naciągnęła znów palto na ramiona; miała w tej chwili wygląd zmęczony, udręczony. — Ja tylko tak, na wszelki wypadek, żeby uzgodnić samą zasadę. Może obejdzie się bez tego.

— Nie, dlaczego, masz słuszną rację, brawo — powtarzał Gleb wciąż to samo, wewnątrz zaś przygotowywał się już do powiedzenia jej wreszcie o tej najtrudniejszej sprawie z jego spisu.

— Najważniejsze, kochana, żebyś miała jasną świadomość rzeczy. Nie rób sobie zbyt wielkich nadziei w związku z końcem mojego wyroku!

Sam Nierżyn był kompletnie przygotowany do dalszego, bezterminowego siedzenia w więzieniu, co stało się już udziałem wielu jego towarzyszy. Nie mógł o tym żadną miarą jej napisać, więc musiał powiedzieć teraz.

Na twarzy Nadii pojawił się wyraz lęku.

— Wyrok, termin — to pojęcia umowne — tłumaczył jej Gleb oschle i szybko, akcentując w zdaniu zupełnie przypadkowe wyrazy, żeby nadzorcę zbić z tropu. — Przeszłość może wrócić — po spirali. Historia zna mnóstwo przykładów. A jeżeli nawet rzecz cudem znajdzie swój finał, to nie trzeba myśleć, że wrócimy razem do naszego miasta, do naszego dawnego życia. W ogóle zrozum to, uświadom to sobie i zapamiętaj, że do krainy przeszłości nie sprzedaje się już biletów. Ja, na przykład, najbardziej żałuję, że nie jestem szewcem. Jak to się może przydać w jakiejś, powiedzmy, osadzie wśród tajgi, gdzieś za Krasnojarskiem, czy w dolnym biegu Angary! Trzeba szykować się tylko do takiego życia. Kto ma tam głowę do funkcji Eulera!

Cel został osiągnięty: emerytowany gangster nawet nie drgnął, dążył tylko spłoszonymi mrugnięciami kwitować wypowiedane przez Gleba myśli.

Ale Gleb zapomniał — nie, nie zapomniał, nie rozumiał (jak nie rozumieli oni wszyscy), że ci, co przyzwyczaili się do stąpania po ciepłej, szarej ziemi — nie potrafią tak raptownie wzbic się nad zamarzłe skały, nie potrafią. Nie rozumiał, że jego żona — dziś tak samo, jak na początku — niestrudzenie i metodycznie liczyła dni i tygodnie jego kary. We własnym pojęciu otwierała się przed nim jasna, chłodna nieskończoność, ona zaś liczyła, że zostało jeszcze dwieście sześćdziesiąt cztery tygodni, sześćdziesiąt jeden miesięcy, nieco więcej

niż pięć lat — znacznie więc mniej, niż minęło od chwili, gdy wymaszerował na wojnę, żeby już z niej nie wrócić.

Jego słowa sprawiły, że lęk na twarzy Nadii zamienił się w przerażenie.

— Nie, nie! — zaczęła wykrzykiwać szybko. — Nie mów tak do mnie, kochany! (już zapomniła o nadzorcy, już nie wstydziała się swoich uczuć). Nie odbieraj mi nadziei! Nie chcę w to uwierzyć! Nie mogę uwierzyć temu! To się po prostu nie może zdarzyć!... Czy ty mogłeś przypuścić, że ja cię naprawdę porzucę?!

Jej górna warga drgnęła, twarz skaził grymas, jej oczy pełne były oddania, samego tylko oddania.

— Wierzę, wierzę, kochanieńka ty moja! — Glebowi głos się załamał. — Tylko tak to rozumiałem.

Zamilkła, wyczerpało ją to podniecenie.

W otwartych drzwiach pokoju zjawił się zuchowaty, czarniawy podpułkownik, bacznie przyjrzał się trzem pochyłonym ku sobie głowom i skinął na strażnika.

Były torreador odszedł od stolika z taką niechęcią, jakby odrywano go od deseru i zbliżył się do podpułkownika. O cztery kroki za plecami Nadii zamienili zaledwie kilka słów, ale Gleb zdążył przez ten czas zapytać przyciszonym głosem:

— Znasz żonę Sołogdina?

Nadia, mając już długą apurę, szybko się dostosowała:

— Znam.

— Wiesz, gdzie mieszka?

— Wiem.

— Nie daję mu widzeń, powiedz jej, że on...

Gangster wrócił do stolika.

— ...kochaj! Wierzy w nią! Nie traci nadziei! — dzieląc głoski powiedział Gleb już w jego obecności.

— Kocha — wierzy w nią — nie traci nadziei — powtórzyła Nadia ze smutnym westchnieniem. I spojrzała na męża z nową uwagą. Obserwowała go latami, z całą kobiecą wnikliwością, znała już w nim wszystko, ale teraz zobaczyła go jakby na nowo.

— Do twarzy ci — powiedziała z odcieniem żalu.

— Z czym?

— Ze wszystkim. Z tym, co tu jest, z całym tym życiem — starała się zamaskować sens, zmieniając ton i barwę głosu, tak aby zmylić nadzorcę.

Ale ta aureola nie czyniła go jej bliższym.

Nadia także obiecywała sobie, że dopiero później, po widzeniu, przemyśli sobie i zgłębi wszystko, co teraz zobaczyła i czego się dowiedziała. Nie miała jeszcze pojęcia, czym to się skończy, ale już teraz, zawczasu, szukała intuicyjnie w nim słabości, zmę-

czenia, niemocy, wołania o pomoc — tego wszystkiego, co dla kobiety jest powodem, by poświęcić resztę życia, czekać choćby jeszcze drugie dziesięć lat i pojechać w ślad za nim w głąb tajgi.

Ale on uśmiechał się! Uśmiechał się z taką samą pewnością siebie, jak wtedy na Krasnej Presni! Zawsze był samowystarczalny, nigdy nie było mu potrzeba niczyjego współczucia. Na gołym, malutkim taborecie tak siedział, jakby mu było całkiem wygodnie, rozglądał się tak, jakby doznawał satysfakcji, że tu też znajduje materiał do swoich wniosków. Wyglądał zdrowo, oczy mu błyszczały. Czy w ogóle potrzebne mu było jej oddanie?

To wszystko nie zdążyło jeszcze stać się świadomą myślą.

Gleb zaś nie odgadł, o jakie ona myśli się otarła.

— Już czas! — powiedział Klimientiew stając w drzwiach.

— To już? — zdumiała się Nadia.

Gleb zmarszczył czoło, starając się przypomnieć sobie, co jeszcze tak ważnego zawarte było w spisie, który wbił sobie w pamięć przed widzeniem.

— Aha! Nie dziw się, jeżeli mnie stąd przeniosą gdzieś daleko, jeżeli zupełnie przestaną nadchodzić listy.

— To możliwe? Dokąd?! — zawołała Nadia.

Taką nowinę mówi dopiero teraz!

— Bóg wie — powiedział poważnie i wzruszył ramionami.

— Cóż to, w Boga zacząłeś wierzyć!?

(O niczym nie zdążyli pomówić!)

Gleb uśmiechnął się:

— Pascal, Newton, Einstein...

— Komu było powiedziane — żadnych nazwisk! — wrzasnął nadzorca. — Kończyć, kończyć już!

Mąż i żona podnieśli się z miejsc równocześnie i teraz, już bez ryzyka, że pozbawią go widzenia — Gleb nad stolikiem objął Nadię za szczupły kark, pocałował ją w szyję i wpił się w miękkie wargi, których całkiem już zapomniał. Nie miał nadziei, że za rok będzie jeszcze w Moskwie i że znów je ucałuje. Głos drgnął mu z przypływu czułości:

— Rób wszystko tak, żeby dla ciebie było najlepiej. A ja...

I nie skończył zdania.

Patrzyli sobie z bliska w oczy.

— Co to ma być? Co ma być? Odbieram widzenie! — wrzeszczał nadzorca i odciągał Nierżyna za ramię.

Nierżyn oderwał się od stołu.

— A odbieraj, lichu cię weź — mruknął prawie niedosłyszalnie.

Nadia cofała się tyłem do drzwi, podniosła dłoń i samymi tylko palcami bez pierścionka kiwała mężowi na pożegnanie.

I zniknęła tak za futryną.

XXXVIII

JESZCZE JEDNO

Państwo Gerasymowicz pocałowali się na przywitanie.

Mąż był niziutki, ale żona obok niego wcale nie wydawała się wyższa.

Nadzorował ich chłopak prosty i cichy. Wcale im tego pocałunku nie żałował. Krępowało go nawet, że musiał zawadzać im przy spotkaniu. Już by wolał nawet odwrócić się do ściany i postać tak przez te pół godziny, ale gdzie tam: podpułkownik Klimientiew kazał pootwierać wszystkie siedmioro drzwi na korytarz, aby stamtąd samemu nadzorować nadzorców.

Podpułkownikowi też wcale nie zależało na zabranianiu ludziom pocałunków, wiedział dobrze, że nie zostaną przy tej czynności zdradzone żadne sekrety państwowej rangi. Ale sam miał się na baczności przed własnymi nadzorcami i własnymi więźniami — niektórzy z nich byli informatorami — i mogli kapać na samego Klimientiewa.

Państwo Gerasymowicz pocałowali się więc.

Ale nie był to jeden z tych pocałunków, które kazały im drżeć niegdyś, w młodości. Pocałunek ten, skradziony władzom i losowi, był pocałunkiem bez barwy, bez smaku i zapachu — pocałunkiem bladym, takim, jakim obdarza się umarłego, który zjawił się nam we śnie.

A potem usiedli, przedzieleni stolikiem dla podejrzanych; stolik miał blat ze sfałdowanej sklejki.

Ten mały, byle jak sklecony stolik miał historię bogatszą niż niejedna ludzka istota. Przez wiele lat z rzędu siedzieli przy nim, płakali przy nim, mdleli ze strachu, walczyli z niszczycielską bezsennością, rzucali dumne i gniewne słowa, albo podpisywali nędzne donosy na bliźnich — aresztanci, mężczyźni i kobiety. Nie dawano im zwykle do rąk ołówków ani piór — chyba

tylko dla pisania osobistych wersji zeznań, co zdarzało się rzadko. Ale nawet piszący te zeznania potrafili pozostawić na nierównym blacie ślady swojej bytności — dziwne, faliste albo kanciaste linie i figurki, jakie rysuje się bezwiednie i w których odbijają się tajemniczym sposobem sekrety ludzkich dusz.

Gerasymowicz przyglądał się swojej żonie.

Jego pierwszą myślą było — jak też zbrzydła! Oczy w głębokich obwódkach, zmarszczki koło ust i oczu, cera zwiotczała; wydawało się, że Natasza zupełnie już o nią nie dba. Paletko nosiła przedwojenne jeszcze, dawno już prosiło się choćby o przecinowanie, futro na kołnierzu wytarło się i wyliniało, a chustka — chustka była przedpotopowa, zdaje się kupiona jeszcze w Komsomolsku nad Amurem, na przydział, w Leningradzie chodziła w niej po wodę, do Newki.

Ale Gerasymowicz zdusił w sobie tę podłą myśl, że żona zbrzydła, myśl podnoszącą łeb z samych nizin świadomości. Siedziała przed nim kobieta jedyna na świecie, jego druga połowa. Miał przed sobą kobietę, z którą splatało się wszystko, co jego własna pamięć zachowała. Jakaż inna dziewczyna, najładniejsza nawet, ale z obcą, niedostępną jego rozumieniu duszą, pełną zupełnie innych, króciutkich wspomnień — mogłaby przesłonić mu żonę?

Natasza nie miała jeszcze osiemnastu lat, kiedy poznali się w pewnym mieszkaniu na Średniej Podiaczeskiej, koło Lwiego Mostku, w samą noc noworoczną tysiąc dziewięćset trzydziestego roku. Za sześć dni minie dwudziesta rocznica.

Natasza skończyła zaledwie dziewiętnaście lat, kiedy aresztowano go po raz pierwszy. Za sabotaż...

Pierwsze lata pracy inżyniera Hilarego Pawłowicza Gerasymowicza zbiegły się z okresem, kiedy termin „inżynier” jeszcze jakoś mało się różnił od terminu „wróg”. Do dobrego tonu należało wtedy widzieć w każdym inżynierze — sabotażystę. Gerasymowicz zaś, zaraz po ukończeniu instytutu zaczął chodzić w binoklach, bo był krótkowzroczny i — wypisz wymaluj — wyglądał na inteligena z plakatów antyszpiegowskich. Za młodu kłaniał się każdemu grzecznie, czy trzeba, czy nie trzeba, i mówił „przepraszam najmocniej” bardzo uniżonym tonem. A na zebraniach wołał wcale się nie odzywać i siedział cicho jak myszka. Sam nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo wszystkich drażni.

Ale chociaż bardzo chciano przyszyć mu cokolwiek, sprawa w żaden sposób nie dała się naciągnąć na więcej niż na trzy lata. A nad Amurem — zaraz uwolniono go spod konwoju.

I narzeczona przyjechała w ślad za nim na zesłanie, aby wziąć tam ślub.

Rzadko której nocy nie śnił się wtedy im obojgu Leningrad. I już mieli wracać tam, w trzydziestym piątym. Ale wtedy właśnie zaczęły walić tłumy w odwrotnym kierunku...

Natalia Pawłowna też teraz wpatrywała się w męża. Ta twarz zmieniała się kiedyś w jej oczach, twardniały te wargi, błyskały przez szkła tych binokli coraz chłodniejsze, coraz surowsze spojrzenia. Hilary zaprzestał kłaniania się na wsze strony, przestał powtarzać swoje „najmocniej przepraszam”. Ciągłe mu wytykano teraz przeszłość, tu go wyrzucano z pracy, ówdzie — dawano etat zbyt niski niż pozwalały kwalifikacje, jeździli więc wciąż z miejsca na miejsce, klepali biedę, stracili córeczkę, stracili synka. I machnąwszy już na wszystko ręką postanowili wrócić do Leningradu. Akurat w czerwcu czterdziestego pierwszego roku...

Tym bardziej tutaj nie mogli urządzić się znośnie. Ankieta wisiała nad Gerasymowiczem. Ale on, to widmo laboratoryjne, wcale nie cherłał od takiego życia, tylko męzniał. Zniósł dobrze jesienne kopanie umocnień. A gdy spadł pierwszy śnieg, został grabarzem.

Złowieszcze to rzemiosło było w obłożonym mieście zajęciem najbardziej niezbędnym i najbardziej dochodowym. Żeby oddać ostatnią posługę swoim zmarłym — pozostali przy życiu gotowi byli wyrzec się swojej nędznej kromki chleba.

Nie można było jeść tego chleba bez dreszczu! Ale Hilary znalazł takie oto usprawiedliwienie — nas nikt nie żałował, to i my nie będziemy żałować nikogo!

Udało im się obojgu uratować życie. Tylko po to, aby jeszcze przed końcem blokady Hilary został aresztowany za z a m i a r zdrady kraju (w Leningradzie wzięto wielu właśnie tak — za z a m i a r, bo nie można było przecież przypisywać z d r a d y komuś, kto nie był nawet pod okupacją).

Natalia Pawłowna przyglądała się teraz mężowi, ale — rzecz dziwna — nie dostrzegała w nim śladów tych ciężkich lat. Zza błyszczących binokli oczy jego spoglądały z rozumną powściągliwością. Nie miał zapadłych policzków, nie widać było zmarszczek, garnitur miał z dobrego materiału, krawat — starannie zawiązany.

Można było pomyśleć, że to nie on, tylko ona siedziała w więzieniu.

I jej pierwszą niedobłą myślą było, że w tym specwężeniu nieźle mu się widać żyje, pewno, przecież on nie wie, co to

szukany, zajęty jest swoją działalnością naukową, i nawet nie pomyśli, co żona musi wycierpieć.

Ale zaraz odpędziła od siebie tę złą myśl.

I zapytała słabym głosem:

— No, jak tam u ciebie?

Tak, jakby trzeba było przez dwanaście miesięcy czekać na to widzenie, przez trzysta sześćdziesiąt nocy wspominać męża na wychłodłym wdowim łóżku, żeby spytać: „No, jak tam u ciebie?”

I Gerasymowicz, z zamkniętym w wąskiej piersi całym tym życiem, które nigdy nie pozwoliło siłom jego umysłu rozprężyć się i rozkwitnąć, z całym światem więziarskiego żywota w tajdzie i na pustyni, w śledczych pojedynkach, a teraz — wśród wygód zakładu zamkniętego, odpowiedział:

— Tak sobie...

Mieli przydzielone dla siebie pół godziny. Ziarenka sekund niecofnioną strużką sypały się w szklane gardło Czasu. Dziesiątki pytań, życzeń, skarg szukały sobie ujścia przed innymi — Natalia Pawłowna zaś zapytała:

— Kiedyś dowiedział się o widzeniu?

— Przedwczoraj. A ty?

— We wtorek... Podpułkownik zapytał mnie przed chwilą, czy nie jestem przypadkiem twoją siostrą.

— Bo to samo imię ojca?

— Właśnie.

Kiedy byli jeszcze narzeczeństwem, a także później, nad Amurem, wszyscy brali ich za rodzeństwo. Mieli w sobie to szczęśliwe zewnętrzne i wewnętrzne podobieństwo, które czyni z męża i żony coś więcej niż stadło małżeńskie.

Hilary Pawłowicz zapytał:

— Jak tam z twoją pracą?

— Dlaczego pytasz? — drgnęła cała. — To już wiesz?

— Bo co takiego?

Wiedział coś nie coś, ale nie miał pojęcia, czy wie to, co wie ona.

Wiedział, że na wolności żony więźniów są prześladowane.

Ale skąd miał wiedzieć, że zeszłej środy żonę wyrzucono mu z pracy, bo była jego żoną? Przez te trzy dni, wiedząc już o zbliżającym się terminie widzenia, nie szukała sobie nowej pracy — czekała na spotkanie z mężem, jakby zdarzyć się mógł jakiś cud i nowe światło mogło opromienić na tym widzeniu jej całe życie, wskazując właściwą drogę.

Ale jakąż drogę mógł jej wskazać on, tyle lat już siedzący

za kratą i wcale nie orientujący się w stosunkach zewnętrznych?

A chodziło też o niebłahą radę: wyrzec się go, czy nie wyrzec...

W tym szarym, źle opalonym gabinecie, w mętnej jasności zakratowanego dnia — mijały minuty widzenia i gasła nadzieja na cud.

I Natalia Pawłowna rozumiała, że w ciągu tej biednej pół godziny nie zdoła dać mężowi pojęcia o swojej samotności i udręce, że jego życie toczy się po jakichś własnych torach, na swój uregulowany sposób i że i tak on nic nie zrozumie, a może lepiej wcale go nie denerwować.

Nadzorca odszedł na bok i jął przyglądać się tynkowanej ścianie.

— Powiedz, powiedz coś o sobie — mówił Hilary Pawłowicz trzymając nad stołem dłoń żony w swoich dłoniach i w jego oczach świeciła się ta sama serdeczność, która zapalała się dla niej nawet podczas najokrutniejszych miesięcy blokady.

— Larku! A nic ci tu się nie... będzie... zaliczać?...

Chodziło jej o stosowany w obozie nad Amurem tryb zaliczania każdego dnia przepracowanego — jako dwóch dni kary, przez co jej odsiadywanie kończyło się wcześniej.

Hilary pokiwał głową przecząco:

— Skąd! Tu nigdy żadnych zaliczeń nie było, sama wiesz przecież. Tu trzeba mieć na koncie jakiś wielki wynalazek — tak, wtedy skracają karę. Ale sęk w tym, że tutejsze wynalazki... — zerknął spod oka na nadzorcę, który stał już w pół-obrocie — mają charakter... nader niepożądany...

Nie był w stanie mówić jaśniej!

Wziął obie dłonie żony i ocierał się o nie lekko policzkami. Tak, w skutym lodem Leningradzie brał bez jednego drgnięcia dzienną rację chleba za pochówek od kogoś, kto jutro już miał sam być pochowany.

A teraz — nie mógł...

— Smutno ci samej? Bardzo smutno, co? — pytał pieszczotliwie i muskał policzkiem dłoń żony.

Smutno?... już w tej chwili drętwiała przecież na myśl, że widzenie przecieknie między palcami, że zaraz się skończy, że wyjdzie z pustymi rękoma na Wał Lefortowski, na ponure ulice — sama, sama, sama... Otępiająca bezcelowość każdego zajęcia i każdego dnia. Ani słodkie to, ani ostre, ani gorzkie — życie, jak szara wata.

— Natalko! — gładził jej ręce. — Jeżeli porównać z tymi dwoma wyrokami, to przecież całkiem mało już zostało. Tylko trzy lata. Tylko trzy...

— Tylko trzy?! — przerwała mu ze wzburzeniem, poczuła, że głos jej drży i już przestała nad nim panować. — Tylko trzy?! Dla ciebie to tylko! Dla ciebie to dosyć, Bogu dziękować, że charakter niepożądany! Ty jesteś tu wśród przyjaciół! Ty masz tu swoją ulubioną pracę! Ciebie tu nie zapraszają do gabinetów, za drzwi obite materacem! A ja — dostałam wy mówienie! Nie mam już pieniędzy na życie! Nigdzie mi nie dadzą pracy! Ja już nie mogę dłużej! Nie mam już sił! Nie przeżyję już tak nawet miesiąca! Miesiąca! Lepiej, żebym zaraz umarła! Sąsiedzi pomiatają mną, jak im się żywnie podoba, wyrzucili moją walizkę, zerwali moją półkę ze ściany — wiedzą, że nie śmiem pisać... że mogę być wysiedlona z Moskwy! Przestałam chodzić w odwiedziny do sióstr, do cioci Żeni, one wszystkie robią sobie ze mnie pośmiewisko, mówią, że takiej drugiej idiotki nie ma pewno na świecie! Wciąż mnie tylko namawiają, żebym się z tobą rozwiodła i wyszła za męża. Kiedy to się skończy? Spójrz, co się ze mnie zrobiło! Mam trzydzieści siedem lat! Za trzy lata będę już stara! Wracam do domu — i nie gotuję obiadu, nie sprzątam pokoju, znienawidziłam go, padam na kanapę i leżę tak bez sił. Larku, rodzony, no zrób coś, żeby wypuścili cię wcześniej! Toć masz genialną głowę! No wymyśl im coś! Ra-tuj mnie! — Ra-tuj! Ra-tuj!

Wcale nie chciała tego mówić, już tego żałowała!... Trzęsąc się od łkań i całując drobną dłoń mężowską, przypadła głową do nierównej, szorstkiej powierzchni stolika, który widział już wiele takich łez.

— No, niech się obywatelka uspokoi, nie trzeba — powiedział strażnik skruszonym tonem, z bojaźnią zerkając na otwarte drzwi.

Twarz Gerasymowicza zastygła w grymasie, za binoklami coś zaśniło.

Łkanie rozlegało się aż w korytarzu. Podpułkownik stał w drzwiach z groźną miną, spojrzał pogardliwie na plecy siedzącej kobiety i sam zamknął drzwi.

Litera instrukcji wprawdzie bezpośrednio nie zabraniała łez, ale jej prawdziwy duch nie dawał na nie prawa.

XXXIX

TERAZ MŁODZI

— Ależ nic nadzwyczajnego: trzeba rozcieńczyć trochę zwykłego chlorku do prania i pędzelkiem po paszporcie szast-prast... Trzeba tylko wiedzieć, ile minut ma działać — i zaraz zmyć.

— No, a później co?

— A jak wyschnie, to ani śladu — czysty, jak nowy, można zaraz siadać i znów naskrobać tuszem, że Sidorow albo jaki Pietruszyn, urodzony we wsi Kryuszy...

— I ani razu panu noga się nie powinęła?

— Przy tej robótce? Klaro Pietrowna!... Albo może... Tylko czy pani wybaczy mi taką śmiałość?...

— ?

— ...i pozwoli mi mówić — póki nikogo tu nie ma — po prostu Klara?...

— ...Niech pan mówi...

— Więc rozumie pani, droga Klaro, pierwszy raz wpadłem tylko dlatego, że byłem bezbronnym i naiwnym pacholęciem. Ale za drugim razem — hoho! I wytrzymałem mimo tych ogólnokrajowych listów gończych nie w bylejakim czasie, tylko od końca czterdziestego piątego do końca czterdziestego siódmego, to znaczy, że musiałem podrabiać nie tylko paszport i nie tylko stemple meldunkowe w nim, ale też zaświadczenie z miejsca pracy, zaświadczenie na kartki żywnościowe i dowód przydziału do sklepu! Jeszcze nawet dodatkowe kartki na chleb udało mi się dostawać — sprzedawałem je i z tego żyłem.

— Ale to przecież... bardzo niedobra rzecz...

— A kto mówi, że dobra! Zmuszono mnie do tego, nie ja to wymyśliłem.

— A nie mógł pan po prostu pracować?

— „Po prostu” wiele człowiek nie zarobi. Cierpliwością

i pracą ludzie zdrowie tracą, wie pani? I kim bym właściwie był? Nie pozwolili mi zdobyć fachu... Wpadać — nie wpadałem, ale zdarzały mi się omyłki. Na Krymie jedna dziewczyna z wydziału paszportowego... tylko proszę zaraz nie pomyśleć, że coś tam nas łączyło... po prostu taka litościwa dusza, więc zdradziła mi tajemnicę, że w samej serii mego paszportu, wie pani, te wszystkie ŻSZ, LH — zawarte są poufne wskazówki, że byłem pod okupacją.

— Ale przecież pan nie był!

— Fakt, ja nie byłem, ale paszport przecież był nie mój! I musiałem przez to kupować nowy.

— Gdzie?

— Klaro, mieszkała pani w Taszkencie, bywała pani na Tiozykowym bazarze i pyta pani — gdzie?! Miałem tam chęć kupić sobie jeszcze order Czerwonego Sztandaru, dwóch tysięcy mi zabrakło, miałem przy sobie osiemnaście, a on się uparł — dwadzieścia mu daj i tyle!

— A na co panu był order?

— A na co innym order? Tak sobie, po prostu chciałem zadać trochę szyku, że też byłem na froncie. Ba, gdybym to ja miał taką trzeźwą głowę, jak pani...

— Skąd pan to wziął, że taka jestem trzeźwa?

— Trzeźwa, chłodna i jeszcze to spojrzenie, takie... rozsądne.

— Akurat!

— Całe życie marzyłem, żeby spotkać dziewczynę obdarzoną trzeźwym rozsądkiem.

— A po co panu taka?

— A bo sam jestem wartogłów, więc żeby mi nie pozwalała robić głupstw.

— No, niech pan dalej opowiada, proszę.

— Na czym to stanałem? Aha! Kiedy wyszedłem z Łubianki, to aż mi się w głowie kręciło ze szczęścia. Ale gdzieś został i siedzi dalej taki mały stróż i wciąż pyta: co za cuda? Jak to możliwe? Przecież nikogo nigdy nie puszczają wolno, to już mi pod celą dokładnie wyjaśnili: winien, nie winien — dziesięć w zęby, piątka na przytarcie rogów — i jazda do obozu.

— Co to znaczy na przytarcie rogów?

— No, namordnik na pięć lat.

— A co to jest namordnik?

— Boże mój, jaka niewykształcona osoba. I to ma być córka prokuratora! Że też pani nie zainteresuje się, co właściwie tatuś robi? „Namordnik” — to znaczy, że gryźć nie można. Pozbawienie praw cywilnych. Nie można ani wybierać, ani być wybranym.

— Chwileczkę, ktoś idzie...

— Gdzie? Nie ma co się obawiać, to Ziemiela. Niech pani siedzi, jak siedziała, bardzo proszę! Proszę się nie odsuwać. Proszę otworzyć ten skoroszyt. O, tak, niech pani to przegląda... Od razu wtedy skapowałem, że puścili mnie tylko, żeby dalej śledzić — z kim z chłopaków się będę spotykać, czy nie pojedą znów na daczę do Amerykanów, no i widzę, że to nie życie, wsadzą tak czy siak znowu. Więc ich wystawiłem do wiatru! Pożegnałem się z mamą, wyszedłem z domu nocą — i pojechałem do jednego typu. To on właśnie nauczył mnie tego wszystkiego. I przez dwa lata listy gończe latały za Rościszawem Doroninem po całym kraju. A ja pod obcymi nazwiskami — do Azji Środkowej, nad Issyk-Kul, na Krym, do Mołdawii, do Armenii, na Daleki Wschód... Ale później okropnie zatęskniłem za mamą. A tu wracać do domu ani-ani! Pojechałem więc do Zagorska pod Moskwą, nająłem się na fabrykę za jakiegoś tam pajaca, za pomocniczą siłę, mama do mnie przyjeżdża co niedziela. Popracowałem tak sobie parę tygodni — i zasnęłam raz, spóźniłam się do roboty. Pod sąd! Miałem sprawę!

— I wszystko się wykryło?!

— Nic się nie wykryło! Pod cudzym nazwiskiem oberwałem trzy miesiące, siedzę na kolonii karnej, a tu po całym kraju listy gończe: Rościszaw Doronin! Oczy niebieskie, nos prosty, włosy blond puszyste, brodawka na lewym ramieniu. Wykosztowali się na mnie! *Odpuściłem* te swoje trzy miesiące, odebrałem paszport od obywatela komendanta i posunąłem na Kaukaz!

— Znowu w celach turystycznych?

— Hm! A czemu nie?

— No, a kiedy jednak...

— Wpadłem? Jak mi się studiów zachciało!

— Widzi pan — jednak ciągnęło pana do uczciwego życia. Studiować trzeba, to ważne, to czysta sprawa.

— Boję się, Klaro, że nie zawsze taka czysta. Już później, w więzieniach, w łagrach przemyślałem to sobie. Jeżeli twój profesor nic, tylko drży o swoją pensję, boi się, że straci stanowisko, to czy zawsze aby nauczy się człowiek od niego samych czystych rzeczy? I to na wydziale humanistycznym? Pani przecież uczyła się na technicznym?

— Na humanistyce też już byłam.

— I dała pani spokój? Potem mi pani opowie. Więc powinienem był poczekać trochę, wydostać jakieś świadectwo ukończenia dziesięciolatki, nawet nie trudno było je kupić, ale — lekkomyślność, oto co nas gubi! Myślę sobie: co za idiota może mnie jeszcze szukać, takiego szczeniaka! Na pewno już dawno

zapomnieli! Wziąłem stare, własne świadectwo — i złożyłem na uniwersytecie, tylko już na leningradzkim i na wydział geografii.

— A w Moskwie był pan na historii?

— Nabrałem smaku do geografii przez te wędrowki. Diabło ciekawe! Pojeździ sobie człowiek — i tylko się rozgląda: góry, doliny, tajga, subtropiki! I ludzie jacy rozmaici! No, więc cóż? Pochodziłem sobie na uniwersytet jakiś tydzień, a tu — chaps! — i znów mnie mają! I teraz to już dwadzieścia pięć lat! I w tundry, na praktykę uniwersytecką, tam jeszcze mnie nie było!

— I pan śmieje się mówiąc o tym?

— A co tu płakać? Jak by nad wszystkim człowiek płakał, Klaro, to łez by nie starczyło. Czy to ja jeden taki! Posłali mnie na Workutę, a tam już kupa takich młojców! Węgiel kopią! Cała Workuta na zekach się trzyma! Cała Północ! To przecież spełnienie marzeń Thomasa Moora, wie pani?

— Czyich marzeń?... Wstyd mi, tylu rzeczy nie wiem.

— Thomasa Moora, tego dziadźki, co „Utopię” napisał. Miał facet sumienie twierdzić, że w najdoskonalszym nawet społeczeństwie pozostaną zawsze jakieś poniżające albo szczególnie ciężkie prace do wykonania. I że nikt nie zechce ich się podejmować. Więc komu by tu je poruczyć? Po chwili namysłu Moore wpadł na świetny koncept: chyba w społeczeństwie socjalistycznym też trafiać się będą sprawcy wykroczeń przeciw porządkowi publicznemu. Im tedy trzeba poruczyć wykonanie tych poniżających i szczególnie ciężkich prac. I w ten sposób łagry wymyślił Thomas Moore, bardzo stara koncepcja!...

— Nie mogę jakoś tego zrozumieć. Żeby ktoś tak żył w naszej epoce, żeby podrabiać paszporty, jeździć z miasta do miasta, płynąć, jak łupinka po morzu... Nigdy nie spotkałam jeszcze nikogo w tym rodzaju.

— Klaro, ja też nie jestem w tym rodzaju! Warunki mogą człowieka zamienić w diabła! Wie przecież pani — byt określa świadomość! Ja właśnie byłem grzecznym chłopczykiem, słuchałem mamy, czytałem Dobrolubowa „Promień światła w państwie mroku”. Wystarczyło, że milicjant kiwnie na mnie palcem, już mi serce zamiera. Człowiek w to wszystko wrasta stopniowo. A co miałem robić? Czekać jak królik, aż mnie powtórnie wsadzą?

— Nie wiem co innego jeszcze zostawało, ale tak żyć?... Wyobrażam sobie, jak to dręczy — być stale wyłączonym ze społeczeństwa! Być jakimś wyrzutkiem, kimś zbędnym...

— No, czasem dręczy. A czasem, wie pani, wcale nie tak bardzo dręczy. Bo jak człowiek przejdzie się po takim Tiozyko-

wym bazarze, jak popatrzy... Bo jeżeli są na sprzedaż nowiutkie orderzy z jeszcze niewypełnionymi zaświadczeniami — to przecież chyba gdzieś musi pracować jakiś przekupny facet, nie? I gdzie, pytam? Wyobraża pani sobie?... I w ogóle, tak pani powiem, Klaro: osobiście głosuję za uczciwym życiem, bezwzględnie, ale żeby wszyscy, rozumie pani? — żeby wszyscy, co do jednego!

— Ale jeżeli każdy będzie czekał, aż inni zaczną, to nigdy się nie doczekamy. Każdy powinien...

— Każdy powinien, ale nie każdy chce. Słuchajcie, kochana, ja pani powiem to prościej. Przeciw czemu zrobiono rewolucję? Przeciw przywilejom! Co ruskiego człowieka najbardziej muliło? Przywileje. Jeden chodził w łachmanach, a drugi — w sobolach, jeden kusztykał na pieczę, a drugi w faetonie, jedni gnali na gwizdek do fabryki — a drudzy mordy sobie paśli po restauracjach. Racja?

— Oczywiście.

— Słusznie. Ale dlaczego to dzisiaj ludzie nie uciekają od przywilejów, tylko starają się o nie? I co tu mówić o takich szczeniakach jak ja? Czy to się ode mnie zaczęło? Ja przecież zawsze tak jak starsi. I napatrzyłem się też, jej! Mieszkam w niedużym miasteczku, w Kazachstanie. I co widzę? Żony miejscowych ważniaków może chodzą kiedy do sklepu? A nigdy! Mnie samego posłano raz do pierwszego sekretarza rejkomu ze skrzynką makaronu. Z całą skrzynką. Jeszcze z pieczęciami. Można się domysleć, że nie tylko ta skrzynka była i nie tylko tego dnia...

— Tak, to okropne! Mnie samą zawsze obrzydzenie brało, jak to widziałam, pan uwierzy?

— Cemu nie, uwierzę. Dlaczego nie wierzyć żywemu człowiekowi? Prędzej uwierzę niż książce, co ma milion egzemplarzy nakładu... I właśnie te przywileje — to się szerzy wśród ludzi jak zaraza. Jeżeli ktoś może tylko nie kupować w tym sklepie, co wszyscy — to na pewno z tego skorzysta. Jeżeli ktoś może leczyć się w specjalnej klinice — to na pewno będzie tam się leczyć. Jeżeli może jeździć specjalnie przydzielonym samochodem — to na pewno będzie nim jeździć. Jeżeli dowie się, że gdzieś miód kapie i że tam potrzebna przepustka — to na pewno zacznie zaraz starania o tę przepustkę.

— Co to, to racja! To okropne!

— A jeżeli może od innych odgrodzić się płotem — to musi się odgrodzić. I sam przecież, sukinsyn, jak był mały, to przełaził przez kupieckie płoty, żeby narwać cudzych jabłek — i miał rację! A teraz stawia sobie sam płot wysoki na dwóch chłopów,

i do tego szczerzy, żeby czasem nikt nie zajrzał, bo tak mu jakoś przytulniej, uważa pani! — i myśli, że znowu ma rację!

— Panie Rościśławie...

— Jaki ja tam Rościśław, do licha? Ruśka i tyle.

— Trudno mi jakoś tak mówić do pana.

— No, to wstanę i pójde sobie. O, właśnie dzwonią na obiad. Dla wszystkich jestem — Ruśka, a dla pani... tym bardziej... Nie życzę sobie inaczej.

— No, dobrze... Ruśka... Ja też nie jestem taka głupia. Wiele już przemyślałam. Z tym trzeba walczyć! Ale nie pańską metodą, ma się rozumieć.

— A ja wcale jeszcze nie zacząłem walczyć. Ja tylko tak sobie pomyślałem — jak równość, to równość dla wszystkich, a jak nie — to pies to je... Och, niech mi pani wybaczy... Och, przepraszam, ja wcale nie chciałem... No i od samego dzieciństwa widzi człowiek co następuje: w szkole mówią mu takie ładne rzeczy, a zaraz za jej progiem — kroku nie robi bez znajomości, a czasem i bez łapówki, no i rośnie taki człowiek na cwaniaka — tylko cwany wygrywa!

— Nie! Nie! Tak nie wolno! W naszym ustroju społecznym jest tyle rzeczy sprawiedliwych! To już pan przesadził! Tak nie wolno! Pan dużo widział, to prawda, wiele przeżył, ale „tylko cwany wygrywa” to nie może być życiową filozofią. Tak nie można!

— Ruśka, był dzwonek na obiad, słyszałeś?

— Dobra, Ziemiela, idź, ja za chwilę... Klaro! Mówię to pani z całą powagą, uroczystie: z duszy — serca bym chciał żyć zupełnie inaczej! Ale gdybym miał przyjaciela obdarzonego trzeźwym rozsądkiem... albo przyjaciółkę... Gdybym mógł z nią wszystko obmyśleć, jak należy. Jak urządzić sobie życie według słusznych zasad. Nie wiem, czy można powiedzieć pani wszystko...

— Można.

— Z jakim przekonaniem powiedziała to pani! Tak w ogóle, to nie można... Pani ma takie pochodzenie... Pani jest z zupełnie innych kręgów...

— Ja miałam nie takie łatwe życie, niech pan nie myśli... Ja potrafię pana zrozumieć.

— Wczoraj i dzisiaj tak życzliwie pani na mnie patrzyła, że naprawdę chciałby człowiek zwierzyć się pani, jak najbliższej istocie...

— ...

A tak w ogóle, to przecież tylko zewnętrznie tak się zdaje, że więzień, że dwadzieścia pięć lat i że to wszystko. Ja... O, gdybym mógł pani powiedzieć, na jakim ostrzu noża teraz

właśnie balansuję... Każdy normalny człowiek już by dawno umarł na atak serca... Ale to kiedyś indziej... Klaro! Chce pani powiedzieć, że mam w sobie wulkaniczne zapasy energii! Dwadzieścia pięć lat, to głupstwo, mogę raz-dwa stąd dać nogę! Nawet dziś rano już sobie kombinowałem, jak bym to wszystko mógł urządzić tu, w Mawrinie. Od tego samego dnia, w którym by moja narzeczona — gdyby tylko istniała taka na świecie — powiedziała mi: Ruśka! Uciekaj! Czekam na ciebie! — przysięgam pani, nie minęłyby nawet trzy miesiące, a już bym uciekł, i tak bym paszport wyszykował, żeby nikt się za Boga nie domyślił! Zabrałbym ją do Czyty, do Odessy, do Wielkiego Ustiuğa! I tam rozpoczelibyśmy nowe, uczciwe, rozumne, wolne życie!

— Ładne życie!

— Pamięta pani, jak u Czechowa bohaterowie zawsze powtarzają: zobaczycie za dwadzieścia lat, za trzydzieści! za dwieście lat!... Pracować by ciężko cały dzień w cegielni, a wieczorem wracać, czując to zmęczenie! Też marzenia!... Nie, to wszystko żarty! Nie, ja całkiem serio! Ja całkiem poważnie chcę się uczyć, chcę pracować! Tylko nie sam! Klaro! Proszę popatrzeć, jak cicho, wszyscy już poszli. Chce pani ze mną do Wielkiego Ustiuğa? To prastare miasto, historyczne. Jeszcze mnie tam nie było.

— Zadziwiający z pana człowiek!

— Szukałem jej sobie na leningradzkim uniwersytecie. Ale ani się spodziewałem, gdzie w końcu znajde.

— Kogo?

— Klaro, kochanie! Kobięca ręka może ulepić ze mnie jeszcze kogo tylko zechce — wielkiego hochsztaplera, genialnego szulera albo najznakomitszego specjalistę od wykopalisk etruskich czy od promieni kosmicznych. Chce pani, to nim zostanę?

— Sfałszuje pan dyplom?

— Nie, zostanę naprawdę! Kim pani każe mi być, tym będę. Tylko p a n i jest mi potrzebna! Potrzebna mi jest ta głowa, którą tak wolno ku mnie obraca pani, gdy wchodzi do pracowni...

XL

KOBIETA SZOROWAŁA SCHODY

Generał-major Piotr Afanasjewicz Makarygin, kandydat praw, dawno już czynny był jako prokurator do spraw szczególnej wagi, to znaczy takich, których treść nie powinna być znana opinii i które dlatego rozpatrywano w trybie tajnym. Był z niego prokurator — jeśli nawet nie znakomity, to w każdym razie nie tuzinkowy, kamiennie surowy przy pełnieniu służbowych obowiązków.

Miał trzy córki, wszystkie trzy z pierwszego małżeństwa. Pierwsza jego żona, frontowa towarzyszka z czasów wojny domowej, zmarła przy narodzinach Klary. Wychowywała córki już macocha, która zresztą godnie zastąpiła im prawdziwą matkę.

Córki nosiły imiona: Dinera, Dotnara i Klara. Dinera znaczyło *DITia Nowoj ERY*¹, Dotnara — *DOcz Trudowego NARoda*². Klara zaś — to była po prostu Klara, sens tego imienia nie był znany w rodzinie.

Różnica wieku między córkami wynosiła po dwa lata. Średnia, Dotnara, skończyła dziesięciolatkę w czterdziestym roku, wyprzedziła Dinere i wyszła za mąż miesiąc wcześniej niż ona, wiosną czterdziestego pierwszego. Była wtedy smukłą dziewczyną z jasnymi lokami do ramion, bardzo lubiła chodzić z narzeczonym do „Metropolu” i tańczyć między stolikami. Ojciec sarkał, że za wcześnie, ale co miał robić. Wprawdzie zięć trafił się, jak należy — absolwent Wyższej Szkoły Dyplomatycznej, błyskotliwy, cieszący się poparciem możnych protektorów, syn znanego działacza, który zginął w czasie wojny domowej. Nazywał się Inocenty Wołodin.

1. Dziecię Nowej Ery.

2. Córa Ludu Pracującego.

Starsza córka, Dinera — podczas gdy matka jeździła do szkoły, żeby odkręcać jej dwójki z matematyki — kołysała nóżką diabła na kanapie i zdążyła przeczytać całą literaturę powszechną — od Homera do Claude Farrere'a. Po maturze, nie bez pomocy ojca, wstąpiła na wydział aktorski Instytutu Kinematografii, zaraz na drugim roku wyszła za mąż za dosyć znanego reżysera, ewakuowała się z nim do Alma-Aty, zagrała główną rolę w jego filmie, później rozwiodła się z nim na skutek różnicy w poglądach na sztukę, wyszła za mąż za żonatego już generała z intendentury i wyjechała z nim na front — właśnie na te pozycje trzeciego rzutu, najlepsze miejsce na wojnie, gdzie nie dolatują pociski wroga i nie docierają też gorzkie troski zaplecza. Tam poznała pewnego wchodzącego w modę pisarza, korespondenta frontowego Gałachowa, jeździła z nim na front zbierać dla gazety materiały o bohaterstwie, zwróciła generała jego pierwszej żonie, sama zaś z literatem wyjechała do Moskwy. Od tych czasów pisarz bardzo poszedł w górę. Dinera prowadziła salon literacki, słynęła jako jedna z najznakomitszych moskiewskich intelektualistek i to właśnie ona była bohaterką znanego epigramatu:

*Milczenie z tobą miłsze niż rozmowa:
I tak byś mi nie dała dojść do słowa.*

Od ośmiu więc lat tylko Klara była jeszcze przy rodzicach. Nikt o Klarze nie mówił, że jest piękna, zresztą rzadko kto określał ją słowem „ładna”. Miała jednak czystą, pełną prostoty twarz o nieco męskim charakterze. Jakaś twardość rysowała się w kątach czoła. Była też w ostrych ruchach jej rąk. Śmiała się rzadko. Nie lubiła wiele mówić, wołała się przysłuchiwać.

Kończyła właśnie dziewiątą klasę, kiedy posypało się wszystko naraz: zamążpójście obu siostr, wybuch wojny, wyjazd z macochą do Taszkientu, na ewakuację (ojciec wysłał je już dwudziestego piątego czerwca) i odjazd ojca do wojska w randze prokuratora dywizji.

Trzy lata spędzili w Taszkencie w domu starego przyjaciela ojca — zastępcy jednego z naczelników prokuratorów Uzbekistanu. Do spokojnego ich mieszkania — w pobliżu Okręgowego Klubu Oficerskiego, na pierwszym piętrze, z oknami dobrze zabezpieczonymi i zasłoniętymi — nie docierał ani południowy skwar, ani nieszczęścia, których pełne było miasto. Z Taszkientu wzięto na wojnę wielu mężczyzn, ale dziesięciokrotnie więcej ich tu przyjechało. I chociaż każdy z nich mógł wykazać z pomocą przekonujących dokumentów, że jego miejsce jest tu, nie zaś

na froncie, Klara nie mogła opanować wrażenia, że zalewa ją potok brudów. Nieubłagane dawało tu o sobie znać odwieczne prawo wojny; chociaż ludzie nie szli na front ochotniczo, jednak wszyscy najzapaleńsi i najlepsi znajdowali tam drogę i tam też oni ginęli najgęściej. Pięć tysięcy wiorst stąd — duch sięgał wyżyn, spełniała się czysta ofiara, tu zaś życie pokazywało Klarze tylko same swoje małe pociągające strony.

W Taszkencie skończyła dziesięciolatkę. Nie było zgody co do kierunku jej przyszłych studiów. Jej samej jakoś nigdzie specjalnie nie ciągnęło, nic się w niej jeszcze nie wyklarowało. Zdecydowało zdanie Dinery: bardzo, bardzo nalegała w listach i osobiście, kiedy wpadła przed wyjazdem na front, żeby Klarcia poszła na literaturoznawstwo.

Więc wstąpiła, chociaż jeszcze ze szkolnych czasów dobrze wiedziała, że nudna ta cała literatura; u Gorkiego wszystko bardzo słuszne, ale jakieś nie bardzo pociągające; Majakowski — bardzo na linii, ale jakiś taki sztywny; Sałtykow-Szczedrin bardzo postępowy, ale można szcękę wywichnąć, zanim się doczyta do końca; następnie szedł Turgieniew ze swoimi ograniczonymi przez szlacheckie pochodzenie ideałami; związany z początkami rosyjskiego kapitalizmu Gonczarow; Lew Tołstoj wciąż przechodzący na pozycje patriarchalnego chłopstwa (powieści Tołstoja nauczycielka czytać im nie radziła, jako że są one szalenie długie i tylko mącą pojęcia wyniesione z jasnych krytycznych artykułów o tym pisarzu); a później to już był tylko przegląd twórczości jakichś Stepniaków-Krawczyńskich, Dostojewskich i Suchowo-Kobylinów, o których nikt już nie miał żadnego pojęcia, ale przynajmniej nie trzeba było wkuwać tytułów ich dzieł. Nad całym tym, tyle lat omawianym szeregiem, chyba jeden tylko Puszkina błyszczał jak słońeczko.

Przy tym cała ta literatura polegała w szkole na forsownym kuciu, co pisarz chciał powiedzieć, z jakich pozycji przemawiał i czyje zamówienie społeczne wypełniał. Dotyczyło to nie tylko tych właśnie pisarzy, lecz również późniejszych, sowieckich, piszących po rosyjsku i w językach bratnich narodów. I aż do samego końca Klara i jej przyjaciółki jakoś nie mogły pojąć, za co w ogóle tym ludziom należy się tyle uwagi: wcale nie byli najmądrzejsi (ich krytycy, publicyści, a tym bardziej działacze partyjni — byli wszyscy mądrzejsi od nich), często się mylili, wikłali się w sprzecznościach tam, gdzie byle uczeń rozumiał o co chodzi, wpadali pod cudze wpływy — i mimo to właśnie o nich trzeba było pisać wypracowania, drzeć o każdą literę i bać się każdego źle postawionego przecinka. Niczego, prócz nienawiści, nie mogły budzić te wampiry ciągnące soki z młodych dusz.

O, Dinera całkiem inaczej patrzyła na literaturę, dla niej to była jakaś ostra, wesoła sprawa, zapewniała też siostrę, że w instytucie będzie mowa właśnie o takiej literaturze. Ale Klarze wcale w instytucie nie było weselej. Na wykładach roіło się od ćwiczeń z ortografii historycznej, kronik klasztornych, szkół — mitologicznej i porównawczo-historycznej, wszystko to zresztą jak widłami po wodzie, a na zebraniach kółka dukano referaty o Aragonie, o Howardzie Fascie i jeszcze raz o Gorkim oraz jego wpływie na literaturę uzbecką. Siedząc zaś na wykładach i chodząc początkowo na zebrania kółek, Klara czekała, że ktoś powie jej wreszcie coś bardzo ważnego o życiu albo choćby nawet o tym mieście na tyłach, o Taszkencie.

Brat koleżanki z dziesiątej klasy został przejechany przez tramwajową przyczepę na chleb, kiedy próbował z kompanami ściągnąć w biegu skrzynkę... Któregoś dnia Klara wyrzuciła na pauzie niedojedzoną kanapkę do koszyka stojącego w korytarzu instytutu. I oto zaraz zbliżył się do kosza student z jej kursu, członek tego samego kółka studiów nad Aragonem, niezręcznie się maskując wydobyl kanapkę ze śmieci i schował ją do kieszeni... Jedna z koleżanek prosiła Klarę o radę, co ma kupić, i zabrała ją na słynny Tiozykowy bazar — największy rynek Azji Środkowej, a może nawet całego Związku. Już na dwa rogi przed wejściem kłębił się tłum; szczególnie wiele było w nim kalek, już z tej wojny — kuszykali na szczudłach, wymachiwali kikutami rąk, czołgali się bez nóg na deszczułkach, handlowali czymś, wróżyli z kart, zebrali, domagali się czegoś — a Klara rozdawała im, co mogła, i serce jej się krajało. Im dalej — tym było tłoczniej. Niesposób się było już przecisnąć wśród bezczelnych spekulantek i spekulantów z murowanymi dokumentami w kieszeni. I nikogo nie dziwiły, dla wszystkich były naturalne i przez wszystkich honorowane tysiąckrotne tutejsze ceny, zupełnie niewspółmierne z zarobkami. Sklepy w mieście były puste, ale tu wszystko można było dostać, wszystko, co można zjeść, wszystko, co można wdziać na siebie albo pod spód, wszystko — aż do amerykańskiej gumy do żucia, do pistoletów, do podręczników czarnej i białej magii włącznie.

Ale o tym życiu wcale w instytucie nie mówiono i wyglądało na to, że nic o nim nie wiadano. Tak tam studiowano literaturę, jakby wszystko w świecie było realne, prócz tego właśnie, co człowiek widzi własnymi oczyma.

I zrozumiałwszy z goryczą, że za pięć lat wszystko to skończy się skierowaniem do pracy w szkole, gdzie z kolei ona będzie zadawać dziewczynkom znieprawdzone wypracowania i pedantycznie tropić w nich literki i przecinki — Klara jęła coraz

więcej czasu poświęcać grze w tenisa (korty były tam dobre).

W ten sposób spędziła długą, ciepłą jesień z jakim takim pożytkiem. Zimą zaś nadeszło nieszczęście — rozchorowała się.

Chorowała bardzo długo, cały rok. Leżała w klinice, później w domu, znów w klinice i znowu w domu. Pokazywano ją profesorom, dawano zastrzyki dożylnie, dawano też domięśniowe, całymi litrami wprowadzano jej do krwi roztwór fizjologiczny, brano analizy i znowu ją komuś pokazywano.

Wtedy to, gdy zwątpiła w możliwość ratunku, a później w swoją sprawność fizyczną, w ciągu długich, bezsennych nocy w szpitalnych ciemnościach, w trakcie samotnych spacerów, gdy snuła się smętnie po szpitalnych korytarzach, znieść już więcej nie mogąc szpitalnego zaduchu i szpitalnych widoków — cóż jeszcze jej zostało, prócz rozmyślań? Teraz dopiero wykryła w sobie skłonność, a może nawet talent do poważnego, skomplikowanego życia wewnętrznego, w porównaniu z którym całe te jej studia wydawały się mialką gadaniną.

Nie musiała już wracać na literaturoznawstwo. Kiedy wyzdrowiała, front był już w Białorusi. Wszyscy wracali z ewakuacji. One też wróciły do Moskwy.

Dziwne. Te, zdawałoby się, bardzo jasne myśli o życiu, których dopracowała się w czasie choroby, teraz — w świetle, hałasie i ruchu — jakoś rozproszyły się, rozplynęły i nawet tak prostej kwestii, jak wybór nowego kierunku studiów, Klara nie mogła rozstrzygnąć należycie. Szukała po prostu takiego, gdzie jest jak najmniej gadania, a jak najwięcej konkretności. A więc — techniczny. I żeby nie było to jednak związane z ciężkimi, brudnymi maszynami. W ten sposób trafiła do instytutu łączności.

Znów popełniła omyłkę, tym razem bez niczyjej pomocy, ale nikomu się do niej nie przyznała, uparcie postanawiając skończyć studia i pracować, gdzie każą. Zresztą, wcale nie była jedyna na swoim kursie, takie zaczynały się czasy; każdy starał się złapać rajskiego ptaka, zdobyć dyplom i ci, których nie przyjęto do instytutu lotniczego, przenosili dokumenty na weterynarię; nie dopuszczeni na technologię chemiczną, zostawali paleontologami.

Po wojnie ojciec Klary miał jeszcze sporo roboty w Europie. Zwolnił się z szeregow dopiero jesienią i od razu dostał pięciopokojowe mieszkanie w nowym domu MWD na Kałuskiej rogate. Jednego z pierwszych dni po powrocie zawiózł żonę z córką na oględziny nowego mieszkania.

Samochód minął ostatnie pręty ogrodzenia Nieskuczego parku i zatrzymał się, nie dojeżdżając do wiaduktu, nad Obwodnicą. Było to przed południem, ciepłego październikowego dnia, babie

lato jakoś nie chciało się kończyć. Zarówno matka, jak córka nosiły szeleszczące jedwabne suknie i lekkie palta. Ojciec miał na sobie generalski płaszcz, rozpiął go, widać było kolekcję jego orderów i medali.

Dom budowany był półkolem, frontem do Kałuskiej rogatki, z jednym skrzydłem wzdłuż Wielkiej Kałuskiej, a z drugim — wzdłuż Obwodnicy. Miał siedem pięter, a w projekcie była szesnastopiętrowa wieża z solarium na dachu i z figurą kołchoźnicy dwunastometrowej wysokości. Gmach obudowany był jeszcze rusztowaniami, od strony ulicy i placu mury wciąż nie sięgały najwyższej kondygnacji. Jednakże — wobec ciągłych monitów z góry — przedsiębiorstwo budowlane pośpiesznie przekazywało zamówieniodawcy część wykończonego już skrzydła ze strony Obwodnicy — jeden segment z gotową klatką schodową i przylegającymi do niej mieszkaniami.

Plac budowy ogrodzony był, jak to zwykle bywa na ruchliwych ulicach, szczelnym drewnianym płotem — a że nad deskami ciągnęło się jeszcze kilka rzędów drutu kolczastego i że gdzieś tam wznosiły się nieforemne wieżyczki strażnicze — to jakoś nie rzucało się w oczy przejeżdżającym tamtędy, dla tutejszych zaś mieszkańców było widokiem już znanym, więc również nie zwracającym uwagi.

Prokurator z rodziną przeciął plac i obszedł dom dookoła.

Z tamtej strony zdjęte już były druty kolczaste i gotowy segment został wydzielony z z o n y. Na dole, przy frontowym wejściu czekał na nich ugrzecznony kierownik robót; opodal stał żołnierz, na którego Klara nie zwróciła uwagi. Wszystko było już wykończzone: farba na poręczach wyschła, klamki błyszcząły, numery nad mieszkaniami były przybite, szyby na klatce schodowej wymyto czysto i tylko jakaś kobieta w brudnych łachach, z głową tak pochyloną, że nie było widać twarzy, szorowała stopnie schodów.

— Ej! Halo! — rzucił krótko kierownik; kobieta przerwała szorowanie i przesunęła się w bok, tak żeby mogła przejść jedna osoba. Nie podniosła twarzy znad wiadra ze ścierką.

Przeszedł obok niej prokurator.

Przeszedł kierownik robót.

Szeleszcząc plisowaną, pachnącą spódnicą, musnąwszy nią prawie twarz sprzątaczkii, przemknęła się żona prokuratora.

I kobieta, nie mogąc już wytrzymać chyba tych jedwabi i tych perfum — dalej nisko pochylona, podniosła przecież głowę i obejrzała się, ile też i c h jeszcze.

Jej piekące, pogardliwe spojrzenie spopieliło Klarę. Cała w bryzgach z pomyj, to była wyrazista twarz inteligentki.

Nie, to nie było zażenowanie, które czuje się zawsze przechodząc obok kobiety szorującej podłogę — nie, wobec tej wystrzępionej spódnicy, wobec tego dziurawego waciaka, Klara poczuła jakiś inny jeszcze wstyd, nie ten zwykły, i strach! — i zdrętwiała — i otworzyła torebkę — i chciała już wyrzucić ją na nice, oddać tej kobiecie wszystko — i nie ośmieliła się.

— No, proszę już przejść! — powiedziała kobieta gniewnie.

Przytrzymując podołek swojej modnej sukni i połą płaszcz koloru bordeaux, przyciskając się całym ciałem do poręczy, Klara tchórzliwie pobiegła po stopniach w górę.

W mieszkaniu podłóg nie myto. Była tam świeża posadzka.

Mieszkanie uznano za ładne. Matka Klary udzieliła kierownikowi wskazówek co do paru poprawek; nie podobało jej się zwłaszcza, że parkiet w jednym z pokoiów skrzypi. Kierownik pobalansował na dwóch, trzech klepkach i obiecał usunąć usterkę.

— A kto tutaj to wszystko robi? Kto to buduje? — ostro zapytała Klara.

Kierownik uśmiechnął się i nic nie powiedział. Ojciec odparł:

— Więźniowie, a kto by!

Kiedy wracali, kobiety już nie było.

Żołnierz też już zniknął sprzed wejścia.

Po kilku dniach odbyły się przenosiny.

Minęły cztery lata od tamtej chwili, ale Klara wciąż nie mogła zapomnieć tej kobiety i używała wyłącznie windy, jeśli zaś musiała już iść po schodach, to przechodząc obok tego miejsca, zawsze zabobonnie tuliła się do poręczy, jakby bojąc się tracić nogą sprzątaczkę. Był to odruch niezrozumiały i nie do zwalczenia.

Po powrocie ojciec nie poznał w powojennej Klarze tej dziewczyneczki, którą zostawił był przed czterema laty. Dawniej uważał obie starsze córki za kobiety wprawdzie efektowne, ale trochę puste, w Klarze zaś dopatrywał się skłonności do głębszej myśli i powagi. Okazało się tymczasem, że ma w głowie zupełnie przewrócone, że jest skłonna do myślenia, owszem, ale na opak. Zbierała nie wiadomo gdzie rozmaite wstrętne historie, które lubiła powtarzać przy obiedzie i nawet nie tyle te opowiadki oburzały, ile jej nowy zwyczaj uogólniania każdego nietypowego wypadku! Wysłuchawszy jednej z tych jej historyjek, stary prokurator trzasnął pięścią w talerz i odszedł od stołu w połowie posiłku.

Klara nie miała komu się zwierzyć. Rok po roku gromadziło się w niej coraz więcej pytań.

I oto pewnego dnia, zbiegając ze schodów w towarzystwie

szwagra, Klara nie mogła się powstrzymać i prawie bezwiednie pociągnęła go ku sobie za rękaw w tym miejscu, gdzie trzeba było ominąć boki niewidzialną kobietę. Inocenty zauważył to i zapytał, o co chodzi. Klara spieszyła się, mógł przecież pomyśleć, że zwariowała. I nagle wyznała mu wszystko.

Uchodzący za galanta i dowcipnisia, Inocenty wysłuchiwał jej jednak bez uśmiechu. Wziął ją za obie dłonie i patrząc rozjaśnionym wzrokiem powiedział:

— Clarette! Widzę, że zaczynasz coś niecoś pojmować!

Bojąc się, że szczęśliwa chwila szczerości minie, Klara nigdzie już nie ruszyła się z tego stopnia, na którym przystanęli, sama położyła dłonie w siatkowych rękawiczkach na ramionach Inocentego i zasypała go pytaniami; dawno już ułożyła je sobie w głowie.

Ale Inocenty nie śpieszył się z odpowiedzią. Podziało się gdzieś jego kpiarstwo, przez które trudno było niekiedy wejść z nim w kontakt. Wciąż tylko patrzył i patrzył na szwagierkę. I nagle powiedział:

— A ja mam tylko jedno pytanie do ciebie, Klarcu. Dlaczego byłaś taka mała przed wojną? Wystaw sobie tylko, z jaką przyjemnością ożeniłbym się wtedy z tobą!...

Klara zarumieniła się, tupnęła nogą i zabrała dłonie.

Szli dalej po schodach w dół.

Mimo to zmusiła Inocentego, aby zaczął odpowiadać na jej pytania.

Do rozmowy tej doszło minionego lata, chyba w tych właśnie dniach, w których Klara z taką łatwością wypełniała ankiety formularze; pochodzenie miała bez zarzutu, życie jej nie trwało jeszcze długo, opromienione było spokojnym blaskiem pomyślności, nikt by się w nim nie doszukał postępów nieobywatelskich. Wszystkie ankiety zostały zaakceptowane i wkrótce przestąpiła próg wartowni tajemniczego Instytutu Mawrino.

XLI

PSY IMPERIALIZMU

W gronie swoich koleżanek, absolwentek instytutu łączności, Klara przeszła budzący grozę instruktaż u ciemnonicego majora Szykina.

Dowiedziała się, że będzie musiała pracować wśród najbardziej osławionych agentów — p s ó w ś w i a t o w e g o i m p e r i a l i z m u.

Klara otrzymała przydział do Laboratorium Próżniowego. Taką nazwę nosiło laboratorium, gdzie wytwarzano niezliczone ilości elektronowych rurek próżniowych na zamówienia pozostałych pracowni. Rurki naprzód wydmuchiowano w sąsiedniej malutkiej dmuchalni szkła, a następnie we właściwej pracowni próżniowej, w dużej półciemnej izbie z oknami na północ, usuwały z nich powietrze trzy sapiące pompy próżniowe. Pompy stały pośrodku pokoju jak szafy i przegradzały go. Nawet we dnie paliło się tu elektryczne światło. Podłoga wyłożona była kamiennymi płytkami i wciąż tu rozlegało się dudnienie, gdy kto chodził albo przestawiał krzesło. Koło każdej pompy siedział lub krążył specjalny laborant, więzień. Wolnymi pracownikami byli tylko Klara i pewna dziewczyna imieniem Tamara oraz kierownik laboratorium, noszący dystynkcje kapitana.

Kierownikowi temu Klara została przedstawiona w gabinecie Jakonowa. Był to tęgawy, niemłody Żyd z jakimś tonem obojętności w zachowaniu. Wcale już nie starając się nastraszyć Klary, skinieniem wskazał jej drogę, na schodach zaś zapytał:

— Ma się rozumieć, pani nic nie umie i nic nie pamięta? To znaczy — od strony fachowej?

Klara mruknęła coś niewyraźnie w odpowiedzi. Do tego całego strachu brakowało jeszcze tylko wstydu — żeby została

zaraz zdemaskowana jako ignorantka i żeby wszyscy z niej się śmieli.

Jak do klatki pełnej dzikich zwierząt, weszła tedy Klara do laboratorium, w którym gnieździły się potwory w granatowych kombinezonach.

Trzech laborantów rzeczywiście krążyło, jak zwierzęta w klatce, dookoła swoich pomp — bo dostali pilne zamówienie i drugą już dobę nie pozwalano im iść na spoczynek. Ale środkowy z nich mężczyzna po czterdziestce, łysawy, dawno niegolony, zatrzymał się, uśmiechnął się szeroko i powiedział:

— Ooo! Ale uzupełnienie!

I cały strach nagle się rozplątał. Tyle sympatycznej prostoty było w tym okrzyku, że Klara całym wysiłkiem, do jakiego zdolna jest dziewczyna, powściągnęła uśmiech.

Najmłodszy z laborantów — miał pod swoją pieczę najmniejszą z pomp — też się zatrzymał. Był to zupełnie jeszcze młody chłopak o wesołej twarzy spryciarza i dużych, niewinnych oczach. Patrzył na Klarę jakby zupełnie zaskoczony jej widokiem.

Za to starszy laborant, Dwojetiosow — jego to ogromna pompa w głębi izby robiła najwięcej hałasu — wysoki, niezdarly mężczyzna, chuderlawy, ale z obwisłym brzuchem, pogardliwie zerknął z dala na Klarę i schował się za szafą, jakby nie chciał patrzeć na coś tak wstrętnego.

Później Klara dowiedziała się, że taki miał on stosunek do wszystkich z wolności, przy wizycie zaś kogoś z kierownictwa, włączał specjalnie jakieś dodatkowe ryki, żeby goście musieli je przekrzykiwać. Najwyraźniej nie zwracał uwagi na swój wygląd, mógł przyjść do pracy z guzikiem przy rozporoku wiszącym na długiej nitce, z dziurą na grzbiecie, bądź też nagle zaczynał przy kobietach skrobać się pod kombinezonem. Lubił pogadywać:

— Jestem w swojej ojczyźnie, czy nie? Co się mam krępować we własnym kraju?

Tego średniego wszyscy więźniowie, nie wyłączając młodzieży, przezywali Ziemiela, co go wcale nie obchodziło. Należał do tych, których psychologowie nazywają naturami słonecznymi, a wśród ludu mawia się o takich „gęba od ucha do ucha”. Obserwując go w ciągu następnych tygodni, Klara zauważyła, że człowiek ten nigdy nie żałuje niczego, co stracił, mniejsza czy chodzi o zgubiony ołówek, czy o całe jego zatracone życie, że na nikogo i na nic się nie gniewa — a także nikogo i niczego się nie boi. Był inżynierem z prawdziwego zdarzenia, tylko specjalistą od motorów lotniczych, do Mawrina przywieziono go omyłkowo, ale znalazł tu sobie ciepły kąt

i nigdzie mu nie było pilno, bo słusznie zakładał, że gdzie indziej wcale mu nie będzie lepiej.

Wieczorem, kiedy pompy przestawały szumieć, Ziemiela lubił w ciszy kogoś posłuchać albo coś komuś opowiedzieć:

— Można było nawet zjeść śniadanie za piąta. I w ogóle, kupuj, czego dusza zamarzy, na każdym kroku wtykają ci w ręce — uśmiechał się szeroko. — Byle głównym nikt nie handlował, w pysk by mu ludzie pluęli. Buty — to były buty, dziesięć lat można nosić bez zelowania, a jak z zelowaniem — to piętnaście. Skóry na noskach nie obcinali, jak teraz, tylko ściągali ze wszystkich stron ku środkowi podeszwy, żeby schodziła się dookoła pod stopą. Były jeszcze te... no, jak tam?... palone, na spirytusowej podeszwie — to nie buty, tylko jakby drugą duszę człowiek dostał! — cały tajał w uśmiechu i mrużył oczy, jak od blasku słabego, ciepłego słońeczka. — Albo, na przykład, dworce... Możesz przyjść minutę przed gwizdkiem, kupujesz sobie bilet, wsiadasz, dlaczego nie, zawsze jest miejsce. Pociągów było dużo, na tym nie robiono oszczędności... Życie było proste, bardzo proste...

Starszy laborant, przewalając się ciężko z nogi na nogę i trzymając ręce w kieszeniach, wypęłał wtedy z ciemnego kąta, gdzie jego biurko ukryte było dobrze przed okiem kierownictwa. Stawał pośrodku pokoju, patrzył jakoś bokiem, wytrzeszczając oczy i opuściwszy okulary na czubek nosa:

— O czym ty mówisz, Ziemiela? Bo to możesz to pamiętać?

— Coś nie coś pamiętam — mówił Ziemiela i uśmiechał się skonfundowany.

— A szkoda — kiwał głową Dwojetiosow. — Staraj się zapomnieć. Pompuj lepiej. Pompuj.

Stał tak jeszcze jakiś czas patrząc nad okularami ze sztucznie głupawą miną. I wracał do swego kąta szurając podeszwami.

Obowiązki Klary okazały się niezawile, na zmianę z Tamarą powinna była przychodzić jednego dnia rano i dyżurować do szóstej wieczór, drugiego zaś dnia — po obiedzie, zostając już aż do jedenastej w nocy. Kapitan przychodził tylko na ranną zmianę, bo we dnie mógł być potrzebny komuś z kierownictwa. Wieczorem nie przychodził nigdy, bo nie zależało mu na awansie. Główne zadanie obu dziewcząt polegało po prostu na dyżurowaniu, to jest — śledzeniu więźniów. Prócz tego „dla podniesienia kwalifikacji” kierownik zalecał im drobniejsze i mniej pilne prace. Z Tamarą Klara widywała się tylko przez dwie godziny dziennie. Tamara pracowała tu już przeszło rok i z więźniami łączyły ją stosunki dość bliskie. Klarze zdawało się nawet, że jednemu z nich Tamara przynosiła książki, ale ich przekazy-

wanie z rąk do rąk odbywało się w sposób niezauważalny. Prócz tego, w instytucie Tamara chodziła na kursy języka angielskiego, uczęszczane przez wolnych pracowników, na których wykładowcami byli (oczywiście bezpłatnie, na tym polegała cała wygoda) tutejsi więźniowie. Tamara szybko rozproszyła obawy Klary, że ze strony tych ludzi grozić może coś okropnego.

W końcu sama Klara pozwoliła sobie na rozmowę z pewnym więźniem. Co prawda, nie był to zdrajca stanu, tylko zwykły sobie kryminalista, jakich w Mawrinie było bardzo niewiele. Był to Iwan, dmuchacz z huty szklanej, znakomity specjalista — na swoje nieszczęście. Jego stara teściowa mawiała, że pracować umie za dwóch, ale pić co najmniej za dziesięciu. Zarabiał dużo, dużo też przepijał, a po pijanemu bił żonę i sąsiadów też nie żałował. Ale wszystko to nic by nie szkodziło, gdyby na drodze nie stanęło mu MGB. Jakiś bardzo odpowiedzialny towarzysz w cywilu przysłał mu wezwanie i zaproponował posadę z pensją trzy tysiące rubli miesięcznie. Iwan pracował zaś w takiej instytucji, która płaciła mu co prawda mniej, ale dzięki premiom zarobki jego przekraczały proponowaną sumę. Iwan zapomniał, z kim ma do czynienia i zażądał czterech tysięcy miesięcznie. Odpowiedzialny towarzysz dodał tylko dwieście rubli. Iwan się uparł. Pozwolono mu iść z Bogiem. Zaraz po pierwszej wypłacie znów się upił i zaczął awanturować się na podwórzu, a milicja, której dotąd nie można było uświadczyc, tym razem zjawiała się od razu i licznie, żeby zabrać Iwaną. Zaraz następnego dnia go sądzili, dostał roczny wyrok, a po wyroku zaprowadzono go do tego samego odpowiedzialnego towarzysza, który wyjaśnił, że Iwan będzie teraz pracować na proponowanym mu stanowisku, tylko już bez żadnego wynagrodzenia. Jeżeli te warunki także mu nie odpowiadają, to może zająć się wydobyciem węgla za kołem podbiegunowym.

Teraz więc Iwan siedział sobie i wydmuchiwał bańki do lamp anodowych, niezwykłych i coraz to innych kształtów. Roczny wyrok mu się kończył, ale teraz już był sądownie karany, więc — aby nie zostać wysiedlonym z Moskwy — bardzo uprzejmie prosił władze, aby pozwolono mu dalej pracować na tym samym stanowisku, już jako wolnemu pracownikowi, nawet za półtora tysiąca.

I chociaż nikogo w *szaraszce* nie mogła zadziwić tak niezawiała historia z tak pozytywnym zakończeniem — wśród więźniów byli tutaj ludzie, którzy pięćdziesiąt dni siedzieli w celi śmierci, ludzie którzy osobiście znali papieża i Alberta Einsteina — Klara była wstrząśnięta tym opowiadaniem. Wychodziło na to, że Iwan miał rację mówiąc „robią z człowiekiem, co chcą”.

I w jej głowie, którą zwykle nosiła tak wysoko i tak niezawieszle, nagle załęgło się podejrzenie, że wśród tych ludzi w granatowych kombinezonach mogą być również zupełnie niewinni. A skoro tak — to czy jej ojciec nie wtrącił kiedyś do więzienia jakiegoś zupełnie niewinnego człowieka?...

Jakoś tak się zdarzyło, że wkrótce potem Klara poszła do Teatru Małego z Aloszą Łanskim, który się do niej zalecał.

Grano „Wassę Żelaznową” Gorkiego. Przedstawienie sprawiało wrażenie przygnębiające. Dobra połowa miejsc na widowni była pusta. Deprymowało to zapewne artystów. Pojawiali się na scenie tak znudzeni, jak urzędnicy przychodzący do biur i wychodzili za kulisy z widoczną przyjemnością. Wstyd im może było grać przy świecącej pustkami widowni: i charakterystyka, i wynikające z roli repliki wydawały się zgrywą niegodną dorosłych ludzi. Nawet gra zwykle tak nieskrępowanej Wiery Paszennej tknięta była tym rozkładem. Miało się wrażenie, że ciszę na widowni przerwie za chwilę ktoś z widzów i powie spokojnie, jak w rodzinnej rozmowie: „No, kochani, dosyć, starczy tego błaznowania!” — i przedstawienie trzeba będzie przerwać. Uczuciem poniżenia aktorzy zarażali z kolei widzów. Wszystkim w końcu już się zdawało, że biorą udział w jakiejś wstydlivej grze i przykro aż było patrzeć sobie w oczy nawzajem. Dlatego w czasie antraktów było tak samo cicho, jak w trakcie przedstawienia. Pary wymieniały uwagi półgłosem i starały się przechadzać po foyer bezszelestnie.

Klara i Alosza też spacerowali w ten sposób pierwszą przerwę; Alosza starał się znaleźć usprawiedliwienia dla Gorkiego i dla teatru. Urągał Żarowowi, który nosił tytuł artysty ludowego, a dziś partaczył całkiem otwarcie. Ale jeszcze ostrzej łajał ogólną rutynę w ministerstwie kultury, która podrywała zaufanie sowieckiego widza do naszego realistycznego teatru.

Aleksy miał twarz o regularnym owalu, nie bladą, bo znajdował czas również na sport. Z oczu bił mu spokojny rozsądek, jako że przeczytał mnóstwo książek w ciągu dwudziestu siedmiu lat swego życia. Kandydat nauk filologicznych i kandydat do Związku Pisarzy Sowieckich, dość znany już krytyk, cieszący się poparciem Gałachowa — Aleksy nie tyle sam pisał, ile ustawiał innych.

Podczas drugiej przerwy Klara poprosiła, aby zostali w łoży. Nie było nikogo ani w sąsiednich łożach, ani pod nimi, w fotelach parteru. Powiedziała wtedy:

— Dlatego mi się przykrzy oglądanie Ostrowskiego i Gorkiego, że nudzi mnie już to demaskowanie potęgi kapitału, patriarchalnych stosunków rodzinnych, tego, że jakiejś młodej

każą wyjść za starego, znudziła mnie ta cała walka z widmami. Minęło już pięćdziesiąt, nawet sto lat, a my wciąż wygrażamy pięściami, wciąż demaskujemy to, czego nie ma już dawno. A o tym, co istnieje — ani słowa.

— O czym na przykład? — Łanski spojrzał na Klarę z uśmiechem i zaciekawieniem. Nie omylił się. To nie była wyjątkowa piękność, ale człowiek się przy niej nie nudził. — O czym więc?

Klara, starając się nie bardzo narazić na szwank tajemnicę państwową i ukryć swoje współczucie dla tych ludzi, opowiedziała mu, że pracuje z więźniami, o których jej mówiono, że są to psy imperializmu, ale po bliższym poznaniu okazało się, że są to ludzie, jak ludzie. I teraz dręczy ją pytanie — może Alosza pomoże je rozstrzygnąć — czy to możliwe, że są wśród nich również niewinni?

Łanski wysłuchał jej słów uważnie i odparł spokojnie:

— Są, rzecz jasna. To nieuniknione w każdym penitencjarnym systemie.

— Ależ Alosza, przecież!... przecież wychodzi na to, że robią z człowiekiem, co chcą! To okropne!

Łanski z ostrożną czułością położył swoją bladą różową dłoń o długich palcach na zaciśniętej piąstce Klary, leżącej na czerwonym aksamicie barierki.

— Nie — powiedział miękko, ale z przekonaniem — nie „robią z człowiekiem, co tylko chcą”. Kto właściwie — „robi”? I kto właściwie „chce”? Historia. Nam to się może wydawać okropne, ale czas już pogodzić się z tym, Klaro, że istnieje prawo wielkich liczb. Na im większym... materiale przeprowadza się jakieś historyczne doświadczenie, tym, rzecz jasna, większe jest prawdopodobieństwo poszczególnych, indywidualnych omyłek — sądowych, taktycznych, ideologicznych, czy ekonomicznych. Ten proces uchwytany jest dla nas tylko w swoich zasadniczych, głównych zarysach i najważniejsza rzecz — to znaleźć podstawy do przekonania, że jest konieczny i potrzebny. Owszem, czasem ktoś musi przez to cierpieć. Nie zawsze zasłużenie. A zabici na froncie? A zupełnie bezsensowne ofiary trzęsienia ziemi w Aszchabadzie? A poszkodowani w wypadkach drogowych? Ruch uliczny staje się coraz gęstszy — rezultatem musi być coraz większa ilość śmiertelnych wypadków. Mądrość życiowa polega na tym, aby akceptować życie w procesie jego rozwoju, widząc jak pnie się w górę po stopniach nieuniknionych ofiar.

Ale Klara potrząsnęła głową z oburzeniem:

— Stopnie! — zawołała szeptem, bo już było po drugim

dzwonek i ludzie wracali na salę. — Materiał! Może by tak na pana wypróbować prawo wielkich liczb! Jakoś wszystko u pana tak gładko rozwija się i daje określić, ale czy nie widzi pan, że nie tak to jest w życiu, jak pańskich artykułach?

— Chce pani powiedzieć, że jesteśmy zakłamanymi? — Łanski zjeżył się. Lubił zresztą podyskutować.

— Nie, tego nie mówię. — Rozległ się trzeci dzwonek. Światło już gasło. Z kobiecą ambicją, żeby mieć ostatnie słowo, pośpiesznym szeptem kładła mu teraz prawie do samego ucha: — Pan jest szczery, ale z dbałości o harmonię swego światopoglądu unika pan styczności z ludźmi, którzy mają inne zdanie. Pan wzbogaca swój umysł przez rozmowy z takimi, jak pan i przy lekturze książek, pisanych przez kolegów. Jeżeli szukać porównań w fizyce, to mamy tu zjawisko rezonansu — kończyła pośpiesznie przy podniesionej już kurtynie. — Pan zaczyna od wmawiania sobie drobnostek, ale one układają się w jedną całość i potęgują wzajemnie do takiego stopnia...

Zamilkła, sama zgorszona swoim nieoczekiwanym ferworem.

Łanski też miał przez nią zepsuty cały trzeci akt.

A właśnie w trzecim akcie wybiła się na czoło aktorka Rojek — i jakby nagle ktoś w dzwonek uderzył; grała młodszą córkę Wassy i zaczęła ciągnąć całe przedstawienie. Paszennej też jakby wróciły cudownie jakieś siły.

Prawdę mówiąc, Klara sama nie rozumiała, że interesował ją nie jakiś tam niewinny skazaniec, który dawno już może zgnął za kołem podbiegunowym — tylko ten młodszy technik od pomp, niebieskooki, z matowym złotem na policzkach, dzieciak jeszcze, nie bacząc na jego dwadzieścia trzy lata. Od pierwszego spotkania nie ukrywał wcale w swoim spojrzeniu zachwytu dla Klary tak otwartego i radosnego, jakiego nigdy nie widziała w oczach swoich moskiewskich wielbicieli. (Sęk był w tym — ale Klara tego nie pojmowała — że jej wielbiciele obracali się wśród kobiet, znali dziewczęta ładniejsze od Klary i wiedzieli, ile sami są warci, zaś Rościśław przybył z obozu, gdzie przez dwa lata nie słyszał stukotu damskich obcasów, i Klara, zresztą podobnie jak kiedyś Tamara, wydawała mu się olśniewającym, cudownym zjawiskiem).

Ale ten zachwyt nie opanował Ruśki bez reszty. W tej klawiaturze, w laboratoryjnym półmroku, gdzie prawie zawsze trzeba było palić elektryczność, ten chłopak pędził jakieś pełne wydarzeń i pośpiechu życie; to majstrował przy czymś — z dala od oczu nadzorców; to uczył się ukradkiem angielskiego w godzinach pracy; to telefonował do swoich przyjaciół z innych pracowników i wybiegał na korytarz, żeby z nimi pogadać. Ruchy miał

zawsze gwałtowne i zawsze, w każdej chwili, a zwłaszcza teraz wydawało się, że jest szalenie zainteresowany jakimiś bardzo ciekawymi sprawami. I zachwyt dla Klary był jedną z takich jego bardzo absorbujących pasji.

Jednocześnie nie zapominał dbać o swoją powierzchowność, a w wycięciu kombinezonu widać było nie tylko pstry krawat, lecz również coś niepokojąco białego (Klara nie wiedziała, że był to sławetny gors — wynalazek Rościszawa, jedna trzydziesta druga państwowego prześcieradła).

Młodzi mężczyźni, z którymi Klara widywała się na wolności, robili już karierę, odziewali się, poruszali i rozmawiali pamiętając zawsze, aby nic nie stracić ze swojej powagi. W towarzystwie zaś Rościszawa Klara czuła, że ubywa jej lat, że też ma ochotę na jakieś psoty. Przypatrywała mu się ukradkiem, z rosnącą wciąż sympatią. Wcale nie chciało się jej wierzyć, że właśnie on i ten dobroduszny Ziemiela są owymi psami łańcuchowymi, przed którymi przestrzegał ich major Szykin. Bardzo chciała wiedzieć — za jakież to przestępstwo siedzi właśnie ten Rościszaw? I czy długo jeszcze ma siedzieć? (Że nie miał żony — to było jasne). Nie mogła się zdecydować, aby zapytać go wprost, wyobrażając sobie, że pytania takie powinny sprawiać wielką przykrość człowiekowi stawiając mu przed oczyma tę ohydłą przeszłość, którą chciałby przecież odrzucić, aby móc się poprawić.

Minęły jeszcze jakieś dwa miesiące. Klara zupełnie żyła się tu ze wszystkimi, wiele już razy rozmawiano przy niej o wszelkich pozasłużbowych drobiazgach. Rościszaw czatował na chwilę, kiedy na wieczornych dyżurach Klara zostawała w laboratorium sama, podczas gdy więźniowie jedli kolację. Zaczął stale wpadać do pracowni właśnie wtedy — bo albo czegoś zapomniał, albo chciał uczyć się korzystając z ciszy.

W trakcie tych jego wieczornych wizyt Klara zapomniała o wszystkich ostrzeżeniach pełnomocnika operacyjnego...

Wczorajszego wieczoru wywiązała się nagle rozmowa, jedna z tych, które łamią żałosne przegrody między ludźmi, jak napór wezbranych wód.

Żadnej ohydnej przeszłości ten chłopak nie musiał z siebie zrzucać. Miał za plecami tylko młodość zmarnowaną nie wiadomo za co i przepełniała go żarliwa chęć dowiedzenia się i przeżycia wszystkiego, czego jeszcze nie zdążył poznać.

Okazało się, że mieszkał z matką na wsi pod Moskwą. Akurat skończył dziesięć lat, kiedy Amerykanie z ambasady wynajęli sobie letni dom w tej wsi. Ruśka i jego dwaj koledzy mieli nieostrożność (no, ciekawość też tu zrobiła swoje) że dwa razy pójść z Amerykanami na ryby. Zdawało się, że nie po-

ciągnęło to żadnych przykrych skutków, Ruśka wstąpił na moskiewski uniwersytet, ale we wrześniu został aresztowany — tajnym sposobem, na drodze, tak że matka długo nie wiedziała, gdzie się podział. (Ruśka objaśnił Klarę, że zawsze starają się aresztować człowieka tak, żeby niczego nie zdążył schować i żeby nie był w stanie przekazać bliskim jakiegoś hasła czy znaku). Znalazł się na Łubiance (Klara nawet nazwę tego więzienia usłyszała po raz pierwszy w Mawrinie). Zaczęło się śledztwo. Starano się wycisnąć z Rościsława zeznanie — jakie zadanie dostał od amerykańskiego wywiadu i na jaki punkt miał dostarczyć informacje. Jak sam to określił — Ruśka był jeszcze cielęciem, wciąż tylko otwierał gębę ze zdumienia i płakał. I nagle zdarzyło się coś niebywałego: Ruśkę wypuścili stamtąd, skąd nikogo nie puszczają po dobremu.

To było jeszcze w czterdziestym piątym roku.

Do tego właśnie miejsca doszedł wczoraj.

Przez całą noc Klarę dręczyło to niedokończone opowiadanie. Dzisiejszego dnia, zapomniawszy o reszcie czujności i nawet o przyzwoitości, Klara usiadła otwarcie obok Rościsława przy jego małej, posapującej cicho pompie. Zaczął się dalszy ciąg rozmowy.

Gdy zadzwieczał dzwonek na przerwę obiadową, byli już serdecznymi przyjaciółmi, jak dzieci gryzące po kolei jedno duże jabłko. Wydawało im się teraz aż dziwne, że w ciągu tylu miesięcy nie doszło między nimi do takiej rozmowy. Ledwie dążyli dawać na przemian wyraz myślom, których natłok nagle w sobie poculi. Przerywając jej niecierpliwie, chwycił ją za dłonie i ona nic już w tym złego nie widziała. A kiedy wszyscy wyszli na przerwę — nabrało raptem nowego znaczenia to, że siedzieli przecież blisko siebie i że ich dłonie się stykały. Klara zobaczyła nagle z bliska wpatrzone w siebie i mdlejące, niebieskie, jasne oczy.

Rwącym się głosem Rościsław powiedział:

— Klaro! Kto wie, czy jeszcze kiedyś będziemy tak siedzieć obok siebie? Dla mnie to cud! Nie chce mi się w to wierzyć! Uwielbiam cię! Gotów jestem umrzeć choćby w tej chwili! — (Już ścisnął i głaskał jej dłonie) — Klaro! Całe życie może będę się poniewierać po więzieniach. Uczyń mnie szczęśliwym, aby wspomnienie tej chwili dodawało mi sił nawet w jakimś karcercze! Pozwól mi tylko raz! tylko jeden raz! — pocałować cię!

Klara czuła się jak bogini, schodząca w głąb piekieł, gdzie czeka na nią biedny potępieniec. W takim pocałunku nie było przecież nic płaskiego. Rościsław przyciągnął ją do siebie i wy-

cisnął na jej wargach pocałunek miazdzący, pocałunek więźnia zadreżonego przymusową wstrzemięźliwością. I Klara odpowiedziała mu pocałunkiem.

Chciał całować ją dalej, ale Klara oderwała się od niego, odchyliła się w bok, wstrząśnięta, z szumem w głowie.

— Niech pan wyjdzie... — poprosiła.

Rościśław podniósł się. Stał nad nią chwiejąc się na nogach.

— Niech pan wyjdzie teraz, chociaż na chwilę! — zażądała Klara.

Zawahał się. Później posłuchał rozkazu. Od progu spojrzął jeszcze żałośnie, błagalnie na Klarę, zachwiał się i tak zniknął za drzwiami.

Wkrótce wszyscy wrócili z przerwy.

Klara nie śmiała podnieść oczu na Ruškę, w ogóle na nikogo. To, co ją teraz paliło, to wcale nie był wstyd, a jeśli radość — to wcale nie pogodna.

Z toczącej się rozmowy mogła wyrozumieć, że więźniom pozwolono na choinkę.

Siedziała bez ruchu trzy godziny, ruszając tylko palcami; plotła z różnokolorowych chloro-winiłowych przewodów mały koszyczek, podarunek pod choinkę.

A Iwan-szklarz, po powrocie z widzenia wydmuchał dwóch śmiesznych, szklanych diabeków, jakby z karabinami, upłócił klatkę ze szklanych pręcików i powiesił w niej na srebrnej nitce szklany, smutno brząkający jasny miesięczek.

XLII

ZAMEK ŚWIĘTEGO GRAALA

Przez pierwszą połowę dnia nisko wisało nad Moskwą mętne niebo i nie było chłodno. Przed obiadem zaś, kiedy siedmiu więźniów wyszło z niebieskiego autobusu na więzienny podworecz — pierwsze niecierpliwe śnieżynki już tu i ówdzie mignęły, jeszcze nieliczne.

Jeden taki płatek, sześciopromienna, regularna gwiazdka, spadła Nierżynowi na rękaw starego, frontowego, zrudziałego płaszcza. Zatrzymał się pośrodku podworca i wdychał głęboko powietrze.

Starszy lejtnant Szusterman, który zjawił się zaraz, zwrócił mu uwagę, że to nie jest czas na spacer i że należy wejść do budynku.

To było przykre. Nie miał ochoty, zresztą uważał wprost za niemożliwe opowiadać komukolwiek o widzeniu, zwierzać się, szukać czyjegokolwiek współczucia. W ogóle nie chciał mówić. Ani słuchać. Chciał być sam i bardzo powoli przebiegać w myślach wszystko to, co przywiózł w duszy — zanim się rozplynie, zanim stanie się tylko wspomnieniem.

Ale właśnie samotności nie było w *szaraszce*, jak zresztą w żadnym obozie.

Nierżyn wszedł do budynku (dla więźniów było osobne wejście — w dół po drewnianej schodni, a później przez korytarz w suterenie) i zaraz zatrzymał się w niepewności — dokąd iść właściwie.

Wpadł na pomysł.

Po tylnych, kuchennych schodach, których nikt prawie nie używał, mijając zwalone tam na kupę połamane krzesła, zaczął wspinać się na podest trzeciego piętra.

Podest ten przydzielony był jako atelier malarzowi-zekowi

nazwiskiem Kondraszew. Z zasadniczymi zadaniami *szaraszki* nie miał on nic wspólnego, trzymany zaś był tutaj niejako w charakterze nadwornego malarza; westybule i sale Departamentu miały znaczne rozmiary i wymagały obrazów dla ozdoby. Nie tak wielkie, za to o wiele liczniejsze były mieszkania wiceministra Fomy Gurianowicza oraz innych pracowników resortu z jego otoczenia i dlatego rzeczą jeszcze bardziej niezbędną było przyozdobienie tych mieszkań dużymi, pięknymi i bezpłatnymi obrazami.

Co prawda Kondraszew nie najlepiej odpowiadał tym świątym wymogom; obrazy jego były wprawdzie duże, były też bezpłatne, ale nie były piękne. Zamówieniodawcy, którzy przyjeżdżali, aby rozejrzeć się wśród jego obrazów, daremnie próbowali mu wytłumaczyć, jak trzeba malować, jakimi farbami, i w końcu z westchnieniem brali to, co było pod ręką. Zresztą po oprawieniu w złote ramy, obrazy trochę zyskiwały.

Nierzyn minął na przedostatniej kondygnacji gotową już pracę przeznaczoną do hallu Departamentu — „A. S. Popow demonstruje admirałowi Makarowowi pierwszy radio-telegraf” — skreślił na ostatnie półpiętro i zobaczył przede wszystkim wprost na górze, na głuchej ścianie pod sufitem „Zraniony dąb”, płótno dwumetrowej wysokości, już dawno gotowe, którego jednak nie chciał brać żaden z klientów.

Dąb ten był samotnym drzewem, tajemniczą mocą usadowionym na stromiźnie wysokiej skały, po której wspinała się wąska ścieżka; patrzący na obraz mieli wrażenie, że sami unoszą się w górę, ku drzewu. Jakże tu wiatry dąć musiały! Jak szarpały tym dębem! Niebo w tle, niebo wokół nas czerniało, jak przed burzą i tak już było zawsze. To niebo nie znało chyba wcale słońca. Okaleczone w ciągłych zapasach z wiecznie wiejącymi, wyrrywającymi je ze skały wiatrami, to kanciaste, pazurzaste, uparte drzewo o konarach załamanych i splątanych — ani myślało zaprzestać walki i z całych sił trzymało się tego przekłętego skrawka swojej ziemi nad przepaścią.

Na ścianie wzdłuż schodów wisały także inne, mniejsze płótna. Niektóre stały jeszcze na sztalugach. Światło padało tu z dwóch okien — od północy i od zachodu. Na ten sam podest wychodziło okienko Żelaznej Maski, zasłonięte kratą i różową firanką, nie mające bezpośredniego kontaktu ze światem bożym.

Niczego tu więcej nie było, nawet krzesła. Zastępował je niski pień.

Chociaż klatka schodowa prawie że nie była ogrzewana i panna tu zadawniony, wilgotny ziąb, waciak Kondraszewa leżał na podłodze, on sam zaś w przymałym kombinezonie, z którego

śmiesznie sterczały ręce i nogi, stał nieruchomo, wysoki, sztywny i zdawało się, że nie czuje chłodu. Duże okulary, przez które twarz jego wydawała się większa i surowsza, mocno trzymały się na nosie, dobrze założone za uszy, tak aby nie przeszkadzały przy ostrych zwrotach i ruchach. Wzrok wlepił w jakiś punkt przed sobą. Pędzel i paletę trzymał w rękach, luźno opuszczonych wzdłuż ciała.

Obejrzał się, słysząc ciche kroki.

Ich spojrzenia zetknęły się i widać było, że każdy goni jeszcze za jakąś własną myślą.

Malarz nie miał teraz ochoty na przyjmowanie wizyt — potrzebna mu była samotność i cisza.

Niemniej jednak — ucieszył się. I bez żadnej obłudy, nawet z niezwykłą jakąś radością, taki już miał zwyczaj, zawołał:

— Gleb Wikentiewicz?! Proszę serdecznie!

I rozłożył zapraszająco ręce z pędzlem i paletą.

Życzliwość jest dla artysty cnotą obosieczną: daje strawę wyobraźni, ale jednocześnie burzy porządek dnia.

Nierżyn zatrzymał się na przedostatnim stopniu, czuł skrępowanie. Powiedział prawie szeptem, tak, jak by bał się obudzić jeszcze jakąś trzecią osobę:

— Nie, nie, panie Hipolicie! Przyszedłem tylko... pomilczęć tu... trochę... jeżeli pan pozwoli.

— Ach tak! Ach tak! No pewno! — tak samo cicho odpowiedział malarz, może już po oczach widząc i przypominając sobie, że Nierżyn jeździł na widzenie. Cofnął się jakby w ukłonie i wskazał pędzlem na niski pień.

Podciągnąwszy długie poły płaszcza, które udało mu się w obozie uratować przed obcięciem, Nierżyn przysiadł na pieńku, oparł plecy o pręty poręczy — i — ach, jak chciało mu się palić! — nie zapalił. Malarz wpatrywał się wciąż w ten sam punkt obrazu.

Milczeli.

Nierżyn czuł ostre i ciche ćmienie rozbudzonego uczucia.

Wciąż miał ochotę przypaść do tych miejsc na swojej dłoni, którymi na pożegnanie dotykał rąk, szyi, włosów żony...

Całymi latami żyje się bez tego, co dane jest człowiekowi na tym świecie.

Tak, został ci rozum (jeżeli stać cię na rozum). Przekonania (jeżeliś dojrzał do przekonań). I aż po uszy masz swej ofiarności i troski o dobro społeczne. Na oko — Ateńczyk, ideał człowieka.

Tylko tej pestki nie ma.

I miłość kobieca, której cię pozbawiono, przeważa na szalach ciężar całej reszty świata.

I proste słowa:

„Kochasz?”

„Kocham. A ty?”

Wypowiedziane samym spojrzeniem, albo niemyym ruchem warg, teraz całą duszę wypełniają świątecznym dzwonem.

Jaka szkoda, nie ośmielił się pocałować jej od razu, na początku spotkania! Teraz już się tego pocałunku nie nadrobi.

Wargi miała nie takie, jak dawniej, tylko odwykłe, słabe. I jaka była znużona! A o rozwodzie mówiła, jak zaszczuta.

Rozwód wobec prawa? Cóż, Gleb bez żadnego żalu myślał o podarciu kawałka papieru stempowego.

Ale — ciężko już doświadczony przez życie — wiedział, że sprawy i rzeczy mają swoją nieubłaganą logikę. W codziennej krzątaninie ludzie nigdy nie wyobrażają sobie nawet jakie — odwrotne do zamierzonych — skutki mogą mieć ich uczynki. Tak samo z Nadią. Rozwódzi się, żeby uniknąć prześladowań. A gdy już będzie po rozwodzie, to nawet się sama nie spostrzeże jak wyjdzie za mąż.

Nie wiedzieć czemu przez to jej pożegnalne kiwanie palcami bez pierścionka serce ścisnęło mu się przeczuciem, że teraz to już się żegnają na zawsze...

Nierzyn długo siedział w milczeniu, zanim się ocknął. Ocknął się w momencie, gdy reszta radości po widzeniu rozplynęła się gdzieś, wyparta przez trzeźwe, mroczne myśli. Ale tym samym odzyskał równowagę duchową i znów zaczął wpełzać w swoją zwykłą, aresztancką skórę.

„Do twarzy ci z tym wszystkim” — powiedziała mu.

To znaczy — z więzieniem.

Jest w tym coś z prawdy. Czasem wcale mu nie żal pięciu lat spędzonych za kratą. Stały się jakby jego własne, rodzone.

Gdzie lepiej można poznać ludzi, niż tu?

I zastanowić się nad samym sobą?

Od iluż to błędów młodości, od ilu fałszywych kroków uchroniła go ta żelazna, wyznaczona raz na zawsze, nie zostawiająca innego wyboru ścieżka więzienna?

Jak powiada Spiridon: „Własna wola to skarb, tylko diabli go strzegą”.

Albo ten marzyciel, obojętny wobec drwin otoczenia — czy i co mianowicie stracił, kiedy go zamknęli? No, nie może teraz wędrować z kasetą farb po wzgórzach, po gajach. Wystawy? Toć nie potrafił ich sobie nigdy urządzić i w ciągu całego pół wieku ani jednego obrazu nie wystawił w porządnej sali. Pie-

niądze za obrazy? Tam też ich nie dostawał. Wielbiciele? Tu ich częściej chyba widuje, niż tam. Pracownia? Ależ na wolności nie miał nawet tego zimnego podestu. Mieszkał i malował swoje obrazy w długiej, wąskiej izbie przypominającej raczej przedpokój. Kiedy miał zabrać się do pracy, ustawiał krzesła jedno na drugim, a materac zwinął w rolkę, tak, że goście pytali: „Co to, przenosi pan się gdzie?” Mieli w majątku tylko jeden stół i kiedy rozkładał na nim modele do martwej natury, to aż do końca pracy musiał jadać z żoną na krzesłach.

Kiedy podczas wojny zabrakło oleju — brał kartkowy olej jadalny i rozprowadzał nim farby. Żeby mieć kartki żywnościowe trzeba było pracować w jakiejś instytucji, posłali go więc do dywizjonu obrony przeciwgazowej, żeby rysował portrety przodownic przysposobienia wojkowego i politycznego. Zamówiono u niego dziesięć takich portretów, ale z dziesięciu przodownic wybrał tylko jedną i zupełnie ją zdręczył długim pozowaniem. Narysował ją w końcu wcale nie tak, jak życzyło sobie dowództwo i nikt później nie chciał wziąć tego portretu, który nosił nazwę „Moskwa, czterdziesty pierwszy”.

A rok czterdziesty pierwszy był przecież w tym obrazie. Namalował dziewczynę w ubiorze przeciwpierciwogazowym. Nie rude, ale miedziano-kasztanowe, bujne włosy wylewały się na wszystkie strony spod pilotki i niespokojnym konturem okalały głowę. Głowa była zadarta, pełne zgrozy oczy widziały przed sobą coś przeraźliwego, nie do zapomnienia, i pełne były gniewnych łez. Ale ta postać nie była panińska i słaba! Ręce, gotowe walczyć, zaciskały się na rzemieniach maski gazowej, a czarno-szary ubiór ochronny porznięty był ostrymi, bezlitosnymi fałdami, srebrzyste pasmo łamało się na jego powierzchni i cały przypominał stary, rycerski pancerz. Srogość i szlachetność biły razem z twarzy tej gotowej na wszystko kałuskiej komsomołki, wcale zresztą nie ładnej — ale Kondraszew zobaczył w niej i pokazał Dziewicę Orleańską!

Wcale to nie było chyba dalekie od plakatu „Nie zapomniemy! Nie wybaczymy!” — a jednak przestraszano się tego obrazu, nie wzięto go, nie wystawiono nigdzie ani razu i ta Madonna gniewu i zemsty przez lata stała w jego pokoiku odwrócona do ściany. Aż do samego dnia aresztowania.

Tak się złożyło, że pewien nieuznawany i niewydawany literat napisał powieść i zaprosił dwadzieścia osób, żeby ją odczytać. Literacki czwartek w stylu dziewiętnastego wieku... Ta powieść kosztowała każdego ze słuchaczy dwadzieścia pięć lat obozów pracy karnej. Słuchaczem buntowniczej powieści był również Kondraszew, prawnuk dekabrysty Kondraszewa, skaza-

nego za udział w powstaniu na dwadzieścia lat i znanego dzięki wzruszającej wędrowce na Syberię zakochanej w nim francuskiej guwernantki.

Co prawda Kondraszew nie pojechał do obozu, tylko zaraz po tym, gdy pokwitował odbiór wyroku — orzeczonego przez OSO¹, przywieziony został do Mawrina, gdzie kazano mu malować obrazy, po jednym miesięcznie bo taką normę wyznaczył mu Foma Gurianowicz. Kondraszew malował rozwieszone tu dziś i już pozabierane obrazy w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy. I cóż? Mając w dorobku pięćdziesiąt lat a w perspektywie dwadzieścia pięć — nie przeżył zwyczajnie tego spokojnego, więziennego roku, tylko przegalopował go, nie wiedząc, czy trafi mu się w życiu jeszcze jeden taki. Nie wiedział dobrze, co mu dawano jeść, w co kazano się ubrać, czy i kiedy liczono jego głowę przy ogólnym apelu.

Malował kilka obrazów naraz, po wielokroć odstawiając płótna na bok i wracając do nich znowu. Żadnego z nich nie doprowadził do stadium, w którym artysta ma już wrażenie pełni. Nie wiedział nawet, czy takie stadium w ogóle istnieje. Dawał im spokój wtedy, kiedy przestawał już w nich cokolwiek rozróżniać, kiedy oczy już nie dawały sobie rady ze szczegółami. Dawał im spokój dopiero wtedy, kiedy przy każdym kolejnym nawrocie coraz drobniejsze mógł już wprowadzać do nich poprawki i kiedy czuł, że psuje już je, zamiast poprawiać.

Dawał im spokój, odwracał w stronę ściany, zasłaniał byle czym. Obrazy oddzielały się od niego samego, oddalały się — a kiedy znów spoglądał na nie świeżym okiem, wtedy gdy bez żadnej zapłaty i raz na zawsze zabierano mu je, aby wisiały odtąd wśród pretensjonalnego luksusu — pożegnalny dreszcz zachwyty przenikał malarza. Niechby ich nawet nikt więcej nie zobaczył ale to on jednak je stworzył.

.. Już z napiętą uwagą Nierżyn zaczął teraz oglądać ostatni obraz Kondraszewa, płótno kształtu egipskiego kwadratu, cztery na pięć, „Jesienny strumień” albo, jak nazwał je inaczej autor — „Largo d-moll”.

Zamarzający strumień zajmował główną część obrazu. W jaką stronę płynął — nie można było się prawie zorientować: prąd w nim zamarł, powierzchnia gotowa była już pokryć się lodem. Gdzie miało być płyciej, tam malarz kładł brązowe plamy — jakby cień zwiędłych liści, opadłych na dno. Lewy brzeg

1. OSO — *Osoboje Sowieszczanie NKWD* — tajny, wewnętrzny sąd służby bezpieczeństwa zaocznie wyrokujący w sprawach przeważającej masy skazanych na obozy w tak zwanym trybie administracyjnym podczas lat terroru w ZSSR. Instytucja dotąd nie zlikwidowana żadnym aktem prawnym.

wypinał się półkolem, prawy cofał się łukiem. Pierwszy śnieg znaczył białymi plamami oba brzegi, między tą bielą żółto-brunatnymi maźnięciami namalowana była trawa wyściełająca odwilgłe jamy. Dwa krzaki rokitnicy rosły przy brzegu, zwiewnie mgliste, mokre od zebranego na nich grudkami i tającego śniegu. Ale nie to było najważniejsze; w głębi, jak czarno-oliwkowe przedpiersie lasu, stały gęste świerki — a wśród nich, w pierwszym zaraz rzędzie, płonęła buntem jedyna, purpurowa brzoza. W jej samotnym, cichym płomieniu jeszcze bardziej mroczna i zwarta wydawała się iglasta gwardia, grożąca niebu swoimi ostrymi czubami. Niebo całe było w beznadziejnych, płowych kłębach, takim samym chmurnym ćmieniem dławilo się zachodzące słońce, nie mając dość sił, aby przebić się choćby jednym promieniem. Ale nie, nawet nie to było najważniejsze, tylko wyziębla woda drętwiącego strumienia. Miała ciężar i głębię. Była w niej ołowiana przejrzystość i wielki chłód. Wchłoneła w siebie i utrzymywała równowagę między jesienią a zimą. I nie tę jedną chyba równowagę.

W ten właśnie obraz był teraz wpatrzony Kondraszew.

Twórczość posłuszna była pewnemu nadrzędnemu prawu. Kondraszew znał je dawno i dobrze, próbował z nim walczyć, ale znów mu się poddał, nie miał rady. To prawo głosiło, że nic, co dawniej namalował, nie miało znaczenia, nie liczyło się, nie mogło być uznane za zasługę autora. Tylko to jedyne płótno, które malował dzisiaj, było pępkiem całego jego życia, całego doświadczenia, szczytem jego zdolności i umiejętności, pierwszym kamieniem probierczym jego talentu.

A tak często mu się nie udawało!

Z każdym z jego dawnych płócien także tak było, że — zanim mu się w końcu udało, też miał je za spartaczone, ale zapominał o dawnych swoich rozterkach i teraz to jedyne — było pierwszym, na którym uczył się prawdziwego malarstwa! — jeśli to też nie chciało się udać, to całe życie było zmarnowane i nigdy nie miał żadnego talentu!

Na przykład ta woda — miała na oko ciężar, głębię, chłód i nieruchawość — ale to wszystko było nic nie warte, jeżeli nie było w niej zarazem głębszej syntezy przyrody. Zjawiska tej syntezy — rozumu, spokoju, wszechwładzi — Kondraszew we własnych doznaniach, w głębi swej istoty nigdy znaleźć nie mógł, ale znał je i wielbił je w przyrodzie. Więc czy jego woda dawała, czy nie dawała pojęcia o tym spokoju — w głębszym sensie słowa? Dręczył się już i nie miał nadziei, że znajdzie odpowiedź — dawała pojęcie, czy nie?

— A wie pan, panie Hipolicie — odezwał się Nierzyn bez

pośpiechu. — Zdaje się, że zaczynam zgadzać się z panem — te wszystkie krajobrazy — to Rosja.

— A nie Kaukaz? — Kondraszew obrócił się gwałtownie, ale okulary ani drgnęły, jak przylutowane.

Kwestia ta, chociaż nie najważniejsza, też była nie bez znaczenia. Niejeden patrzył na pejzaże Kondraszewa ze zdziwieniem; wydawały się nie tyle rosyjskimi, co kaukaskimi, za wiele w nich było rozmachu i niezwykłości.

— Można znaleźć takie okolice w Rosji — z coraz większą pewnością powtarzał Nierżyn. Wstał z pieńka i zaczął spacerować, oglądając „Poranek niezwykłego dnia” i inne pejzaże.

— No, pewno! No, pewno! — malarza ponosiło. — Nie tylko mogą być w Rosji, ale są! (zawiózłbym pana nawet pod Moskwę, gdyby nie konwój!) nie może ich być na Kaukazie. Zrozum pan, publiczność pozwoliła Lewitanowi narzucić sobie sposób patrzenia! W ślad za Lewitanem przyzwyczailiśmy się uważać naszą rosyjską przyrodę za ubożuchną, pokrzywdzoną, miłą tylko dlatego, że skromną. Ale gdyby nasza przyroda była tylko taka, to powiedz-że pan, skąd by wzięli się u nas sekciarze, co sami skakali w płomienie? strzelcy-buntownicy? Piotr Pierwszy? dekabryści? narodowolcy?

— Żelabow! Lenin! — z przejęciem przyszedł mu w sukurs Nierżyn. — Rosja!

Ale Kondraszewowi nie trzeba było pomocy, sam rozpalał się szybko. Wiercił głową i jego szkła siały błyskawice:

— Nasza rosyjska przyroda — jest tryumfalna! i gniewna! i nie daje deptać się pokornie tatarskim kopytom!!

— Tak. Tak. — potakiwał Nierżyn. — I ten dąb kaleki — jakież on tam, do licha, kaukaski?... Jeżeli nawet tu, w najbardziej oświeconym kątku GUŁagu każdego z nas...? — machnął ręką. — A co dopiero w łagrze? Tam nie tylko ład wewnętrzny, ale ostatnie resztki sumienia trzeba im oddać za dwieście gramów czarnego chleba.

Kondraszew jakby jeszcze bardziej się wyprostował, jeszcze bardziej wyrósł, choć już i tak był wysoki.

— Nigdy! Nigdy! — patrzył wzwyż i przed siebie, jak Egmont, gdy prowadzono go na szafot. — Żaden obóz nie powinien zniszczyć piękna wewnętrznego w człowieku!

Nierżyn uśmiechnął się z niedobrą trzeźwością:

— Może i nie powinien — ale niszczy! Pan nie był jeszcze w obozach, co pan ma do gadania? Pan nie wie, jak trzeszczą tam nasze kostki. Trafiają tam ludzie tacy a tacy, wychodzą zaś — jeżeli w ogóle wychodzą — zupełnie inni, nie do poznania. Zresztą, wiadoma rzecz, byt określa świadomość.

— Nie!! — Kondraszew rozwarł długie ramiona, jakby gotów był wziąć się za bary z całym światem. — Nie! Nie! Nie! Ależ to byłoby poniżające! Po co miałoby się wtedy żyć? Jeżeli tak, to niech pan powie, dlaczego jednak zakochani dochowują sobie wierności, choć ich się rozdzieli? Przecież byt wymaga, aby zdradzali się! A dlaczegoż to tak różnymi okazują się ludzie którzy znaleźli się w j e d n a k o w y c h warunkach, powiedzmy — w tym samym obozie?

Nierżyn był zupełnie przekonany o wyższości swojego doświadczenia życiowego nad fantastycznymi urojeniami tego niestarzejącego się idealisty. Ale nie można wprost było nie podziwiać go, gdy wołał:

— Człowiek już w momencie urodzenia obdarzony zostaje pewną mocą! Jest to jakby sedno jego istoty, jego Ja! I jeszcze nie wiadomo, kto kogo określa! Czy życie — człowieka, czy silny duchem człowiek — życie! Dlatego że... — Kondraszew nieoczekiwanie przyciszył głos i pochylił się nad Nierżynem, który znowu usadowił się na pieńku — ... dlatego, że człowiek ma coś, z czym może się porównać. Ma punkt odniesienia. Dlatego, że mieszka w nim Wzór Doskonałości, któremu można się przyrównać w jakichś rzadkich momentach. Oczyma duszy.

Kondraszew pochylił się nad Nierżynem jeszcze niżej i konfidencjonalnie błyskając szklami zapytał cichym głosem spiskowca:

— Może panu pokazać?

I tak zawsze kończą się dyskusje z malarzami! Mają własną logikę.

— Oczywiście, niech pan pokaże!

Kondraszew, wciąż jeszcze trochę pochylony, przecisnął się aż do odległego kąta, wy dostał mały obrazek naciągnięty na blejtram i przyniósł go, pokazując Nierżynowi tylko odwrotną stronę płótna.

— Zna pan legendę o Parcivalu? — spytał głucho.

— To coś w związku z Lohengrinem?

— To jego ojciec. Strażnik Czary Świętego Graala.

— Jest taka opera, Wagnera, prawda?

— Momentu, którego ten obraz dotyczy, nie ma ani u Wagnera, ani u Von Eschenbacha. Ale ja wyobrażam sobie właśnie tę chwilę. Taka chwila może zdarzyć się każdemu człowiekowi, kiedy nagle zobaczy Wzór Doskonałości...

Kondraszew zamknął oczy, ściągnął i zagryzł wargi. Sam się przygotowywał.

Nierżyn był zdziwiony dlaczego to, co ma teraz zobaczyć, jest takie małe.

Malarz otworzył oczy:

— To tylko szkic. Szkic najważniejszego obrazu w moim życiu. Chyba nigdy go nie namaluję. Chodzi o tę chwilę, kiedy Parcival po raz pierwszy zobaczył zamek! Świętego!!! Graala!!!

Odwrócił się, aby postawić szkic na sztalugach przed Nierzyinem. I już odtąd sam patrzył na obraz, nie odrywając wzroku. I podniósł odwróconą dłoń ku oczom, jakby zasłaniając się przed światłem bijącym s t a m t ą d. I cofając się, cofając, żeby lepiej ogarnąć całość, potknął się na ostatnim stopniu schodów i o mało z nich nie spadł.

Obraz miał mieć wysokość dwa razy większą od wymiaru poprzecznego. Widać było na nim klinowatą szczelinę między dwoma urwiskami górskimi. Na obu urwiskach, z prawa i z lewa wchodziły w pole widzenia ostatnie drzewa boru — nieprzebytego, pierwotnego. Jakieś ścielące się nisko paprocie, jakieś chwytliwe, złowrogie, poskręcane krzaki przywarły do samych skrajów, a nawet do stromych zboczy z obu stron. W górze, z lewej strony wychynął z lasu na jasno-siwym koniu jeździec w hełmie i opończy. Koń nie przestraszył się przepaści, podniósł tylko kopyto nie kończąc stąpania, gotów na rozkaz jeźdźcy i cofnąć się, i przebyć otchłani skokiem — a zdolny był do takiego skoku.

Ale jeździec nie patrzył w przepaść. Zaskoczony, zadziwiony patrzył w dal, w głąb obrazu, gdzie cały nieboskłon zalany był gorącą żółtością blasku wysyłanego przez słońce, albo coś czystsze jeszcze od słońca, co kryło się za konturami zamku. Wyrastając z górskich uskoków, sam cały w skarpach i basztach, widoczny z głębi wąwozu i z góry, między szczytami urwisk porośłych paprocią i lasem, wznosząc się iglastym klinem na całą wysokość płótna, aż do zenitu — niereczywisty, jakby z obłoków utkany, rozkołysany, mglisty, a jednak wyrazisty w szczegółach swojej nietutejszej doskonałości — stał w tej poświacie liliowy zamek Świętego Graala.

XLIII

PODWÓJNA GRA

Jeżeli nie liczyć grubaska Gustawa z różowymi uszami, to Doronin był najmłodszym zekiem w *szaraszce*, jego twarz nie była jeszcze nawet wolna od młodzieńczych pryszczy. Zjednywał sobie wszystkie serca zgodliwością, wiarą w swoją szczęśliwą gwiazdę, bystrością. W tych rzadkich chwilach, kiedy zwierchność pozwalała na siatkówkę, Rościśław oddawał się grze bez reszty; jeżeli gracze stojący bliżej siatki puszczaali piłkę, Ruśka rzucał się od samej tylnej linii autowej robiąc „jaskółkę”, odbijał piłkę i padał na ziemię rozbijając do krwi kolana i łokcie. Podobało się też wszystkim jego niecodzienne imię — Ruśka. Jeszcze bardziej się spodobał, gdy w dwa miesiące po przyjeździe, jego golona w łagrze głowa pokryła się jasnymi kędziorami.

Przywieźli go z workuckich łagrów dlatego, że w kartotece GUŁagu figurował jako frezer, w istocie zaś okazał się frezerem tylko na lipę i wkrótce musiał być zastąpiony przez fachowca. Ale przed odesłaniem do obozu uratował go Dwojetiosow, który przyjął go do nauki i pomocy w obsłudze najmniejszej pompy próżniowej. Pojętny Ruśka szybko dał sobie radę. *Szarazkę* cenił jako swoisty dom wczasowy — w łagrach dość się nabiedował i o swoich przejściach opowiadał teraz z wesołym zawadiactwem: jak konał już z wycieńczenia w mokrej kopalni, jak zaczął temperaturę sobie p o d b i a ć nagrzewając obie pachy kamieniami jednakowej wielkości, żeby dwa termometry nigdy nie wykazywały różnicy większej niż dziesiąta część stopnia (chciano go wziąć na fundusz tymi dwoma termometrami!).

Ale wspominając ze śmiechem swoją przeszłość, która nieuchronnie miała powrócić w przyszłości, w ciągu dwudziestu pięciu lat jakie dostał — Ruśka tylko nielicznym, też zresztą

w sekrecie, pokazywał się w swojej głównej roli — szemranego cwaniaka, który przez dwa lata wodził za nos całą milicję ze wszystkimi jej listami gończymi.

W różnobarwnym tłumie mieszkańców *szaraszki* nie wyróżniał się zresztą niczym szczególnym — aż do pewnego wrześniowego dnia. Dnia tego Ruśka z tajemniczą miną odwiedził dwudziestu najbardziej wpływowych zeków *szaraszki*, przedstawicieli jej opinii publicznej i każdemu z nich w cztery oczy powiedział z wielkim podnieceniem, że dzisiejszego ranka pełnomocnik operacyjny major Szykin chciał zrobić z niego kapusia i że on, to jest Ruśka, zgodził się, mając nadzieję wykorzystać pozycję donosiciela dla dobra ogółu.

Nie bacząc na to, żeteczka personalna Rościśława Doronina upstrzona była pięcioma rozmaitymi nazwiskami, haczykami, literkami i szyfrowanymi znaczkami, zwracającymi uwagę na niebezpieczny charakter więźnia, jego skłonność do ucieczek i konieczność przewożenia go wyłącznie w kajdankach — major Szykin, w chęci maksymalnego zwiększenia ilości swoich informatorów, doszedł do wniosku, że Doronin jest młody, dlatego nie ma jeszcze stałych przekonań, że zależy mu na pozostaniu w *szaraszce* i że z tych powodów będzie człowiekiem oddanym.

Wezwany w sekrecie do gabinetu Szykina (wzywano, na przykład, do sekretariatu, tam zaś dopiero mówiono: „aha, proszę wstąpić do majora Szykina”) Rościśław przesiedział u niego trzy godziny. W tym czasie, słuchając nudnych pouczeń i objaśnień k u m a, Ruśka swoimi bystrzymi, spostrzegawczymi oczyma zdążył nie tylko dokładnie obejrzeć sobie rozdętą głowę majora posiwiątą przy kompletowaniu donosów i kalumnii, czarniawą jego twarz, malutkie jego dłonie, jego stópki w dziecinnych kamaszkach, marmurowy komplet na biurku i jedwabne firanki na oknie, lecz również przeczytał — do góry nogami — nagłówki na papierach leżących pod szkłem, chociaż siedział o półtora metra od stołu, a nawet zakonotował sobie, jakie dokumenty Szykin może trzymać w safesie, jakie zaś zamyka w szufladzie biurka.

Od czasu do czasu Doronin z naiwną szczerością zaglądał majorowi w oczy i potakująco kiwał głową. Za tą błękitnooką jego naiwnością skrywały się jednak najbardziej desperackie koncepty ale pełnomocnik operacyjny nawet się tego nie domyślał, zmylony szarą monotonią przejawów ludzkiej pokory.

Ruśka zdawał sobie sprawę, że Szykin rzeczywiście może go posłać na Workutę, jeżeli nie zgodzi się zostać jego konfidentem.

Nie tylko Ruśkę, ale całe jego pokolenie nauczono uważać „litość” za uczucie poniżające, „dobroć” — za coś śmiesznego,

„sumienie” zaś za pojęcie z popowskiego słownika. Przekonywano ich natomiast, że donosicielstwo jest obowiązkiem patriotycznym, a zarazem najskuteczniejszym aktem pomocy dla osoby, na którą robi się donos i że w ogóle uzdrawia stosunki społeczne. Może i nie wszystko z tego przyszło do Ruśki, ale też nie zostało bez wpływu. I najważniejszym dla niego problemem było w tej chwili nie to, czy i o ile podjęcie się roli kapusia jest rzeczą godną, albo niegodną, tylko — jakie tego mogą być skutki? Mając już spory bagaż doświadczeń, więziennych spotkań i pilnie wysłuchanych ostrych dyskusji więźniarskich, młodzian nasz nie zapominał także o takiej możliwości, że wszystkie te archiwa zostaną wydobyte na światło dzienne, a wszyscy Szykinowie postawieni publicznie pod pręgierz.

Dlatego uważał, że zgoda na współpracę z kumem byłaby w dalszej perspektywie tak samo niebezpieczna — jak odmowa w bliskiej.

Ale niezależnie od tych wszystkich kalkulacji, Ruśka był artystą awanturnictwa. Czytając do góry nogami interesujące papierki leżące pod szkłem u Szykina, zadrżał w przeczuciu pasjonującej gry. Był już znękaný beczynnością w ciasnym zaciszu *szaraszki*.

I wypytawszy jeszcze — dla większego prawdopodobieństwa — ile też będą mu płacić, Ruśka zgodził się z całym zapalem.

Po jego wyjściu Szykin, zadowolony ze swego zmysłu psychologicznego, zaczął przechadzać się po gabinecie zacierając ma-lutkie rączki — taki informator obiecywał obfite plony donosów. W tym samym zaś czasie — wcale nie mniej zadowolony Ruśka chodził od jednego zaufanego zeka do drugiego i spowiadał się im, że zgodził się *świrować* dla sportu, dla bliższego zbadania metod pełnomocników oraz w celu zdemaskowania prawdziwych kapusiów.

Podobnego wyznania nie słyszał jeszcze nikt, nawet najstarsi zekowie. Pytano Ruškę nieufnie — czemu to chwali się taką rzeczą, kładąc głowę pod Ewangelię? Ruśka odpowiadał:

— A bo kiedy ta cała sfora pójdzie pod sąd — wy będziecie moimi świadkami obrony.

Z dwudziestu wtajemniczonych każdy przekazał jeszcze tę wiadomość jednemu, czy dwóm innym — ale nikt nie poszedł do kuma z donosem! Już to jedno stawiało pół setki ludzi poza wszelkimi podejrzeniami.

Wypadek Ruśki jeszcze długo pasjonował *szaraszkę*. Wszyscy uwierzyli w wersję chłopca. Ale, jak to zawsze, wypadki miały własną wewnętrzną logikę. Szykin domagał się *materiałów*, to znaczy donosów. Ruśka musiał mu *podrzucić* cokol-

wiek. Chodził znów od jednego wtajemniczonego, do drugiego i użalał się:

— Panowie! Wyobraźcie sobie, ile muszą k a p o w a ć tamci, jeżeli Szykin tak pili mnie, co jeszcze nawet miesiąca nie jestem w branży? No, zrozumcie moją sytuację, podrzućcie trochę materiału!

Jedni machali tylko ręką, inni podrzucali. Zapadło jednogłośnie postanowienie, aby z a d a ć chleba pewnej damie, która najęła się do pracy tylko z chciwości, aby pomnożyć jeszcze tysiące, przynoszone przez męża. Zeków traktowała z pogardą, powtarzała, że najlepiej byłoby ich wystrzelać (mówiła tak tylko w gronie wolnych pracowników, ale szybko to doszło do zeków) i sama s y p n ę ł a dwóch — jednego, że romansuje z wolniaczką, drugiego — że zrobił sobie walizkę z państwowych materiałów. Ruśka całkiem bezpodstawnie oczercił ją, meldując, że wynosi ona listy zeków na pocztę i że kradnie kondensatory z szafy. I chociaż nie dostarczył Szykinowi żadnego dowodu, a mąż tej damy, pułkownik MWD głośno protestował, to na mocy — niczym nie zwalzonego w naszej ojczyźnie — prawa donosu, dama dostała wypowiedzenie i poszła z płaczem.

Czasami Ruśka k a p o w a ł też na zeków — wybierając jakieś drobnostki i uprzedzając ich zresztą o tym. Później przestał uprzedzać, zamilkł. Oni też przestali go pytać. Chcąc nie chcąc, wszyscy przyjęli, że widać donosi nadal, tylko o takich sprawach, o których woli nie mówić.

W ten sposób Ruśka podzielił los podwójnych graczy. O jego grze dalej nikt władzom nie doniósł, ale zaczęto go unikać. Jego informacje, jak choćby ta, że pod szkłem u Szykina leży specjalny rozkład godzin przyjęć dla kapusiów, dzięki któremu wchodzi tam bez wezwania — i mogą być też przyłapani bez omyłki, jakoś nie bardzo równoważyły fakt, że sam powiększył ich grono.

Również Nierzyn nie podejrzewał — a lubił chłopca i podobąły mu się jego pomysły — że o jego Jesieninie n a k a p a ł też Ruśka. Utrata książki sprawiła Glebowi duży ból, którego Ruśka nie mógł przewidzieć. Zakładał, że książka jest własnością Nierzyna, że to się musi wyjaśnić i że nikt wtedy książki nie odbierze — a tymczasem może dać Szykinowi strawę duchową w postaci doniesienia, iż Nierzyn chowa w walizce książkę, którą zapewne dostał od jakiejś wolnej pracownicy.

Czując jeszcze na wargach słono-słodki smak pocałunku Klary, Ruśka wyszedł na podwórzec. Śnieg na lipach wydał mu się białym kwieciami, powietrze zaś ciepłe, jak na wiosnę. W czasie swej dwuletniej wędrówki i chowanki całą swoją

chytrość i energię obracał na zmylenie wywiadowców i zupełnie nie miał czasu na szukanie kobiecych łask. Wsadzili go też za kraty w dziewiczym stanie i dlatego wieczorami tak mu było smutno i ciężko.

Ale po wyjściu na dwór zerknął na długi, niski budynek sztabu specwiewienia i przypomniał sobie, że jutro podczas obiadu miał tu przecież zamiar dać pewne przedstawienie. Był już czas, aby kogoś o tym uprzedzić (wcześniej nie mógł, jeszcze by się wydało). I, owiany wciąż zachwytem bijącym z oczu Klary, czując się przez to po trzykroć pewniejszy sukcesu i mądrzejszy, rozejrzał się, zobaczył Rubina i Nierżyna na skraju spacernika, pod dużą lipą z rozdwojonym pniem — i śmiało skierował się w ich stronę. Czapkę nosił na bakier i odsadził ją z czoła, tak że kąt ciemienia z wywiniętym łokiem wystawiony był ufnie na rześkie powiewy.

Szedł, widząc plecy Rubina i twarz Nierżyna. Nie mówili o głupstwach, bo Nierżyn był chmurny i poważny. Gdy chłopak podszedł bliżej, nawet na niego nie spojrzął, nie zmienił wyrazu twarzy, ani tempa rozmowy, nie mrugnął nawet i nie ruszył brwią, ale jasne było, że słowa, które doszły do Ruśki, nie miały nic wspólnego z tematem ich dialogu.

— I w ogóle, jeżeli kompozytor za wiele napisał, to już jest dla mnie podejrzany. Mozart na przykład, wyrpał czterdzieści jeden symfonii, to już chałtura!

No tak, mieli się przed nim na baczności! Nierżyn musiał zmienić temat, bo chociaż nic w tych słowach nie wskazywało Rubinowi, że ktoś nadchodzi, przecież się odwrócił. Widząc Ruśkę, powiedział:

— A, nasz infant. Jak myślisz, książę, czy geniusz może kojarzyć się z podłością?

Rościśław patrzył na Rubina spojrzeniem pełnym otwartości. Twarz jego jaśniała czystością i łobuzerskim sprytem.

— Moim zdaniem, nie, panie Lwie! Ale od pewnego czasu wszyscy tak ode mnie stronią, jakbym ja właśnie był uosobieniem tych obu cech naraz. Panowie! Mam pewną propozycję: jeśli chcecie, to jutro podczas obiadu oddam w wasze ręce wszystkich judaszów w tej właśnie chwili, gdy będą otrzymywać swoje trzydzieści srebrników.

— Jakim sposobem?

— No, znacie chyba główną zasadę sprawiedliwości społecznej — że za każdą pracę należy się płaca? Jutro wszyscy Judasze będą dostawać swoje srebrniki za usługi w trzecim kwartale bieżącego roku.

— Śledziarze! — oburzył się Nierzyn. — W czwartym już wszystkie plany wykonane, a oni dopiero za trzeci! Skąd takie opóźnienie?

— Listę wypłat tyle razy trzeba sprawdzać — wyjaśnił Ruśka tonem usprawiedliwienia. — Ja też będę jutro brać należność.

— Tobie też już płacą za trzeci? — zdziwił się Rubin.

— Przecie jesteś dopiero pół kwartału zatrudniony?

— Za to się wyróżniam! — Ruśka spojrział na nich ze szczerym, czarującym uśmiechem.

— I gotówką, tak po prostu?

— Uchowaj Boże! Fikcyjny przekaz pocztowy z prawem przeniesienia sumy na rachunek osobisty. Pytali mnie tam — w czym imieniu mają mi to przekazać? Chcecie, żeby było od Iwana Iwanowicza Iwanowa? A ja na to — może by tak od Klaudii Kudriawcew? Miło wszak sobie wyobrazić, że troszczy się o ciebie jakaś niewiasta.

— Ile wypada za kwartał, co?

— O, na tym polega cały dowcip! Informator dostaje według listy brutto sto pięćdziesiąt rubli kwartalnie. Ale trzeba przecież dla niepoznaki przesłać pocztą. A bezlitosna poczta zdiera trzy ruble za tę operację. K u m o w i e są wszyscy tacy chciwi, że żaden nie dopłaci z własnej kieszeni, i tacy leniwi, że żaden nie złoży wniosku, by podnieść stawkę dla seksotów¹ o te trzy ruble. Dlatego wszystkie przekazy bez wyjątku będą na 147 rubli. Ponieważ normalny człowiek nigdy takiej sumy nie pośle — te brakujące trzydzieści razy po dziesięć kopiejek — to właśnie jest judaszone znamię. Jutro podczas obiadu trzeba zebrać ludzi koło sztabu i każdemu, kto wychodzi od opera — zajrzeć do przekazu. Ojczyzna powinna znać swoich szpiclów, jak panowie myślą?

1. Sekrjetnyj sotrudnik — konfident.

XLIV

ŻYCIE NIE JEST ROMANSEM

Podczas gdy rzadkie, pojedyncze śnieżynki złuszczały się z nieboskłonu by spaść na jezdnię ulicy Matrosskaja Tiszyna wylizaną przez samochodowe opony z ostatnich resztek starego śniegu — w 418-tym pokoju miasteczka studenckiego na Stromynce toczyło się zwykłym, przedwieczornym trybem niedzielne życie aspirantek.

Pokój 418-ty, położony na trzecim piętrze, swoim szerokim, kwadratowym, na dziewięć pól podzielonym oknem wychodził właśnie na ulicę Matrosskaja Tiszyna. Był podłużny, od drzwi do okna wzdłuż lewej i prawej ściany stały gęsiego po trzy łóżka, przedzielone koszykowymi etażerkami na książki i nocnymi szafkami. Pośrodku, zostawiając tylko wąskie przejścia wzdłuż łóżek, jeden za drugim stały dwa stoły; bliżej okna — „do rozpraw”, na którym wysoko piętrzyły się książki, zeszyty, rysunki, pliki maszynopisów i gdzie znalazła sobie miejsce na rożku Oleńka biedząc swoją jasną główkę nad stosem arkuszy — i „ogólny”, przy którym Muza pisała teraz list, a Luda rozkręcała papiloty przed lustrem. Łóżka nie dochodziły aż do ściany, gdzie były drzwi, zostawało więc nieco miejsca — z jednej strony na wieszaki, z drugiej zaś — dla miednicy do mycia, odgradzonej zasłonką (toaleta była na końcu korytarza, ale dziewczętom było tam zimno, nieprzytulnie i daleko).

Na pierwszym łóżku od umywalki leżała Węgierka Erzyka i czytała. Leżała w szlafroku, który miał w pokoju przezwisko „brazylijski sztandar”. Miała jeszcze inne niezwykle szlafroki, od których dziewczętom dech zapierało, ale do wyjścia ubierała się bardzo skromnie, jakby się starała nigdy nie zwracać niczyjej uwagi. Przywykła do tego w latach, gdy była w konspiracji na Węgrzech.

Kolejna pościel należała do Ludy i była rozkopana (Luda dopiero niedawno wstała), kołdra i prześcieradło zwisały aż na podłogę, za to z wezgłowia aż na poduszkę opadała — starannie rozłożona i wyprasowana — niebieska, jedwabna suknia oraz pończochy. Sama Luda siedziała przy stole i referowała (nie wiadomo komu, bo nikt jej specjalnie nie słuchał) historię flirtu z pewnym hiszpańskim poetą, którego wywieziono z jego kraju gdy jeszcze był chłopcem. Szczegółowo opisywała urządzenie restauracji, skład orkiestry, dania, jarzyny i trunki.

Podpierając małymi, okrągłymi piąstkami bródkę, Oleńka próbowała dalej czytać swoje i nie słyszeć Ludy. Mogła, oczywiście, poprosić ją o milczenie, ale — jak mawiała jej mama-nieboszczka „ze swarliwą kumą długie pożegnanie”. Już nieraz się okazywało, że od przerywania Luda jeszcze bardziej zapalała się do mówienia. Luda właściwie nie była nawet aspirantką, ukończyła instytut finansowy i przyjechała do Moskwy na kursa wykładowców ekonomii politycznej. Pochodziła z rodziny nie znającej niedostatku i, jak się zdaje, na kursy przybyła raczej szukając rozrywki.

Drażniło Olę w podobnych opowieściach Ludy to ciągłe ślinienie się nad rozrywkową stroną życia, wymagającą znacznych środków, wolnego czasu i pustej duszy — a jeszcze chyba bardziej — niezachwiane przekonanie Ludy, że w chodzeniu i w ogóle w kontaktach z mężczyznami mieści się nie tylko zasadniczy, lecz jedyny sens życia.

W przeciwieństwie do tego, Oleńka była zupełnie pewna, że kobiety z jej pokolenia, tak prześladowanego przez los (urodziła się w dwudziestym trzecim roku) nie miały prawa ulegać takim nastrojom. Akceptować taką tezę — to znaczyło całą swoją przyszłość powiesić na jednej, pajęczej nitce i drżeć codziennie, że nitka się zerwie, albo że nawet nie jest przytwierdzona do niczego.

Co prawda w życiu samej Oleńki pojawiła się taka perłowa niteczka i kołysała się przed nią, jak huśtawka. Także tego wieczoru Ola miała iść na koncert z człowiekiem, który bardzo jej się podobał. Pajęcza nitka zjawiła się, można ją było nawet uchwycić oburącz, ale naciągnąć ją, o, naciągać się bała. Nitka mogła nie wytrzymać...

Tymczasem zaś Oleńka nie zabrała się jeszcze do prasowania, tylko kończyła czytanie — nie z obowiązku, tylko z prawdziwej ciekawości — bladej, trzeciej odbitki sprawozdania o postępach wykopalisk w Nowgorodzie tej jesieni kiedy Oli już tam nie było. W archeologii zaczęła specjalizować się późno, w końcu czwartego roku; nawet jako historyk pragnęła dotknąć czego-

kolwiek własnymi rękoma. Od tej chwili nie posiadała się wprost z radości, że przeszła na archeologię. Właśnie tego lata udało jej się własnymi palcami wydobyć z ziemi kawałek zapisanej brzoźowej kory — żywy list z dwunastego wieku!

W tym jej „własnym” malutkim dokumencie było wszystkiego kilka słów: mąż pisał do żony, żeby przysłała mu przez Saszkę dwa konie na takie a takie miejsce o takiej a takiej godzinie. Ale dla Oleńki wykopane przez nią słowa grzmiąły jak trąby jerychońskie od których się ziemia rozwiera, były czymś wspanialszym niż uroczyste zwroty z kronik; ta nowgorodzka gospodyni domowa z dwunastego wieku, czytająca i piszcząca, ot tak sobie, na co dzień — co to była za kobieta! Jakież to było miasto! I kim mógł być ten Saszka? Syn? Parobek? I jak wyglądały te konie, co to je Saszka miał gdzieś pędzić?... Zwykła kartka, rodzinnych spraw dotycząca, wciągała Olę coraz dalej w głąb nowgorodzkich zaułków. W ogóle trudno jej było powściągnąć wyobraźnię. Czasami, choćby w czytelnicy, zamykała oczy i zaczynała sobie wyobrażać, jak to jakiegoś zimowego wieczoru, ale bez mrozu, bez zawiei, podjeżdża saniami właśnie stąd od strony Tweru i już z daleka widzi mnóstwo świateł (przecież nie oświetlali miasta łuczywami), i że sama jest nowgorodką z dziada pradziada i serce jej biło z radości, że po długiej rozłące powraca do tego swego najmilszego, wolnego, hałaśliwego, półmilionowego, jedyne w świecie takiego miasta!

Dla Ludy największa pikanteria w jej własnym opowiadaniu polegała nie na zewnętrznych okolicznościach. Będąc już u siebie w Woronieżu mężatką przez jakieś trzy miesiące i miesząc później dość często bliższe kontakty z tym i owym, Luda nie mogła odżałować, że dziewictwo straciła jakoś mimochodem. Teraz więc od pierwszej chwili znajomości z hiszpańskim poetą zgrywała się na wstydliwą cnotkę, drżała i krępowała się najmniejszego dotknięcia ręki albo łokcia, a kiedy wstrząśnięty poeta wybłągał wreszcie pierwszy w jej życiu pocałunek, zadygotała cała, miotając się od uniesienia do rozpacz i natchnęła poetę tak bardzo, że napisał wiersz długości dwudziestu czterech linijek, niestety, nie po rosyjsku.

Muza, nazbyt tęga, ze swoimi pospolitymi rysami i okularami na nosie wyglądająca jakby miała grubo ponad trzydziestkę — przy akompaniamencie tego natrętnego, ubliżającego jej opowiadania (prośba o milczenie wydawała jej się czymś niedelikatnym) próbowała pisać list do swoich sędziwych rodziców, których zostawiła w dalekim, prowincjonalnym miasteczku. Tatko i mama aż po dziś dzień kochali się nawzajem, jak młoda para i każdego ranka idąc do pracy ojciec aż do samego rogu odwra-

cał się i machał mamie ręką, a mama kiwała mu dłonią przez łufik. I córka tak samo ich kochała! — i nie było na całym świecie ludzi bliższych jej, niż starzy rodzice. Przywykła do tego, aby pisać im często i drobiazgowo o wszystkich swoich przeżyciach, lubiła to pisanie.

Ale w tej chwili była całkiem zagubiona. Dwa dni temu, w piątek wieczorem zdarzyło się z nią coś takiego, co zmało w niej nawet chęć pracy nad Turgieniewem, pracy niestrudzonej, bezustannej, która wypełniała jej całe życie i zastępowała wszystkie inne sposoby wyżycia się. Miała ohydne samopoczucie — jakby powalało ją coś brudnego, wstydliwego, czego niesposób było zmyć, ani ukryć, ani pokazać nikomu, a żyć z tym też nie było można.

Rzecz miała się tak, że tego piątkowego wieczoru, kiedy chciała już kłaść się spać, po powrocie z biblioteki, wezwana została do kancelarii akademika, gdzie powiedziano jej: „aha, aha, proszę wstąpić do tego pokoju”. Siedziało tam już dwóch ichmościów w cywilu: z początku zachowywali się uprzejmie, jeden przedstawił się jako Mikołaj Iwanowicz, drugi — jako Sergiusz Iwanowicz. Mało zważając na późną porę trzymali ją tam godzinę, później dwie i trzy. Zaczęli od pytań, z kim mieszka, z kim współpracuje (choć wiedzieli to nie gorzej od niej). Toczyli z nią bez pośpiechu rozmowę o patriotyzmie, o społecznym obowiązku każdego pracownika naukowego, który polega na tym aby nie zasklepić się w ramach swojej specjalności lecz służyć narodowi na wszelki możliwy sposób. Muza wcale nie oponowała, wszystko to było zupełnie słuszne. Wówczas bracia Iwanowicze zaproponowali, aby zechciała p o m a g a ć im, to znaczy — w określonym z góry czasie spotykać się z którymś z nich właśnie tu, w kancelarii, albo w agitpunkcie, albo w pokoju klubowym, w końcu nawet na uniwersytecie, to już — jak woli — i odpowiadać tam na pewne pytania albo dzielić się swoimi własnymi spostrzeżeniami.

I tu zaczęła się ta rzecz przeraźliwa, bez końca! Zaczęli mówić z nią coraz bardziej po chamsku, krzyczeć na nią. Przeszli na „ty”: „no i co się upierasz? Przecież nie zagraniczny wywiad cię chce zwerbować!” „Potrzebnaś ty zagranicznym wywiadam, jak psu piąta noga...”. Później oświadczyli wprost, że nie pozwolą jej na obronę pracy doktorskiej (za to były ostatnie miesiące przed czerwcowym terminem i rozprawa była już niemal gotowa) i złamią jej karierę naukową, bo takie uczone wymoczki wcale nie są krajowi potrzebne. Bardzo ją to przestraszyło, uwierzyła im bez wahania, że zostanie przepędzona z aspirantury, dla nich to żadna fatyga. Ale w tym momencie jeden z nich

wyjął pistolet, zaczęli go sobie podawać z ręki do ręki i niby niechcący wzięli Mużę na muszkę. Na widok pistoletu strach nagle Mużę opuścił. Dlatego że w końcu gorzej byłoby zostać przy życiu, ale bez aspirantury i z ujemną opinią z miejsca pracy. O pierwszej w nocy Iwanowicze pozwolili jej odejść i przemyśleć sprawę do wtorku, do tego właśnie wtorku dwudziestego siódmego grudnia — kazać jej przedtem złożyć podpis na zobowiązaniu do milczenia.

Zapewniali ją, że im jest wszystko wiadome i że jeżeli komukolwiek ośmieli się opowiedzieć o tym spotkaniu, to na podstawie własnego podpisu zostanie natychmiast aresztowana i skazana.

Jakie przekłète fatum kazało im wybrać właśnie ją?... Teraz czekała na wtorek, jak na rzeź, nie mając sił do nauki — i wspominała tylko te dni, tak niedawne, kiedy mogła myśleć wyłącznie o swoim Turgieniewie, kiedy nic jej nie gnębiło, a ona, głupia, nie pojmowała nawet jakie to szczęście.

— A ja powiadam: wy, Hiszpanie, tak wysoko cenicie cześć ludzką a przecież — skoro pocałował mnie pan w usta — to jestem już bezczeszczona!

Na powabnej, chociaż kanciastej twarzy Ludy malowała się rozpacz gwałconej dziewczyny.

Oleńka głośno westchnęła i odłożyła sprawozdanie. Chciała powiedzieć coś ostrego, ale jeszcze się powstrzymała. W takich chwilach jej podbródek, mile zaokrąglony — jak cała twarz, jak rączki — nabierał twardych konturów. Nachmurzona i milcząca, stanęła na krześle, wspierała się na palce (była niska i trudno jej było dosięgnąć) żeby wetknąć wtyczkę żelazka do rozgałęźnika nad wiszącą lampą, który został tam jeszcze po prasowaniu Ludy. (Żelazka i kuchenki elektryczne były na Stromynce surowo zabronione, administratorzy urządzali polowania na rozgałęźniki, zwykłych gniazdek zaś w pokojach nie instalowano).

Chudziutka Erzyka przez cały ten czas czytała na leżącym „Pisma Wybrane” Gałachowa. Książka ta odsłaniała jej cały świat wzniosłych, promiennych postaci, jasny i piękny świat, gdzie tak łatwo dawało się przezwyciężyć każde cierpienie. Bohaterów Gałachowa nie nękały nigdy najmniejsze wątpliwości — czy służyć ojczyźnie, czy nie służyć, poświęcać się, czy nie poświęcać. Głębia i jednolitość charakteru tych ludzi budziły w Erzyce podziw. Przyznawała się sama przed sobą, że w węgierskim podziemiu za czasów Horthy’ego sprawa zaległych składek członkowskich nigdy by jej tak nie mogła dręczyć jak tego komsomolca z książki Gałachowa, który wysadzał w powietrze transporty na tyłach wroga.

Ale przekręciwszy się na bok odłożyła na chwilę książkę i zaczęła także przysłuchiwać się słowom Ludy. Tutaj, w 418-tym pokoju poznała już wiele sprzecznych i paradoksalnych zjawisk: to jakiś inżynier wymawiał się przed wyjazdem na wspaniałą syberyjską budowę, wołał zostać w Moskwie i handlować piwem; to znów ktoś obronił rozprawę doktorską, ale nie dostał pracy. (Erzyka szeroko otwierała oczy: „bo to w Związku Sowieckim w ogóle są bezrobotni?”). To znów, żeby dostać moskiewski meldunek, ktoś podobno musiał komuś dobrze pomarać łapę. „Ale to przecież zjawisko momentalne?” (Chciała powiedzieć — chwilowe).

Luda kończyła opowieść o poecie deklaracją — że już teraz nie ma wyjścia, że jeżeli wyjdzie za niego za mąż, to już będzie musiała w jakiś prawdopodobny sposób wykazać, że jednak była dziewicą. I rozpoczęła zwierzać się jakie mianowicie sposoby zamierza zastosować w noc poślubną.

Żmijka cierpienia przemknęła po czole Muzy. Nie wytrzymała i uderzyła dłonią w stół:

— Przecież to bzdura! Ileż to największych bohaterów literatury właśnie przez to...

— A bo idiotki! — wesoło odparła jej Luda, zadowolona, że przecież słuchają. — Bo same sobie mątu we łbach narobiły... A to takie proste!

Oleńka położyła koc na brzegu ogólnego stołu i spróbowała, czy żelazko gorące. Niedawno uszyty żakiet ze spódnicy, szarobrunatnego koloru — to był jej cały majątek. Oleńka żyła tylko kartoflami i kaszą (nie pamiętała żeby najadła się do syta od samego początku wojny), jeżeli mogła nie zapłacić w trolejbusie czterdziestu kopiejek, to nie płaciła, za to ten kostium był samą doskonałością, niczego w nim nie musiała się wstydzić... Chyba łatwiej by jej było teraz wypalić sobie żelazkiem dziurę w ciele, niż w tym kostiumie.

Ale Luda miała jeszcze zasadnicze wątpliwości czy wydać się za poetę:

— Nie jest członkiem Związku Pisarzy, pisze tylko po hiszpańsku i jak tam będzie w przyszłości z honorariami — pojęcie nie-mam!

Erzyka była tak zdumiona, że aż opuściła nogi na podłogę.

— Jak to? — zapytała. — Więc ty... więc w Związku Sowieckim też wychodzi się za mąż dla pieniędzy?

— Jak przywykniesz, to zrozumiesz — Luda potrząsnęła głową przed lustrem. Wszystkie zakrętki już były zdjęte i mnóstwo bardzo jasnych loczków sprężyste drgało na jej gło-

wie. Jednego takiego loczka było dosyć, żeby wziąć na arkan młodego poetę.

— Dziewczynki, ja ciągnę taki wniosek... — zaczęła Erżyka, ale spostrzegła, że Muza dziwnie jakoś patrzy w dół na podłogę, krzyknęła więc i szybko podciągnęła nogi na pościel.

— Co? Przeleciał? — zawołała krzywiąc twarz z odrazą.

Dziewczęta roześmiały się. Nic nie przeleciało. Tu, w czterysta osiemnastce, czasem nawet za dnia a w nocy to już zupełnie bezczelnie, tupocząc łapami i popiskując biegały sobie okropne, rosyjskie szczury. W ciągu wszystkich lat swojej podziemnej działalności Erżyka niczego tak się nie bała jak teraz tego, że szczur wskoczy na jej łóżko i będzie po niej biegać. We dnie, kiedy koleżanki śmiały się, strach jakoś mijał, ale po nocach Erżyka zawijała się w kołdrę ze wszystkich stron, chowała pod nią głowę i przysięgała sobie, że jeżeli dożyje do rana, to ucieknie ze Stromynki. Nadia z chemii przynosiła truciznę, rozkładały ją po kątach, szczury cichły na jakiś czas, a potem znów robiły swoje. Przed dwoma tygodniami wahania Erżyki skończyły się; nie kto inny, tylko właśnie ona nabierając rano wody z wiadra wyłowiła kubkiem utopionego szczurka. Trzęsąc się z obrzydzenia, wciąż mając przed oczyma jego ostry, pełen skupienia i spokoju pyszczek, Erżyka tegoż dnia pobiegła do węgierskiego poselstwa, prosząc aby umieszczono ją w prywatnym mieszkaniu. Poselstwo zwróciło się do ministerstwa spraw zagranicznych ZSSR, ministerstwo spraw zagranicznych do ministerstwa szkolnictwa wyższego, ministerstwo szkolnictwa wyższego do rektora uniwersytetu, rektor do swojego wywiadu administracyjno-gospodarczego, wydział zaś odparł, że prywatnych mieszkań chwilowo nie ma, skarga zaś na szczury, rzekomo występujące na Stromynce, jest pierwszym zażaleniem tego rodzaju. Korespondencja potoczyła się w odwrotnym kierunku tą samą drogą. Poselstwo obiecało mimo wszystko Erżyce, że jakiś pokój zostanie.

Teraz Erżyka siedziała z kolanami pod brodą w swoim brazylijskim szlafroku i wyglądała jak egzotyczny ptaszek.

— Ach, dziewczęta — mówiła żałosnym i śpiewnym głosem. — Tak mi się podobacie. Wcale bym od was nie odeszła, jakby nie szczury.

To była prawda i nieprawda zarazem. Dziewczęta jej się podobały, ale żadnej z nich Erżyka nie mogłaby opowiedzieć o swoich obawach, ani o węgierskiej samotności na kontynencie. Po procesie Laszlo Rajka działo się u niej w kraju coś tajemniczego. Chodziły wieści, że już aresztowani są komuniści, z którymi razem była w konspiracji. Siostrzeńca Rajka, który również

uczył się na uniwersytecie moskiewskim — a z nim razem innych węgierskich studentów, odwołano na Węgry i nikt z nich więcej nie przysyłał listów.

Do zamkniętych drzwi ktoś zapukał w umówiony sposób („nie chować żelazka, swój!”). Muza wstała i przypadając na nogę (kolano ją bolało, już dokuczał reumatyzm) podniosła haczyk. Szybko wkroczyła Dasza — twarda dziewczyna z dużymi, lekko skrzywionymi ustami.

— Oj, dziewczucho! — zanosila się śmiechem, ale nie zapomniała zamknąć za sobą haczyka. — Ledwie odczepiłam się od kawalera! I to od kogo? Zgadnijcie!

— Taki urodzaj na kawalerów? — zdziwiła się Luda grzebiąc w swojej walizce.

(Istotnie, uniwersytet budził się po wojnie, jak z omdlenia. Mężczyzn było na aspiranturze bardzo mało i wszyscy jacyś niewydarzeni).

— Chwileczkę! — włączając się do gry Oleńka podniosła rękę i patrzyła na Daszę wzrokiem hipnotyzera (żelazko postawiła sztorcem). — Żuchwa?

(„Żuchwą” nazywano aspiranta, który trzy razy pod rząd ściał się na egzaminie z historycznego i dialektycznego materializmu, po czym — jako beznadziejny bałwan — został wydalony z aspirantury).

— Bu f e t o w y ! — zawołała Dasza, ściągnęła czapkę z nusznikami z mocno związanymi, ciemnymi włosami i powiesiła ją na kołku. Wciąż stała jeszcze przy drzwiach w taniutkim swoim paletku z barankowym kołnierzem, kupionym na talon przed trzema laty w uniwersyteckiej spółdzielni.

— Ach, ten??!

— Jadę tramwajem, a tu on wchodzi — śmiała się Dasza. — Od razu mnie poznał. „Do jakiego przystanku?” Co było robić, zeszedliśmy razem. „Już pani teraz nie pracuje w tej łaźni? Tyle razy tam chodziłem — a pani nie ma i nie ma”.

— Powinnaś była... — śmiech z Daszy przeszedł na Oleńkę i objął ją całą, jak ogień. — Powinnaś była... powiedzieć... powinnaś!... — ale w żaden sposób nie mogła powiedzieć o co jej chodzi i upadła na łóżko zanosząc się śmiechem.

— Jaki bufetowy? Jaka łaźnia? — wciąż pytała Erzyka.

— Powinnaś była powiedzieć!... — siliła się mówić Oleńka, ale wciąż nowe ataki śmiechu aż nią trzęsły. Wyciągnęła ręce i ruchami palców próbowała wyrazić to, co nie przechodziło jej przez gardło.

Zaśmiała się Luda, a nawet nie pojmująca niczego Erzyka.

Surowa, nieładna twarz Muzy złagodniała w uśmiechu. Zdjęła okulary i przetrąła je.

— Dokąd to pani idzie? Kogo tu pani, powiada, ma, w studenckim miasteczku? — chichotała i dławiała się śmiechem Dasza. — A ja powiadam... dozorczynię mam znajomą!... rękawiczki mi... na drutach... robi!...

— Rę?ka?wiczki?...

— Na drutach!!!...

— Ale ja też chcę wiedzieć! Ale jaki bufetowy? — nie mogła się dopytać Erzyka.

Oleńkę trzeba było dobrze klepnąć po plecach. Śmiech w ogóle przychodził jej łatwo. Ale był nie tylko potrzebą młodości. Miała swoją teorię, że śmiech jest pożyteczny i dla tych, co się śmieją, i dla tych, co śmiech słyszą, i że tylko ten człowiek zdolny jest do życia, który potrafi śmiać się z całej duszy.

Jakoś się uspokoiły. Żelazko rozpałiło się, czekało. Oleńka zrećcznie spryskała wodą zakiet i zaczęła szybko prasować przez białą szmatkę.

Dasza zdjęła palto. Nosiła obcisły, szary sweterek, najwykleszą spódnicę ściągniętą mocno paskiem i widać było jak jest giętka, dobrze zbudowana, zdolna do ciężkiej pracy choćby przez cały dzień. Odrzuciła kolorową kapę i ostrożnie usiadła na skraju swego łóżka, zasłanego z nabożną prawie starannością — poduszka była specjalnie wzbita, tak samo jasiek z koronkową narzutką, na ścianie wisały haftowane serwetki. I powiedziała do Erzyki:

— To było jeszcze jesienią, jak było ciepło, przed twoim przyjazdem... No, gdzie tu znaleźć faceta? Przez kogo się zapoznać? Ludka mi poradziła — żeby iść do Sokolnickiego parku, ale koniecznie samej. Dziewczyny wszystko sobie psują przez ten zwyczaj chodzenia we dwie.

— Jak kogo złapać, to tylko tak. — Odezwała się Luda. Starła się ostrożnie zetrzeć plamkę z trzewika. — Samotna dziewczyna, to zagadkowe zjawisko. Chcąc nie chcąc, musi się ją zaczepić.

— No więc poszłam — kontynuowała Dasza, ale już nie tak wesołym tonem. — Spaceruję, czasem sobie siadę, na drzewa sobie popatrzę. I rzeczywiście, prawie zaraz przysiadł się jakiś jeden, nawet z wyglądu niczego. Kto zacz? Okazuje się — bufetowy, pracuje w lokalu. A pani gdzie?... Tak się jakoś spieszyłam, nie powiem mu przecież, że aspirantka i w ogóle, uczona baba — to postrach dla mężczyzny...

— No, tego już nie mów! Tak to można dojść diabli wiedzą do czego — przerwała jej raptem Oleńka niechętnym tonem.

W tym świecie, tak zdziesiątkowanym i tak spustoszonym, z którego ledwo wypchnięto żelazne cielsko wojny; w którym ziały tylko czarne jamki tam, gdzie powinni byli śmiechem i ruchem dawać o sobie znać rówieśnicy, albo ludzie starsi o pięć, o dziesięć, o piętnaście lat — te grubiańskie, nie wiadomo przez kogo wymyślane, bezsensowne słowa „uczona baba” nie powinny były przecież zatrzaskiwać okna przed tym jasnym, ostrym promieniem, co im jednak przecież został, co im dźwięczał, co je wzywał!

— ... więc powiedziałam, że pracuję w łaźni, jako kasjerka. No i przyczepił się — w jakiej łaźni, na jakiej zmianie. Ledwie uciekłam...

Niedawne ożywienie zupełnie opuściło Daszę. Jej ciemne oczy patrzyły żałośliwie.

Przez cały dzień siedziała nad książkami w Bibliotece Lenińskiej, później zjadła skąpy i niesmaczny obiad w stołówce i wracała do domu w ponurym nastroju, mając przed sobą pusty wieczór niedzielny, który niczego jej nie obiecywał.

Niegdyś, jeszcze w średnich klasach obszernej, drewnianej szkoły w ich siole, Dasza lubiła uczyć się i dostawać dobre stopnie. Później rada była, że przyjęcie do instytutu pozwoliło jej otrzymać dowód osobisty i zameldować się w mieście. Ale teraz już nie była taka młoda, uczyła się przez osiemnaście lat z rzędu i uprzykrzyło jej się to wkuwanie do bólu głowy — a po co to się uczyć? Najprostsza babska radość — to urodzić dziecko, a tu nie ma z kim go mieć i nie ma dla kogo.

I kiwając się w zadumie Dasza wśród ogólnego milczenia powtórzyła ulubione swoje powiedzonko:

— Nie, dziewczuchy, życie nie jest romansem...

Przy ośrodku maszyn rolniczych¹ w ich wsi pracuje pewien agronom. Pisuje do Daszy. Bardzo się naprasza. Ale Dasza lada chwila zostanie kandydatem nauk² i cała wieś powie: no to po co się dziewczucha uczyła? Wyszła za agronoma! To potrafi byle brygadzistka z kołchozu... A z drugiej strony Dasza przeczuwała, że nawet jako kandydat nauk nie potrafi ani kroku zrobić w stronę tego towarzystwa, o którym marzy; nie ma w sobie dosyć tej nonszalancji i lekkości, jaką ma ta bezczelna Ludka.

I zerknąwszy na nią zawistnie, Dasza powiedziała:

— Ludka! Umyj lepiej nogi, radzę ci.

Ludka odwróciła głowę:

1. MTS, ośrodek państwowy, nie należący do kołchozu.

2. W dwustopniowej, dosyć płynnej hierarchii godności naukowych, nawiązującej w ZSSR do nomenklatury przedrewolucyjnej — pierwszy stopień, odpowiada z grubsza naszemu doktoratowi.

— Myślisz?

Ale wodę trzeba by grzać na maszynie (też dobrze schowanej), rozgałęźnik zaś zajęty był przez żelazko.

Dasza, zawsze energiczna, chciała odegnać troski jakąkolwiek robotą. Przypomniała sobie, że właśnie kupiła coś z bielizny, ale innego rozmiaru, bo trzeba było brać, póki sprzedawano. Teraz wyjęła toto i zabrała się do szycia. Wszystkie ucichły, tylko stół skrzypiał od ruchów żelazka i można było wreszcie wgłębić się w treść listu. Ale nie, nie wychodził, jak należy! Muza przeczytała jeszcze raz ostatnie zdania, zmieniła jakieś słowo, poprawiła kilka niewyraźnych liter... Nie, list był nieudany! Był w nim fałsz, i mama z tatką od razu to wyczują. Zrozumieją, że córeczce jest źle, że stało się coś złego — ale czemu to Muza nie napisze im po prostu? Dlaczego — pierwszy raz w życiu — nie mówi im prawdy?...

Gdyby była teraz w pokoju sama, to jęknęłaby głośno. Ryknęłaby sobie na cały głos — i może by jej wtedy zrobiło się lżej. A tak mogła tylko odłożyć pióro i podeprzeć głowę rękoma, chowając twarz przed wszystkimi. Więc tak właśnie to się odbywa! Chwila wyboru, chwila decydująca o całym życiu, a nie ma się kogo poradzić! Nikt ci nie pomoże, człowieku! i we wtorek znowu trzeba będzie stanąć przed tymi dwoma, tak pewnymi siebie, mającymi na podorędziu tyle gotowych słów, gotowych formuł. Chyba odłamek pocisku właśnie w ten sposób wchodzi w ciało — obcy, stalowy i na pozór o wiele większy, niż w istocie. Jak dobrze było bez tego stalowego odłamka w piersi! A teraz nie można go już usunąć, wszystko stracone. Bo przecież tamci nie ustąpią! Ale ty też nie ustąpisz, bo przecież jak można inaczej wypowiadać się na temat pierwiastków hamletycznych i donkiszockich w człowieku — i cały czas mieć w pamięci, że jesteś donosicielką, że masz swój pseudonim — Rumianek albo nawet Aza i że zobowiązałaś się zbierać materiały o tych dziewczętach tutaj, albo o swoim profesorze?...

Oleńka kończyła już prasowanie spódnicy. Kremowa bluzka z jasnoróżowymi guzikami czekała na swoją kolej.

— A gdzie Nadia? — spytała Dasza.

Żadna się nie odezwała. Żadna nie wiedziała.

Ale Dasza przy tym szyciu miała chęć pogadać właśnie o Nadii. Mówiła więc dalej:

— Jak myślicie, dziewczęta, jak długo można? No, zginął człowiek bez wieści. No, piąty rok po wojnie mija. No, można by już chyba zrobić koniec, co? I trochę życiem się zająć?

— Ach, co ty gadasz! Co ty gadasz! — zawołała Muza z męką i podniosła w górę ręce. Szerokie rękawy jej szarej,

kraciastej sukni opadły do łokci ukazując białe, miękkie ramiona.
— Tylko to jest miłość! Prawdziwa miłość sięga aż za grób!

Soczyste, trochę odęte wargi Oleńki skrzywiły się odrobinę:

— Aż za grób? To jakiś transcendentalizm, moja Muzo.
Wdzięczna pamięć, czułe wspomnienia — ale miłość!

— Podczas wojny — wtrąciła się Erzyka — bardzo dużo zapędziło się daleko, za ocean, może on tam jest, jeszcze żywy.

— No, to się może zdarzyć — zgodziła się Ola. — Wolno jej mieć nadzieję. Ale tak w ogóle... Nadia należy do tych kobiet, które lubią napawać się własnym nieszczęściem. Jedynie własnym. Bez jakiegoś nieszczęścia chyba by im w życiu czegoś było brak.

Dasza przerwała szycie czekając, aż inne się wypowiedzą i powolutku wodziła ostrzem igły po szwie, jakby to ostrze toczyła. Wiedziała, jak zelektryzuje wszystkie to, co miała zamiar powiedzieć za chwilę.

— Słuchajcie więc, dziewczęta, — powiedziała znacząco — Nadia nam wszystkim głowę kręci, ona kłamie. Wcale nie myśli, że jej mąż nie żyje i wcale nie czeka aż się znajdzie tam, gdzie zginął bez wieści. Ona po prostu wie, że jej mąż żyje. I nawet wie, gdzie jest.

Dziewczęta były poruszone:

— Skądś to wzięła?

Dasza patrzyła na nie zwycięskim wzrokiem. Już dawno zadziwiająca spostrzegawczość zjednała jej w pokoju przezwisko „pani detektyw”.

— Po prostu trzeba umieć słuchać. Czy chociaż raz mówiła o nim, jak o nieboszczyku? Nie. Stara się nawet nie mówić o nim, że „był”, tylko tak jakoś bez „był” i bez „jest”. No, a jeżeli zginął bez wieści, to przecież mogłaby chociaż razik pomówić o nim, jak o umarłym?

— No więc co się z nim stało?

— Jak to! — krzyknęła Dasza odrzucając na bok szycie.
— Czy to jeszcze nie jasne?

Nie, to nie było dla nich jasne.

— On żyje, ale ją porzucił! I jej wstyd do tego się przyznać! Poniżenie! Rozumiecie? I wymyśla, że „bez wieści”.

— W to mogę uwierzyć! Mogę uwierzyć! — przyłączyła się Luda, chlupiąc wodą za firanką.

— To znaczy, że ona poświęca się w imię jego szczęścia — zawołała Muza. — Widocznie musi mieć jakąś przyczynę, że milczy i że nie wychodzi za mąż!

— Wszystko się zgadza, brawo Daszka! — Luda wyskoczyła zza firanki bez szlafroka, w samej halce, gołonoga, przez co

wydawała się jeszcze smuklejsza i wyższa. — Rąbnęło ją, więc wymyśliła sobie taką pozę, że będzie święta, że będzie wierna umarłemu. Diabła tam ona się poświęca, cała drży, żeby tylko ktoś ją przytulił, ale nikt jej nie chce! Zdarza się, że idziesz sobie po ulicy, a każdy się ogląda, bez wyjątku, a ona, choćby nie wiem jak prosiła — nikogo sobie nie znajdzie!

I wróciła za zasłonkę.

— Ale wcale niekoniecznie trzeba tak wypatrywać, czy się aby kto ogląda! — ostro powiedziała Oleńka. — Trzeba umieć spojrzeć na to z góry.

— Ha-ha! — odezwała się Luda. — Łatwo ci mówić, bo za tobą się oglądają.

— A do niej Szczagow chodzi — powiedziała Erzyka, z trudem wymawiając „szcz”.

— Chodzi — to jeszcze nic nie znaczy! — Z pewnością siebie odparła niewidzialna Ludka. — Trzeba, żeby połknął przynętę!

— Jaką przynętę? — Erzyka nic nie rozumiała.

Zaśmiały się.

— Nie, spójrzcie na to z innej strony — Dasza uparcie wracała do swojej koncepcji. — Może ona jeszcze ma nadzieję odbić tamtej swego męża z powrotem?

Rozległo się umówione pukanie — „nie chować żelazka, swój”.

Wszystkie zamilkły. Dasza podniosła haczyk.

Weszła Nadia — powłócząc nogami, z twarzą obwisłą, wydłużoną, postarzałą, tak jakby chciała potwierdzić słuszność wszystkich drwin Ludy. Dziwne, nie przywitała się z nikim, nawet najbardziej zdawkowo, nie powiedziała „cześć”, ani „no, co nowego dziewczęta?”. Odwiesiła płaszcz i podeszła do swojego łóżka.

Nie było teraz dla niej nic cięższego, niż mówić o rzeczach bez znaczenia.

Erzyka czytała. Oleńka kończyła prasowanie, lampa już była zapalona.

Nikt nie wiedział, jak zacząć rozmowę. Chcąc przerwać wreszcie niezręczną ciszę Dasza znowu wzięła się za szycie i zaciągnęła śpiewnie, jakby kończąc jakąś wymianę zdań:

— Tak, kochane, życie nie jest romansem...

XLV

STARA PANNA

Po widzeniu Nadia miała chęć na jedno: stykać się wyłącznie z takimi samymi nieszczęsnymi jak ona i mówić tylko o tych, co siedzą za kratą. Pojechała z Lefortowa na drugi koniec miasta, na Krasną Presnię, aby przekazać żonie Sołogdina trzy magiczne słowa jej męża.

Ale nie zastała jej w domu (niełatwo było ją zastać, skoro wszystko, co miała zrobić dla siebie i syna w ciągu tygodnia — mogła wykonać tylko w niedzielę). Zostawić dla niej kartkę u sąsiadów też nie bardzo było można: z opowiadań Niny Sołogdin Nadia wiedziała (zresztą łatwo mogła to sobie wyobrazić) — że sąsiedzi odnoszą się do niej wrogo i szpiegują każdy jej krok.

Nadia wbiegła na strome ciemne schody ożywiona, z góry ciesząc się na rozmowę z miłą istotą tak samo nieszczęśliwą i tak samo to ukrywającą — schodziła zaś na dół nie zmartwiona nawet, tylko rozbita. I podobnie jak na papierze fotograficznym, zanurzonym w bezbarwnym, obojętnym na oko wywoływaczu zaczynają wkrótce wykwić już dawno na nim odbite, ale niewidzialne dotąd kontury — tak samo w duszy Nadii po nieudanej wizycie u Niny Sołogdin jeły panoszyć się wszystkie te mroczne myśli i złe przeczucia, które załęgły się jeszcze w czasie widzenia, lecz nie od razu dały znać o sobie.

Powiedział jej — tak, tak, tak powiedział chyba? — „nie dziw się, jeżeli mnie stąd dokądś wywiozą, jeżeli nie będzie listów”... Więc może wyjechać stąd!... I nawet te widzenia raz na rok, nawet to się skończy!?... I co ona wtedy zrobi?... I coś tam mówił o górnym biegu Angary...

I jeszcze to — czy aby nie zaczął wierzyć w Boga?... Po-

wiedział przecież coś takiego... Więzienie wypaczy go duchowo, skłoni do mistyki, do idealizmu, nauczy w końcu pokory. Charakter mu się zmieni, i kiedy wróci będzie zupełnie, ale to zupełnie innym, obcym człowiekiem...

Ale najgorsze, że mówił, jakby z groźbą: „nie łącz zbyt dużych nadziei z końcem mojego wyroku”, „termin — to tylko umowność”. Na widzeniu Nadia zawołała: nie wierzę! To niemożliwe! Ale godzina za godziną mijały. Cała we władzy tych myśli znów przecięła miasto od przedmieścia do przedmieścia, od Krasnej Presni do Sokolników i teraz te myśli nie dały się już odpędzić, kąsały ją wciąż i nie było przed nimi obrony.

Jeżeli ta kara nie ma się nigdy skończyć — to na co jeszcze czekać? Po co żyć?

Do stołówki na Stromynce też w końcu się spóźniła. Brakowało jeszcze tego drobnego niepowodzenia, aby dopełnić miary. Zaraz przypomniała sobie, że przed dwoma dniami kazano jej zapłacić dziesięć rubli kary bo zesza z tramwaju przez tylną platformę. Dziesięć rubli teraz to spore pieniądze, sto rubli sprzed wymiany.

Na Stromynce zaczął już prosić rześki śnieg. Chłopiec w nasuniętym na oczy kaszkiecie stał na ulicy i sprzedawał papierosy „Kazbek” na sztuki. Nadia podeszła i kupiła dwa papierosy.

— A zapałki? — zapytała sama siebie głośno.

— Ma tu ciocia zapałki! — powiedział chłopczyk ochotczo i podał jej pudełko. — Ogieńek gratis!

Nie zastanawiając się, jak to wygląda z boku, Nadia zaraz na ulicy zapaliła papierosa drugą z rzędu zapałką. Zatlił się krzywo, z jednego boku. Oddała dziecku pudełko i nie wchodząc do sieni akademika zaczęła zwolna przechadzać się przed wejściem. Palenie nie stało się jeszcze dla niej nałogiem, ale nie był to pierwszy papieros. Gorący dym ranił gardło i budził wstręt — ale też ból w sercu jakby cichł od tego.

Nadia wypaliła papierosa do połowy, odrzuciła go i poszła na górę, do 418-ki.

Z odrazą ominęła rozgrzebane łóżko i ciężko siadła na własnym, marząc tylko o tym, żeby jej teraz nikt o nic nie pytał.

Usiadła — i na poziomie jej oczu znalazły się od razu cztery fascykuły leżące na stole — cztery egzemplarze jej pracy doktorskiej, przepisane już na maszynie. I Nadia zaraz przypomniała sobie całą długą mitręgę z tą rozprawą — robienie rysunków i fotokopii, pierwszą przeróbkę, drugą. Pracę zwrócono jej właśnie z nakazem przerobienia po raz trzeci.

Znów sobie uprzytomniła, że praca jest opóźniona i że nie

ma na to żadnego legalnego usprawiedliwienia. Od razu też przypomniała sobie ten tajny spectemat, jedyny, który mógł dać jej teraz zarobek i trochę spokoju. Ale na drodze stała tu straszna ośmiostronnicowa ankietka, którą trzeba było złożyć w oddziale kadr przed wtorkiem.

Napisać całą prawdę — to znaczyło zostać jeszcze przed końcem tygodnia wypędzoną z uniwersytetu, z akademika, z Moskwy.

Albo — z punktu rozwód...

A Gleb żadnej rady jej nie dał...

Jej zaczadziały, odrętwiały umysł nie mógł teraz znaleźć żadnego wyjścia.

Erzyka pościeliła łóżko, jak umiała (nie bardzo jeszcze jej się to udawało, całe życie ścieliła jej łóżko gospoia), uszminkowała przed lustrem nie usta, lecz policzki i poszła do Leninowskiej Biblioteki.

Muza próbowała czytać ale szło jej jak po grudzie.

Zauważyła mroczny, ołowiany bezruch, w jakim trwała Nadia i zerknęła na nią niespokojnie, nie ośmielając się jednak jej zagabnąć.

— Aha! — przypomniała sobie Dasza, która właśnie zabrała się do prasowania (nie mogła usiedzieć bez jakiegoś zajęcia). — Słyszałam dzisiaj, że w tym roku dadzą podwójny zasiłek na zakup książek.

Oleńka drgnęła:

— Żartujesz?!

— Dziewczęta dowiedziały się od samego dziekana.

— Czekaj no, ile to będzie? — na twarzy Oleńki malowała się radość właściwa tylko ludziom nie chciwym i nie przyzwyczajonym do pieniędzy. — Trzysta i trzysta — to sześćset, siedemdziesiąt i siedemdziesiąt — to sto czterdzieści, pięć plus pięć... ho, ho! — zawołała i klasnęła w dłonie. — Siedemset pięćdziesiąt!! To rozumiem!

— Teraz kupisz sobie pełnego Sołowiowa — powiedziała Dasza.

— Nie wiem, nie wiem — uśmiechnęła się Oleńka. — Zamiast tego może lepiej uszyć granatową suknię z krepkorzety, wyobrażasz sobie? — Ola uniosła skraj spódnicy koniuszkami palców. — Z podwójnymi kloszami?!

Oleńka niewiele jeszcze miała w majątku. Dopiero całkiem niedawno, w ostatnim roku znów zaczęła tym się interesować. Matka chorowała jej bardzo długo i umarła przed dwoma laty. Od tej chwili Oleńka nie miała już zupełnie nikogo. Zawiadomienia o śmierci ojca i brata nadeszły do nich z frontu w ciągu jednego i tego samego tygodnia czterdziestego drugiego roku.

Matka rozchorowała się wtedy ciężko, Oleńka musiała wystąpić z pierwszego roku historii, przepuścić dwa semestry, a później wstąpić od nowa na zaoczny. Całe noce dyżurowała w szpitalu, później porała się z gospodarstwem domowym, jeździła dokądś, do lasu, najmowała się do piłowania drzew, żeby dostać trochę opału i wymieniała chleb kartkowy na mleko dla chorej.

Nic z tego nie było poznać teraz po jej dwudziestosześcioletniej, krągłej, małej twarzyczce.

Była zdania, że człowiek powinien umieć znieść wszystko nie pozwalając innym tego odczuć.

Dlatego drażnił ją teraz ten wyraz skamieniałego cierpienia, z jakim siedziała naprzeciw niej Nadia, przytłaczając tym wszystkich.

Ola spytała więc:

— Co ci jest, kochanie? Kiedy wychodziłaś rano, byłaś dużo weselsza.

Słowa były niby współczujące, ale w podtekście miały rozdrażnienie. Tajemnicze jakieś półtony zawsze zdradzają nasze prawdziwe intencje.

Nadia nie tylko wyczuła zniecierpliwienie w głosie sąsiadki. Widziała jeszcze nadto, jak tuż przed jej oczyma Oleńka stroiła się, jak przyszpiliła broszkę — rubinowy kwiatek — do kłapy żakietka, jak się perfumowała.

Te perfumy, spowijające Olę niewidzialnym obłoczkiem radości, drażniły jej nozdrza swędem niepowetowanej straty.

Nie zmieniając wyrazu i wymawiając słowa jakby z wielkim trudem, Nadia odparła:

— Przeszkadzam ci? Psuję ci nastrój?

Nie było pretensji w formie tego pytania, a przecież wyczuło się ją.

Oleńka wyprostowała się, zacięła usta, jej bródka nabrała twardych konturów.

Patrzyły teraz sobie w oczy nad stołem zawalonym rozprawami.

— Widzisz, Nadiu — powiedziała Oleńka dobitnie. — Nie chciałabym cię obrazić. Ale, jak mawiał nasz wspólny przyjaciel Arystoteles, człowiek jest zwierzęciem towarzyskim. Wolno nam siać radość wśród ludzi, natomiast wprawiać ich w przygnębienie — nie godzi się nam.

Nadia siedziała zgarbiona, w pozie omal starczej.

— A ty nie potrafisz zrozumieć — powiedziała cicho, zupełnie zgaszonym głosem — jak ciężko może być człowiekowi na duszy?

— Zna k o m i e potrafię zrozumieć! Ciężko ci, chętnie

wierzę. Ale nie wolno wmawiać w siebie, że tylko ty jedna cierpisz na tym świecie. Być może inni musieli cierpieć znacznie więcej niż ty. Pomyśl chwilę.

Nie postawiła kropki nad „i”, ale — niby dlaczego jeden zaginiony bez wieści, który jest przecież do zastąpienia, bo mąż jest zawsze do zastąpienia — ma znaczyć więcej od zabitego ojca, i zabitego brata, i zmarłej matki, skoro przecież natura nie dała nam sposobu, aby ich zastąpić kimkolwiek?

Powiedziała swoje i jeszcze powstała chwilę, wyprostowana, surowo patrząc na Nadię.

Nadia doskonale zrozumiała, że Ola mówi o własnych nieszczęściach. Zrozumiała — ale nie przejęła się. Dlatego, że taki na to miała pogląd: każda śmierć jest nie do naprawienia, ale jest w końcu wydarzeniem jednorazowym. Wstrząsa człowiekiem — ale raz tylko. Później zaś niedostrzegalnymi krokami, pomalutku odchodzi w świat zdarzeń minionych. I człowiek stopniowo wyzwala się spod władzy nieszczęścia. Przyszpila sobie rubinową broszkę, perfumuje się człowiek i biegnie na randkę.

Nieszczęście zaś Nadii jest niezbywalne — trwa wciąż wokół niej, nie da się odrzucić, jest treścią przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. I nie można wyrwać się z jego kłów, cokolwiek by człowiek czynił, jakkolwiek by się mიაł.

Ale żeby odpowiedzieć, jak należy, trzeba byłoby wyznaczyć wszystko. Sekret był zbyt niebezpieczny.

I Nadia poddała się, ustąpiła, zadała sobie samej kłam, wskazała palcem na maszynopis rozprawy:

— No już, nie gniewajcie się, dziewczęta, nie mam już sił. Skąd je brać do tych ciągłych przeróbek? Jak długo tak można?

Skoro wyjaśniło się, że Nadia wcale nie uważa swojego nieszczęścia za większe od innych, Oleńka od razu spuściła z tonu i powiedziała zgodliwie:

— Ach, masz powyrzucać cudzoziemców? Nie ty jedna przecież, co ty ręce załamujesz?

(Powyrzucać cudzoziemców to oznaczało wszędzie w tekście zamienić zwroty takie, jak „Laue dowiódł” na „uczonym udało się wykazać”, albo „jak przekonywająco wykazał już Langmuir” na „jak to zostało dowiedzione”, jeżeli zaś jakiś nie tylko Rosjanin, ale nawet Niemiec, czy Duńczyk, byle pracujący w Rosji — wykazał się choćby najmniejszą zasługą — należało koniecznie wymienić jego nazwisko ze wszystkimi dodatkami, podkreślić jego bezkompromisowy patriotyzm oraz nieśmiertelne osiągnięcia naukowe).

— Co tam cudzoziemcy, już dawno wyrzuciłam. Teraz kazali wyrzucić profesora B...

— Naszego, sowieckiego?

— ...I całą jego teorię. A przecież na niej wszystko u mnie się trzyma. Tymczasem okazało się, że on... że jego...

I oto do tej samej przepaści, do tego samego Hadesu, gdzie dręczył się w okowach mąż Nadii — stoczył się niespodzianie także profesor B.

Ale Muza już nie słuchała. Na swoje szczęście zdołała jednak zatopić się w lekturze i teraz wszystko dookoła niej przestało istnieć.

— ...na wydziale literatury jedna taka miała pracę doktor-ską o Zweigu, przed czterema laty, już dawno ma docenturę. I nagle wykryli, że w jej rozprawie trzykrotnie mówi się, iż „Zweig jest kosmopolitą”, ale że autorka ten fakt pochwała. Więc wezwano ją do Komisji Naczelnej i odebrano dyplom. Okropność!

— No wiesz Nadia! Jesteś na chemii i jeszcze narzekasz?!
— wtrąciła się Dasza. — Co mamy robić my, na ekonomii politycznej? Kłaść rękę w sam ogień? Ale nic, jakoś się żyje. Chwała Bogu, pomógł pan Stuzajła-Olabyszkin.

Rzeczywiście, wszyscy wiedzieli, że Dasza dostała już trzeci z kolei temat rozprawy. Pierwszy dotyczył „Problemów żywienia zbiorowego w epoce socjalizmu”. Temat ten, zupełnie jasny jeszcze dwadzieścia lat temu, kiedy każdy pionier, w tej liczbie również Dasza, wiedział doskonale, że kuchnie rodzinne wkrótce już poznikają, że ogniska domowe wygasną i że wyzwolone z tej pańszczyzny kobiety pobierać będą śniadania i obiady w kuchniach-fabrykach — otóż temat ten z upływem lat stał się nader mglisty, a nawet niebezpieczny. Jak na dłoni widać było, że jeżeli ktoś jeszcze jadał w stołówce, na przykład sama Dasza, to jedynie z przekłętego musu. Kwitły za to najbujniej dwie inne formy żywienia zbiorowego: restauracje, ale tu niezbyt jasno dawały się wyodrębnić socjalistyczne zasady żywienia — oraz najędzniejsze knajpy, handlujące w zasadzie tylko wódką. W teorii dalej bytowały kuchnie-fabryki, jako że Wielki Koryfeusz w ciągu tych dwudziestu lat nie znalazł okazji, aby wypowiedzieć się o problemach żywienia. Dlatego też ryzyko jakiegokolwiek własnej myśli było tu ogromne. Dasza namęczyła się, jak się patrzy, i promotor wreszcie zmienił jej temat, ale nowy też wziął przez lenistwo myślowe z tego samego spisu: „Handel przedmiotami użytku codziennego — w epoce socjalistycznej”. Tu także materiału było niewiele. Chociaż we wszystkich przemówieniach i dyrektywach powtarzano, że towary użytku codziennego mogą, a nawet powinny być wyrabiane i sprzedawane — ale w praktyce towary te, w porównaniu ze stałą walcowaną czy z taką ropą

naftową, zaczynały mieć jakiś naganny charakter. I czy przemysł lekki będzie się coraz wspanialej rozwijać, czy też coraz szybciej zanikać — tego wcale nie wiedziała rada naukowa, która temat zdążyła odrzucić zawczasu.

I tu oto przyjaciele pomogli radą i Dasza wyblagała wreszcie dla siebie temacik: „Stużajła-Olabyszkin, przedstawiciel rosyjskiej ekonomii politycznej dziewiętnastego wieku”.

— Czyś ty bodaj znalazła gdzieś portret tego twego dobroczyńcy? — ze śmiechem spytała Oleńka.

— A właśnie, nigdzie nie mogę znaleźć!

— Z twojej strony to czarna niewdzięczność! — Oleńka usiłowała teraz rozweselić jakoś Nadie, ale w istocie dzieliła się tylko tym ożywieniem, jakie opanowało ją przed randką. — Ja bym już znalazła i powiesiłabym nad łóżkiem. Doskonale go sobie wyobrażam: bardzo dostojny piernik, ziemianin z niezaspokojonymi ambicjami kulturalnymi. Po obfitym śniadanku siadał sobie w luźnym szlafroku przy oknie na tej swojej głuchej prowincji, jak we dworze państwa Łarin, tych z „Oniegina”, gdzie nikt nic nie wiedział o burzach historii — i patrząc, jak dziewczka Pałasza karmi prosięta, snuł rozmyślenia:

... O tym, jak państwo się bogaci
I z czego żyje, tudzież jak
Rozkwita, choć mu złota brak...¹

Ach, cacany! A wieczorkiem — ucinał sobie roberka!... — Oleńka zanosła się śmiechem.

Luda tymczasem wdziała już swoją błękitną suknię, odłoniwszy tym samym niezasłane łóżko (Nadia wzdrygała się aż, zerkając z widoczną przykrością w stronę tej rozbebeszonej pościeli). Teraz stała przed lustrem i z początku odświeżyła tusz na brwiach i na rzęsach a później nadzwyczaj starannie ukarmiowała sobie wargi w kształt serduszka.

— Zwróćcie jednak uwagę, kochane — odezwała się nagle Muza, tak jak tylko ona potrafiła — z taką naturalnością, jakby wszystkie czekały tylko na jej opinię. — Czym różnią się bohaterowie rosyjskiej literatury od zachodnioeuropejskich? Najulubieńsi bohaterowie zachodnich pisarzy zawsze walczą o karierę, sławę, pieniądze. A rosyjski bohater nie je, nie pije, tylko szuka sprawiedliwości i dobra. Może tak nie jest?

I znów pogrążyła się w lekturze.

Luda już wzięła boty i sięgnęła po płaszcz. Ale Nadia ostrym gestem wskazała na jej łóżko i powiedziała z odrazą:

1. Eugeniusz Oniegin A. Puszkina, tłum. J. Tuwima.

— Ty znowu każesz nam sprzątać po sobie tę obrzydliwość?

— Ależ bardzo proszę, nie sprzątaj! — wybuchnęła Luda i oczy jej się zapaliły. — I żebyś nie śmiała nawet tykać mojej pościeli!! — podniosła głos aż do krzyku. — I nie praw mi morałów!!

— Powinnaś to rozumieć sama! — z kolei Nadia straciła panowanie nad sobą, rwało się z niej na zewnątrz wszystko, czego nie mogła wypowiedzieć. — Ty nas obrażasz!... Może my tu mamy coś innego na głowie, niż te twoje wieczorne rozrywki?

— Zazdrosna? Brak amatorów?

Jedna i druga miały twarze wykrzywione, odpychające, jak to kobiety w gniewie.

Oleńka otworzyła już usta, żeby też osadzić Ludę, ale w tych „wieczornych rozrywkach” wyczuła obraźliwą aluzję.

(Ach, nie takie to były łatwe rozrywki, jak mogło wyglądać z boku!)

— Nie ma czego zazdrościć! — głucho krzyknęła Nadia łamiącym się głosem.

— Jeżeli pomyliłaś się — krzyczała Luda coraz donośniej, czując, że jest górą — i zamiast do klasztoru posłaś na aspiranturę — to siedź cicho w kącie i nie baw się w teściową. Dosyć tego! Stara panna!

— Ludka! Jak śmiesz! — krzyknęła Oleńka.

— A co ona tutaj nos wtyka?... Stara panna! Stara panna! Pechowa idiotka!

Tu wtrąciła się i czegoś tam z przekonaniem zaczęła dowodzić Dasza. Muza też się ocknęła i wymachując groźnie przed nosem Ludy swoją książką, też ją wykrzykiwać:

— Kołtuneria! Rozpanoszona kołtuneria!

Cała piątka krzyczała, żadna nie chciała słuchać, co wołają inne, ani znać cudzych racji.

Z tętniącą głową, nic już nie pojmując, wstydząc się swojego wybuchu i nie zdolna do ukrycia łkań — Nadia, jak stała, w tych najlepszych swoich rzeczach, które wkładała na widzenie, rzuciła się na łóżko i przykryła sobie głowę poduszką.

Luda zaś upudrowała się na nowo, rozrzuciła zręcznie na kołnierzu popielicowego futerka jasne loki, opuściła na oczy woalkę i nie ścieląc łóżka, tylko narzuciwszy na nie koc w trybie ustępstwa — wyszła z pokoju.

Mówiły coś do Nadii, ale ani drgnęła. Dasza zdjęła jej pantofle i owinęła nogi brzegami kołdry.

Później ktoś zapukał, Oleńka wyfrunęła na korytarz, wróciła w mig, wsunęła wijące się kosmyki pod czapeczkę, szybko wdzia-

ła peliskę z żółtym kołnierzem i odmienionym krokiem ruszyła w stronę drzwi.

(Szła tak, bo radość, ale też — bo walka...)

Czterystaosiemnastka posłała więc w świat swoje dwie pięknie ubrane i wdzięczne zalotnice.

Ale razem z nimi podziało się gdzieś ożywienie i śmiech, w pokoju zrobiło się teraz jeszcze smutniej.

Wielkie miasto, ta Moskwa, a nie było dokąd iść...

Muza już nie czytała, zdjęła okulary i ukryła twarz w dużych dłoniach.

Dasza powiedziała:

— Głupia ta Olga! Przecież poigra sobie z nią i puści kan-tem. Słyszałam, że ma gdzieś kogoś innego. Podobno nawet z dzieckiem.

Muza podniosła twarz:

— Ale Ola niczym nie jest przecież związana. Jeżeli okaże się, że to ktoś taki, to może go przecież zostawić.

— Jak to, nie związana! — krzywo uśmiechnęła się Dasza.

— Jaki ci jeszcze związek potrzebny, jeżeli...

— No, ty zawsze wszystko wiesz! No, skąd ty właściwie możesz wiedzieć? — oburzyła się Muza.

— Ale co tu jest do gadania, jeżeli ona zostaje u nich na noc?

— O! To nic! To niczego jeszcze nie dowodzi! — sprzeci-
wiała się Muza.

— Zresztą teraz tylko w ten sposób. Inaczej chłopca nie utrzymasz.

Dziewczęta zamilkły, każda trzymała się swego.

Śnieg za oknem padał coraz gęściej. Już robiło się ciemno.

Cicho bulgotała woda w kaloryferze pod oknem.

Było coś nie do zniesienia w myśli, że przez cały niedzielny wieczór trzeba będzie zdychać w tej norze.

Dasza myślała o wzgardzonym przez siebie bufetowym, męż-
czyźnie zdrowym i silnym. Dlaczego właściwie musiała go ode-
pchnąć? No, niechby ją w tych ciemnościach zaprowadził do
jakiegoś klubu przedmiejskiego, gdzie nikt z uniwersytetu nie
zagląda.

— Muzka, chodźmy do kina, błagam cię! — powiedziała
Dasza.

— A co grają?

— „Indyjski grobowiec”.

— Ale to przecież szmira! Zwyczajna szmira!

— Ale niedaleko, w sąsiednim korpusie!

Muza nie odpowiedziała.

— No, przecież tak nudno!

— Nie pójdę — powiedziała Muza. — Znajdź sobie jakąś robotę.

I nagle elektryczność przygasła — w żarówce widać było tylko żarzący się mętnie purpurowy drucik.

— Jeszcze tego brakowało! — jęknęła Dasza. — Faza wysiadła. Można się powiesić.

Muza siedziała, jak kamienna figura. Nadia na łóżku ani drgnęła.

— Muzka, chodźmy do kina!

Rozległo się pukanie do drzwi.

Dasza wyjrzała i zaraz wróciła:

— Nadia! Przyszedł Szczagow. Wstaniesz?

XLVI

OGIEŃ I SIANO

Nadia długo łkała i gryzła skraj kołdry, żeby się uspokoić. Całą twarz miała słoną i mokrą. Nasunięta na głowę poduszka głużyła wszystkie dźwięki.

Rada byłaby wybiec z tego pokoju dokądś, wrócić aż późną nocą. Ale nie miała dokąd iść w tym wielkim mieście, w Moskwie.

To nie pierwszy już raz kłuto ją tutaj w akademiku takimi słowami: Świekra! Zrzęda! Zakonnica! Stara panna! Najbardziej bolało, że wszystkie te epitety były takie niesprawiedliwe.

Ale czy to łatwo przez pięć lat tak udawać — wciąż nosić maskę, od której twarz cierpnie i wydłuża się, głos staje się szorstki, a myśli — bezwzględne? Może naprawdę stała się już nieznosną starą panną?

Tak trudno zobaczyć siebie samą. W akademiku, gdzie nie można już tupnąć nóżką na mamę, jak to w domu bywało, w akademiku, wśród takich samych dziewczyn zaczyna człowiek dopiero widzieć w sobie złe strony.

Oprócz Gleba już nikt a nikt nie potrafi jej zrozumieć...

Ale Gleb też nie może jej zrozumieć...

Nie dał jej żadnej rady — co ma robić, jak ma żyć.

Tylko tyle powiedział — że wyrok wcale się nie skończy...

Pod szybkimi, umiejętnie wymierzanymi ciosami męzowskich słów oberwało się w niej i zapadło wszystko to, czym codziennie podnosiła się na duchu, czym podtrzymywała w sobie wiarę, zdolność do czekania, całą swoją nieprzystępną dla innych.

Kara ma nie mieć końca!

Więc to znaczy, że ona jest mu już niepotrzebna...

Boże mój! Boże mój!

Leżała dalej na brzuchu. Otwartymi, znieruchomiałymi oczyma wpatrywała się przez szparkę między poduszką a kołdrą

w kawałek ściany — i nie mogła zrozumieć, nie starała się nawet zrozumieć, skąd się teraz bierze światło. Zdawało się, że jest już bardzo ciemno, mimo to rozróżniała na znajomej, olejno malowanej ścianie pęcherzyki po niezręcznych maźnięciach pędzla.

I nagle przez poduszkę Nadia usłyszała szczególne, drobne, gęste postukiwanie w sklejkę, którą pokryte były drzwi — jakby ktoś grochem rzucał: czterema palcami! czterema! czterema! i jeszcze zanim Dasza zapytała: „Nadia! przyszedł Szczagow. Wstaniesz?” — Nadia już zdążyła rzucić poduszkę z głowy, zeskoczyła na podłogę w samych pończochach, poprawiła przekręconą spódnicę, czesała włosy grzebieniem i jednocześnie szukała stopami pantofli.

W martwym i mętным blasku półprzygasłej żarówki Muza zobaczyła ten jej pośpiech i wzdrygnęła się.

Dasza zaś rzuciła się do łóżka Ludy, szybko utkała je kocem i zebrała na kupę porozrzucone szmatki.

Wpuścili gościa do pokoju.

Szczagow wszedł w swoim starym, frontowym szynelu narzuconym na plecy. Był wysoki. Miał w sobie jeszcze wojskowy styl: mógł się pochylić, ale garbić się nie mógł. Jego ruchy były skąpe, przemyślane.

— Powitać szanowne panie — powiedział z żartobliwą łaskawością. — Przyszedłem dowiedzieć się, jak wy tu sobie radzicie bez światła, żeby nauczyć się samemu. Zdechnąć można, takie nudy!

(Co za ulga! — w żółtym półmroku nie widać, że oczy spuchnięte są od płaczu).

— Więc gdyby nie te ciemności, to by pan nie przyszedł? — odpowiedziała mu Dasza wpadając w ten sam ton, półświadomie-zalotny, jakim rozmawiała z każdym nieżonatym mężczyzną.

— A w żadnym wypadku. W pełnym świetle kobiece twarze tracą czar, widać na nich ślady złośliwych min, zawistnych spojrzeń (Nadia drgnęła, mógł kto pomyśleć, że on był tu niedawno), przedwczesne zmarszczki, nadmiar szminki. Gdybym był kobietą, to wywalczyłbym takie prawo, żeby lampy paliły się tylko na pół fazy. Wtedy każda prędko by za męża wyszła.

Dasza spojrzała na Szczagowa surowo. Zawsze mówił w ten sposób. Nie podobało jej się to. Jakieś frazesy. Dopatrywała się w nim nieszczeroci.

— Można usiąść?

— Prosimy bardzo — odparła Nadia spokojnym głosem gospodyni, w którym nie było śladu niedawnej goryczy, łez, ani zmęczenia.

Jej natomiast podobał się jego powściągliwy sposób bycia, nieśpieszna mowa, niski, twardy głos. Z całej jego postaci bił spokój. I jego żarty też były raczej miłe.

— Drugi raz przecież nie poproszą, surowe tu niewiasty. Siadam więc czym prędzej. A więc, co tu się dzieje u panien aspirantek?

Nadia milczała. Nie mogła właściwie dużo z nim mówić, bo posprzeczali się onegdaj i Nadia — ni stąd, ni z owąd, z tym rodzajem intymności, której wcale między nimi nie było — uderzyła go wtedy teczką po grzbiecie i uciekła. Było to głupie, dziecinne i teraz obecność innych dziewcząt sprawiała jej ulgę.

Odpowiedziała Dasza.

— Wybieramy się do kina. Jeszcze tylko nie wiemy z kim.

— A jaki film?

— „Indyjski grobowiec”.

— Ooo, idźcie koniecznie. Jak mawiała pewna pielęgniarka „dużo strzelania, dużo trupów i w ogóle wspaniały film!”

Szczagow siedział w niedbałej pozie przy ogólnym stole:

— Ale za pozwoleniem, szanowne moje panny, myślałem że zastanę tu bal, a tymczasem trafiłem na mszę żałobną. Może jakaś różnica zdań z rodzicami? A może tak was przygnębiła ostatnia uchwała egzekutywy? Ale do aspirantów to się chyba nie odnosi.

— Jaka uchwała? — półgębkiem zapytała Nadia.

— Uchwała w kwestii sprawdzenia, przy pomocy delegatów naszego środowiska, wszystkiego, co dotyczy pochodzenia społecznego studentów; czy na przykład podali prawdziwe dane co do rodziców. Co, panno Muzo? Pani niczego nie ukryła? Tu otwierają się szerokie możliwości — być może ktoś przed kimś się zwierzył, albo mówił przez sen, a może ktoś przeczytał cudzy list, no i te rzeczy.

(Nadii ścisnęło się serce: znowu będą grzebać, znowu węszyć! O, jak to się już uprzykrzyło! Dokąd się wyrwać?...)

— Jakie to niskie! — zawołała Muza.

— No, wcale was nie bawi? W takim razie może opowiedzieć wam szalenie zabawną historię o tajnym głosowaniu wczoraj na radzie wydziałowej...?

Szczagow mówił do wszystkich, ale zerkał tylko na Nadzię. Dawno już zastanawiał się, czy Nadia chce czegoś od niego. Każde nowe zdarzenie coraz jaśniej dawało mu to do zrozumienia.

... To przystawała sobie obok stolika w klubie, kiedy Szczagow grał z kimś w szachy i sama chciała zagrać, albo prosiła, żeby nauczył ją szachowych otwarć.

(Boże mój, ale przecież szachy, to tylko dla zabicia czasu!)

To zapraszała go na koncert, w którym miała brać udział.

(Ależ to takie naturalne! — człowiek zawsze chce, żeby jego grę pochwalił ktoś znajomy!)

To pewnego dnia okazało się, że ma „przypadkiem” dwa bilety do kina i zaprosiła właśnie jego.

(Ach, po prostu zachciało jej się niewinnej iluzji, żeby nareszcie pokazać się gdzieś z kimś...)

To w dniu jego urodzin podarowała mu notesik — ale jakoś tak niezręcznie wetknęła mu go w kieszeń i zaraz chciała uciekać — co za pomysły? Dlaczego właściwie uciekać?

(Ach, przez konfuzję, po prostu chwila konfuzji!)

On wtedy dopędził ją w korytarzu i zaczął się mocować chcąc niby zwrócić podarunek, objął ją przy tym — ona zaś nie od razu zaczęła się wyrwać, pozwoliła przytrzymać się chwilę.

(Tyle już lat nic podobnego z nią się nie zdarzało, że widać zaskoczenie i ostrość wrażenia tak ją rozbroiły).

A teraz ten figiel z teczką?

Jak z każdą inną, jak z każdą inną — tak samo z Nadią Szczagow był kamiennie-powściągliwy. Ale może to jest wołanie samotnej kobiety o pomoc? Któż jest tak opanowany, aby odmówić? Taki sztywny?

Teraz także Szczagow wyszedł ze swojej czterystadwunastki i poszedł do czterystaosiemnastki — nie tylko przekonany, że zastanie tam na pewno Nadię, ale zaczynając już czuć niepokój, że coś może zająć między nimi.

... Historia z głosowaniem wzbudziła trochę śmiechu, ale tylko z grzeczności.

— No, to co z tym światłem, będzie czy nie? — nawet Muza straciła już cierpliwość.

— Ale coś mi się zdaje, że moje opowieści wcale was tu nie bawią. Zwłaszcza Nadieżdę Iljiniczną. O ile mogę w tych ciemnościach ocenić, jest ponura, jak chmura gradowa. Wiem nawet, dlaczego. Przedwczoraj wlepili jej karę, dziesięć rubli — i przez te dziesięć rubli tak się dręczy, szkoda jej pieniędzy.

Zaledwie Szczagow wypowiedział ten żart, Nadię jakby coś podrzuciło na krześle. Porwała swoją torebkę, szarpnęła zamek, wyciągnęła coś na chybił trafił, potargała histerycznymi ruchami i cisnęła strzępy na stół, pod nos Szczagowowi.

— Muza! Ostatni raz — idziesz czy nie? — bolesnym tonem krzyknęła Dasza chwytając swój paltocik.

— Idę! — głucho odpowiedziała Muza i zdecydowanym krokiem podeszła do wieszaka.

Szczagow i Nadia nie obejrzelisi się za wychodzącymi.

Ale kiedy drzwi zamknęły się za dziewczętami — Nadii zrobiło się trochę straszno.

Szczagow podniósł potargane strzępki do oczu. Były to szeszczące kawałki jeszcze jednej dziesięciorublowki...

Szczagow podniósł się (płaszcz opadł na oparcie krzesła), ominął etażerkę i podszedł do Nadii zatrzymując się między jej łóżkiem a stołem „do rozpraw”; był o wiele o niej wyższy. Ujął jej małe ręce w swoje wielkie dłonie.

— Nadia! — po raz pierwszy nazwał ją po prostu po imieniu. Czując, że denerwuje się coraz bardziej, mówił dalej: — Proszę mi wybaczyć! Ja bardzo... wobec pani...

Nadia stała bez ruchu, czując, że słabnie i że serce jej bije. Wzburzenie, z jakim podarła dziesięciorublowkę, minęło tak samo szybko, jak przyszło. Dziwna myśl strzeliła jej do głowy — że żaden nadzorca nie nachyla teraz nad nimi swojego byczego łba. Że mogą tutaj mówić, o czym tylko zechcą. I że sami zadecydują, kiedy się pożegnać.

Widziała bardzo blisko jego twarde i proste rysy; dostrzegła teraz, że prawa i lewa połowa tej twarzy niczym nie różnią się od siebie.

Puścił jej dłonie i musnął palcami jej łokcie, batyst bluzki.

— Nadia! — jeszcze raz powiedział bardzo cicho.

O, jego by mogła poradzić się, pogadać o tym przeklętym spectemacie, o wszystkich tajemnicach, rzucić cały ciężar z duszy!...

— Proszę puścić!... — powiedziała Nadia głosem pełnym znużenia i żalu.

Sama zaczyna i sama mówi — „proszę puścić”!

— Jak mam panią zrozumieć? — zapytał wędrując palcami po bluzce od łokci do bark, czując ich miękkość i ciepło... — Co, Nadia?

Po raz trzeci mówił do niej po imieniu i nie spotkał się ze sprzeciwem.

— Co zrozumieć? — spytała niewyraźnie.

Ale nie starała się go odsunąć!...

Wówczas ścisnął dłońmi jej ramiona i przyciągnął ją.

Tylko żółty półmrok nie pozwalał zobaczyć, jak jej krew uderzyła do twarzy.

Wparła mu dłonie w pierś, i odepchnęła się od niego.

— Proszę puścić!!! — Jak pan mógł pomyśleć??...

Gniewnie wstrząsnęła głową, kosmyk włosów opadł na twarz i przysłonił oko.

— A lichu wie, co w ogóle o pani myśleć! — wymamrotał Szczagow ze złością, puścił ją i podszedł do okna.

Woda w kaloryferze bulgotała cicho.

Nadia poprawiała włosy drżącymi rękoma.

Zapalił papierosa, palce mu drżały. Oddychał głośno.

Zrozum tu, człowieku, czego ona właściwie chce!

— Czy — pani — wie — zapytał, dzieląc wyrazy — jak — się — pali — suche — siano?

— Wiem — powiedziała zobojętniałym głosem. — Ogień do samego nieba, a później kupka popiołu.

— Do samego nieba! — potwierdził.

— Kupka popiołu — powtórzyła.

— Więc proszę powiedzieć, dlaczego pani rzuca, i rzuca, i rzuca zapalki w to suche siano?

(A bo to ona rzucała?... Ależ jak mógł jej nie zrozumieć?... No, po prostu człowiek chce się czasem podobać, choć na chwilę).

— Wyjdźmy stąd! Dokądkolwiek! — zażądała.

— Nigdzie stąd nie pójdziemy. Zostaniemy tu.

Wrócił teraz do swojego spokojnego sposobu palenia; zaciskał ustnik władczymi wargami trochę z boku i to podobało się Nadii.

— Nie, bardzo proszę, chodźmy dokądś! — nalegała.

— Tu, albo nigdzie — przerwał jej bezwzględny tonem. — I muszę uprzedzić: ja mam narzeczoną. Dlatego — żadnych obietnic. I... w mieście nikt nie powinien nigdy widywać nas razem.

XLVII

PIJEMY ZA ZMARTWYCHWSTANIE

Nadię ze Szczagowem zbliżała do siebie ta okoliczność, że oboje nie pochodzili z Moskwy. Miejscowi koledzy, których Nadia spotykała w gronie aspirantów i w laboratoriach, nosili w sobie truciznę nieistniejącej wyższości, tego „moskiewskiego patriotyzmu”, jak go sami nazywali. Niezależnie od swoich postępów w studiach, Nadia uchodziła wśród nich za istotę drugorzędną, co było jej niemiłe tym bardziej, że nie potrafiła dobrze ukrywać swoich uczuć.

Musiąło to mieć swój wpływ na jej stosunek do Szczagowa, który też był prowincjuszem, ale przebijał się przez to środowisko tak, jak łamacz lodów niedbale i bez trudu rozcina dziobem ciepłą wodę. Pewnego razu, w czytelni, jakiś młodzieńcki kandydat nauk próbując w jej obecności poniżyć Szczagowa, obrócił ku niemu głowę lekceważącym, węzowym ruchem i zapytał:

— A towarzysz właściwie... z jakiej miejscowości?

Szczagow spojrzał na rozmówcę z góry i odpowiedział z leniwym współczuciem, kiwając się lekko w tył i w przód:

— Wy tych okolic nie znacie. Ja jestem z miejscowości frontowej. Ze wsi okopowej.

Dawno wiadomo, że substancja życiowa wysyca naszą biografie z nie wszędzie jednakową gęstością. Każdy ma w swoim życiu szczególną epokę, w której jego cechy przejawiały się najpełniej, kiedy jego uczucia osiągnęły największą głębię, a sam on zarysował się najwyraźniej we własnych i cudzych oczach. I choćby nawet później przytrafiło się człowiekowi coś zewnętrznego nawet ważnego — wszystko to już jest tylko krokiem na drodze w dół; rozpamiętujemy, odgrywamy wciąż na nowo, śpiewamy w innej tonacji, przeżywamy z nowym wzruszeniem to, co niegdyś raz tylko dźwięczało nam w duszy. Dla jednych taką

epoką bywa dzieciństwo. Zostają oni na całe życie w głębi duszy dziećmi. Dla innych — pierwsza miłość i właśnie tacy ludzie rozpowszechniają legendę, że kochać można tylko raz. Dla jeszcze innych taką erą był okres ich największego bogactwa, znaczenia, władzy — ci znowu bezżębnymi już dziąsłami międlą wciąż te same opowieści o minionej swojej wielkości. Dla Nierzyña taką epoką stało się więzienie. Dla Szczagowa — front.

Szczagow zaznał na wojnie i skwaru i mrozu. Wzięli go do wojska w pierwszym miesiącu wojny. Puścili do cywila dopiero w czterdziestym szóstym. I w ciągu całych czterech lat wojny rzadko zdarzał mu się dzień, kiedy rano mógł sobie powiedzieć, że dożyje wieczora; nie służył w wysokich sztabach, a na tyłach bywał tylko w szpitalu. Cofał się w czterdziestym pierwszym spod Kijowa, a czterdziestym drugim — znad Donu. Chociaż wojna miała na ogół biorąc coraz lepszy przebieg, jednak musiał się wycofywać jeszcze w czterdziestym trzecim i nawet w czterdziestym czwartym, spod Kowla. W rowach przydrożnych, w mokrych okopach i wśród ruin popalonych domów poznawał cenę menażki zupy, godziny spokoju, a także sens prawdziwej przyjaźni, sens życia w ogóle.

Te wspomnienia kapitana saperów Szczagowa nie mogły się zabiżnić nawet w ciągu dziesięcioleci. Nie uznawał jeszcze żadnego innego podziału ludzi, jak tylko na żołnierzy i całą resztę. Nawet na moskiewskich ulicach, które już nie pamiętały, miał na uwadze, że tylko słowo „żołnierz” jest rękojmnią ludzkiej rzetelności i życzliwości. Doświadczenie nauczyło go niedowierzania tym, którzy nie przeszli przez próbę ognia na froncie.

Po wojnie okazało się, że cała rodzina Szczagowa zginęła, a domek gdzie mieszkali bliscy został zdmuchnięty przez bombę. Całym majątkiem Szczagowa było to, co miał na sobie i w zdobytecznej walizce przywiezionej z Niemiec. Co prawda, aby złągodzić zdemobilizowanym oficerom całe to przejście do cywila, płacono im jeszcze przez dwanaście miesięcy pensję zależną od rangi, gażę za nic.

Jak wielu frontowych żołnierzy Szczagow po powrocie z wojny doznał zaskoczenia. Ci ludzie wracali lepszymi — na jakiś czas — niż byli idąc na wojnę, wrócili oczyszczeni przez sąsiedztwo śmierci i tym bardziej uderzały ich zmiany, jakie zastali w głębi kraju — zmiany dojrzałe i wyolbrzymiałe gdzieś na dalekim zapleczu: jakaś zawziętość w stosunkach wzajemnych, czasem zupełna bezwzględność, całe przepaści między ledwie żywą nędzą a beczelnie tyjącym bogactwem.

Do diabła! Przecież ci niedawni żołnierze wszyscy tu teraz byli, chodzili po ulicach, jeździli kolejką podziemną, ale byli

poprzebierani i już się wzajemnie nie poznawali. I nie wiadomo dlaczego uznawali za obowiązujące nie swoje, frontowe zasady tylko te, które tu zastali.

Warto było ścisnąć głowę dłońmi i zamyśleć się.

Jednakże Szczagow o nic nikogo nie pytał. Nie należał do tych niespokojnych natur, które wszędzie i zawsze szukają sprawiedliwości powszechnej. Zrozumiał, że świat toczy się swoim torem, że zatrzymać tego biegu niesposób — można tylko wskoczyć na stopień, albo i nie wskoczyć. Było jasne, że teraz generalska córka już przez sam fakt swojego pochodzenia ma w perspektywie jedwabne życie i że nie pójdzie pracować do fabryki. Nie można było sobie wyobrazić, żeby zdymisjonowany sekretarz rajkomu zgodził się stanąć przy warsztacie. Normy w fabrykach wykonują nie ci, co je wymyślili, tak samo, jak do ataku idą nie ci, co wydali rozkaz atakowania.

Nie było w tym właściwie nic nowego dla naszej planety. Ale szczególną krzywdą było, że nie uznawano prawa zdobytego przez kapitana Szczagowa podczas opętanej jego służby, prawa udziału w życiu, które on właśnie wywalczył. Prawa tego powinien być teraz dochodzić po raz wtóry — w walce bez krwi, bez wystrzałów, bez granatów — musiał zatwierdzać je w buchalterii i opatrywać urzędowym stemplem.

I jeszcze się przy tym uśmiechać.

Szczagow tak śpieszył się na front w czterdziestym pierwszym roku, że nie zatroszczył się o absolutorium po piątym kursie ani o dyplom. Teraz, po wojnie, musiał nadrobić te braki i starać się o tytuł kandydata nauk. Specjalizował się w mechanice teoretycznej i jeszcze przed wojną zamyślał pracować w tej dziedzinie naukowo. Wtedy było łatwiej. Po wojnie zaś został świadkiem nagłego i powszechnego wybuchu zainteresowań czysto-naukowych, w każdej dziedzinie, mniejsza w jakiej — od chwili podwyżki gaż.

Cóż, nastawił się na jeszcze jedną dłuższą kampanię. Niemieckie łupy z walizki stopniowo upłynniał na bazarze.

Wcale nie zwracał uwagi na zmienną męską modę, żadnych tam garniturów i kamaszy, donaszał demonstracyjnie to, w czym go zdemobilizowano: buty z cholewami, bryczesy z diagonalu, bluza z angielskiej wełny khaki z czterema baretkami orderowymi i dwoma naszywkami za frontowe rany. Ale właśnie ten zachowany szyk frontowy zbliżał Szczagowa w oczach Nadii do takiego samego frontowca, kapitana Nierzyna.

Bezbronna wobec niepowodzeń i zniewag, Nadia czuła się jak mała dziewczynka w kontakcie z dobrze opancerzoną mądrością życiową Szczagowa i pytała go o rady. (Ale również

przed nim z takim samym uporem kłamała, że Gleb zaginął na froncie bez wieści).

Nadia sama nawet nie zauważyła jak i kiedy wciągnęła ją ta gra — „przypadkowy” bilet do kina, żartobliwa bójka z powodu notesika. A dzisiaj, zaledwie Szczagow wszedł do pokoju i ją przekomarzać się z Daszą — Nadia od razu zrozumiała, że przyszedł do niej, po nią i że nieuchronnie coś między nimi zajdzie.

I chociaż dopiero co tak gorzko opłakiwała rozbite swoje życie — teraz, gdy podarła swojego czerwońca, poczuła się, jak w nowej skórze, napięta, gotowa do nowych przeżyć.

I serce jej nie czuło w tym żadnej sprzeczności.

Szczagow zaś, powściągnąwszy podniecenie wywołane przez krótkie z nią zapasy, znowu wrócił do swojego opanowanego sposobu bycia.

Teraz dał tej dziewczynie jasno już do zrozumienia, że nie może liczyć na niego, jako na przyszłego męża.

Usłyszawszy, co miał jej do powiedzenia o narzeczonej, Nadia utykającym krokiem podeszła do okna, stanęła koło Szczagowa i w milczeniu zaczęła wodzić palcem po szybie.

Było mu jej żal. Miał ochotę przerwać milczenie i całkiem zwyczajnie, z dawno zapomnianą szczerością wyjaśnić sprawę: biedna aspirantka bez stosunków i bez perspektyw — cóż mogłaby mu dać ona? On zaś ma słuszne prawo do swojego kawałka placka. Miał też ochotę zwierzyć się jej: chociaż jego narieczona żyje bez trosk i na cudzy rachunek, to jednak nie bardzo ją to zepsuło. Mieszka w pięknych apartamentach, w niesłychanie przyzwoitym, niedostępnym dla byle kogo domu, gdzie bywają tylko ludzie z wyższego kręgu. W sieni portier, na schodach — chodniki, gdzie jeszcze teraz tego szukać? I co najważniejsze, wszystkie zajęcia można ubić tym jednym strzałem. Czy można wymyśleć coś lepszego?

Ale tylko pomyślał o tym wszystkim, nie powiedział nic.

Nadia zaś tuląc skroń do szyby i patrząc w ciemność za oknem powiedziała markotnie:

— No i dobra. Pan ma narzeczoną. A ja mam męża.

Szczagow odwrócił się ku niej, zaskoczony:

— Męża? A gdzie? To nie zaginął bez wieści?

— Nie, nie zaginął — powiedziała Nadia prawie szeptem. (Co za lekkomyślność!...)

— Ma pani nadzieję, że on żyje?

— Ja go widziałam... dzisiaj...

(Zdradziła się przed nim, ale niech nie uważa jej za dziewczynę wieszającą mu się na szyi!)

Szczagow nie musiał długo namyślać się nad tym, co usłyszał. Nie zakładał na kobiecie sposób, że Nadia jest porzucona. Wiedział, że „zaginiony bez wieści” prawie zawsze oznacza *displaced person* — i że taka *person a*, jeżeli tylko wracała do kraju, to najczęściej za kratki.

Podszedł do Nadii i ujął ją za łokieć:

— Gleb?

— Tak — szepnęła prawie bezdźwięcznie, bez akcentu.

— Co z nim? Siedzi?

— Siedzi.

— Ba-ba-ba! — powiedział Szczagow jakby z ulgą. Namyslał się chwilę i szybko wyszedł z pokoju.

Wstyd i beznadzieja tak ogłuszyły Nadię, że nie dosłyszała nowego tonu w głosie Szczagowa.

Uciekł? A niech tam. Dobrze, że powiedziała wszystko. Była teraz znów sam na sam z uczciwym swoim brzemieniem.

Drucik w lampie ledwie się tlił, nic się nie zmieniło.

Wlokąc za sobą nogi, jak z ołowiu, Nadia przecięła cały pokój, wygrzebała z kieszeni palta drugiego papierosa, z trudem sięgnęła po zapalnik i zapaliła. Ohydna, tytoniowa gorycz sprawiła jej dziwną przyjemność.

Przechodząc obok jednego z krzeseł zobaczyła zwisający z niego bezkształtnie płaszcz Szczagowa.

Ale też wybiegł z pokoju! Tak się przestraszył, że aż zapomniał o płaszczu.

Było bardzo cicho, ale z sąsiedniego pokoju, gdzie było radio, dobiegała... tak... dobiegała... etiuda f-mol Liszta.

Ach! Ona też ją przecież kiedyś grywała w młodości — ale czy rozumiała ją wtedy?... To palce tylko grały, a dusza nie odzywała się echem na dźwięk tego słowa — *disperato* — rozpaczliwie...

Opierając czoło o środkową szybę Nadia wparła rozłożone dłonie w dwa boczne, zimne szkła.

Stała tak, jak ukrzyżowana na czarnej okiennej kratownicy.

Miał człowiek w życiu jeden maleńki, ciepły punkcik — i też już go nie ma.

Zresztą po kilku chwilach pogodziła się z tą stratą.

Znowu była żoną swojego Gleba.

Patrzyła w ciemność starając się odgadnąć w niej kontury komina więzienia Matrosskaja Tiszina. Disperato! Rozpaczliwie! Ta bezsilna rozpacz, podrywająca się z klęczek i znów waląca się na ziemię! To uparte, wysokie re-bemoll — ten zapamiętały kobiecie krzyk! krzyk! krzyk nie znajdujący wyjścia!...

Rząd latarni uchodził gdzieś w czarne mroki przyszłości, której wcale nie chciało się dożyć...

Godzinę podano zaraz po finale etiudy — była szósta wieczór.

Nadia całkiem już zapomniała o Szczagowie, gdy ten znów się pojawił bez pukania.

Miał w ręku dwie szklaneczki i butelkę.

— No, żołnierska żono! — powiedział z szorstką werwą.

— Nie rozklejaj się. Masz tu szklankę. Póki łeb jeszcze na karku

— można mieć nadzieję. Pijemy — za z m a r t w y c h p o w s t a n i e !

XLVIII

A R K A

W niedzielę od szóstej wieczór nawet na *szaraszce* zaczynała się ogólna przerwa w pracy aż do następnego ranka. Niesposób było uniknąć tej przykrej pauzy, ponieważ w niedziele w o l n i a k i dyżurowali tylko na jednej zmianie. Była to szkaradna tradycja, której jednak w żaden sposób nie mogli zwalczyć tutejsi majorowie i podpułkownicy, ponieważ im samym też nie chciało się poświęcać niedzielnych wieczorów na pracę. Tylko Mamurin — Żelazna Maską lękał się więc tych pustych wieczorów, kiedy wolnych pracowników nie było, kiedy zapędzano do gmachu i trzymano pod kluczem wszystkich zeków, którzy mimo wszystko też byli w pewnym sensie ludźmi — i kiedy mógł tylko samotnie krążyć pustymi korytarzami instytutu obok zalakowanych, zaplombowanych drzwi, bądź też nudzić się w swojej pustelni, między umywalką, szafą, a łóżkiem. Mamurin próbował doprowadzić do tego, by Siódemka pracowała również w niedzielne wieczory, ale nie mógł przełamać konserwatyzmu dyrekcji specwięzienia, która nie miała ochoty na przepisowe podwojenie liczby wart wewnątrz z o n y.

W ten oto sposób przeszło dwustu osiemdziesięciu więźniów — wbrew wszelkim wymogom rozsądku i regulaminom pracy więziennej — w niedzielne wieczory beczelnie sobie wypoczywało.

Wypoczynek ten miał taki charakter, że mógłby jakimś profanowi wydać się diabelską torturą. Ciemności panujące na zewnątrz i specjalna, niedzielna czujność nie pozwalały dyrekcji więzienia zarządzić w tych godzinach przechadzki po spacerniku ani seasu filmowego w szopie. Po rocznej korespondencji z wszelkimi możliwymi wysokimi instancjami zapadło także postanowienie, że obecność instrumentów muzycznych typu „harmonia”,

„gitara”, „batałajka” i „organki ustne”, a tym bardziej jakichś większych — również jest w *szaraszce* niedopuszczalna, ponieważ ich głośne akordy mogłyby ułatwić zadanie sprawcom ewentualnych podkopów w kamiennych fundamentach (oficerowie operacyjni nieustannie sprawdzali przez swoich konfidentów, czy więźniowie nie mają przypadkiem jakichś fujarek i piszczałek własnej roboty, gra zaś na grzebieniu powodowała wezwanie do gabinetu i sporządzenie specjalnego protokołu). Tym bardziej nie mogło być nawet mowy o zezwoleniu na instalację w mieszkalnych celach odbiorników radiowych albo najmizerniejszych patefonów.

Co prawda, więźniowie mieli prawo korzystania z biblioteki zakładu karnego. Ale specwężnienie nie miało środków na zakup książek, ani nawet szafy dla ich przechowywania. Po prostu wyznaczono Rubina na stanowisko bibliotekarza więziennego (sam o to bardzo prosił, mając nadzieję, że to mu da dostęp do dobrych książek). I wydano mu pewnego razu setkę podarowanych, nie trzymających się kupy tomów, jak „Mumu” Turgieniewa, „Listy” Stasowa, „Historia Rzymu” Mommsena — każąc puścić je w ruch wśród więźniów. Więźniowie zaś dawno już wszystkie te książki przeczytali, albo nie chcieli ich brać do ręki, tylko zebrali o coś do czytania u wolniaków, co zresztą dawało operom szerokie pole do stosownych badań.

W czasie wypoczynku więźniowie mieli do dyspozycji dwieście cel na dwóch piętrach, dwa korytarze — górny i dolny, wąskie drewniane schody łączące piętra i klozet pod tymi schodami. Wypoczynek polegał na tym, że zekom wolno było bez żadnych ograniczeń leżeć na swoich łózkach (a nawet spać, jeżeli mogli zasnąć w takim hałasie), siedzieć na pościeli (krzesel nie było), chodzić po pokoju i z pokoju do pokoju nawet w samej bieliźnie, palić, ile się komu podoba w korytarzach, dyskutować o polityce w obecności konfidentów oraz bez żadnych przeszkód i restrykcji korzystać z klozetu. (Ci, którzy długo siedzieli w więzieniu i chodzili „za potrzebą” dwa razy na dobę i to na rozkaz — chyba docenią zresztą znaczenie tego gatunku nieśmiertelnej wolności). Pełnia wypoczynku polegała na tym, że ów czas należał do więźnia, nie do władzy. Dlatego też w powszechnym odczuciu był to prawdziwy wypoczynek.

Więziarski wypoczynek polegał na tym, że z zewnątrz zamykano ciężkie, żelazne drzwi i nikt więcej nie otwierał ich, nie wchodził przez nie, nikogo nie wzywał i nie szarpał. W ciągu tych krótkich godzin świat zewnętrzny żadnym dźwiękiem, słowem, ani obrazem nie mógł przeniknąć do środka, by w czyjejkolwiek duszy wzbudzić niepokój. Sens wypoczynku sprowadzał

się do tego, że cały świat zewnętrzny — wszechświat ze wszystkimi gwiazdami, planeta ze swymi kontynentami, stolice z całym swoim blaskiem, bankiety i wachty produkcyjne — wszystko to zapadało się w niebyt, rozpływało się w czarnym oceanie, nieostrzegalnym prawie za kratami okien, za żółtym, ćmiącym blaskiem reflektorów zony.

Zalana wewnątrz nie gasnącym nigdy światłem z prądnic MGB, piętrowa arka dawnej dworskiej cerkwi o burtach grubości czterech i pół cegły, niefrasobliwie i bez celu płynęła przez ten czarny ocean ludzkich losów i złudzeń, zostawiając za sobą smugi światła mżącego z iluminatorów.

W ciągu takiej nocy z niedzieli na poniedziałek mógł rozpaść się na kawałki księżyc, mogły spiętrzyć się nowe Alpy na Ukrainie, ocean mógł pochłoniąć Japonię, mógł zacząć się potop wszechświatowy — a zamknięci w swojej arce więźniowie o niczym by nie wiedzieli aż do porannego apelu. Nie mogły ich zresztą zaskoczyć depesze od krewnych, dokuczliwe telefony, atak dyfterytu u dziecka, ani nocne aresztowanie.

Płynący tą nawą byli sami w stanie nieważkości i myśli ich były nieważkie. Nie byli głodni, ani też syci. Nie znali tu szczęścia i dlatego nie bali się, że je utracą. Ich głów nie zaprzętały drobne służbowe intrygi, komeraże, kariery, ich barki nie były obciążone troską o mieszkanie, opał, chleb i przyodziewek dla dzieci. Miłość, odwieczne źródło ludzkich radości i cierpień, nie zdolna była wstrząsnąć nimi swoim dreszczem ani swoją agonią. Wymierzone im kary tak były długie, że nikt nie myślał nawet o czasie, który nastąpi po wyjściu z więzienia. Mężczyźni wyróżniający się rozumem, wykształceniem, zapasem doświadczeń życiowych, ale zwykle zbyt związani ze swymi rodzinami, aby móc udzielać się przyjaciołom — tu tylko im byli oddani.

Ostry blask lamp odbijał się od białych sufitów, od bielych ścian i tysiącami promyków przeszywał jasne ich głowy.

Stąd, z tej arki tak pewnie dążącej przez mrok, łatwo było ogarnąć okiem pokrętny, zbłąkany potok przekłętej Historii, cały za jednym zamachem, jak z wielkiej wysokości, a tak dogłębnie, do kamyczków na dnie, jakby się człowiek w nim zanurzył.

Podczas tych niedzielnych wieczorów materia i ciało dawały ludziom zapomnieć o sobie. Duch męskiej przyjaźni i filozofii unosił się pod wzdętym jak żagiel stropem.

Może to właśnie był ów stan błogości, który daremnie starali się określić i wskazać ludziom starożytni myśliciele?

XLIX

DLA KAWAŁU

W półkolistej izbie na drugim piętrze, pod wysokim, sklepionym stropem absydy panowała wesołość i przestrzeni dla myśli było dość.

Wszystkich dwudziestu pięciu mieszkańców tej izby zebrali się w niej o szóstej wieczór, jak jeden mąż. Jedni natychmiast rozebrali się do bielizny, chcąc jak najszybciej uwolnić się od uprzykrzonej więziennej skóry, żeby runąć z rozmachem na swoje łóżko (albo z małpią szybkością wdrapać się na górę), inni także padali na pościel, ale nie zdejmowali nawet kombinezonów, ktoś już stał na górnej koi i wymachując rękoma krzyczał coś do przyjaciela przez całą szerokość izby, inni zaś nic jeszcze nie robili, tylko dreptali w miejscu i rozglądali się, czując całym swoim jestestwem przedsmak oczekujących ich godzin swobody i nie wiedząc jeszcze, jakby tu najprzyjemniej je rozpocząć.

Wśród tych ostatnich był też Izaak Mojsiejewicz Kagan, czarny i kudłaty, niziutki „dyrektor od akumulatorów” jak go nazywano. W doskonały nastrój wprawiło go już samo przyjście do dużej i jasnej izby, ponieważ jego stacja akumulatorowa, w której czternaście godzin dziennie grzebał się jak kret, znajdowała się w ciemnym, piwnicznym pomieszczeniu z kiepską wentylacją. Był zresztą zadowolony z tej swojej piwnicznej pracy i powtarzał, że w obozie dawno by już się przekręcił (nigdy nie chciał być jednym z tych chwalipiętów, co twierdzili, że „w obozie żyło im się lepiej niż na wolności”).

Na wolności Izaak Kagan, niedouczony inżynier, magazynier w przedsiębiorstwie zaopatrzenia technicznego, starał się żyć po cichutku, w sposób nie zwracający uwagi i boczkiem jakoś przemknąć się przez epokę wielkich osiągnięć. Wiedział, że stanowisko magazyniera jest spokojniejsze i bardziej dochodowe

od wielu innych. Pod maską opanowania ukrywał namiętność prawie płomienną: pasję zysku. Żył tylko nią. Nie kusiła go żadna polityczna działalność. Za to — kiedy tylko mógł, to i w swoim magazynie przestrzegał zasad sobotniego wypoczynku. Ale Bezpieczeństwo, nie wiedząc czemu, postanowiło również Kagana zaprząć do swojego wózka i zaraz zaczęło go wzywać do tajnych gabinetów i do pozornie niewinnych mieszkań przeznaczonych na punkty spotkań. Starano się go zmusić, aby został seksosem. Okropnie tego Kagan nie chciał. Nie miał w sobie tyle otwartości i śmiałości (a kto ją miał?), żeby powiedzieć im prosto w oczy, że to świństwo, natomiast z niewyczerpaną cierpliwością potrafił milczeć, bełkotać od rzeczy, zwlekać, stosować uniki, wiercić się na krześle — tak, że w końcu nie podpisał zobowiązań. Nie, żeby w ogóle niezdolny był do donosu. Nie mrugnawszy nawet okiem potrafiłby złożyć donos na kogoś, kto skrzywdził go, albo poniżył. Ale nie miał serca, żeby składać donosy na ludzi, którzy byli dla niego dobrzy, albo przynajmniej obojętni.

Jednakże ten upór sprawił, że Bezpieczeństwo zagięło na niego parol. Nigdy nie można przewidzieć z góry wszystkiego. W jego magazynie doszło kiedyś do szczególnej rozmowy: ktoś skłął jakieś narzędzia, kto inny — zaopatrzenie, jeszcze kto inny — planowanie. Izaak nawet pary z gęby nie puścił wypisując sobie przez ten czas faktury chemicznym ołówkiem. Ale rzecz się wydała (była chyba ukartowana), rozmówcy zeznali gładko, co kto powiedział, i na podstawie paragrafu dziesiątego dostali wszyscy po dziesięć lat. Również Kagan przetrzymał pięć konfrontacji, ale nikt nie potrafił dowieść, że wymówił choć jedno słowo. Gdyby artykuł 58-my miał węższy zakres — musiano by Kagana wypuścić. Ale śledczy wiedział co jest jego ostatnią bronią — ten sam artykuł miał jeszcze punkt dwunasty — powstrzymanie się od donosu. Właśnie za to powstrzymanie wlepiono Kaganowi dziesięć takich samych, astronomicznych lat.

Z obozu wydostał się Kagan do *szaraszki* dzięki niezwyklej bystrości umysłu i dowcipowi. W trudnej chwili, kiedy przepełdzono go ze stanowiska „zastępcy blokowego” i zaczęto gwałtem posyłać na wyrąb lasu, Kagan napisał list adresowany na ręce przewodniczącego rady ministrów, towarzysza Stalina. Z listu wynikało, że jeśli rząd stworzy mu, to jest Izaakowi Kaganowi, odpowiednie warunki, to niżej podpisany podejmuje się rozwiązać problem kierowania przez radio kutrami torpedowymi.

Była to słuszna kalkulacja. U nikogo w rządzie serce nawet by nie drgnęło gdyby Kagan napisał po ludzku, że jest mu bar-

dzo, ale to bardzo źle i że błaga o ratunek. Ale ważny wojenny wynalazek wart był tego, by autora natychmiast sprowadzić do Moskwy. Kagana przywieziono do Mawrina i rozmaici wyżsi oficerowie z błękitnymi i granatowymi galonami przyjechali na rozmowy z nim i żądali aby czym prędzej wcielił swój śmiały techniczny pomysł w życie, nadając mu kształt gotowej konstrukcji. Jedząc już jednak biały chleb z masłem, Kagan wcale się nie spieszył. Z całą zimną krwią odpowiadał, że nie jest osobiście specjalistą od torped i — rzecz jasna — musi mieć kogoś takiego pod ręką. Po dwóch miesiącach przysłano mu specjalistę od torped (zeka). Ale tutaj Kagan oznajmił rezolutnie, że osobiście nie jest wcale mechanikiem okrętowym i że naturalnie ktoś taki jest mu koniecznie potrzebny. Po następnych dwóch miesiącach sprowadzono z kolei mechanika okrętowego (zeka). Kagan westchnął i przypomniał że to nie radiofonia jest jego specjalnością. Inżynierów-radiowców w Mawrino było wielu i jednego z nich natychmiast odkomenderowano do pomocy Kaganowi. Kagan zebrał wszystkich tych współpracowników razem i oznajmił zupełnie spokojnie, tak, że nikt nie mógł zarzucić mu nawet cienia szyderstwa: „A więc drodzy przyjaciele, skoro nareszcie zgromadzono was tu wszystkich razem, to będziecie mogli wspólnym wysiłkiem i bez niczyjej pomocy wynaleźć te zdalnie kierowane kutry. Jakże bym ja śmiał doradzać wam, specjalistom, jak to właściwie zrobić?!” Istotnie, tych trzech wysłano wkrótce do *szaraszki* pracującej dla marynarki wojennej, Kagan zaś zdążył już przez ten czas urządzić się w stacji akumulatorów i wszyscy się do niego przyzwyczaili.

W tej chwili Kagan próbował zaczepić leżącego na łóżku Rubina, ale z daleka, tak żeby Rubin nie mógł dać mu kopniaka.

— Lew Grigorycz! — mówił swoim zwyczajem bełkotliwie i niezupełnie wyraźnie, za to powoli. — Najwyraźniej opuściło pana poczucie społecznego obowiązku. Masy domagają się rozrywek. Tylko pan potrafi je zapewnić. A tymczasem wetknął pan nos w książkę.

— Izaak, bądźcie łaskawi się odchromolić — zbył go Rubin. Zdążył już położyć się na brzuchu narzuciwszy na plecy obozowy waciak; nie zdjął kombinezonu (okno między nim a Sołogdinem uchylone było „na grubość Majakowskiego”, ciągnęło stamtąd przyjemnie śnieżnym chłodem) — i czytał.

— Nie, poważnie! — natrętny Kagan nie chciał się odczepić. — Wszyscy chcieliby jeszcze razik posłuchać arcydzieła pańskiego talentu, bajki „Kruk i lis”.

— A kto na mnie nakapował k u m o w i? Czy aby nie pan? — odgryzł się Rubin.

Poprzedniego wieczoru niedzielnego Rubin ku ogólnej wesołości zaimprovizował parodię na baśń Kryłowa o kruku i lisie. Pełno w niej było łagrowych terminów i zwrotów zupełnie nie nadających się dla damskich uszu, za co go pięciokrotnie wywoływano na „bis” i podrzucano w górę. W poniedziałek zaś wezwał go major Myszyn i rozpoczął dochodzenie w sprawie demoralizowania wrogów ludu przez więźnia Rubina; w związku z tym kilku świadków musiało złożyć zeznania, sam zaś Rubin — oryginał swojej baśni z odpowiednimi objaśnieniami.

Tego dnia Rubin już przepracował po obiedzie dwie godziny w nowej, przydzielonej mu izbie, wybrał typowe dla poszukiwanego przestępcy elementy układu cech mowy i morfemy, przepuścił je przez fonowizor, rozwiesił mokre wstęgi papierowe do suszenia i snując już pierwsze domysły, konstruuując już pierwsze podejrzenia — ale bez zapału do tej nowej pracy — przyglądał się jak Smołosidow zabezpieczał drzwi lakowymi pieczęciami. Następnie w strumieniu zeków, jak w stadzie wracającym z pastwiska, Rubin wszedł do mieszkalnej części więzienia.

Jak zawsze, pod jego poduszką, pod materacem, pod łóżkiem i na nocnym stoliku, obok jakichś wiktuałów leżało kilkanaście książek (przysyłano mu je w paczkach), które uważał za najbardziej interesujące w świecie (tylko on tak myślał, i dlatego nikt ich nie ruszał): słowniki — chińsko-francuski, łotewsko-węgierski i rosyjsko-sanskrycki (już przez dwa lata Rubin śleczał nad olbrzymią, w duchu Engelsa i Marra pisaną pracą, w której wszystkie wyrazy we wszystkich istniejących językach wyprowadzał z pojęć „ręka” oraz „praca ręczna” — nie podejrzewając, że minionej nocy Wielki Językoznawca podniósł już nad karkiem Marra brzeszczot ideologicznej gilotyny); prócz tego leżała tam „Wojna z salamandrami” Czapka, antologia opowiadań nadzwyczaj postępowych pisarzy japońskich, „For Whom the Bell Tolls” Hemingwaya (jakoś go u nas nie bardzo już tłumaczono, ponoć przestał być zaliczany do postępowych); parę monografii o encyklopedystach, „Joseph Fouché” Stefana Zweiga — po niemiecku i nigdy nie tłumaczona na rosyjski powieść Uptona Sinclaira.

Na świecie było niezliczone mnóstwo książek, zupełnie niezbędnych, najpierwszorzędnějších i chciwa chęć przeczytania ich wszystkich nigdy nie pozwoliła Rubinowi napisać żadnej własnej książki. Teraz Rubin gotów był czytać do późnej nocy, wcale nie myśląc o jutrzejszym dniu roboczym. Ale pod wieczór Rubin dopiero się rozkręcał, jego dowcip, skłonność do dyskusji i krasomówczych popisów przybierały szczególne rozmiary. I wcale niewiele mu było trzeba, aby zgodzić się na publiczne popisy.

Byli w *szaraszce* ludzie, którzy nie dowierzali Rubinowi, mając go za kapusia (z powodu zbyt ortodoksyjnych, wcale nie ukrywanych przezeń poglądów), ale nie było nikogo, kto by się nie zachwycał jego talentami kawalarza.

Wspomnienie o „Kruku i lisie”, nafaszerowanym doskonałymi cytatami z knajackiego żargonu, było takie żywe, że teraz też w ślad za Kaganem wielu obecnych w izbie zaczęło głośno żądać od Rubina jakiegoś nowego wica. I kiedy Rubin w końcu wstał, kiedy — mroczny, brodaty — wyłonił się spod wiszącej nad nim górnej nary, jak z jaskini, wszyscy porzucili swoje zajęcia i przygotowali się do słuchania. Tylko Dwojetiosow na górnej koi obcinał sobie paznokcie u nóg tak, że zrzynki bryzgały daleko, i Adamson pod swoim kocem kontynuował czytanie, nawet się nie odwracając. W drzwiach stłoczyli się ciekawscy z innych cel, stojący wśród nich w rogowych okularach Tatar Bułatow ostro pokrzykiwał:

— Prosimy! Prosimy!

Rubin wcale nie miał ochoty zabawiać publiczki, wśród której byli ludzie nastrzęsający się ze wszystkiego, co było mu drogie; wiedział też, że nowy wic nieuchronnie spowoduje już w poniedziałek nowe kłopoty, szarpanie nerwów, przesłuchania u „Szyszkina-Myszkina”. Ale to on był właśnie bohaterem rosyjskiego przysłowia, wedle którego są ludzie, co dla konceptu dobrego nie pożałują ojca własnego — toteż nasrożył się na niby, poważnie rozejrzał się po obecnych, poczekał aż zupełnie się uciszą i oznajmił:

— Towarzysze! Zdumiony jestem waszą lekkomyślnością. O jakich tu wicach może być mowa, jeżeli wśród nas chodzą sobie spokojnie zuchwali, ale wciąż jeszcze nie wykryci przestępcy? Żadne społeczeństwo nie może się rozwijać bez sprawiedliwego systemu sądowego. Uważam za konieczne, aby nasz dzisiejszy wieczór rozpocząć od niewielkiego procesiku. Niejako dla zaprawy.

— Słusznie!

— A kogo będzie się sądzić?

— A wszystko jedno, kogo! Grunt, że ma rację! — rozległy się głosy.

— Zabawne! Bardzo zabawne! — zachęcał mówcę Sołogdin sadowiać się wygodnie. Dziś zasłużył sobie na wypoczynek jak nigdy, a odpoczywać należało racjonalnie.

Ostrożny Kagan, czując, że sprowokowana przez niego samego gra grozi przekroczeniem granic rozsądku, zaczął cofać się nieznacznie w stronę ściany, aby usiąść z daleka na swoim łóżku.

— Kogo się sędzi, tego dowiecie się w toku przewodu sądowego — wyjaśnił Rubin (sam jeszcze nie miał konceptu) — ja chyba podejmę się obowiązków prokuratora, ponieważ funkcja ta zawsze budziła we mnie szczególne emocje (wszyscy w szaraszce wiedzieli, że Rubin miał wśród prokuratorów swoich osobistych wrogów i że od pięciu już lat wojował z Generalną oraz z Naczelną Prokuraturą Wojskową). — Glebie! Ty będziesz przewodniczącym kompletu sędziowskiego. Sformuj sobie szybko swoją trójkę — bezstronną, obiektywną, no, jednym słowem, całkowicie ci posłuszną.

Nierżyn siedział bez butów na swojej górnej koi. Każda godzina tego niedzielnego dnia coraz bardziej oddalała go od nastroju porannego widzenia i spajała coraz bardziej z tak dobrze mu znanym światem więziennym. Apel Rubina nie natrafił w nim na sprzeciw. Przesunął się do poręczy łóżka, opuścił nogi między prętami i w ten sposób ukazał się jakby na trybunie górującej nad izbą.

— No, kto chce być za ławnika? Niech tu dwóch włązi!

Więźniów było w izbie wielu, wszyscy chcieli obejrzeć sobie ten sąd, ale nikt nie kwapił się do godności ławnika — z przeczucia albo z obawy przed śmiesznością. W sąsiedztwie Nierżyna, też na górnym piętrze leżał i znów czytał poranną gazetę Ziemiela, technik od pomp. Nierżyn stanowczym ruchem szarpnął za dziennik:

— Od ucha do ucha! Już dosyć jesteś wykształcony! Bo jeszcze ci się zachce pozycji mocarstwowej. Zbieraj się. Będziesz ławnikiem!

W dole rozległy się oklaski:

— Prosimy, Ziemiela, prosimy!

Ziemiela był ustępliwy i nie potrafił długo się sprzeciwiać.

Uśmiechnął się nieskładnie i zwiesił przez poręcz łysiejącą głowę:

— Być wybrańcem mas — to wielki honor! Toć ja, przyjaciele, nie znam się na tym, ja nie potrafię...

Ogólny śmiech („nikt się nie zna! nikt nie potrafi”) był mu odpowiedzią i dowodem zgody na wybór.

Z drugiej strony Nierżyna leżał Ruśka Doronin. Rozebrał się cały, naciągnął koc aż na sam czubek nosa i jeszcze schował pod poduszkę swoją szczęśliwą, pełną upojenia głowę. Nie chciał nic słyszeć, ani widzieć, nie chciał być widziany przez nikogo. Tylko jego ciało tutaj było — myśli zaś i dusza mknęły w ślad za Klarą, która jechała teraz do domu. Przed samym wyjściem zdążyła skończyć pleciony koszyczek na choinkę i nieznacznie

wręczyła go Ruśce w podarunku. Koszyczek ten Ruśka trzymał teraz pod kołdrą i pokrywał pocałunkami.

Widząc, że apelowanie do Ruśki byłoby teraz daremne, Nierzyn rozglądał się w poszukiwaniu drugiego kandydata.

— Amantaj! Amantaj! — wołał na Bułatowa. — Chodź tu, będziesz ławnikiem.

Okulary Bułatowa błyszczały zadziornie.

— A poszedłbym, tylko tam nie ma gdzie usiąść! Już tu zostanę przy drzwiach, będąc woźnym trybunalskim!

Chorobrow (zdążył już ostrzyć Adamsona i dwóch jeszcze innych, strzygł teraz pośrodku izby nowego klienta, a ten siedział przed nim, goły aż do pasa, żeby nie mieć potem kłopotu ze ścinkami włosów w bieliźnie) krzyknął:

— A po co drugi ławnik? Wyrok już dawno w kieszeni, ani chybi?! Wal z jednym!

— Też racja, — zgodził się Nierzyn — po co nam darmożady? Więc gdzie oskarżony? Woźny! Wprowadzić oskarżonego! Prosimy o ciszę!

I pukał dużą cygarniczką w poręcz łóżka. Rozmowy cichły.

— Sąd! Sąd! — żądano. Publiczność siedziała i stała.

— Czyli znajdę się na niebiesiech — Ciebie znajdę, Panie, czyli w głąb piekieł zejdę — Ty tam jesteś, Panie — z dołu, spod sędziowskiego siedziska melancholijnie odezwał się Potapow. — Czyli w przepaściach morskich się pograżę — i tam dosięgnie mnie prawica Twoja! (Potapow pamiętał lekcje religii jeszcze z gimnazjum i w jego uporządkowanej, inżynierskiej głowie zachowały się teksty wykładów katechizmu).

Także z dołu, spod łóżka ławniczego dał się słyszeć wyraźnie brzęk łyżeczki, mieszającej herbatę w szklance.

— Walentula! — groźnie huknął Nierzyn. — Ile razy było mówione — nie dzwonić łyżeczką!

— Pod sąd! — wrzasnął Bułatow i kilkoro usługujących rąk zaraz wyciągnęło Priancykowa z półmroku dolnej koi na środek izby.

— Dosyć tego! — wyrywał się Priancykow zaciętrzewiony. — Mam dosyć prokuratorów! Mam dosyć waszych sądów! Jakie prawo ma jeden człowiek do sądzenia drugiego? Ha-ha! Śmieszne! Mam dla ciebie pogardę, chłoptasiu! — krzyknął do przewodniczącego trybunału. — Mam was w dupie!

Podczas gdy Nierzyn kompletował ławę sędziowską, Rubin wpadł już na pomysł. Jego ciemne oczy rozbłyśły uciechą z konceptu. Machnął szeroko ręką w stronę Priancykowa:

— Dajcie spokój temu pisklęciu! Walentula z jego wiarą

w sprawiedliwość powszechną może być doskonałym adwokatem z urzędu. Dać mu stołek!

Każdy żart przechodzi przez taką niewidzialną rubież, za którą albo staje się trywialny i przykry, albo nagle uskrzydla go natchnienie. Rubin owinąwszy się kocem, jak togą wszedł na nocną szafkę w samych skarpetkach i zwrócił się do przewodniczącego:

— Obywatelu rzeczywisty radco stanu! Podsądny uchylił się od stawiennictwa, zatem będziemy go sądzić zaocznie. Proszę zaczynać.

W tłumie stłoczonym koło drzwi stał też rudowąsy stróż Spirydon. Na jego mądrej, obwisłej już i porzniętej licznymi zmarszczkami twarzy rysowała się jednocześnie surowość i miłe rozbawienie. Ceremonii sądowej przyglądał się spode łba.

Za plecami Spirydona widać było wydłużoną, woskową i szczupłą twarz profesora Czełnowa. Miał na głowie swoją wełnianą czapeczkę.

Nierżyn skrzeknął:

— Uwaga, towarzysze! Otwieram sesję sądu wojennego *sza-raszk*i Mawrino. Rozpatrywać dziś będziemy sprawę...?

— Igora Olegowica, syna Światosława... — odpowiedział prokurator.

Zorientowawszy się w lot, Nierżyn ciągnął dalej przez nos, tak monotennie, jakby czytał z kartki:

— Rozpatrzeniu podlega sprawa Olegowica Igora, syna Światosława, księcia na Nowgorodzie siewierskim i Putywlu, urodzonego... mniej więcej... Do diabła, co ten sekretarz wyprawia, dlaczego mniej więcej?... Uwaga! Z powodu nie dostarczenia sądowi tekstu na piśmie, akt oskarżenia wygłosi prokurator.

L

KSIĄŻE ZDRAJCA

Rubin zaczął mówić tak płynnie i gładko, jakby jego oczy rzeczywiście ślizgały się po papierze (jego sprawa była czterokrotnie wałkowana w sądach i formułki sądowe wyźłobiły mu się w pamięci):

— Akt oskarżenia w sprawie śledczej numer pięć milionów łamane przez trzy miliony sześćset pięćdziesiąt jeden tysięcy dziewięćset siedemdziesiąt cztery wytoczonej OLEGOWICOWI IGOROWI SYNOWI ŚWIATOSŁAWA.

Olegowic I. S. pozwany jest w niniejszej sprawie przez organy bezpieczeństwa państwowego. W trakcie czynności śledczych zostało ustalone, że Olegowic, będąc dowódcą niezwykłej armii rosyjskiej, zajmując stanowisko księcia i pełniąc funkcję witezia rycerskiego zastępu okazał się podłym zdrajcą Ojczyzny. Jego zradziecka działalność w tym się przejawiała, że sam, dobrowolnie poddał się śmiertelnemu wrogowi naszego ludu, obecnie już zdemaskowanemu chanowi Konczakowi — ponadto zaś poszedł do niewoli wraz ze swym synem, Włodzimierzem Igorowiczem, bratem i bratankiem, oraz z całym swoim rycerskim zastępem w pełnym składzie, wraz z wyposażeniem bojowym oraz zawartością taborów, za których zgodność z inwentarzem odpowiadał materialnie.

Zradziecka jego działalność przejawiała się także w tym, że — zaraz na samym początku pozwoliwszy się omamić przez prowokacyjne zaćmienie słońca zaaranżowane przez reakcyjne duchowieństwo — nie stanął na czele masowej polityczno-oświatowej akcji w swoim zastępie, wyruszającym, aby „z szłomu swego upić wód donieckich¹⁾” — nie wspominając już o antysa-

1. Wszystkie cytaty ze „Słowa o wyprawie Igora” w przekładzie Juliana Tuwima.

nitarnym stanie rzeki Don w tych latach, przed wprowadzeniem podwójnego chlorowania. Zamiast tego wszystkiego oskarżony ograniczył się, już w obliczu nieprzyjaciela, do zupełnie nieodpowiedzialnego apelu skierowanego do własnych oddziałów:

„Sami wroga przemożem,

Wszystka chwata się ku nam przechylili!”

(materiały dowodowe śledztwa, tom pierwszy,
arkusz trzydziesty szósty)

Zgubne dla naszej Ojczyzny znaczenie porażki poniesionej przez nowgorodzko-siewiersko-kursko-putywlsko-rylski zastęp najlepiej jest scharakteryzowane w słowach wielkiego księcia kijowskiego Światosława:

„Wsiewołodzie, Igorze! Wy za sławą w pogoni,

Wcześniej kraj połowiecki zaczęliście gromić,

Ale sławy nie dali mieczowi”.

(materiały dowodowe śledztwa, tom pierwszy,
arkusz osiemdziesiąty ósmy)

Omyłką naiwnego Światosława (uwarunkowaną przez jego ślepotę klasową) jest jednak, że winę za złą organizację całej kampanii i za rozdrobnianie rosyjskiego wysiłku wojennego przypisuje on jedynie „wczesności”, to znaczy młodości oskarżonego, nie rozumiejąc, że chodzi tu o dawno przygotowany akt zdrady.

Samemu przestępcy udało się uciec przed śledztwem i sądem, ale świadek BORODIN² Aleksander Porfiriewicz, a także świadek, który woli tu zachować anonimowość i którego w dalszym ciągu nazywać będziemy AUTOREM SŁOWA, przy pomocy niezbitych dowodów demaskują ohydny rolę księcia I. S. Olegowicza — nie tylko w trakcie samej bitwy, którą wydał w niekorzystnych dla rosyjskiego dowództwa warunkach

— meteorologicznych:

*„Wiatry, wnuki Strzyboga, strzałami od morza wieją,
Na wojsko Igorowe...”*

— oraz taktycznych:

*„Idą Połowcy od morza, idą pohańcy od Donu,
Ławą na wojów walą, od tej i tamtej strony...”*

(tamże, tom I, arkusze 123, 124, zeznania Autora Słowa),

lecz również jeszcze ohydniejsze zachowanie się jego (oraz arystokratycznej jego latorośli) w niewoli. Warunki, w których obaj oni trzymani byli w tak zwanej niewoli wskazują, że w gruncie rzeczy cieszyli się największymi łaskami chana Konczaka, co obiektywnie było też zapłatą, jakiej nie poskapiło

2. A. P. Borodin — kompozytor rosyjski, autor opery „Książę Igor”. Z jej libretta pochodzą przytaczane dalej cytaty.

połowieckie dowództwo za zdradzieckie wydanie mu w ręce rosyjskiego zastępu.

Tak na przykład zeznania świadka Borodina wyraźnie wskazują, że książę Igor miał w niewoli do dyspozycji konia — i to nawet nie jednego:

„Chcesz, to bierz sobie konia wedle woli!”

(tamże, tom I, arkusz 233)

Chan Konczak tak przy tym mawiał do księcia Igora:

„Przecz masz się tu za jeńca.

A czy nie gościem raczej jesteś dla mnie?”

(tamże, tom I, arkusz 281)

i zaraz niżej:

„Sam powiedz, bo to jeńcom gdzie tak dobrze?”

(tamże, tom I, arkusz 300)

Połowiecki chan ujawnia cały cynizm swoich stosunków z księciem-zdrajcą:

„To odwaga, tak, to dzielność twoja

tak mi ciebie miłym uczyniły”

(materiały dowodowe, tom III, arkusz 5)

Przy śledztwie bardziej szczegółowym udało się wykryć, że te cyniczne stosunki miały miejsce długo jeszcze przed bitwą nad rzeką Kajałą:

„Byłeś mi z a w s z e m i ł y”

(tamże, arkusz 14, zeznania świadka Borodina),

a nawet:

„O, nie twoim wrogiem, ale wiernym druhem,

Twoim sojusznikiem, twoim dobrym bratem,

Oto kim być wolę...

(tamże)

Wszystko to wskazuje obiektywnie na oskarżonego, jako na aktywnego zausznika chana Konczaka, długoletniego połowieckiego agenta i szpiega.

Na podstawie wyszczególnionego powyżej, Olegowic Igor Światosławicz, urodzony w roku 1151-szym, w mieście Kijowie, Rosjanin, bezpartyjny, dotąd nie karany, obywatel ZSSR, z zawodu witeź, zatrudniony na stanowisku witezia zastępu w randze księcia, odznaczony orderami Warega I-go stopnia, Jasnego Słoneczka i medalem Złotej Tarczy, zostaje oskarżony o to że:

dopuścił się ohydnej zdrady swego kraju, obciążonej dodatkowo dywersją, szpiegostwem i długoletnią działalnością agenturalną na rzecz chanatu połowieckiego,

to znaczy, o przestępstwa wymienione w artykułach 58-1-b, 58-6, 58-9 i 58-11 KK RSFR.

Oskarżony przyznał się do inkryminowanych czynów. Prócz tego za oskarżeniem przemawiają zeznania świadków, poemat i opera.

Na podstawie artykułu 208 KPK RSFRR sprawa niniejsza skierowana została do prokuratora celem wdrożenia przeciw oskarżonemu postępowania sądowego”.

Rubin odetchnął i rozejrzał się dookoła tryumfująco. Porwany potokiem fantazji nie mógł się już zatrzymać. Dochodzący od drzwi i łóżek śmiech jeszcze bardziej go podniecał. Powiedział już o wiele więcej niebezpiecznych rzeczy, niżby chciał, biorąc pod uwagę obecność kilku kapusiów i osobistych wrogów.

Spirydon ze swoimi szczeciniastymi, siwo-rudymi włosami sterczącymi mu na głowie bez żadnego ładu w stronę czoła, uszu i karku, nie zaśmiał się ani razu. Patrzył na sąd ponurym okiem. Ten pięćdziesięcioletni Rosjanin po raz pierwszy słyszał o średniowiecznym księciu, co znalazł się w niewoli — ale znana atmosfera sądowa i nie znosząca sprzeciwu prokuratorska pewność siebie pozwoliły mu przeżyć jeszcze raz własne koleje i dobrze zrozumieć całą niesprawiedliwość argumentacji prokuratora, a też i całą gorzką dolę biednego księcia.

— Ponieważ oskarżony jest nieobecny, a ponowne przesłuchanie świadków — zbędne — odezwał się Nierzyn wciąż tym samym nosowym, monotonnym głosem — przechodzimy do wypowiedzi stron. Głos zabierze znowu prokurator.

— A pewno, pewno — przytaknął zgodliwy ławnik.

— Towarzysze sędziowie — krzyknął Rubin złowróźnie. — Niewiele mogę dodać do tego łańcucha strasznych oskarżeń, do tego brudnego kłębka zbrodni, który został rozwikłany przed waszymi oczyma. Przede wszystkim — pragnę w jak najbardziej zdecydowany sposób zaprotestować przeciw dość rozpowszechnionej, zalatującej stęchłą opini, że ranny ma moralne prawo do pójścia do niewoli. Takie opinie nie mają nic wspólnego z naszym światopoglądem, towarzysze! A tym bardziej w wypadku księcia Igora. Powiadają niektórzy, że był ranny na polu walki. A kto potrafi tego dowieść dzisiaj, po siedemset sześćdziesięciu pięciu latach? Czy ktokolwiek widział odnośne zaświadczenie podpisane przez szefa służby zdrowia dywizji? W każdym razie w materiałach dowodowych śledztwa nie znalazłem takiego zaświadczenia, towarzysze sędziowie!...

Amantaj Bułatow zdjął okulary. Bez ich zadziornego, męskiego blasku widać było w jego oczach tylko smutek.

I on, i Priancykow, i Potapow i jeszcze wielu zebranych tu wokół poszło do więzienia za taką samą „zdradę Ojczyzny” — za dobrowolne pójście do niewoli.

— Dalej — grzmiał prokurator — chciałbym szczególnie mocno podkreślić całą obrzydliwość postępowania oskarżonego wśród Połowców. Książę Igor myśli wcale nie o swojej ojczyźnie, tylko o żonie:

*„Jesteś sama gołąbeczko,
Jesteś sama...”*

Analizując formalnie ten stan rzeczy, możemy go łatwo zrozumieć, bo Jarosławna, jego druga żona, jest młodziutka, na takiej babie specjalnie znowu polegać nie można, ale patrząc głębiej w sedno widzimy w postaci księcia Igora przykład podłego sobkostwa! A dla kogo — pytam — tańczono sławetne połowieckie tańce? Też dla niego! A to jego nędzne latorośle nawiązuje jednocześnie stosunki płciowe z córką Konczaka, chociaż małżeństw z cudzoziemcami kategorycznie zabraniają naszym obywatelom odpowiednio, kompetentne organy! I wszystko to się dzieje w momencie największego napięcia stosunków sowiecko-połowieckich, kiedy...

— Chwileczkę — wtrącił się kudłaty Kagan siedzący na łożku — skąd prokuratorowi wiadomo, że na Rusi była już wtedy władza sowiecka?

— Woźny! Proszę wyprowadzić tego płatnego agenta! — Nierżyn zapukał w stół. Ale Bułatow nie zdążył jeszcze się ruszyć, kiedy Rubin odparował już cios z łatwością:

— Proszę bardzo, mogę odpowiedzieć! Przekonywa nas o tym dialektyczna analiza tekstów. Znajdujemy następujące zdanie u Autora Słowa:

— „... I porozec purpurowy,

*Buńczuk krasny, drzewce w srebrze — walecznemu
Igorowi”.*

Chyba jasne, prawda?

Szlachetny książę Włodzimierz Halicki, szef rejonowej komendy uzupełnień w Putywlu, zwołuje pospolite ruszenie ze Skułą i Jeroszką na czele dla obrony rodzinnego miasta — a książę Igor przez ten czas podziwia gołe nogi połowieckich dziewczek? Dodam w nawiasie, że także te jego skłonności gotowi byśmy byli zrozumieć, ale przecież sam Konczak proponuje mu do wyboru „każdą z tych ślicznotek” — więc czemuż on żadnej nie chce, gadzina? Kto z obecnych tutaj uwierzy, żeby człowiek mógł sam sobie odmówić b a b y, co? I właśnie tu dochodzimy do zrozumienia całej głębi cynizmu, tu aż do końca możemy zdemaskować oskarżonego: bo czym jest tak zwana jego ucieczka z niewoli i d o b r o w o l n y powrót do kraju?! Ależ kto uwierzy, że człowiek któremu proponowano „konia wedle woli,

złota wedle woli” — ni stąd ni z owąd dobrowolnie wraca do kraju i to wszystko porzuca, co? Jak to jest w ogóle możliwe?...

Właśnie to, właśnie to pytanie zadawano na śledztwie powracającym jeńcom, także Spiridon tego pytania się doczekał: po co byś ty w ogóle wracał do kraju, gdyby cię tam nie zwerbowano?!...

— Można zrozumieć to tylko w następujący sposób — książkę Igor został zwerbowany przez połowiecki wywiad i przerzucony w celu prowadzenia działalności rozkładowej w państwie kijowskim!

Towarzysze sędziowie! Podobnie jak wy, kipię teraz szlachetnym oburzeniem. Z całym właściwym mi humanitaryzmem żądam — powiesić go — sukinsyna! A ponieważ kara śmierci u nas nie istnieje — to wlepić mu dwadzieścia pięć lat i piątkę na przytarcie rogów! Prócz tego, proponuję, ażeby włączyć do uzasadnienia wyroku co następuje: operę „Książkę Igor” jako zupełnie amoralną i propagującą wśród naszej młodzieży nastrój życzliwości dla zdrady — zdjąć z afisza! Świadka w niniejszym procesie, Borodina A. P. pociągnąć do odpowiedzialności karnej stosując areszt jako środek zapobiegawczy, ponadto pociągnąć do odpowiedzialności dwóch arystokratów: 1) Rymskiego 2) Korsakowa, bo gdyby wyżej wymienieni nie dopisali zakończenia do tej nieszczęsnej opery, to nigdy by sceny nie zobaczyła. Skończyłem! — Rubin ciężko zeskoczył ze stołka. Gadanie już go znużyło.

Nikt się nie śmiał.

Prianczykow, nie prosząc o pozwolenie, wstał z krzesła i w głębokiej ciszy odezwał się głosem cichym i zdetonowanym:

— *Tant pis*, panowie! *Tant pis*! Jaki to wiek mamy, jaskiniowy, czy dwudziesty? Co to znaczy — zdrada? Wiek rozbicia atomu! półprzewodników! mózgów elektronowych!... Panowie, kto ma prawo sądzić drugiego człowieka? Kto ma prawo pozbawić go wolności?

— Przepraszam — czy to już obrona? — wtrącił się grzecznie profesor Czełnow i wszyscy obrócili głowy w jego stronę. — Ja chciałbym tylko jeszcze w trybie nadzoru prokuratorskiego dodać kilka faktów, które przeoczył mój znakomity kolega i...

— Ależ oczywiście, oczywiście profesorze! — podtrzymał go Nierzyn — jesteśmy zawsze po stronie oskarżenia, zawsze gotowi walczyć z obroną i zawsze w związku z tym radzi jesteśmy zmienić tok procesu. Prosimy!

Usta profesora Czełnowa wygięły się w powściągliwym uśmiechu. Mówił zupełnie cicho i tylko dlatego było go dobrze

słysząc, że słuchano go z szacunkiem. Jego zblakłe oczy patrzyły niejako obok wszystkich obecnych, tak jakby ktoś obracał przed nim karty kroniki. Pomponik na jego wełnianej czapeczce zaostrzał jeszcze jego twarz i podkreślał wyraz koncentracji.

— Chciałbym przypomnieć — powiedział matematyk — że książę Igor byłby zdemaskowany jeszcze przed nominacją na witezia, mianowicie przy pierwszej próbie wypełnienia kwestionariusza naszej spec-ankiety. Jego matka nie była Rosjanką, lecz córką księcia połowieckiego. Mając w żyłach pół krwi połowieckiej — książę Igor przez długie lata był aliantem Połowców. „Wiernym sojusznikiem i najlepszym druhem” był on dla Konczaka jeszcze przed swoją wyprawą! W 1180-tym roku, po klęsce poniesionej z rąk następców Monomacha uciekał przed nimi wspólnie z chanem Konczakiem, jednym członem! Później Światosław i Ruryk, synowie Roścysława, zapraszali Igora do udziału we wszechrosyjskich, wielkich kampaniach przeciw Połowcom, ale Igor uchylił się pod pretekstem gołoledzi — „*Bo wiem szreń nazbyt już wielka*”. Może dlatego że już wtedy Swoboda Konczakówna wyswatana była za Włodzimierza, syna Igora? Wreszcie w rozpatrywanym tu, 1185-tym roku — kto pomógł Igorowi uciec z niewoli? Także Połowiec! Połowiec Owłur, którego Igor następnie „zrobił wielmożnym panem”. A Konczakówna przywiozła później Igorowi wnuka... Za ukrywanie tych faktów proponowałbym pozwać przed sąd również Autora Słowa, następnie — krytyka muzycznego Stasowa, który przegapił zdradzieckie tendencje w operze Borodina no i wreszcie hrabiego Musina-Puszkina, bo musiał przecież mieć coś wspólnego ze spaleniem się jedyne go rękopisu „Słowa”? Jasne jest, że ktoś, komu to było wygodne, starał się za trzeci ślad y.

I Czełnow cofnął się w tłum, dając do zrozumienia, że skończył.

Po jego wargach błakał się wciąż ten sam uśmiech.

Wszyscy milczeli.

— Ale kto w końcu będzie bronić podsądnego, przecież każdemu potrzebny jest obrońca — oburzył się Izaak Kagan.

— Nie ma co bronić tej gadziny — krzyknął Dwojetiosow.
— Jeden be — i pod ściankę!

Sołogdin był nachmurzony. To co mówił Rubin, było bardzo śmieszne, erudycja zaś Czełnowa tym bardziej zasługiwała na szacunek, ale książę Igor był chlubą historii rosyjskiej, przedstawicielem jej rycerskiego, to znaczy najświetniejszego okresu — dlatego też nie wypadało stroić sobie z niego żartów, nawet aluzyjnych. Sołogdin czuł, że został w nim niemiły osad.

— Nie, nie, jak państwo życzą, a ja się zabieram do obrony!
— powiedział całkiem już rozochocony Izaak obrzucając audytorium chytrym spojrzeniem. — Towarzysze sędziowie! Jako sumienny obrońca z urzędu przyłączam się w stu procentach do wszystkich argumentów oskarżyciela. — Przeciągał słowa i miał kluski w gębie. — Moje sumienie każe mi tutaj stwierdzić, że księcia Igora warto nie tylko powiesić, lecz również poćwiartować. To prawda, że nasze humanitarne prawo już od przeszło dwóch lat nie uznaje kary śmierci i jesteśmy zmuszeni zastępować ją byle czym. Nie rozumiem jednak, dlaczego prokurator ma tak podejrzanie dobre serce? (Wartoło by wziąć pod światło również prokuratora!) Dlaczego w drabinie kar opuszcza od razu dwa stopnie i dochodzi do dwudziestu pięciu lat ciężkich robót? A przecież w naszym kodeksie jest kara bardzo niewiele różniąca się od kary śmierci, kara o wiele straszniejsza, niż dwadzieścia pięć lat katorgi.

Izaak przeciągał sprawę, aby wywołać tym większe wrażenie.

— Co za kara, Izaak? — krzyczeli mu niecierpliwie. Z tym większą powolnością i z miną tym bardziej naiwną odparł:

— Artykuł dwudziesty punkt a.

Ilu ich tu było z przebogatym więziennym doświadczeniem, żaden z nich nie słyszał o takim artykule. Dogrzebał się, spryciarz!

— No i co jest w tym artykule? — ze wszystkich stron wykrzykiwano nieprzyzwoite rozwiązania zagadki. — Wyróżnić mu...?

— Ciepło, ciepło — potakiwał Izaak beznamietnie. — Właśnie, właśnie, wykastrować człowieka duchowo. Artykuł dwudziesty, paragraf a — uznać za wroga ludu pracującego i wypędzić z granic Związku Sowieckiego! Niech tam sobie zdycha na Zachodzie! Skończyłem.

Ze skromniutko pochyloną głową, mały, kudłaty, poszedł w stronę swojego łóżka. Wybuch śmiechu zatrzęsł całą izbą.

— Że jak? Że jak? — ryknął i zakrztusił się Chorobrow, klient zaś jego aż podskoczył bo maszynka szarpnęła go za włosy.

— Wypędzić? Więc jest taki punkt?

— Proś o zwiększenie kary! Proś o podwyższenie! — krzyczano mu ze wszystkich stron.

Chłopak Spirydon uśmiechał się chytrze.

Wszyscy naraz zabrali się do gadania, zaczęli się rozpraszać.

Rubin znowu leżał na brzuchu starając się wniknąć w treść słownika mongolsko-fińskiego. Przeklinał swoje idiotyczne zamiłowanie do popisów, wstydził się zagranej roli.

LI

KOŃCZĄC DWUDZIESTY

Tymczasem Adamson wciąż tak samo wtulony ramieniem i policzkiem w sutą poduszkę łykał i łykał swojego „Monte Christo”. Odwrócił się tyłem od wszystkiego, co działo się w izbie. Żadna komedia sądowa już go nie interesowała. Obrócił tylko leciutko głowę, gdy zabrał głos Czełnow, ponieważ nie znał jeszcze tych szczegółów.

W ciągu dwudziestu lat zesłań, etapów, więzień śledczych, izolatorów i *szaraszek*, Adamson — ongiś nie chrypnący nigdy, łatwo wpadający w ferwor mówca, wyzbył się wszelkich emocji, stał się nieczuły na cierpienia własne i cudze.

Odgrywana teraz w izbie komedia procesu sądowego poświęcona była losowi jeńców, to znaczy żołnierzy sowieckich, oddanych z początku do niewoli przez nieudolnych generałów a później obojętnie rzuconych przez Stalina na pastwę głodu. Jeńcy — to była fala czterdziestego piątego, czterdziestego szóstego roku. Adamson mógł teoretycznie uznać — i nawet brał pod uwagę — tragiczny charakter ich losu, ale mimo wszystko była to tylko jedna fala, jedna z wielu i to wcale nie najciekawsza. Jeńcy dlatego byli interesujący, że zwiedzili wiele zamorskich krajów („żywi fałszerze historii” jak żartował Potapow), ale z tym wszystkim ich fala była szara, były to bezradne ofiary wojny, nie zaś ludzie, którzy z własnej woli wybrali sobie walkę polityczną, jako drogę życia.

Każda fala zeków w NKWD, na podobieństwo każdego pokolenia mieszkańców ziemi, ma swoją własną historię i bohaterów.

Trudno też jednej generacji zrozumieć drugą.

Adamsonowi wydawało się, że ci ludzie nie idą w żaden paragon z t a m t y m i — z tytanami, którzy, podobnie jak on sam, w końcu lat dwudziestych dobrowolnie wybrali jeni-

sejskie zesłanie, choć mogli tylko wyrzec się własnych słów wypowiedzianych na zebraniu partyjnym i cieszyć się dalej wszelką pomyślnością — każdemu z nich dawano to do wyboru. T a m c i nie mogli pogodzić się z wypaczeniem i pohanbieniem rewolucji, gotowi byli sami siebie dać w ofierze, aby ją oczyścić. To zaś „młode, nieznane plemię” w trzydzieści lat po Październiku wkraczało spokojnie do celi i sypiąc chłopskimi przekleństwami powtarzało to samo, za co należało się rozstrzelanie jeszcze w czasach wojny domowej.

Dlatego też Adamson nie czujący osobistej wrogości wobec nikogo z nich, ani nie wadzący się z nikim, w sumie nie trawił zeków tego rodzaju.

Zresztą w ogóle Adamson (tak sam siebie przynajmniej zapewniał) dawno już przechorował wszystkie aresztanckie spory, spowiedzi i opowieści o widzianych wypadkach. Może kiedyś — w młodości — ale teraz dawno już nie był ciekaw rozmów toczonych w drugim kącie celi. Działalność zawodowa też już dawno przestała być dla niego czymś wartym przywiązania. Brać udziału w życiu rodziny też nie mógł, ponieważ pochodził z innych okolic, nigdy nie otrzymywał widzeń, zaś listy przechodzące przez ręce więziennej cenzury były już przez piszących je zubożone, wszystkie soki były z nich odciągnięte. Nie poświęcał też wiele uwagi gazetom — zorientowany był w ich treści przebiegłszy oczyma same nagłówki. Radiowych audycji muzycznych słuchać mógł nie więcej niż godzinę dziennie, słownych zaś jego nerwy w ogóle nie wytrzymywały, podobnie jak kłamliwych książek. I chociaż gdzieś głęboko, za siedmioma murami serca zachował nie tylko żywe, ale wręcz bolesne zainteresowanie dla losów świata i losów tej doktryny, której oddał niegdyś swoje życie — to zewnętrznie starał się zachować całkowitą obojętność wobec otoczenia. W ten sposób — nie zastrzeżony na czas, nie dobity na czas, nie zaszczuty na czas — Adamson lubił teraz ze wszystkich książek nie te, które paliły ogniem prawdy, lecz te, które dawały rozrywkę i pomagały mu znieść jakoś jego więzienne niekończące się lata.

... Tak, w jeniisejskiej tajdze, w dwudziestym dziewiątym roku oni nie czytali „Monte Christo”... Nad Angarą, do dalekiego, głuchego sioła Doszczany, dokąd trzeba było jechać saniami trzysta wiorst przez tajgę, przybywali z głuszy jeszcze o sto wiorst dalszej, pozornie, aby świętować nadejście Nowego Roku, w istocie zaś na konferencję zesłańców, dla przedyskutowania sytuacji międzynarodowej i wewnętrznej. Mrozy przekraczały 50 stopni. Żelazna b u r ż u j k a w żaden sposób nie mogła ze swego kąta nagrzać całej, zbyt obszernej syberyjskiej chaty

z rozwalonym rosyjskim piecem (właśnie dlatego też tę chatę przydzielono zesłańcom). Ściany chaty przemarły na wskroś. Wśród nocnej ciszy od czasu do czasu ścięte drzewa trzaskały głośno, jakby kto ze strzelby wypalił.

Konferencję otworzył Sataniewicz referatem o polityce partii w kwestii chłopskiej. Zdjął czapkę, pozwalając kołysać się swojemu czarnemu czubowi, ale został w półkożuszku z wiecznie sterczącym z kieszeni zbiorem angielskich idiomów („trzeba znać wroga” — wyjaśniał). Sataniewicz w ogóle lubił grać rolę lidera. Został później rozstrzelany, zdaje się na Workucie, podczas strajku. Ale im żarliwiej dyskutowano nad jego referatem a potem nad innymi, tym bardziej, niestety, rozlatywała się jedność małej garstki zesłańców: okazało się, że nie chodzi o jeden czy dwa rozmaite poglądy, było ich tyle, ilu obecnych. Nad ranem, już pomęczeni, zamknęli oficjalną część konferencji, nie podejmując żadnej wspólnej rezolucji.

Później jedli i pili z przydzielonych im naczyń, umajonych świerkowymi gałązkami, leżącymi na grubych, nierównych deskach stołu. Odtajałe gałązki pachniały śniegiem i żywicą, kłuły dłonie. Pili samogon. Wznosząc toasty klęli się, że nikt z obecnych nigdy nie podpisze kapitulankiego odwołania.

Później śpiewali słynne pieśni rewolucyjne: „Warszawiankę”, „Nasz sztandar płynie ponad trony”, „Czarnego barona”. Potem dyskutowali jeszcze o byle czym, o jakichś drobiazgach.

Róża, robotnica z charkowskiej cygarfabryki, siedziała na pierzynie (przywiozła ją na Syberię aż z Ukrainy i bardzo była z tego dumna) paliła papierosa za papierosem i pogardliwie potrząsała swoją strzyżoną, kędzierzawą głową: „Nie znoszę inteligencji! Obrzydliwe są dla mnie te wszystkie jej 'subtelności' i 'zawiłości'. Ludzka psychologia jest znacznie prostsza, niż chcieli ją przedstawić przedrewolucyjni pisarze. Naszym zadaniem jest uwolnienie ludzkości od zbytecznego balastu duchowego!”

I tak jakoś doszli w rozmowie aż do kobiecych ozdób. Jeden z zesłańców — Patruszew, były prokurator z Odessy, w ślad za którym akurat niedawno temu przyjechała narzeczona z Rosji, zawołał z wyzwaniem: „Czemuż to chcecie zubożyć przyszłe społeczeństwo, dlaczego to nie mam marzyć o takich czasach, kiedy każda dziewczyna będzie mogła mieć perły? kiedy każdy mężczyzna będzie mógł przybrać diademem głowę swojej wybranej?”

Ależ hałas się podniósł! Z jakąż zaciekłością zaświstały w powietrzu cytaty z Marksa i Plechanowa, z Campanelli i Feuerbacha!

Spółczeństwo przyszłości!... Z jaką łatwością mówiono o nim!...

Wzeszło słońce Nowego Dziewięćset Trzydziestego Roku i wszyscy wyszli, by patrzeć na brzask. Poranek był krzepki, mroźny, ze słupami różowego dymu bijącego prosto w górę, w różowe niebo. Po białej, szerokiej Angarze baby gnały bydło do wodopoju, do przerębła oznaczonego choinkami. Mężczyzn ani koni nie było — popędzono ich na leśne żniwa, do boru.

I minęły dwa dziesiątki lat. Przekwitło i opadło wszystko, co w ówczesnych ich toastach było kwestią dnia. Rozstrzelano tych, co byli aż do końca nieugięci. Rozstrzelano także tych, którzy skapitulowali. I tylko w samotnej głowie Adamsona, ocalałej pod ciepłarnianym kloszem *szaraszek* wybuchało — jak niewidzialne drzewo — zrozumienie i pamięć o tych latach...

Adamson miał książkę przed oczyma, ale nie czytał.

Wtedy właśnie na skraju jego pościeli przysiadł Nierżyn.

Ci dwaj poznali się przed trzema laty w butyrskiej celi — tej samej gdzie siedział też Potapow. Adamson kończył wtedy swoją pierwszą więzienną *dychę*, zadziwiał kolegów z celi swoim lodowatym, aresztanckim autorytetem, głębokim sceptycyzmem w stosunku do każdej więziennej kwestii, sam zaś żył w duchu tylko szaleńczą nadzieją na bliski powrót do rodziny.

Zabrano ich w różne strony. Adamson został zresztą wkrótce przez nieuważę wypuszczony — ale tylko na taki okres, aby rodzina jego zdążyła zwinąć manatki i przenieść się do miasteczka Sterlitamak, gdzie milicja zgodziła się Adamsona zameldować. Gdy tylko rodzina przyjechała — zaraz go zatrzymano, i przeprowadzono dochodzenie w jednej tylko kwestii — czy to on właśnie był na zesłaniu od 29-go do 34-tego roku i czy następnie siedział w więzieniu? I wyjaśniwszy, że owszem, że już w pełni odsiedział i odbył nawet z nawiązką wszystko, na co go skazano — Komplet Specjalny dał mu za to jeszcze dziesięć lat. Kierownictwo zaś *szaraszek* dowiedziało się dzięki wielkiej wszechzwiązkowej kartotece aresztowanych, że stary fachowiec znowu siedzi i z całą przyjemnością wyciągnęło go znów do *szaraszki*. Adamson został przywieziony do Mawrina i, jak to zawsze w świecie więziennym, zaraz spotkał swoich starych znajomych, między innymi — Nierżyna i Potapowa. I kiedy po pierwszym spotkaniu stali tak i palili na schodach, Adamson miał wrażenie, że nie wracał na rok na wolność, że nie widział swojej rodziny, że nie zdążył przez ten czas nagrodzić żony dzieckiem, że to był sen, bezlitosny dla więźniarskiego serca i że jedyna prawdziwa rzeczywistość w świecie — to więzienie.

Nierżyn przysiadł się aby zaprosić Adamsona do stołu — bo jednak postanowiono uczcić jego urodziny. Adamson z opóźnieniem pogratulował Nierżynowi i zapytał patrząc spod okularów — kto jeszcze będzie. Świadomość, że trzeba będzie nakładać kombinezon rozbijając sobie tak cudownie, konsekwentnie, w samej tylko bieliźnie spędzaną niedzielę, że trzeba odkładać zabawną książkę i brać udział w jakichś imieninach — nie sprawiała Adamsonowi najmniejszej nawet przyjemności. Co najważniejsze, wcale nie sądził, że będzie mu tam miło, był prawie pewien, że rozgorzeje jakiś spór polityczny, że, jak zawsze, będzie on bezpłodny, że nic nikomu nie da, ale że nie będzie można uniknąć wplątania się, a dać się wplątać też nie wolno, ponieważ swoich chowanych głęboko, tyle już razy spotwarzanych myśli nie wolno zwierzać „młodym” więźniom, jak nie wolno im pokazywać własnej żony bez odzieży.

Nierżyn wymienił zaproszonych. Rubin był jedną w całej *szaraszce* osobą naprawdę bliską Adamsonowi, a jeszcze trzeba było zbesztać go za dzisiejszą farsę, niegodną prawdziwego komunisty. Sołogdina i Priancykowa Adamson nie lubił.

Ale co było począć, Adamson zgodził się. Został zawiadomiony, że uczta rozpocznie się między łózkami Potapowa i Priancykowa za pół godziny, skoro tylko Andreicz skończy ubijanie kremu.

W trakcie rozmowy Nierżyn zdążył zauważyć co Adamson czyta i powiedział:

— Też miałem kiedyś okazję przeczytać w więzieniu „Monte Christo”, tylko nie do końca. Zwróciło moją uwagę, że chociaż Dumas bardzo się stara o wrażenie grozy, to jednak pokazuje zamek If jako więzienie zupełnie patriarchalne. Nie mówiąc już o lekceważeniu dla takich miłych drobiazgów jak codzienne wynoszenie kibla z celi, co Dumas jako typowy wolniaczek przemilcza — niech pan zgadnie, dlaczego właściwie Dantesowi udała się ucieczka? Dlatego, że u nich całymi latami nie było w celi *k i p i s z ó w*, podczas gdy przepisy wymagają ażeby je robić co tydzień, no i ma pan rezultaty: podkop nie został wykryty. Następnie u nich tam w ogóle nie zmieniano dyżurnych *k l a w i s z ó w* — powinni zaś — jak to wiemy z najbardziej bezpośredniego doświadczenia — być zmieniani co dwie godziny, żeby jeden funkcjonariusz mógł przyłapać drugiego na jakimś niedopatrzaniu. A w zamku If całymi dobami nikt do celi nie wchodził ani nawet nie zaglądał. Nie mieli nawet w tych celach judasza wprawionego w drzwi — tak że ten cały If to nie więzienie, tylko morska stacja klimatyczna. Dopuszczalne było nawet zostawienie w celi metalowego rondla — i Dantes nim

właśnie dłużył sobie w ziemi. Wreszcie umarłego spokojnie i ufnie zaszyli w brezent nie przypalając go nawet w kostnicy czerwonym żelazem i nie przebijając go bagnetem na wartowni. Dumas powinien był nie tyle dbać o grozę ile o elementarną metodyczność.

Nierżyn nigdy nie czytał książek po prostu dla rozrywki. Szukał w książkach sojuszników albo wrogów, o każdej przeczytanej książce wyrokował dbając o uzasadnienie i swój werdykt lubił narzucać innym.

Adamson wiedział o tym jego przykrym zwyczaju. Wysłuchał go nie podnosząc głowy z poduszki, spokojnie patrząc przez swoje kwadratowe okulary.

— Więc przyjdę — odparł, ułożył się wygodniej i znów zabrał się do lektury.

Koniec części pierwszej

SPIS ROZDZIAŁÓW

Część Pierwsza

I.	— <i>Ale kto mówi?</i>	7
II.	— <i>Pomysł Dantego</i>	12
III.	— <i>Luterańska wigilia</i>	17
IV.	— <i>Boogie — woogie</i>	23
V.	— <i>Spokojne życie</i>	29
VI.	— <i>Kobiece serce</i>	35
VII.	— <i>Zatrzymaj się, chwilo</i>	41
VIII.	— <i>Piąty rok w kieracie</i>	46
IX.	— <i>Różokrzyżowcy</i>	52
X.	— <i>Czarodziejski zamek</i>	59
XI.	— <i>Siódemka</i>	66
XII.	— <i>Lepiej było skłamać</i>	74
XIII.	— <i>Niebieskie światło</i>	79
XIV.	— <i>Dziewczyne! Dziewczyne!</i>	85
XV.	— <i>Trójka łgarzy</i>	91
XVI.	— <i>Sprawa wrzątku</i>	101
XVII.	— <i>Bajka o rybce</i>	106
XVIII.	— <i>Jubilat</i>	110
XIX.	— <i>Język — narzędziem produkcji</i>	119
XX.	— <i>Towarzyszu Stalin, oddajcie nam karę śmierci</i>	126
XXI.	— <i>Starość</i>	141
XXII.	— <i>Wrócić do otchłani</i>	147
XXIII.	— <i>Cerkiew Nikity Męczennika</i>	154
XXIV.	— <i>Piłujemy drwa</i>	163

XXV.	—	<i>Co robił minor</i>	176
XXVI.	—	<i>Co robił podpułkownik</i>	184
XXVII.	—	<i>Robot się gubi</i>	193
XXVIII.	—	<i>Sztuka cerowania skarpetek</i>	200
XXIX.	—	<i>Szybując pod pułapem</i>	210
XXX.	—	<i>Karne kreski</i>	218
XXXI.	—	<i>Fonogramy</i>	227
XXXII.	—	<i>Pocątunków się zabrania</i>	234
XXXIII.	—	<i>Fonoskopia</i>	238
XXXIV.	—	<i>Niemy alarm</i>	244
XXXV.	—	<i>Masz mnie zdradzić</i>	253
XXXVI.	—	<i>To łatwo się mówi — w tajgę!</i>	259
XXXVII.	—	<i>Widzenie</i>	267
XXXVIII.	—	<i>Jeszcze jedno</i>	275
XXXIX.	—	<i>Teraz młodzi</i>	281
XL.	—	<i>Kobieta szorowała schody</i>	288
XLI.	—	<i>Psy imperializmu</i>	296
XLII.	—	<i>Zamek świętego Graala</i>	306
XLIII.	—	<i>Podwójna gra</i>	316
XLIV.	—	<i>Życie nie jest romansem</i>	322
XLV.	—	<i>Stara panna</i>	335
XLVI.	—	<i>Ogień i siano</i>	345
XLVII.	—	<i>Pijemy za Zmartwychwstanie</i>	351
XLVIII.	—	<i>Arka</i>	357
XLIX.	—	<i>Dla kawału</i>	360
L.	—	<i>Księżę zdrajca</i>	368
LI.	—	<i>Kończąc dwudziesty</i>	376



Achévé d'imprimer le 20 juillet 1972 sur les presses de l'Imprimerie Richard,
24, rue Stephenson, Paris, 18^e.
Dépôt légal : 3^e trimestre 1972.

I/II 60 F. (dol. 12,50; £ 5,25)